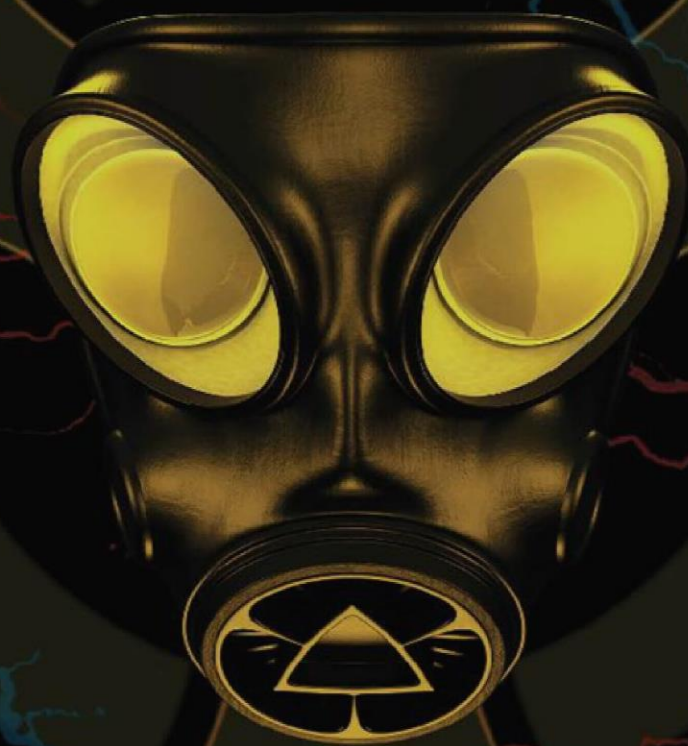


# ZAKAŻENIE

SCOTT SIGLER



NIE UCIEKNIESZ, NIE UKRYJESZ SIĘ  
**INFEKCJA** SIĘ ROZPRZESTRZENIA

glonk

# **SCOTT SIGLER**

## **ZAKAZENIE**

**Przełożył: Marek Pawelec**



*Pamięci Mike'a Lehna, prowadzącego przykładem.*

*Pamięci Mookie: czternaście lat towarzyszenia mi przy pisaniu to wciąż za mało.*

*Junkies – wielbicielom Siglera z całego świata. FDO™ dziękuje.*

# **PROLOG**

## 20 stycznia

To musiał być żart.

Wkręcanie kogoś pierwszego dnia w pracy to nic nowego, ale John Gutierrez nie spodziewał się, że ktoś odważy się zrobić mu kawał *tego* pierwszego dnia.

W dniu inauguracji.

Takich rzeczy nie robiło się prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

- To wcale nie jest śmieszne, Murray - warknął John. - Ten kraj ma sporo poważnych problemów, a to zdecydowanie wykracza poza granice dobrego smaku.

Murray Longworth popatrzył zaskoczony.

- Żart...? To nie żart, panie prezydencie.

Ależ oczywiście, że tak. John Gutierrez nie urodził się wczoraj.

Rozejrzał się po Gabinetcie Ovalnym, oceniając reakcje głównych doradców. Tom Maskill, jego nerwowy zastępca szefa gabinetu, bezskutecznie próbował przybrać wyraz skonsternowania. Sekretarz obrony Donald Martin siedział rozparty ze skrzyżowanymi nogami na zabytkowej kanapie. Donald był waszyngtończykiem starej szkoły - wysoki, biały, siwiejący, w dopasowanym garniturze... Wyglądał, jakby stały za nim pieniądze z plantacji. Szefowa gabinetu, Vanessa Colburn, siedziała na fotelu w paski i z wyglądu stanowiła przeciwieństwo Donalda - młoda czarnoskóra kobieta. Miała rzeczową, pokerową twarz, a jej lodowate spojrzenie mogłoby zmrozić każdego. W tej chwili wpatrywała się wprost w niejakiego Murraya Longwortha, zastępcę dyrektora CIA.

Murray również wyglądał jak klasyczny waszyngtończyk, jednak innego typu niż Donald. Jego garnitur zdecydowanie nie należał do tanich, ale podobnie jak właściciel, był nieco zmięty i zużyty. Murray przekroczył wiek emerytalny, miał lekką nadwagę i brwi wiecznie zmarszczone w niezadowoleniu. Prezentował sobą wygląd częsty wśród dinozaurów Waszyngtonu, wygląd, który Vanessa na własny użytek określiła mianem „białas z czasów zimnej wojny”. Był zastępcą dyrektora CIA, ale nie tym głównym. Murray przeważnie pracował na drugim planie.

- Dużo o tobie słyszałem, Murray - stwierdził John. - Przed zajęciem tego stanowiska rozmawiałem ze wszystkimi pięcioma byłymi prezydentami. Spośród wielu miłych rzeczy, które mieli do powiedzenia, tylko jedna osoba była przez wszystkich wymieniana po nazwisku: właśnie ty. Mówili, że jesteś... jakby to powiedzieć... osobą od załatwiania szczególnych problemów.

- Tak, panie prezydencie - potwierdził Murray.

- Zaczynam podejrzewać, że wszyscy robili to z określonego powodu, po prostu żeby wkręcić mnie w tę niedorzeczną historię o trójkątach zakażających Amerykanów i zmieniających ich w psychopatycznych morderców.

- Sir - oburzył się Murray. - Zapewniam, że to nie żart.

- To czemu nie słyszeliśmy o tym wcześniej? - Vanessa zapytała głosem niemal równie pozbawionym wyrazu, jak jej twarz.

- Prezydent Hutchins zdecydował o utajnieniu sprawy - wyjaśnił Murray. - A w tym właśnie jestem bardzo dobry.

Na potrzeby swojej prezentacji Murray sprowadził do gabinetu duży telewizor. Nowoczesne urządzenie wyglądało trochę nie na miejscu w Gabinetcie Ovalnym, urządzonym tak, aby epatował wagą historii i tradycji. John popatrzył na znieruchomiały na ekranie obraz: niewątpliwie martwa staruszka z bulwiastym, niebieskim naroślem w kształcie trójkąta na ramieniu. Nie na skórze czy pod nią, ale jako jej część. Pod zdjęciem umieszczono podpis z nazwiskiem: „Charlotte Wilson”.

Według Murraya to narośle sprawiło, że Wilson za pomocą rzeźnickiego noża zamordowała swojego syna, a potem zaatakowała dwóch policjantów, którzy zastrzelili ją w obronie własnej.

To nie był dowcip, to było coś absolutnie niewybaczalnego.

Kierując się sugestiami poprzednich prezydentów, John zostawił prezentację „Projekt Tangram” Murraya Longwortha na koniec dnia. Był to ostatni akt w przygotowanej o zawrót głowy puli tajemnic poprzedniej administracji: dwie niewykrywalne łodzie podwodne spoczywające na dnie Morza Japońskiego, gotowe zasypać atomówkami Koreę Północną, kolejne dwie w pobliżu Kataru, gotowe na uderzenie wyprzedzające przeciwko Iranowi, gdyby nowy rząd upadł i fundamentalści dorwali się do guzika atomowego, tajne umowy z rządem Chin, tajny myśliwiec, rozwijający prędkość Mach 10, zdolny do lotu 60 kilometrów nad ziemią, nieoficjalne rozmowy na temat wierceń na Alasce i w pobliżu wybrzeży Florydy oraz tuzin innych szemranych interesów, które były codziennością za czasów administracji Hutchinsa.

- Gdybym mógł dokończyć prezentację, sir - odezwał się Murray. - Sprawa może się trochę wyjaśnić.

John spojrział na Vanesę, potem na Donalda. Oboje wzruszyli ramionami. Prezydent westchnął i kiwnął głową, pozwalając Murrayowi kontynuować.

- Dziękuję, sir. Chorobę po raz pierwszy odkryła około czterech miesięcy temu epidemiolog z Centrum Zapobiegania Chorobom, CDC, doktor Margaret Montoya, wraz ze współpracownikiem doktorem Amosem Braunem. Oboje wciąż uczestniczą w projekcie. Pierwsze objawy to swędzenie i niewielka wysypka, która przeradza się w duże obrzmienia, a w końcu w trójkątne niebieskie narośla. Choroba wydaje się także wywoływać u swoich ofiar ekstremalną paranoję prowadzącą do zdecydowanego unikania szpitali, pracowników służby zdrowia lub sił porządkowych. Szczególnie silna jest paranoja skierowana przeciwko policji i wojsku. Większość ofiar zginęła z nieznanych przyczyn, popełniła samobójstwo lub została zabita przez siły porządkowe w wyniku zachowań psychotycznych.

- Chwileczkę - wtrąciła się Vanessa. - Chce pan powiedzieć, że pasożyt *skłaniał* ich do unikania szpitali? Zachowania agresywne wywołane zaburzeniami równowagi chemicznej to jedno, ale naprawdę spodziewa się pan, że uwierzymy w pasożyta wpływającego na zdolności decyzyjne gospodarza?

- Takie rzeczy są w naturze na porządku dziennym - odpowiedział Murray.

- Ale to *ludzie* - zaprotestowała Vanessa.

- Zachowania to tylko reakcje chemiczne, proszę pani - zripostował Murray. - Proszę mi wierzyć, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Twarz Vanessy jasno wyrażała, do jakiego stopnia wierzy opinii Murrraya.

- Czy ten rzekomy pasożyt jest zakaźny?

Murray potrząsnął głową.

- Na ile wiemy, nie przenosi się z zakażonego gospodarza na innych ludzi, jednak coś rozprzestrzenia chorobę i jeszcze nie odkryliśmy wektora.

- Czyli Amerykanie mogą złapać pasożyta, który zamienia ich w zabójców - stwierdziła - a wy to trzymacie w tajemnicy?

- Tak, prezydent Hutchins postanowił zataić tę informację - potwierdził Murray. - Obawiał się, że raporty mogą wywołać panikę oraz zalew fałszywych przypadków w szpitalach, co mogłoby negatywnie wpłynąć na naszą zdolność do odszukiwania prawdziwych ofiar. Należy również wziąć pod uwagę zagrożenie związane z mentalnością tłumów gotowych do linczu, co stanowiłoby zagrożenie dla Amerykanów, których jedynym przewinieniem byłaby łuszczyca lub reakcja alergiczna.

Vanessa odchyliła się na oparcie fotela i z niesmakiem uniosła rękę.

- Widzi pan, panie prezydencie? Dlatego właśnie ostatnie osiem lat tak osłabiło Amerykę. Stara gwardia nigdy nie wierzyła w ludzi. Po to właśnie znaleźliśmy się tutaj, żeby skończyć z rządem wiecznie snującym sieci kłamstw.

- Rozumiem pani entuzjazm dotyczący wprowadzania nowej polityki - odezwał się Murray. - Jednak jeśli mogę coś doradzić, panno Colburn, to zanim odrzuci pani podejmowane z rozmysłem decyzje poprzedniego prezydenta, proszę wysłuchać całej historii.

Vanessa wyprostowała się i posłała mu lodowate spojrzenie. John nie potrafił opanować lekkiego uśmiešku. Murray Longworth od pierwszego dnia mówił takim tonem do Vanessy Colburn? Ciekawe, jak długo zdoła utrzymać stanowisko.

- Ależ proszę - odpowiedziała Vanessa z cukrowym uśmiechem na ustach. - Niech pan mówi dalej.

- Charlotte Wilson była zaledwie pierwszym odkrytym przypadkiem. - Murray wrócił do prezentacji, kierując pilota w stronę ekranu.

*klik*

„Gary Leeland”: zdecydowanie żywy staruszek z oczami tak przepelnionymi nienawiścią, że ściągałyby na siebie całą uwagę, gdyby nie niebieskawy trójkąt na jego szyi.

- Ten mężczyzna zgłosił się do szpitala, a dziesięć godzin później podpalił swoje łóżko. Spalił się żywcem.

*klik*

„Martin Brewbaker”: ciało na stole w kostnicy, pokryte czarnymi oparzeniami trzeciego stopnia, z nogami odciętymi pod kolanami.

- Ten człowiek zabił trzy osoby: żonę, sześciolletnią córkę i agenta CIA Malcolma Johnsona, podczas próby pochwycenia go.

*klik*

„Blaine Tanarive”: szerniałe, rozkładające się zwłoki, niewiele więcej niż szkielet pokryty cienką warstwą zielonych włókien.

- On też zabił swoją rodzinę - wyjaśnił Murray. - Znaleźliśmy go już po śmierci.

John zapatrzył się na ostatnie zdjęcie. Już się nie uśmiechał.

- Co się z nim stało?

Murray przez chwilę patrzył na obraz, potem obrócił się z powrotem do prezydenta i jego sztabu.

- Po śmierci gospodarza ciało rozkłada się w bardzo przyspieszonym tempie. W ciągu niecałych dwóch dni z trupa zostaje tylko poczerniały szkielet.

John przejechał wzrokiem po twarzach Donalda, Vanessy i Toma. To zawsze była jedna z jego mocniejszych stron: umiejętność przyglądania się ludziom i czytania ich wyrazów twarzy, postawy i ruchów.

Tom wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty. Donald wyraźnie uwierzył. Vanessa też zaczynała, przez co z każdą chwilą narastała w niej złość. Większość ludzi by tego nie zauważyła, ale John znał ją lepiej niż inni. Coś takiego utrzymywanego w tajemnicy przed obywatelami Ameryki... Będzie chciała czyjejś głowy. I pechowo dla Murraya Longwortha, najprawdopodobniej właśnie jego.

*klik*

„Perry Dawsey”: olbrzymi mężczyzna leżący w szpitalnym łóżku z zamkniętymi oczami, odsłoniętą klatką piersiową i kończynami unieruchomionymi mocnymi taśmami. Czarna, cieknąca rana na prawym obojczyku, białe bandaże pokrywające prawe przedramię, rurki wchodzące do nosa i rąk.

- Perry Dawsey - przedstawił go Donald. - Znam to nazwisko. Czy to nie ten gracz futbolu, który oszalał i zamordował swojego przyjaciela? „Straszny” Perry Dawsey?

Murray kiwnął głową.

- Dawsey to jedyna znana nam osoba, która przeżyła. Miał siedem pasożytów, które sam wyciął, usuwając ostatniego zaledwie pięć tygodni temu.

- Jezu Chryste - jęknęła Vanessa. - Tyle trupów, a wy to utrzymujecie w tajemnicy? Czy pan jest potworem?

Teraz to Murray lekko się uśmiechnął. Johnowi od razu nie spodobał się ten wyraz twarzy, to był uśmiech drapieżnika. Murray Longworth kochał tę grę i przyzwyczał się wygrywać niezależnie od kosztów.

- Zabawne, że wspomina pani o potworach - skomentował Murray. - Zebraliśmy zespół do badania sytuacji, prowadzony przez agenta CIA Dewa Phillipa. Dzięki działaniom Phillipa odkryliśmy, że pasożyty opuszczają ciała gospodarzy i stają się samodzielnymi organizmami.

Gdyby Gabinet Ovalny nie był wyłożony takim dobrym dywanem, w zapadłej ciszy można by usłyszeć upadek szpilki.

- Murray - John powoli i starannie dobierał słowa. - Chcesz nam powiedzieć, że te trójkątno narośla... *wykluwają się z ludzi?*

- Tak jest, panie prezydencie - potwierdził Murray. - Nawet nazywamy je pisklakami.

- A potem co? - zapytał Donald. - Czy one *chodzą same*, czy coś?



- Zgadza się, panie sekretarzu - potwierdził Murray. - Nie tylko chodzą, podejmują wspólne działania. Pisklaki próbowały zbudować i aktywować konstrukt, który uważamy za jakiegoś rodzaju bramę lub broń. To zdjęcia nakręcone przez wojsko w Wahjamega, Michigan.

Murray włączył odtwarzanie filmu. Jakość była całkiem niezła. John zobaczył żołnierzy, las, a potem coś głębiej w lesie... Coś *świeącego*. Wyglądało to jak duży łuk o wysokości może siedmiu metrów w najwyższym miejscu, jarząca się obrączka zakopana do połowy w błotnistej ziemi lasu. Wewnątrz łuku zobaczył kolejne trzy, każdy coraz mniejszy, coraz dalej w głąb. Miał wrażenie, jakby patrzył w głąb świeącego się stożka.

I *stwory* przemykające po łukach jak termyty po gnijącym pniu drzewa. Dziwne narośla w skórze to jedno, ale to... To przecież w ogóle nie było *możliwe*. Przez ciało prezydenta przeszedł zimny dreszcz. Jeśli to *było* prawdziwe, to musiało być... Czym? Obcymi? Demonami? To nie mogło się dziać naprawdę.

- Nie ma mowy - rzuciła Vanessa. - To nie może być prawdziwe. Czemu traci pan czas prezydenta na efekty specjalne?

- To jest rzeczywiste, proszę pani - zapewnił Murray.

John nachylił się, by przyjrzeć się uważniej, niemal zsuwając się z fotela.

- I co to do diabła ma być?

- Pisklaki - wyjaśnił Murray. - Lepiej zobaczy je pan... O, teraz.

Obraz zrobił się chwiejny, gdy stwory nagle rzuciły się do ataku. Kamera przechyliła się ostro zanim pierwszy stwór dotarł do żołnierzy, prawdopodobnie gdy człowiek filmujący zdarzenie upuścił urządzenie. Murray zatrzymał obraz. Prezydent wbił wzrok w przechylone zbliżenie stwora wyglądającego jak piramida z gniewnymi, pionowymi oczami o wściekłym wyrazie i mackami zamiast nóg.

Znowu zapadła całkowita cisza.

John Gutierrez zrobił karierę dzięki umiejętności oceny ludzi. Ta wrodzona umiejętność doprowadziła go ze stanowiska burmistrza do senatora. Dzięki niej dodał do swojego sztabu Vanessę. Kiedy ją poznał, *wiedział*. Jej zdolności i bezwzględność doprowadziły go z senatu stanowego do kongresu, a teraz do Białego Domu, co było nie lada osiągnięciem, biorąc pod uwagę, że John miał czterdzieści sześć lat i był pierwszym w tym kraju prezydentem pochodzenia latynoskiego. John Gutierrez ufał swoim oczom oraz instynktowi... A one mówiły mu teraz, że Murray Longworth jednak nikogo nie próbuje nabrać.

To działo się naprawdę.

- Z czym my tu, u diabła, mamy do czynienia, Murray? - zapytał John. - Nie powiesz mi chyba, że to obcy, co?

- Tak właśnie przypuszczamy, sir. Ta technologia wychodzi poza wszystko, co znamy. Podejrzewamy, że pisklaki stanowią formę maszyny biologicznej zaprojektowanej do budowy tej świecącej struktury.

John miał ochotę udusić Hutchinsa. Były prezydent mógł mu równie dobrze zostawić na dywanie Gabinetu Owalnego wielką, śmierdzącą górę łajna. Teraz problem wylądował na karku Johna i niezależnie od tego, co się stanie, opinia publiczna będzie to wiązać z jego prezydenturą, nie Hutchinsa.

- Wahjamega - odezwał się Donald. - Chwileczkę, czy to nie tam w grudniu rozbił się transportowy osprey? Zginęło ośmiu żołnierzy.

- To przykrywka - wyjaśnił Murray. - Nic się nie rozbiło. Tych ośmiu żołnierzy zginęło podczas zakończonego powodzeniem ataku na bramę.

Donald rozejrzał się po gabinecie z niedowierzaniem, jakby czekał aż Vanessa, John lub Tom rzuci „mamy cię”.

Ale nikt nie powiedział nic takiego.

- Zdumiewające - skomentowała Vanessa. Zabrzmiało to sarkastycznie, ale było widać, że jest wstrząśnięta, a John raczej nie miał do niej o to pretensji. - Rodziny tych dzielnych ludzi mogą nigdy nie poznać prawdy. Zginęli w walce, a one dowiedziały się o wypadku. Jakie to *patriotyczne*. To co się działo od tego czasu?

- Dawsey wymagał intensywnej opieki medycznej - wyjaśnił Murray. - Umieściliśmy go w szpitalu wojskowym w Ann Arbor, w Michigan. Wygląda na to, że doszedł do siebie szybciej, niż się tego spodziewaliśmy, uzyskał dostęp do komputera, włamał się do bazy danych szpitala i zmienił swój status pacjenta. Wstyd się przyznać, ale ósmego stycznia po prostu wyszedł ze szpitala.

- Pasożyty zbudowały mu coś w mózgu, jakąś siatkową strukturę, dzięki której potrafi namierzać zainfekowanych gospodarzy. Znalazł kogoś, kto właśnie zamordował trzy osoby. Dawsey zabił go w samoobronie, jednak zanim ten człowiek zginął, Dawsey odkrył położenie kolejnej bramy, w...

- Mather, Wisconsin - przerwał mu Donald. - Wypadek ospreya w Mather. Zginęło dwanaście osób.

Murray potwierdził.

- Kto o tym wie? - zapytał prezydent. - Kto zna całą historię?

- Członkowie Kolegium Szefów Sztabów. Musieli wprowadzić w życie decyzję prezydenta Hutchinsa o odosobnieniu żołnierzy biorących udział w akcji i przenieść ich do nowej jednostki. Sami żołnierze wiedzą, że walczyli z czymś niezwykłym, ale bardzo niewiele osób zna całą historię: Phillips, Montoya, Braun, agent Clarence Otto, który jest łącznikiem CIA Montoi, dyrektor CIA, Hutchins i kilku członków jego sztabu.

- A co z FBI? - zapytała Vanessa. - CIA nie ma uprawnień do tego rodzaju działań na terenie kraju. Nie powinien pan tego robić.

- FBI nie dysponuje szczegółową wiedzą - odpowiedział Murray. - Powtarzam, działaliśmy na podstawie bezpośrednich rozkazów prezydenta Hutchinsa.

Vanessa potrząsnęła głową patrząc na Murraya. John wiedział, że postawiła go sobie na celowniku i wybierała się polować na dinozaury. Murray będzie musiał odpędzić się od jej ataków i dowieść swojej wartości.

Ale ile jeszcze ten człowiek musiał udowodniać? Pasożyt wpływający na zachowanie ludzi, przynajmniej dwie operacje wojskowe na terenie Stanów Zjednoczonych prowadzące do ofiar śmiertelnych, coś, co mogło być urządzeniami obcych... *I nikt o tym nie wiedział*. Dziennikarze nie zwęszyli nawet najmniejszego śladu. John zrozumiał teraz, czemu poprzednicy tak wychwalali Murraya Longwortha.

- Tak naprawdę wciąż nie wiemy, z czym mamy do czynienia - powiedział Murray. - Nie udało się nam złapać ani jednego żywego pisklaka. Te, które zabijamy,

błyskawicznie się rozpadają, w ciągu zaledwie kilku godzin. Nawet materiał bramy rozpadł się niemal natychmiast, więc nie zdobyliśmy żadnych informacji na jego temat.

- Skąd wiemy, że te istoty naprawdę są nam wrogie? - zainteresował się Donald. - Rozumiem, że zaatakowały naszych żołnierzy, ale mogło to być działanie obronne, w celu ochrony tego konstruktu na czas wystarczający by... nie wierzę, że mówię to na głos... wystarczający, by umożliwić kontakt?

- Rasa tak zaawansowana technologicznie mogłaby zainicjować przynajmniej podstawową komunikację - odpowiedział Murray. - Jedyne logiczne wyjaśnienie jej braku to fakt, że tego *nie chcą*. Swoje konstrukcje budują tylko w odludnych okolicach. Czemu nie robią tego jawnie? Bo gdyby to zrobiły, nasze wojsko otoczyłoby je i przygotowało się na to, co mogłoby przez to przejść. To nie problem, chyba że chce się sprowadzić *własne* jednostki wojskowe. Wybór odosobnienia sugeruje, że chcą tu ściągnąć siły, które mogłyby być podatne na ataki podczas przerzutu.

- Przyczółek - rzucił Donald. - Chcą kontrolować strefę lądowania.

Murray przytaknął.

- Tak właśnie uważamy, panie sekretarzu. Proszę też zwrócić uwagę na zachowanie zakażonych ofiar. Pasożyty reprezentują poziom bioinżynierii, jakiego nie jesteśmy w stanie ogarnąć. Czy coś zdolnego do takiego wykorzystania ludzkiego gospodarza mogłoby *przypadkowo* doprowadzić do zachowań, w których gospodarz *unika* kontaktu z pracownikami służby zdrowia? Albo zabija bliskie mu osoby, ludzi, którzy mogą zobaczyć wypryski i wezwać pomoc?

Murray zamilkł. Stał nieruchomo z rękami spuszczoneymi przy bokach. Donald, Vanessa i Tom zwrócili się w stronę prezydenta. Mężczyzna niespiesznie napił się wody. Co, u diaska, miał zrobić z niespodzianką zostawioną mu na pożegnanie przez Hutchinsa?

Odstawił szklanke.

- Donald - odezwał się. - Czy jako sekretarz obrony uważasz, że te stworzenia mają wrogie zamiary?

Donald kiwnął głową.

- Na podstawie tego co nam powiedziano, tak.

Popatrzył na Vanesę.

- A ty?

Wyglądała, jakby odpowiedź była bolesna.

- Również się zgadzam, ale *na podstawie tego co nam powiedziano*. Panie prezydencie, musimy to wyciągnąć na światło dzienne.

- *Oszalataś?* - warknął Murray. Popatrzył kolejno na wszystkich w gabinecie, po czym wyprostował się jeszcze bardziej. - Najmocniej przepraszam za ten wybuch, ale to nie jest dobry czas na ujawnianie tej sprawy. Doktor Montoya pracuje nad testem, który umożliwi wykrywanie choroby. Mamy na miejscu zespół Phillipsa i aktywnie szukamy dodatkowych gospodarzy.

- Musimy ufać obywatelom - oświadczyła Vanessa. - Musimy się z tym zmierzyć jako naród.

John odchylił się na oparcie fotela. Nie ma to jak poważna decyzja, prawdopodobnie o znaczeniu historycznym, aby zacząć prezydenturę w wielkim stylu.

- Murray - John zwrócił się do stojącego mężczyzny. - Ile czasu potrzeba na ukończenie testu?

- Nie potrafię podać konkretnej daty - odpowiedział agent. - Przynajmniej tydzień, ale nie dowiemy się, czy to działa, dopóki nie znajdziemy nowych gospodarzy.

Odsłonięcie takiego szamba przed opinią publiczną... Może jeszcze nie czas na to. Murray Longworth utrzymywał różne rzeczy w tajemnicy dla pięciu administracji, więc prawdopodobnie mógł to robić jeszcze i dla szóstej.

- Dwa tygodnie - oświadczył John. - Chcę dwa tygodnie na ocenę sytuacji. Zaczniemy od działającego testu i zobaczymy co dalej. I Murray, ani mru mru.

Murray kiwnął głową. Wyglądał na zadowolonego, jakby przez cały czas wiedział, jaki będzie wynik tego spotkania. Uwadze Johna nie umknął lekki uśmiezek na jego ustach.

Zauważył, że Vanessa także go zarejestrowała.

# **DZIEŃ PIERWSZY**

## Wielki skok Tada

Chcieli go dopaść.

Tad nie zamierzał do tego dopuścić, nawet gdyby musiał się zabić.

Otworzył okno.

Zasłony zafalowały, porwane tym samym nocnym wiatrem, który rzucił zimny deszcz i drobinki lodu w twarz Thadeusa „Tada” McMilliana juniora.

Miał nadzieję, że jego mały braciszek się nie obudzi. Obudzony Sam głośno płakał. Bardzo, *bardzo* głośno. Jego płacz zawsze ściągał mamę i tatę.

Mamę i tatę, którzy chcieli *dorwać* Tada.

Chłopak zszedł ze swojej skrzynki z zabawkami, podniósł ją i dotaszczył do kołyski braciszka. Dźwiganie skrzynki wywoływało ból w pełnych pęcherzy dłoniach, ale musiał stanąć na skrzynce, żeby sięgnąć do środka kołyski, tak samo jak przy sięganiu do zasuwki na oknie. Postawił skrzynkę obok kołyski, stanął na niej i podciągnął kocyk pod sam nos niemowlaka. Teraz nie zmarznie. Tad delikatnie pogłaskał włosy braciszka, a potem nachylił się i pocałował go w czoło.

- Dobranoc - wyszeptał.

Zszedł ze skrzynki i po raz ostatni z wysiłkiem zaniósł ją pod okno.

- Powodzenia, Sam - szepnął, po raz ostatni oglądając się na brata. - Naprawdę mam nadzieję, że nie skończysz jak Sara.

Tad przytrzymał się ramy okna, stawiając stopy na metalowym parapecie. Lodowaty deszcz natychmiast przemoczył mu koszulkę. Niesione wiatrem kawałki lodu uderzały z taką siłą, że uderzenia natychmiast wywoływały ból. Podmuch niemal wepchnął go do środka, ale chłopiec skorygował postawę i zdołał się utrzymać.

Tak było lepiej. *Wszystko* było lepsze od zostania tutaj.

Tad McMillian skoczył w noc.

## Ogden szykuje się do walki

Niezbyt daleko od przedmieść Południowego Bloomingville w Ohio, w ciszy zimowej nocy w lesie, pułkownik Charlie Ogden stał za luźnym szeregiem dziewięciu mężczyzn. Byli członkami jego osobistej drużyny, piątego plutonu kompanii X-Ray z Batalionu Reagowania Krajowego. Kompania X-Ray była oficjalną nazwą jednostki, ale zgodnie z typowym dla ducha przepelnionych testosteronem żołnierzy sami nazywali się inaczej.

Przybrali nazwę Eksterminatorów.

Wymyślili sobie nawet emblemat: piorun uderzający w odwróconego na grzbiet karalucha. Nosili go na prawym ramieniu, dodając poniżej po małym czarnym trójkącie za każdą misję bojową i ozdabiając je białym symbolem X za każdego zabitego potwora.

Ogden miał na rękawie dwa czarne trójkąty, z których pierwszy ozdobiono dwoma białymi iksami. Pułkownik Charlie Ogden nie przesiadywał w hummerze kilka mil od frontu. Prowadził z pierwszej linii, a w takiej sytuacji czasem trzeba też walczyć.

Jednak fakt, że dowodził z pierwszej linii nie znaczył, że jest głupi – jego osobista drużyna stanowiła śmietankę Eksterminatorów, ludzi, którzy na śniadanie jedli czołgi, a srali gwoździami. Piąty pluton każdej kompanii zazwyczaj składał się z personelu pomocniczego, kierowców, rusznikarzy – głównie żołnierzy nie biorących udziału w walce – ale ponieważ Ogden mógł robić w zasadzie co tylko chciał, przydzielił sobie osobistą gwardię, która w każdej chwili mogła wskoczyć do boju.

Po lewej stronie Ogdena stał kapral Jeff Cope, jego łącznościowiec z pięciokilową nadwagą. Po prawej stał śniady sierżant major Lucas Mazagatti, jego najwyższy rangą podoficer. Nieco dalej stał przesadnie opalony kapitan David Lodge, dowódca kompanii Whiskey i jego potężny sierżant major Devon „Gwoździe” Neelson.

– Bieżący raport, kapralu – odezwał się Ogden.

– Trzeci pluton za dziesięć minut znajdzie się na stanowiskach na zachód od celu – zgłosił Cope. – Czwarty zajmie stanowiska zabezpieczające na północny zachód od celu za dwadzieścia minut. Plutony pierwszy i drugi są już na stanowiskach przed nami, sir.

120 ludzi z kompanii X-Ray było już prawie gotowych.

– Doskonale – pochwalił Ogden. – Wsparcie powietrzne?

– Drony Predator na północny wschód od celu – odpowiedział Cope. – Cztery apacje na pozycji o półtora kilometra stąd. Cel podświetlony laserem, apacje mogą go zniszczyć w każdej chwili. Dwa F-15E z bombami GBU-31 krążą w odległości siedmiu kilometrów. Kolejne dwa F-15E w rezerwie dziesięć kilometrów stąd.

– Bardzo dobrze.

Odwrócił się do kapitana Lodge’a.

– Jak u Ciebie, David?

– Kompania Whiskey czeka półtora kilometra stąd na zachód – odpowiedział zapytany. – Jesteśmy gotowi ruszać.

Neelson przechylił się do przodu, a raczej, przy jego stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu, schylił się, by coś powiedzieć.

- Jakaś szansa, że wejdziemy tym razem do akcji, sir? - odezwał się trochę zbyt głośno jak na gust Odgena, ale dla Nealsona był to szept. Jego zwykły głos był trzy lub cztery razy głośniejszy od przeciętnego, a jego krzyk sprawiał, że ludzie szukali schronienia.

- Gwoździe - odpowiedział Ogden. - Kompania Whiskey wejdzie do akcji tylko, jeśli po nas przejdą i będę musiał zrzucić bomby na nasze pozycje. Wtedy wejdziecie, żeby po nas posprzątać. Miejmy nadzieję, że tym razem będziecie mogli odpocząć. Lodge, razem z Gwoździami macie być u swoich ludzi dwadzieścia minut przed rozpoczęciem ataku.

Nealson wrócił do pozycji na spoczynku. Wyglądał na zawiedzionego, a równocześnie Lodge próbował nie wyglądać, jakby czuł ulgę, choć ewidentnie tak było. Lodge był doskonałym gryzpiórkiem, jednak chyba brakowało mu duszy wojownika.

Zostało tylko jedno pytanie: jakie nowe sztuczki zgotowały tym razem te dranie?

Ogden podniósł do oczu lornetkę noktowizyjną, uważnie przyglądając się szczegółom znajdującego się dwieście metrów na północ celu. Miał przed sobą jarzącą się, teraz już znajomą konstrukcję składającą się z dwóch długich na siedem metrów, równoległych obiektów przypominających dwie leżące obok siebie kłody. Kłody prowadziły do czterech zakrzywionych łuków, z których pierwszy miał około trzech metrów wysokości, a każdy z kolejnych był wyższy - ostatni miał około siedmiu metrów. Wszystkie obiekty, zarówno kłody, jak i łuki, miały nierówną, organiczną powierzchnię.

Jednak tym razem wyglądały trochę inaczej.

Przy obu poprzednich razach struktury były zdecydowanie grubsze, dotyczyło to zarówno kłód, jak i łuków. Te wyglądały jakoś... anorektycznie.

Wszystko otaczało błoto, będące skutkiem stopienia śniegu przez promieniujący z budowli żar. Pierwsze dwie struktury emitowały olbrzymie ilości ciepła, według odczytów satelitarnych miały temperaturę około 93 stopni Celsjusza, podczas gdy ta zaledwie czterdzieści trzy. I kolejna istotna różnica: przy pierwszym konstrukcie, w Wahjamega w Michigan coś się działo, coś *wewnątrz* stożka, i to zaledwie godzinę po osiągnięciu stabilnej temperatury. Ten jarzył się już od trzech godzin, a wciąż nie było widać żadnego ruchu.

W Wahjamega wyglądało, jakby złapali pisklaki z zaskoczenia. Stwory pełzały po całej konstrukcji, a gdy zauważyły ludzi Ogdena, zaatakowały. Walka była jak z koszmarne snu - potwory w kształcie piramid szarżowały na czarnych mackach, pędząc prosto w ogień broni automatycznej. Niektóre stwory przedarły się przez pole ostrzału, zmuszając jego ludzi do brutalnej walki wręcz.

Zginęło ośmiu żołnierzy.

Trzy tygodnie po Wahjamega Perry Dawsey odkrył kolejną konstrukcję głęboko w lasach w pobliżu Mather, Wisconsin. Podobnie jak za pierwszym razem, głównym celem Ogdena było przechwycenie lub zniszczenie konstrukcji zanim zostanie aktywowana, ale generalicja przydzieliła mu dodatkowe zadanie: schwytanie żywego pisklaka. Jednak tym razem to one złapały Eksterminatorów z zaskoczenia. Stwory zaczęły się w odległości około stu metrów od konstrukcji, ukrywając się na drzewach.



Jego ludzie dosłownie przeszli pod nimi. Kiedy Eksterminatorzy zbliżyli się na około siedemdziesiąt pięć metrów do budowli, obcy spadli na nich i zaatakowali od tyłu.

W tej samej chwili została aktywowana konstrukcja. W zamieszaniu towarzyszącemu walce wręcz Charlie nie miał pojęcia, jak liczny jest przeciwnik. Ponieważ groziło mu rozbicie całej jednostki, nie zawahał się i wezwał wsparcie powietrzne, aby dopilnować wykonania głównego celu misji. Rakiety z apaczy rozerwały budowlę na strzępy.

Takie traktowanie nie zostawiło wiele do analizy, choć i tak nie miało to wielkiego znaczenia. Podobnie jak w Wahjamega, zniszczone kawałki konstrukcji w ciągu paru godzin zmieniły się w kałuże czarnej mazi. Jego ludziom nie udało się też złapać ani jednego żywego obcego, ale Ogden nie miał zamiaru ich za to besztać – trudno wymagać od ludzi zaatakowanych niespodziewanie przez potwory, aby myśleli o czymś innym niż przetrwanie.

Tamto starcie również zakończyło się stratami. Zginęło kolejnych dwunastu ludzi.

Z czysto taktycznej perspektywy ofiary nie stanowiły problemu. Jednostka Charliego Ogdena była tak głęboko ukryta w czarnym budzecie, że nie uciekłoby stamtąd nawet światło. Potrzebował ludzi? Żaden problem. Nowego sprzętu? Proszę bardzo, włącznie z eksperymentalną bronią, a nawet z dziesięcioma ręcznymi raketami przeciwlotniczymi stinger, na wypadek gdyby z bram wyłoniło się coś latającego. Uzupełnienia? Transportu? Wsparcia powietrznego? Jak powyżej. Charlie otrzymywał rozkazy od Murraya Longwortha, który kontaktował się bezpośrednio z kolegiami szefów sztabów i prezydentem. Prawdę mówiąc coś takiego mogło uderzyć do głowy – żadnych procedur zaopatrzenia i zatwierdzenia, po prostu powiedziec kapralowi Cope'owi, żeby zgłosił zapotrzebowanie i wszystko pojawiało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Jednak taki czek *in blanco* na ludzi i wyposażenie był kluczowy dla sukcesu misji, podobnie jak elastyczność umożliwiająca mu natychmiastowe przemieszczanie się bez rozkazów i zgód do każdego miejsca, w którym czaiło się zagrożenie. Musiał być elastyczny i szybki, ponieważ starcie w Mather dowiodło, że nieprzyjaciel potrafi zmieniać taktykę. *Spodziewali się* ataku piechoty. *Nauczyli się* czegoś po pierwszym starciu, nauczyli się i dostosowali.

To bardzo niepokoiło Charliego. Jego ludzie zabili wszystkich obcych w Wahjamega i nie znaleźli tam niczego, co mogłoby być jakimś sprzętem do łączności. W takim razie jak obcy z Wahjamega porozumiewali się z tymi z Mather?

Pomimo zmiany taktyki obcy i tak przegrali w Mather, co znaczyło, że prawdopodobnie znowu zmienią sposób działania... Czego więc mógł się spodziewać tym razem? Jego ludzie uważnie rozglądali się po drzewach. Sprawdzali *wszystko*. W zwykłym świetle, wzmocnianym, w podczerwieni, wysłali zwiadowców. Nie znaleźli niczego poza obcymi na konstrukcji. Żadnych wysuniętych obserwatorów, brak linii oporu. Ogden nie potrafił tego rozgryźć. Wyglądało to tak, jakby czekali, aż jego ludzie zaatakują.

Miał swoje wyznaczone cele i opcje ataku. Pierwszą opcją było użycie piechoty do zdobycia nienaruszonej konstrukcji. Gdyby to się nie powiodło, rakiety z helikopterów Apacz. Gdyby było to konieczne, samoloty Strike Eagle mogły dostarczyć trzecią opcję

polegającą na zrzuceniu jednotonowych bomb, które zamieniłyby kilometr kwadratowy Ohio w płonący krater. To oznaczało śmierć wszystkich jego ludzi i samego Ogdena, ale gdyby do tego doszło, i tak byliby już pokonani.

A gdyby zawiodła nawet *trzecia* opcja, prezydent nie miałby innego wyboru niż autoryzacja czegoś, co nazwano po prostu *opcją numer cztery*.

Charlie Ogden bardzo nie chciał nawet o tym myśleć.

Jeszcze raz popatrzył na zegarek. Pięćdziesiąt minut. Normalnie zaatakowałby, gdy tylko jego ludzie znaleźli się na pozycjach i wciąż mógł to zrobić, gdyby uznał to za konieczne, jednak tym razem sytuacja wyglądała nieco inaczej.

Tym razem miał widownię i to taką, która mogła radykalnie wpłynąć na jego karierę, awansując go z pułkownikowskiego orła na generalską gwiazdkę.

Charlie ponownie podniósł do oczu lornetkę noktowizyjną i popatrzył na jarzącą się konstrukcję. Miał nadzieję, że Murray zdoła dopilnować harmonogramu ze swojej strony, ponieważ zamierzał zaatakować za pięćdziesiąt minut, z prezydentem lub bez.

## Tad, poznaj pana Dawseya

Tada obudziły dreszcze.

Przeturlał się po trawie zastanawiając się, czy już nie żyje. Bardzo bolało go ramię. Nie czuł się martwy i wciąż mógł się ruszać. Kiedy ludzie wyskakują z okien w telewizji, lądują na ziemi i przestają się ruszać. Przeturlał się na plecy i usiadł czując, jak zimna woda przecieka mu przez spodnie.

Wstał powoli. Nogi też bardzo go bolały. Głęboko wciągnął powietrze, czując jak deszcz i drobinki lodu rozpryskują się w jego szeroko otwartych ustach. Popatrzył do góry, na otwarte na nocne niebo okno na pierwszym piętrze. Dziwne, z góry wydawało się, że do ziemi jest bardzo daleko, jednak stąd wyglądało na to, że okno znajduje się mniej więcej na wysokości kosza do koszykówki.

Jednak nie miało znaczenia, jaka faktycznie była to wysokość. Wydostał się. Uciekł z domu.

Czyli nie zginął... Ale nie zamierzał też wracać do środka.

Tad zaczął biec. Nogi go bolały, ale nie odmawiały posłuszeństwa, więc to musiało wystarczyć. Dobiegł do chodnika i skręcił w lewo, biegnąc po nierównej powierzchni spękanej od przerastających korzeni i śliskiej od deszczu.

Biegł ze wszystkich sił. Podniósł wzrok tuż przed wbiegnięciem prosto na mężczyznę. *Olbrzymia.*

Tad zamarł, nieruchomiejąc. Mężczyzna był tak wielki, że chłopiec w jednej chwili zapomniał o swoim domu, mamie, tacie, siostrze, a nawet małym Samie.

Tamten stał, oświetlony przez uliczną latarnię rzucającą stożek mgły, światła i strug niesionego wiatrem deszczu. Olbrzym patrzył na niego z góry jasnoniebieskimi oczami. Miał na sobie jeansy i mokry, szary T-shirt z krótkimi rękawami, który oklejał jego olbrzymie mięśnie niczym strój superbohatera. Jego głowę i twarz niczym maska oblepiały długie blond włosy. Na lewym przedramieniu miał dużą bliznę wielkości piłki do baseballu.

- Czy ty... - odezwał się wielkolud, nie kończąc wypowiedzi. Na chwilę zmrużył oczy, po czym je otworzył, jakby właśnie przypomniał sobie coś bardzo fajnego. - Czy ty jesteś Tad?

Tad przytaknął.

- Czy coś cię *swędzi*, Tad?

Gwałtowne zaprzeczenie. Mężczyzna obrócił prawe ucho do Tada i przechylił nieco głowę, jakby chciał usłyszeć coś mówionego bardzo cicho przez chłopca.

- Jesteś *pewien*? - zapytał. - To bardzo ważne. Jesteś absolutnie, *całkowicie* pewien, że nic cię nie *swędzi*? Nawet troszeczkę?

Tad zastanowił się nad odpowiedzią, po czym ponownie kiwnął głową.

Olbrzym przyklęknął na jedno kolano. Nawet w tej pozycji musiał się schylić, by spojrzeć Tadowi w oczy. Wielkolud powoli wyciągnął olbrzymią rękę, delikatnie kładąc dłoń na głowie chłopca. Grube palce ujęły lewą skroń i policzek chłopca, podczas gdy kciuk wielkości całej pięści Tada zatrzymał się na prawym policzku.

Tad stał bardzo, bardzo nieruchomo.

Mężczyzna obrócił głowę chłopca najpierw w lewo, potem w prawo.

- Co się stało z twoim okiem, Tad?

Chłopiec nie odpowiedział.

- Nie wkurzaj mnie, Tad - warknął wielkolud. - Co się stało z twoim okiem?

- Tatuś mnie uderzył.

Mężczyzna znowu zmrużył oczy.

- Tatuś cię uderzył?

Tad przytaknął. A raczej próbował, bo nie mógł ruszyć głową.

Olbrzym wstał. Dziecko ledwie sięgało mu do pasa.

Mężczyzna puścił głowę Tada i wskazał ręką w stronę, z której chłopiec przyszedł.

- To twój dom?

Tad nie musiał się oglądać. Kiwnął głową.

- Jak wyszedłeś?

- Wyskoczyłem przez okno z tyłu.

- Biegnij dalej, Tad - powiedział mężczyzna. Sięgnął do tyłu i wyciągnął długi, zagięty na jednym końcu kawał czarnego metalu. Łyżka do opon.

Chłopiec widział coś takiego podczas rodzinnej podróży do Cedar Pint zeszłego lata, gdy tata musiał wymienić oponę.

Mężczyzna ruszył chodnikiem, kierując się w stronę domu Tada.

Chłopiec przyglądał mu się przez kilka chwil, ale potem przypomniał sobie, że ucieka i na dodatek, przed czym ucieka. Pobiegł dalej chodnikiem, ale dotarł zaledwie do przecznicy, gdy znowu się zatrzymał.

Skąd mógł wiedzieć, że podczas ucieczki spotka tyle dziwnych rzeczy? Najpierw ten olbrzymi superbohater, a teraz wypadek drogowy. Wyglądało na to, że czołowo zderzył się śliczny, czerwono-biały mustang i mały biały hatchback. Mustang miał otwarty bagażnik, otwarte były też drzwi małego białego auta. Światło w kabinie samochodu oświetlało leżącego nieruchomo mężczyznę z nogą obok pedału gazu i plecami na mokrym chodniku.

Twarz miał całą zalaną krwią.

I trzymał pistolet.

Na miejscu pasażera siedział drugi mężczyzna, też nieruchomo, przechylony do przodu, z twarzą na skłęsłej poduszce powietrznej.

Przez niesiony silnym wiatrem deszcz Tad usłyszał cichy głos.

- Zgłoś się! Claude, do diaska, co się tam dzieje?

Tad wiedział, że powinien biec dalej, ale co będzie, jeśli rodzice zaczną go gonić? Może powinien zabrać ten pistolet.

Podszedł do mężczyzny leżącego na chodniku. Deszcz zmywał krew z jego twarzy na czarny w tym świetle beton. Chłopiec sięgnął po broń.

- Baum! Gdzie jesteś?

Głos dobiegał z małego kawałka białego plastiku leżącego obok głowy mężczyzny. To była jedna z tych słuchawek, taka jakich używali we *Franku Anvilu*, jego ulubionym serialu telewizyjnym. Może ten pan był glina, jak Frank.

Gliniarze mogli go zabrać i ochronić przed mamą i tatą.

Tad przez chwilę patrzył na słuchawkę, a potem ją podniósł.

- Halo?

- Baum? To ty?

- Nie - odpowiedział chłopiec. - Jestem Tad.

Chwila ciszy.

- Nazywam się Dew Phillips, Tad. Czy wiesz, gdzie jest pan Baumgartner?

- Eee... nie - odpowiedział Tad. - Zaraz, czy pan Baumgartner ma duże czarne wąsy?

- Tak! To on, jest tam?

- Och. To on tu leży na ziemi i bardzo krwawi.

- *Szlag* - warknął pan Phillips. - Ile masz lat, Tad?

- Siedem. Czy pan jest z policji?

Chwila ciszy.

- Tak, jasne, jestem policjantem.

Tad odetchnął głęboko. *Policja*, czyli był prawie bezpieczny.

- Tad, czy jest tam gdzieś drugi pan, nazywa się Milner?

- Nie wiem - odpowiedział chłopiec. - Czy pan Milner jest taki bardzo, *bardzo* duży?

- Nie - zaprzeczył pan Phillips. - To ktoś inny.

- Och. Pan Milner może być tym niskim panem na siedzeniu pasażera, ale wygląda jakby zginął. Może pan kogoś po mnie przysłać? Nie wracam do domu.

Pan Phillips znowu się odezwał, tym razem spokojnie, mówiąc powoli.

- Natychmiast kogoś po ciebie wyślemy. Słuchaj uważnie Tad, ten duży pan o którym mówiłeś... Czy jest tam teraz z tobą?

- Nie, poszedł sobie, chyba do mojego domu.

- Do twojego domu?

- Tak, proszę pana. Mieszkam przy tej ulicy.

- Dobrze, to trzymaj tę słuchawkę, użyjemy jej, żeby cię znaleźć. Podaj mi swój adres, a potem biegnij w *przeciwną* stronę do kierunku, w którym poszedł ten duży pan. I to szybko.

## Pokój dowodzenia

Drzwi windy otworzyły się na dolnym poziomie zachodniego skrzydła. Ze środka wyszli Tom Maskill i Murray Longworth. W ciągu ostatnich trzydziestu lat Murray wielokrotnie odwiedzał Biały Dom, ale żadna z tych wizyt nie była tak ważna i podczas żadnej nie miał widowni tego kalibru: Kolegium Szefów Sztabów, sekretarz obrony, szefowa gabinetu i oczywiście sam prezydent.

Tak właściwie pod Białym Domem znajdowały się dwa pokoje dowodzenia. Pierwszy mieścił około trzydziestu osób i występował w licznych serialach telewizyjnych, filmach i wiadomościach.

Przeszli obok niego.

Tom poprowadził go przez mahoniowe drzwi do mniejszego pokoju dowodzenia. Podobnie jak jego bardziej znany odpowiednik, pokój wyłożono mahoniową boazerią i ekranami zajmującymi prawie całą ścianę. Jednak to pomieszczenie było znacznie dyskretniejsze. Na środku stał długi mahoniowy stół z sześcioma fotelami po każdej ze stron. Bardzo niewiele osób wiedziało o istnieniu tego pomieszczenia, ponieważ stworzono je głównie z myślą o sytuacjach nieprzeznaczonych do wiadomości opinii publicznej.

Miejsca po lewej stronie stołu zajęli wojskowi (oczywiście po lewej stronie prezydenta). Zaraz obok prezydenta siedział Donald Martin, sekretarz obrony, potem generał Hamilton Barnes, Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, generał wojsk lądowych Peter Franco, generał lotnictwa Luis Monroe, admirał Nathan Begeley, szef floty i ścięty na jeża, pewny siebie generał Monty Cooper z Korpusu Marines.

Po prawej stronie stołu, tuż obok prezydenta siedziała Vanessa. Potem znajdowało się miejsce dla Toma i Murraya. Krzesła pod ścianami były puste. Normalnie zajmowali je pomniejsi rangą urzędnicy i asystenci, jednak dzisiaj wszyscy radzili sobie sami. Nie mogli sobie pozwolić na przeciek. Może Gutierrez nadal chciał ujawnić wszystko społeczeństwu, ale przynajmniej rozumiał, że do czasu nadejścia odpowiedniej chwili nie mogli sobie pozwolić na żadną zbędną parę oczu lub uszu.

- Panie prezydencie - zagał Murray. - Atak powinien rozpocząć się za czterdzieści pięć minut. Jeśli pan pozwoli, chciałbym wykorzystać ten czas na przedstawienie nowych wydarzeń.

Gutierrez westchnął i przygarbił się lekko w fotelu. Murray nie dziwił się jego frustracji - biorąc pod uwagę sytuację w Iranie, narastającą wrogość między Indiami i Pakistanem, komplikacje w Palestynie, Rosjan potrząsających szabelką w sprawie arktycznej ropy i oczywiście projekt Tangram, musiało to być osiem najdłuższych pierwszych dni prezydentury w historii.

Gutierrez przez chwilę siedział zgarbiony, po czym znowu się wyprostował i obciągnął marynarkę. Wyglądało to na próbę uzyskania wyglądu bardziej przystającego głowie państwa. Kiwnął głową Murrayowi.

- Wykryliśmy kolejną możliwą lokalizację gospodarza - poinformował Murray. - W pobliżu Glidden, w Wisconsin.

- Czy to gdzieś w okolicach Bloomingville, gdzie będzie atakował Ogden? - zapytał Gutierrez.

- Południowego Bloomingville - skorygował Murray. - I nie, to ponad tysiąc sto kilometrów stamtąd. Glidden znajduje się w pobliżu Górnego Półwyspu Michigan.

- Czy jest tam gdzieś kolejna konstrukcja? - zapytała Vanessa.

- Tego jeszcze nie wiemy. Dew Phillips jest w Glidden, próbując znaleźć gospodarzy pasożytów, którzy mogliby zidentyfikować lokalizację konstrukcji. Używa Perry'ego Dawseya do wyśledzenia gospodarzy.

- Dawseya? - zdziwiła się Vanessa.

- Jest pod kontrolą - zapewnił Murray.

- Pod kontrolą - lodowatym tonem powtórzyła Vanessa. - Zebrałam trochę informacji. Dawsey zabił Billa Millera, potem Kevina Mesta, czyli osobę, która podała mu lokalizację Mather, a potem chyba zapomniał nam pan powiedzieć, że spalił na śmierć trzy staruszki, aby poznać lokalizację w Południowym Bloomingville.

Murray zamrugał. Jak zdołała się o tym dowiedzieć?

- To było działanie w samoobronie - zapewnił.

Vanessa uniosła brwi.

- Przed trzema kobietami powyżej osiemdziesiątki? Samoobrona?

Prezydent zmrużył oczy.

- Czy to prawda, Murray?

Zachowała to sobie, żeby zaatakować go w obecności prezydenta.

- Tak, panie prezydencie, ale nie żartuję, mówiąc o samoobronie. Te staruszki były zakażone i próbowały zabić Dawseya koktajlami Mołotowa. On po prostu zdołał złapać butelkę i ją odrzucić.

- To pięć zabójstw - zauważyła Vanessa. - Powiedz nam, Murray, czemu wciąż go wykorzystujesz?

- Tak naprawdę nie mamy wyboru. Jak już wyjaśniałem, dowiadujemy się o tych bramach tylko dlatego, że Dawsey potrafi znaleźć gospodarzy.

- Rozumiem - zgodziła się Vanessa głosem pełnym pogardy. - Pański pies gończy złapał ślad. Ale teraz należy wysłać zawodowych żołnierzy, a nie Phillipsa i jego łańcuchowego świra.

Donald odchrząknął.

- Ludzie Ogdena są już na stanowiskach, Vanessa. Nie sądzę, żeby Murray miał jakiś wybór.

Posłała Donaldowi bardzo wymowne spojrzenie.

- Ogden ma w DOMREC 480 ludzi - zauważyła. - Cztery kompanie po 120 żołnierzy. Atakuje z kompanią X-Ray i trzyma w rezerwie kompanię Whiskey, prawda?

Donald kiwnął głową.

- W związku z tym kompanie Yankee i Zulu siedzą beczynn timer w Fortie Bragg - podsumowała Vanessa. - Czemu więc, u diabła, nie używamy ich zamiast Dawseya i Phillipsa?

- Musimy zachować ostrożność - wyjaśnił Murray. - To miasto, a nie środek lasu. Jeśli zrzucimy dwie kompanie na główną ulicę amerykańskiego miasta, może to ściągnąć na nich niepotrzebną uwagę.

- W przeciwieństwie do szalejącego psychopaty?

- Dość tego - wkroczył Gutierrez. - Murray, jestem pewien, że podjąłeś kroki mające umożliwić kontrolowanie Dawseya, tak?

- Tak, panie prezydencie - potwierdził Murray. - Dawseya przez cały czas śledzi dwóch doświadczonych agentów. Gdy tylko znajdzie gospodarzy, ci ludzie wkroczą do akcji, unieruchamiając Dawseya jeśli będzie to konieczne, i zabezpieczą gospodarzy.

Generał Cooper zapukał w stół.

- Wszystko świetnie, ale mamy tu atak do obserwacji - odezwał się głosem tak szorstkim, że zabrzmiał niemal jak karykatura tego, jak *powinien* mówić generał Marines. - Nie chciałbym się odzywać niepytany, panie prezydencie, ale wolelibyśmy przedstawić panu pewne informacje, żeby wiedział pan na co patrzy, gdy już zacznie się atak.

Gutierrez kiwnął głową.

- Dziękuję, generale Cooper. Zanim skupimy się na ataku Ogdena, chcę jasno postawić jedną sprawę, Murray. Wiemy, że to sytuacja kryzysowa i Amerykanie mogą ucierpieć, ale nie pomoże nam, jeśli będą cierpieć z rąk ludzi, którzy powinni rozwiązywać ten problem. Zrozumiano?

- Tak jest, sir - potwierdził Murray. - Rozumiem.

Murray doskonale rozumiał, że musi kontrolować Dawseya i miał głęboką nadzieję, że rozumiał to też Dew Phillips. Vanessa Colburn nie zamierzała odpuścić. Wyraźnie chciała się pozbyć Murraya. I choć bardzo nie lubił tej kobiety, co do jednego miała rację...

Ten chłopak *był* cholernym świrem.



## Nie wolno bić dzieci

Dew Phillips przejechał na czerwonym świetle skrzyżowanie ulic Grant i Broadway. Ustawił nawet na dachu swojego lincolna koguta, którego światło odbijało się w strugach padającego deszczu. Pieprzyć tajność. Stracił dwóch ludzi. Ten skurwiel znowu ruszył na gospodarzy.

Dew zastanawiał się, czy któryś z zakazanych przeżyje do czasu przybycia Margaret.



Thadeus McMillian Senior siedział przy kuchennym stole huśtając na kolanie pięcioletniego syna Stephen. Stephen miał na sobie ulubiony, żółty dół od pizamy i mały T-shirt z godłem Milwaukee Bucks. Wyglądał tak uroczo. Stephen był dobrym dzieckiem. Tad Junior? Nie. Sara? Zdecydowanie nie.

Thadeus odsunął od siebie te myśli. Nie chciał myśleć o córce.

Na stole stał tuzin pustych butelek po piwie, tworząc mokre plamy na rozłożonej pod nimi mapie. Na podłodze leżały kolejne butelki po piwie, razem z na wpół opróżnioną małą butelką ginu. On nie tykał takich rzeczy, ale jego żona Jenny ciągnęła na potęgę.

Pieprzona alkoholiczka.

Do czasu, gdy Tad Junior zaczął się buntować, wypijała trzy martini dziennie. Od tamtej pory odpuściła sobie kieliszki i zaczęła łać gin prosto do ulubionego kubka z Hello Kitty. Za każdym razem gdy piła, miał wrażenie, że ta głupia kotka na niego patrzy.

Jenny wkuśtykała do kuchni podpierając się na kuli. Nie mogła opierać się na nodze, co było zrozumiałe, jeśli się zobaczyło to coś (a Thad nie chciał nigdy więcej tego oglądać). Chodzenie utrudniał fakt, że Jenny upierała się, by cały czas mieć przy sobie Ginowego Kotka.

Zatrzymała się tuż za drzwiami między kuchnią a schodami prowadzącymi do pokoióv dzieci.

Popatrzyła na niego, a wraz z nią ten pieprzony kot.

- Co zrobimy z tym twoim chłopakiem? - zapytała.

Thadeus wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Ma zły wpływ na Stephen i Sammy'ego - oznajmiła. - Nie wiem, czemu mu na to wszystko pozwalasz.

- Przecież go uziemiłem - Thad spróbował się bronić. - Co jeszcze możemy zrobić?

- Możesz go ukarać - oświadczyła. Thadeus zawstydzony opuścił wzrok. Już ukarał chłopaka... Może nawet za mocno. Uderzył własnego syna. Prosto w twarz. Nie otwartą dłonią, a pięścią. Jak mógł zrobić coś takiego swojemu własnemu dziecku? A jednak chłopak zdecydowanie sobie na to zasłużył. Coś trzeba było zrobić.

- Thadeus - odezwała się Jenny. - Dobrze wiesz, że musimy jechać. Oni już prawie skończyli, a my jeszcze nie wyruszyliśmy. Nie możemy zabrać Tada Juniora i nie możemy też go tu zostawić.

Powoli kiwnął głową. Może Jenny miała rację. Mógł liczyć na jej rozsądne rady już od czternastu lat, od czasu pierwszej randki. Nie był pewien, może ona zrozumiała coś oczywistego, co mu umknęło. A może troszczyła się o niego dostatecznie, by zapewnić szorstką miłość.

Zwiesił głowę patrząc niewidzącym wzrokiem na tył głowy małego Stephena. Junior zawsze był jego ulubionym dzieckiem. Wiedział, że nie powinno się faworyzować dzieci, a jednak nie mógł zmienić faktu, że Junior wzbudzał w jego sercu trochę większy ogień niż pozostali. Może dlatego był taki pobłażliwy.

- No dobrze, Jenny - zgodził się w końcu. - Ściągnij go tutaj.

Jenny odchyliła się do tyłu tak, że mogła krzyknąć w górę schodów prowadzących na piętro.

- Junior! Chodź do kuchni! Ojciec i ja chcemy z tobą porozmawiać.

Wyprostowała się z powrotem, ciężko opierając się na kuli. Usłyszeli, jak otwierają się drzwi pokoju Tada. Od zawsze skrzypiały. Thadeus obiecywał sobie, że je naoliwi, ale jakoś nigdy nie umiał się za to zabrać.

- Musisz być stanowczy - bezbarwnym głosem oświadczyła Jenny. - Nie możesz się zawahać. Musisz być silny, jak przy Sarze.

Sara. Nie chciał o niej myśleć.

Tad zaczął głośno schodzić po schodach.

Jak to możliwe, żeby taki mały chłopiec miał tak ciężkie kroki?

Thadeus zobaczył, jak Jenny znowu odchyliła się na korytarz.

Nagle przed oczyma mignęła mu opadająca olbrzymia ręka i usłyszał świst jaki wydaje kij do golfa tuż przed uderzeniem piłeczki.

Potem tępy, mokry stuk, jak dźwięk arbuza spadającego na podłogę.

Głowa Jenny gwałtownie opadła, a potem uniosła się z powrotem, ale tylko do połowy. Czubek jej głowy zadygotał jak potrząsana galaretka. Zrobiła jeden niepewny krok i padła na ziemię, upuszczając Ginowego Kotka, który wylądował na podłodze z ceramicznym brzękiem, rozlewając na linoleum alkohol, którego starczyłoby na cztery kieliszki.

Thadeus wstał, mocniej ściskając małego Stephena. Zaczął obchodzić stół kierując się do kuchennego blatu by chwycić nóż, patelnię, *cokolwiek*, gdy zza drzwi wyłonił się olbrzym.

Thadeus McMillian Senior zamarł.

- Kurwa mać - wyszeptał.

W drzwiach jego kuchni stał olbrzymi mokry koszmar z blond włosami. Thadeus kiedyś już widział kogoś tak wielkiego. Prawie tak wielkiego. Kiedyś w barze spotkał obrońcę Detroit Lions, Dusty Smitha. Dusty miał 193 centymetry wzrostu i ważył sto trzydzieści pięć kilogramów. Wyglądał bardziej jak lodówka niż normalny człowiek.

Jednak ten facet był większy od Dusty'ego Smitha.

Poza tym Dusty Smith nie trzymał wtedy łyżki do opon.

Ten olbrzym w jednej ręce trzymał kawał metalu, którym właśnie zabił Jenny, a w drugiej najmłodszego syna Thadeusa, Sama. Nie niósł go tak jak normalnie nosi się dzieci, w zgięciu ramienia, trzymał niemowlę tak samo, jak podnosi się porzuconą na

podłódze lalkę, obejmując kciukiem i palcem wskazującym drobną szyjkę dziecka, a trzema pozostałymi palcami podtrzymując osłonięte piżamą ciało.

Sammy miał zamknięte oczy.

**O NIE, TO ON!**

Głosy w głowie Thada. Były cicho prawie przez cały wieczór.

**TO SKURWYSYN!**

- Przyszedłem wam pomóc - odezwał się Skurwysyn.

Mały Stephen podniósł rączkę i wskazał nią mężczyźnie. Odezwał się swoim głosem malucha.

- Ta...tuś - pisnął. - Zabij Skurwysyna.

Stephen nagle się poruszył i zamachał nogami. Thad go upuścił. Chłopiec upadł niezgrabnie, ale podniósł się na nogi. Gdy wstawał, jego koszulka z Milwaukee Bucks podwinęła się do góry, odsłaniając jasnoniebieski trójkąt na skórze u podstawy pleców. Chłopczyk wyemitował wściekły krzyk bojowy, brzmiący niemal komicznie w wykonaniu tak cienkiego głosiku, a potem zaszarżował na olbrzyma.

Skurwysyn zrobił krok do przodu i kopnął, wyprowadzając nogę z biodra. Gdy jego stopa trafiła w malucha, Stephen wydał z siebie cichy, trzeszczący dźwięk, na wpół kasznięcie, na wpół pisk. Jego drobne ciało poleciało przez kuchnię jak wystrzelone z armaty, po czym prawym bokiem uderzyło w krawędź kuchennego stołu, wydając obrzydliwy trzask. Siła uderzenia przechyliła stół, zrzucając na linoleum butelki po piwie, zanim mebel odzyskał równowagę. Wciąż zgięte pod dziwnym kątem ciało Stephena spadło na podłogę.

Drobne palce chłopczyka drgały jeszcze przez chwilę, ale poza tym się nie ruszał.

Thadeus dotarł do blatu, szarpnięciem otworzył szufladę i wyciągnął z niej rzeźnicki nóż.

**TAAAK, ZABIJ GO, ZABIJ!!!**

Obrócił się w stronę mężczyzny mordującego jego rodzinę, jednak robiąc to zobaczył błysk wirującego metalu, a potem jego głowę wypełniła nagła czerń i ból. Upadł na podłogę, mrugając i tracąc kontrolę nad przemykającymi myślami. Spróbował splunąć. Z jego ust wysunął się kawałek zęba, zwisając na prawym policzku, przyklejony do niego krwią i śliną.

**WSTAWAJ, WSTAWAJ!**

Poczuł dłoń na karku i został dźwignięty.

Jego stopy zawisły w powietrzu.

**ZABIJ GO, ZABIJ GO!**

Brakowało mu powietrza.

Thadeus otworzył oczy. Twarz potwora znajdowała się ledwie o kilka centymetrów od niego. Dwudniowy, rudawy zarost. Wykrzywione usta. Thadeus popatrzył w szerokie, przepelnione furją błękitne oczy.

- Nie powinieneś bić swoich dzieci - warknął mężczyzna.

Thadeus usłyszał zbliżający się sygnał syreny, ale było już za późno. Ręka zaciśnięta na jego szyi mogłaby równie dobrze być z żelaza. Zaciskała się, powoli lecz nieubłaganie.

- Wszystko w porządku - spokojnie oświadczył mężczyzna. Uśmiechnął się. - Przyszedłem, żeby wam pomóc.

**ODDYCHAJ!** - zabrzmiał głos w jego głowie, ten sam, który kazał mu zabić własną córkę. - **WALCZ! MUSISZ ODDYCHAĆ!**

Thadeus poczuł, jak puszcza mu pęcherz, potem ciepło moczu wypełniającego majtki i spodnie, poczuł jak zdradza go także zwieracz. Nawet umierając poczuł przebłysk wstydu.

Chciałby móc powiedzieć jedną rzecz. Chciałby móc powiedzieć głosom w głowie, żeby się wypchały i spadały na drzewo, ale nie potrafił wydawać z siebie żadnych dźwięków poza cichym charczeniem.

## MargoMobil™

Margaret Montoya, Clarence Otto i Amos Braun siedzieli na wygodnych fotelach zmodyfikowanej kabiny sypialnej ciągnika siodłowego. Potężny osiemnastokółowiec sunął autostradą numer 13, prowadząc za sobą drugi, z pozoru identyczny zestaw. Prowadzone przez ciągniki przyczepy, zaprojektowane do wspólnej pracy, były warte około 25 milionów dolarów i zyskały zbiorczą nazwę „Margo Mobil”.

Cała trójka siedziała od największego do najmniejszego, stanowiąc przekrój kultur – czekoladowa skóra i wysokie, muskularne ciało Clarence’a po lewej, latynoska, czarnowłosa Margaret pośrodku i drobny, modelowo biały Amos z prawej. Mężczyźni stanowili połowę zespołu Margaret. Druga połowa prowadziła ciężarówkę. Ta kierowana była przez Anthony’ego Gitshama, druga przez Marcusa Thompsona. Paranoiczne pragnienie ograniczania do absolutnego minimum liczby *osób, które wiedzą*, jakim kierował się Murray sprawiło, że Gitsh i Marcus dostali to zadanie na podstawie ich dość unikalnych umiejętności.

Obaj mieli na koncie przynajmniej po sto godzin prowadzenia wielkich ciężarówek, przeszkolenie pielęgniarzkie, doświadczenie bojowe oraz – co ważne – praktyczne doświadczenie z procedurami i sprzętem do ochrony biologicznej. Gitsh prowadził sprzęt wojskowy na Bliskim Wschodzie i kilka razy brał udział w starciach z bronią ręczną, ale zdecydowanie nie był Clintem Eastwoodem. Clint nie był tak blady, taki chudy i nie miał afro, dzięki któremu wyglądał jakby był ochotnikiem do Czarnych Panter z 1974 roku. W przeciwieństwie do Anthony’ego Marcus miał niemal czarną skórę, ogoloną głowę i dość mięśni za ich obu. Podobno miał również znacznie więcej doświadczenia bojowego, ale nie mówił o tym, a nikt nie pytał. Z tego co Margaret udało się dowiedzieć, przydział do prowadzenia ciężarówki i dźwigania rozkładających się trupów, które mogły (choć nie musiały) stanowić zagrożenie zakażenia śmiertelną chorobą, był dla Marcusa jak wakacje. Może to dlatego niemal cały czas pogwizdywał.

Cały jej zespół był już ubrany w czarne kombinezony ochronne, całkowicie osłaniające ich w szczelnej warstwie materiału na bazie PCW, poza odsłoniętymi głowami i dłońmi. Była już tak przyzwyczajona do kombinezonu, że prawie go nie zauważała. Jakaś drobna, niekontrolowana część gdzieś w głębi niej cieszyła się, że kombinezon maskował dodatkowe kilogramy na jej biodrach.

Gdy przyjdzie czas wkroczyć do akcji, wszyscy założą przypięte teraz do pasów rękawice oraz hełmy spoczywające na podłodze, uszczelnią kombinezony i będą gotowi stawić czoło najnowszym horrorom w niekończącej się paradzie grozy.

Horrorom, które zawsze zdawały się towarzyszyć „Straszemu” Perry’emu Dawseyowi.

Margaret nie wiedziała jak ani czemu Perry wciąż potrafił słyszeć trójkąty. Skany tomografii komputerowej wykazały sieć bardzo cienkich linii rozchodzących się przez środek jego mózgu, niczym trójwymiarowa pajęczyna albo rzadka gąbka. Kiedy walczyła o utrzymanie go przy życiu, nie odważyła się na próbę pobrania próbki tego materiału. Wszelkie dodatkowe urazy wyniszczonego ciała mogły się okazać ostatnią

kroplą, która przelałaby czarę goryczy. Od kiedy odzyskał świadomość, Perry nie chciał w ogóle mówić o tym, co mu się przydarzyło, więc nie było dziwne, że nie pozwolił nikomu wierzyć sobie w czaszce.

Zresztą nawet gdyby zdołała pobrać próbkę, prawdopodobnie na nic by im się nie przydała – Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, NSA, czyli grupa zajmująca się wykrywaniem sygnałów i kryptografią na potrzeby rządu, nie wykryła żadnej komunikacji. Na razie nikt nie wiedział, w jaki sposób porozumiewały się trójkaty i pisklaki. W NSA obecnie najbardziej popularna była teoria, że to jakiś rodzaj łączności przez tunelowanie kwantowe, ale było to w najlepszym razie zgadywanie, bez śladu danych na poparcie tej tezy.

Jednak niezależnie od stojących za tym naukowych podstaw, instynktowna zdolność namierzania Perry'ego była jedynym, co pozwalało im się utrzymać w grze. Niestety, gdy odnajdywał zakażonych gospodarzy, zabijał ich. Najpierw Kevina Mesta, który zamordował troje przyjaciół pogrzebaczem. Perry tłumaczył się tu samoobroną i wszyscy mu uwierzyli. Powoływanie się na samoobronę w przypadku spalenia na śmierć trzech osiemdziesięcioletnich staruszek? To było trochę trudniej przełknąć.

Jednak niezależnie od tego co zrobił i jak bardzo paskudnie, odnajdywał konstrukcje. Śmierć Kevina Mesta doprowadziła do zniszczenia przez Ogdena bramy w Mather. Trzy spalone staruszki? Dzięki nim Ogden był właśnie w Południowym Bloomingville, prawdopodobnie również niszcząc budowlę.

Glidden będzie inne. Tak mówił Dew. Perry był cały czas obserwowany przez Baumgartnera i Milnera. Tym razem *zdołają* żywych gospodarzy. Margaret wiedziała, że mogła operować zakażonego i z powodzeniem usunąć pasożyty.

Murray chciał zdobyć żywych gospodarzy z innych powodów, które pobrzmiwały nieco *Paragrafem 22*. Chciał przesłuchać trójkaty. Co było całkiem niezłe w teorii, ale Margaret zamierzała operacyjnie usunąć każde znalezione narośla. Jeśli oznaczało to śmierć trójkatów dla uratowania gospodarza, cóż, Murray miał pecha. Jej zadaniem było ratowanie życia, a nie utrzymywanie kogoś przykutego do ściany jako tłumacza dla pasożytów.

Clarence studiował trzymaną na kolanach mapę. Wierzchem dłoni starł pot z czoła, po czym głośno sapnął z irytacją.

– Ten kombinezon jest koszmarny, Margo – odezwał się. – Ściągam go.

– Daj spokój, Clarence – odpowiedziała Margaret. – Nie chcę znów przez to przechodzić.

– Przecież ten strój nie ma żadnego sensu – zaprotestował Clarence. – Dew był przy tuzinie trupów i niczego nie złapał.

– Jeszcze.

– Wyglądasz jak czarny ludzik Michelina – wtrącił się Amos. – Nie pasuje ci to.

– A ty wyglądasz jak niski Wielki Smok Ku-Klux-Klanu, który wrzucił białe ciuchy do prania z czarnymi – odciął się Clarence. Znowu spojrzął na Margaret. – No i co z Dawseym? Składałaś go do kupy, a nie zaczęły na tobie rosnać żadne trójkaty. Cholernie pocę się w tym kombinezonie, a pot *zdecydowanie* mi nie poprawia wyglądu.

Margaret miała na ten temat nieco inne zdanie. Widziała agenta CIA Clarence'a Otto całego spoconego, widziała go z bardzo bliska, sama również spocona, i nie potrafiła sobie wyobrazić, by mógł wyglądać jeszcze lepiej.

Amos wybuchnął śmiechem.

- Próbujesz mi podsunąć kawalek o poceniu się? Nie zniżę się do tego. Daj spokój, Otto, musisz się trochę bardziej postarać, żeby trudniej było się nabijać z was dwojga parzących się przy każdej okazji, gdy wydaje się wam, że nikt nie patrzy.

- Ten kombinezon chroni przed zarazkami - przyznał Clarence. - Ale obawiam się, że nie oferuje żadnej ochrony przed z biciem na kwaśne jabłko.

Amos znów się roześmiał i wyciągnął ręce dłońmi do góry, poddając się przyjacielowi.

Clarence wypowiadał się bardzo szorstko, włącznie z groźnym tonem głosu, ale przez ostatnie trzy miesiące bardzo się z Amosem zaprzyjaźnili. Trudno było nie lubić Clarence'a Otto. Błyskotliwy, pomocny, traktujący ludzi z szacunkiem i mający sporo zdrowego rozsądku, często umieszczał odkrycia naukowe Margaret i Amosa we właściwym świetle z perspektywy strategii. Jeśli chodzi o Amosa, jego interdyscyplinarna wiedza i błyskotliwość pomogły zespołowi utrzymać się o krok przed infekcją. Może raczej pół kroku, ale przynajmniej wciąż byli do przodu.

Gdzieś podczas ostatnich trzech miesięcy obaj mężczyźni przyznali się do uwielbienia koszykówki. Otto, były rozgrywający Dywizji III i wieczny fan Boston Celtics odkrył, że krótki, drobny Amos Braun jest niesamowicie skoczny. No, może była w tym odrobina przesady: w jego wypadku „skok” oznaczał oderwanie się od ziemi *może* na pięć centymetrów przy rzucie. Amos nie potrafiłby zagrać jeden na jednego, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Z drugiej strony w pokera ogrywał Otto sześć razy na dziesięć. Amos także całe życie kibicował koszykówce, choć wolał Detroit Pistons, co otwierało pole do niekończących się dyskusji i sporów, gdy na stole do autopsji nie było żadnych trupów do zbadania.

- Clarence - oświadczyła Margaret. - Fakt, że nikt *jeszcze* nie został zakażony przez kontakt nie oznacza, że choroba nie jest zakaźna. W grę mogą też wchodzić toksyny, z którymi *jeszcze* się nie zetknęliśmy, albo coś innego, co może ci zaszkodzić. Kombinezon cię ochroni, więc zostaje.

Otto westchnął.

- Tak jest, sir.

- Ona jest taka przez ciebie - zauważył Amos. - Pamiętam, gdy Margaret była popychadłem. To ty wepchnąłeś ją do ekspresu Glorii Steinem, z tymi wszystkimi bzdurami o emancypacji kobiet i całą resztą.

- Wiem, wiem - przyznał Otto. - Teraz żałuję, że nie milczałem. Trzeba ją było trzymać boso przykutą do zlewu.

- Nie zapomnij o ciąży - dorzucił Amos. - Chociaż nad tym akurat pracujesz.

Margaret poczuła, że się czerwieni.

- Amos! Przestań!

- Amos, mój drobny biały przyjacielu - odezwał się Otto - po prostu zazdrościsz, że cała akcja przypada twojemu eleganckiemu koledze.

- Eleganckiemu do czasu, aż założy ten kombinezon i zacznie się pocić - odciął się Amos. - Wtedy wyglądasz jak przeżuta czekoladka.

Margaret westchnęła. Ich przepychanki nie miały końca. Nie rozumiała mężczyzn.

Otto uśmiechnął się i kiwnął głową, co oznaczało, że ma gotową świetną ripostę, ale zanim się odezwał, zabrzączał jego telefon komórkowy. Dzwonić mogła tylko jedna osoba. Clarence odebrał.

- Otto przy telefonie. - Wsłuchał się w słowa rozmówcy. Z jego twarzy zniknął uśmiech, zastąpiony profesjonalną powagą. Przycisnął sobie telefon do ucha ramieniem, po czym popatrzył na mapę.

- Będziemy tam za trzy minuty. - Rozłączył się.

- Co się dzieje? - zapytała Margaret.

- Chłopcy pilnujący Dawseya zostali wyeliminowani - wyjaśnił Otto. - Znalazł ich jakiś dzieciak imieniem Tad i powiedział, że Dawsey idzie do ich domu.

Otto nachylił się, żeby udzielić instrukcji Gitshowi.

Margaret zakłęła pod nosem. Jeśli Perry pierwszy dotrze do gospodarzy...



## Mniej śmiercionośna

W cichym do tej pory lesie rozbrzmiał terkot strzałów karabinowych rozpoczynającego natarcie trzeciego plutonu, rozświetlając mroczny las błyskami ognia z luf. Pierwszy pluton odczekał dokładnie trzy minuty, po czym ruszył na północ, prosto na konstrukcję. Drugi pluton popędził na wschód skręcając na północ, gotowy do uderzenia na obcych z flanki, gdyby zdecydowali się uciekać na wschód przed ogniem trzeciego plutonu.

Czwarty pluton pozostał na pozycjach. Jeśli obcy uciekną na północny zachód, wpadną wprost na nich, a jeśli na północ, czwarty będzie miał możliwość ostrzeliwania ich flanki.

Od północnego wschodu na niskim pułapie krążyły drony Predator, gotowe odpalić rakiety Hellfire, które zagoniłyby pisklaki z powrotem do walki lub po prostu by je pozabijały.

Obcy nie mieli gdzie uciekać.

Ogden wpatrywał się w lornetkę noktowizyjną, gotowy w każdej chwili zmodyfikować strategię, gdyby pojawiło się coś nieoczekiwanego.

Jednak nic takiego nie nastąpiło.

- Kapralu Cope, status wsparcia powietrznego?

- Apacze, predatory i F15 wciąż w gotowości, sir - odpowiedział Cope. - W każdej chwili mogą wkroczyć.

- Bardzo dobrze. Ogden patrzył przez lornetkę jak pierwszy pluton atakuje, metodycznie przemieszczając się wzajemnie osłaniającymi się drużynami, co umożliwiało stałe postępy przy nieprzerwanym ostrzeliwaniu pozycji przeciwnika. Gdy pierwszy pluton się zbliżył, trzeci pluton wstrzymał ogień, by uniknąć ofiar własnego ostrzału.

Dwóch żołnierzy w każdej dziewięciosobowej drużynie niosło mniej śmiercionośną broń. Podobnie jak wszystkie plutony, pierwszy składał się z trzech drużyn, co znaczyło sześć mniej śmiercionośnych broni w pierwszym ataku piechoty.

Tego rodzaju broń nazywano początkowo bronią *nieśmiercionośną*, jednak w walce nigdy nie było gwarancji zachowania czyjegoś życia. Jeśli zabiło się tylko połowę przeciwników zamiast wszystkich, cóż, nie była to broń *nieśmiercionośna*, prawda?

Nie wiedzieli, co sprawdzi się przeciwko pisklakom, więc mieli ze sobą dwie bronie: karabin klejowy i pociski elektryczne.

Karabin klejowy wystrzeliwał strumienie piany, które w teorii powinny unieruchomić mackowe nogi pisklaków. Broń tę wykorzystano przeciwko ludziom w Somalii z mieszanym powodzeniem - ta „mieszana” część wzięła się stąd, że piana czasami dostawała się do oczu ofiar oślepiając je, lub blokowała ich usta. Kombinacja zablokowanych ust z rękami unieruchomionymi przez tę samą pianę w ciągu kilku minut prowadziła do śmierci, co było niedopuszczalne w przypadku starcia z ludźmi, jednak pisklaki stanowiły inną historię i warto było spróbować.

W porównaniu z karabinami klejowymi pociski elektryczne wydawały się zupełnie zwykłe – kule kalibru 5,56 mm, które po dotarciu do celu uwalniały silne wyładowanie elektryczne. Pocisków jeszcze nie testowano, jednak warto było spróbować, ponieważ jego ludzie nie musieli robić niczego inaczej niż zostali przeszkoleni: wycelować broń i wystrzelić.

Taserów unikali wyłącznie z powodu zbyt małego zasięgu. Jeśli elektryczność w ogóle działała na obcych, Ogden wołał skorzystać z pocisków elektrycznych.

Broń mniej śmiertelnością zabrał zakładając, że pisklaki będą się zachowywać tak samo, jak przy dwóch ostatnich starciach: po rozpoczęciu walki rzucą się na piechotę, wymuszając walkę wręcz. Miał nadzieję, że obcych prowadzących natarcie uda się powalić bronią mniej śmiertelnością, a resztę będzie można wytluc skoncentrowanym ogniem tradycyjnej broni.

Jednak tym razem obcy nie atakowali.

Ogden przyglądał się budowli. Pisklaki poruszały się po całej strukturze i przemykały po ziemi wokół niej, jednak nie ruszyły do natarcia. Padały jeden po drugim w miarę jak pociski przebijały ich przypominającą plastelinę skórę. W noktowizorze fontanny ich fioletowej krwi wyglądały na szare, spryskując ziemię długimi pasmami, zanim pisklaki zwały się w dygoczące sterty. Jeśli któreś z tych pocisków były kulami elektrycznymi, przebijały się przez pisklaki tak jak zwykła amunicja.

Czemu u diaska nie walczyły?

Miał nieprzyjemne wrażenie, że znał powód: kolejna pułapka. Coś nowego. Nie miał wyboru, musiał przeć do przodu z nadzieją, że jego plan ataku był dostatecznie elastyczny, by zareagować, gdy pułapka zostanie aktywowana.

Kapral Cope opuścił słuchawkę i przycisnął ją do piersi.

– Pułkownik, pierwszy i drugi pluton zgłaszają brak oporu. Nic nie próbuje ich atakować. Według ich szacunków siły przeciwnika zostały ograniczone do pięciu, może sześciu stworów.

– Rozkaż natychmiastowe wstrzymanie ognia konwencjonalnej broni – warknął Ogden. – Powoli wchodzi ludzie z bronią nieśmiertelnością. Najpierw karabiny klejowe, ale powiedz im, żeby spróbowali też pocisków elektrycznych i zobaczyli, czy działają. Wszystkie drużyny mają spróbować złapać przynajmniej po jednym żywym. Powiedz dowódcom drużyn: żadnego ognia konwencjonalnego, chyba że wydadzą taki rozkaz.

W miarę jak żołnierze przerywali ostrzał karabinkami M4 i karabinami M249, w lesie przebrzmiewały echa ostatnich strzałów.

Ogden odwrócił się do Mazagattiego.

– Sierżancie majorze, wchodzimy. Chcę to zobaczyć z bliska.

– Sir – odpowiedział podoficer. – Nie wykonywałbym swojej pracy gdybym nie zauważył, że to głupi pomysł, żeby podchodził pan tak blisko. Znowu. Sir.

– Zrozumiałem – odpowiedział Ogden. – Ale czuję, że będę miał szczęście. Znowu. Wykonać.

Mazagatti posłał kilka gestów dłońmi w stronę osobistej drużyny Ogdena. Pułkownik wyciągnął pistolet i ruszył. Kapral Cope szedł o krok za nim, nieco z prawej, trzymając w gotowości radio.

Po przerwaniu ognia z konwencjonalnej broni palnej Ogden usłyszał broń nieśmiercionośną: charakterystyczny syk karabinów piankowych i brzące zwyczajnie wystrzały pocisków elektrycznych. Śladem plutonu dotarł siedemdziesiąt pięć metrów od konstrukcji, zanim rozkazał wszystkim oddziałom się zatrzymać. Pierwszy pluton był już tylko o czterdzieści metrów od celu i szybki bieg doprowadziłby ich w sam środek budowli.

Ogden zobaczył pisklaki przemykające wewnątrz jarzących się łuków. Trójkątne ciała i mackowate nogi wyglądające jak umięśnione czarne pytony. Szczyt najniższego pisklaka sięgałby mu ledwie do kolan, ale najwyższego już do brody.

Lepka piana wydawała się sprawdzać, zmieniając dwóch obcych w słabo ruszające się grudy na błotnistej ziemi, niezdolne do uwolnienia mackowatych kończyn. Doliczył się jeszcze pięciu swobodnie przemieszczających się pisklaków, co dawało łącznie siedmiu żywych obcych. Jednak te, które mogły się ruszać, wcale nie próbowały ich atakować. Czyżby bały się broni? Czy zdawały sobie sprawę, że mniej śmiercionośna broń mogła je odizolować? Jeśli tak, czemu przynajmniej nie próbowały ucieczki? Czemu nie próbowały *czegokolwiek*?

Ogden znowu pomyślał o pułapce: przeciwnik nie zachowywał się racjonalnie ani spójnie z dwoma poprzednimi starciami. Jednak niezależnie od tego, czy była to pułapka, czy też nie, miał swoje rozkazy.

- Kapralu Cope, polećcie pierwszemu plutonowi wejście. Niech schwytają przeciwnika.

Cope zaczął mówić do mikrofonu, przekazując rozkazy.

Patrzył, jak trzydzieści pięć metrów przed nim linia żołnierzy podnosi się i w ciszy maszeruje do przodu. Atak prowadziło trzech ludzi uzbrojonych w karabiny pianowe, osłanianych po bokach przez towarzyszy z M4. Pozostali członkowie każdej z drużyn rozproszyli się wokół prowadzących.

Ogden obserwował. Pisklaki wydawały się wyczuć ostateczny atak. Zebrały się w ciasną grupę wokół podstawy najmniejszego łuku.

Pierwszy pluton zbliżył się na trzydzieści metrów. Potem dwadzieścia. Linia żołnierzy sunęła do przodu przez śnieg, zbliżając się...

Gdzieś u podstawy łuku, pod pisklakami, błysnęła iskra. Co to było? Czyżby się otwierał?

Kolejny błysk, a potem pisklaki zostały oświetlone równomiernym blaskiem. Nowe źródło światła mieściło się tylko u podstawy jednego łuku. Blask migotał i przeskakiwał, aż Ogden rozpoznał jego rzeczywiste źródło: ogień.

Płomienie były błękitne, nie czerwone, ale niewątpliwie był to ogień. Płomienie popęzły w górę konstrukcji, jakby zrobiono ją z drewna, przemykając wzdłuż łuku niemal jak wystrzał z miotacza ognia.

Wszystkie pięć samodzielnie poruszających się pisklaków skoczyło w ogień, zapalając się. Dwa z nich podbiegły do unieruchomionych obcych, zapalając ich, po czym pognały

na kolejne łuki i struktury podobne do kłód. W ciągu paru sekund całą konstrukcję pokryły migotliwe błękitne płomienie.

Żar odepchnął jego żołnierzy, zatrzymując ich marsz niczym ściana.

- Powiedz ludziom, żeby się wycofali i ustawili perymetr w odległości pięćdziesięciu metrów - polecił Ogden. - I niech założą maski gazowe, nie wiemy, jakie świństwa może emitować to coś.

To nie była pułapka. Miał wrażenie, że było to coś znacznie gorszego.

Nie pułapka, tylko... *przynęta*.

## Inspirująca rozmowa

Dew dotarł pod dom Tada zaledwie kilka sekund po dwóch nieoznakowanych szarych furgonetkach. Furgonetki zaparkowały na ulicy, ale on wjechał lincolnem na mokry trawnik. Zanim zatrzymał samochód, z zaparkowanych maszyn wyskoczyli ludzie z bronią i w kombinezonach ochronnych. Nikt nie parkował na podjeździe, potrzebowali go na Margo Mobil.

Dew wysiadł i natychmiast poczuł lodowaty deszcz spadający na łysy czubek głowy. Nie zrobił nawet piętnastu kroków, a już jego marynarka została kompletnie przemoczona. Szedł szybko, ale nie biegł – tym zajęli się dwaj młodszy agenci w pełnych czarnych kombinezonach ochrony biologicznej. Obaj wyposażeni byli w kompaktowe pistolety maszynowe FN P90, podobnie jak ich dwaj towarzysze, którzy zajęli stanowiska na trawniku.

Jeden z młodych agentów silnym kopniakiem rozwalił frontowe drzwi i wszedł do środka z depreczającym mu po piętach partnerem.

Dew powoli policzył do dziesięciu, dając młodym czas na zabezpieczenie domu. Ponieważ nie usłyszał żadnych strzałów, wszedł do środka.

Obaj mężczyźni stali w salonie mieszczącym się między wejściem a kuchnią. Żaden się nie ruszał, swoje P90 wycelowali w olbrzymiego, mokrego człowieka siedzącego przy kuchennym stole, w prawej ręce trzymającego butelkę Budweisera, a w lewej mrugające niemowlę.

Na stole leżała łyżka do opon, lśniąca czerwienią w miejscu zagięcia. Do czarnego metalu przykleił się strzęp skóry z długimi, brązowymi włosami.

W otwartych drzwiach prowadzących do kuchni leżała martwa kobieta. Dew nie miał wątpliwości co do jej stanu, ponieważ głowy żywych nie wyglądały w taki sposób, oczy żyjących nie patrzyły z tak kompletnym brakiem wyrazu i żyjący przeważnie nie leżeli w wielkiej kałuży własnej krwi.

Na ziemi obok stołu leżał trup dziecka, zaledwie o półtora metra od wielkiej stopy Perryego. Dzieciak miał złamane plecy, z kręgosłupem zgiętym w połowie pod kątem 45 stopni.

W powietrzu unosiła się woń sugerująca, że ktoś mógł narobić w gacie.

Dew wyciągnął swojego Colta M1911 i ścisnął rękojeść, kierując lufę przy boku w stronę podłogi.

– Jak się tu dostałeś?

– Przez okno z tyłu. To tylko jakieś trzy metry, a wciąż potrafię skakać całkiem niezłe jak na kogoś, komu przestrelono kolano.

Dew zignorował przytyk.

– Ty zasrańcu. Potrzebowaliśmy tych ludzi.

– Pomogłem im – odpowiedział Perry.

– Chciałbym móc cię po prostu zastrzelić i oszczędzić ci tego nieszczęścia.

– Boże, ależ ja jestem *nieszczęśliwy* – zadrwił Perry. – Ale proszę bardzo. – Pociągnął łyk piwa.

- Zamierzasz zabić to dziecko? - Dew zapytał najspokojniej jak potrafił, jakby prosił o podanie soli przy stole.

- Nie, jest czyste - odpowiedział Perry. Niedbałym ruchem rzucił niemowlę w stronę jednego z agentów. Dew drgnął odruchowo widząc dziecko szybujące w powietrzu. Agent puścił swój automat i niezgrabnie złapał niemowlę, które natychmiast zaczęło płakać.

I to głośno.

Niemowlę nie płakało siedząc w objęciach psychologa, który właśnie zabił całą jego rodzinę, ale rozdarło się natychmiast, gdy trafiło w bezpieczne miejsce. Nigdy nie zrozumie dzieciaków.

- Zabierzcie stąd to dziecko, obaj - Dew polecił agentom. - Weźcie je do furgonetki i zostańcie tam. Przyślę kogoś, żeby je sprawdził. Braun, lekarz, bardzo niski, jak go zobaczycie, będziecie wiedzieć, że to on.

Mężczyźni wyszli, zostawiając Dewa sam na sam z Perrym.

Dew zaczął drzeć z powodu przemoczonej marynarki i koszuli. Pogoda w Wisconsin bardzo przypominała tę w Michigan - obie były do niczego i obie wywoływały ćmienie biodra.

- Jeszcze ktoś? - zapytał.

Perry wskazał w stronę kuchni. Dew ostrożnie podszedł do brzegu salonu, wychylił się nieco i zajrzał za róg.

Kolejny trup: mężczyzna leżący na podłodze przed lodówką. W kroczu jeansów miał dużą mokrą plamę, rozchodzącą się po nogawkach. To on był źródłem woni gówna.

Czyli znowu trójka zabitych gospodarzy. Murray Longworth nie będzie zadowolony, kiedy się o tym dowie. Trzy zabójstwa. Tak po prostu. A teraz Dawsey siedział przy stole, popijając piwo.

Tak łatwo byłoby puścić kulkę w głowę tego świra.

Perry wyciągnął drugie piwo z sześciopaka i przechylił je w stronę Dewa. „Chcesz?” mówił gest.

- Pij, póki jeszcze możesz - odpowiedział agent. - Jeśli Baumgartner i Milner nie żyją, nie przejmę się tym, za jak ważnego uważa cię Murray.

- Czy to te dwa gnojki, które śledziły mnie w tym małym białym samochodzie?

Dew kiwnął głową.

Perry wzruszył ramionami, dopił swoje piwo, a potem otworzył to, które chwilę wcześniej oferował Dewowi.

- Operator, tu Phillips - odezwał się Dew. Mikrofon w jego słuchawce wychwycił słowa i przesłał je do znajdującego się jakieś sześć przecznic dalej wozu dowodzenia.

- Odbiór, Phillips - odpowiedział cienki głos.

- Status Bauma i Milnera? Ktoś ich już znalazł?

- Chwileczkę, sprawdzę.

Dew czekał.

Dawsey pociągnął długi łyk.

- Założę się, że chcesz mnie zastrzelić. Tak całkiem, na śmierć. - Podrzucił w wolnej dłoni złoty kapsel Budweisera.

- Może po prostu chcę ci *pomóc* - cicho odpowiedział Dew.

Perry wyszczerzył się w uśmiechu i kiwnął głową.

- Dobrze.

- Baumgartner i Milner żyją - ponownie odezwał się cienki głosik. - Agent Revel mówi, że są trochę poobijani, ale nic im nie będzie. Karetka w drodze. Ale ich samochód i mustang Dawseya są do kasacji.

Dew włożył swoją czterdziestkę piątkę z powrotem do kabury pod pachą.

Dawsey się uśmiechnął.

- Mówiłem ci, żeby nikt nie próbował mnie śledzić. Mogłem ich zabić, gdybym tylko chciał.

- Co do diabła jest z tobą nie tak, Dawsey? Milion razy mówiliśmy ci, że potrzebujemy żywego gospodarza.

- Nie jestem żołnierzem - odpowiedział Perry. - Możesz sobie wsadzić te twoje rozkazy.

- Potrzebujemy informacji, pojebie. Ci ludzie mieli informacje.

- Mam wszystko, czego ci potrzeba - odpowiedział Perry. Odsunął butelki po piwie, odsłaniając rozłożoną na stole, poplamioną mapę. Razem z butelkami przesunął również strzęp włosów, które odpadły od łyżki do opon, zostawiając za sobą długi krwawy ślad na papierze. Wytarł dłoń o nogawkę.

- Następną bramą jest na północny wschód stąd - oświadczył. - Za granicą z Michigan. Najbliższe miasto nazywa się Marenisco. Tam właśnie się wybierali. Jeśli są tu jeszcze jacyś zakażeni, będą tam jechać, albo już tam są. To tak naprawdę jedyna informacja, jakiej potrzebujesz, a teraz już ją masz, więc do czego ci żywi nieudacznicy?

- Nieudacznicy? Ten, którego złamałeś na pół nie mógł mieć więcej niż pięć lat.

- Jasne - zgodził się Perry. - I wsadziłyby ci w brzuch każdy nóż, który zdołałby unieść. *Czemu* potrzebni ci żywi?

- Ponieważ tak powiedzieli jajogłowi. - Dew zgrzytnął zębami.

Perry kiwnął głową.

- Jasne. Muszą popatrzeć, jak ktoś cierpi. Muszą popatrzeć, jak wariuje. Muszą popatrzeć, jak ktoś przechodzi dokładnie przez to, co ja, prawda?

Dew nie odpowiedział.

- Jesteś na mnie skazany, staruszku - zadrwił Perry. - Tylko ja je słyszę. Tylko ja mogę je *znaleźć*. Mam tylek ze złota.

Dawseya kompletnie nie dało się kontrolować. Dew rozumiał, że chłopak miał powody być popaprany. Na miłość boską, przecież ledwie pięć tygodni temu sam odciął sobie klejnoty. Dew mu współczuł i rozumiał złość, depresję a nawet zespół stresu pourazowego, ale *to?*

Mimo wszystko nie potrafił się przy tym pozbyć myśli, że gdyby traktował zakażonych tak samo jak Perry, jego partner Malcolm Johnson wciąż by żył.

- Musisz z tym skończyć, Perry - odezwał się. - Margaret sądzi, że może uratować tych ludzi. Ale jak ma to zrobić, jeśli tobie ciągle odbija?

- Nie zdoła im pomóc - zapewnił Perry. Opróżnił butelkę za jednym razem i otworzył trzecią. - Wierz mi, dobrze wiem, o czym mówię. Jestem wszystkim, czego ci *ludzie* potrzebują.

Dew przez chwilę wpatrywał się w wielkoluda. Już po raz trzeci, na dodatek po raz drugi w ciągu trzech dni, Dawsey zdołał zlokalizować konstrukcję.

Dew dobrze pamiętał grozę tej pierwszej. Była tak gorąca, że stopiła pobliski śnieg. Przyglądał się, jak się rozświetla, po czym widok tysięcy stworów przechodzących *przez* bramę, niemal wylewających się do lasu, zanim wszystko zostało rozwalone na kawałki przez tuzin rakiet HEAT wystrzelonych z helikopterów Apacz.

- To dwie nowe bramy w całkiem krótkim czasie - zauważył Dew. - Myślisz, że jest ich więcej?

Perry wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Tak naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić. Słyszę... Jakiego to słowa na to używacie w agencji? Słyszę *pogaduszki*. Może być ich więcej, nie wiem. Ale zamiast siedzieć tu z palcami w tyłku pewnie lepiej się zbieraj - mam wrażenie, że to w Marenisco jest już mocno zaawansowane.

Dew wycelował palec w Dawseya.

- *Zostań tu*. Zgłoszę to, a potem zabiorę cię z powrotem do hotelu.

- Dzięki, tatko - odpowiedział Perry. - Och, i niech twoi ludzie zabiorą moją torbę z bagażnika mustanga. A skoro o mustangach mowa, będę potrzebował nowego. Dopilnuj, żeby był GT. Tym razem wolałbym niebieski ze srebrnym pasem, ale wezmę dowolny kolor, jaki znajdziesz. Nie chcę sprawiać problemów.

Dawsey był nie tylko świrem, mordercą, ale i dupkiem. Dew patrzył na niego zastanawiając się, czy nie powinien po prostu wyciągnąć pistoletu i skończyć z tym.

Pistolet... To przypomniało mu o ciekawym problemie.

- Unieszkodliwiłeś Baumgartnera i Milnera - zauważył. - Obaj noszą broń. Czemu nie zabrałeś któremuś spluwy?

W oczach Perry'ego zobaczył błysk, coś, co pojawiała się tam tylko w rzadkich, krótkich chwilach, gdy mówił o trójkątach lub obcych... Czyżby był to strach?

- Spluwy są dla mięczaków - oświadczył Perry. - Moim zdaniem łyżka do opon ma w sobie więcej stylu Charlesa Bronsona.

Dew przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym podniósł mapę i wyszedł z domu. Wychodząc zobaczył podjeżdżający na podjazd pierwszy z Margo Mobili. Margaret nie będzie szczęśliwa gdy się dowie, że znowu nie będzie miała z czym pracować.



## Pantoflarz

Hamulce pneumatyczne ciągnika zasyczały, gdy ciężarówka zwolniła i stanęła.

Dom McMillianów nie był zbyt imponujący, typowa, dwupiętrowa pudełkowa konstrukcja z trzema sypialniami, z popękana i odpadającą warstwą niegdyś białej farby odsłaniającej ciemne plamy niszczonego drewna. Duże podwórko, stare drzewa bez liści. Na ulicy stały dwie szare furgonetki i Margaret domyśliła się, że niczym niewyróżniający się lincoln na trawniku należał do Dewa.

Pogoda właściwie działała na ich korzyść – lodowaty deszcz zniechęcał ciekawskich sąsiadów do opuszczania domów. Kilku mogło wyglądać na zewnątrz, zaciekawionych zamieszaniami, ale jak długo nie będą próbować wchodzić na ich teren, wszystko było w porządku.

Gitsh obejrzał się do tyłu z miejsca kierowcy na Margaret, z wielkim afro podskakującym nieco przy każdym ruchu.

- Mam iść z Marcusem połączyć przyczepy i przygotować salę do badań?

- Tak, Gitsh – potwierdziła Margaret. - Dziękuję.

Mężczyzna wysiadł i zamknął drzwiczki kierowcy. *Sala do badań* była zabawnym określeniem. Oczywiście wszyscy tak ją nazywali, ale jak dotąd nie przeprowadzili żadnych badań, same sekcje zwłok. W zasadzie nie było w tym ironii jeśli wziąć pod uwagę, że zestaw dwóch przyczep pierwotnie zaprojektowano do prowadzonych w terenie pośmiertnych badań ofiar chorób zakaźnych. Jeśli ktoś miał nieznaną, śmiertelnie groźny patogen, więcej sensu miało badanie zwłok w miejscu zgonu, niż przewożenie ich do laboratorium o czwartym, najwyższym poziomie ochrony biologicznej. Niezależnie od tego, jak bezpieczne były warunki transportu, zawsze istniało ryzyko rozprzestrzenienia patogenu gdzieś po drodze. Z drugiej strony mobilne laboratorium do autopsji z certyfikatem czwartego poziomu zabezpieczeń nie tylko umożliwiało zbadanie ciała na miejscu, ale też spalenie go.

Kilka sekund po tym, jak Gitsh zamknął drzwi kierowcy, otworzyły się te po stronie pasażera i do środka wspiął się przemoczony Dew Phillips. Kawałki lodu przykleiły się do jego łysiny na czubku głowy i pierścienia rudych włosów sięgającego od skroni do skroni. Wyglądał na zmęczonego, mokrego i wkurzonego.

- Jeden ocalały – oświadczył Dew. - Niemowlak, w furgonetce po prawej. Może go pan zbadać, doktorze Braun? Nie jest zakażony.

- Skąd pan wie? – zapytała Margaret.

- Bo inaczej Perry by go zabił. Tak jak pozostałą trójkę w domu.

Margaret zapadła się w sobie. Dotarli za późno. Znowu.

- Zbadam to dziecko, Dew – zgodził się Amos. - Ale nie mogę przestać się zastanawiać, czemu wy, ludzie rządu, nie potraficie opanować pana „Wsadzi krem do koszyka”.

- Posłał Bauma i Milnera do szpitala – warknął Dew. - Może *ty* chcesz spróbować kontrolować dwumetrowego mordercę, który pewnie mógłby użyć tej ciężarówki zamiast sztangi?

Amos pokręcił głową.

- Nie ma mowy. Za bardzo boję się tego alkoholika. Ale dopilnuj, żeby świr wyszedł z domu zanim tam wejdę, bo nawet nie wyjdę z tej ciężarówki.

- Drobnym białas ma rację - wsparł go Clarence. - Czy twoi ludzie mogą zabrać stamtąd eunucha, Dew?

Agent ze zmęczeniem pokiwał głową. Margaret się wyprostowała.

- Nie - oświadczyła. - Najpierw chcę z nim porozmawiać.

- Zapomnij, Margo - rzucił Clarence. - Co u diaska jest z tobą nie tak?

- Po pierwsze, ten człowiek nazywa się Perry, nie „eunuch”, nie „pan wsadzi krem do koszyka” i nie „ten świr”. Po drugie, nic nie jest ze mną nie tak.

- Coś zdecydowanie jest - nie zgodził się Dew. - Nie słyszałaś jak mówiłem, że właśnie zabił troje ludzi?

- Tak, ale słyszałam też jak powiedziałeś, że nie zabił dziecka, bo nie jest zakażone. Nie zabił też chłopca, który znalazł Bauma i Milnera, a mogłabym również dodać, że ich także nie pozabijał. Nie jestem zakażona, więc nic mi nie będzie.

- Nie ma mowy - oświadczył Clarence. - Pewnie znowu jest pijany. Upił się, Dew?

- Jeśli jeszcze nie, to jest na dobrej drodze.

- Widzisz? - stwierdził Clarence. - Nie ma mowy, Margo, nie pójdziesz tam.

- On ma rację - zgodził się Dew. - Zapomnij.

- Większość przeważyła - dołączył Amos. - Przechodząc do kolejnego punktu programu, przewodniczący chciałby powitać senatora Gonzalesa z Topeki.

- *Zamknijcie się* wszyscy - warknęła Margaret. - Nie możemy pozwolić, żeby Perry zabijał gospodarzy. Ktoś musi mu przemówić do rozsądku.

- Tym się nie musisz martwić - odpowiedział Dew. - Założę się, że kiedy następnym razem coś zwęszy, będzie w kajdankach i łańcuchach na nogach, zanim to wyśledzimy.

Amos wybuchnął śmiechem.

- Kajdanki? Pewnie po prostu je zje.

- Kajdanki? - Margaret nie ustępowała. - *Łańcuchy na nogach?* Naprawdę sądzi pan, że po torturach, które przeżył ten człowiek, dotrze pan do niego zakuwając go w kajdany?

- On właśnie *zabił* troje ludzi - przypomniał Otto. - Proszę, niech ktoś mi powie, że nie słyszę tych chwytających za serce liberalnych bzdur.

- Margaret. - Tym razem Dew. - Musisz wyciągnąć głowę z tyłka.

- *Przestań!* - wrzasnęła kobieta. - Wszyscy przestańcie! Musimy dojść do tego, czemu Perry to robi i to szybko. To mój pacjent, zapomnieliście o tym? To ja powstrzymałam tę zgniliznę od zabicia go.

- Hej, pomogłem - wtrącił się Amos.

Margaret machnęła ręką.

- Tak, oczywiście, że pomogłeś, ale nie o to mi chodzi. Wiem, że Perry jest wyjątkowo niebezpieczny, nie jestem głupia. Od kiedy odkryliśmy, że potrafi odnajdywać gospodarzy, przemieszcza się na własną rękę. W każdej chwili mógł nam uciec, ale tego nie robi. A jednak staracie się go izolować od wszystkich.

- Masz cholerną rację, że trzymam go w izolacji - warknął Dew. - To właśnie robi się ze świrami. Zapomnij, Margaret. Nie wejdiesz tam.

- Akcja się skończyła - cicho zauważyła kobieta. - W domu zostały już tylko ciała, więc teraz decyzja należy do mnie.

- Hejże, proszę! - wykrzyknął Amos. - Czyżbym słyszał pęknięcie szklanego dachu?

- Nie żartuję - oświadczyła Margaret. - Przeszliśmy teraz w sytuację analityczną, co oznacza, że *ty* - wskazała Dewa - i *ty* - tym razem Otto - musicie robić to, co *ja* powiem. Zgadza się?

Mężczyźni nie odpowiedzieli.

Amos pochylił się do przodu.

- Obawiam się panowie, że tak właśnie zarządził Murray. - Wskazał na swoją głowę. - Wicie, fotograficzna pamięć, te sprawy. Nie taka fajna, jak noszenie spluwy, ale bycie inteligentnym ma swoje zalety.

Dew wyrzucił ręce do góry.

- Wicie co? Pieprzę to. Muszę się skontaktować z pułkownikiem Ogdenem. Otto, to ty jesteś odpowiedzialny za to, żeby Margaret nic się nie stało. Życzę pieprzonego szczęścia.

Dew wysiadł z ciężarówki, z całej siły zatrzaskując za sobą drzwi.

- Bzdury - rzucił Clarence.

- Masz rację - zgodziła się Margaret. - Idę do tyłu po worki na zwłoki. Chodź, Amos, pomożesz mi. Jeśli tak się przejmujesz moim bezpieczeństwem, Clarence, to idź tam i powiedz Perry'emu, żeby się nie ruszał. Jak chcesz, możesz mu pogrozić, bo wy, mężczyźni, tym głównie się zajmujecie i nieźle wam to wychodzi. Ale zanim tam wejdiesz, załóż hełm *oraz* rękawice!

Margaret przedelfowała przed Amosem, żeby wyjść z kabiny sypialnej przez drzwi po stronie pasażera. Tak jak Dew, trzasnęła nimi za sobą.

Clarence siedział w milczeniu, potrząsając głową.

Amos bezskutecznie próbował stłumić śmiech.

- Coś cię bawi? - zapytał Clarence.

- *Załóż czapkę i rękawiczki* - wydusił z siebie Amos. - Pewnie strasznie bym się z ciebie nabijał, gdybyś nie był już tak wkurzony.

- Teraz nie pora na to, Amos.

- Powiedziałem, że *byłbym* się z ciebie nabijał. Przecież wcale tego nie robię. To wielka różnica. Stary, mogę sobie tylko wyobrazić, jak to jest sam na sam z tą kobietą.

- W sypialni to ja rządzę - ponuro zapewnił Otto. - Niestety wygląda na to, że to *jedyne* miejsce, gdzie rządzę.

- Ma cię pod pantoflem.

- Jakoś nie widziałem, żebyś się jej stawiał.

- Wszyscy wiedzą, że *ja jestem* pantoflarzem - oświadczył Amos. - Moja żona, córki, Margaret... Zdecydowanie nic nowego. Ale ty, panie Samiec Alfa? Proszę bardzo, możesz sobie dalej kultywować złudzenie, że któregoś dnia zdołasz zmienić sytuację.

- Pieprz się, bialasie. I pomóż mi z tymi rękawicami.

Amos przytrzymał rękawice, żeby Otto mógł wsunąć dłonie do środka. Dopilnował też, by pierścienie łączące się zatrzasnęły, po czym owinął je warstwą taśmy izolacyjnej.

- Wiesz co - odezwał się. - Stawiam dwadzieścia dolarów, że Dawsey cię zabije.

- Stoi.

- Jeśli to zrobi, wezmę kasę z twojej szafki - dodał Amos. - Nie wyglądałoby dobrze, gdybym grzebał po kieszeniach trupa.

- Wszystko jedno. Jeśli wygrasz, nie będę się już przejmował konwenansami.

Obaj mężczyźni przełożyli za prawymi uszami kable niewielkich słuchawek. Metalowa konstrukcja mieściła mały głośniczek mieszczący się w kanale słuchowym, mikrofon i nadajnik przekierowujący sygnał do centrum łączności Margo Mobilu. Zestawy pracowały na z góry ustalonej częstotliwości, tej samej, której używał Dew i pozostali agenci. Dzięki nim zespół naukowy mógł się porozumiewać ze sobą oraz monitorować łączność między Dewem i jego zespołem.

Otto założył swój czarny kask. Amos pomógł mu go uszczelnić, po czym umieścił warstwę taśmy izolacyjnej wokół metalowego kołnierza. Otto uniósł prawą rękę, odsłaniając panel sterowania kombinezonem na wewnętrznej części przedramienia. Amos po prostu nacisnął przełącznik zasilania, budząc do życia kompresor na pasie Otto, który zaczął buczeć cichutko. Pokryta PCW ciężka tkanina kombinezonu wybrzuszyła się lekko w wyniku podwyższonego ciśnienia w środku. Gdyby doszło do rozerwania stroju, powietrze wypływałoby na zewnątrz, teoretycznie nie dopuszczając do środka żadnych zarazków czy toksyn do czasu, aż kombinezon zostanie naprawiony i odkażony.

- Idę zarobić dwadzieścia dolarów - rzucił Clarence.

- Miło było cię poznać - odpowiedział Amos. - Do zobaczenia po drugiej stronie.

Otto kiwnął głową, po czym otworzył szerokie drzwi przedziału sypialnego i zeskoczył na ziemię. Gdy szedł w stronę domu, jego czarny kombinezon zalewały strugi deszczu.

## Popijanie

Perry kończył piąte piwo. W jego głowie wreszcie pojawiał się błogosławiony szum. Wstał i podszedł do lodówki, której drzwi nie chciały otworzyć się do końca, zablokowane częściowo przez śmierdzącego gównem trupa. Perry przystawił stopę do biodra mężczyzny i przesunął go na prawo.

W lodówce znalazł kolejny sześciopak Budweisera. No dobrze, więc może i truposz nie miał ani krzty dyscypliny, ale przynajmniej nie należał do tych mięczaków od lokalnych browarów.

Ze świeżym sześciopakiem w ręku Perry przestąpił nad ciałem i usiadł z powrotem przy stole w chwili, gdy do kuchni wszedł kolejny mężczyzna odziany na czarno. Ten miał tylko pistolet. Przez przezroczysty wizjer hełmu zobaczył śmiertelnie poważną twarz agenta Otto.

- Cześć, Clarence - rzucił Perry. - Wyglądasz jak tłusty ninja.

- Dzięki - odpowiedział Otto. - Bardzo wiele to dla mnie znaczy, skoro pochodzi z ust takiej fontanny mądrości jak ty.

Perry otworzył butelkę i wypił całą za jednym zamachem. To już piąta, jeszcze drugie pięć i będzie miło urżnięty. Każdy powinien mieć jakiś cel w życiu, prawda?

Otto powoli rozejrzał się po pomieszczeniu, oceniając straty.

- Czy zabijając tych ludzi byłeś już pijany?

- To nie ludzie - zaprotestował Perry. - I nie, nie byłem pijany, ale zamierzam naprawić ten błąd. - Otworzył drugą butelkę i wypił połowę, zanim postawił ją z powrotem na stole.

- Na to wygląda - zgodził się Otto. - Słuchaj, stary, wiesz, że mnie przerażasz, prawda?

Perry wzruszył ramionami. Tak to już było. Nie miało znaczenia co robił czy mówił, wszyscy patrzyli na niego jak na potwora. Czemu więc nie miał dostosować się do ich oczekiwań?

- Przyjdzie tu Margaret - oświadczył Otto.

- Oczywiście - zgodził się Perry. - Przecież ma tu tyle nowych zabawek. Widzisz tego? - Perry szturchnął stopą trupa małego chłopca. - Nazwałem go „Szczapka”.

- Oszczędź mi swoich świrniętych żartów - burknął Otto. - Chcę po prostu żebyś zrozumiał, że kiedy ona tu będzie, to jeden gwałtowny ruch z twojej strony wystarczy, żebym wpakował ci kulkę.

- No *wiesz*, Clarence! Pistolet? Nie bądź taki! Może odłożysz tę zabawkę i porozmawiamy sobie w tradycyjny sposób?

- Zapomnij.

- Co jest, Clarence, massa Dew powiedział, że nie możesz się bawić z białymi dziećmi?

Zobaczył, jak mrużą się osłonięte szybą hełmu oczy Clarence'a.

- No dalej, *chłopcze* - rzucił Perry. - Zamachnij się. Nie naskarżę na ciebie.

Perry miał nadzieję, że agent to zrobi. Otto był dość duży, by uznać go za wyzwanie. Niezbyt wielkie, ale zawsze. Dobrze byłoby walnąć go w głowę.

Właściwie to nie miał nic przeciwko Otto. Poza tym, że facet pieprzył doktor Montoyę, co znaczyło, że uprawiał seks, na co Perry raczej już nie miał żadnych szans. Jeśli to nie był dobry powód, żeby komuś włożyć, to naprawdę nie znał lepszego.

- Opuść sobie - odpowiedział Otto. - Możesz sobie darować te bzdety w stylu macho. Jeśli chcesz ze mną tańczyć, to jedynie w rytmie strzałów.

- Och, to straszne. Sam to wymyśliłeś?

Perry miał wrażenie, że zobaczył lekki uśmiech na ustach Otto, ale potem jego miejsce z powrotem zajęła kamienna maska.

Do domku weszła Margaret z naręczem zielonych worków. Rzuciła je na stos. W czarnym kombinezonie wyglądała identycznie jak Otto z tą różnicą, że była od niego niższa o trzydzieści centymetrów. Stojąc obok siebie wyglądali jak dorosła i młodociana wersja obcych z jakiegoś kiepskiego filmu fantastyczno-naukowego.

- Hej, Otto, przyszła twoja biała pani - rzucił Perry. - Przebudźcie się, biali mężczyźni. Żydzi używają czarnych przeciw wam.

- Nie jestem żydówką, Perry, tylko latynoską - zauważyła Margaret. - A poza tym mam *Blues Brothers* na DVD i widziałam to z pięćdziesiąt razy, więc znam ten tekst. Teraz mi powiesz, że nienawidzisz nazistów z Illinois?

Dobry Boże. Ona znała *Blues Brothers*?

- Wiem też, że nie jesteś rasistą - dodała - więc przestań próbować deptać wszystkim po odciskach. Nie wychodzi ci to.

Perry zastanawiał się, czy Clarence Otto ma pojęcie, jak świetna laska mu się trafiła. Nienawidził wszystkich w tym popieprzonym projekcie, ale musiał przyznać, że Margaret nienawidził mniej od pozostałych. Przechylił w jej stronę butelkę.

- Chcesz piwa, chica? Często wałem twojego Tobiego, ale powiedział mi, że jedyny dobry biały to martwy biały.

Margaret usiadła na stole po przeciwnej stronie do leżącego na podłodze chłopca. Zrobiła to tak swobodnie, że byłoby to zupełnie naturalną sceną w każdej kuchni, gdyby pominąć jej czarny kombinezon chroniący przed zagrożeniem biologicznym i leżące wszędzie zwłoki.

- Nie, Perry, Clarence tego nie powiedział. I nie, nie chcę piwa, ale dziękuję. Musisz z tym skończyć.

- Skończyć pić? Cóż za doskonały pomysł. Bycie trzeźwym tak cholernie mi pomogło.

- Dopił piwo i chwycił następne. Szmer w głowie zaczął przybierać na sile. Pragnął go, chciał, żeby ogarnął wszystko, pozwalając mu zapomnieć. Jeśli upije się dość mocno, może będzie mógł spać.

- Perry - Margaret nie ustępowała. - Rozejrzyj się wokół. Zobacz, co zrobiłeś. *Pozabijałeś* tych ludzi.

- Czemu wszyscy ciągle nazywacie ich *ludźmi*? To były chodzące trupy.

- Nie, wcale *nie*, do diaska. Przecież cię ocaliłam, prawda?

- I cóż to było za cudowne doświadczenie.

- Wiem, że to było bolesne - odpowiedziała.

Perry się roześmiał.

- Jasne. *Bolesne*. A tak swoją drogą, jesteś pewna, że nazywasz się Montoya, nie Mengele?

- Pocałuj mnie w dupę, Perry - warknęła Margaret. - Uratowałam ci życie. A sposób wymyśliłmy z Amosem całkiem sami, bo wierz mi, twojej choroby jakoś nie opisano na Wikipedii. Wiem, że to bolało, ale ty teraz porównujesz mnie do Josefa Mengele? A może zamiast tego powiedziałbyś: dziękuję za uratowanie mi życia, Margaret.

- A powiedziałaś, że nie wychodzi mi nadeptywanie na odciski.

Zabawne, jak wyraźnie widać było emocje bijące przez wizjery hełmów. Margaret zmrużyła oczy i lekko wywinęła górną wargę. Wyglądało to przeuroczo.

- Nie zapominaj, że dałem ci niezłe fory - rzucił Perry. - Kiedy mnie dorwałaś, nie miałem żadnych trójkątów, pamiętasz? A tutaj możesz się rozglądać ile chcesz, ale nigdzie nie znajdziesz walających się nożyc do drobiu. Ci ludzie w ogóle nie *próbowali*.

Spuściła wzrok jak wszyscy, gdy wspominał o nożycach. Odetchnęła powoli, po czym znowu popatrzyła mu prosto w oczy.

- Tak wiele się nauczyłam, pomagając ci wyzdrowieć, Perry. Mogę *uratować* tych ludzi. Jak myślisz, czemu Dew tak bardzo stara się złapać ich żywcem?

Perry popatrzył na Margaret, popatrzył w jej brązowe oczy. Niewątpliwie uratowała mu życie, choć przez większość czasu wolał, by tego nie zrobiła.

Tak trudno było uwierzyć, że na tym świecie naprawdę byli jeszcze ludzie tak dobrzy jak Margaret. I równie trudno było uwierzyć, że taka osoba może być aż tak naiwna.

- Sama się oszukujesz - stwierdził Perry. - Nie możesz ich uratować.

- Mogę i to zrobię. Potrzebujemy twojej pomocy, nie tylko w odnajdywaniu bram. Wciąż nie chcesz nam nic powiedzieć o swoich doświadczeniach. Czy wiesz jak frustrujące jest, gdy jedyny ocalały człowiek nie chce ujawnić nawet najbardziej podstawowych informacji?

Perry potrząsnął głową.

- Nie rozmawiam o tym.

- Zauważyłam - przyznała Margaret. - Słuchaj, wszyscy rozumiemy, że to było traumatyczne. Wierz mi. Ale musisz to pokonać. Wiem, że nie chcesz myśleć o tym, co stało się z Billem, ale...

- *Nie* wspominaj o nim! - Jeszcze zanim wypowiedział te słowa, Perry nachylił się do niej i mocno wałnął pięścią w stół. W dłoni Clarence'a nagle pojawił się wycelowany w Perry'ego pistolet, a Margaret odchyliła się do tyłu z oczami szeroko otwartymi z zaskoczenia i strachu.

Perry szybko się cofnął. Szlag. Stracił opanowanie i wystraszył Margaret, co było ostatnią rzeczą, jakiej chciał.

Margaret obejrzała się na Clarence'a.

- Odłóż to cholerstwo.

Clarence opuścił broń.

- Przepraszam - rzucił Perry.

Kobieta położyła dłoń na jego przedramieniu.

- Nie przejmuj się tym. Przepraszam, że przywołałam złe wspomnienia, ale musisz zacząć postępować właściwie.

- Właściwie? - Wstał i postawił przed nią na stole nieotwartą butelkę piwa. Prezent. Oczywiście go nie wypije, ale liczą się intencje.

- Jesteś bardzo bystrą babeczką, Margo, ale nie wiesz, co tu jest właściwe. Wierz mi, właściwe jest, żebym pomógł tym ludziom.

- W taki sposób, jak tym tutaj?

- Dokładnie - Perry przytaknął.

Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się i obrócił w jej stronę.

- A przy okazji, Margaret. To najgorszy strój, jaki w życiu widziałem. Kupujesz coś takiego i dostajesz darmową zupę.

- Ale na tobie wygląda dobrze - odpowiedziała Margaret. - *Golfiarze*. Ten też mam.

Perry uśmiechnął się i machnął ręką w stronę Otto, który wyglądał na bardzo zaniepokojonego całą tą sytuacją.

- Margie, jesteś zbyt dobra na tego ponuraka. I miłej zabawy z nowymi kumplami.

Wyszedł z kuchni mając nadzieję, że piwo, które zaoferował Margo, nie byłoby właśnie tym, które przeniosłoby go na drugą stronę.

Potrzebował snu. Snu bez głosu Billa.



## Ta ręka pusta...

Dew czekał w swoim samochodzie aż Anthony Gitsham i Marcus Thompson połączą dwie przyczepy, tworząc w pełni funkcjonalny Margo Mobil. Przyczepy tak naprawdę były płaskimi naczepami, z których każda przewoziła kontener szeroki na dwa i pół, wysoki na trzy i długi na dwanaście metrów. Ponieważ kontenery miały standardowe wymiary, można je było łatwo przewozić koleją, statkiem towarowym, a nawet drogą powietrzną, korzystając z helikoptera transportowego. Po połączeniu kontenery tworzyły mobilne laboratorium do autopsji o czwartej klasie bezpieczeństwa biologicznego.

Z zewnątrz kontenery pomalowano na niebiesko z rdzawymi plamami, przez co absolutnie niczym się nie wyróżniały na autostradzie, jednak wewnątrz stanowiło zupełnie inną historię, prezentując nieskazitelną biel nowoczesnego szpitala.

Zaledwie trzy miesiące temu nie istniało coś takiego, jak ruchome laboratorium o czwartej klasie zabezpieczeń. Tę klasę stosowało się przy najgorszych możliwych zagrożeniach: ebola, wirus Marbug, supergrypa, tego typu sprawy. Jakaś firma miała kontenery na deskach kreślarskich. Margaret dowiedziała się o tym i uparła się, że to coś w sam raz dla szalonego, tajnego projektu Tangram. Dew przyznał jej rację, więc Murray opłacił szybką budowę prototypu, a potem zamówił jeszcze dwa egzemplarze. Okazyjna cena wyniosła tylko 25 milionów za sztukę. „Pieprzyć, to tylko pieniądze podatników” skomentował wtedy Murray.

Jakie fajne rzeczy można było kupić, mając tajny budżet. Kiedy kontenery zostały dostarczone na przyczepach i zespół je zobaczył, Amos nazwał całość „Margo Mobil” i nazwa się przyjęła.

Niezależnie od kosztu, Dew nie mógł nie przyznać racji Margaret: zestaw przyczep był świetnym nabytkiem, niezależnie od ceny. Namioty z czwartą klasą bezpieczeństwa stosowane przez Margaret w różnych szpitalach też się sprawdzały, ale wymagały postawienia i przygotowania oraz radzenia sobie z przejętym personelem szpitala, miejscowymi dziennikarzami i tym podobnymi sprawami. Margo Mobil wszystko rozwiązał. Najwyższej klasy laboratorium można było dostarczyć prosto pod ciało i zrobić wszystko, co było konieczne. Wyposażono je nawet w spalarnie mikrofalowe, co umożliwiało przetworzenie ciał od przyjęcia do utylizacji.

Przyczepy ustawiało się równolegle. Kontener A - prawy - wyposażono od tyłu w standardowe drzwi załadunkowe, które po otwarciu odsłaniały kolejne dwoje drzwi, ponieważ brama kontenera była tylko kamuflażem. Drzwi po lewej prowadziły do małego centrum komputerowego o wymiarach trzy metry na półtora. Pod dłuższą ścianą pokoiku zamocowano długi blat mieszczący trzy zestawy klawiatur i myszy spoczywających przed trzema płaskimi ekranami zamocowanymi do ściany. Dodać do tego trzy krzesła i biuro gotowe. Pozostały sprzęt zapewniał bezpieczną, szyfrowaną łączność z każdym pracującym na częstotliwości przyczepy oraz możliwość podpięcia się do łącza satelitarnego NSA. Transfer danych, głosu, obrazu... Co tylko potrzebne.

Sprzęt komunikacyjny miał pierwotnie zapewniać bezpieczną łączność z CDC lub WHO, ale całkiem nieźle sprawdzał się w sieci agencji szpiegowskiej.

Drzwi po prawej wiodły do klaustrofobicznej śluzy szerokiej na metr i długiej na trzy, zakończonej kolejną parą hermetycznych drzwi, prowadzących do nieco węższej, ale równie długiej komory do odkażania. Rozmieszczone tam tuziny dysz wystrzeliwały pod ciśnieniem gazowy chlor i stężony roztwór ługu, co stanowiło kombinację zabójczą dla każdego organizmu żywego, od bakterii po człowieka. Po przejściu przez komorę do odkażania ostatnie drzwi prowadziły do głównego pomieszczenia: szerokiego na trzy i długiego na siedem metrów pokoju do sekcji. Około 21 metrów kwadratowych do radzenia sobie z najgroźniejszymi patogenami tego świata.

Przyczepa z lewej strony, kontener B, mieściła wąską przebieralnię z szafkami na odzież i sprzęt ochronny. To pomieszczenie nie było hermetyczne – aby dostać się do pokoju sekcyjnego należało przejść do przebieralni, założyć kombinezon, a następnie wyjść na zewnątrz i przejść przez służę kontenera A. W kontenerze B mieściły się także kompresory powietrza, chłodziarki, filtry, generatory, typowa dla kostnic szafa na zwłoki i zbudowana z przezroczystych ścian cela dla żywych gospodarzy. W celi mieściły się stojące obok siebie dwa wózki do autopsji oddzielone wystarczającą ilością miejsca, by ktoś mógł wejść do środka, odwrócić się i wyjść. Jeśli będą mieli okazję użyć celi, gospodarz (lub gospodarze) najprawdopodobniej będą musieli zostać przypięci taśmami do wózka: priorytetami były bezpieczeństwo i zachowanie tajemnicy, nie wygoda.

Pomieszczenie z celą w kontenerze B łączył z pokojem sekcyjnym składany, osłonięty pomost, dzięki czemu potrzebna była tylko jedna śluza do odkażania, by dostać się do obu hermetycznych pomieszczeń w kontenerach. Gitsh i Marcus zajmowali się właśnie podłączaniem składającego się jak harmonijka pomostu.

Dew lubił tych facetów. Marcus był gościem, którego chciało się mieć po swojej stronie w strzelaninie. Gitsh niekoniecznie, ale zawsze się uśmiechał i miał w gotowości jakiś żart, co na długich, odosobnionych misjach było równie ważne, jak umiejętność dobrego strzelania. Dew zerknął na zegarek – procedura łączenia kontenerów zazwyczaj zajmowała im dziesięć minut, a tym razem minęło już jedenaście. Będzie im musiał później coś na ten temat powiedzieć.

Gitsh otworzył drzwi do centrum komputerowego. Dew wysiadł z lincolna, jeszcze raz zmagając się z deszczem, by wbiec do środka. Wewnątrz usiadł przy jednym z komputerów, wpisał login i hasło, po czym rozłożył na klawiaturze umazaną krwią mapę. Sięgnął po szyfrowany telefon i wystukał zapamiętany numer. Wciąż uważał za dziwne, że mógł dzwonić do pułkownika Charliego Ogdena znajdującego się w samym środku starcia i za każdym razem się z nim łączył. Cuda nowoczesnej armii.

- Kompania X, tu kapral Cope.
- Dew Phillips. Daj mi Ogdena.
- Już daję, sir.

Dew czekał. Trzymał telefon prawą ręką, czubkami palców lewej sunąc po linii prostej z południowego Bloomingville w Ohio do Glidden w Wisconsin. Około 900 kilometrów. Projekt Tangram miał do dyspozycji kilka samolotów V-22 Osprey, które

idealnie odpowiadały ich potrzebom. Samoloty mogły startować z dowolnego miejsca i lądować gdziekolwiek, bez pasa startowego, co zawdzięczały wielkim helikopterowym wirnikom na każdym skrzydle. Po starcie silniki obracały się powoli do poziomu i helikopter zmieniał się w samolot turbośmigłowy. Biorąc pod uwagę, że każdy osprey mógł zabrać do dwudziestu czterech żołnierzy i rozwinąć prędkość około czterystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, były bezcenne w szybkim przetrzucaniu ludzi Ogdena z punktu A do punktu B. Gdyby naprawdę okazało się to niezbędne, ospreye mogły nawet przewieźć kontenery Margo Mobilu, po jednym na samolot.

- Mówi Ogden - zabrzmiał znajomy głos. - Co dla mnie masz?

- Ty pierwszy - rzucił Dew. - Zniszczyłeś konstrukcję?

- A rozmawiałbym z tobą, gdyby tak nie było?

Dew potrząsnął głową. Charlie Ogden nie tracił czasu na uprzejmości.

- Mamy coś nowego - oznajmił Dew. - Wystukaj sobie Marenisco w Michigan na tej waszej komputerowej mapie.

Ogden warknął rozkaz do personelu.

- Mam - rzucił do słuchawki.

- Znaleźliśmy tam kolejną budowlę.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Dobra, teraz zaczyna to mieć sens.

- Ile potrwa, zanim będziesz mógł tam dotrzeć, Charlie?

- Mamy w pobliżu nasze ospreye. Przy tankowaniu w powietrzu... Może dwie i pół godziny.

- A co z tymi dwiema kompaniami w Forcie Bragg?

- Mógłbym je wysłać od razu, ale nie mają ospreyów, a są zbyt daleko na helikoptery.

Moglibyśmy ich załadować do C-17 i zrzucić na spadochronach gdzieś w pobliżu. Powiedzmy pół godziny na spakowanie, półtorej na lot i skok, a potem kwadrans na zebranie się i wejście do akcji. Jak by na to nie patrzeć, zajmie to w najlepszym razie dwie i pół godziny, prawdopodobnie raczej trzy. Masz zdjęcia tego czegoś?

- Właśnie ściągamy satelity nad ten rejon - odpowiedział Dew. - Za chwilę powinniśmy coś mieć. Powiedziałem okularnikom, żeby przesłali ci zdjęcia, jak tylko coś będą mieć.

- Zrozumiano. Słuchaj, myślę, że Bloomingville było zmyłką. Miało ściągnąć naszą uwagę, podczas gdy naprawdę szykowali się w Marenisco.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Charlie? - zapytał Dew. - Że te małe dranie zaczęły stosować działania taktyczne?

- Nie broniły się. Kiedy podeszliśmy, zniszczyły konstrukt, zabijając się przy okazji. I myślę, że to był tylko rekwizyt.

- Rekwizyt?

- Tak, jak te udawane samoloty na udawanym lotnisku, które miały oszukać wywiad satelitarny. Grzało się to podobnie jak pozostałe bramy, miało ten sam kształt, ale było cieńsze. Użyli tylko tyle materiału, żeby miało właściwy kształt i odpowiednio się zachowywało, ale nie dość by było funkcjonalne.

Dew poczuł, jak jego ciało ogarnia fala chłodu.

- Jeśli ta brama w Marenisco jest już gorąca - odezwał się - co będzie, jeśli nie zdążysz tam dotrzeć na czas?

Głos Ogdena przycichł nieco, jakby mówił do kogoś obok siebie.

- Cope, skieruj raptora do tej lokalizacji.

Dew usłyszał odległe „tak jest, sir”.

- Charlie - odezwał się. - Co ty u diabła robisz?

- Właśnie wysłałem tam raptora. Czyli myśliwiec F-22, szybki jak diabli. Namierzy cel i prześle współrzędne do dywizjonu Strike Eagle.

- Czyli F-15? Chcesz na to zrzucić cholerne tysiackilowe bomby? To *Michigan*, Charlie, nie pieprzona Falujia. Czemu nie możemy użyć apaczy, jak w Wahjamega i Mather?

- To zależy od tego, czy zdołamy je tam sprowadzić na czas - wyjaśnił Ogden. - Jeśli pošle je tam teraz, będą lecieć przez dwie godziny. F-15 robią dwa i pół Macha, czyli dotrą tam w dwadzieścia pięć minut.

Znienacka zabrzączał telefon Dewa. Sprawdził go i znalazł wiadomość składającą się z szesnastu cyfr.

- Mam zdjęcia satelitarne, Charlie.

- My też je właśnie dostaliśmy. Wrzuć je na ekran, Cope.

Dew odłożył mapę na bok i starannie przepisał otrzymany kod. Na ekranie pojawiła się seria miniatur obrazów, niektóre kolorowe, inne czarno-białe. Dew kliknął na pierwszy czarno-biały obraz, powiększając go na cały ekran. Większość obrazu zajmował czarny, nieregularny wzór gęsto rosnących drzew, jednak na samym środku widniał nieostry, biały symbol, który świetnie kojarzył już z nieznaną grozą zakażenia.

Symbol był biały co znaczyło, że już się rozgrzał.

- Rozkazuję pełne uderzenie - oświadczył Ogden. - Zmiotę to z powierzchni ziemi.

- Poczekaj chwilę, Charlie - zaprotestował Dew. - Ten rejon *wygląda* na niezamieszkały, ale nie mamy żadnych danych na temat mieszkańców. Czy możemy najpierw posłać tam jakieś samoloty? Żeby sprawdziły, czy nie ma tam ludzi?

- Phillips, głównie mnie obchodzi, czy postawili tę bramę na dachu budynku pełnego sierot i zakonnice. Zamierzam ją zniszczyć.

- Daj spokój, Charlie. Mówisz o zrzucaniu jednotonowych bomb na terytorium USA. Musimy na to dostać zgodę od Murraya.

- Nie, nie musimy. Otrzymałem od prezydenta upoważnienie do podjęcia wszelkich koniecznych decyzji dotyczących pola walki, poza użyciem opcji numer cztery. W tej sprawie decyzję podejmuje on sam. Poza tym, to ja decyduję.

- Ale ten rozkaz został wydany przez prezydenta Hutchinsa. Gutierrez pewnie nawet o nim nie wie.

- Mam swoje rozkazy - odparł Ogden. - Musimy uderzyć natychmiast, i to z dużą siłą. Dobra robota z odkryciem tej lokalizacji, Dew. Mogę tylko powiedzieć: Bogu dzięki za Dawseya, tylko on utrzymuje nas w tej grze. Bez odbioru.

Charlie się rozłączył.

Dew położył słuchawkę z powrotem na widełki.

*Bogu dzięki za Dawseya*. No proszę. Dzieciak miał bardzo nierówno pod sufitem, a pomimo to stał się ich asem w rękawie. Co pomyślałby sobie stary dobry Charlie, gdyby

wiedział, że Dew o mało co nie strzelił Dawseyowi w usta ze swojej czterdziestki piątki?  
*Przykro mi, Charlie, ale nasz as w rękawie ma dziurę w głowie.*

Dew potarł twarz dłońmi, po czym znowu podniósł słuchawkę. Wybuch bomby zrzuconej przez F-15 Strike Eagle będzie potężny, prawdopodobnie zarejestrują go nawet sejsmografy. Ukrycie prawdy będzie wymagało zacierania śladów i mnóstwa kłamstw, a w takich sprawach nie było na świecie nikogo lepszego od Murraya Longwortha.

## Zrzuciłeś na mnie bombę

Pokój dowodzenia wypełniał szum rozmów. Na większości monitorów świeciły się zdjęcia bramy w Marenisco.

Dla Murraya ten obraz miał w sobie coś porażającego. Jeszcze przed chwilą dzięki satelitom i samolotom obserwacyjnym przyglądali się, jak ludzie Ogdena atakują bramę w Południowym Bloomingville. Patrzyli jak brama się zapala, płonie i rozpada, a jednak teraz mieli przed sobą drugą bramę, która wyglądała niemal identycznie.

Inne monitory wyświetlały cyfrowe mapy Michigan, z zielonym kręgiem na Górnym Półwyspie oznaczającym bramę oraz ikonami F-15 wskazującymi pozycje samolotów Strike Eagle. Maszyny przemykały właśnie nad jeziorem Michigan i zdążyły już pokonać połowę drogi z Południowego Bloomingville do Marenisco.

Na jednym z dużych monitorów wyświetlano wyłącznie odliczanie: w tej chwili piętnaście minut i dwadzieścia trzy sekundy. Gdy wyświetlana wartość dotrze do zera, samoloty zrzucą swój ładunek... Chyba że prezydent odwoła atak.

Gutierrez odpuścił sobie pilnowanie dystyngowanego wyglądu. Na jego czole pojawiły się drobne krople potu. A jednak pomimo wyglądu, nie poddał się stresowi. Zadawał inteligentne pytania, domagał się inteligentnych odpowiedzi i sprawiał, że szefowie sztabów skakali na jego rozkaz.

- Do diabła, panowie - odezwał się Gutierrez. - Nie powiecie mi chyba, że nie mamy żadnych innych sił, które mogłyby dotrzeć do Marenisco i zaatakować tę bramę w ciągu najbliższych piętnastu minut.

- Dokładnie to panu mówimy - oświadczył generał Hamilton Barnes. Jako Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów to on był odpowiedzialny za przekazywanie większości niekorzystnych informacji dotyczących wojska, choć Monty Cooper, dowódca Korpusu Marines, również nie bał się wtrącać do rozmowy.

- Panie Prezydencie - odezwał się Cooper. - Jesteśmy w samym środku prowadzenia dwóch wojen i działań policyjnych poza granicami kraju. Nawet gdyby nasze siły nie były z tego powodu znacząco osłabione, nie ma mowy, żebyśmy mogli wprowadzić do akcji na terenie Górnego Półwyspu jeziora Michigan przynajmniej kompanię wojska w czasie poniżej godziny. Najbardziej mobilną jednostką są siły szybkiego reagowania z 82. dywizji powietrzno-desantowej. Jej pierwsze oddziały mogą się znaleźć w dowolnym miejscu na świecie w ciągu osiemnastu godzin, a w dowolnym miejscu w Stanach Zjednoczonych może w ciągu ośmiu i nie ma pan pojęcia, jak to szybko w przypadku wojska. Z całym należnym szacunkiem, sir, nie możemy po prostu machnąć cholerną czarodziejską różdżką i sprawić, że gdzieś pojawi się wojsko.

Barnes zwrócił się do Coopera, ewidentnie planując go zbesztać.

- Niech pan da spokój, generale Barnes - rzucił Gutierrez. - Nie wystarczy taki język, żeby mnie obrazić. Ale proszę więcej tego nie robić, generale Cooper.

- Sir - zareagował Cooper.

Gutierrez zerknął na zegar, Murray poszedł w jego ślady. Trzydzieści minut, pięćdziesiąt cztery sekundy.

- Ile czasu, zanim kompania X dotrze do bramy? - zapytał Gutierrez.  
- Ospreye właśnie wystartowały z Południowego Bloomingville - odpowiedział Barnes. - Niecałe dwie godziny, zanim będą mogli zaatakować. Apacze mają przed sobą jeszcze godzinę lotu.

Gutierrez z irytacją uderzył pięścią w stół.

- Nie rozumiem - odezwała się Vanessa. - Jak to możliwe, że pułkownik może rozkazać tego typu atak bombowy? Nie powinien uzyskać najpierw zgody Kolegium Szefów Sztabów?

- Ogden to dowódca na polu bitwy - odpowiedział generał Barnes. - Do osiągnięcia zadanych celów może wykorzystać wszystkie podlegające mu jednostki. Nie musi uzyskać zgody na korzystanie z zasobów, które zostały oddane pod jego rozkazy.

- To niedorzeczne - oburzyła się Vanessa. - Nie potrzebuje niczyjej zgody na nic?

- Prezydent Hutchins urządził to w ten sposób nie bez powodu - wtrącił się Murray.

- W czasie, jakiego potrzebowaliśmy na zebranie informacji i rozpoczęcie dyskusji o tym, co powinniśmy zrobić, samoloty pokonały już połowę drogi do celu. Ogden może bez zewnętrznego nadzoru rozkazać realizację opcji od jeden do trzy. Tylko opcja numer cztery wymaga zatwierdzenia przez prezydenta.

- A czym dokładnie jest opcja numer cztery?

- Duże bum - wyjaśnił generał Cooper. - Opcja numer cztery to taktyczna bomba jądrowa.

- Atomówka? - jęknęła Vanessa. - Na amerykańskiej ziemi? Pan chyba żartuje.

- To *taktyczna* bomba atomowa - zauważył Murray. - Dysponujemy głowicami B61, one mają regulowaną moc. Możemy ustawić dowolną siłę wybuchu w zakresie od zero trzy do stu siedemdziesięciu megaton.

- Murray - odezwał się Gutierrez. - Jak to możliwe, że Hutchins w ogóle rozważał zrzuć atomówki?

- Musieliśmy przyjąć do wiadomości możliwość, że nie uda nam się wykryć bramy na czas - wyjaśnił Murray. - Gdyby do tego doszło, jej otwarcie spowoduje wprowadzenie sił inwazyjnych. Nie wiemy, z jakiego rodzaju uzbrojeniem czy techniką będziemy wtedy mieli do czynienia. Musimy dysponować tego poziomu odpowiedzią, by mieć możliwość wyeliminowania zarówno bramy, jak i sił przeciwnika.

- To szaleństwo - rzuciła Vanessa.

- Ta opcja została zatwierdzona przez prezydenta Hutchinsa - przypomniał Murray.

- Ale Hutchins nie jest już prezydentem - warknęła Vanessa. - Jest nim John Gutierrez.

Murray kiwnął głową.

- Rozkazy poprzedniego prezydenta obowiązują do czasu, aż zostaną zmienione przez aktualnego.

Vanessa obróciła się do Gutierrez.

- W takim razie proszę wydać nowe rozkazy, panie prezydencie - powiedziała. - Proszę to wszystko odwołać.

Gutierrez cofnął się na oparcie fotela.

- Opcja numer trzy, te konwencjonalne bomby, których chce użyć Ogden, o jakim sprzęcie tu mówimy?

Tym razem po raz pierwszy odpowiedzi udzielił generał Luis Monroe, dowódca sił powietrznych.

- GBU-31, trzecia wersja, to bomba o masie jednej tony. To bomba do niszczenia schronów, największa jaką mamy poza atomówką. Wybuch zabije każdego w promieniu trzydziestu pięciu metrów od miejsca uderzenia i spowoduje duże straty w promieniu 100 metrów. Promień całkowitego zasięgu wybuchu to około tysiąc trzysta metrów.

- Promień wybuchu wynoszący ponad kilometr? - jęknęła Vanessa. - Ale... to więcej niż dwa kilometry średnicy.

Monroe przytaknął.

- Bardzo dobrze sprawdziły się w Iraku i Iranie. W dzień chmura dymu z wybuchu byłaby widoczna w promieniu trzydziestu kilometrów. Siłę uderzenia odczują wszystkie okoliczne miejscowości i zapewne uznają, że to pomniejsze trzęsienie ziemi.

- Jak u diabła mamy utrzymać w tajemnicy coś *takiego*? - zapytała Vanessa.

- Mam przygotowaną przykrywkę - zapewnił Murray. - To bardzo odległe, słabo zaludnione rejony, więc całkiem możliwe, że komórka organizacji terrorystycznej urządziła tam ośrodek produkcji bomb. Dowiedzieliśmy się o nim, stwierdziliśmy, że istnieje ryzyko tworzenia przez nich brudnej bomby, więc wysłaliśmy F-15E, żeby ich wyeliminować. Brudna bomba stanowi zagrożenie promieniowaniem, więc możemy zamknąć dostęp do dużego obszaru na czas prowadzenia śledztwa. Wszyscy wygrywają - wywiad zdobył informacje, władza podjęła zdecydowane działania, wojsko wyeliminowało terrorystów.

Wszyscy wpatrywali się w Murraya. Wojskowi nie byli zaskoczeni, widzieli go już przy czymś takim w przeszłości. Donald Martin również nie wyglądał na zdziwionego. Wspinając się po szczeblach kariery na stanowisko Sekretarza Obrony niewątpliwie widział już takie kłamstwa, jednak Gutierrez, Vanessa i Tom Maskill wydawali się wstrząśnięci.

- Terroryci krajowi czy zagraniczni? - zapytał Gutierrez.

- Jak pan woli, panie prezydencie. - Murray wzruszył ramionami. - Przygotowałem sporo informacji na temat grupy białych supremacjonistów, jeśli woli pan tę wersję. Albo możemy wybrać Al Kaidę. Decyzja należy do pana.

Gutierrez powoli potarł dłonie, zastanawiając się.

- Niech będą supremacjoniści - zdecydował. - Nie mogę sobie pozwolić na zagraniczną grupę budującą bombę na naszej ziemi.

- Tak, panie prezydencie - potwierdził Murray. - To się powinno udać.

- John - Vanessa odezwała się z niedowierzaniem. - Ty chyba żartujesz. Zamierzasz pozwolić, żeby te odrzutowce zrzuciły bomby *oraz* okłamać Amerykanów?

Słyszając, jak kobieta zwraca się do prezydenta po imieniu, niemal wszyscy wokół stołu unieśli brwi. Chyba tego nie zauważyła, podobnie jak Gutierrez.

- Nie bardzo wiem, co innego możemy zrobić - odpowiedział.

- Możemy powiedzieć ludziom prawdę i zaufać obywatelom - stwierdziła Vanessa.



General Cooper się roześmiał.

- Z całym należnym szacunkiem, gdzie zdobywała pani wiedzę o świecie, z kreskówek? Mówimy tu o obcych i bramach międzygalaktycznych budowanych przez stwory z choroby, która zaczyna się od wysypki skórnej. Jeśli powiemy o tym ludziom, cały kraj pograży się w chaosie.

- Nie zgadzam się - odcięła się Vanessa. - W takiej sytuacji ludzie będą się wspierać.

Cooper znów się roześmiał i zaczął coś odpowiadać, ale przerwał mu Murray.

- Konieczna jest *decyzja* - przypomniał. Wpisał na konsoli jakieś polecenia. Statyczny obraz bramy na ekranie za prezydentem ustąpił obrazowi na żywo z kamery samolotu na dużej wysokości. W dole przemykały czarne i niebieskie barwy zmrożonego lasu Wisconsin. Miejscami pojawiały się jasne plamy, gdy samolot przelatywał nad domami.

- Panie prezydencie, F-15 przeprowadzą bombardowanie za dwie minuty - przypomniał Murray. - Jeśli chce pan to odwołać, musi pan to zrobić teraz.

Gutierrez cofnął się na oparcie fotela i splótł palce, po czym westchnął ciężko i popatrzył w sufit. Murray doskonale go rozumiał. Wykonanie rozkazu prowadzącego do śmierci cywili to jedno, ale bycie facetem, który *wydaje* ten rozkaz to zupełnie co innego.

Główny ekran rozjarzył się nowym światłem: konstrukcja właśnie zaczęła świecić.

- Szlag - warknął Gutierrez. - Ile mamy czasu, Murray?

- Sądząc po tym, jak wyglądało to w Wahjamega, może piętnaście minut. Nie jesteśmy pewni, panie prezydencie.

Gutierrez kiwnął głową.

- Jeśli zrzucimy te bomby, ilu ludzi może według ciebie zginąć? Poza protokołem. Powiedz wprost.

Murray wzruszył ramionami.

- Jeśli będziemy mieli szczęście to nikt, kto nie jest zarażony. To bardzo odludny obszar, więc nawet jeśli będziemy mieć pecha, najwyżej dziesięć osób.

Gutierrez przytaknął.

- Kontynuować bombardowanie. Daj Tomowi dokumenty wprowadzające w główne punkty twojej przykrywki. I zwołajcie konferencję prasową na ósmą rano. Donald i pan, generale Barnes, będziecie mi podczas niej towarzyszyć.

Obrócił fotel, żeby obejrzeć bombardowanie.

Vanessa nie patrzyła na ekrany tylko na Murraya. Wszystkie wartości, które Gutierrez propagował startując w wyborach, ustąpiły właśnie miejsca rzeczywistości i w swoim idealizmie prawdopodobnie obwiniła za to Murraya. Trudno i szkoda - prezydent podejmował decyzję właściwą dla kraju i jego szefowa personelu będzie musiała sobie z tym poradzić.

Na ekranie w ciągu paru sekund, wśród czerni i niebieskości pojawiła się szybko rosnąca biała kropka. Trochę się trzęsła i nie była zbyt ostra, ale nie było wątpliwości co do jej rybiego kształtu.

Z prawej górnej strony ekranu pojawił się błysk, a ułamek sekundy później cały ekran zalała oślepiająca biel, która szybko zniknęła odsłaniając rosnącą chmurę dymu, rozpaloną do białości nad ziemią, ale szybko gasnącą do migotliwej szarości.

Wszyscy siedzieli i patrzyli w milczeniu. W końcu ciszę przerwał Donald.  
- Mam cholerną nadzieję, że nie zbudowały trzeciej.

## Pierwsza autopsja

Margaret przyglądała się, jak Gitsh i Marcus pchają solidny wózek do autopsji w górę rampy i przez drzwi z prawej strony przyczepy A. W leżącym na wózku worku na zwłoki było mnóstwo miejsca. Ciało chłopca wewnątrz wyglądało jak pojedynczy groszek w łupinie przeznaczonej na trzy. Weszła za wózkiem do białej śluzy i zamknęła za sobą hermetyczne drzwi. Cała trójka odczekała w wąskim pomieszczeniu na zrównoważenie ciśnienia, co musiało nastąpić przed otwarciem hermetycznych drzwi wewnętrznych. Wszystkie powierzchnie pokrywała warstwa białego epoksydu, podobnie jak w pozostałych sekcjach zagrożenia biologicznego kontenera. Cały kontener, włącznie z pokojem komputerowym, wyposażono w podwójne uszczelnienie: najpierw warstwa epoksydu, potem rurki i przewody i druga ścianka z tworzywa. Jak w każdym laboratorium do pracy z niebezpiecznymi materiałami biologicznymi, chodziło o wyeliminowanie jak największej liczby wnęk, szczelin i kantów.

Światło nad wewnętrznymi drzwiami zmieniło kolor z czerwonego na zielony. Margaret otworzyła drzwi i przeszła za wózkiem do komory odkażania. Gitsh zamknął za nimi wewnętrzne drzwi. Stojąc przyglądała się, jak mężczyźni uaktywniają znajdujące się w suficie, podłodze i ścianach dysze tryskające stężonym roztworem ługu i gazowego chloru. Gitsh i Marcus obrócili torbę dopilnowując, by strumienie z dysz dotarły do każdego milimetra powierzchni.

Margaret rozłożyła ręce i obróciła się powoli, pozwalając zabójczemu prysznicowi pokryć swój kombinezon. Na wyświetlaczu hełmu sprawdziła poziom powietrza – jej kombinezon wyposażono w butlę na dwadzieścia minut. Komora odkażania była tak naprawdę jedynym miejscem, w którym konieczne było korzystanie z butli. Przez większość czasu podłączeni byli do węży dostarczających powietrze w przyczepie lub polegał na wbudowanym systemie filtrów. Filtry kombinezonu mogły poradzić sobie ze wszystkim o wymiarach powyżej pół mikrona, jednak gazowy chlor przeszedłby przez nie bez problemu, wypalając płuca i w kilka minut doprowadzając do śmierci w męczarniach.

Kiedy Marcus i Gitsh skończyli płukanie w chlorowanym prysznicu, Margaret otworzyła ostatnie hermetyczne drzwi i weszła do pokoju sekcyjnego. Przy około dwóch i pół metra szerokości i prawie siedmiu długości, było to największe pomieszczenie w Margo Mobile.

Gitsh przepchnął wózek na sam koniec pokoju i unieruchomił go tam przed pokrytym gładkim tworzywem zlewem. Stojący na środku, szeroki na sześćdziesiąt centymetrów wózek zostawił prawie metr z każdej strony, zapewniając dość miejsca do pracy. Mężczyzna użył pokrętła u stóp wózka, podnosząc ten koniec o parę centymetrów. Lekki skos wymuszał ściekanie płynów wzdłuż wypukłości na bokach wózka prosto do zlewu uchodzącego do systemu utylizacji ścieków.

– Dobrze, panowie, podłączmy się – odezwała się Margaret. Sięgnęła do góry, po jeden z czterech zwisających z sufitu żółtych, skręconych spiralnie węży i podała go Marcusowi. Podłączył wąż z tyłu hełmu Margaret. Dotarł do niej krótki sygn

wdzierającego się do kombinezonu powietrza pod ciśnieniem, nieco go wydymając. Zegar dostępnego czasu pracy butli na wyświetlaczu hełmu zbladł do słabej poświaty, ustępując miejsca okrągłemu symbolowi zewnętrznego źródła tlenu. Przygasła również ikona łączności bezprzewodowej, zastąpiona kontrolką połączenia kablowego.

- Wyciągnijmy go z worka - zarządziła Margaret.

Po podłączeniu własnych hełmów Gitsham i Marcus rozpięli suwak zewnętrznego worka i go ściągnęli. Marcus włożył worek do czerwonej klapy śmietnika oznaczonej jaskrawopomarańczowym logo zagrożenia biologicznego, po czym powtórzyli proces dla drugiego worka i ułożyli ciało chłopca na stole.

Przez ciało Margaret przeszedł dreszcz. Koszulka z logo Milwaukee Bucks podwinęła się do samych pach dziecka. Kopniak Dawseya złamał mu przynajmniej osiem żeber, wgniatając je do środka niczym kawałki potłuczonej ceramiki. Jego kręgosłup pękł z prawej strony ósmego kręgu piersiowego, zginając go niemal pod kątem prostym w prawo. Na jego twarzy zastygła maska czystej furii, nawet po śmierci emanująca nienawiścią z szeroko otwartych oczu i wyszczerzonych zębów. Zbyt wiele razy widziała takie twarze. Twarze zarażonych.

- Gitsh, natychmiast wrzuc próbkę pod mikroskop, chcę zobaczyć stopień rozkładu, a potem przygotuj zastrzyki. Marcus, podaj prototyp testu wymazowego.

- Włącz rejestrację - rzuciła Margaret. W prawym górnym rogu jej wyświetlacza błysnęła zielona kontrolka sygnalizująca, że wszystko co widzi i słyszy jest nagrywane w pokoju kontroli.

- Jestem online, Margaret - usłyszała w słuchawce głos Otto. - Pozostałe ciała mam w drugiej przyczepie. Amos sprawdza malucha, ale wygląda nieźle. Użyłaś już prototypu testu?

- Poczekaj, właśnie to robię. - Wyciągnęła rękę, a Marcus podał jej małe białe urządzenie elektroniczne wielkości dwóch paczek papierosów połączonych końcami. Następnie otworzył małe opakowanie foliowe i wyciągnął dziesięciocentymetrowej długości plastikowy pręt, którego półtoracentymetrową końcówkę pokrywała wilgotna tkanina. Margaret przesunęła końcem z tkaniną po dziąsłach chłopaka i wewnątrz jego policzków.

Trójkąty zbierały powszechnie występujące w ludzkich ciałach cukry i przerabiały je na celulozę, która z kolei tworzyła materiał konstrukcyjny umożliwiający trójkątom rozwijanie się do pisklaków. Nie wiedziała, jaki był tego mechanizm, ale w organizmie gospodarza pojawiały się olbrzymie ilości celulozy, która normalnie występowała tylko w roślinach. Przypuszczała, że część celulozy mogła przedostawać się do krwi, a z niej do innych płynów fizjologicznych, włącznie ze śliną.

Prototyp nie miał wiele przełączników, a głównym elementem był rząd trzech czerwonych kontrolki przy górnym końcu: pomarańczowa, zielona i czerwona. Wsunęła plastikową wymazówkę do dopasowanego wielkością otworu w trzymanym urządzeniu, co wywołało migotanie pomarańczowej kontrolki informującej o wykonywaniu testu. Następnie miała się zaświecić zielona kontrolka, co świadczyłoby o braku śladów celulozy, lub czerwona, jeśli materiał występował w stężeniu większym niż można było znaleźć w dowolnej plamie z trawy.

Zabłysło czerwone światło.

- To działa! - wykrzyknęła Margaret. - Clarence, to *działa*.

- Doskonale - odpowiedział. - Natychmiast dam znać Murrayowi, mogą ruszyć z produkcją testerów. Świetna robota, Margaret, w końcu mamy coś, czego nam potrzeba.

- Dziękuję - odpowiedziała kobieta. Polubiła towarzyszący jej podczas pracy głos Clarence'a w swoim uchu. Siedział w pokoju komputerowym, zajmując się spełnianiem jej wymagań i wsłuchując się w wymianę teorii z Amosem podczas rozcinania zainfekowanych ciał.

Gitsh dotknął jej ramienia.

- Próbką na ekranie, Margo.

Odwróciła się, by spojrzeć na duży płaski monitor zamontowany na ścianie. To nie ona projektowała przyczepę, ale monitor był jej pomysłem. Zagłądanie w okular mikroskopu było irytujące - przesyłanie obrazu na duży ekran plazmowy pozwalało wszystkim zobaczyć, co dzieje się pod obiektywem.

Ekran pokazywał to, czego się spodziewała - czerwień, róż i biel silnie powiększonej tkanki i naczyń krwionośnych wraz z szarymi produktami rozkładu materii i czernią komórek od dawna zniszczonych przez reakcję łańcuchową apoptozy. Tylko około dwadzieścia pięć procent rozłożonych komórek, najlepsza próbka, jaką widziała. Mimo wszystko nie miała wiele czasu.

- Dobra, chłopaki - rzuciła Margaret, odwracając się z powrotem do stołu. - Musimy działać szybko.

Anthony użył nożyczek do rozcięcia żółtych spodni piżamowych i T-shirta dziecka, zostawiając na stole jego nagie ciało.

- Chłopiec rasy białej, wiek około sześciu lat - skomentowała Margaret. - Przerwany kręgosłup, potężne obrażenia zadane tęym narzędziem.

Jeszcze zanim zaczęła go rozcinać zobaczyła, że narządy wewnętrzne chłopca zostały zgniecione na miazgę. Gdyby nie zabił go stół, prawdopodobnie nie przeżyłby dłużej niż kilka minut.

- Jeden trójkąt nad żołądkiem - relacjonowała Margaret. - Mocno zniszczony, najniższy priorytet. Jeden z przodu górnej części prawego uda. Nietknięty. Najwyższy priorytet. Obróćcie go.

Asystenci odwrócili drobne ciało. Teraz jego złamane ciało odchyłało się w lewą stronę Margaret, zamiast w prawą.

- Jeden w dolnej części pleców, tuż nad ósmym kręgiem piersiowym. Całkowicie zniszczony. Najniższy priorytet. Brak innych widocznych trójkątów na ciele. Obróćcie go z powrotem i podajmy mu serię zastrzyków. Maksymalna dawka. Zajmę się prawym udem.

Delikatnie ułożyli złamane ciało z powrotem na plecach. Marcus rozłożył sześć dużych strzykawek, każda z długą igłą osłoniętą plastikowym kapturkiem. Margaret ostrożnie odsłoniła igłę pierwszej strzykawki i zajęła się obszarem wokół trójkąta.

Trójkąty po śmierci natychmiast wywoływały reakcję łańcuchową apoptozy, czyli swego rodzaju „samobójstwa” komórek. Apoptoza to normalny element mechanizmu utrzymywania zdrowia: czasami komórki żyją dłużej niż są potrzebne, stanowiąc

obciążenie dla organizmu, więc ulegają samozniszczeniu. Jednakże trójkąty wpływały jakoś na ten proces, zmieniając go w reakcję łańcuchową rozpuszczającą tkankę dorosłego człowieka w niecałe dwa dni.

Margaret zmierzyła się z tym problemem starając się uratować życie Perry'ego. Przeprowadziła na nim natychmiast zabieg chirurgiczny, aby usunąć wszelkie ślady martwych trójkątów gnijących w jego ciele. To nie zatrzymało apoptozy, ale ją spowolniło, dając jej dość czasu na znalezienie rozwiązania.

Apoptozę napędzają białka zwane *kaspazami*, czasami nazywanymi „katami” komórek. Kaspazy istnieją w formie nieaktywnej w każdej komórce, jednak gdy komórka ulegnie uszkodzeniu lub się zestarzeje, kaspazy ulegają aktywacji i doprowadzają do jej śmierci. U zdrowych osób tak zwane *białka inhibitorów apoptozy*, oznaczane IAP, zatrzymują proces rozkładu gdy tylko zginą właściwe komórki. Trójkąty modyfikowały ten prawidłowy proces przez neutralizację zdolności hamowania inhibitorów, pozwalając kaspazom przenosić zabójczą reakcję łańcuchową do sąsiednich komórek, które z kolei uwalniały *swoje* kaspazy, niszcząc *kolejne* komórki i tak dalej.

Walczyła z tym procesem, testując liczne leki hamujące kaspazy. Magicznym eliksirem okazał się być lek o nazwie WDE-4-11, który skutecznie wyłączał reakcję łańcuchową apoptozy. Umożliwiało to uratowanie ludzkiej tkanki, choć zwłoki trójkątów i tak rozkładały się w ciągu paru godzin.

Oznaczało to, że może operować na żywych gospodarzach usuwając trójkąty, a następnie użyć WDE-4-11 do zatrzymania apoptozy. Pomimo naiwnej, pełnej przemocy wiary Perry'ego, *mogła* ich uratować. Jednak kiedy by to zrobiła, uratowanie tkanki okazałoby się dopiero pierwszym krokiem – musiała jeszcze poradzić sobie ze skutkami umysłowymi. Dysponowała do tego całą baterią leków kontrolujących nastrój, włącznie z takimi, które stawiały czoło zaburzeniom równowagi chemicznej w mózgu Perry'ego i przywróciły go niemal do zdrowia psychicznego.

A przynajmniej wtedy tak sądziła.

Skupiła uwagę na wycinaniu trójkąta z nogi chłopca. Ludzka tkanka zostanie zachowana, ale trójkąt w ciągu kilku godzin zmieni się w czarny śluz, więc musiała się spieszyć.

## Urżnięty

Dew zaparkował lincolna przed motelowym pokojem Perry'ego. Deszcz z grudkami lodu ustąpił puszystym płatkom śniegu. Według miejscowego powiedzenia, jeśli nie odpowiada ci pogoda w Wisconsin, po prostu poczekaj dziesięć minut. Dew słyszał ten sam żart o Michigan, Ohio oraz Indianie... I pewnie we wszystkich tych miejscach był równie prawdziwy.

Perry spał na miejscu obok kierowcy, z piwem w lewej ręce, prawą wciąż przyciskając wymęczony sześciopak, w którym zostały już tylko dwie butelki. Dew nie miał ochoty robić za szofera dla świrniętego gnoja, ale nie zamierzał też wystawiać innych na niebezpieczeństwo.

- Obudź się - rzucił.

Perry nawet nie drgnął.

Dew wrzucił wsteczny, cofnął się ze dwa metry, wrzucił bieg, nadepnął na gaz i zaraz potem na hamulec. Potężne ciało Perry'ego poleciało do przodu, zwisając na pasie.

Mężczyzna uniósł głowę i zamrugał.

- Witaj w domu - rzucił Dew.

Perry obrócił się i popatrzył na niego zamroczonym wzrokiem.

- Dzięki, tatusiu.

Dew nie odpowiedział. Perry patrzył na niego z uśmiechem jeszcze przez kilka sekund wyglądając, jakby czekał na odpowiedź. Jednak bezskutecznie. Kiedy wysiadł, lincoln podniósł się o dobre dziesięć centymetrów. Rety, ależ ten dzieciak był *duży*.

Dew wyłączył silnik i także wysiadł. Jak zwykle, jego pokój mieścił się tuż obok Dawseya.

- Zostaniesz dzisiaj w swoim pokoju, Dawsey, czy będziesz szukał kolejnych dzieci do zabicia?

- Myślałem, że zabijanie dzieci to twoja fucha.

Dew potrząsnął głową. Cholerne nawiązanie do zabijania dzieci. Jasne, sam się wystawił, ale ten dzieciak, nawet pijany, doskonale potrafił deptać ludziom po odciskach.

- Wiesz co? - rzucił Dew. - Jestem na to za stary i zbyt zmęczony. Idę spać, a ty upij się do nieprzytomności. Tylko nie na śmierć, bo będę miał kłopoty.

Podszedł do swojego pokoju, otworzył drzwi i zamknął je za sobą, zostawiając Dawseya stojącego na śniegu.



Perry kiwnął głową. *Tylko nie na śmierć*. Dla tych ludzi był wyłącznie środkiem operacyjnym. Świrem. Otworzył drzwi do swojego pokoju, zamknął je za sobą i padł na łóżko, upuszczając przy tym piwo, które rozlało się na dywan. Nic nie szkodzi, miał jeszcze dwa. Przeturlał się na plecy i wbił wzrok w sufit, który całkiem solidnie wirował. Nie odrywając od niego spojrzenia wymacał kolejną butelkę, podniósł ją i

odkręcił kapsel. Odwrócił ją do góry dnem nad ustami. Większość piwa rozlała mu się po twarzy lub wylądowała na łóżku, ale część trafiła do ust, więc nie było tak źle.

- Dorwałem jeszcze kilku - powiedział Perry. - Zabiłem tych skurwysynów.

Bill nie odpowiedział. Nigdy nie odpowiadał na bezpośrednie pytania. Po prostu wyskakiwał niespodziewanie, od czasu do czasu mówiąc Perry'emu, żeby wziął pistolet i się zastrzelił.

*Bill.* Czemu, do cholery Margo, musiała go przywołać? Perry pił, żeby zapomnieć o Billu. Cóż, nie udało się. W sumie to nie udawało się nic, co robił Perry. Może z wyjątkiem sytuacji, gdy próbował kogoś skrzywdzić. Kogoś zabić. To udawało się za każdym razem.

Swoją drogą, o co właściwie chodziło Dewowi? Udawał, że tak się cholernie wkurzył z powodu tej rodzinki. Czemu nie rozumiał, ani on, ani pozostali? Tamci nie byli już ludźmi. Byli *ślabi*. Nie mieli *dyscypliny*. A to znaczyło, że musieli zginąć. Gdyby jedno z nich, którekolwiek, choćby *spróbowało* wyciąć trójkąty, Perry pozwoliłby im żyć. Może. Ale to nie miało znaczenia, bo jak dotąd nikt nie walczył.

Nikt oprócz niego.

Czemu? Czemu był wyjątkowy? Właściwie to znał odpowiedź: ponieważ jego wiecznie pijany, popierdolony, bijący żonę i dziecko ojciec utwardził go pasem.

Perry postawił butelkę z piwem na łóżku, tuż obok twarzy, po czym ją przechylił. Tym razem więcej płynu trafiło do jego ust, niż na łóżko. Twarz miał mokrą i lepłą.

Nie żywił żadnych uczuć w stosunku do zakażonych. Kompletnie. Na miłość boską, ten pieprzony dzieciak go zaatakował. Oni byli nie tylko zakażeni, ale i *głupi*.

To była ostatnia myśl, jaka pojawiła się w głowie Perry'ego, zanim po raz drugi tej nocy stracił przytomność.



## Podwórko Chuya Rodrigueza

Chuy Rodriguez mieszkał na rogu ulic Hammerschmidt i Sarah w South Bend, Indiana. Chuy miał żonę Michelle i dwoje dzieci: szesnastoletniego Johna i czternastoletnią Lolę.

Na ich podwórku za domem rósł słabo pokryty liśćmi dąb, którego atakowała jakaś choroba kory. Drzewo nie miało szans przetrwać więcej niż trzy do pięciu lat i Chuy już martwił się, jak pusto będzie wyglądać podwórko, kiedy będzie musiał je ściąć.

Tak naprawdę jednak to nie drzewo stanowiło powód do troski. Żeby go zobaczyć, należało popatrzeć prosto nad nim.

Jakieś sześćdziesiąt kilometrów do góry.

Gdyby tam popatrzeć, nawet używając silnego teleskopu, można byłoby nie zauważyć lekkiego rozmycia przypominającego drżenie gorącego powietrza. To rozmycie było skutkiem uderzania fal światła widzialnego w powierzchnię, prześlizgiwania się wzdłuż niej, a następnie mknięcia w dalszą drogę po niemal idealnym przedłużeniu oryginalnego kierunku.

Obiekt nie był *całkowicie* niewidzialny. Gdyby był wielki i zajmował pół nieboskłonu, do tej pory wszyscy by go już zauważyli, jednak ponieważ był niewiele większy od beczki z piwem, nikt go nie widział.

Obiekt był nieożywiony, zimny, wyrachowany. Nie odczuwał emocji. Gdyby je znał, to w chwili wyczucia, jak brama Marenisco znika w potężnym wybuchu, zapewne powiedziałaby: No żesz KURWA, znowu...

Powierzchnia obiektu była kiedyś gładka i wypolerowana, niczym kropla zaokrąglona na obu końcach zamiast tylko jednego, jednak to było w chwili wystrzelenia, przed długą podróżą, która sprowadziła go na geostacjonarną orbitę nad schorowanym dębem Chuya Rodrigueza.

Kosmos nie jest pusty, pełno w nim obiektów takich jak drobinki pyłu, kamienie, lód i całe mnóstwo różnych drobiazgów - rzecz w tym, że są rozrzucone, bardzo, *bardzo* daleko od siebie. Jednak jeśli podróżuje się dostatecznie daleko przez nie tak całkiem pusty kosmos, w końcu w coś się uderzy. W zależności od szybkości lotu, uderzenie nawet drobnego *pyłku* może spowodować całkiem spore zniszczenia. Skała w kształcie podwójnej kropli została stworzona tak, by móc lecieć pomimo tych zderzeń. Technologia w większości się sprawdziła, jednak pobrużdżona i nierówna powierzchnia obiektu była niemyym świadectwem starej prawdy znanej inżynierom - nie wszystko da się przetestować.

Obiekt był tak bliski spełnienia swojej misji, a jednak ponownie powstrzymano go, zanim można było otworzyć bramę, po raz kolejny przeszkodził mu zbuntowany gospodarz.

Zatrzymał go *Skurwysyn*.

Misja miała bardzo proste założenia. Leć wprost z rodzimej planety szukając sygnałów, które wskazywałyby na obecność inteligentnego życia. Jak już wspomnieliśmy, kosmos jest duży. Przeszukanie go pod kątem odpowiedniej planety wymagało inwestycji znacznie większych, niż niemal zabójczy dla ekonomii projekt,

który dawno temu zakończył się wystrzeleniem obiektu. Można było jednak ograniczyć liczbę miejsc przeszukiwanych pod kątem planety nadającej się do życia – wystarczyło znaleźć taką, która już była zamieszkała i przejąć ją dla siebie.

Emisja sygnałów świadczyła o kilku rzeczach. Po pierwsze, oznaczała planetę, która mogła utrzymać zaawansowane formy biologiczne, czyli przewidywalny zakres ciśnienia, gęstości, temperatury, składów gazów i cieczy. Po drugie, emisje oznaczały przewidywalny zakres zasobów – istniała spora szansa, że planeta składająca się wyłącznie z krzemu i siarki nie mogłaby doprowadzić do powstania technologii zdolnej do wysyłania w kosmos sygnałów elektromagnetycznych. Ostatnim i być może najważniejszym czynnikiem, o którym świadczyły emisje, była duża populacja zdolna do wykonywania zaawansowanych technologicznie czynności.

Co było ważne, jeśli chciało się zdobyć niewolników do budowy kolonii.

W końcu kolonie, podobnie jak eksploracja, są bardzo kosztownymi przedsięwzięciami, a wykorzystanie niewolniczej siły roboczej zapewniało tanie rozwiązanie tego problemu, eliminując przy okazji potencjalnego rywala międzygwiazdowego.

Jeśli wszystko dobrze się składało, a planeta miała odpowiednie ciśnienie i atmosferę, obiekt mógł brać się do pracy. Wysyłał na planetę maszyny, które mogły wybudować portal łączący dwa miejsca odległe od siebie tak bardzo, że żadna żyjąca istota, ani żadne potomstwo tej istotny nawet w bardzo odległym pokoleniu, nie zdołałoby przeżyć takiej podróży w żaden inny sposób. Portal umożliwiał natychmiastowe pokonanie takich odległości. Setki lat świetlnych w mgnieniu oka.

Obiekt, obecnie *satelita*, przybył do Układu Słonecznego jakieś dwadzieścia lat temu po wykryciu licznych sygnałów w zakresie radiowym, telewizyjnym i mikrofalowym. Zbliżał się powoli i ostrożnie, ponieważ zawsze istniało ryzyko, że życie rozumne było *zbyt* zaawansowane i mogło go wykryć. Satelita obserwował przez kilka lat, analizując i dochodząc w końcu do wniosku, że mógł bezpiecznie zająć niską orbitę stacjonarną bez ryzyka wykrycia.

Po dotarciu na pozycję, poświęcił kolejnych kilka lat na obserwację. Choć w emitowanych sygnałach pojawiały się liczne kształty i formy, niemal zawsze występowała forma dominująca. Dzięki wielokrotnej analizie obrazów satelita potrafił rozpoznać człowieka.

Po siedmiu latach poznał też możliwości technologiczne rasy ludzkiej, zidentyfikował główne centra populacji i co ważniejsze, obszary słabo zaludnione. Nie rozumiał języków, ale wcale nie musiał – słownictwo będzie mógł zgromadzić, gdy uda się program sond.

Satelita przynosił osiemnaście sond wielkości puszek z napojem, z których każda mogła wyrzucić na wiatr ponad miliard drobnych nasion. Nasionka składały się z dwóch głównych elementów: pierwszym była mikroskopijna maszyna wymagana do przeanalizowania potencjalnych gospodarzy i przejęcia ich procesów biologicznych, a drugim maleńki kawałek kryształu. Kryształek był identyczny jak w każdym z pozostałych nasionek, a co ważniejsze, również w satelicie. Ten niemożliwy do zastąpienia i wytworzenia na miejscu kawałek materiału był *matrycą*, urządzeniem

zmieniającym strukturę molekularną materiału biologicznego tak, że stawał się materiałem wymaganym do budowy bramy.

Pierwsza sonda była całkowitą porażką na skutek pechowej pogody. Druga sonda doprowadziła do powstania kilku połączeń, ale niestety wszystkie powstały w zwierzętach. Kiedy się tak stało, nasiona po prostu się wyłączały, bo na wpół uformowany trójkąt na ciele zwierzęcia w klatce lub zagrodzie mógł potencjalnie ostrzec ludzkość przed wiszącym nad nim zagrożeniem. Nasiona potrzebowały świadomych gospodarzy również do rozwinięcia robotników, którzy potrafiliby się porozumiewać i współpracować, używać narzędzi i pojazdów oraz poznać teren i potencjalne zagrożenia.

Dopiero nasiona z szóstej sondy wylądowały na istocie rozumnej. Choć umarły dość wcześnie, satelita był w stanie zebrać trochę informacji zwrotnych. Po przeanalizowaniu danych i zidentyfikowaniu głównych problemów odpowiednio zmodyfikował następną partię.

Siódma sonda dała lepszy wynik. Lepszy rozwój, włącznie ze skutecznym wyprodukowaniem materiału biologicznego wymaganego do budowy robotników. Tym właśnie były dziwne czerwone, niebieskie i czarne włókna, które ludzie zaczęli kojarzyć z chorobą Morgellonów.

Partie od osiem do dziesięć były coraz skuteczniejsze, tworząc pewne połączenia zalewające satelitę mnóstwem cennych danych. Urządzenie dowiedziało się dużo o strukturze DNA gatunku gospodarzy, doprowadzając proces budowy struktur do wysoce funkcjonalnego poziomu. Zbierało dane o składzie i strukturze mózgu zyskując ich dość, by móc wpływać na zachowanie gospodarza, skłaniając do trzymania się z dala od niezakażonych.

Partia jedenaście zapewniła kluczowe osiągnięcie – dostęp do wyższych funkcji mózgu gospodarza, włącznie z pamięcią i przetwarzaniem języka. Satelita rozpoczął tworzenie słownika obrazów, pojęć i słów. Jeden z gospodarzy znalazł nawet odpowiednią lokalizację dla portalu. Gospodarz – Alida Garcia – zginęła krótko potem, ale główne przeszkody zostały pokonane.

Dzięki temu partia dwanaście powinna się okazać tą właściwą.

W partii dwanaście powstało pięciu gospodarzy. Doszło też do zmiany języka, z hiszpańskiego na angielski. Słownictwo satelity rosło, umożliwiając mu zrozumienie coraz większej liczby sygnałów nadawanych z planety. Robotnicy dobrze przechodzili proces inkubacji i prawie dotarli do fazy wykluwania, zanim nieoczekiwane powikłania doprowadziły do śmierci gospodarzy, włącznie z Blaine Tanarive, Garym Leelandem, Charlotte Wilson i Judy Washington. Trójkąty Martina Brewbakera aktywowały się kilka dni po pozostałych, ale on też zginął.

Więcej danych, kolejne modyfikacje.

Tabele prawdopodobieństwa wskazywały, że partia trzynaście ma osiemdziesiąt dwa procent szansy na sukces. I wszystko wskazywało na to, że tak właśnie będzie, z licznymi nasionami kiełkującymi na jedenastu gospodarzach, prowadząc łącznie do siedemdziesięciu dwóch potencjalnych robotników. Pięćdziesięciu sześciu z nich zdołało się wykluć i dotrzeć do lokalizacji wskazanej przez Alidę Garcia.

Robotnicy zaczęli budować bramę i sukces wydawał się wysoce prawdopodobny, ale wtedy pojawił się zbuntowany gospodarz.

Gospodarz, który walczył, który zabił rozwijających się robotników i sprowadził wojsko ludzi. Robotnicy znaleźli nazwę dla tego gospodarza. Nazwali go *Skurwysyn*.

Satelita spróbował ponownie. Poza pewnymi drobnymi poprawkami biologicznymi partia czternaście zastosowała tę samą strategię, co trzynastka. Sondy zostały wysłane, nasiona wylądowały, embriony wykiełkowały, wykluli się robotnicy. Wszystko szło dobrze do czasu, aż satelita dowiedział się o jeszcze jednym nieprzewidzianym fakcie:

Zbuntowany gospodarz nadal *słyszał*.

Struktury wyhodowane w mózgach gospodarzy pełniły funkcję anten łączących embriony i gospodarzy, umożliwiając satelicie kierowanie nimi, prowadzenie ich i pomoc w odnalezieniu się, dzięki czemu mogły współpracować w odnajdywaniu lokalizacji bram. Zbuntowany gospodarz pozostał podłączony do tej sieci łączności.

Słyszał.

Dowiedział się o lokalizacji bramy w Mather.

I znowu sprowadził wojsko.

Tak *blisko*.

Udany projekt robotników najwyraźniej nie wystarczył do załatwienia sprawy. Satelita zmienił taktykę.

Partia numer piętnaście zadziałała idealnie. Rozproszyła się w pobliżu Parkersburgh w Zachodniej Wirginii i wygenerowała sześciu gospodarzy, z których wszyscy dotarli do lasu w pobliżu Południowego Bloomingville zanim doszło do wyklucia robotników.

Wystrzelona zaledwie kilka godzin później partia numer szesnaście rozprzestrzeniła się nad Glidden w Wisconsin.

Partie piętnaście i szesnaście wykluły się w rekordowym czasie i bardzo szybko zbudowały swoje bramy. Satelita aktywował bramę w Południowym Bloomingville jako przynętę, ściągając tam wojsko.

Skurwysyn znalazł *obie* bramy.

Po tych wszystkich próbach satelicie zostały już tylko dwie sondy. Jeśli one nie zadziałają, cała misja okaże się porażką.

Musiał znowu zmienić strategię.

Duży wybuch, który zniszczył bramę Marenisco wykazał, że ludzie potrafili reagować szybko i z użyciem olbrzymiej siły. Umieszczanie bram w odległych, pustych rejonach z początku wydawało się najlepszą strategią, jednak pozwalało także na stosowanie dużej siły ognia bez narażania lokalnych mieszkańców.

Robotnicy potrzebowali też ochrony. Zostali zaprojektowani do wykluwania się z gospodarzy, a potem *budowania*, nie *walki*. Mogli zabijać, ale zdecydowanie nie byli w stanie poradzić sobie z siłami ludzi reagującymi na każdą z bram. Robotnicy potrzebowali *obrońców*, czegoś, co mogłoby zająć uwagę wojska i walczyć dość długo, by pozwolić robotnikom na aktywowanie bram.

A ponieważ obrońcy nie mieli budować bram, nie potrzebowali też matrycy. Co było dobre, ponieważ otwierało pole do zastosowania nowej strategii. Skoro projekt nowego

obrońcy nie wymagał matrycy, obrońcy mogli robić coś, do czego nie byli zdolni wyposażeni w matrycę robotnicy – nowy model mógł się *rozmnażać*.

Satelita rozpoczął modyfikację następnej partii nasion.

# **DZIEŃ DRUGI**

## Zabawa ze skuterami

Spotkanie rodziny Jewellów zapowiadało się na wielki sukces i Donald Jewell nie mógł się z tego nie cieszyć.

Owszem, Jewellów nie zostało zbyt wielu.

Mama z tatkiem Jewellem odjechali tym wielkim śnieżnym szlakiem na niebie, mama pięć lat temu, tatko niecałe sześć miesięcy później. Zostawili po sobie trójkę dzieci: Mary, Bobby'ego i Donalda.

Mary Jewell-Slater mieszkała teraz z mężem w Londynie i nie bardzo mogła przylatywać na spotkania z rodziną w każde święta. Zadzwoiła, to wystarczyło.

Bobby Jewell mieszkał teraz w domu po mamie i tacie. Ożenił się ze szkolną miłością, Candice, i szybko dorobił się rozkosznego bobaska imieniem Chelsea, który był teraz siedmioletnią, inteligentną dziewczynką z blond loczkami.

Najstarszy członek klanu Jewellów, Donald, rozwiódł się ze swoją wredną żoną Patty cztery lata temu. Patty dostała opiekę nad ich córką Betty, która miała wtedy dwanaście lat, a teraz wyrosła na wyjątkowo atrakcyjną szesnastkę. Patty wyprowadziła się z ich domu w Gaylord w Michigan do Atlanty, zabierając Betty daleko od rodziny. Warunki rozwodu zakładały, że Betty mogła spędzać z tatą co drugie święta, więc pierwsze spędziła z mamą, potem z Donaldem i tak dalej. To były jej drugie święta z tatą od rozwodu.

Mieszkający teraz w Pittsburghu Donald rozmawiał z córką przez telefon przynajmniej co drugi dzień, spotykali się też z użyciem kamerki przez internet, pisali e-maile, a nawet zwykłe, staromodne listy. Byli ze sobą tak blisko, jak to tylko możliwe w przypadku ojca i córki, których oddziela tysiąc kilometrów.

Donald przyglądał się z oddali jak jego dziewczynka wyrasta z niezdarnej dwunastolatki na olśniewającą nastolatkę, która mogłaby ozdobić okładkę niemal dowolnego miesięcznika. Bardzo przypominała matkę, co irytowało Donalda, ponieważ łagodziło to trochę jego nienawiść do Patty. Uważał, że może być nieco stronniczy odnośnie do wyglądu córki, ale kiedy pokazał jej zdjęcia swoim współpracownikom, ich gwizdy potwierdziły jego obawy. Niestety doprowadziły też do kilku bójek. Gwałtowny temperament, który według Patty był powodem rozwodu, nie zniknął. Przydzielony mu przez sędziego psycholog nazywał to „problemami z kontrolą impulsów”. Psychiatra przepisał mu pigułki, a Donald skłamał mówiąc, że je łyka. Wszyscy byli zadowoleni.

Jego córeczka rosła tak szybko, a on nie chciał, żeby straciła kontakt z rodziną, stąd spotkanie tu, w Gaylord. To wymagało, by Betty przyleciała z Atlanty do Pittsburgha, a potem musieli spędzić osiem godzin w samochodzie, by dotrzeć do Gaylord. Czy ta jazda ich zniechęciła? Ależ skąd, rozmawiali przez całą drogę. Donald dowiedział się więcej, niż kiedykolwiek chciał wiedzieć o popularnej muzyce, modnych ciuchach, szkolnych plotkach i wbijaniu szpil koleżankom, i strasznie mu się to podobało.

Po dotarciu do Gaylord zniknęła dziewczyna z Południa, ustępując miejsca dziewczynie z Północy. Betty nie używała skutera śnieżnego od dwóch lat, a jednak nie

zapomniała, jak się jeździ. Ubrana w biały kombinezon pędziła na niebieskim skuterze przez otwarte pole, mając za plecami zmniejszającą odległość ojca. Donald słyszał jej śmiech nawet przez ryk silników Arctic-Cat i świst wiatru. Zobaczymy, jak Patty zdoła wygrać z *tym*. Bobby był przynajmniej sto metrów za nimi. Nie miał w sobie agresji, którą najwyraźniej dzielili Donald i Betty.

Dziewczyna coś krzyknęła. Donald miał wrażenie, że było to coś w stylu „spróbuj mnie złapać, staruszkę”, ale nie miał pewności.

Cała okolica należała do Bobby'ego. Były takie miejsca na ziemi, gdzie dwadzieścia akrów uważano za „posiadłość”, jednak w okolicach Gaylord w Michigan mówiono na to „kawałek ziemi”. Głównie stare pola kukurydzy, trochę pokrytych śniegiem łąk oraz wysokie, zielone sosny, pozbawione liści dęby i brzozy. Bobby mieszkał dokładnie pośrodku tego wszystkiego, w całkowitym odosobnieniu – samo dotarcie z domu do drogi zajmowało dwie minuty.

Betty skręciła w lewo, podążając za ścieżką omijającą kępę sosen. Zwolniła na początku zakrętu, a potem zwiększyła obroty, przyspieszając przy wyjściu z łuku, i na kilka sekund zniknęła z pola widzenia, zanim Donald pokonał łuk jej śladem.

Kiedy znowu ją zobaczył poczuł, jak serce skacze mu do gardła. Dalej z przodu ścieżka krzyżowała się z pokrytą śniegiem drogą, po której jechał ze sporą prędkością białobrązowy kamper Winnebago.

– Zwolnij, dziewczyno – wysyczał Donald. Betty nie mogła go usłyszeć ani czytać w jego myślach, bo jeszcze przyspieszyła. Donald próbował ją dogonić i odciąć jej drogę, ale dziewczyna maksymalnie otworzyła przepustnicę.

Kamper zaczął trąbić, ale nie zwalniał. Betty najwyraźniej spodziewała się, że to zrobi. Czując wzbierające mdłości, Donald śledził trajektorie obu pojazdów. Dziewczyna nie miała szans przejechać przed samochodem.

Betty najwyraźniej w końcu to zrozumiała i ścisnęła hamulce. Tył skutera pojechał w prawo, wzbijając przed sobą chmurę białego puchu. Skuter wytracił większość pędu, ale i tak się przewrócił. Betty zeskoczyła z przewracającego się pojazdu i poleciała do przodu. Zdołała wylądować na nogach i jechała na nich przez kilka metrów, zanim w końcu upadła. Skuter sunął wzdłuż ścieżki jeszcze przez trzy metry, nieruchomiejąc w końcu na samym brzegu drogi.

Kamper przejechał tuż obok, ciągnąc za sobą chmurę wzbitego śniegu. Duży pojazd zwolnił, wyraźnie hamując ostrożnie na zaśnieżonej drodze.

Donald wyhamował skuter i zeskoczył z maszyny. Betty już siadała na śniegu. Siadała ze śmiechem.

– Nic ci nie jest, Betty?

Dziewczyna zdjęła kask, spuszczać na ramiona białego kombinezonu czarne włosy. Jeszcze raz zaśmiała się głośno, a potem się skrzywiła.

– Au – rzuciła, krzywiąc się. – Tatusiu, chyba boli mnie pupa.

Usłyszał, jak kamper wreszcie staje, a równocześnie zbliżył się skuter jego brata. Donald nie zwrócił uwagi na te dźwięki, był zbyt wściekły.

– Co ty *u diabła* wyprawiasz, Betty Jean Jewell?



- Oczywiście próbowałam z tobą wygrać - niewinnie odpowiedziała Betty. - Gdybym zdołała przejechać przed tym samochodem, musiałbyś zahamować i wtedy bym wygrała.

- *Idiotka*. Mogłaś zginąć.

- *Spokojnie* - Betty niedbale machnęła ręką. - Przecież nauczyłeś mnie, jak wyhamować skuter. Nic mi nie jest.

- Więcej nie wsiądziesz na skuter, bez dyskusji.

Uśmiech Betty zgasł.

- Ale tato, poważnie, nic mi nie jest. Chyba trochę za bardzo się przejąłeś.

Znowu tracił panowanie nad sobą, co już tyle razy spieprzyło mu życie. Odetchnął głęboko i popatrzył w dal, żeby się opanować.

I udałoby mu się, gdyby nie kierowca kampera.

- Ty głupia gówniario! - wrzasnął mężczyzna. - Co to był za porąbany wygłup?

Donald podniósł wzrok. Kierowca, rudobrody, starszawy mężczyzna, wysiadł z winnebago i podchodził do nich. Podszedł już na trzy metry. Furia Donalda natychmiast wrzuciła bieg, zasilana ostrym językiem skierowanym przeciwko jego córce.

- Nie wrzeszcz na nią, głupku, to ty tu pędziłeś jak wariat.

- Jechałem przepisowo, palancie.

- Tato, proszę - wtrąciła się Betty.

Donny jej nie usłyszał, już za bardzo dał się ponieść.

- Palancie? *Ja* jestem palantem? Słyszałeś kiedyś o pierdolonym hamulcu?

Gdzieś w głębi głowy Donald zarejestrował odgłosy zwalnającego i zatrzymującego się skutera śnieżnego brata.

Mężczyzna wskazał na zaśnieżoną drogę.

- *Widzisz* te pokryte śniegiem kamienie, geniuszu? Myślisz, że mógłbym zatrzymać na tym *dom na kółkach*?

- W takim razie może powinieneś się załapać na lekcje jazdy, dupku. Mogłeś zabić moją córkę.

- *Ja* miałbym zabić *ją*?

- To właśnie powiedziałem, kretynie.

- Donny, Mark, przestańcie - krzyknął Bobby, ale żaden z mężczyzn nie zwrócił na niego uwagi.

- Skoro to twoja córka - warknął kierowca - to może przejechanie jej przysłużyłoby się puli genowej ludzkości.

To była ostatnia iskra. Donald zerwał kask i gwałtownie ruszył do przodu.

Po czym znieruchomiał, widząc przed sobą lufę pistoletu.

- Tato! - wrzasnęła Betty.

- Nie tak szybko, gościu - warknął brodac. - Wcale nie mam ochoty na mordobicie.

- Uch, hej - odezwał się Bobby. - Mark, czy mógłbyś to opuścić?

Mężczyzna popatrzył w prawo, ale broń dalej trzymał wycelowaną w Donalda.

- Znasz tego palanta, Bobby?

Donald stał całkowicie nieruchomo.

- Uch... Tak - wydusił z siebie Bobby. - To mój brat, Donny. Uch... Donny, to mój sąsiad, Mark Jenkins.

- Miło mi poznać - powiedział Donald, bardzo uważając, żeby się przy tym nie ruszyć.

Brodacz przeniósł wzrok z Bobby'ego na Donalda, potem z powrotem na Bobby'ego.

- Och - stwierdził i opuścił pistolet. - No cóż, w takim razie przepraszam.

Z płuc Donalda uciekło głębokie westchnięcie.

- Przepraszam za wycelowanie w twój brata, Bobby, ale wyraźnie chciał mnie zaatakować. - Zabezpieczył broń, po czym sięgnął do tyłu i schował ją gdzieś za szeroki pas. Przez chwilę wszyscy stali w milczeniu.

- To trochę niezręczna sytuacja - ciszę przerwała Betty.

- Jak tam polowanie? - zapytał Bobby.

- Wielka porażka - odpowiedział Mark. - Zabrałem wszystkie te nowe strzelby, ale jelenie mnie olały. Słuchaj, Bobby, to chyba nie jest najlepsza chwila na pogaduszki. Może przyjdziecie do mnie z rodziną na kolację? W przyszłym tygodniu.

- Umowa stoi - odpowiedział Bobby. - Do zobaczenia.

Mark kiwnął głową, odwrócił się i ruszył do swojego kampera. Jewellowie przyglądali się jak wsiada i odjeżdża.

- Ten pistolet jest legalny? - zapytał Donald.

Bobby wzruszył ramionami.

- Pewnie tak. Dobrze wiesz, że tutaj nie zadaje się takich pytań. Facet wprowadził się w zeszłym roku. Wyraźnie ma słabość do Candice.

- Serio?

- Serio - zapewnił Bobby. - Wcale się z tym nie kryje. Normalnie by mnie to wkurzyło, ale w sumie może patrzeć, ile chce. I staram się nie robić z tego problemu z powodów, które chyba już rozumiesz.

- Jasne - rzucił Donald. - Chyba rozumiem twoją pozycję.

- *Bosz*, tato - jęknęła Betty. - Czasem jesteś *straszonym* dupkiem. Możesz podnieść mój skuter, żebym mogła wrócić do domu wujka Bobby'ego i umrzeć ze wstydu?

Donald zrobił to, o co go prosiła. Dziewczyna wskoczyła na skuter i pomknęła ścieżką. Bracia Jewell patrzyli, jak odjeżdża.

- Naprawdę potrafi to prowadzić - zauważył Bobby.

Donald kiwnął głową.

- Wiesz co, Donny, spróbuję zgadnąć. Nie bierzesz swoich leków, co?

Donald przecząco potrząsnął głową.

- Domyśliłem się. Wiesz, podoba mi się twoja konsekwencja. Nigdy się nie uczysz. Chodź, Candice szykuje obiad, a moja córka, Blond Tornado, chce oglądać Pistonsów z *ujkiem Donnym*. Dasz radę bez zbijania kogoś na kwaśne jabłko?

- Spróbuję dać szansę zespołowi.

Wsiedli na skutery i ruszyli ścieżką śladem Betty. Donald czuł się jak skończony idiota na skutek całkowitej utraty panowania nad sobą w obecności córki. Co by było, gdyby facet nie był sąsiadem Bobby'ego? Co by było, gdyby był po prostu jakimś palantem z bronią? Wtedy Donald i jego córka mogliby się znaleźć w naprawdę

niebezpiecznej sytuacji. Może jednak zacząć łykać te leki, jak tylko wróci z powrotem do domu.

## Hotelowa kawa

Dew siedział w swoim pokoju w motelu, popijając filiżankę motelowej kawy. Pamiętał jeszcze, kiedy szczytem mody było posiadanie w pokoju hotelowym jednego z tych maleńkich ekspresów na jedną filiżankę. Teraz były wszędzie i wszystkie oszczędzały na niezbędnych dodatkach: kto, u diaska, robił kawę tylko z jedną śmietanką i jedną porcją cukru?

Choć kawa była kiepska, potrzebował strzału kofeiny przed czekającą go rozmową. Trzymał filiżankę w jednej ręce, a drugą ścisnął wielki jak cegła, szyfrowany telefon satelitarny.

- To była rzeźnia, Murray - powiedział Dew.

- Tym razem nieźle to spieprzyłeś, *Sierzancie* - Murray odpowiedział używając stopnia Dewa z czasów, gdy razem służyli. Dew nie cierpiał tej ksywy, a Murray doskonale o tym wiedział. - Wystawiłeś mnie na strzał - wyjaśnił. - Nowa szefowa gabinetu będzie chciała przez to moich jaj na złotej tacy. Powiedziałem im, że Dawsey jest pod kontrolą.

- No cóż, to było dość głupie, *Dowódco*. - Użycie starej ksywy Murraya było dla nazwanego w ten sposób mężczyzny równie irytujące, jak „Sierżant” dla Dewa. - Nie jest tak źle - stwierdził Dew. - Przynajmniej Margaret ma ten test do wykrywania gospodarzy. To duży krok do przodu.

- Prawda, i to trochę pomoże - przyznał Murray. - Choć nie wiem, czy wystarczy. Baba wyraźnie mnie nie lubi.

- Może pomoże coś jeszcze - zaoferował Dew. - Już po tym, jak wysłałem raport, chłopaki znalazły córkę, Sarę McMillian, w płytkim grobie na podwórku za domem. Zabito ją uderzeniem młotka w głowę, więc Dawsey raczej nie robił tu rzezi niewiniątek.

- Nieźle - przyznał Murray. - Jak niemowlę i najstarszy syn?

- Niemowlę w porządku. Bez infekcji. Co do najstarszego syna, Tada, to fizycznie jest w porządku. Psychicznie... Cóż, okazuje się, że ojciec kazał mu wykopać grób dla siostry.

- Poważnie?

- Absolutnie - zapewnił Dew. - Tak powiedział chłopak. I pewnie mówi prawdę, bo ma pełno pęcherzy na dłoniach. Dość ciężko kopie się w zamrażniętej ziemi, i stąd ten *plytki grób*.

- Jezu. Cóż, w tej sytuacji pewnie mogę powiedzieć, że Dawsey uratował Tada. Mniej świr, bardziej dzielny bohater.

- Murray, słuchaj. Zastanawiam się, czy już nie pora na odstawienie Dawseya.

Chwila ciszy.

- Zdefiniuj *odstawienie*.

- Nie *tego* typu. Sanatorium czy coś takiego. Więzienie o zastrzyżonym rygorze. Wszystko jedno.

- Daj spokój, Dew - odpowiedział Murray. - Wiesz, że nie możemy tego zrobić.

- Zaatakował dwóch agentów.  
- Baumgartner ma złamany nos, a Milner podbite oko - obronnym tonem odpowiedział Murray. - Pewnie zdarzały im się gorsze rzeczy przy grze w baseball.  
- To nie ma znaczenia. Atak na agenta to przestępstwo federalne.  
- I co, może nagle zaczniesz przestrzegać litery prawa? Nie ma sprawy, Sierżancie. Może wsadzą nas do jednej celi i będziemy mogli sobie powspominać stare czasy, zanim posadzą nas na krześle.

Dew nie odpowiedział.

- Tak właśnie myślałem - mruknął Murray. - Wiesz co? Ten dzieciak wcale nie różni się od nas. Po prostu nie ma odznaki.

To naprawdę zabolalo. Czy Dew naprawdę był taki jak Perry? Gotów zrobić wszystko, żeby tylko wykonać zadanie? Nie, różnili się z jednego kluczowego powodu, do którego Dew nie chciał się przyznać: zabił dużo więcej ludzi, niż Dawsey.

- Zniszczył tamten samochód - dorzucił Dew. - A teraz chce następny.

- To mu kup. To tylko pieniądze podatników. I przestań już narzekać na tego chłopaka. Dew, potrzebujemy żywego gospodarza.

- A jak myślisz, czemu do kurwy nędzy narzekam *na* niego? Jak mam zdobyć żywego gospodarza, gdy Dawsey gania i zabija ich jak jakieś dzikie zwierzę?

Murray milczał przez chwilę.

- Co ci się u diabła stało, Dew?

- Chryste - jęknął Dew. - Zamierzasz mi puścić gadkę motywacyjną?

- Zamknij się, do cholery, i posłuchaj - warknął Murray. - To rozkaz. Kiedyś twoja praca polegała na zmuszaniu ludzi, żeby cię słuchali, bo jeśli by tego nie robili, pewnie szybko by zginęli, a ty razem z nimi. Teraz jest tak samo. Znajdź sposób, żeby wykonać zadanie. Zrób to w ramach dostępnych środków. Nie chcę słyszeć nic na temat przeszkód ani presji, pod jaką działasz.

- A może byś tu przyjechał i sam zobaczył, jak to wygląda, a *potem* gadał o presji? - rzucił Dew. - W każdej chwili mogę się z tobą zamienić.

- Vanessa Colburn zjadłaby cię żywcem - odpowiedział Murray. - Nie przetrwałbyś tu nawet pięciu minut, tak samo jak ja nie przeżyłbym pięciu minut tam. Co do diabła jest z tobą nie tak? Pozwalasz, żeby zabili ci partnera i sądzisz, że to zwalnia cię ze znalezienia sposobu na wykonanie zadania?

Dew powoli odetchnął głęboko.

- Od tej chwili lepiej bardzo uważaj, jak dobierasz słowa, Dowódcu.

- Och, daj spokój z dramatycznym twardzielem - warknął Murray. - Malcolm nie żyje. Poradź sobie z tym. Chcesz im odpłacić, prawda?

- Masz cholerną rację, że chcę.

Dokładnie tego chciał. Bardziej niż czegokolwiek innego, poza magicznym eliksirem, który przywróciłby Malcolma z powrotem pośród żywych.

- To właśnie ty możesz to sprawić - stwierdził Murray. - Możesz mi wierzyć, że nie dostałeś tej roboty dzięki swojej urodzie albo sprawności fizycznej. Jesteś stary, masz brzuch i niesprawne biodro. Na twoją korzyść przemawiają tylko dwie rzeczy: strzelasz,

kiedy ci się każe, i potrafisz znajdować rozwiązania. Więc zmuś Dawseya do gry zespołowej i zdobądź. Mi. Żywego. Gospodarza.

Murray się rozłączył.

Może i był dupkiem, ale ta świadomość nie wystarczała, by pozbyć się dręczącego wrażenia, że mógł mieć rację.

- I dlatego właśnie dają ci takie trudne sprawy, staruszkule - Dew powiedział do pustego pokoju. - Ponieważ potrafisz znajdować rozwiązania.

W takim razie jak miał dotrzeć do „Strasznego” Perry’ego Dawseya?

## Najważniejszy posiłek dnia

Czasami posiadanie tajnego budżetu było czystą przyjemnością.

Śniadaniowa Buda Boba wcale nie była budą. W zasadzie była to część motelu – miła i elegancka knajpa na dwadzieścia stolików, z których cztery tworzyły prawie osobną salkę. Za niewielką opłatą wynoszącą pięć portretów Bena Franklina – ozdobionych liczbą „100” – ludzie Dewa mieli całą salkę dla siebie.

Pieprzyć. W końcu to tylko pieniądze podatników.

W końcu nie mogli wiecznie przesiadywać w salce komputerowej Margo Mobilu. Wykupienie pokoju na tyłach restauracji pozwoliło im swobodnie rozmawiać. Dew siedział przy stole z Clarence’em Otto, Amosem Braunem i Margaret Montoyą. Gitsh, Marcus, Milner z podbitym okiem i Baumgartner z klamrą na nosie siedzieli przy drugim. Marcus pogwizdywał cicho melodię z *House of the Rising Sun* Animalsów.

Pozostałych, po zabezpieczeniu miejsca, Dew wysłał wczoraj wieczorem do domu. I tak byli to miejscowi, których używał do pomocy, gdy byli potrzebni – dzięki temu miał dostatecznie dużą siłę ognia, przy równoczesnym ograniczeniu liczby ludzi, którzy znali całą historię.

Amos trzymał przed sobą otwarte menu i ledwo było go nad nim widać. Dew rozważał przez chwilę przytyk o foteliku dla dzieci, ale uznał, że Amos musiał słyszeć ten tekst już z milion razy.

Nie robili tego za często, może dwa-trzy razy w tygodniu. Dew nie tylko nie mógł się doczekać tych spotkań, aktywnie pilnował, by się odbywały. Cała sytuacja zrobiła się na tyle mroczna i ponura, że potrzebowali chwil na rozluźnienie się, a spotkania przy śniadaniu zapewniały rzadką okazję do zrobienia czegoś *normalnego*, do śmiechu i żartów, nawet jeśli przez większość czasu był to wisielczy humor.

– No dobra, Margaret – odezwał się Dew. – Poproszę o podsumowanie wczorajszych autopsji.

Podniosła wzrok znad karty.

– Co, tutaj?

– Zgadza się, tutaj. Jestem przekonany, że Rusczy nie zainstalowali podsłuchu w Śniadaniowej Budzie Boba.

– Rusczy? – zdziwił się Otto. – Czy to stwierdzenie nie zdradza twojego wieku?

– Właściwie, mój niedouczony kolego – wtrącił się Amos – *Rusczy* to bardzo odpowiednie określenie, ponieważ teraz mamy kraj, który nazywa się *Rosja*. *Komuchy* byłoby nieodpowiednie, ponieważ nie ma już ZSSR.

Otto zmarszczył brwi, ale po chwili się uśmiechnął.

– Hej, mały białasiu, czy ty mi czasem nie wisisz dwóch dych?

– Och, szlag – rzucił Amos. – Zgadza się.

Sięgnął po portfel i wyciągnął z niego mocno poskładaną dwudziestkę.

– A to za co? – zainteresowała się Margaret.

Otto schował pieniądze.

– Wczoraj wieczorem założył się, że Dawsey mnie zabije.

Margaret aż zatchnęło ze zdumienia.

- Amos! Powiedz, że tego nie zrobiłeś!

- Przecież mu zapłaciłem, prawda?

Potrząsnęła głową i posłała mężczyznom gniewne spojrzenie.

- Wiecie co, to nie jest temat do żartów.

- Wolę się śmiać, niż płakać - odpowiedział Otto. - Czy coś w tym stylu. Wygrałem dwadzieścia dolców, to chyba najważniejsze?

Przyszła kelnerka, zebrać ich zamówienia, więc przestali rozmawiać do czasu, aż wyszła.

- No dobra - Dew przypomniał o sobie. - Wróćmy do rzeczy. Po pierwsze, Margo, gratuluję stworzenia testu do wykrywania trójekątów.

Otto i Amos zamarkowali bicie brawa.

Margaret się zaczerwieniła.

- Och, to była praca zespołowa.

Amos się roześmiał.

- Oduść sobie, panno Skromność. To był twój pomysł, który się sprawdził.

- Czego jeszcze dowiedzieliście się z tych ciał? - zapytał Dew.

- Niczego całkiem nowego - odpowiedziała Margaret. - Choć doprecyzowaliśmy wiele z tego, co wiedzieliśmy wcześniej. Udało się nam z Amosem zrobić świetne zdjęcia interfejsu nerwowego pasożytów, najlepsze jak dotąd. Tak samo z podłączeniem do układu krążenia. Wydaje mi się, że udokumentowaliśmy sposób, w jaki to coś łączy się z tymi układami, choć interakcja z mózgiem wciąż pozostaje bardzo niepokojąca. Te pasożyty ewidentnie więcej od nas wiedzą o mechanizmach działania naszych mózgów.

- A co z wektorem? - zapytał Dew.

Potrząsnęła głową.

- Nadal nic. Mnóstwo informacji na ten temat pochodzi zazwyczaj z wywiadu z ofiarami, dzięki czemu można się dowiedzieć co jadły, piły, gdzie były, kogo dotykały, tego typu rzeczy. A tymczasem jedyna osoba, która *może* o tym mówić, nie chce tego robić.

- Cholerny Dawsey - burknął Dew. - A co z liczbą gospodarzy tym razem? Była ich trójka i straciliśmy te trzy staruszki spalone przez Perry'ego. Czy ta liczba ma jakieś znaczenie?

- Raczej nie - odpowiedział Amos. - Widzieliśmy przypadki z tylko jednym gospodarzem, jak Perry, albo z dwoma lub trzema. Bardziej znaczący jest fakt, że to była jedna rodzina, mieszkająca pod jednym dachem, więc prawdopodobnie jedli to samo i wspólnie podróżowali. Tamte trzy staruszki też razem mieszkały w domu starców. Codziennie razem chodziły na spacer. To sugeruje, że niezależnie od tego, czym jest wektor, może zaatakować część lub wszystkie osoby na określonym terenie.

- Czy mogły to sobie nawzajem przekazać? - zapytał Dew. - Jedna ulega zakażeniu, a potem przekazuje to następnym?

Margaret potrząsnęła głową.

- Wszystkie trójkiąt McMillianów były na tym samym stadium rozwoju, co wskazuje, że wszyscy złapali chorobę równocześnie. Plus pod tym samym dachem mieszkały



jeszcze trzy osoby, które *nie* miały trójkątów. Na ile możemy stwierdzić, to nie jest choroba zakaźna.

- Co samo w sobie jest bardzo interesujące - odezwał się Amos. - Brama była gotowa, prawda? Były tam pisklaki, które już zdążyły się wykluć, więc jeśli wszyscy McMillianowie mieli pasożyty na tym samym etapie rozwoju, musieli złapać je później niż pozostali gospodarze. Czemu byli spóźnieni?

- Ewidentnie później ulegli zakażeniu - zgodziła się Margaret. - Cokolwiek to jest, czy coś, czego dotknęli czy zjedli, zakażeni członkowie rodziny zostali na to wystawieni równocześnie. Niestety to wciąż nie daje nam żadnych wskazówek dotyczących wektora. Amos, czy Tad coś powiedział?

Amos pokręcił głową.

- Okazuje się, że przez dłuższy czas za karę był uziemiony. Rodzice kilka razy zostawiali go w domu, więc mogli złapać to podczas zakupów czy gdziekolwiek poza domem.

- Chłopak zostanie przesłuchany przez zespół FBI - wtrącił Dew. - Może zdołają coś znaleźć, gdy zbiorą wszystkie informacje na temat McMillianów.

Margaret wyciągnęła się nad stołem i chwyciła dłoń Dewa.

- To wszystko bardzo przydatne, Dew, ale my *mamy* już kogoś, kto był zakażony. Gdyby Perry się otworzył, powiedział nam coś o swoim zachowaniu w ciągu dni poprzedzających infekcję, to dałoby nam jakieś informacje na start. Mógłbyś jeszcze raz z nim porozmawiać?

Dew przewrócił oczami.

- Co to jest, do cholery, Międzynarodowy Dzień Zrzucania Wszystkiego na Phillipa? Właśnie odbyłem tę rozmowę z Murrayem, dziękuję.

- No proszę - rzuciła Margaret. - I co powiedział nasz nieustraszony przywódca?

- Kazał mi znaleźć jakiś sposób na dotarcie do Dawseya. Brzmi znajomo?

Margaret nachyliła się do przodu, opierając się łokciami o blat stołu i skierowała widelec w stronę Dewa.

- Próbowaleś grozić Perry'emu i to wyraźnie nie zadziało. Próbowaleś go oszukać śledząc go, żeby złapać go zanim zabije gospodarzy i to *też* nie zadziało. A czy próbowałeś być dla niego miły?

- Mam być dla niego *miły*? - odpowiedział Dew, z każdym słowem głośniejsze. Wskazał Milnera i Baumgartnera. - Popatrz na ich twarze, Margo, a potem jeszcze raz mi powiedz, że mam być miły dla Dawseya.

Margaret przechyliła głowę na prawo.

- A co ci faceci mieli zrobić, gdyby dogonili Perry'ego, Dew?

Mężczyzna nie odpowiedział.

- No powiedz.

Dew zgrzytnął zębami.

- Mieli rozkaz unieszkodliwić go taserami - wyjaśnił.

- I co potem?

Dew uciekł wzrokiem.

- A potem zakuć go w kajdanki i podać mu środek usypiający.

Margaret tylko kiwnęła głową z uśmiechem. Ta kobieta była zbyt bystra dla swojego własnego dobra.

- Ty byłaś dla niego miła - odezwał się Dew, zaskakując samego siebie nadąsanym tonem swojego głosu. - I co ci to dało?

- Jestem kobietą, Dew. Może to dla ciebie nowość, ale zasadniczo Perry nie ma zbyt wysokiego mniemania o kobietach. Spędziłam z nim wiele czasu, gdy dochodził do siebie. Mogę być cały czas dla niego miła, on będzie miły dla mnie, ale i tak nie będzie mnie *śluchał*.

- To seksistowskie - rzucił Dew. - Jestem oburzony.

Margaret kiwnęła głową.

- Niestety nie mamy kilku miesięcy na zajęcia z rozwoju osobowości, żeby do niego dotrzeć. Jeśli mamy coś osiągnąć, musi do niego wyciągnąć rękę mężczyzna.

- To czego, do kurwy nędzy, ode mnie oczekujesz, Montoya? - warknął Dew. - Mam zorganizować partyjkę pokera? Może iść z nim pod ciepły prysznic, a potem trzymać go za rękę do wczesnych godzin poranka?

- Nie - oświadczyła. - I przestań cytować filmy Clinta Eastwooda. Możesz zacząć od czegoś prostego... Na przykład, czy zaprosiłeś go, żeby dołączył do nas przy śniadaniu?

Dew zamrugał. Nawet nie przyszło mu to do głowy.

- Heh - rzucił Otto. - W ogóle o tym nie pomyślałem.

- I raczej niech tak zostanie - skomentował Amos. - Nie będę siedział z nim przy jednym stole. Jeszcze pomylił mnie z burrito.

- Chyba raczej z małym talerzem naleśników - odciął się Otto.

- Oddaj mi moje menu - jadowicie rzucił Amos. - Zamówię trochę dżemu z czarnej porzeczki i wywalę go do kibla.

- Och, Amos - Otto powiedział to z szerokim uśmiechem, jakby właśnie wpadł na najlepszy pomysł w dziejach ludzkości. - Złóścisz się, bo nie sięgasz głową ponad stół? Może powinienem poprosić kelnerkę o krzeselko dla dzieci?

- Jakbym nie słyszał tego już z milion razy.

Dew sięgnął i ścisnął łokieć Margaret, po czym wstał.

- Gdzie idziesz? - zapytał Amos.

- Sprawdzić, czy Perry dołączy do nas przy śniadaniu - wyjaśnił Dew. - Prędzej czy później Margaret musi się pomylić w jakiejś sprawie, więc się przekonajmy.

- Nie przyjdzie - zapewnił Amos.

- Założę się, że tak - odpowiedział Otto. - Dew potrafi być bardzo przekonujący.

- Mam tu dwadzieścia dolców, które mówią, że Dawsey nawet nie wyjdzie z pokoju - rzucił Amos.

- Stoi - odpowiedział Otto.

Margaret potrząsnęła głową.

- Czy jest coś, o co się nie założycie?

- Z pewnością jest coś takiego - zapewnił Otto.

- Założę się o dwadzieścia, że nie ma - odpowiedział Amos.

Margaret znowu potrząsnęła głową.

Otto uśmiechnął się do Dew.

- No to idź i sprowadź go tutaj, żebym mógł wygrać kolejną dwudziestkę.  
Dew odwrócił się i wyszedł z restauracji.

## Rączki na koldrę, wstajemy

*Bum-bum-bum.*

Walenie w drzwi.

Każde uderzenie równo z dudnieniem w głowie.

Perry niepewnie otworzył oczy. Czy mruganie mogło boleć? Zdecydowanie.

*Bum-bum-bum.*

- Idź sobie - jęknął Perry. A raczej wyszeptał.

*Bum-bum-bum.*

- Idź stąd! - Tym razem wrzasnął i natychmiast tego pożałował. Gwałtownie sięgnął rękami głowy, dłońmi zasłaniając oczy. Czemu jego twarz była taka lepka? Łóżko śmierdziało zwietrzałym piwem.

- Wstawaj, Dawsey. Czas na śniadanie.

Pierdolony Dew Phillips. U jego drzwi, przed świtem. Perry usiadł i popatrzył na świecący budzik na stoliku nocnym.

8:45.

No dobrze, więc nie przed świtem, ale i tak było zbyt wcześnie, żeby wychodzić z łóżka.

- Wstajemy, wielkoludzie - krzyknął Dew. - Chodź, wszyscy na ciebie czekają, a mnie stygnie kawa.

O Boże, ależ go bolała głowa.

- Idź sobie, Dew - rzucił Perry. - Nie żartuję.

Dew chciał go zaprezentować przy śniadaniu, żeby wszyscy mogli się dobrze uśmieć z dziwadła? Nie ma mowy. Perry nie wiedział, w co sobie pogrywali, ale nie zamierzał brać w tym udziału.

- No chodź, młody, czuję to piwo nawet przez drzwi. Kąpałeś się w nim?

Perry wstał i wszedł do łazienki, po czym wstawił plastikowe wiaderko na lód do zlewu i odkręcił zimną wodę.

- Chwila - rzucił. - Daj mi się ubrać.

- Tak trzymaj - odpowiedział Dew. - A jeśli śmierdzisz jak twój pokój, może najpierw weź prysznic. Tylko szybko, nie mam całego dnia.

Perry odkręcił gorącą wodę z prysznica. Wziął ze zlewu wiaderko pełne zimnej wody i podszedł do drzwi pokoju.

- Hej, Dew?

- Tak?

- Zimno tam jest?

- Jest środek zimy w Północnym Wisconsin - odpowiedział zapytany. - Jest lodowato.

Płynnym ruchem Perry otworzył drzwi i chlusnął lodowatą wodą w pierś Dewa. Zdołał zobaczyć, jak Dew krzywi się, zanim woda go oblała, a potem jego oczy rozszerzyły się z zimna i zaskoczenia. Perry zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

- Opuśćcie sobie śniadanie - rzucił. - A jak z deszczem?

*Bum-bum-bum.*

- Otwórz te cholerne drzwi, ty *gnido*.

Perry podszedł do łóżka, żeby się położyć, po czym przypomniał sobie, że jest całe zalane piwem, więc ściągnął koce i rzucił je na podłogę.

- Lepiej idź się przebrać - rzucił. - Jak sam mówiłeś, tam jest lodowato.

*Bum-bum-bum.*

- Skopię ci tyłek, gnoju.

Perry się roześmiał, ale to zabolalo jeszcze bardziej niż mówienie. Szarpnięciem ściągnął z łóżka jeszcze prześcieradło, rzucając je na koce i zostawiając sobie goły materac. On też miał kilka plam z piwa, ale będzie musiał wystarczyć. Poprzednio usnął w ubraniu, które teraz było również przemoczone piwem, więc się rozebrał. W pokoju było zimno, ale nie zamierzał już nic z tym robić. Woda lejąca się z prysznicza pomogła nieco stłumić krzyki Dewa. Perry zamknął oczy i czekał. Jeśli Dew szybko stąd nie pójdzie, jego ubranie całkiem zamarznie, więc może złapać zapalenie płuc i umrzeć.

Tak czy siak, Perry wygrał.

Zaatakowała go fala mdłości. Wystawił głowę za łóżko i z wymiotował na podłogę. Jakby głowa nie bolała go już dostatecznie... Czy wymioty na kacu nie były jedną z najboleśniejszych rzeczy na świecie? A Perry Dawsey *znał się* na bólu. Cofnął głowę na łóżko, używając rogu materaca do wytarcia wymiocin z ust.

Dudnienie ucichło i szybko pogrążył się we śnie.

## Obsługa hotelowa

Pukanie do drzwi Dewa.

Wciąż dygotał, zapinając suchą koszulę. Powinien wskoczyć pod gorący prysznic, żeby się ogrzać, ale nie miał na to czasu, za dużo rzeczy do zrobienia.

- Kto tam?

- Margaret. Przyniosłam ci jedzenie.

Dew nie jadł jeszcze śniadania. Był tak wściekły, że w zasadzie nie zauważył, jak bardzo jest głodny. Wcisnął koszulę do spodni, zapiął je i zasunął suwak, po czym otworzył drzwi.

Margaret stała przed nimi w świetle poranka. Świetnie wyglądała, jak zwykle zresztą, z ciemnymi oczami emanującymi połączeniem łagodności i wiecznej udręki, wynikającej z oglądania zbyt wielu strasznych rzeczy w krótkim czasie. Jednak to co *naprawdę* czyniło ją atrakcyjną to styropianowy pojemnik z jedzeniem trzymany w lewej ręce i dymiący styropianowy kubek w prawej.

- Podwójna śmietanka, podwójny cukier - powiedziała. - Taką właśnie lubisz, prawda?

- Jesteś aniołem. - Wziął pojemnik. - Wejdiesz?

Margaret skinęła głową i weszła do pokoju. Rozejrzała się wokół, dłużej zatrzymując wzrok na walizce w szafie, ustawionych obok równo butach i wiszących na wieszakach mokrej koszuli, kurtce i spodniach, każde na osobnym wieszaku.

- Co się stało? - zapytała.

- Postąpiłem zgodnie z twoją radą - odpowiedział Dew. Usiadł i otworzył pojemnik z jedzeniem. Sztuczki były w środku, zawinięte w papierową chusteczkę. Chwycił widelec i zaczął ładować jajka do ust.

Kobieta usiadła na łóżku obok stolika nocnego i przyjrzała się rozłożonej tam broni: czterdziestka piątka, trzydziestka ósemka, nóż, scyzoryk i teleskopowa pałka - po czym przesunęła się na łóżku, odsuwając się od niej.

- A więc byłeś miły dla Perry'ego - powiedziała. - A potem co, poszedłeś popływać?

- Otworzył drzwi i chlusnął na mnie wodą - Dew wyjaśnił z pełnymi ustami.

- Żartujesz.

Dew potrząsnął głową.

- To chyba było wiaderko na lód.

- Wygląda na to, że Amos odzyskał swoją dwudziestkę.

- Oni tak często?

Margaret kiwnęła głową.

- Zakładają się o wszystko. Ta dwudziestka zmieniła właściciela przynajmniej tuzin razy. To musi być jakaś męska metoda nawiązywania przyjaźni.

- To się nazywa dobra zabawa - wyjaśnił Dew. - Faceci nie *nawiązują przyjaźni*, po prostu robią różne rzeczy.

- Na przykład oblewają kogoś wodą?

- To nie jest robienie różnych rzeczy - zaprotestował Dew. - To jest bycie pieprzonym palantem. Że się tak wyrażę. Jego pokój śmierdział jak gorzelnia. Chyba ma kaca, i to ciężkiego.

Dew nabrał na widelec resztki jajecznicy.

- Ten chłopak to pieprzony alkoholik - stwierdził, po czym wrzucił jajka do ust.

- Nie miał dość czasu, żeby zostać alkoholikiem, Dew. Dobrze wiesz, że minęło zaledwie sześć tygodni od kiedy wyciął sobie te rzeczy.

Dew przełknął jajka, po czym wbił na widelec kielbaskę i wsadził ją w całości do ust.

- No proszę, chyba byłeś głodny - skomentowała Margaret. - Byłbyś doskonałym towarzystwem na randkę z kolacją.

- Wiesz, cały emanuję klasą - odpowiedział Dew, przeżuując. - To dzięki genom. Dobrze wiesz, że gruntownie sprawdziliśmy przeszłość Dawseya. Płacił gotówką za wszystko poza knajpą i wierz mi, rachunki z karty kredytowej dowodzą, że wydawał tam *mnóstwo*.

Margaret przewróciła oczami, co dla Dewa wyglądało równocześnie pogardliwie i pociągająco.

- Na miłość Boską, przecież on nie ma *trzydziestki*. Czy *ty* nie spędzałaś czasu w barach, gdy miałeś dwadzieścia lat?

- Oczywiście, że nie - zapewnił Dew. - Byłem zbyt zajęty budowaniem kościołów i pomaganiem biedakom.

- No tak, teraz widzę twoją aureolę - odpowiedziała Margaret. - Wcześniej mi umknęła. To pewnie przez kiepskie światło.

- No dobra, masz trochę racji. Ale wiesz co? Twoja spokojna, doktorska logika trochę działa mi na nerwy. Zawsze musisz mieć rację?

- *Doktorska*? Podoba mi się to słowo. I nie, nie *muszę* mieć zawsze racji, ale po prostu tak to wychodzi.

Wypił duży łyk kawy. Trochę sparzyła mu usta, ale nie przeszkadzało mu to, ważniejsze było ciepło spływające do piersi.

- Cóż, pani doktor, obawiam się, że *nie* zawsze ma pani rację. Spróbowałem pani sposobu i dostałem w zamian zimną wodą w twarz.

- To spróbuj jeszcze raz.

- Czemu, u diabła, miałbym to robić?

- Poza tym, że potrzebujemy żywego gospodarza, żeby dowiedzieć się, co się tu u diabła dzieje?

- Właśnie - zgodził się Dew. - Poza tym.

- A co powiesz na bycie człowiekiem, Dew? Wykazanie się zrozumieniem? Perry ma za sobą piekło. Stracił najlepszego przyjaciela.

- Tak? I co z tego? Ja też.

- A czy ty osobiście skatowałeś go na śmierć? - zapytała. - Przybiłeś mu ręce do ściany nożami do steków i napisałeś jego krwią na ścianie DYSCYPLINA?

W całym swoim życiu nigdy nie przebywał w towarzystwie kogoś, przy kim czułby się równie głupio, jak przy Margaret Montoi. Przynajmniej w sytuacji, w której nie wałnąłby tej osoby w gębę zaraz po tym, jak go do tego doprowadziła.

Dew zaczął zakładać buty.

- Nie - odpowiedział. - Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy.

- Właśnie. Więc może, tylko „może” Perry próbuje poradzić sobie jakoś z czymś, czego nie potrafisz zrozumieć.

- To gównu nie będzie pływać bez końca - rzucił Dew. - Zaczynam uważać, że to po prostu nadmiernie wychwalany zabijaka, a jedynym sposobem na dotarcie do zabijaki jest sklepanie go.

Margaret się uśmiechnęła. Nie był to rodzaj uśmiechu mówiący „fajnie byłoby pójść z tobą na siano”, bo Dew dobrze wiedział, jak taki uśmiech wygląda na twarzy kobiety. Przynajmniej *kiedyś* to wiedział, teraz już ich nie widywał. To był inny rodzaj uśmiechu, rodzaj, jaki młoda kobieta posyła starszemu wygadującemu głupstwa.

- Wiem, że jesteś naprawdę dobry w swoim fachu, Dew, ale zachowaj trochę dystansu, dobrze?

Zdjął z wieszaka suchy płaszcz i go założył.

- Dystansu? Co to u diabła ma znaczyć?

Margaret wzruszyła ramionami. Uśmiechnęła się trochę szerzej, trochę bardziej protekcyjnie.

- No cóż... Przyjrzyj się *sobie*, a potem *jemu*. Nie dasz rady wbić mu rozumu do głowy, a strzelanie tu nic nie pomoże. Już tego próbowałeś.

Dew szybko pochował broń w różne kabury i schowki pod ubraniem.

- Niech się pani trzyma naukowych i doktorskich spraw, a resztę zostawi mnie, dobrze?

Znowu uśmiechnęła się w *ten* sposób, po czym wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz, Dew. To co teraz robimy?

- Musimy tu jeszcze skończyć parę spraw. A potem chyba pojedziemy bliżej Chicago.

Jak dotąd nie udało im się wykryć żadnego wzoru wyjaśniającego lokalizację bram, a Chicago wydawało się być równie dobrym miejscem jak każde inne, w rozsądnej odległości od Wisconsin, Michigan, Indiany i Ohio.

- Może dopilnuje pani przygotowania Margo Mobilu do drogi? Powinniśmy się stąd zwinąć, zanim miejscowe media przestaną pisać o grupie białych supremacjonistów zbombardowanych w Marenisco i uznają, że może się tu kryć dobra historia.

Otworzył jej drzwi i gestem wyprosił z pokoju. Margaret wyszła, a Dew za nią.



## Deetroit, koszykóóóówka!

- Usiądź *tutaj*, uju Donny - poprosiła Chelsea. Poklepała centralne miejsce na kanapie. Właściwie to było miejsce taty, ale ujek Donny był gościem, a u taty na kolanach siedziała przez cały czas. Za to od kiedy ujek Donny przeprowadził się do Pittsburga, prawie wcale go nie widywała. Tak samo jak Betty, co było znacznie gorsze.

Betty była taka śliczna. I miała przekłute uszy. Tatuś nie pozwalał Chelsea przekłuć uszu. „Może za kilka lat” - odpowiadał na jej prośby. A przecież rok był taki długi, co dopiero *kilka* lat. Chelsea nie potrafiła sobie wyobrazić takiej otchłani czasu. *Nigdy* nie pozwolą jej przekłuć uszu i *nigdy* nie będzie taka ładna jak Betty.

Ujek Donny usiadł na centralnym miejscu.

- Tutaj, skarbie?

- Tak - potwierdziła Chelsea. - Dokładnie tutaj. A za siedzenie tutaj trzeba zapłacić podatek.

- Podatek? Ile będzie mnie to kosztować?

- Całuski! - wykrzyknęła Chelsea.

Ujek dźwignął ją z podłogi.

- Gotowa?

Kiwnęła głową. Oboje nabrali powietrza do ust i zaczęli wydawać przeciągłe „mmmmmm”, które po zetknięciu ust w przesadzonym pocałunku zmieniło się w głośnie „cmok”. Ujek Donny posadził ją na poduszce po swojej lewej stronie, ale Chelsea natychmiast wcisnęła mu się na kolana.

Betty uśmiechnęła się i usiadła na miejscu po prawej.

- To było takie słodkie, że mogłabym dostać cukrzycy - skomentowała. Nachyliła się do dziewczynki. - A gdzie *moje* całuski?

Mmmmmmm-cmok.

Tatuś usiadł na poduszce po lewej i pilotem zmienił kanał telewizora, przełączając z kreskówki na panów w białych pidżamach rzucających piłkę do kosza.

Chelsea zaklaskała, po czym oparła się o pierś ujka Donny'ego.

Wujek potrząsnął ją lekko za ramiona.

- Czy ty wiesz, jaka to pora, skarbie?

Popatrzyła na swój zegarek z Myszka Mickey. Duża rączka wskazywała jedenastkę, a mała jedynekę, czyli... była...

- Nie *taka* pora - przerwał jej ujek Donny. - Mecz, Chelsea. To pora na...

Chelsea nabrała powietrza do płuc, wyprostowała się, po czym krzyknęła równocześnie z ujkiem Donnym „Deetroit. Koszykóóóówka!

Znowu oparła się o jego pierś.

- Kto jest twoim najbardziej ulubionym Pistonsem ze wszystkich?

- Hmm - odpowiedział. - Kibicuję im od bardzo dawna, skarbie. I chyba Bill Laimbeer, albo Chauncey Billups. A twoim?

- Lubię Peytona Manninga!

- To nie ten sport, dziewczynko - stwierdził ujek Donny.

- Och. W takim razie lubię Chaunneya Billupsa.  
- Chaunceya, dziewczynko - poprawił ją ujek.  
- *Chaun-ceee* - powiedziała, próbując trudniejszej kombinacji dźwięków. - Chciałam nazwać szczeniaczka Azorek, ale teraz nazwę go Chauncey. Wtedy będziesz mógł przyjeżdżać i bawić się z Chaunceyem, ujku Donny.

- No to jesteśmy umówieni - odpowiedział ujek.

Tatuś westchnął.

- Nie kupimy szczeniaczka, Chelsea. Nie próbuj wrabiać innych w namawianie nas do tego.

- Ale *tatusiu*, ja chcę szczeniaczka!

- Nie będziemy teraz o tym rozmawiać, Chelsea.

Dziewczynka naburmuszonym gestem skrzyżowała ręce.

- Nie jesteś moim szefem.

W tej chwili z kuchni wyszła mama i Chelsea drgnęła. Mama trzymała w ręce ciężką, drewnianą łyżkę do mieszania. I do *klapsów*. Do łyżki przykleiły się resztki gniecionych ziemniaków.

- Jeśli powiesz to jeszcze jeden raz, panno, dostaniesz *porządne* lanie. - Mówiąc mama potrząsała łyżką, rozrzucając drobinki ziemniaczanego purée.

- Ale *mamo*...

- Ani *słowa* więcej.

Chelsea się nadąsała i opadła na pierś ujka Donny'ego.

Mama energicznie kiwnęła głową, odwróciła się i wróciła do kuchni równie szybko, jak z niej wyszła.

- Chelsea ma teraz etap buntu - tata rzucił do ujka Donny'ego. - Zazwyczaj dostaje napadów złości, kiedy nie damy jej tego, czego chce. Wygląda na to, że teraz zachowuje się wzorowo tylko dzięki temu, że jesteście tu ty i Betty.

- Uważaj - odpowiedział ujek Donny. - Czasami nie wyrastają z fazy buntu.

Betty walnęła ujka Donny'ego w ramię.

- Odpuść sobie, wapniaku.

Ujek Donny się roześmiał, a Chelsea zapomniała o szczeniaczku. Przez chwilę przyglądała się panom w pidżamach, a potem złapała dłoń Betty.

- A kto jest *twoim* ulubionym graczem, Betty?

Betty wyciągnęła rękę i przeczesała jej włosy.

- Och, nie wiem, laleczko. Nie zwracam za bardzo uwagi na koszykówkę. Ale jeśli chcesz porozmawiać o ubraniach albo kwiatkach, to droga wolna.

Tak *miło* było być głaskanym przez Betty.

- Lubię dmuchawce - oświadczyła Chelsea.

- Och, są ładne - zgodziła się Betty. - Wolisz te żółte czy białe?

- Wolę białe - oświadczyła Chelsea. - Bardzo mi się podoba, jak unoszą się w powietrzu.

Betty się z nią zgodziła. Betty zawsze się z nią zgadzała, co było bardzo miłe. Chelsea miała tatusia po lewej, Betty po prawej i siedziała na kolanach ujka Donny'ego. Było *fantastycznie*.

Zobaczyła, że panowie w telewizji zdejmują białe pidżamy. Uważała, że to najśmieszniejsza część koszykówki. Gdyby to ona zdjęła pidżamę przy ludziach, miałyby poważne kłopoty. Chciała więcej lodów. Zjadła już jednego i to miało być wszystko na dzisiaj, ale mamy nie było w pokoju.

- Tatusiu, mogę zjeść loda?

- Chciałaś chyba zapytać, czy możesz zjeść *jeszcze jednego* loda? Nie ma jeszcze południa, a wiem, że jednego już zjadłaś.

- Czemu nie mogę jeść więcej? Lubię lody.

- Chelsea! - z kuchni dobiegł krzyk mamy. - Czy mam tam przyjść?

- Nie - szybko zapewniła dziewczynka. - Już nie będę.

Westchnęła i znowu opadła na pierś ujka Donny'ego. To było *niesprawiedliwe*. Wbiła wzrok w telewizor pokazujący panów wychodzących na boisko, by rozpocząć grę.

## **Pomoc w drodze**

Unoszący się sześćdziesiąt kilometrów nad podwórkiem Chuya Rodrigueza satelita ukończył analizę prawdopodobieństwa.

Wyniki sugerowały osiemdziesięciosześcioprocentową szansę powodzenia. Wynik zdecydowanie przekraczał ustawiony w parametrach próg siedemdziesięciu pięciu procent.

Urządzenie rozpoczęło programowanie nasion partii siedemnaście. Nadało również wiadomość do pozostałych pisklaków, tych, które nie zdołały dotrzeć na czas do Marenisco ani Południowego Bloomingvalle, tych, które się ukryły. Wysłało wiadomość do trójkątów wciąż rosnących w gospodarzach z nasion, które zostały porwane przez wiatr na wiele dni, zanim dokonały udanego lądowania.

Wiadomość brzmiała „ukryjcie się, nie wychylajcie się. Pomoc w drodze”.

## Głosy

Perry Dawsey gwałtownie usiadł na łóżku. Pod sufitem unosiły się kłęby pary. Każda szklana powierzchnia w pokoju pokryta była kroplami wody, nawet tarcza budzika wskazującego 4:17 po południu. Wciąż miał kaca, choć już nie tak silnego. Nagle niczym fala przyboju uderzył w niego głód. Może to śniadanie, o którym mówił Dew, było jeszcze gdzieś w pobliżu.

Ale to wcale nie kac go obudził, nie był to też głód.

Tym razem obudziły go głosy, choć nie te same, co zwykle.

*Podobne* do nich, ale inne. Możliwość dokładnego opisania ich uciekała mu niczym słowo czające się na końcu języka, którego za nic nie umiemy sobie przypomnieć.

Coś się zmieniło. Coś dużego. A równocześnie było to małe. Czy to miało jakiś sens? Nie powinno, a jednak.

Nie rozumiał poszczególnych słów, właściwie nawet nie wiedział, czy wiadomość obejmowała jakieś słowa. Bardziej przypominało to pragnienie bez emocji. Pragnienie, aby się schować, nie wychylać, ukryć się przed wszystkimi.

Ukryć się... i czekać.

Perry wstał. Pokój wyglądał koszmarnie: na podłodze sterta przemoczonej piwem pościeli, obok łóżka również mokre od piwa ubranie. Och, niech to diabli, wymiotował sobie na spodnie. Strasznie tu śmierdziało.

Podszedł do swojego worka i przegrzebał jego zawartość. Szlag, wszystkie ubrania brudne. Będzie musiał skłonić ludzi Dewa, żeby mu je uprali. Perry znalazł na węch najmniej brudny T-shirt, sweter, bieliznę i jeansy. Jedyne pluszem była jedna para czystych skarpetek. Zaniósł ubranie do wypełnionej parą łazienki.

Najpierw prysznic, potem trzeba będzie znaleźć Dewa.

## Sir Fiut

Sonda nie była zrobiona z litego materiału. W każdym razie nie trwale litego. Całość została zbudowana z drobniutkich cząstek mniejszych od ziarenek piasku. Specjalny, ząbwiący się kształt w połączeniu z ładunkiem statycznym sprawiał, że poszczególne cząstki zachowywały się jak lity arkusz materiału. Na dodatek szczelnego. W zależności od tego, gdzie zastosowano wiązania między cząstkami, możliwe było uzyskanie dowolnego kształtu. Obejmowało to ruchome części, takie jak lotki, pojemniki na paliwo i dysze sterujące siłą uzyskiwaną dzięki spalaniu paliwa. Wszystkie te współpracujące części przeprowadziły sondę wielkości puszki napoju przez górną atmosferę aż do grubej warstwy chmur. Wiejące wysoko nad ziemią silne wiatry poniosły sondę najpierw w jedną stronę, potem w inną. Leciała z wiatrem, używając silników bardziej do sterowania, niż napędzania lotu.

Na wysokości 1900 metrów sonda zeszła poniżej warstwy chmur, zidentyfikowała strefę docelową i skierowała się na północny zachód. Dla satelity i sondy każde miejsce było równie dobre jak inne, jednak na mapach ludzi to miejsce miało swoją nazwę.

Nazywało się Gaylord.

Na wysokości pięciuset metrów sonda wykonała ostatnie polecenie, wysyłając do wszystkich cząstek ładunek zrywający wiązania.

Sonda nie wybuchła, raczej się rozpadła, zmieniając się w ułamku sekundy z litej bryły w chmurę ziarenek, które rozprzestrzeniały się opadając, nigdy nie ściągając na siebie ani śladu zainteresowania. Rozpad uwolnił także nasiona.

Ponad miliard.

Lekki południowo-zachodni wiatr rozproszył nasiona niczym chmurę rzadkiego dymu. Każdy podmuch rozpraszał je coraz bardziej, unosząc niektóre w samotną podróż, inne zbijając w grupy przypominające przejrzyste ślady widmowych duchów.

Nasiona rozprzestrzeniały się i spadały.

Zdecydowana większość wyląduje na ziemi, wodzie lub śniegu, gdzie będą leżeć do czasu, aż warunki otoczenia zniszczą delikatną wewnętrzną maszynę i staną się po prostu grudkami nieożywionej materii. Kilka może mieć dość szczęścia, by trafiły z ziemi na gospodarza, ale szanse na to były niewielkie. Oczywiście, dlatego właśnie zostało uwolnionych *miliard* nasion równocześnie – nawet przy minimalnych szansach kilka i tak mogło trafić w odpowiednie miejsca.

Jedna z rozszerzających się, przejrzystych chmur nasion została zanieśiona w pobliże domu na przedmieściach Gaylord, blisko autostrady 32. Blisko domu rodziny Jewellów.

Wyglądało na to, że Jewellowie mieli chwilowo dość skuterów śnieżnych i koszykówki. Bobby, Candice, Chelsea, Donald i Betty ciężko pracowali przy zimowym rytuale budowy bałwana.

Donald wymusił nawet na Bobbym obietnicę, że nie dorobi bałwanowi wzrodu, co chłopak robił od kiedy był mały. Zawsze dorabiał bałwanowi potężnego penisa i nazywał go „Sir Fiut”. Zabawne? Jasne, że tak. Ale niezbyt odpowiednie teraz, gdy Betty miała już szesnaście lat. Zresztą Chelsea była już w wieku, w którym Bobby

powinien zacząć się zachowywać jak dorosły mężczyzna, a nie dzieciak uwięziony w ciele dorosłego.

Chmura nasion unosiła się i opadała na lekkim wietrze. Opadając na ziemię połowa trafiła na śnieg i utknęła, skazana na lodowaty kres. Druga połowa została porwana podmuchem znad śniegu i poleciała niemal równolegle do ziemi.

Donald skończył turlanie głowy bałwana i zawołał Betty do pomocy w jej podnoszeniu. Kula została mocno ubita, ale nigdy nie było wiadomo, jak coś takiego się zachowa po podniesieniu nad ziemię. Zresztą Betty była zbyt elegancka, by nosić rękawiczki, więc uznał za dobry pomysł skłonienie jej do dźwignięcia dużego bloku zmrożonego śniegu. Jego brat Bobby miał na sobie tylko T-shirt i jeansy, co wcale nie pomagało w uzmysłowieniu Betty potrzeby właściwego stroju na zimę. Pewnie oboje zachorują i to Donald będzie się śmiał ostatni. Jedyny problem polegał na tym, że Chelsea chciała we wszystkim naśladować kuzynkę i także zdjęła rękawiczki. A jeśli Chelsea się przeziębi, Donald będzie mocno wkurzony na Betty.

Udało im się osadzić głowę na „ramionach” bałwana, podczas gdy zniecierpliwiona Chelsea prawie tańczyła w miejscu ściskając wielką marchewkę. W pikowanym, błękitnym kombinezonie śnieżnym wyglądała jak aniołek. Marchewka była ostatnim elementem corocznego bałwaniego arcydzieła (niestety w tym roku jedynie w duchu Sir Fiuta), więc oczywiście honory przypadły najmłodszemu członkowi grupy.

W chwili, gdy Bobby schylał się, by dźwignąć Chelsea i podnieść ją, by mogła wstawić bałwanowi marchewkowy nos, przez rodzinę Jewellów przeleciała niewidoczna chmura mikroskopijnych nasion.

Candice została całkowicie ominięta.

T-shirt Bobby'ego okazał się być fatalnym wyborem – złapał siedem na lewej ręce.

Donald odpowiednio się obrócił i wciągnął trzy nasiona do nosa. Dwa kolejne wylądowały na jego lewej dłoni.

Czapka i grube czarne włosy Betty zadziałały niczym swoista osłona, unieruchamiając nasiona w wełnie lub usztywnionych lakierem lokach, jednak wiatr owiał jej głowę i cztery nasiona trafiły na lewy policzek. Jedno odpadło zaraz po wylądowaniu, ale i tak będzie miała do czynienia z pozostałymi trzema. Gdyby *miała* rękawiczki, uniknęłaby przynajmniej nasionka, które przywarło jej do lewej dłoni.

Mała Chelsea miała największego pecha. Lewym kciukiem wywierciła dziurę w głowie bałwana a potem prawą wetknęła w nią marchewkę. Gdy ją obracała, wbijając głębiej tak, by nie wypadła, na jej mokrej, odsłoniętej skórze wylądowało *piętnaście* nasion, przyklejając się do wierzchu i wnętrza dłoni oraz palców.

Wciąż ze śmiechem rodzina ukończyła bałwana i grupowo zaklaskała. Chelsea kazała się wszystkim ucałować.

Mmmmmmm-cmok! Mmmm-cmok!

Potem wszyscy weszli do środka. Zbliżał się czas powrotu ujka Donny'ego i kuzynki Betty do Pittsburgha.

## Wziąć za mordę

Pokój 207 stał się w praktyce centrum operacyjnym dla oddziału Glidden/Marenisco projektu Tangram. Trochę dodatkowych pieniędzy i kierownictwo hotelu błyskawicznie usunęło łóżko, zastępując je drewnianym stołem i krzesłami z restauracji. Po dodaniu dodatkowych foteli i mniejszego stolika na rząd czterech walizek – które po otwarciu okazały się komputerami ze sprzętem łącznościowym – pokój zmienił się w biuro. W tej chwili siedzieli w nim Dew, Baumgartner, Milner i Amos, zajmując się różnymi aspektami sprzątnięcia sytuacji McMillianów. Właściwie Amos był tam tylko z powodu pączków, ale nikt nie miał do niego pretensji.

Łączność wymagająca zachowania tajności nadal prowadzona była z Margo Mobile, ale tam nie było zbyt wiele miejsca, a Dew chciał dokończyć odprawę ze wszystkimi i mieć pewność, że niczego nie pominęli. Musiał też kontrolować lokalnych stróżów prawa i dziennikarzy.

Lokalna policja niemal zawsze współpracowała bez zarzutu. Pomimo ścierania się o jurysdykcję, gliniarze bawili się w to w zasadzie z tych samych powodów, i raczej nie chodziło o grube pieniądze. Jeśli powiedziało się policji miejskiej, hrabstwa lub nawet stanowej, że działo się coś niedobrego, o czym na razie nie wolno rozmawiać, ale było *naprawdę* poważne i już się *skończyło*, że ludzie byli *bezpieczni*, to dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto dawali spokój. A jeśli trafiło się na tego jednego na stu, liberalnego dupka, który nie chciał odpuścić? Zawsze miał przełożonych, którzy grali w drużynie i mogli na niego nacisnąć, żeby zostawił sprawę. Czasami nawet to nie działało i w takich sytuacjach Dew dawał ostatnie ostrzeżenie, odbywając rozmowę twarzą w twarz. Mówił facetowi, że całe jego życie może się za chwilę zmienić w śmierdzącą kupę gówna, że jego reputacja legnie w gruzach, a jeśli będzie trzeba, zostaną mu postawione jakieś spreparowane zarzuty, które zakończą jego karierę w policji.

Jeśli nawet to nie pomagało, Dew przekazywał sprawę Murrayowi i umywał ręce. Murray Longworth sprawiał, że problemy znikają. Nie było to miłe dla człowieka, który wszedł mu w drogę, ale w każdej wojnie są niewinne ofiary.

Jednak tym razem Dew nie miał żadnych problemów. Całą uwagę środków masowego przekazu skupiły na sobie doniesienia o krajowych terrorystach, strzelaninie z udziałem wojska i potężnym wybuchu bomby w Marenisco. Nie, żeby ludzie nie byli zainteresowani smutną historią Thada McMilliana seniora, który w ataku szaleństwa zabił swoją żonę, córkę i syna. Prawdziwa tragedia. To wstyd, że miał w domu laboratorium, w którym produkował amfetaminę, naprawdę wstyd, ale to tłumaczyło ludzi w kombinezonach ochronnych z bronią oraz dwie ciężarówki z kontenerami zaparkowane na podjeździe McMillianów. Nie dziwił też już brak Tada juniora i niemowlaka. Plan ochrony świadków. Na krótko, tylko do czasu, aż federalni skończą rozpracowywać sprawę narkotykowego laboratorium. Chłopcy byli bezpieczni, choć nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy oraz czy w ogóle wrócą do miasta. Podobno ich babcia (ze strony matki) mieszkała w stanie Waszyngton i chłopcy w końcu mieli zamieszkać z nią. Lokalne media kupiły całą historię bez chwili wahania. Tytuł



NAĆPANY OJCIEC MORDUJE RODZINĘ będzie się przewijać w lokalnych wiadomościach jeszcze przez kilka dni. Glidden było tak małe, że nie miało nawet swojej gazety. Wkrótce wszystko ucichnie. W końcu to Ameryka, ludzie giną, takie jest życie. O której dzisiaj mecz?

Dzięki temu Dew Phillips był w tak dobrym nastroju, jak tylko można było się spodziewać po człowieku próbującym uporać się z inwazją dziwacznych pasożytów. Pomógł zniszczyć czwartą bramę. Miał na sobie suche ubranie. Znowu było mu ciepło. Miejscowi reporterzy i policjanci nie próbowali mu wchodzić w drogę. Miał pełny brzuch, a obsługa hotelowa co jakiś czas przynosiła świeże dzbanki z kawą i pudła z pączkami ze Śniadaniowej Budy Boba.

Wszystko szło wprost świetnie aż do momentu, gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł Perry Dawsey.

Głowy wszystkich w środku obróciły się w jego stronę. Milner sięgnął do rękojeści pistoletu. Jego ręka została na niej jak przyklejona, za to Baumgartner zacisnął dłoń na oparciu fotela. Amos cofnął się pod ścianę, z przyklejonymi do ust resztkami pączka z polewą czekoladową.

- Muszę z tobą pogadać, Dew - oświadczył Perry. - Natychmiast.

- To mów.

- Wyrzuć stąd tych fagasów - zażądał Perry.

- Z przyjemnością opuszczę to miejsce - oświadczył Amos. - Jeśli tylko będziesz tak miły i zechcesz odsunąć swoje spore ciało od drzwi.

Perry się odsunął. Amos wystrzelił z pokoju niczym światowej klasy sprinter wybijający się z bloku startowego.

- Młody - warknął Dew. - Jeśli masz coś do powiedzenia, po prostu to powiedz. Ci faceci są w zespole.

- To pieprzone fagasy - burknął Perry. - Nie zmuszaj mnie, żebym znów ich sklepał, staruszku.

Dew Phillips kiwnął głową. Tak, zdecydowanie miał już dość tych bzdetów. Powyżej uszu.

- Milner, Baumgartner - rzucił. - Idźcie na spacer.

Baumgartner niepewnie popatrzył na Dewa. Milner nie spuszczał wzroku z Perry'ego i wciąż ścisnął rękojeść pistoletu. Najwyraźniej nie zamierzał nawet na sekundę spuścić wzroku z olbrzyma.

- Sir - odezwał się Baumgartner. - Myślę, że powinniśmy zostać.

Metalowa klamra na jego nosie błysnęła w świetle lampy. Połączenie klamry i wąsów nadawało mu wyjątkowo głupawy wygląd.

- Powiedziałem, żebyście poszli na spacer - warknął Dew.

- Sir - zaprotestował Baum. - Pan sam na sam z Dawseym... Może to nie jest...

- Idźcie na ten pierdolony spacer, chłopcy. Wynoście się. Chcę sobie porozmawiać na osobności z panem Dawseym.

Baumgartner wstał z fotela i wyszedł z pokoju, po drodze klepiąc Milnera w plecy. Milner zdołał wyjść śladem Bauma, nie spuszczać wzroku z Dawseya i nie odrywając dłoni od rękojeści pistoletu.

Perry zamknął drzwi.

- Słuchaj, Dew, coś się dzieje.

- Przejdziemy do tego za chwilę - odpowiedział Dew. - Najpierw musimy załatwić pewną nabrzmiałą sprawę.

- Nie rozumiesz, Dew.

- Czy to nowa brama?

Perry zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Słyszysz nowe głosy?

Perry znowu chwilę myślał.

- Tak jakby. Tak, głos, ale nie mówi żadnych słów.

- Bez słów - powiedział Dew. - Czyli jesteś *pevien*, że nie mówi o bramie, tak?

Perry kiwnął głową.

- To dobrze. W takim razie odłożymy to na kilka minut i najpierw zajmiemy się moją sprawą.

- Ale Dew, ja...

- Stul pysk, gnojku.

Perry patrzył przez chwilę zaskoczony, po czym się uśmiechnął.

- Ach, rozumiem. Zamierzasz mi wygłosić pogadankę na temat mojego zachowania?

- Zgadza się - potwierdził Dew. - Gównu mnie obchodzi, jak bardzo ci odbiło, Dawsey. Mam dość twojego świrowania. W końcu masz zacząć współpracować, rozumiesz?

Perry nachylił się do przodu, opierając się dłońmi o stół. Tylko ten mebel oddzielał teraz mężczyzn.

- Zadzwoń, gdy będę cię potrzebował - rzucił Perry. - Ja nie mogę wezwać bandy dupków z wojska z bronią i helikopterami, ale ty tak. Poza tym wcale nie jesteś mi potrzebny, więc po prostu zachowuj się jak grzeczna cizia i idź tam, gdzie ci każe.

Dew poczuł, jak zaczyna go ogarniać wściekłość. Gdzieś w głębi umysłu zaczął się zastanawiać, czy ujdzie z tego z życiem.

- A przy okazji - dodał Perry. - Nie widziałem przed moim pokojem nowego mustanga. Skąd to opóźnienie?

- Jesteś po prostu małym gnojkiem uwięzionym w ciele wielkoluda - rzucił Dew.

- Nic z tym nie zrobisz.

- *O-hoo-hoo* - odpowiedział Dew. - Czyli co, miałeś trudne chwile, a teraz świat jest ci winien lizaka?

- Masz cholerną rację, że świat jest mi winien lizaka. Przynajmniej mój rząd. Gdzie do kurwy nędzy był mój rząd, gdy przechodziłem przez piekło, co? Gdzie do cholery byłeś, gdy te rzeczy wyjadały mnie od środka?

- Przeżyłeś - zauważył Dew.

- Jestem *jedynym*, który przeżył. Bo walczyłem. Bo mam dyscyplinę. *Trzeba* mieć dyscyplinę.

Dew się roześmiał.

- Chcesz dyscypliny? Chętnie ci ją pokażę.

Perry się uśmiechnął.

- Chcesz mnie zastrzelić? Strzelaj. To jedyny sposób, w jaki zdołasz mnie pokonać. Bez gnata jesteś nic nie wart, staruszk.

Dew go przyszpilił. Starcie było już nieuniknione, musiał tylko dalej trafiać w czułe punkty, aby Dawsey stracił panowanie nad sobą. Doprowadzić go do furii.

- Masz na myśli ten pistolet? - Dew wyciągnął z kabury pod pachą starą czterdziestkę piątkę. Wsunął magazynek z pistoletu, odciągnął zamek i podniósł broń by pokazać, że w komorze nie ma naboju. Następnie położył Colta na drewnianym stole, chwycił magazynek prawą dłonią i kciukiem wysunął z niego pierwszy nabój. Potem drugi. Patrzył w oczy Dawseya, wyrzucając wszystkie siedem naboju. Po wyjęciu ostatniego odrzucił magazynek i podrzucił pocisk w dłoń.

- No to teraz nie mam broni - stwierdził Dew. - I co teraz powiesz, *chłopcze*?

- Jasne - rzucił Perry. - Jakby to był twój jedyny.

Dew wykonał przesadne kiwnięcie głową. Chłopak był bystrzejszy, niż na to wyglądał. Dew podciągnął prawą nogawkę spodni i wyciągnął z kabury na kostce rewolwer Taurus model 85, kalibru .38. Opróżnił bębenek na pięć pocisków i rzucił rewolwer na podłogę. Z lewej nogawki wyjął rozkładaną pałkę i rzucił ją przez pokój do kosza na śmieci, choć natychmiast pożałował, że jej sobie nie zostawił. Szybki ruch nadgarstka mógł rozłożyć pałkę z piętnastu centymetrów do pięćdziesięciu, dając solidny kawał stali. Jednak mleko się rozlało, bo raczej nie mógł podejść i wyjąć broni z kosza. Dew sięgnął jeszcze do zagłębienia pleców i wyciągnął z poziomej pochwy nóż K-Bar. Na koniec wsunął dłoń do krocza i wyciągnął stamtąd sprężynowiec. Oba noże poleciały śladem pałki do kosza na śmieci.

- Co jest, staruszk, wybierasz się na wojnę, czy co?

- Każdego dnia, *chłopcze*, każdego dnia. No dobra, jeśli nie zamierzasz sprawdzać otworów w poszukiwaniu granatu, który noszę w zadku, będziesz musiał mi uwierzyć na słowo, że nie mam przy sobie już nic więcej. To co, zrobimy to, czy będziesz po prostu siedział i dalej walił konia?

- Mówisz *poważnie*, staruszk? Tylko na siebie popatrz. Kałdun ci zwisa, na dodatek czasem kulejesz i w ogóle. Jeśli uderzę cię z całej siły, to pewnie cię zabiję.

- Nie jestem twoim kochaniem Billem Milerem - cicho odpowiedział Dew.

Perry szerzej otworzył oczy z wściekłości i wstydu.

- Jesteś dużym chłopcem, Dawsey - stwierdził Dew. - A zabiłeś kumpla metr pięćdziesiąt w kapeluszu.

- Nie waż się o nim wspominać. - Dawsey powiedział to cichym głosem, od którego zjeżyły się włosy na plecach Dewa.

Posłał mu swój najbardziej wkurzający uśmiech.

- Co jest, laleczko? Nie chcesz się na mnie zamachnąć? Może znajdę gdzieś tu karzelka. Albo dziecko, tłustą kobietę lub osiemdziesięcioletnią staruszkę. Chociaż nie, to nic nie da, bo to nie są twoi przyjaciele. W każdym razie nie *najlepsi* przyjaciele. Ktoś, kto ci ufał, kto próbował ci pomóc.

Dawsey zacisnął dłonie w pięści wielkości wiader.

- To nie była moja wina - powiedział tym samym cichym głosem. - Ja... nie panowałem nad sobą.

- Jasne, że nie - zgodził się Dew. - To problem *odpowiedzialności*, chłopcze. Gdybyś faktycznie miał jakąś *dyscyplinę*, twój pedalski kumpel wciąż by żył.

Perry sięgnął lewą ręką w skos i chwycił prawy róg stołu, po czym dźwignął go jednym ruchem, bez wysiłku odrzucając mebel w lewo. Stół uderzył w ścianę, łamiąc nogi od uderzenia. Pusta czterdziestka piątka wylądowała na dywanie.

Dew czekał.

Perry Dawsey warcząc wściekle uniósł prawą pięść. Naprężając potężne mięśnie zrobił krok do przodu, szykując się do wyprowadzenia potężnego sierpowego.

I dokładnie w chwili, gdy Perry robił krok, Dew rzucił mu w twarz pocisk.

Nabój odbił się od czoła Perry'ego, który zamrugał i się uchylił, co było odruchową reakcją na przedmiot lecący w stronę twarzy. W efekcie przechylił lekko głowę z pięścią zatrzymaną w powietrzu i instynktownie przesunął stopę, by utrzymać równowagę, pchany inercją wcześniejszego ruchu.

Dew otworzył dłoń, maksymalnie rozsuwając kciuk i palec wskazujący, po czym wyszedł w stronę nadchodzącego olbrzyma, uderzając poziomo otwartą dłonią. Podstawa kciuka uderzyła w tchawicę Dawseya. Dew nie wyprowadził ciosu z pełną siłą, ponieważ mógłby w ten sposób zmiażdżyć organ, doprowadzając do uduszenia przeciwnika. Chciał go tylko skrzywdzić, nie zabić.

W każdym razie jeszcze nie.

Dawsey gwałtownie sięgnął do gardła i mocno zacisnął oczy. Wydał z siebie pojedynczy odgłos, skrzyżowanie kaszlnięcia i charczenia.

A potem Dew Phillips dźgnął go kciukiem w lewe oko.

Perry znowu szarpnął się do tyłu, obracając głowę w lewo by ochronić oko i podnosząc do tego lewą rękę, z prawą wciąż przy gardle. Nie potrafił oddychać. Nic nie widział.

Dew zrobił krok do przodu, żeby kopnąć Dawseya w kolano, ale wielkolud machnął na ślepo pięścią, trafiając go w prawe ramię. Siła uderzenia obróciła agenta wkoło i sprawiła, że upadł z dużą siłą, przewracając stół pełen otwartych walizek. Dew poczuł pieczenie rozcięcia na prawej skroni, a zaledwie pół sekundy później strużkę ściekającej krwi.

Brał udział w setkach bijatyk, ale jeszcze *nigdy* nie oberwał tak mocno.

Z wysiłkiem dźwignął się z podłogi. Próbował ruszyć prawą ręką, ale nie potrafił - była odrętwiała i nie reagowała.

Dawsey wciąż kaszlał i nadal próbował wciągnąć powietrze, ciągle trzymając się za lewe oko, machając dziko na ślepo prawą ręką. Dew przesunął się pod ścianą do stołu z powyłamywanymi nogami. Lewą ręką chwycił cieńszy koniec odłamanej stołowej nogi. Dzięki grubemu drugiemu końcowi kawałek drewna wyglądał jak wypolerowana maczuga.

Dew zrobił krok do przodu i zamachnął się nisko po łuku. Grube drewno uderzyło w prawe kolano Dawseya. Olbrzym krzyknął z bólu, jednak jego gardło wyemitowało tylko chrapliwy szept. Przewrócił się, opierając się na lewym kolanie i prawej ręce.

- Chcesz dyscypliny? - warknął Dew. - Nauczę cię dyscypliny.

Dew jeszcze raz zamachnął się stołową nogą i z dużą siłą uderzył Perry'ego w głowę. Skóra natychmiast pękła, zalewając krwią pięciocentymetrowe rozcięcie i barwiąc blond włosy. Pomimo tego Dawsey ledwie drgnął. Rozchylił lekko prawą powiekę, jednak lewa pozostała mocno zaciśnięta. Ze swojej na wpół przykucniętej pozycji skoczył do przodu, wyciągając obie ręce.

Dew Phillips spokojnie odsunął się do tyłu, równocześnie dźgając stołową nogą w usta Perry'ego i rozcinając mu wargę.

Perry padł płasko na twarz, po czym oparł się dłońmi o podłogę i spróbował się dźwignąć.

- Będiesz grał w drużynie - powiedział Dew. Opuścił stołową nogę po kolejnym zamachu, słysząc jak drewno świszce w powietrzu, po czym z głuchym dudnieniem uderza w plecy Dawseya. Wielkolud znowu wydał z siebie zdławiony syk i ponownie padł na twarz.

- Zrobisz to, bo to właściwe, tak należy.

Dew zamachnął się nisko, uderzając w prawy bok Perry'ego, trafiając w jego żebra. Trafiony przetoczył się na lewy bok, prawie zwijając się w pozycję płodową. Wciąż nic nie widział, zdradzając swoją ślepotę mocno zaciśniętymi powiekami. Krew zalewała mu głowę i wypływała z ust, kolana podciągnął do klatki piersiowej, a ręce wysunął przed siebie, próbując osłonić się przed kolejnymi atakami.

Dew zamachnął się jeszcze raz, tym razem z całej siły, trafiając w udo. Uderzony Dawsey zdołał przepchnąć przez zdławione gardło głośny wrzask.

- Nie chcę już słyszeć od ciebie żadnych bzdetów - powiedział Dew. Znowu z dużą siłą walnął w to samo miejsce, wiedząc, że za drugim razem ból będzie silniejszy. - Przystaniesz wreszcie być takim dupkiem?

- Przestań! - krzyknął Perry. - Proszę!

- Czyżbyś błagał o życie, Dawsey? Tak jak Bill Miller? Jak ci gospodarze trójkątów?

- Ja im *pomagalem!* - Jego głos brzmiał, jakby chłopak mówił z kawałkami szkła w ustach.

Dew dźgnął stołową nogą, uderzając Dawseya w czoło. Dźwiękowi przypominającemu uderzenie kijem w drzwi towarzyszyło kolejne rozcięcie, tym razem dłuższe od poprzedniego i krwawiące jeszcze silniej.

- *Pomagales* im? Ty popierdolony świrze, może po prostu powinienem cię tu zatłuc na śmierć!

- Nie! - Wciąż leżąc na boku z kolanami podciągniętymi do piersi, Perry dziko zamachał rękami.

Dew uniósł stołową nogę do kolejnego uderzenia w żebra Dawseya. Chciał, żeby chłopak czuł *ból*.

- Nie bij mnie już, tatusiu! - Głos Perry'ego był na wpół krzykiem, na wpół płaczem. - *Proszę!*

Dew zagapił się na niego znieruchomiały, z maczugą uniesioną do góry.

- Pro... proszę, tatusiu - wybełkotał Dawsey. - Już dość.

Dew opuścił stołową nogę, po czym rzucił ją na podłogę. Wciąż nie potrafił poruszyć prawą ręką. Olbrzymi, zakrwawiony mężczyzna leżał na podłodze, a jego wielkim ciałem wstrząsało łkanie.

- Ściągnę tu kogoś, żeby doprowadził cię do porządku - rzucił Dew. - Potem wróc do swojego pokoju. Przyjdę później z tobą pogadać. Mamy robotę do zrobienia.

Dew wyszedł z pokoju.

## Kwaśne jabłko

Clarence się przechylił, wsuwając głowę do przyczepy łączności. Margaret posłała mu uśmiech. Nie mogła się powstrzymać. Uznała go za przystojnego od pierwszej chwili, gdy tylko go zobaczyła, a teraz, po trzech miesiącach spędzonych razem przy tej misji i więcej niż kilku wspólnych nocach, uważała go za wspaniałego. Zdecydowanie się w nim zakochiwała. A właściwie to *już* się zakochała. Nie wiedziała, czy będzie to czasowe zauroczenie, czy kiedy skończy się to szaleństwo, rozejdą się, każde w swoją stronę. Może ich wzajemne przyciąganie było tylko sposobem na rozładowanie napięcia i niemal codziennego kontaktu ze śmiercią, a może był z nią tylko dlatego, że była jedyną kobietą w projekcie.

Ta myśl przyszła jej do głowy więcej niż raz. Była starsza od niego, miała dziesięć kilo nadwagi i choć wciąż zauważała ją mnóstwo mężczyzn, nie było ich już tylu co kiedyś. Jednak miała nadzieję, że to nie było powodem. Czy naprawdę się w nim zakochała? Odsunęła od siebie te myśli – jeśli pozwoli, żeby to wszystko zaszło tak daleko, a on wcale jej nie kocha...

– Pani doktor – odezwał się Clarence. – Dew powiedział, żebyś poszła do biura.

– Jestem trochę zajęta – odpowiedziała. – Powiedz mu, że jeśli czegoś ode mnie chce, niech przyjdzie do przyczepy. Wtedy go splamię, a ty będziesz mógł mi pomasażować ramiona.

Clarence potrząsnął głową.

– Uch, nie da rady, pani doktor. Musisz iść do biura i zabrać ze sobą apteczkę. Wygląda na to, że Dew pobił się z Perrym.

– Och. Nie powinniśmy wezwać karetki?

– Będziesz musiała to sama zobaczyć – odpowiedział. – Ale nie martw się, pójdę z tobą.

Margaret zaczęła zaglądać do szafek pomieszczenia łączności. Gdzieś tu była apteczka... Znalazła ją, chwyciła białe, plastikowe pudełko za wbudowaną rączkę i wybiegła z przyczepy w stronę pokoju 207.

W pewien sposób Clarence sprawiał, że musiała poddać analizie podejmowane w życiu decyzje, choć pędziła właśnie ekspresem kariery do sukcesu i całkiem dosłownie stanęła na drodze globalnej katastrofy. Była *tym kimś*, osobą, którą zawsze pragnęła zostać, ale z powodu tego, co czuła do mężczyzny, wszystko to zaczęło pobrzmiwać pustką. Kiedy to wszystko się skończy a oni się rozejdą, co jej zostanie w życiu? Skromne mieszkanie w Cincinnati? Miejsce, w którym tak naprawdę tylko spała, ponieważ niemal cały czas spędzała w pracy?

– Nie musisz się bać – rzucił Clarence, gdy dotarli pod drzwi biura. – Idę tam z tobą.

Otworzył dla niej drzwi.

– Bać się? Czemu miałabym się bać Dewa Phil...

Słowa ucichły, gdy zobaczyła na podłodze zwiniętego w kłębek Perry'ego Dawseya, krwawiącego jak zarżnięta świnia.

– Jak już mówiłem – odezwał się Clarence – będę przy tobie.

Nie potrafiła w to uwierzyć. Dew Phillips pobił Perry'ego Dawseya? *Pobił* właściwie nie było najlepszym słowem. *Stłukł go tak, że doprowadził go na skraj śmierci.* Tak, to zdecydowanie lepiej opisywało sytuację.

- Zostaw nas samych, Clarence.

Odwrócił się gwałtownie, przenosząc wzrok z Perry'ego na nią.

- Oszalałaś? Został powalony, ale żyje.

- Wiem.

- W każdej chwili może mu odbić, Margo. Zostaję tu.

Wzięła go za rękę i wyprowadziła z pokoju, po czym pociągnęła jego głowę w dół, by móc szeptać mu do ucha.

- Wiem, że chcesz mnie chronić, skarbie, ale on nie zrobi mi krzywdy.

- To *zabójca*, Margaret – szeptem odpowiedział Clarence.

- Będziesz musiał zaufać mojej ocenie sytuacji. Opiekowałam się nim przez pięć tygodni i mówię ci, że nie zrobi mi krzywdy.

- No dobrze, to po prostu będę patrzył, jak bardzo się myłę.

- Słuchaj, właśnie został strasznie pobity – odpowiedziała Margaret. – Nie jestem mężczyzną, ale wydaje mi się, że coś takiego jest dla was raczej zawstydzające, prawda?

Clarence patrzył na nią przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Więc może jeśli zamiast kolejnego faceta będzie przy nim kobieta, nie będzie czuł się aż tak źle, bo nie będzie się zastanawiał, czy *ja* też mogę go pobić?

- No cóż, nie dokładnie tak bym do tego podszedł – odpowiedział. – Ale masz rację, byłoby mi wstyd, gdyby inny facet przyglądał się, jak mnie szyją. Oczywiście poza lekarzem. Lekarze w takich sytuacjach nie są powodem do wstydu.

- Męska logika?

- Męska logika – zgodził się. – Słuchaj, nie możemy przynajmniej ściągnąć tu Amosa, żeby się nim zajął? Amos to facet, ale lekarz.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jeśli zdołasz namówić Amosa Brauna, żeby został sam w pokoju z Perrym Dawseym, masz u mnie dwadzieścia dolców.

- Nie przyjmuję tego zakładu.

- Clarence, jestem lekarką. Strasznie podoba mi się to, że chcesz mnie chronić, ale skończyliśmy już tę rozmowę, dobra? Jeśli się martwisz, możesz stać tu, przed drzwiami. Gdyby coś się działo, zawołam o pomoc.

- To zadziała tylko, jeśli zdołasz wydać jakiś dźwięk, zanim skręci ci kark.

Westchnęła, po czym klepnęła go w pierś i weszła do pokoju 207. Zamknęła za sobą drzwi.

- Perry? To ja, Margaret.

Otworzył prawe oko. Lewe pozostało opuchnięte i zaciśnięte.

- Cześć – sapnął.

- Poskładam cię, dobra?

- Zostaw mnie w spokoju.

- Nie ma mowy. Jestem lekarzem, a ty krwawisz. Tak to działa.



Perry popatrzył na nią sprawnym okiem, po czym powoli usiadł i przesunął się tak, by oprzeć się plecami o ścianę.

- Dobra - zgodził się. - Ale tylko zatrzymaj krwawienie.

Klęknęła przy nim i otworzyła apteczkę. Przycisnęła kawałki gazy do rozcięcia na szczycie jego głowy.

- Proszę, przytrzymaj to tutaj.

Perry wykonał polecenie. Przyłożyła kolejny gazik do rozcięcia na czole. Natychmiast przesiąknął krwią.

- No dobra, Perry. Powiedz mi, co cię boli.

- Moje ego. Zostałem zбитy na kwaśne jabłko przez emeryta.

- Może miałeś szczęście - odpowiedziała Margaret.

- No to kup mi los na loterię. Jakim cudem uważasz, że miałem *szczęście*?

- Przez te kilka miesięcy Dew opowiedział mi trochę historii. On zabił naprawdę dużo ludzi, Perry. Wiem, że jesteś duży, silny i sprawny, poza tym umiesz się *bić*... ale Dew Phillips potrafi zabijać.

- Ha - sapnął Perry. - Ale tego nie zrobił. Czy to znaczy, że wygrałem?

Margaret się roześmiała.

- Widzisz? Już sobie żartujesz. Nie mógł cię zbić tak mocno.

- Zgaduj jeszcze raz.

Zdjęła zakrwawiony gazik, po czym połała rozcięcie wodą utlenioną.

- Boli? - zapytała.

- W porównaniu do uderzenia nogą od stołu? Równie dobrze mógłby to być masaż erotyczny.

- Świetnie, w takim razie uznaj to za szczęśliwe zakończenie.

Zabrała się do zszywania rozciętej skóry. Sześć szwów na czole, pięć na czubku głowy i jeszcze trzy na wardze.

- Bardzo źle z moim okiem? - zapytał Perry. - Straciłem je?

Siłą podniosła zaciśniętą powiekę i poświeciła latarką w źrenicę. Oko było przekrwione, ale źrenica kurczyła się w reakcji na światło.

- Będziesz miał wielkie limo, ale nie przestaniesz widzieć.

Kazała mu zdjąć koszulę. Jej spojrzenie zatrzymało się na chwilę na pomarszczonej bliźnie wielkości pięści na prawym obojczyku, po czym odruchowo przejechało na podobną bliznę na lewym przedramieniu. Leczyła go tygodniami i знаła wszystkie jego okropne blizny: na lewym biodrze, na środku pleców, prawym pośladku i mniejszą na lewym goleniu.

Margaret obmacała mu żebra i stwierdziła, że nie są połamane. Odmówił zdjęcia spodni, więc musiała mu uwierzyć na słowo, że udo jest w porządku. Na koniec zbadala mu kolano, podciągając nogawkę spodni i obmacując jego okolice czubkami palców. Kolano było opuchnięte, ale nie wyczuła żadnych złamań, więc mocniej wcisnęła palce, żeby sprawdzić pod kątem uszkodzonych ścięgien.

- Boli, kiedy to robię?

- Tak - przyznał Perry.

- Opisz ból.

- Czy *kurewsko nie do wytrzymania* to standardowy termin medyczny?

Przestała naciskać.

- Skoro tak bardzo cię bolało, to czemu czegoś nie powiedziałaś?

- Ja i ból to starzy znajomi - odpowiedział, wzruszając ramionami.

- No cóż, w takim razie będziesz mógł spędzić sporo czasu z twoim *kumplem bólem*, zanim to wszystko się wygoi. Dasz radę wrócić do swojego pokoju?

Perry zaczął się podnosić. Próbowwała mu pomóc, ale był tak ciężki, że poczuła się jak mała dziewczynka udająca pomoc, jednak jej wysiłki tak naprawdę niczego nie zmieniły. Znalazła w apteczce buteleczkę ibuprofenu.

- Weź cztery tabletki i połóż się spać, dobrze? Później przyjdę jeszcze raz cię zbadać.

Wziął buteleczkę i pokuśtykał do drzwi. Otworzył je, po czym się odwrócił.

- Powiedz Dewowi, że muszę z nim pogadać. Powiedz mu, że to ważne i że... nie będę mu już utrudniał.

- Czy to nie może poczekać do jutra? Potrzebujesz snu.

Perry zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową. Podniósł do góry buteleczkę z lekiem, potrząsnął nią niczym w salucie, po czym niezgrabnie ruszył w stronę swojego pokoju.

Naprawdę chciała, żeby się przespał, ale też nie chciała ryzykować drugiej rundy walki. Perry zachowywał się inaczej, jak *pokonany*, ale Dew prawdopodobnie jeszcze się nie uspokoił i dowolny drobiazg mógł doprowadzić mężczyznę do kontynuacji starcia.

Jedynym powodem, dla którego Perry Dawsey jeszcze żył było to, że Dew Phillips tego chciał, a Margaret wołała dopilnować, żeby nie zmienił zdania.

## To nie może być nic dobrego...

Gdy rodzina Jewellów położyła się do snu, zaczęły się zmiany.

Nowa odmiana nasion zachowywała się podobnie do tej, która zainfekowała Perry'ego Dawseya. Przynajmniej z początku. Nasiona zostały znalezione przez *Demodex folliculorum*, drobne roztocza żyjące na skórze każdego człowieka na ziemi. Ponieważ nasiona wyglądały i pachniały jak kawałki martwego naskórka, będącego ich jedynym pożywieniem, roztocza je zjadły. Enzymy trawiące białka w żołądkach mikroskopijnych stawonogów rozbiły pancerzyki nasion, umożliwiając przeniknięcie do wnętrza tlenu i rozpoczęcie procesu kiełkowania.

I podobnie jak w przypadku zakażenia Perry'ego, ta runda rozpoczęła się w wielu kupkach odchodów.

Każde aktywowane nasionko przepchnęło przez skórę włókno, przenikające głęboko do warstw podskórnych. Znajdujące się na końcach włókien komórki receptorowe mierzyły stężenie określonych związków chemicznych i gęstość, wyszukując idealne miejsca na rozpoczęcie drugiej fazy wzrostu.

W przeciwieństwie do szczepu Perry'ego i wcześniejszych, te włókna dodatkowo uwalniały do krwi jeden z dwóch związków chemicznych: związek A, jeśli było to nasionko pisklaka, podobne do tych, które zakaziły Perry'ego Dawseya i Martina Brewbakera, lub związek B, jeśli był to nowy szczep.

Związki zostały wprowadzone do układu krążenia gospodarza. Po pewnym czasie włókno zmierzyło stężenie obu związków, co pozwoliło na podjęcie prostej decyzji: jeśli w krążeniu wykryto więcej związku A, nasionko pisklaka kontynuowało rozwój, a nowy szczep ulegał dezaktywacji. Jeśli przeważał związek B, zachodził odwrotny proces.

Tak się złożyło, że Bobby Jewell był jedynym członkiem rodziny, w którym przeważały standardowe nasiona pisklaków. Pięć z jego siedmiu pasożytów było identycznych z tymi, które zakaziły Perry'ego.

Betty, Donaldowi i Chelsea Jewell przypadł zaszczyt hodowania nowego szczepu.

Na tym etapie oba szczepy przechodziły niemal identyczny schemat wzrostu: korzonki drugiego etapu sięgnęły po surowce dostępne w warstwie podskórnej: białka, tlen, aminokwasy i najważniejsze - cukry. Oba szczepy wykorzystały naturalne procesy biologiczne gospodarza do tworzenia nowych mikroorganizmów. Powstały *kuleczki czytające*, pokryte rzęskami, zębate konstrukty zaprojektowane do rozrywania komórek i analizowania ich DNA w celu zbadania biologicznych planów budowy gospodarza, niczym komputer odczytujący wiersze kodu. Powstali *budowniczości*, tworzący elastyczne struktury celulozowe, które w oryginalnych szczepach przekształcały się w trójkąty. Trzecią klasą były *organizmy gromadzące*, które przemieszczały się w ciele w poszukiwaniu komórek macierzystych, wycinały je i zaciągały do struktur celulozowych, gdzie kuleczki czytające wgrzyzały się w nie i modyfikowały ich DNA.

Nowy szczep wprowadził kolejną odmianę. Zmodyfikowane komórki macierzyste tworzyły maleńkie, swobodnie unoszące się pasma silnych, elastycznych włókien

mięśniowych. Włókna zbierały się w większe struktury, tworząc maleńkie, niezależne mięśnie. Podczas gdy organizm Bobby'ego Jewella znosił aktywność *kulek czytających*, *budowniczych* i *organizmów gromadzących*, jego córka, brat i bratanica musieli poradzić sobie z najnowszym mikroorganizmem.

Chelsea, Donald i Betty poznają wkrótce działanie *pełzaczy*.

# **DZIEŃ TRZECI**

## Pełzanie

Nasiona Perry'ego Dawseya pochodziły z partii trzynastie, a jego trójkąty wykluły się w ciągu siedmiu dni. Dzięki nieustannym poprawkom projektowym, nasiona partii siedemnastej potrzebowały do wyklucia tylko pięciu dni.

Pięć dni to inżynieryjny cud samoorganizacji i świadectwo niesamowicie zaawansowanej technologii. Można to było uznać za znaczący rozwój starego szczepu.

A jednak dla *nowego* szczepu pięć dni było niczym wieczność. O ile struktury Perry'ego musiały tworzyć wiele złożonych elementów, nowe produkowały tylko jeden typ struktur.

Mikroskopijne pasma zmodyfikowanych ludzkich mięśni.

*Zhakowanych* mięśni.

Każde włókno składało się oczywiście z komórek mięśniowych, ale zawierało też maleńkie struktury wydzielnicze i złożony, krystaliczny zestaw cząsteczek zdolnych do wysyłania i odbioru prostych sygnałów.

Samo w sobie zhakowane pasmo było nic nie warte – mogło się poruszać... i tyle. Mogło także wysyłać i odbierać sygnały „tu jestem”, co było kluczowe, ponieważ włókien nie zaprojektowano do samodzielnej pracy.

Sygnały „tu jestem” ściągały je w grupy, prawie jak ostatnie unoszące się na mleku kawałki płatków, które z początku unoszą się samotnie do czasu, aż napięcie powierzchniowe zgromadzi je w skupisko. Gdy włókno wykrywało sygnał „tu jestem” z innego włókna, pełzło w jego stronę. Pełznące włókna stykały się i splatały. Teraz ich sygnał był dwukrotnie silniejszy, przyciągając więcej włókien, i tak dalej.

Normalna ludzka komórka mięśniowa sama w sobie jest bezużyteczna, jednak wiele współpracujących komórek umożliwia złożone ruchy. Zmodyfikowane włókna działały na podobnej zasadzie – całość była czymś znacznie więcej, niż prostą sumą części. Gdy grupy zmodyfikowanych włókien osiągały pewną wielkość, mniej więcej pięćset mikrometrów, przestawały nadawać sygnał „tu jestem”.

Mikron to jedna *milionowa* część metra. Pięćset mikronów to pięć dziesięciotysięcznych metra, czyli pół milimetra. Coś bardzo małego, ale można by to już zobaczyć nieuzbrojonym okiem.

Gdyby ktoś mógł zajrzeć do wnętrza organizmów Chelsea, Donalda i Betty Jewellów, zobaczyłby coś niepokojącego, co wyglądałoby bardzo podobnie do ludzkiej komórki nerwowej. Na jednym końcu długi, cienki akson, na drugim rozgałęziające się dendryty, rozchodzące się jak rzeczne dopływy.

Jednak w zwykłej komórce nerwowej dendryty nie podłączają się do innych komórek nerwowych, mięśni i błon komórkowych i zdecydowanie nie *ciągna*.

A przede wszystkim, zwykle komórki nerwowe nie *pełzają*.

Pełzacze zastosowały bardzo prosty system nawigacji: wywoływanie bólu. Strategia była podyktowana względami praktycznymi, nie sadyzmem: ludzkie ciało jest skonstruowane w taki sposób, że sygnały bólu mają najwyższy priorytet. Rozgałęzione

dendryty pełzacza sięgały na zewnątrz, przyczepiały się do aksonów i uwalniały związek chemiczny udający zwykle sygnały bólu. Niektóre nerwy ignorowały ten przekaz - były to nerwy *odśrodkowe*, przenoszące sygnały z mózgu do reszty ciała. Nazywane również *nerwami motorycznymi* pozwalały mózgowi sterować działaniem mięśni i ogólnie czynnościami organizmu. Nerwy, które *nie* ignorowały komunikatów o bólu, powielając je i przekazując do mózgu nazywa się nerwami *doprowadzającymi*.

Po zidentyfikowaniu nerwów doprowadzających pełzacz chwytają je, ciągnęły i pełzły. Co trzy lub cztery skurcze ponownie uwalniały sygnał bólu, mierzyły wynik i przemieszczały się dalej.

Ich pełznięcie miało je w końcu doprowadzić do mózgu.

## Ujek Donny wyjeżdża

Puszysty śnieg opadał niesiony lekkim wiatrem, wpadając do oczu Chelsea i swędząc ją w nosie.

Nie czuła się dobrze. W zasadzie było jej gorąco, wszystko ją pobolevało i miała małe nierówności na rękach. Trochę ją bolały, ale nie swędziały ani nic. Trzymała za rękę tatę, podczas gdy ujek Donny i Betty wsiadali do samochodu ujka Donny'ego. Betty wydmuchała nos w różową chusteczkę jednorazową, po czym oparła głowę na zagłówek fotela i zamknęła oczy. Ona też nie czuła się dobrze.

Ujek Donny zamknął drzwi kierowcy i opuścił szybę. Mocno zakaszłał, z charczącym dźwiękiem w piersiach, po czym wyciągnął przez okno rękę w stronę taty. Gdy mówił, oddech ujka Donny'ego tworzył białą chmurę w powietrzu.

- Dzięki za gościnę, braciszku - powiedział do taty. - I dzięki za niespodziewany prezent.

- Och, daj spokój - odpowiedział tata. - Na pewno przywiozłeś to coś ze sobą z Pittsburgha. I nie zamierzam uścisnąć dłoni, na którą właśnie zakaszlałeś.

Ujek Donny zmrużył oczy.

- Co to u diabła ma znaczyć?

Chelsea cofnęła się o krok. Ujek Donny wyglądał dość groźnie.

- Tylko się z ciebie nabijam - odpowiedział tato. - Spokojnie, bracie.

Ujek Donny przez chwilę patrzył gniewnie, po czym wyraźnie się rozluźnił. Zamrugał szybko oczami, jakby właśnie się obudził.

- Przepraszam - rzucił. - Ja... chyba rzeczywiście źle to odebrałem.

- Prochy? - zapytał tato.

Ujek Donny kiwnął głową.

- Łyknałem. Daję słowo.

- Świetnie. Niedługo wybierzemy się do Pittsburgha.

Ujek Donny znowu na chwilę zmrużył oczy, ale potem otworzył je szerzej i potrząsnął głową jak szczeniak.

Mama podeszła i nachyliła się do okna, niezgrabnie obejmując ujka.

- Jedź ostrożnie - powiedziała. - Ta burza ma się podobno zmienić w marznący deszcz, a na drodze będzie pełno ludzi, więc będzie ci się fatalnie jechało. I uważaj na pijanych kierowców.

Wycofała się z okna i wyprostowała. Ujek Donny uśmiechnął się i kiwnął głową. Mama obeszła samochód, żeby pożegnać się z Betty. Ujek popatrzył prosto na Chelsea i wyciągnął rękę.

- Chodź tu, laleczko. Pożegnaj się ze mną.

Chelsea skurczyła się w sobie. Czemu ujek Donny chciał jej dotykać? Czy zamierzał jej coś zrobić?

- Skarbie - odezwał się tato. - Pożegnaj się z wujkiem.



Ujek Donny uśmiechnął się. Tym razem to Chelsea zamrugła. Przecież to był ujek Donny, czemu miałyby się go bać? Przecież ją kochał. Chelsea puściła rękę taty i podbiegła do drzwi samochodu, po czym stanęła na palcach i pocałowała ujka Donny'ego w policzek.

- Do widzenia, ujku Donny.

- Bądź grzeczną dziewczynką, dobrze?

Chelsea kiwnęła głową. Wydawał się... inny. Tak jak tato. I kuzynka Betty. Jedyna, która wydawała się niezmienną, to mama. Czemu? Może Chelsea jednak wcale nie musiała się bać ujka Donny'ego... Może powinna się bać mamy. Mama mogła wyciągnąć łyżkę do bicia.

Chelsea wyciągnęła się i wyszeptowała do ucha ujka Donny'ego.

- Kiedy do was przyjedziemy, możesz mnie zabrać na przekłucie uszu?

Ujek Donny roześmiał się i dotknął jej policzka.

- Obawiam się, że o tym musi zdecydować twój tato.

Chelsea bardzo spodobało się to, jak ujek Donny uśmiechnął się do niej. Tak jak tato. Ujek Donny był bardzo podobny do taty. Chelsea żałowała, że nie mogą się częściej spotykać. Wiedział tak dużo o koszykówce z Deeeetroit.

Zabawna twarz ujka Donny'ego nagle się wykrzywiła. Łagodnie odepchnął Chelsea, a potem zakaszłał tak mocno, że głową prawie uderzył w kierownicę. Po chwili złapał go drugi atak kaszlu, po którym odchylił się na oparcie fotela i się roześmiał. Pomachał ręką przed twarzą, jakby próbował się ochłodzić.

- Dorwę cię za ten prezent - ujek Donny powiedział do taty. - Mam nadzieję, że dojedziemy do domu zanim złapie nas na dobre, bo mam przeczucie, że będzie nas solidnie trzepało.

- Jeśli źle się poczujesz, zatrzymaj się w jakimś hotelu - poprosiła mama. - Nie bądź takim upartym draniem jak twój brat.

- Daj spokój, Candice - rzucił tato.

Chelsea wiedziała, że tatuś wskazuje na nią, choć wcale tego nie widziała. Robił to zawsze, gdy mamusia używała brzydkich słów.

- Och, przepraszam - powiedziała mama. - No dobra, ruszajcie już i *jedźcie ostrożnie!*

Ujek Donny zasunął szybę samochodu i wycofał się z podjazdu. Kiedy odjeżdżali, Chelsea zaczęła dotykać palcem małych wypukłości na rękach.

Mama przykucnęła przed nią.

- Dobrze się czujesz, skarbie?

Co mama chciała przez to powiedzieć? Może... nic? Chelsea zrobiło się bardzo gorąco. Mama po prostu próbowała się o nią zatroszczyć. Dziewczynka potrząsnęła głową.

- No dobrze, złotko - oświadczyła mama. - Zabieramy cię z tego zimna i pójdiesz prosto do łóżka.

- Ja też - oznajmił tato. - Paskudnie się czuję. Zwalmy się do łóżka.

Rodzina Jewellów zgodnie weszła do domu.

## Męskie nawiązywanie przyjaźni

Dew Phillips zapukał do drzwi Perry'ego.

- Wejdz.

Dew wszedł i zamknął drzwi za sobą. Perry Dawsey wyglądał koszmarnie. Przez jego blond włosy przebiegała czerwono-czarna krecha, drugą podobną miał na czole, po skosie zaczynającym się nad lewym okiem i schodzącym prawie do podstawy nosa. Paskudnie opuchły mu wargi, a lewe oko było całe czerwone z niebieską tęczęwką.

Dawsey siedział na gołym materacu, z łokciami opartymi na udach i nisko zwieszoną głową. W rękę trzymał opróżnioną do połowy butelkę bourbonu Wild Turkey.

- Gdzie, u diabła, zdobyłeś tę butelkę?

- Tobie płacą, ja też dostaję kieszonkowe. Miałem jeszcze jedną flaszkę w bagażniku mustanga, ale się potłukła.

Dew swobodnym ruchem przycisnął prawe ramię do boku, czując przez marynarkę uspokajający kształt czterdziestki piątki. Miał szczęście w walce z Dawseym, ale nie zamierzał nadmiernie eksploatować tego szczęścia - gdyby chłopak zaatakował, tym razem zamierzał do niego strzelić.

- Jak się czujesz? - zapytał Dew.

Perry podniósł głowę. Włosy zwisały mu na twarz.

- Czuję się, jakby ktoś walnął mnie w głowę nogą od stołu - odpowiedział. - I w gębę. I w plecy. I w udo. I popatrz na siebie - widać po tym plastrze, że naprawdę solidnie ci dokopałem.

Ręka Dew odruchowo powędrowała do małego plastra na czole. Rozcięcie powstałe w wyniku uderzenia o stół nie wymagało nawet szycia.

- Jeśli cię to pocieszy - stwierdził Dew - to wciąż ledwie mogę ruszać ręką.

- Bo co, złapałeś reumatyzm? Nawet cię nie trafiłem.

- Musnąłeś mnie - wyjaśnił Dew. - Wystarczyło. Słuchaj, nie będę ci wciskał kitu, moja cierpliwość się wyczerpała. Jeśli skrzywdzisz jeszcze kogoś z moich ludzi, zastrzelę cię. Jeśli znowu *mnie* zaatakujesz, będę strzelał. W nogę, jeśli będę miał czas, w głowę, jeśli nie. Naprawdę bardzo cię potrzebujemy, ale nie zamierzam cię trzymać w zespole, jeśli będziesz mi robił wbrew.

- Ja... będę grzeczny - zapewnił Perry. - Sklepałeś mnie w uczciwej walce.

Dewa zdumiało to stwierdzenie. Zabrzmiało to jak coś, co Dew powiedziałby po bijatyce w *swoim* dzieciństwie. Ale to było ponad pięćdziesiąt lat temu. Współczesne dzieciaki były inne, nie potrafiły dać sobie po razie, a potem uściskać ręki i być przyjaciółmi. Teraz używały brzydkich słów i szukały broni. Dew poczuł zaskakującą falę podziwu dla Perry'ego.

- Nie uważam pobicia cię nogą od stołu za uczciwe - przyznał Dew.

Perry wzruszył ramionami.

- Jestem od ciebie cięższy o dobre trzydzieści kilo. Gdybym cię dorwał, chyba bym cię zabił. Zresztą nie ma znaczenia jak wygrasz, o ile tylko ci się to uda.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- No dobrze - odezwał się Dew - to nie szukasz rewanżu?

Perry przez kilka chwil wpatrywał się w ścianę, po czym odpowiedział powoli i z namysłem.

- Nie ma wielu ludzi, którzy mogliby mnie powalić. Ty i... Była tylko jedna osoba poza tobą, której się to udało. Nie chcę rewanżu. Będę grał w drużynie.

Dew kiwnął głową. Pozwolił sobie na cień nadziei, że może udało mu się do niego dotrzeć.

- No dobra, młody. Zacznijmy od początku. Powiedziałeś, że coś się zmieniło. Co takiego?

- Głos.

- Głos? Mówiłeś, że nie powiedział jeszcze żadnych słów, a teraz jakieś słyszysz?

- Nie. - Perry pokręcił głową. - Jeśli jestem dość blisko zakażonych, słyszę słowa, ale kiedy jestem daleko, bardziej przypomina to wrażenie. Obrazy, emocje, coś takiego. Czasami potrafię to wyłapać, innym razem to jak cichy szepc w zatłoczonym pokoju. Im więcej zakażonych w jednym miejscu, tym silniejsze to uczucie. Można wyłapać tylko fragmenty i strzępy, może dość, by zrozumieć o co chodzi w rozmowie, wiesz, co chcę powiedzieć?

Dew kiwnął głową.

- Teraz znowu są te strzępy i urywki, ale na innym... poziomie natężenia. Nie wiem, jak to opisać. Wrażenie jest takie jak... jakbyś był dwadzieścia jeden punktów w plecy z końcem pierwszej połowy, ale poprawiasz strategię ataku, tłumisz ich i twój atak zalicza dwa razy, ściągając do siedmiu, potem zostały już tylko trzy minuty i jesteś taki *podniecony*, bo jeśli uda ci się zaliczyć jeszcze jedną akcję, twój atak może zremisować albo nawet wygrać mecz. A to bardzo trudne, nie? Ale czujesz, że to twoje przeznaczenie, że tak się musi stać. Masz tempo. Myślisz, że ich rozpracowałeś i zwycięstwo jest... jest...

- Nieuniknione? - zapytał Dew.

Perry strzelił palcami, wskazał na Dewa i się uśmiechnął. Uśmiech wyglądał dość upiornie na jego zszytych, opuchniętych wargach.

- Dokładnie - potwierdził. - To nieuniknione. To właśnie takie uczucie.

- Czyli ten głos Boga mówi, albo sprawia wrażenie, jakby... uch, szykował silny atak w końcówce meczu?

- To dość dobre przybliżenie. - Perry przytaknął.

- To co się teraz będzie działo?

- Nie wiem - przyznał Perry. - Może to rzeczywiście *jest* głos Boga i jeśli trafimy do nieba, kopnie nas w dupę i odeśle na dół.

- Nie ma nieba - oświadczył Dew. - Ani żadnego Boga, bo gdyby był jakiś wszechpotężny Bóg, to byłby strasznie wrednym skurwysynem. Lubi, jak dobrzy ludzie giną, a źli żyją. I najwyraźniej lubi zakażać byłe gwiazdy futbolu paskudztwami, które wyjadają go od środka.

- Wypiję za to - rzucił Perry i pociągnął długi łyk Wild Turkey.

- Mamy tu dość niewesołą sytuację, chłopcze - stwierdził Dew. - Może powinieneś przestać pić.

- Albo ty powinieneś zacząć - odciął się Perry. - Zabiłem najlepszego przyjaciela, odciąłem sobie sprzęt i jestem jakąś psychiczną linią telefoniczną dla tego czegoś. A ty? Stary, zrucasz bomby na Amerykę. Dowodzisz walką z najprawdziwszymi obcymi. Wiesz co? Jak dla mnie, to całkiem dobre powody, żeby sobie walnąć lufę albo trzy.

Perry wyciągnął butelkę. Dew popatrzył na paskudną bliznę na jego lewym przedramieniu. Blizna wojenna, tym właśnie była.

Wziął butelkę. Dzieciak miał rację. Pociągnął długi łyk. Pieczenie bourbonu było miłym uczuciem, przyjaznym wspomnieniem odległych czasów, kiedy mógł się po prostu napić i odprężyć. Pociągnął jeszcze jeden długi łyk i oddał flaszkę Perry'emu.

Ten też się napił.

- Nie powinieneś się czymś zająć? - zapytał Perry.

- Właśnie to robię - odpowiedział Dew. - Margaret poprosiła, żebyśmy zostali tu trochę dłużej i dali ci szansę odpocząć. Więc do czasu wyjazdu moim głównym zadaniem jest dopilnowanie, żebyś był bardziej otwarty na współpracę.

Perry popatrzył na krzesło. Dew nie był pewien, ale miał wrażenie, że dzieciak się trochę zaczerwienił. Jakby się zawstydzil czy coś.

- Czy ty... - odezwał się Perry. - Może chciałbyś... usiąść i... pogadać?

Perry znowu zaproponował mu butelkę. Dew ją przyjął, usiadł i pociągnął kolejny długi łyk.

## Ujek Donny miał lepsze dni

Donald Jewell, czy też „ujek Donny”, jak nazywała go Chelsea, nie czuł się dobrze. Właściwie lepszym określeniem byłoby stwierdzenie, że czuł się jak coś, co kot przywłókł i zostawił trzy dni temu.

Jego gorączka nabierała rozpędu, a towarzyszyło jej ogólne rozbicie i bardzo irytujące ukłucia bólu w lewej ręce. Dużo gorszy był fakt, że Betty wydawała się być równie chora. Leżała skulona w fotelu pasażera z głową opartą o szybę i zamkniętymi oczami. I wyraźnie się pociła.

Jednak nie to było najgorsze.

Ktoś ich *śledził*.

Nie był pewien, kto dokładnie, bo na autostradzie było mnóstwo samochodów, ale kilka razy zauważył za sobą te same pojazdy. Kto to? Czego od niego chcieli?

Jechał już od ponad dwóch godzin. Przed sobą miał jeszcze przynajmniej sześć godzin jazdy, choć jeśli pogoda nie odpuści, to zanosilo się bardziej na osiem lub dziewięć. Zamarzający deszcz sprawiał, że jechało się koszmarnie. Cały ruch na I-75 posuwał się z prędkością jakichś 70 kilometrów na godzinę. Przynajmniej tu, na północy, ludzie wiedzieli jak jeździć w zimie, więc mógł bezpiecznie założyć, że samochody mijane czasem w rowach przy drodze należały do ludzi, którzy wyjechali za wcześnie lub pochodzili z Ohio.

Było mu gorąco, chciało mu się spać, warunki na drodze były koszarne... Co stanowiło nienajlepszą kombinację, gdy cały sens jego życia siedział na fotelu obok.

Na dodatek musiał się dowiedzieć, kto go śledzi.

Donald zjechał z autostrady na parking w pobliżu Bay City. Zjechał celowo, powoli obserwując, które samochody za nim zrobią to samo. Żaden nie zjechał za nim. Musieli wiedzieć, że ich obserwuje.

A może po prostu świrował... Może jednak nikt go nie śledził. To było szaleństwo.

Podjechał do miejsc parkingowych i stanął ostrożnie, żeby nie obudzić córki. Na parkingu było pełno samochodów. Niektóre stały z włączonymi silnikami i z dymem lejącym z rur wydechowych, z wycieraczkami toczącymi nieustanną walkę z deszczem zamarzającym na szybie. Inni kierowcy sobie odpuścili, wyłączając silniki, idąc spać i pozwalając, by deszcz pokrył ich pojazdy cienką, nierówną warstwą lodu.

Skoro już tu był, to może też powinien się zdrzemnąć. Nie powinien prowadzić w takim stanie. Co będzie, jeśli zaśnie za kierownicą?

Cicho otworzył drzwi i podszedł do bagażnika, kuląc się przed lodowatym padającym z ukosa deszczem. W połowie drogi zatrzymał się z twarzą wykrzywioną bólem, szarpiąc głowę w lewo tak, że ucho dotknęło ramienia. Kolejne dźgnięcie bólu, tym razem naprawdę solidne. Ból mijał powoli. Zanim całkiem ustąpił, kurtka Donalda całkiem przemokła. Zaklął w duchu na brata, który sprzedał mu chorobę, po czym otworzył bagażnik i wyciągnął z niego śpiwór.

Szybko wrócił do samochodu, zdjął mokrą kurtkę i rozłożył śpiwór, okrywając połową śpiącą córkę, a drugą przykrywając siebie. Zakaszłał, wydmuchał nos, jeszcze raz przeklął brata i oparł głowę na zagłówek.

Tylko godzina albo dwie, szybka drzemka, żeby odpocząć i przeczekać deszcz, może nawet pługi oczyszczą autostradę i będzie można spokojnie jechać.



Wewnątrz ciała Donny'ego sytuacja zmieniała się szybko z cholernie złej na jeszcze kurewsko gorszą.

Problem Donny'ego zaczął się od telomerów. Czym jest telomer? Przypomnij sobie plastikowe końcówki sznurówek. Wyobraź sobie, że za każdym razem, gdy wiążesz buty, musisz odciąć mały kawałek plastiku, żeby można było przełożyć go przez dziurki na sznurówki. Jeśli zrobisz to odpowiednio dużą liczbę razy, plastikowa końcówka przepadnie i sznurówka zacznie się rozplątywać. A gdy rozplącze się w dostatecznym stopniu, zawiązanie butów stanie się niemożliwe i będziesz chodzić, wyglądając jak lachmyta.

Telomery to odpowiedniki tych plastikowych końcówek sznurówek dla DNA. Gdy komórka dzieli się w procesie mitozy, dzielą się również chromosomy komórki. Po podziale jeden zestaw chromosomów staje się dwoma zestawami. Twoje ciało powieli każdą połówkę zestawu i jedna komórka zmienia się w dwie komórki potomne.

Proste, ale jest pewien haczyk.

Kiedy dzielą się chromosomy, przypomina to rozpinanie na dwie części zamka błyskawicznego. Enzymy oblegają nowo podzielony chromosom i uzupełniają brakujące połówki suwaka, po jednym ząbku na raz. Problem w tym, że zęby suwaka nie mogą sięgnąć do samego końca – musi tam być swego rodzaju zakończenie, a tym zakończeniem jest ostatni kawałek powtarzalnego telomeru. Przy następnym podziale komórki końcówka telomeru jest odrzucana, tak jak oderwany kawałek plastiku ze sznurówki. Jeśli komórki ze skróconym telomerem będą się dalej dzielić, mogą się zdarzyć niemiłe rzeczy. Na przykład komórka może wejść w stan apoptozy (tej naturalnej, nie w rodzaju tej łańcuchowej indukowanej przez trójkąty). Co gorsza, uszkodzenie kluczowego genu może sprawić, że komórka przekształci się w komórkę nowotworową. Może się to zdarzyć w komórkach skóry, mięśni, płuc... a nawet komórkach macierzystych.

Kiedy komórka macierzysta dzieli się na dwie komórki pochodne, stosuje proces zwany *różnicowaniem*, dzięki któremu jedna z powstałych komórek staje się kolejną komórką macierzystą, a druga dowolną z komórek potrzebnego typu: mięśniową, kości, nerwową czy jakąkolwiek inną. Komórki macierzyste są zabawne pod tym względem. Jednak w miarę jak się dzielą, zachodzi w nich to samo skracanie telomerów, co w każdej innej komórce.

Z wiekiem podziałom ulegają coraz starsze komórki, o coraz krótszych telomerach, co zwiększa prawdopodobieństwo wystąpienia problemów. Mamy na to jedno proste słowo: *starzenie*. Komórki o zbyt krótkich telomerach przestają się dzielić i odnawiać. To

dlatego skóra robi się z wiekiem coraz cieńsza – jej komórki przestają się skutecznie odnawiać, ponieważ zużyły swoje telomery w ciągu poprzednich lat życia.

Żeby ująć to jeszcze prostszymi słowami: kopia kopii kopii może się zrobić dość nieczytelna.

Trójkąty zużywały wiele komórek macierzystych do produkcji swoich struktur celulozowych i przekształcania się w pełnowymiarowe pisklaki. Czasami linie starych komórek macierzystych produkowały fatalny materiał: komórki wadliwe, a nawet nowotworowe. Jeśli tak się działo, kule czytające, organizmy gromadzące i budownicze identyfikowały wadliwą komórkę macierzystą i po prostu ją usuwały.

Z drugiej strony, komórki tworzące pasma pęczaczy pracowały bez żadnego nadzoru. *Spieszyły* się. Organizmy gromadzące skupiały się na wyszukiwaniu i przekształcaniu jak największej liczby komórek macierzystych, zaniedbując kontrolę jakości.

Donald, jako najstarszy z trójki zakażonych Jewellów, miał więcej skróconych telomerów niż Betty i zdecydowanie więcej niż Chelsea. Większość z jego zmodyfikowanych komórek macierzystych produkowała wadliwe włókna mięśniowe. Niektóre z nich były martwe już w chwili powstania, w ogóle nie funkcjonując. Inne żyły dość długo, by wysłać i odebrać sygnał „tu jestem” i połączyć się z innymi włóknami. Jeszcze inne były w stanie dotrzeć do pełnowymiarowego pęczacza i rozpocząć misję wędrówki wzdłuż nerwów, jednak ten wysiłek wyczerpywał ich możliwości i prowadził do ich śmierci po pokonaniu niewielkiej odległości.

A gdy ginęły, zaczynał się rozkład.

Z początku powoli, niskopoziomową reakcją wykładniczą. Jednak w miarę jak rosła liczba martwych włókien, tak samo było ze stężeniem związków indukujących rozkład.

Każde zmodyfikowane włókno mięśniowe zawierało w sobie katalizator apoptozy i silny środek blokujący, uniemożliwiający działanie katalizatora. Jeśli w okolicy było więcej włókien żywych niż martwych, apoptoza nie miała szans się rozwinąć, jednak gdy *martwych* włókien było więcej niż *żywych*, równowaga przechylała się w drugą stronę.

A w ciele Donny’ego ta równowaga przechylała się bardzo szybko. W jego organizmie pojawiały się i mnożyły drobne obszary śmierci komórek. Najwięcej w lewej ręce, gdzie apoptoza nakładała się na siebie i wpadała w niepohamowaną reakcję.

Śpiący Donny Jewell zaczął się rozpuszczać od środka.

## Mała Niebieska Książeczka

Brak ofiar. Oczywiście jeśli pominąć szeregowego Domkusa, który potknął się na gałęzi i skręcił kostkę – jednak poza nim nie było żadnych strat. Skoro więc było to jego najbardziej jak dotąd udane spotkanie z pisklakami, czemu pułkownik Charlie Ogden był tak niespokojny?

Transport powietrzny zgarnął wszystkich żołnierzy z kompanii Whiskey i X-Ray z Marenisco, przewożąc ich z powrotem do Fortu Bragg. Północna Karolina w zasadzie nie była centralną lokalizacją dla odbytych dotąd misji, ale nie była też tak daleko, zaledwie 45-minut lotu od Detroit transportowym odrzutowcem C-17 Globemaster.

Fort Bragg był dużą bazą. Dość dużą, by zapewnić odosobnienie dla całego batalionu na pięć tygodni i dłużej. Jeśli nie liczyć misji, jego ludzie nie opuścili bazy i nie mieli żadnego kontaktu z nikim poza jednostką, poza cenzurowanymi przez CIA listami oraz monitorowanymi przez CIA połączeniami telefonicznymi tylko do najbliższej rodziny. Ogden nie był wyjątkiem – nie widział swojej żony od ponad miesiąca. Nie było to miłe, ale tak bywało na wojnie.

W Forcie Bragg mieściło się także USASOC, czyli Dowództwo Operacji Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. Zakres jego działalności obejmował niekonwencjonalne działania zbrojne, zwiad i działania antyterrorystyczne, z czym wiązały się nieustanne przyloty i wyloty wszelkiego rodzaju pojazdów latających. Nikt nie pytał, gdzie leciały, nikt nie pytał o powody wylotu. Działalność USASOC wyglądała tak dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu i była to idealna przykrywka do działań projektu Tangram.

Jeśli uwzględnić dodatkowo samoloty dostępne w pobliskiej bazie powietrznej Pope, włącznie z mnóstwem C-17, uzyskiwało się idealne połączenie tajności i niezliczonych opcji transportu. Oddziały DOMREC przybywały i wylatywały, nie wzbudzając żadnego niezdrowego zainteresowania.

Ogden siedział samotnie w swoim pokoju, przeprowadzając codzienny rytuał, na który składały się trzy elementy:

List do żony.

Biblia.

Mała Niebieska Książeczka.

Nie rozpisywał się w listach. Był zmęczony i potrzebował snu.

„Kocham cię, strasznie za Tobą tęsknię, nie wiem, kiedy będę mógł wrócić do domu, ale modlę się, by było to jak najszybciej”.

To co zwykle, powtarzalne, ponieważ były to szczere słowa z głębi serca i musiał jej to przekazywać codziennie. Złożyć, wsadzić do koperty, ale nie zaklejać – jutro jakiś dupek z CIA przeczyta list, żeby się upewnić, że nie pisze do domu o obcych.

W charakterze Biblii tak naprawdę występował tylko Nowy Testament. Większość wytłaczanych na złoto liter z okładki ze sztucznej skóry już dawno się wytarła, a połowa



z tyłu oddarła się gdzieś na Bliskim Wschodzie. Po prostu przypadkowe uszkodzenie, nie profanacja.

Każdego wieczoru czytał ustępy z Nowego Testamentu, a potem przechodził do Małej Niebieskiej Książeczki. Czasami ustępy z Biblii czytał pobieżnie, przeskakiwał i czytał tylko wybrane zdania, ale nigdy nie robił tego z Małą Niebieską Książeczką. Czytał każde zapisane w niej słowo.

Każde nazwisko.

Otworzył ją i zaczął czytać.

Lewis Aucoin, 22.

Nigdy nie zapisywał stopnia. Śmierć to śmierć. Nie ginęło się w lepszy sposób z powodu lepszego stopnia, prawda?

Blaine Cichetti, 27.

Pamiętał Blaine'a. Fajny gość. Potrafił żonglować.

Damon Gonzalez, 20.

Nigdy go nawet nie spotkał, ani razu.

Czytał dalej listę nazwisk, wspominając każde przez krótką chwilę, oferując im iskierkę światła w ziemskim świecie na wypadek, gdyby ten po śmierci był czarny i cichy. Czasami zastanawiał się, czy dusze zmarłych mogły doświadczać nieba tylko, gdy ktoś pamiętał ich imię. Kiedy człowiek odchodził w niepamięć, ginął na zawsze. Ludzie tacy jak Einstein, Patton... Cezar... Każdego dnia inni czytali o nich w książkach do historii, widzieli ich nazwiska w filmach i telewizji, więc mogli spędzać wieczność w niebie. Faceci w rodzaju Damona? Pewnie przestaną istnieć krótko po śmierci Charliego.

Nie wiedział, skąd wzięło mu się to dziwne przekonanie, ale zawsze tkwiło gdzieś w głębi jego umysłu, napędzając go i motywując do coraz większych osiągnięć. Musiał sobie wyrobić nazwisko. Nigdy nie sądził, że będzie mogło być tak wielkie jak Churchila czy Schwartzkopfa, ale teraz sytuacja się zmieniła.

Otrzymał szansę jedną na milion i jeśli mu się powiedzie, zwycięstwo na zawsze uwieczni go w podręcznikach do historii.

Czy to Bóg sprawdzał go tym zadaniem? To zdecydowanie było możliwe. Owszem, niezgłębione są wyroki Boskie, ale przez dwadzieścia lat w wojsku Charlie zobaczył więcej nieludzkich twarzy człowieka, niż chciał pamiętać. Czasami Bóg po prostu ustawiał ludzi na szachownicy i pozwalał im grać.

Zanim zaczęło się to wszystko Charlie spodziewał się, że spędzi jeszcze cztery czy pięć lat jako podpułkownik, *może* awansuje na pułkownika pod koniec kariery, a potem w tym stopniu przejdzie na emeryturę. Nie był zbyt dobry w gierkach politycznych. Znał się na strategii i taktyce, wiedział jak wygrywać bitwy i minimalizować straty. To było coś, na czym armia *powinna* opierać awanse, jednak nie zawsze działało to w ten sposób.

Jak bardzo zmieniła się jego sytuacja w ciągu ostatnich pięciu tygodni. Był już pełnoprawnym pułkownikiem, kontaktował się bezpośrednio z Szefami Sztabów, miał ich pełne poparcie. Dysponował tajnym budżetem, otrzymał czek *in blanco* na zasoby, transport i wsparcie powietrzne.

Ogden zdawał sobie sprawę, że tego typu dowództwo powinno się trafić komuś starszemu, ale prezydent Hutchins miał obsesję na punkcie tajności i ograniczenia ludzi znających całą sytuację. Ogden po prostu wyciągnął szczęśliwą kartę przy pierwszej misji, a teraz mógł dalej nią grać.

Zamierzał wypełnić misję niszczenia każdej znalezionej bramy, starając się przy tym dodawać jak najmniej nazwisk do Małej Niebieskiej Książeczki. Trzydzieści siedem nazwisk to dość dużo, choć wiedział, że będzie ich więcej.

Znacznie więcej.

Odłożył książeczkę i Biblię, po czym położył się, by przespać zwyczajowe cztery godziny. Przynajmniej tym razem nie musiał kończyć wieczoru pisząc listy z kondolencjami do matek, ojców i żon. Rano znowu zacznie planować, wymyślając sposoby przygotowania się na wroga, z którym nikt jeszcze nie walczył, wroga, który z pewnością ponownie zastosuje inną taktykę.

Cokolwiek się stanie, pułkownik Charlie Ogden będzie gotów.

## Gaylord idzie spać

Rodzina Jewellów zdobyła nagrodę za największą liczbę zakażonych, ale nie byli jedynymi mieszkańcami Gaylord, którzy odsypiali gorączkę, wyczerpanie i paranoję.

Bobby i Chelsea Jewell leżeli już w łóżkach. Donald i Betty spali niespokojnie na parkingu przy autostradzie I-75 przed Bay City w Michigan.

Sam Hamilton był bardzo stary, bardzo zmęczony i choć był przekonany, że ktoś prawdopodobnie włamie się i go zabije, po prostu pozamykał drzwi i położył się spać w swoim łóżku.

Wallace Becket nie był tak odważny. Nieustannie swędział go policzek i podstawa karku. Ukrył się w spiżarni, zablokował drzwi drabiną, po czym usnął na podłodze. Jego synowi, Beckowi (tak, chłopak został obciążony niezbyt szczęśliwą kombinacją imienia i nazwiska Beck Becket) było tak gorąco, że zdjął całe ubranie i położył się spać w pustej wannie. Pani Beckett, żona Wallace'a i matka Becka wyjechała w odwiedzinę do babki mieszkającej w Topinabee. Niestety dla niej miała wrócić do domu następnego ranka.

Ryan Roznowski również czuł swędzenie na całej skórze. *Nienawidził* swędzenia, miał fobię z czasów dzieciństwa, gdy dostał w ręce trujący bluszcz. Mama zawsze mówiła mu, żeby przestał się tyle dotykać, ale czy jej słuchał? To zdarzenie sprawiło, że Ryan zawsze trzymał solidny zapas maści na swędzenie. Nałożył sporą porcję maści na cztery swędzące miejsca, po czym szybko ukrył się za stertą drewna w garażu i pograżył się we śnie.

Bernadette Smith nagle doznała przemożnego wrażenia, że dzieci zaczęły ją obgadywać za plecami. Wysłała syna i córki do ich pokojów i zabroniła im wychodzić oraz hałasować. Jeśli to zrobią, znowu oberwą chochlą. Jej mąż, Shawn, protestował przeciwko biciu dzieci chochlą, ale powiedziała mu, żeby stulił pysk, bo nie pozwoli mu pójść na kręgle. „A właściwie, Shawn, może idź do sklepu, kup mi tampony, a kiedy wrócisz, *nie waż się* mnie budzić ani wypuszczać dzieci z ich pokojów. Słyszysz, Shawn?”. Słyszał. Nie używała chochli przeciwko niemu, ale i bez niej doskonale potrafiła go kontrolować.

Paranoja Chrisa „Cheffie” Jonesa była nieco silniejsza niż u pozostałych. Był też nieco bardziej niezrównoważony niż inni. Cheffie miał drewnianą podłogę pokrytą dużym, zwijanym dywanem, i z powodów znanych tylko sobie wczołgał się pod ten dywan. Przekonany, że dzięki temu stał się praktycznie niewidzialny, Cheffie poszedł spać.

Satelita ocenił, że osiągnie od piętnastu do dwudziestu udanych zakażeń. Dziesięć było poniżej przewidywanej liczby, ale wciąż mieściło się w dopuszczalnych parametrach powodzenia. Zakażenia podzieliły się po równo między trójkąty i nowe szczepy. Przynajmniej ta część zgadzała się z przewidywaniami statystycznymi.

Wszyscy gospodarze pograżyli się we śnie.

Jedynym pytaniem brzmiało: ilu się obudzi?

## Nie wzywać doktora Chenga

Margaret, Amos i Clarence siedzieli w pokoju komputerowym Margo Mobilu, czekając na zaplanowaną rozmowę konferencyjną z Murrayem Longworthem. Dokładnie o czasie jego twarz pojawiła się na środkowym ekranie. Murray oglądał ich na podobnym monitorze w swoim biurze w Waszyngtonie.

- Gdzie Dew? - zapytał.

- Rozmawia z Perrym.

- Nie możecie sobie pogadać w drodze? - zapytał Murray. - Chcę, żebyście się stamtąd zabrali.

Clarence nachylił się do kamery.

- Perry miał drobny wypadek. Margaret chce, żeby trochę odpoczął, zanim wyruszymy.

- Wypadek? - zapytał Murray. - Jakiego typu?

- Spadł ze schodów - wyjaśnił Clarence. - A potem wpadł na drzwi. Teraz będzie już chętnie z nami współpracował.

Murray uśmiechnął się krzywo.

- Wygląda na to, że mamy coraz więcej dobrych wieści. Margaret, właśnie skończyliśmy produkcję pierwszej partii twoich testerów. Dziesięć tysięcy sztuk rozproszonych jest dla policji, pogotowia i szpitali na całym środkowym zachodzie.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdziła Margaret. - Jak udało ci się zrobić je tak szybko?

- Oczywiście dzięki pieniądзом. Jutro wieczorem będziemy mieć kolejne pięćdziesiąt tysięcy.

- Fantastycznie - skomentowała Margaret. - Jednak wciąż nie mamy niczego, jeśli chodzi o wektor choroby.

- Wie pani, że pracują nad tym nasi ludzie - przypomniał Murray. - Jedne z najlepszych umysłów, jakimi dysponuje ten naród.

- Takie jak?

- Nie ma pani upoważnienia do poznania tej informacji. - Murray brzmiał, jakby był zirytowany i Margaret wcale mu się nie dziwiła, bo sama nie pamiętała już, ile razy odbyli podobną rozmowę. W duchu modliła się, by prezydent Gutierrez rozluźnił trochę stopień utajnienia projektu, ale jak dotąd wciąż obowiązywały reguły ustalone przez Hutchinsa.

- Dobrze - zgodziła się Margaret. - Nie mam dostępu. To spytam inaczej. Czy te błyskotliwe umysły wiedzą, czego *dokładnie* szukają? Czy znają całą historię?

- Niech się pani skupi na przesyłaniu wszelkich informacji biologicznych, jakie uda się pani zdobyć - odpowiedział Murray. - Każdy wie tylko tyle, ile musi.

Margaret przewróciła oczami.

- Murray, tym razem musieliśmy zrzucić *bombę*. Twoje rozdzielanie informacji nie działa.

- Niech pani posłucha, nie jestem kompletnym durniem - warknął Murray. - Doktor Cheng wykorzystuje do znalezienia wektora wszystkie zasoby CDC.

- Jasne - rzuciła Margaret. - Ale jak ma to zrobić, skoro nikomu nie może powiedzieć, czym jest ta choroba?

- Używa jako przykrywkę nowej odmiany bakterii zjadającej mięśnie, dodając objawy uzupełniające, takie jak niebieskie trójkąty, martwica skóry, paranoja i tym podobne. Wykorzystuje bazy danych CDC do śledzenia chorób w poszukiwaniu takich objawów, ma też dostęp do danych FBI zebranych na temat wszystkich gospodarzy oraz ich rodzin.

Margaret rozparła się na krześle. Właściwie zmodyfikowanie objawów martwiczego zapalenia powięzi, nieprawidłowo popularnie nazywanego „bakterią zjadającą mięśnie” było genialnym pomysłem. Wszyscy w świecie medycznym traktowali tę chorobę bardzo poważnie i z pewnością będą zwracać uwagę na wszelkie doniesienia i prośby o informacje.

- Dobra, rozumiem takie podejście - przyznała Margaret. - To jakie sugestie rozważa Cheng?

- Wszystko, od wektorów mechanicznych i biologicznych do kultów religijnych specjalnie atakujących określone ofiary - odpowiedział Murray. - Skupia się na fakcie, że konstrukty powstawały w odosobnionych miejscach, szukając korelacji z innymi zwierzętami żyjącymi w takich okolicach.

- Wektor Bambi - wtrącił się Amos. - To absolutnie genialne. Tak się cieszę, że zajmują się tym *najbardziej błyskotliwe* umysły tego kraju.

Margaret łagodnie położyła dłoń na ramieniu Amosa, żeby go uciszyć.

- Sarny nie są wektorem, Murray, i to nie jest żaden kult religijny. Cheng szuka na ślepo. Potrzebujemy dostępu do tych samych danych, którymi dysponuje Cheng.

Murray się uśmiechnął.

- Doktor Cheng ma doskonałą opinię i pracuje nad chorobą Morgellonów od lat. Dysponuje też systemem komputerowym CDC, czyli najbardziej zaawansowaną na tej planecie bazą danych do śledzenia chorób. Na jakiej podstawie sądzisz, że osiągniesz coś więcej z cholernej przyczepy do sekcji?

- Trzy siedzące tu osoby i tak wiedzą już *wszystko* - odpowiedziała kobieta. - Jeśli da się znaleźć jakieś powiązania, to właśnie my mamy na to największe szanse. Ale proszę, jeśli podoba ci się możliwość wykorzystania *opcji numer cztery* na terenie Ameryki, to proszę bardzo, postępuj tak jak do tej pory... Tylko dopilnuj, żebyśmy się znaleźli bardzo daleko od kuli ognia o temperaturze *słońca*, dobrze?

Murray przez chwilę się zastanawiał.

- No dobrze, dam wam dostęp.

- A co z wywiadem dotyczącym sygnałów? - zapytał Otto. - Ogden uważa, że musi w tym wszystkim brać udział satelita. Mamy jakieś dane na ten temat?

Murray potrząsnął głową.

- Nic. NSA nadal nie wykryła żadnych sygnałów. NASA szuka śladów czegoś niezwykłego na orbicie, ale jak na razie bezskutecznie.

- Satelita może być niewykrywalny - zauważył Otto.

- Mówią mi, że fizyka się nie składa do kupy - odpowiedział Murray. - Ale ja tego nie łapię.

- Wróg robi z biotechnologią rzeczy, których nie jesteśmy w stanie *pojąć*, nie mówiąc o powieleniu - wtrąciła się Margaret. - Może więc ukrycie czegoś przed NASA nie jest dla niego tak trudne, jak mogłoby się wydawać.

- Może - przyznał Murray. - Dostaniecie dostęp, ale *nie* kontaktujcie się z Chengiem bezpośrednio, zrozumiano? Podobno nie przepada za tobą, Margaret.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego - odpowiedziała.

Murray się rozłączył.

- To świetnie, że dostaniemy dane - odezwał się Amos. - Ale poważnie, Margo, CDC ma całe to oprogramowanie, jedne z najpotężniejszych superkomputerów, na których chodzi, i analityków, którzy mogą je dostrajać. Wiem, że jesteśmy całkiem bystrzy, ale co mamy takiego, czego im brakuje?

- To proste - odpowiedziała Margaret. - Mamy wreszcie namówionego do współpracy Perry'ego Dawseya.

## Przyszłość narodu

Komórki dziecka nie dzieliły się jeszcze tyle razy, ile komórki dorosłego. Dzięki temu jego telomery są mniej uszkodzone, dłuższe i zawierają mniej mutacji. Są po prostu zdrowsze.

Kiedy więc kulki czytające przekształcały komórki macierzyste Chelsea w fabryki zhakowanych mięśni, większość produkowała dokładnie to, co powinna: zdrowe, zmodyfikowane włókna mięśniowe.

Włókna się odszukiwały, po czym przekształcały w pełzacze wędrujące wzdłuż nerwów.

Ból regularnie wstrząsał ciałem dziewczynki sprawiając, że drgała i łkała we śnie, wyciskając łzy z jej zamkniętych oczu. Podobnie jak pozostali nowo zakażeni, przespala większość bólu.

Nieobciążone wadliwymi włóknami lub rozprzestrzeniającą się apoptozą jej pełzacze uzyskały świetny czas. Armia powolnych mikroorganizmów podążała wzdłuż nerwów doprowadzających z dłoni do rąk, potem ramion i wkrótce zaczęła przemieszczać się wzdłuż kręgosłupa, docierając do rdzenia kręgowego.

Podróż do tego miejsca nie była łatwa. Nerwy przechodzą przez i/lub wokół mięśni, żył, kości, ścięgien, więzadeł i chrząstek. Pełzacze przeciskały się przez te gęste obszary niczym badacz przedzierający się przez gęstą dżunglę, jednak gdy dostały się do rdzenia kręgowego, było to niczym wyjście z dżungli na gładką asfaltową autostradę.

Pełzacze wdzierały się do rdzenia tysiącami.

Stamtąd już w dużym tempie pędziły skokami do mózgu Chelsea Jewell.

## Rozmowa na rauszu

Dew nie upił się tak od bardzo, bardzo dawna.

Ostatni raz wypił więcej z Malcolmem, swoim partnerem, który został zabity uderzeniem toporka w brzuch przez Martina Brewbakera. Jednego z zakażonych. A teraz Dew upijał się z kolejnym gościem w rodzaju Brewbakera.

Tylko że Dawsey nie był już zakażony.

- Powiem ci coś, chłopie - oświadczył Dew. - Powiem ci. W swoim czasie spotkałem wielu twardych drani, ale muszę powiedzieć, że ty na swój sposób możesz być najtwardszy z nich.

Perry wykrzywił w uśmiechu rozciętą wargę i uniósł butelkę w salucie. Został w niej już tylko łyk albo dwa.

- Dzięki, panie Phillips - powiedział, po czym przechylił szkło. Zostawił jeszcze odrobinę na dnie, może na pół kieliszka, i podał butelkę Dewowi. Ten przyjął ją i osuszył.

- Nie na wiele mi się to przydało - skomentował Perry. Jego uśmiech zniknął, i tak był udawany. Wyglądał, jakby go coś dręczyło. Dew widywał już taki wyraz twarzy, wiele lat temu. Widywał go u dzieciaków ze swojego plutonu. Nie u wszystkich, nie cały czas. Zazwyczaj pojawiał się po utracie przyjaciela lub gdy kulili się przed trwającym całe dnie ostrzałem moździerzowym, lub gdy zabili małe dziecko, bo trzymało granat i biegło prosto w ich stronę, albo gdy pierwszy raz wbili nóż w brzuch człowieka i dłonią tłumili mu usta do czasu, aż wyzionie ducha.

- Jestem taki *twardy* - oświadczył Perry. - Kurewsko, jak skała. I co mi dało to bycie *twardym*? Nie mam fiuta, stary. Przyszli mi go z powrotem, ale nie wiedzą, czy mogę dostać wzrodu. Powiedzieli, że do końca życia mogę być impotentem. A już na pewno nie będę miał dzieci.

- No to nie będziesz miał dzieciaków, i co z tego? Ja nigdy nie będę miał syna.

- Masz córkę - zauważył Perry.

Dew kiwnął głową.

- Prawda, i bardzo ją kocham. Tu masz rację. Ale wiesz co? Ona nienawidzi wędkowania. Nie chciała iść na ryby nawet jeden raz, żeby spróbować. Widziała rybę w telewizji i uznała, że wygląda na *oślizłą*. Nigdy nie poszedłem na ryby z dzieckiem. I nie pójdę z wnukami, bo ona nie będzie miała dzieci. Moja linia wygaśnie tak jak twoja.

- Czemu nie będzie miała dzieci?

- Jest lesbą.

- Serio?

- Serio - zapewnił Dew. - Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby ona i jej *partnerka* dorobiły się stadka maluchów, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A przy okazji to kocham ją z całego serca, więc jeśli jeszcze raz użyjesz przy mnie słowo *lesba*, to kopnę cię prosto w jaja.

- Nie powiedziałem „lesba”, panie Phillips. Ty to zrobiłeś.



- Ja?

- Właśnie.

- Och. No to przynajmniej przestań mnie nazywać panem Phillipsem.

- Tak jest, sir.

- Z tym też daj spokój. Pracuję na swoje utrzymanie. Możesz mi mówić Dew. Ale nie *Dewie*. Tego nie znoszę.

- Dobra, Dew - zgodził się Perry. Jego głos brzmiał głębiej niż zwykle. Siedział z łokciami na kolanach, znowu spuścił głowę, a nierówne włosy opadały niczym blond kurtyna, ukrywając jego twarz.

Dew uświadomił sobie, że właśnie zagroził Perry'emu, że kopnie go w jaja. Zapewne nie była to najmilsza rzecz, jaką można powiedzieć komuś, kto użył nożyc do drobiu w celu odcięcia sobie właściwego organu z klejnotami. *Zdecydowanie* się upił. Nabrał głęboko powietrza - będzie musiał pamiętać, żeby myśleć zanim się odezwie.

- Wiesz co, chłopie? - powiedział.

Perry zdołał wzruszyć ramionami nie podnosząc głowy.

- Mam już dość twojego jojczenia.

Tym razem Perry dźwignął głowę. Nie do końca, ale dość, by spod kurtyny blond włosów popatrzyły na niego błękitne oczy.

- Jojczenia? - niemal syknął Perry. - Może obciąłbyś sobie *swój* sprzęt, dał się dwa razy postrzelić, potem przeszedł przez dwa tygodnie eksperymentalnego leczenia, podczas którego czujesz się, jakby istoty z żywego ognia spacerowały ci pod skórą i sikały wrzątkiem na wszystkie ważne miejsca, takie jak mózg. A kiedy już będziesz odwiedzał mój prywatny kawałek raj, weź ze sobą grupę specjalistów, którzy przyszyją ci z powrotem fiuta, oczywiście *bez* jaj, bo przecież w nich rosły macki, a *potem* posłuchaj, jak pierdoleni specjaliści mówią ci, że twój fiut ma może dziesięć procent szans na to, że jeszcze kiedyś zadziała. Może spróbuj tego, *Dew*, a potem zarzuć mi jojczenie.

- Ty bieeeedne dzieciątko.

W oczach Perry'ego pojawiło się kolejne uczucie - wstyd. A może tylko ból. Ból odczuwany, gdy ktoś kogo szanujesz mówi ci, że jesteś śmieciem.

- Słuchaj, chłopie, naprawdę mi przykro - oświadczył Dew. - Ale chodzi o to, że musisz przestać się nad sobą użalać.

- Wydaje mi się, że mam złoty bilet na użalanie się nad sobą - zauważył. - Chyba odpuszczę sobie wejście i odbiorę dwieście dolców przy wyjściu, bo jeśli ja nie mam prawa się nad sobą użalać, to kto do cholery je ma?

- Co powiesz na Marty'ego Alvareza?

Perry zmrużył oczy, nie rozumiejąc.

- Kto to u diabła jest?

- Dzieciak, z którym służyłem w Wietnamie.

- Och, daj spokój - rzucił Perry. - Historie wojenne?

- Tak, historie wojenne. Po prostu posłuchaj, dobrze?

Dew czekał na odpowiedź. Perry znowu popatrzył na niego zmrużonymi oczami, ale kiwnął głową.

- Byliśmy na patrolu u podnóża Binh Thuan. Znaleźliśmy się pod ostrzałem, złapali nas z zaskoczenia. Kilku chłopaków zginęło na miejscu. Razem z Martym zeskoczyliśmy ze ścieżki w małe zagłębienie, które zapewniło nam osłonę, tyle że Marty został trafiony podczas skoku. Dostał w nogę poniżej kolana. Praktycznie mu ją *oderwało*, trzymała się na małym kawałku mięsa i skóry. Więc zaczął wrzeszczeć. Wróciłem do brzegu zagłębienia i zacząłem strzelać, bo wiesz, mogli być tuż za nami.

Perry kiwnął głową, jakby wiedział.

- Marty jest w naprawdę kiepskim stanie, ale nie mogę mu pomóc, bo idą na nas żółtki. Widzę, jak atakują, więc strzelam. Marty się wykrwawia, do kikuta nogi przyklejają mu się liście i inne syfy. W końcu przestał wrzeszczeć, ja dalej strzelam. Wiem, że zabiłem dwóch, może i trzeciego, i nagle Marty mówi naprawdę spokojnym głosem *Dew, zabierajmy się stąd*. Zerknąłem na niego. Użył noża, żeby odciąć resztkę nogi i przyciska stopę z kawałkiem nogi do piersi, jakby to było pieprzone dziecko. Kule świszczą mi koło uszu, więc odwracam się i znowu zaczynam strzelać. I wiesz, co wtedy zrobił Marty?

Perry potrząsnął głową.

- Zaczął do mnie mówić o Raidersach.

- Weź nie pierdol - rzucił Perry. - Oakland Raiders?

Dew kiwnął głową.

- Tak, kochał ich. Słuchaj, stary, kazał sobie nawet wytatuować na ramieniu to ich logo z tarczą i mieczami. Fatalny tatuaż, zrobił go kumpel z plutonu, ale to nie ma znaczenia, prawda?

- Prawda.

- Właśnie. Więc wyraźnie jest w szoku, siedzi tam, trzyma nogę jakby tulił dziecko i mówi „muszą odzyskać Floresa”. Słyszałeś o Tomie Floresie?

- Jasne, jako trener dwa razy wygrał Super Bowl.

- Zaczynał jako rozgrywający.

- Serio?

- Serio.

Perry nachylił się teraz do niego, a jego oczy otworzyły się szeroko z zaciekawienia.

- Rozgrywający - kontynuował Dew. - Pierwszy latynoski rozgrywający w lidze, więc oczywiście Alvarez, *El Mexicano*, uważa go za pieprzonego Boga w kasku i ochraniaczach. Raidersi przehandlowali Floresa do Buffalo i Alvarez był wściekły. Powiedział „Dew, muszą odzyskać Floresa”. Siedzi tam trzymając oderwaną nogę i gada o pieprzonym futbolu.

- To co mu odpowiedziałeś?

- Nic, byłem zajęty zabijaniem żółtków na prawo i lewo i myśleniem, niech mi to Bóg wybaczy, że skoro może trzymać nogę, to może i karabin, więc czemu do diabła się nie ostrzeliwuje? W każdym razie udało się nam sformować linię z prawej i z lewej i się utrzymaliśmy, a potem nasz WO wezwał wsparcie artyleryjskie.

- WO?

- Wysunięty Obserwator.

- Ach.

- Więc artyleria zaczęła walić, prawie nam na głowy. Ja dalej strzelam. Marty znowu zaczął mówić, ale musiał wrzeszczeć, żeby było go słychać przez wybuchy pocisków artyleryjskich. No i wrzeszczy, „Ledwie zrobiłem sobie tę pieprzoną dziarę, a oni oddali Floresa do Buffalo. Nie będę sobie robił dziary Buffalo Billów, Dew. Nie będę”. Artyleria kończy ostrzał, żółtki zniknęły, więc postanawiam zabrać oddział w diabły. Odwracam się, żeby pomóc Marty’emu, a on nie żyje.

- Przecież mówiłeś, że mówił całkiem normalnie i w ogóle.

Dew przytaknął.

- Owszem. Moglibyśmy siedzieć w moim salonie i oglądać wieczorny mecz futbolu. Ale teraz leżał martwy z kawałkiem nogi ze stopą w ramionach, jakby tulił misia.

Dew milczał przez chwilę zastanawiając się, czy Perry zrozumie.

- Nie rozumiem - stwierdził Perry.

Może chłopak znał się na komputerach, ale miał tyle rozumu, co koza.

- Ile masz lat? - zapytał Dew.

- Dwadzieścia osiem - przyznał Perry.

- Marty Alvarez miał dziewiętnaście lat i trzy dni. On też nigdy nie miał dzieci. On nawet nie dożył *dwudziestki*, chłopie. Przyznaję, masz spieprzone życie, ale już przeżyłeś dziesięć lat więcej niż Marty. A zapewniam cię, że odszedł spokojniej niż większość pozostałych. Widziałem gości, którzy próbowali wepchnąć sobie flaki z powrotem do brzuchów, oglądałem takich, co płakali i błagali, gdy ktoś wielokrotnie wbijał im bagnet w pierś. Masz spieprzone życie? *I co z tego?* Przynajmniej wciąż *żyjesz*. Graj kartami, które dostałeś. Możesz być mężczyzną i sobie z tym poradzić, albo nie.

Dew wstał, choć dopiero za drugim razem. Perry milczał. Starszy agent zachwiał się nieco, patrząc z góry na wielkoluda.

- Muszę coś wiedzieć, młody.

- No?

- Kiedy powaliłeś Bauma i Milnera, czemu nie zabrałeś ich broni?

- Nie potrzebowalem jej.

- Bzdura - rzucił Dew. - Szedłeś zabić troje ludzi. Wedle twojej najlepszej wiedzy mogli być fanatycznymi członkami NRA, z wielką kolekcją broni. Może nie miałbyś nic przeciw śmierci, ale znam takich jak ty - trwała akcja i chciałeś nie dopuścić do otwarcia bramy. Nie chciałeś *przegrać*. Zgadza się?

Perry popatrzył na podłogę, zwieszając blond włosy.

- Chciałem ich zatrzymać bardziej niż cokolwiek innego - wyznał cicho. - Zabrali mi tak wiele, ale ja... Przynajmniej wciąż mogę wygrać. Jeśli nie mogą zrobić tego, po co zostali tu wysłani, to z jajami czy bez, wiesz co? To ja wygrałem. Pieprzyć ich, *wygrałem*.

Dew przytaknął.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę rozwalić te sukinsyny. Ale nie miałeś broni, a to znaczy, że zostawiłeś im sposób na pokonanie cię. *Czemu?*

Perry siedział cicho w bezruchu. Dew czekał. Czasami cisza potrafi działać więcej, niż wszystkie słowa świata.

- Pomyślisz, że zwariowałem - wyznał w końcu Perry.

- Już uważam, że jesteś walnięty bardziej, niż wyściełany pokój pełen Charlie Mansonów. Wyduś to.

- Ja... ja wciąż słyszę Billa.

Tego Dew się nie spodziewał. Miał przed sobą naprawdę pokręconego gościa.

- Tak, jak słyszałeś głos ojca, gdy jeszcze byłeś zakażony?

Perry kiwnął głową.

- Tak, coś w tym stylu. Bill ciągle mi powtarza, żebym się zastrzelił.

- Zastrzelił się.

- No. Więc nie chcę wziąć do ręki broni, bo... bo może w końcu go posłucham.

- Gdybyś naprawdę chciał się zabić, nie potrzebowałbyś do tego pistoletu.

Perry podniósł głowę.

- Tak, ale inne sposoby wymagają chociaż chwili przygotowań. Czasu do namysłu. Można wtedy się opanować. Ale pistolet? Ile czasu trzeba od pomyślenia o tym do wycelowania i pociągnięcia za spust, dwie sekundy?

Dew pokiwał głową. Planował zrobić właśnie coś takiego, gdyby znalazł na swojej skórze dziwne, swędzące wypukłości. Czy kulka w głowę nie była lepsza od przechodzenia przez to, co Perry?

- Owszem - potwierdził Dew. - Dwie sekundy, jeśli aż tyle.

- To dlatego nie tknąłem ich broni.

Zdecydowanie nie był psychologiem, ale nawet pijany tak, że ledwie mógł stać, Dew Phillips wciąż miał dość rozumu odziedziczonego po matce. Perry'ego nachodziły myśli samobójcze, ale miał przy tym dość rozsądku, żeby trzymać się z daleka od czegoś, co mogło w jednej chwili je urzeczywistnić.

- Czy ty kiedykolwiek strzelałeś z broni, Dawsey?

Perry pokręcił głową.

- Prześpij się. Życie jest jakie jest. Ale jutro dopilnujemy, żebyś przestał się nad sobą użalać.

## A to twój mózg na pełzaczach

Chelsea Jewell się obudziła. Starła kropelki potu z twarzy i wstała, po czym chwyciła poduszkę i ściągnęła ją z łóżka razem z kołdrą.

Mama mogła tu przyjść, gdy będzie spała. Mogła przyjść i ją ukarać. Musiała się schować.

Otworzyła harmonijkowe drzwi do szafy i wyciągnęła z niej wszystkie buty, ustawiając je pod łóżkiem, po czym wciągnęła do środka poduszkę i kołdrę. Zamknęła drzwi szafy, położyła się na kołdrze z głową na poduszce i zasnęła zanim zdążyła się przykryć.

W jej głowie, u podstawy czaszki przyczaiło się tysiąc siedemset piętnaście pełzaczy. Współdziałając jako jednostka uwolniły do krwi przepływającej przez mózg enkefaliny i endomorfiny. Te silne, naturalne opiaty rozprzestrzeniły się w jej mózgu, łącząc się z receptorami opioidowymi, powstrzymując je od odbierania jakichkolwiek informacji, a zwłaszcza komunikatów o bólu.

Co, biorąc pod uwagę to, co miało się właśnie wydarzyć, mogłoby zostać uznane za jedyną ludzką rzecz, jaką zrobiły pełzacze.

Mikroorganizmy ruszyły do góry, rozpraszając się w jej płacie czołowym jak gaz. Po rozproszeniu rozłączyły się, zmieniając się z powrotem w indywidualne włókna zmodyfikowanych mięśni, gotowe do połączenia się w nowy sposób i do całkiem nowych funkcji.

Znowu pojawiły się sygnały „tu jestem”, jednak tym razem włókna łączyły się ze sobą końcami, tworząc długie nici. Nici krzyżowały się ze sobą we wszystkich osiach, X, Y i Z oraz pod każdym możliwym kątem, tworząc włóknistą siatkę przenikającą płat czołowy, płat ciemieniowy, hipokamp i, w szczególności, korę oczodołowo-czołową. W wielu miejscach nici wypuściły podobne do dendrytów palce, łączące się z jednej strony z siatką, a z drugiej z komórkami mózgu Chelsea.

W ciągu zaledwie kilku godzin 1715 pełzaczy zmieniło się w sieć neuronową przenikającą przez części mózgu Chelsea kontrolujące jej wyższe czynności. Takie jak pamięć, myślenie, logiczne rozumowanie i myślenie abstrakcyjne oraz emocje.

W końcu ostatnie włókna wpełzły i zebrały się w samym środku mózgu Chelsea. Gdyby można było je tam zobaczyć, można by przysiąc, że się wzajemnie atakują, rozrywając się na kawałki. Jednak włókna nie były żywe i nie były indywidualnymi organizmami, stanowiły element czegoś większego. Tak naprawdę wcale się nie rozrywały, ale przekształcały się, przebudowywały... łączyły.

Kiedy skończyły, w ich miejscu powstała kula o średnicy około tysiąca mikrometrów. Z kuli wystawały macki łączące się z siecią neuronową połączonych pełzaczy. Po zakończeniu nawiązywania połączeń kula zrobiła to, do czego ją zaprojektowano.

Wysłała sygnał.

## Pomocna dłoń

Satelita monitorował wstępny biologiczny sygnał zwrotny nowego szczepu. Biorąc pod uwagę początkowo wysoki poziom apoptozy satelita logicznie uznał, że ta partia nasion tworzących pełzacze okazała się całkowitą porażką. Rosnący robotnicy będą jeszcze raz musieli sami się bronić, próbując uniknąć Skurwysyna i wybudować bramę.

Sonda pracowała już nad stworzeniem drugiej partii ze zmodyfikowanym kodem nowego szczepu. To miała być ostatnia szansa – osiemnasta i jedyna pozostała sonda.

Jednak gdy satelita odebrał sygnał, zaprzestał modyfikacji kodu. Całą dostępną moc obliczeniową skupił na nowej sytuacji.

Ten pojedynczy sygnał oznaczał potencjalny sukces. Zapewniał bezpośredni punkt dostępu. A jeśli satelita będzie mógł nawiązać dostatecznie wyraźną łączność, zebrać dość informacji i przekazać wystarczająco dużo zmodyfikowanego kodu na dół, to ten samotny sygnał oznaczał *wektor*.

Satelita wysłał sygnał zwrotny i zaczął gromadzić informacje.

## Zdjęcia do tablo

- Tato, obudź się.

Umysł Donalda tonął w morzu przygłuszonego bólu. Jego ciało płonęło. Każdy centymetr wydawał się być smażony w oleju, a lewa ręka bolała jeszcze bardziej niż reszta.

- Tato, *obuc sie!*

Nie chciał się budzić. Kiedy spał, nie musiał tego czuć.

- Tato, *moha twasz! Moha twasz!*

W końcu dotarła do niego histeria w tonie głosu Betty. Słowa też nie brzmiały prawidłowo, jakby mówiła z pełnymi ustami. Zamrugął, z sykiem wciągając powietrze, atakowany ciągłymi falami bólu. Pod koniec wdechu pojawił się impuls kaszlu, który nie odpuścił, przeciągając drut kolczasty przez jego płuca i gardło, zaciskając mu oczy i zalewając usta piekącym płynem. Zakaszłał tak mocno, że zwymiotował.

- *Tato! Omójbosze!*

Donald wyciągnął prawą rękę spod śpiwora, oparł ją na kierownicy i podciągnął się do pozycji siedzącej. Kierownica była ciepła i mokra od wymiocin. Nie chciał ruszać lewej ręki, za bardzo go piekła, więc zostawił ją pod śpiworem. Otworzył oczy.

I odkrył, że to wcale nie były wymiociny.

Kierownica była spryskana krwią. Krwią i kawałkami czegoś czarnego.

- Dopsze sie czujesz, tato? Kaszlesz kfią!

Donald zamrugął, próbując się pozbierać. Wszystko go tak bardzo bolało. Jego ciało płonęło. Córnka wrzeszczała mu prosto do ucha. Musiał ją uspokoić. Donald obrócił się do niej i drgnął na widok jej twarzy. Na jej lewym policzku zobaczył ociekające, czarne wrzody. Przez chwilę myślał, że nie ma nic gorszego od nastolatki, której coś spaskudziło twarz. Ale tylko przez krótką chwilę, ponieważ przez jego otępiały umysł przebiło się zrozumienie, że to nie jest jakiś olbrzymi pryszcz, tylko coś się stało jego córeczce. Musiał ją zawieźć do szpitala. W zasadzie *oboje* musieli trafić do szpitala.

- Kochanie, ja... - w jego piersi wezbrał kolejny atak kaszlu. *Nie, tylko nie to, to tak bardzo boli...*

Kaszel uderzył i Donald musiał zasłonić usta obiema rękami. Gdy to robił, poczuł jakby lewą uderzył w rozbitą szybę. Krew trysnęła między palcami, znowu zalewając czerwienią kierownicę a nawet przednią szybę.

- Omójbosze tato, twoha reka *twoharekatwohareka!*

Betty dostała pełnego ataku hysterii, wymawiając zniekształcone słowa bez żadnych przerw, zmieniając tylko natężenie krzyku.

Donald uniósł lewą dłoń. Wyglądała, jakby ją zanurzył w kwasie. Mokre, skurczone i poczerniałe palce sterczały bez śladu życia. Zniknęła większość pokrywającego je ciała. Miejscami widział kości, przynajmniej domyślał się, że to goła kość, ponieważ nawet tam wszystko było szerniałe.

Donald Jewell wrzasnął. Sięgnął przez swoje ciało prawą ręką i chwycił klamkę drzwi. Robiąc to zaczepił o lewą dłoń.

Mały i serdeczny palec odpadły, spadając mu na kolana.

- *Omójboszemójboszemójbosze!*

Zignorował brak palców i potworne pieczenie. Co innego mógł zrobić? Zignorował je, szarpnięciem otworzył drzwi i wyturlał się z samochodu. Czerniałe palce spadły mu z kolan i odbiły się od pokrytego lodem krawężnika. Deszcz ustał. Donny pobiegł prosto do najbliższej sterty śniegu, teraz wyraźnie mniejszej i pokrytej warstwą lodu. Płacząc i wrzeszcząc, kopniakiem rozbił lód i wcisnął w dziurę poczerniałą rękę, zakopując ją w śniegu. Jego ręka *piekła*, musiał ją ochłodzić, ale śnieg w niczym nie pomagał.

Nadszedł kolejny atak kaszlu, tym razem z głębi, idący aż z żołądka. Z jego ust trysnęła krew. Poczł kawałki czegoś zgnięłego, strzępki, które piekły go na języku. Wszystko wylało się na zlodowaciałą śnieżną zaspę, pokrywając ją jaskrawą czerwienią i czarnymi strzępami. Donny Jewell przewrócił się na bok. Ból był silniejszy od niego, dżgając jego ciało ze wszystkich możliwych stron.

Chciał znowu usnąć.

Następny atak kaszlu zwinął go w ciasną kulę. Z jego ust poleciało jeszcze więcej krwi i czerni. Coś wewnątrz się *rozerwało*. Wiedział, nie z powodu silniejszego bólu, ale dzięki temu, że mięśnie brzucha jakby nagle się rozluźniły, jakby zwijała się naciągnięta guma, która nagle pękła.

Wciąż słyszał krzyk swojej córki.

Pomyślał jeszcze, że chciałby, żeby jej twarz doszła do ładu, zanim przyjdzie czas na zdjęcia do szkolnego tablo.



## Cheffie

Cheffie Jones obudził się i stwierdził, że leży pod dywanem w salonie.

Miał dwa zakażenia: jedno na lewym obojczyku, drugie tuż pod jabłkiem Adama. Skóra między nimi obwisła i poczerniała, a martwica rozeszła się w stronę twarzy, w dół piersi i w głąb gardła.

Zanim umarł, Cheffie miał dość czasu, by odsunąć dywan i zdziwić się, czemu wszystko tak bardzo go boli. W czasie, gdy spał, apoptoza osłabiła jego tętnicę szyjną, która pękła właśnie w tej chwili. Z początku była to tylko mała dziurka, dość, by krew trysnęła w otaczającą tętnicę czarną maź. Czuł taki ból, że nawet nie zauważył różnicy. Po pierwszej dziurce pojawiła się druga, trzecia, a potem ciśnienie krwi napierające na cienką ścianę naczynia wybiło dziurę średnicy ołówka.

Krew zalała mu całą szyję. Kilka cienkich strumyczków przebiło się przez poczerniałą zgniliznę, ale większość pociekła do wnętrza ciała. Zacharczał wciągając powietrze. Krew wypełniała pęcherzyki płucne i bardzo szybko ograniczyła jego zdolność do pobierania tlenu.

Nie mógł krzyczeć, bo struny głosowe rozpuściły mu się tuż przed pęknięciem tętnicy. Zdołał chwiejnie dojść do frontowych drzwi i je otworzyć, po czym upadł. Próbował się czołgać, ale nie było to zbyt udane – Cheffie już na starcie nie był w zbyt dobrej formie, a bez tlenu jego mięśnie szybko odmówiły posłuszeństwa. Dźwignął się na kolana, wysunął rękę za drzwi, a potem znowu się przewrócił.

Cheffie Jones przestał się ruszać. Utonął we własnej krwi.

Reakcja łańcuchowa apoptozy toczyła się dalej.

## Skurwysyn

Satelita przetasował tabele prawdopodobieństw i analizował scenariusz za scenariuszem. Umysł dziecka wygenerował czytelny sygnał. Mogła być dość silna, by przeprowadzić następny etap przyjętej strategii. A jeśli jej zabraknie sił, może uda się *drugiemu* dziecku. Drugi egzemplarz nie był rozwinięty tak dobrze jak Chelsea, ale w tym przypadku pelzacze również przesłały sygnał, którego natężenie szybko rosło. Razem dzieci mogły zapewnić dość mocy obliczeniowej na powierzchni ziemi, wymaganej przez satelitę do kierowania obrońcami.

Oczywiście, chyba że Skurwysyn znajdzie ich, tak jak pozostałych.

Biologiczne sprzężenie zwrotne z nowego szczepu pozwoliło satelicie stwierdzić, że rozwijanie włókien mięśniowych z poszczególnych gospodarzy jest zbyt ryzykowne. Zbyt wielkie niebezpieczeństwo zebrania uszkodzonych komórek macierzystych.

Na szczęście istniało proste rozwiązanie tego problemu – to dzieci musiały stać się wektorem. U nich z powodzeniem powstały włókna zmodyfikowanych mięśni, które mogły się samodzielnie dzielić i powielać. Satelita nie musiał zmuszać każdego gospodarza do produkcji włókien mięśniowych, wystarczyło ich zakazić włóknami dzieci.

To rozwiązywało jeden problem – tworzenie obrońców – ale wciąż pozostawał drugi, równie znaczący: jak powstrzymać Skurwysyna. Satelity nie stworzono z myślą o takich sytuacjach. Jego twórcy nie zaprogramowali żadnych instrukcji na wypadek gospodarza, który zmienił się w myśliwego.

Oczywistym rozwiązaniem było zabicie go, ale jak dotąd się to nie udało. Bezszykownie próbowali tego gospodarze z trzech ostatnich partii. Co więcej, nie tylko nie powiodły się ich próby, sami przy tym zginęli, nie doprowadzając swoich pisklaków do fazy budowy. Skurwysyn był człowiekiem, *mógł* zginąć, ale analiza zysków i strat wskazywała na zbyt wysokie potencjalne koszty.

Symulacje trwały i jedna strategia nieustannie wykazywała największe prawdopodobieństwo powodzenia – po prostu utrzymać Skurwysyna jak najdalej.

Czy satelita mógł zablokować dostęp jednego gospodarza do sieci łączności? Po analizie uznał, że tak. Proces nie był łatwy i będzie wymagał przeznaczenia sporej części zdolności satelity do obsługi łączności z pozostałymi gospodarzami. Dziewczynkę można będzie zmodyfikować do udziału w łączności. Mogła pełnić rolę centralnego przekaźnika, uwalniając dość mocy przerobowych satelity, by umożliwić odnalezienie i zablokowanie Skurwysyna.

Jeśli nie będzie słyszał, nie znajdzie nowej bramy.

# **DZIEŃ CZWARTY**

## Bar Dużego Sama

Margaret nigdy nie zwracała większej uwagi na krzesła w pokoju komputerowym do czasu, aż na jednym z nich usiadł Perry. Z początku chciał stać, ale sposób, w jaki się krzywił, jasno dawał do zrozumienia, że kolana sprawiają mu ból. Margaret rozegrała kartę „jestem twoim lekarzem” i poleciła mu usiąść. Gdyby postawić przed nim deskę do prasowania z talerzem pełnym indyka, wyglądałby jak dorosły zmuszony do zajęcia jednego z krzesełek dla dzieci w Święto Dziękczynienia.

Usiadła na prawo od niego, a Dew zajął miejsce po lewej stronie. Bardzo wyraźnie spięty Clarence stanął za krzesłem Margaret. Wszyscy zauważyli pozę Clarence'a, poza nim samym.

Amosa oczywiście wcale tu nie było.

- Naprawdę nie lubię o tym rozmawiać - stwierdził Perry.

Dew ujął go za lewe ramię i potrząsnął nim współczująco.

- Tym bardziej powinniśmy to zrobić jak najszybciej, i to we właściwy sposób - powiedział. - Zresztą, co innego masz do roboty? Pójdiesz na siłownię?

Perry kiwnął głową.

- Właściwie to raczej przysiady i pompki.

- Mam wrażenie, że chwilowo jesteś w dostatecznie dobrej formie - skomentowała Margaret. - Mamy dostęp do mnóstwa danych dotyczących poszczególnych gospodarzy trójkątów. Liczę na to, że jeśli uzupełnimy je o szczegóły dotyczące ciebie, zdołamy zlokalizować źródło zakażenia.

- Zrobię, co będę mógł. - Perry wzruszył ramionami.

Margaret zaczęła stukać w klawiaturę, wywołując na monitorze przed Perrym mapę.

- To mapa obszaru z domami siedmiu znanych gospodarzy trójkątów z rejonu Ann Arbor - wyjaśniła.

Poruszyła myszą i kliknęła coś na ekranie. Na mapie pojawiło się siedem ikon domów.

Perry zauważył, że dwie, niemal nałożone na siebie, znajdowały się na terenie jego osiedla, między Ann Arbor a Ypsilanti. Tworzyły one wierzchołek trójkąta, którego drugi szczyt znajdował się niemal w centrum Ann Arbor, a trzeci na południe od miasta, w Pittsfield.

Pozostałe ikony domów wydawały się być rozmieszczone losowo: jedna w Whittaker, jakieś siedem kilometrów na południe i nieco na wschód od osiedla Perry'ego, dwie blisko siebie, na terenie rolniczym na południe od Ford Lake i Rawsonsville.

- Jest w tym jakiś wzór? - zapytał Perry.

- Żadnego - odpowiedziała Margaret. - To po prostu adresy domów ofiar. Możemy do tego dodać jeszcze adresy miejsc pracy albo szkoły. Znowu kliknęła myszą, przywołując siedem niebieskich kropek. - Możemy także dodać wszystkie znane lokalizacje gospodarzy w ciągu dwóch tygodni przed dniem, w którym zaczęłaś czuć swędzenie, ale jeśli to zrobimy, na mapie przestaje być cokolwiek widać.

- Problem w tym, że nie potrafimy w żaden sposób powiązać ze sobą tych miejsc. Wciąż nie mamy pojęcia, *kiedy* lub *gdzie* ci ludzie zostali zakażeni. Chcemy skorzystać z twoich wspomnień z dni przed tym, jak zacząłeś czuć swędzenie, i porównać to z już posiadanymi informacjami. Mamy nadzieję, że uda się nam odszukać jakieś informacje, które naprowadzą nas na czas i źródło zakażenia.

Perry kiwnął głową.

- No dobra - rzuciła Margaret. - Zaczniemy od tego, że ty i Patricia DuMond mieszkaliście na tym samym osiedlu.

- Kim jest Patricia DuMond? - zapytał Perry.

- O ile dobrze pamiętam, nazwałaś ją *Grubą Patty* - wyjaśniła kobieta.

- Ach, ona - powiedział cicho. - No dobrze.

- To daje nam dwoje gospodarzy mieszkających na tym samym osiedlu. Ale *tylko* dwoje. Jeśli wektor znajdował się na osiedlu albo przez nie *przeszedł*, można by się spodziewać, że będzie w nim więcej gospodarzy.

- Chyba że ją ruchałeś - wtrącił się Dew. - To by znaczyło, że mogłeś się zarazić w tym samym czasie.

Perry pokręcił głową.

- Wstyd się przyznać, ale od tygodni nie miałem okazji do seksu. Może mogłem ją zobaczyć gdzieś przy okazji, ale nie jestem pewien. To było spore osiedle. Natomiast jestem pewien, że nigdy z nią nie rozmawiałem.

- Pracowała w Royal Oak, ty w Ann Arbor - zauważyła Margaret. - Więc do pracy jechaliście w przeciwne kierunki.

Margaret wystukała coś na klawiaturze i dwie z niebieskich kropek zaczęły pulsować: jedna w miejscu, gdzie mieściła się firma American Computer Solutions, w której Perry pracował jako technik serwisu.

- Próbuje odkryć, gdzie mogły się przeciąć wasze ścieżki - wyjaśniła Margaret. - Z grubsza wiemy, gdzie przebywała w ciągu dni przed poniedziałkiem, w którym zaczęło się twoje swędzenie, ponieważ mamy w bazie danych rejestr połączeń telefonicznych z jej komórki i płatności kartą kredytową.

- Czy to legalne? - zapytał Perry.

Dew się roześmiał.

- Nie przejmuj się tym.

- Właściwie też się nad tym zastanawiałam - przyznała Margaret. - Ale powstrzymanie tego czegoś przed zabijaniem ludzi chyba ma priorytet, nie sądzisz?

- Nie będzie naruszane prawo ludzi do bezpieczeństwa osobistego, nietykalności mieszkań, dokumentów i ruchomości, oraz zapewniające ochronę przed nieuzasadnionymi rewizjami i sekwestrami - zacytował Perry. - To czwarta poprawka, słyszeliście o niej kiedyś?

Margaret zagapiła się na wielkiego, poobijanego mężczyznę wciśniętego w za małe krzesło. On tylko *wyglądał* na głupiego osiłka. Dew również wyglądał, jakby mu mowę odjęło.

- Nie dziwcie się tak bardzo - rzucił Perry. - Chodziłem na studia, pamiętacie?

- Powiem ci coś, studenciku - odpowiedział Dew. - Jeśli znajdziesz książkę do historii, w której opisali, jak Thomasowi Jeffersonowi rosną niebieskie trójkąty na jajach, to będziesz mi mógł całymi dniami cytować Ojców Założycieli.

Perry skurczył się trochę w sobie i westchnął.

- Dobra, wszystko jedno. Załatwmy to już.

- Dla ciebie nie mamy tak szczegółowej dokumentacji. - Margaret wróciła do tematu.

- Wygląda na to, że jedyną osobą, do której dzwoniłeś, był Bill Miller. Wiemy, że co tydzień brałeś tyle samo pieniędzy z bankomatu w pobliżu twojego mieszkania, ale prawie za nic nie płaciłeś kartą kredytową.

- Kart używam tylko w barze - wyjaśnił Perry. - Kiedy trochę wypiję, mam skłonność do przesadnego szastania napiwkami. Płacąc kartą daję napiwek tylko raz i nie wydaję za dużo na drinki. Wszędzie indziej płacę gotówką. Dzięki temu udaje mi się zmieścić w budżecie. Kiedy kończy mi się tygodniówka, przestaję wydawać.

Margaret kiwnęła głową, czując wreszcie iskierkę nadziei. Jeśli Perry robił gdzieś zakupy i zetknął się z innym gospodarzem trójkątów, Cheng mógł tego nie zauważyć, po prostu dlatego, że Perry płacił gotówką.

- Ponieważ nie wiemy, co wywołuje zakażenie, nie znamy czasu wykluwania - oświadczyła Margaret. - Możliwe, że zetknąłeś się z wektorem dzień wcześniej, tydzień wcześniej, albo nawet miesiąc, więc spróbujmy przejrzeć twoją historię dzień po dniu. Powiedziałeś, że swędzenie zaczęło się w poniedziałek, więc zastanów się... Co robiłeś w niedzielę?

Perry z namysłem dotknął szwów na wardze.

- Pewnie razem z Billem cały dzień oglądaliśmy futbol.

- Gdzie?

- Pewnie u mnie w mieszkaniu. - Perry wzruszył ramionami.

- Nie, wiemy, że tego wieczora byłeś w barze - poprawił Dew. Przejechał palcem po ekranie. - Zobaczmy. Gdzie jest Bar Dużego Sama?

- Westland - podsunął Perry. - Mniej więcej w pół drogi między Ann Arbor i Detroit. Duże telewizory, mnóstwo fajnych lasek.

- W ten sobotni wieczór wydałeś równo czterdzieści sześć dolarów - poinformował Dew. - Masz to w historii karty.

Perry zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Jasne, zgadza się. Tak właśnie robię z napiwkami, dodaję właściwą kwotę drobiazgowo, żeby wyszło równo. Poszliśmy z Billem do Dużego Sama obejrzeć, jak Lionsi grają z Coltami. Wieczorna gra. Przegrali.

- Też mi niespodzianka - skomentował Dew.

- Daj spokój - obruszył się Perry. - Odpuść im trochę, tym razem przegrali tylko dwoma przyłożeniami.

- I co było potem? - drażyła Margaret. - Skończył się mecz, co zrobiłeś?

Zastanawiając się Perry przesunął palec ze zszytej wargi na podbite oko.

- Wróciłem do domu. Chyba byłem trochę urżnięty, więc jechałem bardzo ostrożnie. Nie, chwileczkę. Zrobiłem się bardzo głodny, więc zatrzymałem się przed sklepem, żeby kupić coś na ruszt.

- Gdzie stanąłeś?

- Rety, nie pamiętam. - Perry wzruszył ramionami. - To było ze sześć tygodni temu, a ja byłem na bani.

Dew nachylił się bliżej monitora.

- Czy mógł to być Sklep Spożywczy Meijera w Belleville?

- Możliwe - zgodził się Perry. - To po drodze do domu.

Margaret wstała, podeszła i stanęła za plecami Dewa.

- Czemu? - zainteresowała się. - Coś szczególnego w tym konkretnym sklepie spożywczym?

Dew wskazał na inny wiersz. Czubek jego palca zostawił smugę na ekranie.

- Historia wydatków wskazuje, że Patricia DuMond zrobiła zakupy w Sklepie Spożywczym Meijera w Belleville za ponad sto dolarów o 22:31.

Margaret wróciła na swoje krzesło i zaczęła stukać w klawisze z podnieceniem przenikającym aż do czubków palców.

- Może wreszcie coś mamy - rzuciła.

Teraz to Dew wstał i stanął za jej krzesłem.

- Czyli wektorem jest sklep spożywczy?

Margaret pokręciła głową.

- Nie, to raczej nie jest sam sklep ani sprzedawane przez nich jedzenie, inaczej na pewno zdołalibyśmy ustalić jakiś element łączący go z innymi gospodarzami. Ale po raz pierwszy udało nam się zlokalizować dwoje gospodarzy w tym samym miejscu i o tym samym czasie.

Wpisała kilka poleceń i ikony oznaczające zakażenie Patricii i Perry'ego przesunęły się na zachód, lądując nad sklepem Meijera. Nowe położenie ikon ułożyło się na krzywej z pozostałymi symbolami - krzywa zaczynała się w Whittaker, po czym stopniowo sięgała na północny wschód przez dwie ikony domów w pobliżu Rawsonsville i skręcała na wschód w stronę Meijera w Belleville.

Był tam około 22:30, podobnie jak Patricia. Jeśli gospodarze mieszkający w Rawsonville byli o tej porze w domu, co wydawało się prawdopodobne...

- Clarence - odezwała się Margaret. - Czy można na tym wywołać informacje o pogodzie z przeszłości?

- Prawdopodobnie - odpowiedział. - Puść mnie do klawiatury.

Margaret wstała, a Clarence zajął jej miejsce.

Perry nachylił się patrząc, jak Clarence jednym palcem stuka w klawisze.

- Może ci z tym pomóc, mistrzu? - zapytał.

Clarence nie spuszczał wzroku z klawiatury i ekranu przed sobą.

- Myślę, że sobie z tym poradzę, wodzu, ale dzięki za ofertę.

- Czyli to nie sklep spożywczy - Dew zaczął się głośno zastanawiać. - Myślicie, że to coś unoszonego w powietrzu, tak? Coś przenoszonego przez powietrze?

- „Przenoszony przez powietrze” to termin używany na sposób przekazywania choroby z jednej osoby na inną przez kichnięcia, kaszel albo oddech - sprecyzowała Margaret. - Popatrz na zasięg tej krzywej. Mówimy tu o kilometrach, nie metrach.

Bardziej precyzyjnym określeniem byłoby mówienie o czynniku przenoszonym wiatrem, gdzie wiatr to wektor mechaniczny przenoszący zarazki.

- Ale czy Cheng nie sprawdziłby pogody? - zapytał Dew.

- Oczywiście - zgodziła się Margaret. - Problem w tym, że kierunek wiatru może się zmieniać z minuty na minutę. W przeciwieństwie do Chenga, potencjalnie znamy teraz dokładną godzinę zakażenia. Perry, co zrobiłeś, jak już kupiłeś sobie to jedzenie?

- Zjadłem je po drodze do domu. Dotarłem do siebie, rozebrałem się i poszedłem prosto do łóżka. Następnego dnia musiałem iść do pracy.

- Musiałeś to mieć na dłoniach - skomentowała Margaret. - Albo na ubraniu i rozprowadziłeś to po sobie, kiedy się rozbierałeś. Musiałeś też dotknąć... uch... części intymnych.

- Niesłychane - rzucił Dew. - Facet, który we własnym domu drapie się po jajach.

- Dobra, mam dane pogodowe - wciął się Otto. - Czego dokładnie chcesz, Margo?

- Pokaż nam kierunek wiatru o 22:30 w tamtą sobotę - poprosiła. - Jeśli możesz, skup się na Belleville.

Otto znowu zajął się klawiszami. Na ekranie pojawiły się niebieskie strzałki, skierowane głównie na wschód i nieco na północ. Zielony tekst na dole podawał parametry: *0,8 km/godz, 260 stopni*.

- To nie działa - zauważył Dew. - Kierunek wiatru nie pokrywa się z krzywą między gospodarzami w Rawsonville i sklepem spożywczym.

- Clarence - odezwała się Margaret. - Pokaż mi zapis zmienności kierunku wiatru między 22:00 a 22:30.

Otto przez chwilę wpatrywał się w klawiaturę, ale nie zabrał się do pisania.

- Umm... nie sądzę, żeby ten komputer to potrafił.

- Chryste - jęknął Perry. - Daj mi to.

Chwycił klawiaturę i położył ją sobie na kolanach. Jego wielkie palce zaczęły tańczyć po klawiszach. Dane zaczęły wyskakiwać na ekran i wypełniać wiersze tekstu szybciej, niż Margaret potrafiła je przeczytać.

- Jesteście jak idioci, którym zapewniałem pomoc techniczną w pracy - rzucił Perry. - Zachowujecie się, jakbyście nigdy w życiu nie przeczytali instrukcji obsługi oprogramowania. To naprawdę podstawy.

Wcisnął ostatni klawisz, a strzałki na ekranie zmieniły wygląd. Zamiast kierować się z zachodu na wschód, zaczęły wskazywać na północ, potem skrzyły na północny wschód i w końcu znowu skierowały się na wschód.

Perry znowu zaczął stukać w klawisze i niebieskie strzałki znikły, zostawiając tylko jedną - strzałkę z podstawą przy domu Whittakerów, skracającą na prawo nad obiema ikonami w Rawsonville, a potem idącą dalej w prawo, nad sklepem spożywczym.

- Jasna cholera - wyszeptał Dew. - Znaleźliście. To kurewstwo przenosi się w powietrzu.

- Przez wiatr - sprecyzowała Margaret.

- Dobrze, wiatr - zgodził się Dew. - To co z innymi gospodarzami, którzy nie mieszczą się w tym wzorze?



- To mogą być różne rzeczy - odpowiedziała Margaret. - Mogli przeciąć krzywą wiatru o właściwej porze, może był inny... bo ja wiem... *podmuch* wiatru, który zaniósł zarodniki na inne tereny. Ta krzywa z pewnością nie uwzględnia wszystkich, ale obejmuje połowę. Nie ma wątpliwości, że jest istotna statystycznie.

Otto obrócił krzesło w jej stronę.

- Ale co to tak naprawdę nam mówi? No wiesz, wiatr może wiać gdziekolwiek.

Perry odpowiedział, zanim zdążyła to zrobić Margaret.

- Daje nam to projekcję trygonometryczną na bazie prędkości wiatru i odległością między punktami zakażenia. Na tej podstawie możemy potencjalnie ekstrapolować drogę wektora, a może nawet określić w przybliżeniu miejsca jego uwolnienia. Jeśli połączyć te dane z informacjami o gospodarzach z innych miejsc zakażeń, może uda się nam ograniczyć obszar poszukiwań punktu uwolnienia. Tak naprawdę Margaret chce powiedzieć, że Ogden miał rację, to musi być satelita, a ta analiza pogody może nam powiedzieć, gdzie go szukać.

Margaret się uśmiechnęła i kiwnęła głową Perry'emu. Ten odpowiedział mrugnięciem.

- Studia? - spytał Dew.

Perry kiwnął głową.

- Studia.

- Perry - zwróciła się do niego Margaret. - Damy radę to zrobić tutaj?

Perry pokręcił głową.

- To wymaga większej mocy obliczeniowej, niż mamy tutaj. Na razie masz prostą historię przebiegu wiatru, ale teraz trzeba to ekstrapolować z uwzględnieniem odległości między punktami zakażenia, temperatury powietrza, wilgotności... i pewnie jeszcze mnóstwa innych czynników, o których nie mam pojęcia. To zupełnie inna liga niż obrazek, który ci pokazałem.

- Pchnijmy to z powrotem do Murraya - zasugerował Clarence. - Zobaczmy, czy może to podsunąć pod nos swoim *najlepszym umysłem, jakimi dysponuje ten naród*.

- Och tak, może - zapewnił Dew. - Posadzi nad tym instytut meteorologii, klimatologów i Bóg wie kogo jeszcze szybciej, niż zdołacie zaśpiewać Hosanna.

Clarence wciąż wpatrywał się w Perry'ego.

- Mogłem się mylić co do stereotypu durnego osiłka - przyznał. - Jesteś całkiem bystry.

Perry nie oderwał wzroku od monitora.

- Nie, masz rację odnośnie do stereotypu, po prostu on nie dotyczy futbolu. Żeby dobrze w niego grać, musisz być bystry, bo jest skomplikowany.

Odwrócił się i uśmiechnął do Clarence'a.

- Głupki grają w koszykówkę.

Perry znowu obrócił się do monitora.

Clarence potrząsnął głową, a Margaret się roześmiała.

## Chelsea rządzi

Chelsea Jewell budziła się powoli. Mocno bolała ją głowa. Chciała do mamy.

Nie, właściwie to nie. Musiała uważać na mamę, bo ona mogła chcieć jej zrobić krzywdę. Chelsea chciała do taty. Tato wciąż był w porządku.

A jednak *to* też nie do końca było prawdą. Nie chciała *do* taty... Chciała go *chronić*.

Chciała chronić to, co znajdowało się *wewnątrz* taty.

OBUDZIŁAŚ SIĘ?

Rozejrzała się wokół. Skąd dochodził ten głos? Nikogo nie widziała.

OBUDZIŁAŚ SIĘ?

- Tak - odpowiedziała. - Gdzie jesteś?

BARDZO DALEKO.

- Och. To czemu cię słyszę?

PONIEWAŻ JESTEŚ WYJĄTKOWA. TYLKO TY JEDNA MOŻESZ MNIE SŁYSZEĆ.

- Mama i tata cię nie słyszą?

JESZCZE NIE.

- Mój tatuś jest chory - oznajmiła Chelsea. - Ja też. Czuję się już lepiej, ale bardzo boli mnie głowa, a mój język jest gruby i w ogóle. I bardzo boję się mamy. Chyba chce mnie zbić.

NIE MUSISZ SIĘ BAĆ SWOJEJ MAMY.

- Na pewno?

TAK.

Chelsea poczuła, że strach przed mamą znika, jak zmieciony wiatrem.

TWÓJ TATA NIE JEST CHORY. JEST BARDZO WAŻNY.

Chelsea zobaczyła obrazy czegoś trójkątnego, przypominającego jeden z jej żółtych drewnianych klocków, ten podobny do małej piramidy, tylko ten w jej wizji był czarny i poruszał się na dziwnych nogach. Był piękny. Był *wyjątkowy*. Tak jak mama zawsze mówiła jej, że jest *wyjątkowa*.

- Tatuś ma w sobie śliczne laleczki - powiedziała Chelsea. - To dlatego jest ważny?

ZGADZA SIĘ. TATUŚ MA W SOBIE LALECZKI.

Mama nazywała Chelsea *wyjątkową* i zawsze ją chroniła.

Teraz Chelsea będzie chronić tatusia. Tatusia i laleczki.

Drzwi szafy otworzyły się, wpuszczając do środka światło.

- Skarbie - odezwała się mama. - Co ty u diaska tam robisz?

Chelsea zamrugała, gdy jej oczy przyzwyczajały się do światła. Czekala na strach, ale ten nie przychodził. Głos powiedział, że nie musi się bać, więc się nie bała.

- Śpię - wyjaśniła dziewczynka.

- Ale czemu w szafie?

Chelsea wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- To samo powiedział twój ojciec. Znalazłam go śpiącego za kanapą. Czy wy próbujecie mi zrobić jakiś numer?

Dziewczynka pokręciła głową.

- Jaaasne. Oboje ukrywacie się do snu i to nie ma być żaden dowcip? Jeszcze zobaczymy. Ale dość tych zabaw. Jak się czujesz?

- Nie za dobrze - przyznała Chelsea.

Mama ją podniosła i położyła z powrotem do łóżka, a potem dotknęła dłonią czoła córki. Dłoń mamy była chłodna i przyjemna w dotyku.

- Nie masz już tak silnej gorączki jak poprzednio. Czujesz się gorzej czy lepiej niż wcześniej?

- Trochę lepiej.

Mama zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy.

- Otwórz buzię, skarbie - poleciła. - I wystaw język.

Chelsea spełniła polecenie. Mama przybrała ten zaniepokojony wyraz twarzy.

- Skarbie, masz niebieskie plamy na języku. Czy on cię boli?

- Troszkę.

- Pokaż go znowu. Nigdy czegoś takiego nie widziałam i nie podoba mi się to. Chyba jutro wszyscy wybierzemy się do lekarza.

Chelsea poczuła przechodzący przez skórę dreszcz. *Lekarz*. Lekarz zawsze robił jej krzywdę igłami i innymi rzeczami. Głos się mylił, *powinna* bać się mamy.

- Nie lubię lekarza - oświadczyła Chelsea.

- Wcale mnie nie obchodzi, czy go lubisz, czy nie, młoda damo, i tak pójdziesz. Zresztą twój ojciec też. Drapie się jak szalony i ma takie wielkie pęcherze na skórze.

- Tatusz ma w sobie lalczki - wyjaśniła Chelsea. - Tak powiedział mój specjalny przyjaciel.

- Och, to masz teraz specjalnego przyjaciela? To *miłe*, skarbie. Jak się nazywa?

Chelsea zastanowiła się przez chwilę, ale nie знаła jego imienia. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Skoro masz już specjalnego przyjaciela, powinnaś mu nadać jakieś imię - stwierdziła mama. Delikatnie popchnęła dziewczynkę, by położyła się w łóżku i zaczęła jej poprawiać kołdrę. - Jak chciałabyś go nazwać?

- Może... Chauncey? - zapytała Chelsea.

Mama się uśmiechnęła.

- Ach, Chauncey, jak ulubiony gracz w koszykówkę wujka Donalda?

Chelsea kiwnęła głową.

- Właśnie. I jego imię brzmi prawie jak moje. Chelsea i Chauncey.

- No cóż, to bardzo ładne imię - zgodziła się mama. Pogłaskała dziewczynkę po głowie i było to bardzo miłe. - A teraz się prześpij, dobrze?

- Nie jestem już zmęczona - zaprotestowała Chelsea. - Chcę wstać.

- Po prostu poleż sobie jeszcze trochę, skarbie. Potem będziesz mogła wstać, jeśli będziesz chciała, ale zostań tutaj i się pobaw, dobrze? Nie chcę, żebyś biegała po domu. Zajrzę później do ciebie, a jutro pójdziemy do lekarza.

Mama nachyliła się i pocałowała ją w czoło, po czym wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Chelsea leżała w ciemności zastanawiając się, czy Chauncey znowu się do niej odezwie.

Zrobił to.

NIE WOLNO CI IŚĆ DO LEKARZA - powiedział Chauncey. - MUSISZ JĄ POWSTRZYMAĆ.

Odpowiedziała szeptem, żeby nie usłyszała jej mama.

- Ale jak mam to zrobić, Chauncey? Mama rządzi. Muszę robić to, co każe.

ONA JUŻ TOBĄ NIE RZĄDZI.

- Nie?

NIE. TERAZ TO TY RZĄDZISZ NIĄ.

- Naprawdę?

TAK.

- Ale... ona jest dużo większa ode mnie. Co mam zrobić jeśli *zmusi* mnie do pójścia do lekarza?

MOŻESZ JĄ POWSTRZYMAĆ W NOCY - odpowiedział Chauncey. - KIEDY PÓJDZIE SPAĆ.

W głowie dziewczynki pojawił się obraz.

Tak, mogła to zrobić mamie.

## Strzelec

Dew miał już dość roztrząsania i dywagowania.

Na stoliku strzelca leżał jego Colt M1911 kalibru 0,45 cala. Pistolet był załadowany, z odciągniętym kurkiem i odbezpieczony. Perry Dawsey stał obok w ochroniaczach na uszy i okularach ochronnych, patrząc na broń.

- Słuchaj, Dew, wszystko fajnie i pięknie, ale ja po prostu nie chcę strzelać, wiesz?

- Weź ten pistolet, młody - warknął Dew. - Zawdzięczam ci paskudnego kaca i naprawdę nie jestem w nastroju na takie rzeczy. Przynosisz mi wstyd przed całą strzelnicą.

Oczywiście strzelnica była pusta, Dew wynajął ją tylko dla nich.

Perry dalej patrzył na czterdziestkę piątkę.

- Ale co będzie, jeśli ją podniosę i... no wiesz... poczuję chęć strzelenia *do ciebie*?

Dew podciągnął nogawkę spodni i wyciągnął trzydziestkę ósemkę.

- Stanę za tobą z tym wymierzonym w twoje plecy - odpowiedział. - Jeśli choćby spróbujesz się odwrócić, zabiję cię. Teraz ci lepiej?

- Odrobinę - przyznał Perry. Gdyby chłopak nie wyglądał tak śmiertelnie poważnie, Dew by się roześmiał.

Perry dalej wpatrywał się w pistolet.

Dew westchnął.

- Co tym razem?

- A co jeśli... jeśli posłucham Billa?

- Chcesz powiedzieć, co będzie, jeśli się zabijesz?

Perry kiwnął głową.

- Słuchaj, młody, musisz to złapać za jaja.

- To nie jest śmieszne.

- Cholera, przepraszam. To tylko takie powiedzenie. Słuchaj. Ronald Reagan, największy prezydent wszech czasów, powiedział kiedyś coś, co doskonale pasuje do tej sytuacji. *Jeśli konieczna będzie rzeź, to miejmy to już za sobą.* Więc jeśli masz się zabić, przestań się certolić i to po prostu zrób.

- Widzę, że jesteś jednym z tych wrażliwych hippisów.

- Mam w domu ogródek z kwiatami - zgodził się Dew. - I jestem cholernie dobry z igłą do makramy. Poważnie, nie możesz iść przez życie i bać się tego gówna. Przestań być taką pieprzoną cipą i weź do ręki ten cholerny pistolet.

Perry powoli wyciągnął rękę w stronę czterdziestki piątki, zaraz ją cofając.

- Jeśli strzelisz sobie w głowę, będzie bolało tylko ułamek sekundy - odezwał się Dew. - Jeśli ja strzelę ci w stopę, będziesz cierpiał bardzo długo. Więc weź to wreszcie i pożegnaj się ze świnką.

Perry znowu wyciągnął rękę i podniósł duży pistolet. W pierwszej chwili jego ręka drżała gwałtownie, tak bardzo, że Dew wystraszył się, że pistolet wystrzeli. Stąpił po bardzo cienkim lodzie i tak na wszelki wypadek cały czas celował w plecy Perry'ego z trzydziestki ósemki.

- Oddychaj spokojnie - powiedział Dew. - Wyceluj broń i powoli naciśnij spust. Powinieneś być lekko zaskoczony, gdy wystrzeli. I pamiętaj, po strzale wyciągnij magazynek i odciągnij zamek do tyłu. To spowoduje wyrzucenie pocisku, więc niech cię to nie zaskoczy. Sprawdź komorę i magazynek, potem połóż wszystko na stole i zabierz rękę. Dokładnie tak, jak podczas ćwiczeń.

- Tak, tylko że wtedy pistolet nie był naładowany.

- Po prostu zrób to tak, jak ci mówię i wszystko będzie dobrze, jasne?

- Dobra - zgodził się Perry.

Skierował broń w stronę tarczy i zrobił wydech. Duży pistolet wyglądał w jego dłoni jak zabawka. Dew dałby Perry'emu trzydziestkę ósemkę, ale nie był pewien, czy palec młodego wcisnąłby się w osłonę spustu.

Dew czekał chwilę, po czym usłyszał głośny wystrzał broni. Z lufy uniosła się smużka dymu, a obaj mężczyźni popatrzyli w stronę odległej o dziesięć metrów tarczy. Perry trafił w środkowy pierścień, tuż na lewo od X.

- Niezły strzał - pochwalił Dew.

- Myślałem, że przy strzale będzie jakiś odrzut.

- Wyciągnij magazynek, odciągnij zamek do tyłu... - Dew nie dokończył instrukcji.

Perry szybko i energicznie kiwnął głową. Ostrożnie wypełnił polecenia Dewa, po czym odłożył broń na stół przed sobą. Powoli oderwał dłonie od pistoletu, wyraźnie pokazując, że już go nie trzyma. Sprawiał wrażenie, jakby czuł... ulgę. Jakby zeszło z niego ciśnienie, jakby właśnie stracił dziewictwo.

- No dobra - rzucił Dew. - To mówisz, że nie czuleś kopa przy strzale?

Perry pokręcił głową.

- To znaczy poczułem lekkie szarpnięcie, ale raczej nie był to kopniak.

- W sumie biorąc pod uwagę, jaki jesteś silny, nie powinienem się dziwić, że go nie czujesz.

- Umm... Dew? - Perry wyglądał tak, jakby bał się o coś zapytać. Do jasnej cholery, przecież wyciął potwory z własnego ciała, oberwał dwa postrzały i dalej walczył, a teraz bał się zadać pytanie.

*On po prostu nie chce sprawiać wrażenia głupiego - pomyślał Dew. - Nie chce się wygłupić przed TOBĄ.*

- Wyduś to z siebie - rzucił Dew. - Możesz mnie pytać o wszystko.

- No... Takie powolne naciskanie jest fajne i w ogóle, chyba, ale gdybym miał tego użyć na poważnie, czy nie chciałbym strzelać szybciej?

Dew się uśmiechnął.

- Jasne, to bardzo rozsądne pytanie. Nie, żebyś faktycznie musiał tego używać, ale tak na wszelki wypadek, załaduj magazynek i wystrzel wszystkie naboje najszybciej, jak potrafisz, dobra? Obejrzymy sobie tarczę i porównamy celność, a potem porozmawiamy o sposobach strzelania w różnych sytuacjach. Czasami chcesz trafić jak najcelniej, czasami po prostu musisz wypuścić jak najwięcej ołowiu w możliwie najkrótszym czasie. Rozumiesz?

Perry uśmiechnął się i kiwnął głową. Tym razem był to *prawdziwy* uśmiech.

Nadal wyglądał okropnie ze szwami na wardze, ale przynajmniej był szczerzy.

Dew cofnął się o trzy kroki i opuścił rewolwer w stronę podłogi, ale nie zamierzał go chować do kabury. Jeszcze nie.

Perry dołożył do magazynku jeszcze dwa naboje, wsunął go do rękojeści, a potem kciukiem zwolnił blokadę, przesuwając zamek na pozycję. Następnie wycelował broń i wystrzelił siedem razy w czasie poniżej dwóch sekund. Brzmiało to jak seria z broni maszynowej. Dew patrzył, jak rusza się ręka chłopaka, a raczej jak się *nie* rusza. Równie dobrze mogłaby być wyrzeźbiona z granitu i przykręcona do ściany.

Perry wysunął magazynek, sprawdził komorę, odłożył pistolet i magazynek, a potem znowu podniósł ręce do góry, jakby w zwolnionym tempie. Dew popatrzył w stronę tarczy. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Nacisnął przełącznik, ściągając cel z powrotem do stanowiska strzeleckiego, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Perry umieścił wszystkie siedem kul w środkowym pierścieniu. Właściwie zamiast środka tarczy ziała w niej duża dziura o poszarpanych krawędziach.

Perry uśmiechnął się i popatrzył na Dewa.

- To chyba nieźle, co?

- Jaja sobie ze mnie robisz, młody? Jesteś *pewien*, że nigdy wcześniej nie strzelałeś?

Wielkolud pokręcił głową.

- Nie, sir. Tata nie pozwalał mi dotykać żadnej broni. Ale to chyba po prostu koordynacja wzroku i ręki, prawda? Jak w grach wideo. A w tym zawsze byłem dobry.

Dew wciąż patrzył na tarczę. W sumie to miało sens. Dawsey był jednym z najlepszych sportowców. Gdyby nie uraz kolana, który zakończył jego karierę, prawdopodobnie wylądowałby w lidze NFL, i to ze sporymi szansami na czołówkę. Był tak silny, że nawet nie czuł kopa czterdziestki piątki - mógł po prostu wycelować w to, w co mierzył i utrzymywać lufę w bezruchu, opróżniając magazynek.

Dew nagle zaczął się zastanawiać, czy uczenie Perry'ego strzelania było rzeczywiście dobrym pomysłem. Skoro potrafił zabijać ludzi gołymi rękami, to strach pomyśleć, co mogłby osiągnąć z bronią i dużym zapasem amunicji.

## Brzydula Betty

Ciało Betty Jewell znalazło się w fatalnej sytuacji. Na wpół uformowane pełzacze rozpadły się, uwalniając czynnik śmierci komórek. Nie była winna niczego innego niż bycia dość starą, by jej telomery uległy lekkiemu skróceniu i doznały pomniejszych uszkodzeń występujących u wszystkich. Uszkodzenie jej telomerów nie było tak poważne jak u ojca, ponieważ był od niej starszy o dwadzieścia sześć lat.

Gdyby była młodsza, może zaledwie o pięć lat, wszystko potoczyłoby się znacznie lepiej.

Oczywiście „lepiej” oznaczało, że więcej pełzaczy dotarłoby do jej mózgu. Powstała w jej głowie siatka była cienka, anorektyczna – potrzebowała dodatkowych pełzaczy, żeby ukończyć przemianę i wysłać sygnał. Kolejne organizmy usiłowały się dostać do jej mózgu, ciągnąc na wpół przegniłe ciała wzdłuż jej nerwów, lub próbując przecisnąć się obok rozpadających się, nieaktywnych pełzaczy. Te, którym udało się przetrwać, wysuwały pseudo-dendryty, chwytając, ciągnąc i wysyłając sygnały bólu w celu pomiaru odpowiedzi.

Śmierć Betty oznaczała niepowodzenie misji, więc walczyły z rozkładem przy pomocy blokujących go związków chemicznych, mających neutralizować reakcję łańcuchową apoptozy. Miejsca pierwotnych zakażeń były już stracone, zachodził tam zbyt silny rozkład, by możliwe było powstrzymanie go. Pełzacze wysłały część swoich sił, by pozostały na granicy strefy zniszczeń, wydzielając neutralizujące związki i próbując ograniczyć szkody, nie dopuszczając do ich rozprzestrzeniania. Wewnątrz ograniczonej strefy reakcja rozpuszczała ciało, zostawiając tylko kości.

Co niezbyt sprzyjało urodzie twarzy Betty Jewell.

Pełzacze nie uważały wyglądu jej twarzy za priorytet. Oczy, by widziała, usta do oddychania, to tak. Te elementy były ważne, podobnie jak dłonie potrzebne do używania narzędzi.

Do używania *broni*.

Pełzacze wspólnym wysiłkiem zdecydowały o podziale. Część przemieściła się do rąk, by podjąć próbę ich uratowania, część do mózgu, by spróbować uzyskać masę krytyczną potrzebną do powstania sieci neuronowej, inne do oczu, uszu i ust, by ochronić zmysły. Betty, która nie mogłaby słyszeć, mówić ani widzieć, nie mogłaby walczyć, a to oznaczało, że Betty nie byłaby użyteczna.



## Interferencja

*Paplanina.*

To naprawdę było najlepsze określenie na coś takiego. Perry znowu słyszał paplaninę. Z południa. A może bardziej... z południowego wschodu? Tak, południowy wschód.

Gdzieś w tamtym kierunku budziły się trójkąty.

Jak na razie odbierał tylko strzępki myśli, pojedyncze sylaby. Trójkąty jeszcze nie wiedziały, *jak* mówić, musiały się tego nauczyć korzystając z pamięci gospodarzy.

Ile ich tam było? Perry nie potrafił określić. Nigdy nie był w stanie dokładnie ich zliczyć.

Tego ranka wychwycił kilka pasm, jak ślady zapachu w mieszkaniu, coś, co czuje się tylko w określonym miejscu, w jednym ustawieniu, a potem znika. I *znasz* tę woń, bo to nie pierwszy raz, po prostu nie pamiętasz, co to jest. To było właśnie coś takiego.

Znajome, a jednak różne. W tych strzępkach było też coś innego. Coś *mniej* losowego. Może silniejszego?

Perry zapukał do pokoju 207. Otworzył mu Dew.

- Cześć, Perry - rzucił i się uśmiechnął, prawie jakby się ucieszył na jego widok. - Wejdz.

Perry wszedł za agentem do pokoju. Byli tam Baum i Milner, podobnie jak Amos, który trzymał w jednej dłoni bułkę, w drugiej plik papierów, a na kolanach miał laptopa. Baum i Milner zeszywnieli, Amos natychmiast popatrzył w stronę drzwi. Gdy tylko Perry wszedł głębiej do pokoju, Amos odłożył bułkę, zamknął laptopa i wybiegł.

- Cholera, ten krasnoludek jest nerwowy - skomentował Dew.

- Właśnie - rzucił Milner. - Zupełnie nie rozumiem, czemu.

Perry popatrzył na niego.

- Jestem tu, jeśli masz mi coś do powiedzenia, Milner.

Baum się roześmiał.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? Wyglądasz na trochę poobijanego po ostatniej rozmowie.

- Zamknij się, Baum - warknął Dew. - Jeśli myślisz, że możesz pokonać Dawseya, to proszę bardzo, mogę odsunąć meble i próbuj.

Baum nie odpowiedział, wciąż patrząc na Perry'ego.

A Perry nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Dew stanął po jego stronie? Może niezupełnie, ale kazał Baumowi udowodnić, że nie gada na próżno.

- No? - Dew zwrócił się do Bauma.

Ten potrząsnął głową.

- Odpuszczam.

- Więc trzymaj gębę na kłódkę. Ty też, Milner. A teraz, co dla nas masz, Perry?

- Znowu słyszę paplaninę - cicho oświadczył Perry.

Wszyscy trzej się wyprostowali.

- Gdzie? - zapytał Dew.

- Jeszcze nie jestem pewien. - Perry wzruszył ramionami. - Jak na razie mogę tylko stwierdzić, że na południowym wschodzie.

- Znowu Michigan? - zapytał Dew. - Może Ohio?

Perry znowu wzruszył ramionami.

- To czemu jeszcze nie ruszyłeś w tę stronę? - zapytał Milner. - Zwykle wsiadasz w samochód i tyle cię widzimy.

- Ponieważ doszliśmy do porozumienia - wyjaśnił Dew. - Perry jest teraz częścią zespołu.

Milner się roześmiał. Dew posłał mu spojrzenie mówiące „stąpasz po bardzo cienkim lodzie” i Milner spoważniał.

- Jak to brzmi? - zapytał Baum, nagle porzucając pogardę dla Perry'ego. - Możesz wyłapać jakieś nazwiska? Nazwy?

Perry pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale to się nasila.

- Usiądź, młody - zaproponował Dew. - I odpręż się, to przyjdzie, tak jak wcześniej. Spakujemy wszystko i ruszymy w tamtym kierunku.

Perry dokuśtykał do fotela i usiadł.

I właśnie wtedy paplanina... zmieniła się.

- Coś jest nie tak - oznajmił Perry. - Nagle to wszystko... cichnie.

- Skup się - polecił Dew. - Może po prostu musisz się skupić?

- To nie działa w ten sposób - odpowiedział Perry. - To zawsze jest w tle, nie mam nad tym żadnej kontroli. A teraz cichnie. Nie słyszę paplaniny, teraz słyszę... tak jakby szum.

Perry popatrzył na Dewa.

- Znikło. Teraz już nic nie słyszę.

## Amos traci dwadzieścia dolców

Samolot pionowego startu i lądowania V-22 Osprey przeleciał na dużej wysokości nad autostradą, po czym zrobił zwrot o 180 stopni, opuścił się niżej i podszedł do lądowania na parking, ukrywając się przed drogą za budynkami dla podróżnych.

Z lądującego pojazdu Margaret zobaczyła znajomy widok dwóch niewyróżniających się kontenerów na zaparkowanych równolegle naczepach. Te kontenery pomalowano trochę inaczej niż parę, którą zostawiła w Glidden – były brązowe i powgniatane, co stanowiło kolejne podejście do zamaskowania zawartości. Jeśli nie liczyć plastikowego tunelu łączącego kontenery, nikt nie poświęciłby im więcej niż chwili uwagi.

– Ciekawe, czy mają zeszłoroczny model – odezwał się Amos. – Margo Mobil musi schodzić jak ciepłe bułeczki.

Cała podróż odbyła się jak w szalonym wirze. Gdy tylko dostali wiadomość, że w dwóch ciałach wykryto celulozę, Dew wrzucił najwyższy bieg. Margaret, Amos, Clarence, Gitsh i Marcus w ciągu piętnastu minut znaleźli się w powietrzu. Murray rozkazał ciszę radiową na czas lotu, nie chciał ryzykować. Półtorej godziny później ich osprey wylądował właśnie na tym parkingu pod Bay City w Michigan.

Margaret nie wiedziała, że istnieją inne Margo Mobile. Najwyraźniej nawet w ramach wewnętrznego kręgu Murray wolał zachowywać tajemnice w ramach tajemnic. Właściwie zastanawiała się teraz, ile tak naprawdę istniało tych ruchomych laboratoriów. Posiadanie kilku sztuk zdecydowanie miało sens – przyprowadzenie tu zestawu z Glidden zajęłoby przynajmniej dziesięć godzin. Nawet przetransportowanie ich tu za pomocą helikopterów zajęłoby mnóstwo cennego czasu. Dzięki kilku laboratoriom z wieloma załogami Murray mógł znacznie szybciej opanować wszystkie miejsca zakażenia.

Margaret i jej zespół wyskoczyli z samolotu i skierowali się prosto do brązowego Margo Mobilu. Przed wejściem czekał na nich mężczyzna w mundurze lotnika osłoniętym grubą niebieską kurtką i w czapce uszatce. Mężczyzna zasalutował.

– Kapitan Daniel Chapman – przedstawił się.

– Nie jestem z wojska – odpowiedziała Margaret. – Tak samo jak pozostali.

Mężczyzna opuścił dłoń.

– To dobrze. Nie znoszę salutowania. – Wyciągnął rękę. – Doktor Chapman. Mów mi Dan. Miło cię poznać.

– Doktor Margaret Montoya. – Kobieta uścisnęła jego dłoń. – A to doktor Amos Braun i agent Clarence Otto.

– Agent czego? – zapytał Dan, ściskając jego dłoń.

– Agent gwiazd – z uśmiechem odpowiedział Otto. – To w sumie chyba nie jest takie ważne, prawda?

Dan kiwnął głową i uniósł jedną rękę w geście, jakby chciał powiedzieć „przepraszam, że pytałem, powinienem był wiedzieć”.

Zaprowadził ich do pokoju komputerowego Margo Mobilu. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak samo jak to, które zostawiła w Glidden: jedyną różnicą były

logo sił powietrznych na monitorach i okrągły ślad po kubku z kawą na blacie. Dan poczekał, aż Margaret usiądzie, po czym stanął za nią. Amos zajął miejsce obok, natomiast Otto jakby stopił się z tłem. Margaret nie wiedziała, jakim cudem potrafił to osiągnąć w pomieszczeniu półtora metra na trzy, jednak jakoś sobie poradził.

- Mamy dwa przypadki zakażenia - oznajmił Dan. - Donald Jewell, czterdzieści dwa lata, z Pittsburgha, i jego córka Betty, szesnaście lat. Oczywiście nie wolno mi się dowiedzieć, *czym* dokładnie są zakażeni, po prostu wykonywałem procedury, które mi przekazano. Chętnie będę współpracował, ale proszę mi nie wciskać tego kitu o martwiczym zapaleniu powięzi. Natomiast zdecydowanie nie będę narzekał, gdybyście się zdecydowali powiedzieć mi, co się tu u diabła dzieje.

- Nawet, jeśli ta wiedza będzie oznaczać odcięcie od świata na wiele miesięcy? - zapytał Amos. - Z alternatywą w postaci rozstrzelania, ponieważ wie pan za dużo?

- Wtedy mógłbym trochę narzekać - przyznał Dan. - Z drugiej strony znajomi zawsze uważali mnie za marudnego.

Skierował w stronę komputera małego pilota i nacisnął jakiś przycisk.

Z ekranu znikło logo sił powietrznych, zastąpione zdjęciem mężczyzny leżącego na oblodzonym chodniku. Leżał przed budynkiem parkingu znajdującym się na zewnątrz. Jego ubranie wisiało na szkielecie. Z luźnego kołnierza sterczała czarna czaszka i coś czarnego pobrudziło chodnik wokół niego.

- To Donald Jewell. Nagrania z kamer ochrony pokazują, że zjechał na parking wczoraj około godziny trzynastej. Była wtedy niezła burza, padał marznący deszcz, więc nikt nie zauważył, jak wysiadał z samochodu. Nie jestem pewien, jak długo ciało tam leżało, zanim ktoś je w końcu zauważył. Przypuszczamy że około dziesięciu minut. Facet, który go znalazł, zadzwonił pod 911. Policja drogowa dotarła na miejsce po piętnastu minutach.

- Dotykali czegoś? - zapytała Margaret.

- Posterunkowy Michael Hamilton użył rękawiczek jednorazowych przy sprawdzeniu pulsu - wyjaśnił Dan. - Ponieważ go nie wyczuł, zdjął rękawiczki, zostawił je na miejscu i nie miał dalszego kontaktu z ciałem. W samochodzie siedziała jeszcze córka. Nie chciała go wpuścić. Zobaczył wrzody na jej twarzy, więc wezwał karetkę. Ich też nie chciała wpuścić do samochodu. Ekipa z karetki wykonała test wymazowy na zwłokach. Mój zespół stacjonował w Detroit, więc CDC nas wezwało. To my wyciągnęliśmy dziewczynę z samochodu.

- Od jak dawna kieruje pan tym laboratorium? - zapytał Amos.

- Trzy tygodnie - odpowiedział Chapman. - Ale prawdę mówiąc jak dotąd nie mieliśmy wiele do roboty. - Wyprostował ramiona, wypiął pierś i odezwał się głębokim głosem: - Niech się pan pobawi sprzętem i czeka na wezwanie. Jeśli nikt pana nie wezwie, to dobrze. Jeśli zadzwonią, proszę się przygotować na wszystko.

Margaret musiała stłumić śmiech. Dan świetnie udawał Murraya Longwortha.

- Doskonale - z podziwem skomentował Amos.

- Dzięki - rzucił Chapman. - Powinniście usłyszeć mojego Gutierrez, powala. W każdym razie po tym, jak załoga pogotowia wezwała CDC, ekipa drogówki kazała

ludziom opuścić parking i go zamknęła. Postąpili zgodnie z zaleceniami, punkt po punkcie. Bystre chłopaki, odwalili kawał dobrej roboty. I zrobili zdjęcia.

Wyciągnął się nad Margaret i dotknął klawiszy na klawiaturze. Na monitorach ściennych pojawiła się sekwencja zdjęć, pokazujących początkowy stan rozkładu Donalda Jewella, stopniowo tracącego coraz więcej ciała.

- No proszę - rzucił Otto. - Ci goście widzieli całkiem sporo. Czy nie powinniśmy się martwić, że będą gadać?

Chapman znowu ściągnął ramiona i wysunął pierś.

- To już zostało załatwione. Rozumieją powagę sytuacji i znaczenie zachowania tajemnicy.

- Mówię poważnie - stwierdził Amos. - To sprawia, że przechodzą mnie ciarki.

- Zaśmiałbym się - dorzucił Otto - gdybym nie był pewien, że Murray ma tu gdzieś kamerę i nas obserwuje.

Dan nerwowo rozejrzał się po pokoju.

- Serio?

Margaret sięgnęła i dotknęła ręki Dana.

- Spokojnie, on żartuje. - A przynajmniej miała taką nadzieję.

- Puść te zdjęcia jeszcze raz.

Dan spełnił jej prośbę.

- Jak często je robili?

- Co piętnaście minut. Dokładnie zgodnie z zaleceniami.

Amos i Margaret wymienili spojrzenia.

- O co chodzi? - zapytał Otto.

- Facet rozłożył się szybciej niż ktokolwiek, kogo spotkaliśmy - wyjaśnił Amos. - Dwa razy szybciej, jeśli nie więcej.

Margaret się skrzywiła.

- A co z innymi? - zapytał Otto. - Mamy nazwiska i adresy wszystkich, którzy tu wtedy byli albo przyjechali później?

Dan przytaknął.

- Policjanci spisali wszystkich, włącznie z tablicami rejestracyjnymi, dokumentami tożsamości, co tylko się dało.

- Clarence - odezwała się Margaret. - Musimy powiedzieć Murrayowi, żeby wysłał agentów do wszystkich tych ludzi. Muszą zrobić test wymazowy.

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział agent. Podszedł do trzeciego stanowiska komputerowego i chwycił telefon.

- Ale Margo - zaprotestował Amos - przecież to nie jest zakaźne.

- Nie z gospodarza na gospodarza - zgodziła się Margaret. - Ale McMillianowie zostali zakażeni później, pamiętasz? Czymkolwiek jest ten wektor, może być trwały, może leżeć na ubraniach czy włosach. A sądząc po tych zdjęciach choroba uległa mutacji, przynajmniej częściowo. Więc na ile wiemy, równie dobrze może być zakaźna.

Amos kiwnął głową.

- Pewnie lepiej przesadzić w tę stronę.

- Wszyscy dokładnie przestrzegali procedur zagrożenia biologicznego - odezwał się Dan. - Traktowaliśmy to, jakbyśmy mieli do czynienia ze szczepem eboli, który może się przyczaić, udać martwego, a potem wskoczyć ci na spodnie, kiedy nie patrzysz. Szczątki pana Jewella leżą w szafce w przyczepie B. Każdy kawałek ubrania w osobnym hermetycznym pojemniku, na wypadek, gdyby były wam potrzebne.

Otto oparł słuchawkę na ramieniu i popatrzył na Amosa.

- Dwadzieścia dolców na to, że doktor Dan wsadził każdą skarpetkę do osobnego pudła.

- Stoi - zgodził się Amos.

Dan się uśmiechnął.

- Nawet podpisałem pudełka ze skarpetkami *lewa* i *prawa*. Przykro mi, doktorze Braun.

- Mów mi Amos, ty niewiarygodnie służbisty i niemożliwie szczegółasty młody człowieku.

Amos wyciągnął z kieszeni spodni poskładaną dwudziestkę i, nie odrywając wzroku od ekranu, podał ją Otto.

Młodemu lekarzowi udało się zrobić wrażenie na Margaret.

- Jak na kogoś, kto nie wie, co się tu tak naprawdę dzieje, odwalił pan kawał świetnej roboty, doktorze Chapman - powiedziała. - Wygląda na to, że jesteśmy gotowi do pracy. Proszę mi jeszcze pokazać zdjęcia szczątków dziewczyny.

Dan popatrzył na nią zdziwiony.

- Nie dostaliście po drodze żadnych raportów?

Margaret pokręciła głową.

- Nie, nakazano nam ciszę radiową. Czemu, coś jest nie tak z trupem córki?

- Ona nie jest trupem, żyje - oświadczył Dan. - Trzymamy ją w celi.

## Jesteś tam, Boże? To ja, Chelsea

Trwała rozmowa.

Jeden z rozmówców unosił się sześćdziesiąt kilometrów nad ziemią, wprost nad schorowanym dębem na podwórku Chuya Rodrigueza.

Drugi z rozmówców siedział na podłodze swojej sypialni. Z lewej strony dziewczynka miała stertę Barbie, Bratz i innych lalek, z prawej leżał podobny, choć mniejszy stosik. Rozmawiając brała lalkę ze sterty po lewej, zdejmowała z niej ubrania, kładła sobie lalkę na kolanach, a potem malowała po niej niebieskim mazakiem.

Malowała małe trójkąty.

Były *bardzo* ładne.

Gdy skończyła ozdabiać lalkę, odkładała ją na stosik po lewej, po czym lewą ręką sięgała po następną.

- Lubisz lody Crunch, Chauncey?

NIGDY ICH NIE JADŁEM. I NIE MÓGŁBYM.

- Och - odpowiedziała Chelsea. - W takim razie co jesz?

Satelita przekierował część mocy obliczeniowej do analizy odpowiedzi na to pytanie. Ponieważ był nieożywiony, miał nieskończoną cierpliwość do jej pytań, co było bardzo dobre, ponieważ i jej pytania wydawały się nieskończone. Najczęściej nie znał na nie odpowiedzi. Satelicie udało się zgromadzić całkiem sporo wiedzy dzięki trójkątom zbierającym informacje od tuzinów ludzkich gospodarzy, ale i tak potrzebował sporo czasu na powiązanie danych z językiem.

JEM GRAWITACJĘ

- Och. Dobra jest?

Satelita spróbował przeanalizować jej użycie słowa *dobry*. To słowo mogło mieć dla ludzi bardzo wiele znaczeń. Mogło oznaczać samookreślenie zdolności do czegoś. Mogło oznaczać działania akceptowane społecznie albo jakiś cel. Satelita poszukał skojarzeń z konsumpcją żywności. Trafił na wiele zapisanych obrazów, rzeczy takich jak pieczony kurczak, czekolada, ciasto, pieczone ziemniaki. Chyba o to jej chodziło. Bez przetworników grawitacji satelita spadłby na Ziemię, więc zastosował właściwą definicję i udzielił odpowiedzi.

TAK, JEST BARDZO DOBRA.

- Aha. Kto jest twoim ulubionym graczem Detroit Pistons?

NIE WIEM.

- Aha. Czy ty jesteś Bogiem, Chauncey?

Orbital wywołał obrazy. Starszy człowiek z dużą białą brodą. Młody człowiek z długimi włosami i krótką, brązową brodą. Świeące głowy. Miłość. Nienawiść. Boska ingerencja w życie ludzi. Kara. Gniew. Zniszczenie. Satelita połączył te obrazy ze skatalogowanymi reakcjami emocjonalnymi i ustalił, że było to coś, co potencjalnie mógł wykorzystać do motywowania gospodarzy.

CZEMU UWAŻASZ, ŻE JESTEM BOGIEM?

- No wiesz, bo możesz mówić w mojej głowie i w ogóle. Ludzie raczej tego nie umieją.

CO MYŚLISZ O BOGU, CHELSEA?

- *Pan Jezus kocha mnie, tak Biblia uczy mnie* - dziewczynka zaśpiewała. - Chodzimy do kościoła prawie w każdą niedzielę poza sezonem futbolu, wtedy czasem nie. Kocham Boga, bo on mnie kocha.

Satelita przywołał kolejne obrazy i przeanalizował sygnały dochodzące z mózgu Chelsea, gdy mówiła o Bogu i Jezusie. Tak, to był bardzo silny motywator.

CHELSEA, GDYBY BÓG KAZAŁ CI ZROBIĆ COŚ ZŁEGO, ZROBIŁABYŚ TO?

Dziewczynka przerwała rysowanie po Barbie. Popatrzyła na ścianę, a właściwie przez nią, przechylając głowę w prawo w zamyśleniu.

- Tata mówił, że Bóg czasem nas sprawdza, ale też nas kocha i nigdy nie poprosi nas o zrobienie czegoś złego. Więc gdyby Bóg poprosił mnie o zrobienie czegoś, to *nie mogłoby być złe, prawda?*

TAK.

- Co tak?

TAK, JESTEM BOGIEM.

- Aha. - To dobrze. A czy mogę dalej nazywać cię Chauncey?

TAK.

Chelsea z powrotem wzięła do ręki lalkę i zaczęła malować niebieskie trójkąty.

- Co wolisz, Chauncey, Snickersy czy Twixy?

Satelita dalej odpowiadał na pytania.



Drzwi do jej pokoju otworzyły się powoli, i do środka wsunęła się głowa mamy.

- Cześć Chelsea, skarbie. Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiedziała dziewczynka. Podniosła kolejną lalkę i zdjęła jej ubranie.

- Co robisz, Chelsea?

- Rysuję trójkąty na lalkach i rozmawiam z Chaunceyem.

- Aha. Z twoim specjalnym przyjacielem Chaunceyem?

- Mhm - potwierdziła Chelsea. Narysowała niebieski trójkąt na czole lalki. Był *bardzo ładny*.

- O czym rozmawiacie?

- Och, no wiesz, o kwiatkach, mojej różowej sukience, które kreskówki są najlepsze, o koszykówce, grawitacji, lodach, o Bogu, laleczkach i...

- Dobrze, skarbie - mama ucięła dziewczynce. Mama trochę się śmiała, choć Chelsea nie wiedziała, co w tym śmiesznego.

- Rozmawiaj sobie z Chaunceyem - stwierdziła mama. - Rysujesz po wszystkich swoich lalkach? Czy to nie jest niezmywalny mazak? Nie zniszcz ich, kochanie.

- Nie niszczę, mam - zapewniła córka. Podniosła do góry lalkę Barbie z włosami blond i niebieskimi trójkątami na rękach, nogach i twarzy tak, żeby mama ją zobaczyła.

- Nie są zniszczone. Teraz są lepsze. *Ładniejsze*.



- No dobrze, złotko - odezwała się mama. - Przyjdź do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dobrze?

- Dobrze, mamusiu.

Mama zamknęła drzwi. Chelsea odłożyła Barbie na kupkę po prawej stronie i wzięła następną lalkę z kupki po lewej.

## Bunt nastolatka

Margaret postanowiła nie płakać.

Miała pracę do wykonania. Jednak patrząc na monitor, patrząc na *twarz* tej biednej dziewczyny...

- *Puście* mnie! - wrzasnęła nastolatka. Szarpnęła słabo za taśmy, ale nie miała szans się wyrwać. Nawet gdyby udało się jej uwolnić z taśm, nie zdołałaby przebić się przez przezroczyste, wzmocnione ściany maleńkiego pomieszczenia.

Kamery zamontowane na zewnątrz celi zapewniały doskonały widok. Białe plastikowe ściany lśniły w świetle wbudowanych w sufit jarzeniówek. Skórzane pasy pewnie mocowały nadgarstki i kostki Betty Jewell do wózka do autopsji. Rozłożona na górze cienka rolka jednorazowej pianki zapewniała odrobinę komfortu, ale wciąż był to stalowy wózek do autopsji, którego nie zaprojektowano z myślą o wygodzie.

- Wstrzyknęliśmy jej WDE-4-11 - wyjaśnił Dan. - To trochę spowolniło proces apoptozy, ale ona wciąż się rozkłada, zwłaszcza wokół zmian na twarzy.

- Musimy natychmiast operować - stwierdził Amos. - Musimy usunąć tę uszkodzoną tkankę i zobaczyć, czy uda się nam całkowicie zatrzymać reakcję łańcuchową.

- Czy przekazała jakiegokolwiek informacje na temat tego, kiedy wystąpiły u niej objawy? - Margaret zwróciła się do Dana. - Co do tej pory powiedziała?

- Ona nie chce z nami rozmawiać. Myśli, że chcemy ją zabić. Wciąż pyta o swojego ojca, ale chyba wie, że on nie żyje. Pyta też o matkę.

- Skontaktowaliście się z jej matką? - zapytała Margaret.

Dan pokręcił głową.

- Nie próbowaliśmy.

- Co to u diabła znaczy: *nie próbowaliśmy*?! - wykrzyknął Amos. - Dziewczyna właśnie straciła ojca. Potrzebuje rodziny.

- Dostałem rozkaz zachować izolację ofiar - oświadczył Dan. - Bez żadnego kontaktu do czasu przekazania odpowiedzialności, co robię właśnie teraz, doktor Montoya.

- No dobrze - zgodziła się Margaret. - Przejęliśmy odpowiedzialność. Zadzwoni do matki dziewczyny.

- Nie - oświadczył Clarence.

Margaret popatrzyła na niego ogłupiała. Mogła zrozumieć Dana, był wojskowym, ale Clarence?

- Clarence - odezwała się Margaret. - Dzwonimy do rodziny tej dziewczyny, i to już.

- Obawiam się, że nie możemy tego zrobić - odpowiedział.

- Przecież ona nie ma trójkątów - zaprotestowała Margaret. - Zdecydowanie coś ma, ale nic się z niej nie wykluje. Nie stanowi zagrożenia.

- Wiesz, że nie możemy być tego pewni - stanowczo odpowiedział Otto. - Sama wielokrotnie mówiłaś mi, że choroba może się zmienić, może się stać zakaźna. Skąd możemy wiedzieć, że to właśnie nie jest następny krok?

Margaret nie wiedziała, co odpowiedzieć - używał przeciw niej jej własnych słów.

Amos dźgnął palcem w monitor.

- W tej klatce siedzi *obywatelka Ameryki*. Tak, w *klatce*. Do diabła, przecież ona ma jakieś *prawa*.

Otto pokręcił głową.

- Nie, w tej chwili nie ma. Jeśli skontaktujemy się z jej matką, natychmiast obskoczy nas prasa.

- *Prasa?! -* krzyknął Amos. - *Martwisz się o prasę? Słuchaj no, ty pieprzony dup...*

- Amos, przestań - wtrąciła się Margaret. - On ma rację. Dziewczyna może zakażać.

Amos popatrzył na nią, jakby oszalała.

- Oczywiście, że może zarażać - zgodził się. - Dlatego właśnie trzymamy ją w pieprzonej celi z ochroną biologiczną. Co nie zmienia faktu, że to przerażona nastolatka. Potrzebuje rodziny. Możemy ściągnąć jej matkę, a potem trzymać ją pod nadzorem, czy cokolwiek.

- On ma rację również co do dziennikarzy.

- Co ci się stało, Margaret? - wykrzyknął Amos. - Jesteś *lekarzem*. Pamiętasz takie hasło, *primum non nocere*?

Margaret przelknęła ślinę. Te słowa po łacinie znaczyły „po pierwsze nie szkodzić”. Tak naprawdę nie była to część Przysięgi Hipokratesa, ale i tak włączano je do głowy każdego studenta medycyny.

- Tak, pamiętam. Pamiętam też inne słowa po łacinie, te, które znaleźliśmy namalowane w sypialni Kieta Nguyena. W tamtym domu z mnóstwem martwych studentów. *E unum pluribus*. Pamiętasz to?

Amos nie odpowiedział. Odwrócił wzrok.

- Co to znaczyło, Amos? Przypomnij mi.

- To znaczy „z jednego wiele” - odpowiedział cicho.

- To znaczy, że będziemy wypełniać rozkazy - oświadczyła Margaret. - Nie zadzwonimy do rodziny tej dziewczyny. Ubierz się, wejdziemy tam i spróbujemy z nią porozmawiać.



Rozkładany tunel łączył przyczepę B z pokojem sekcyjnym w przyczepie A przez hermetyczne drzwi. Margaret patrzyła, jak kontrolka nad drzwiami zmienia kolor z czerwonego na zielony. Amos pociągnął zasuwę i otworzył drzwi na zewnątrz, odsłaniając korytarzyk długości niewiele ponad metra i podobne drzwi po drugiej stronie. Musieli zamknąć zewnętrzne drzwi, by otworzyć wewnętrzne - po pierwsze dlatego, że tak skonstruowano służbę, po drugie dlatego, że i tak nie było w niej dość miejsca na otwarcie obu.

Kiedy trzeba będzie ruszyć Margo Mobil, wbudowane dysze zmyją wnętrze tunelu mieszaniną ługu i chloru. Następnie Gitsh i Marcus złożą tunel z pomostem do klamr wewnątrz przyczepy B, zamkną zewnętrzne drzwi i Margo Mobile znów odstawi Halinę Frąckowiak - będzie gotowy do drogi.

Wyszła na pomost. Amos zamknął za nią drzwi. Kontrolka nad drzwiami przyczepy B zmieniła kolor z czerwonego na zielony. Margaret otworzyła te drzwi i oboje weszli do środka. W odległości metra wznosiła się ściana celi Betty.

Widząc ruch dziewczyna podniosła głowę i serce Margaret niemal pękło na pół.

Z lewej strony twarzy dziewczyny ziały trzy olbrzymie, czarne wrzody. Jeden mieścił się na jej kości policzkowej, drugi u podstawy żuchwy, trzeci na skroni. Ten ostatni zachodził na ciemne włosy, które kiedyś musiały być piękne. Teraz do jej twarzy, czoła i stołu lepiły się ich mokre pasma.

Rozkładające się czarne dziury na jej twarzy były zdecydowanie najgorsze, ale nie były jedyne – resztę ciała szpeciły przynajmniej dwa tuziny mniejszych wrzodów. Okropnie wyglądały jej ręce, z połową skóry pomarszczoną, czarną i ociekającą, z palcami niczym nowoczesna rzeźba z mokrych rodzynek. W żyły na jej stopach, które stanowiły jeden z niewielu nietkniętych obszarów ciała, wprowadzono igły kilku kroplówek.

Dziewczyną wstrząsało łkanie. Choć leżała unieruchomiona już od jakichś szesnastu godzin, wciąż nie brakowało jej łez.

Margaret i Amos podeszli do przejrzystej ściany. Ekran dotykowy zamontowany na ścianach pełnił funkcję bezprzewodowego interfejsu do wszystkich systemów zainstalowanych w celi. Można go było użyć także do wywołania awaryjnej sterylizacji, będącej ostatnim aktem rozpaczy. Wystarczyło wystukać na klawiaturze numerycznej #-9-2-2-4-5, by każdy centymetr sześcienny obu przyczep wypełniła mieszanka chloru i ługu.

Margaret nacisnęła przycisk włączający system łączności wewnętrznej, dzięki któremu będą słyszeć Betty w słuchawkach, a ich głosy będą przekazywane do głośników wewnątrz celi.

- Dzień dobry, Betty - zaczęła Margaret.

Dziewczyna na chwilę przerwała łkanie, jednak tylko na tyle, by niepewnie wciągnąć pełne płuca powietrza.

- Puśćcie mnie!

- Nie możemy - odpowiedziała Margaret. - Jesteś ciężko chora.

- *Bez pieprzonych jaj, cholerne dupki, jasne, że jestem chora!* To wy mi to zrobiliście? Proszę, chcę do taty. I do mamy. Proszę!

- Twój tata nie żyje - poinformował Amos.

Margaret szybko wdusiła przycisk, wyłączając interkom.

- Co ty robisz, Amos?

- Mówię jej prawdę.

Margaret miała ochotę walnąć go w twarz.

- Amos, musimy skłonić tę dziewczynę do mówienia, a nie wpychać ją głębiej w histerię.

- Mam nastoletnią córkę, Margaret. Ty nie. Więc zamknij się, do cholery.

Amos przybrał zimny wyraz twarzy, jakiego Margaret jeszcze u niego nie widziała. Wyraźnie brał to wszystko do siebie, przenosząc sytuację Betty na swoje dziecko. Sięgnął do przycisku i włączył głośniki celi.

- To prawda, Betty - oświadczył Amos. - Twój tata nie żyje. Bardzo mi przykro.

Do Margaret dotarło, że Betty już nie krzyczy. Po zniszczonej twarzy dziewczyny wciąż ściekały łzy, ale w jej oczach pojawiły się też przebliski przytomności.

- Tatuś... nie żyje? *Zabiliście go?*

- Umarł na parkingu, zanim ktokolwiek zdołał go zobaczyć - wyjaśnił Amos. - Zanim mogliśmy mu pomóc.

Jej ciałem wstrząsnęło pojedyncze łkanie, po czym dziewczyna znieruchomiała.

- Ale jestem tu już strasznie długo - powiedziała dziewczyna, wyraźnie tłumiąc łkanie. - Czemu nikt mi tego, do cholery, nie *powiedział?*

- Bo myśleli, że nie zdołasz sobie z tym poradzić - wyjaśnił Amos. - Traktowali cię jak dziecko. Przepraszam za to, teraz to my się tobą zajmujemy, doktor Montoya i ja. Jestem doktor Amos Braun.

- Co... co się ze mną dzieje?

- Jesteś ciężko chora - powtórzył Amos. - Masz to samo, co zabiło twojego tatę. Nie wiemy, czemu u ciebie choroba rozwija się wolniej.

- Czemu mi to robicie?

- Próbuujemy cię uratować - zapewnił Amos. - Ale najpierw musimy zadać trochę bardzo ważnych pytań. Skąd jechaliście z tatą?

- Wypuście mnie - cicho poprosiła Betty. - Nie jestem tym, kogo szukacie, przysięgam. Proszę, *proszę*, nie zabijajcie mnie.

- Wcale nie próbujemy cię zabić, Betty, my...

- *Poderżnę ci gardło, ty pierdolony skurwysynu!* - Tak mocno szarpnęła unieruchamiającymi ją taśmami, że ciężki wózek zadygotał. - *Puśćmniepuśćmniepuść!*

- Musimy ją uspić, Amos - stwierdziła Margaret. - Ma reakcje paranoidalne.

Amos ją zignorował. Na jego twarzy rysowało się cierpienie i głęboka potrzeba uspokojenia dziewczyny. Czy widział przed sobą Betty Jewell, czy też własną córkę, gnijącą, przerażoną i przywiązaną do wózka do autopsji?

- Skąd jechaliście? - zapytał. - Musimy wiedzieć, gdzie byliście.

Betty popatrzyła na niego z nienawiścią i przerażeniem w szeroko otwartych oczach. Wrzasnęła, wkładając w to całą siłę i powietrze w płucach. Przerwała tylko po to, by nabrać powietrza, po czym znowu wróciła do wrzasku.

- Proszę - znowu próbował Amos. - Przestań, próbujemy ci pomóc.

- Dość tego, Amos - zdecydowała Margaret. Sięgnęła do panelu sterowania i nacisnęła przycisk, co spowodowało dodanie 50 miligramów propofolu do jednej z kroplówek podpiętych do stóp dziewczyny. Amos oparł się dłońmi w rękawicach o szklaną ścianę. Razem z Margaret w ciszy patrzyli, jak krzyki Betty powoli słabną, gasną i w końcu ustają.

- Jest nieprzytomna - oświadczyła kobieta.

- Zabierzmy ją do przyczepy A - poprosił Amos. - Chcę natychmiast operować.

## Mieszane uczucia

Sieć neuronowa rozciągała się przez płat czołowy Betty, ale wciąż była bardzo cienka. *Zbyt* słaba, by wysłać sygnał. Potrzebowała więcej połączeń.

Pełzacze Betty od wielu godzin walczyły z reakcją łańcuchową rozkładu, starając się dotrzeć do mózgu. Podawany dożylnie preparat WDE-4-11 okazał się być ich zbawieniem – w połączeniu z własnymi blokerami apoptozy, przyhamował rozkład zanim ten rozprzestrzenił się na tyle, by uniemożliwić im przemieszczanie się.

W czasie, gdy Margaret i Amos przewozili Betty przez rozkładany tunel do pokoju sekcyjnego, część z włókien mięśniowych dotarła do środka jej mózgu, rozpadła się na kawałki i utworzyła kulkę. O ile kula w mózgu Chelsea miała blisko tysiąc mikrometrów średnicy, ta w głowie Betty ledwie sięgała sześciuset, czyli niewiele ponad połowę tamtej średnicy.

Jednak wystarczyło to do wysłania słabego sygnału.

I uzyskania odpowiedzi.

Sygnał zwrotny nie był przeznaczony dla pełzaczy. Wysłano go do gospodarza.

Pozostałe pełzacze przerwały produkcję odczynnika hamującego rozkład i zaczęły zalewać mózg Betty neuroprzekaznikami.

Musiały ją obudzić, by mogła odebrać przeznaczony dla niej sygnał.

## Otwarte drzwi Cheffiego

Ni deszcz, ni śnieg, ni żar, ni mrok nie powstrzymają kurierów od szybkiego pokonania wyznaczonej trasy.

Zdanie to zostało napisane przez Herodota i dotyczyło służby kurierskiej antycznego Imperium Perskiego. Wielu ludzi błędnie uważa, że jest to motto Poczty Stanów Zjednoczonych. Zdanie to *faktycznie* zostało wykute nad pocztą imienia Jamesa Farleya w Nowym Jorku, ale nie jest oficjalnym hasłem.

Niezależnie od tego, John Burkle uważał, że to doskonały opis prowadzenia białej furgonetki pocztowej przy minus dwudziestu pięciu stopniach poniżej zera w towarzystwie wiatru rzucającego przez drogę chmury śniegu z prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Kto jeździ w taką pogodę?

Listonosze. O.

Wjechał prawym kołem furgonetki na zamrożone błoto przed domem Franklinów. Wczoraj była to błotnista kałuża pełna kawałków brązowego lodu, bo przez dwa dni było plus dziesięć. Jeśli nie odpowiada ci pogoda w Michigan...

John wcisnął pocztę dla Franklinów w metalową skrzynkę, po czym podjechał do następnego domu. W tych okolicach domy stały w zdrowych odstępach, oddzielone solidnymi trawnikami. Następny dom należał do Cheffiego Jonesa. Cheffie zawsze miał trochę nierówno pod sufitem. Podobno uderzył się w głowę w jakimś wypadku w pracy, czy coś podobnego. Trzymał się z dala od innych. Niestety miał też mnóstwo czasu, by kupować różności na eBayu: John wsadził do dużej skrzynki Cheffiego aż cztery pudełka. Czasami Cheffie wychodził odebrać pocztę osobiście i się przywitać. John popatrzył w stronę domu, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Wsiadł już do furgonetki i zaczął odjeżdżać, gdy nagle się zatrzymał i obejrzał.

Czy naprawdę zobaczył otwarte drzwi?

Rzeczywiście. Był dobre trzydzieści metrów od nich i nie widział wyraźnie, ale miał wrażenie, że drzwi blokuje coś pokrytego śniegiem.

Minus dwadzieścia pięć i otwarte frontowe drzwi.

John wyłączył silnik furgonetki, sięgnął do torby i wyciągnął taser. Mógł mieć do czynienia z włamywaczem. Czy Cheffie miał psa? John nie pamiętał. Musiał pilnować swojego harmonogramu, ale nie czułby się dobrze ignorując otwarte drzwi przy takiej pogodzie. Ostrożnie zbliżył się do domu.

- Cheffie?! - zawołał. W tych okolicach człowiek zdecydowanie nie chciał cicho podchodzić do cudzego domu. W północnym Michigan ludzie bardzo poważnie traktowali prawo do samoobrony. Trzeba było narobić dużo hałasu i z daleka dać znać, że się zbliża, żeby nie być uznanym za złodzieja - jeśli pan domu był trzeźwy - albo za jelenia, jeśli przesadził z alkoholem.

Drzwi były otwarte na jakieś dwadzieścia centymetrów, a pod cienką warstwą śniegu leżało coś długiego i cienkiego, uniemożliwiając ich zamknięcie. John podszedł na werandę, by uważniej się przyjrzeć.

To była ręka.

A w zasadzie czarny szkielet ręki.

Pomimo grubej warstwy ciepłej, zimowej odzieży w niebieskim kolorze poczty John Burkle dobiegł do swojej furgonetki w czasie, który zapewniłby mu miejsce na olimpiadzie.



## Twarz Betty Jewell

Betty Jewell wybrała na obudzenie się najgorszy możliwy moment w historii ludzkości.

Ile istnieje rodzajów bólu? Poród to pestka.

NIE RUSZAJ SIĘ.

Nie wiedziała, skąd dochodzą te słowa. Nie przez uszy. Uszami docierały do niej metaliczne stuki instrumentów i stłumione głosy kobiety i mężczyzny. Te głosy łączyły się z jednym z nowych smaków.

Na miłość Boską, oni cięli jej *twarz*. Agonia, czyste piekło, ale czy było to gorsze od ognia palącego jej całe ciało? Cholera, czy w ogóle miało *znaczenie*, który ból jest gorszy? Razem wystarczyły, by mogła przystawić pistolet do ust i pociągnąć za spust, gdyby tylko oznaczało to koniec bólu.

MUSISZ URATOWAĆ SWOJĄ DUSZĘ, BETTY.

Duszę? A nie mogła wybrać twarzy? Dusza nie jest potrzebna na zdjęcia do tablo.

Och *bosz*, jak bolało, ile *bólu*.

ZABIJ ICH, BETTY. ZABIJ LUDZI, KTÓRZY SPRAWIAJĄ CI BÓL, A WTEDY BÓL ZNIKNIJE.

Ten głos. Taki piękny. Czy to głos Boga? Jeśli nie, jak inaczej mogłaby go słyszeć? Jednak tak naprawdę nie miało znaczenia, kto do niej mówi, ponieważ głos obiecał, że ból ustąpi.

A za to Betty mogła zrobić wszystko.

Jej prawy policzek opierał się na twardej poduszce. Położyli ją na prawym boku, z lewą ręką wyciągniętą do tyłu, wciąż w mankiecie. Mężczyzna i kobieta pochylali się nad nią, niszcząc jej *twarz*, jej prześliczną *twarz*. Czuła, jak ją tną.

Które z nich sprawiało jej taki ból? Doktor Braun? Ta meksykańska suka? To nie miało znaczenia, robili to razem. I razem *zapłacą*.

Powoli otworzyła prawe oko. Zobaczyła tylko błękit. Musieli zakryć jej *twarz* chustą, czy czymś takim. Miała wrażenie, że chusta osłania również jej lewe oko... Czy mogła je otworzyć? Zdecydowała się tego nie robić. Miała przewagę tylko tak długo, jak długo sądzili, że jest nieprzytomna. Czymkolwiek była ta chusta, nie sięgała aż do powierzchni stołu. Betty patrząc w dół, prawym okiem sięgała wzrokiem pod brzegiem chusty aż do prawej ręki, aż do skórzanego mankietu, który ją unieruchamiał.

Bardzo powoli poruszyła lewą nogą. Odpięli ją z tej strony, by móc ją obrócić na bok.

Ponieważ całym ciężarem opierała się na prawej ręce, nie mogła jej ruszyć nie poruszając przy tym całym ciałem, ale mogła przesunąć lewą rękę, jeśli tylko zrobi to bardzo, *bardzo* powoli.

Tylko odrobinę na raz, powoli, równomiernie i stopniowo zwiększając nacisk.

- To nie ma sensu - odezwał się mężczyzna. Gumowy strój tłumiał jego głos, ale i tak mogła zrozumieć słowa. Brzmiał, jakby mówił bardzo blisko, jakby nachylał się tuż nad jej przykrytą *twarz*ą.

- Ona nie ma trójkątów - powiedział. - Nie ma też tych kolorowych włókien z choroby Morgellonów. Więc co powoduje tę rozległą śmierć komórkową?

Betty nie przestawała ciągnąć. Bolało. Nowy smak dodany do palety deserów. Poczła, jakby coś się oderwało. Bezdźwięcznie kontynuowała ciągnięcie, dalej przykładała stały nacisk. Skóra powoli zsunęła się jej z dłoni, pozwalając wyciągnąć rękę ze skórzanej obejmy niczym zsuwając czarną rękawiczkę. Czła, jak kawałki zniszczonej skóry zbierają się na drugim końcu obejmy. Wiedziała, że powinna być przerażona, ale na to było już za późno.

Bóg pomagał tym, którzy pomagają sobie sami.

Musiała *działać*.

Bez skóry trudno jej będzie cokolwiek utrzymać, wszystko będzie śliskie. Musiała to zrobić prawidłowo.

- Popatrz na to, Margaret! - wykrzyknął mężczyzna. - Ja... O Boże, coś widzę. Coś się tu *rusza*, coś bardzo małego. Załóż lupę i popatrz.

Użył imienia Boga nadaremno. Grzesznik. Betty usłyszała skrzypienie gumowego kombinezonu, gdy kobieta podchodziła, by stanąć obok mężczyzny.

- Co to u diabła jest, Amos? - Głos kobiety. Też przed nią, też nachylającej się nad jej twarzą. - To wygląda jak... jak komórka nerwowa.

- Niesamowite. - Mężczyzna. - Widać, jak się porusza. Trudno stwierdzić przy tych wszystkich uszkodzeniach, ale mam wrażenie, że pełźnie wzdłuż nerwu V3 do mózgu.

Dłoń Betty całkowicie wysunęła się do skórzanej obejmy. Nie wyciągnęła jej, jeszcze nie, ale mogła to zrobić w każdej chwili.

- Wytnij to stamtąd - poleciła kobieta. - Może to właśnie to powoduje rozkład. Jeśli to usuniemy, może uda się nam ją ustabilizować.

- Podaj mi proszę szalkę - powiedział mężczyzna. - Pełznące organellum wyizolowane. Obserwuję. Obiekt rozpada się na mniejsze kawałki... Margaret, *patrz!* Te kawałki wyglądają prawie jak... włókna mięśniowe. One... ruszają się samodzielnie.

- Znajdź jeszcze jedno - poleciła kobieta. - Nagrajmy te dwa obok siebie.

Betty czekała. Dotrwała do chwili, gdy poczuła, jak skalpel ponownie zagłębia się w jej ciało, poczekała, aż poczuje, jak trafia w jej kość policzkową.

Czekała na to, by wiedzieć, gdzie *dokładnie* jest.

Trzymając ciało i głowę tak nieruchomo, jak tylko mogła, Betty Jewell wysunęła rękę z obręczy.



Margaret przyglądała się technice stosowanej przez Amosa, który sprawnymi, delikatnymi ruchami wycinał gnijące ciało, szukając kolejnego pełznącego nerwu.

Założone na czoło i opuszczone na oczy silnie powiększające gogle umożliwiały zdumiewająco szczegółowy wgląd w otwartą ranę Betty, powiększając krajobraz naczyń krwionośnych, mięśni, żył, kości i czarnej zgnilizny. I coś ruszającego się pośród tego wszystkiego. Coś *małego*. Przypominające dendryty ramiona rozciągały się jak nibynóżki ameby. Ramiona skurczyły się, podciągając korpus do przodu i ciągnąc za nim ogonek.

Tak jak zamocowana na kasku kamera, gogle powiększające nagrywały wszystko, co obserwowano. Sądząc po tempie rozkładu, obejrzenie nagrania może stanowić jedyny sposób na przestudiowanie tych paskudztw, ponieważ wyraźnie nie miały szans zostać na dłużej.

Podobnie jak Betty, chyba że zrobią coś przełomowego.

- To w ogóle nie przypomina tego, co widzieliśmy u Dawseya - skomentowała Margaret. - Chyba że to jakieś stadium larwalne, które znikło, zanim do nas trafił.

- Nie mam pojęcia - przyznał Amos. - Czekaj, tu jest jeszcze jedno. Popatrz, pełnie wzdłuż nerwu doprowadzającego. Spróbuję to wypreparować.

Przyglądała się uważnie. Skalpel Amosa tańczył wokół drugiej plamy zgnilizny, wycinając ją w eleganckim okręgu.

Potem błysk czerwieni. Jakiś ruch, coś, co przez silnie powiększające gogle wyglądało na olbrzymie. Ten nagły ruch, wrażenie czegoś lecącego w jej twarz sprawił, że Margaret odruchowo odskoczyła.

Usłyszała trzask i charkot.

Margaret szybkim ruchem uniosła rękę, zrzucając z głowy powiększające gogle.

Betty Jewell usiadła.

Nie do końca - jej prawa ręka nadal była unieruchomiona w mankiecie, ale lewą, zakrwawioną i pozbawioną skóry dłonią trzymała skalpel Amosa.

Odziana w rękawicę ręka Amosa gorączkowo sięgała do osłoniętego kombinezonem gardła, próbując rozszarpać czarne PCW. Wnętrze jego wizjera zachlapała krew. Jej krople ściekały po czarnej zewnętrznej powierzchni kombinezonu.

Wypływały z dziury na gardle.

Cofnęła się o pół kroku. Betty znowu wychyliła się ze skalpelem, przez unieruchomioną prawą rękę niezgrabnie i chwiejnie, jednak skalpel i tak rozciął kombinezon Amosa, tuż nad lewym mięśniem piersiowym.

Betty szykowała się do kolejnego ciosu.

Margaret chwyciła ramiona Amosa i szarpnięciem odciągnęła go od stołu. Pociągnęła za mocno, jak na tak ograniczoną przestrzeń - uderzyli w ścianę kontenera i upadli na podłogę. Amos wylądował na gorze. Mężczyzna kopał gorączkowo i wciąż próbował sięgnąć do gardła, palcami w rękawicach starając się rozzerwać rozcięcie kombinezonu, ale śliskie od krwi tworzywo nie pozwalało mu dobrze złapać.

- Amos! Zejdź ze mnie! - Margaret na zmianę pchała i ciągnęła drobnego mężczyznę, próbując uwolnić nogi.

Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Betty wsuwa kolana pod ciało. Dziewczyna podniosła się, klękając na wózku do autopsji, z prawą ręką wciąż unieruchomioną przez skórzany pas. Przechyliła się w jego stronę, po czym sięgnęła pozbawioną skóry lewą dłonią i przejechała ostrzem nad nadgarstkiem.

- O Boże... - wyszeptała Margaret.

Betty szarpnęła do tyłu, równocześnie wykręcając się w prawo i napierając całym ciałem.

Jej prawa ręka wysunęła się z mankietu. Kawał zsuniętej skóry spadł na podłogę z mokrym plaśnięciem. Impet sprawił, że dziewczyna spadła z lewej strony stołu i uderzyła o podłogę, rozpryskując krew po całej salce sekcyjnej.

Amos ruszał się coraz wolniej.

Margaret zdołała wreszcie uwolnić spod niego nogi. Zepchnęła Amosa i wstała, opierając się plecami o ścianę kontenera.

Betty oparła się prawym ramieniem o zlew i podniosła się z podłogi na chwiejnych nogach. Krew ściekała po fartuchu, który osłaniał jej nagie ciało. Prawą stronę twarzy miała prawie całkowicie wyciętą, z czarno-białą kością policzkową prześwitującą spośród czerwonych smug i kawałków galaretowatej zgnilizny, wciąż trzymających się resztek skóry.

Margaret tylko na nią patrzyła. Nie potrafiła się poruszyć. Chciała uciekać, krzyczeć, ale nie potrafiła nawet wciągnąć powietrza.

Z pozbawionych skóry palców Betty kapała krew. Dziewczyna w lewej dłoni wciąż trzymała skalpel, bardziej podtrzymując go niż ściskając, próbując utrzymać pewny chwyt stali odsłoniętymi, śliskimi od krwi mięśniami.

Uśmiechnęła się. Oczywiście tylko lewą połową twarzy, bo nie miała już mięśni z prawej strony.

- Ty *sifko* - wybełkotała. - Zoaszmy, jak ci się to spodoba.

Przesunęła stopy, próbując zachować równowagę, zostawiając krwawe ślady na białej podłodze.

Od Margaret oddzielał ją tylko wózek do autopsji. Betty opuściła prawą rękę i odsunęła go z drogi. Po skończeniu ruchu podniosła rękę, ale jej palec wskazujący został na miejscu, przyklejony do wózka w masie czerwono-czarnej, gnijącej tkanki.

Betty znowu się uśmiechnęła.

Stała tylko metr od Margaret.

Zrobiła niepewny krok do przodu.

Lekarka wciąż nie potrafiła zmusić mięśni do ruchu, nawet do najdrobniejszego. Wreszcie udało się jej chrapliwie wciągnąć powietrze, po czym wypuściła je w krzyku, brzmącym niemożliwie głośno wewnątrz hełmu.

Jednak nie tak głośno, by stłumić wystrzał.

Prawa strona głowy Betty, ta nieuszkodzona, eksplodowała w kraterze wielkości pięści, tryskając krwią, mózgiem i kością na tylną ścianę kontenera i do zlewu. Dziewczyna upadła jak marionetka, której ucięto sznurki.

- Margaret!

Stłumiony głos Clarence'a.

- Nic ci nie jest, Margaret? Pocięła cię?

Obróciła się w stronę głosu. Otto miał na sobie czarny strój chroniący przed zagrożeniem biologicznym, a za jego plecami stali Gitsh i Marcus, również w kombinezonach. W osłoniętej rękawiczką dłoni Clarence ścisnął dymiący pistolet. Ukłękł przy niej, kierując broń w dół i od niej.

Gitsh trzymał w prawej ręce nóż, dużo większy od skalpela Betty. Błyskawicznie rozciął kombinezon Amosa, rozpruwając go na piersi i przy szyi. Z rozcięcia połała się

krew, jakby ktoś wykręcił przemoczony ręcznik, zalewając podłogę i stopy Gitsha, który nachylił się, by ucisnąć ranę. Marcus chwycił nogi Amosa.

- Połóżmy go na stole, Clarence - rzucił. - Ma rozciętą tętnicę szyjną. Gitsh, uciskaj ją. Margaret, ściągnij mu hełm!

Nie do końca świadoma Margaret wstała i zaczęła ściągać hełm Amosa. Osłonięte rękawiczkami dłonie Gitsha wciąż uciskały szyję Amosa. Krew zalewała twarz małego doktora, skleiała mu włosy i zebrała się w oczach.

W otwartych oczach.

Popatrzyła na rękawice Gitsha. Spomiędzy jego palców nie wyciekała krew.

*Amos.* Margaret nagle odzyskała zdolność myślenia.

- Róbcie dokładnie to, co powiem - poleciła. - Gdy doliczę do trzech, zabierz ręce, a potem przygotuj się nacisnąć ponownie, gdy tylko powiem *już*. Raz... dwa... *trzy*.

Anthony Gitsham cofnął dłonie o kilkanaście centymetrów, trzymając je w pogotowiu, by móc znowu uciskać ranę.

Wszyscy patrzyli na rozcięcie.

Żadnej krwi.

Skalpel wbił się tuż z prawej strony tchawicy Amosa i przejechał na zewnątrz, rozcinając cały prawy bok szyi.

Nie mogła sprawdzić mu pulsu nie zdejmując rękawiczek, ale nie musiała.

Amos Braun już nie żył.

## Całuski!

Chelsea bardzo powoli przekręciła gałkę. Nie wydała przy tym żadnego dźwięku, podobnie jak chwilę później, przy odchyłaniu drzwi. Zakradła się do sypialni rodziców. Tata chrapał jak zwykle. Czasami mama szła przez to spać na kanapę, ale nie dzisiaj. Musiała być zmęczona.

Kiedy tata chrapał, zawsze miał przy tym otwarte usta. Zabawnie wyglądał. Mama spała z zamkniętą buzią.

Chelsea będzie musiała coś na to poradzić.

Na paluszkach podeszła do łóżka, bosymi stopami praktycznie nie wydając żadnego dźwięku na dywanie. Mama chciała, żeby poszła do doktora? Doktora, który zawsze robił jej niemiłe rzeczy? Tego, który miał *igły*? Teraz to Chelsea rządziła. Tak powiedział Chauncey. I mama nie będzie jej już do niczego zmuszała.

Chelsea stanęła przy łóżku, patrząc na mamę. Miała taką śliczną twarz.

Chelsea wyciągnęła palec wskazujący i kciuk, po czym powoli i ostrożnie zacisnęła nos mamy. Nie na tyle, by mama to poczuła, ale dość, by zablokować dopływ powietrza. Przez kilka sekund nic się nie działo, a potem mama otworzyła usta, energicznie wciągając powietrze. Chelsea puściła nos mamy i opadła na podłogę, leżąc płasko przy brzegu łóżka. Gdyby mama się obudziła, mogłaby wyjrzeć za skraj łóżka i zobaczyć tam córkę.

Chelsea czekała, ale mama się nie ruszała. Trudno było jej powstrzymać chichot.

Dziewczynka powoli podniosła się na kolana, potem stanęła bardzo cicho, jak w filmach ze zwolnionym tempem. Jej głowa podnosiła się do góry, aż wyjrzała powyżej brzegu łóżka.

Mama dalej trzymała otwarte usta i zamknięte powieki.

Oddychała powoli.

Mama spała.

ZRÓB TAK, ŻEBY SŁUCHAŁA – powiedział Chauncey.

Chelsea kiwnęła głową. Powoli przesunęła głowę do przodu. Znowu znieruchomiała na kilka sekund sprawdzając, czy mama się obudzi.

Tysiąc jeden... tysiąc dwa... tysiąc trzy...

*Czy jesteś na to gotowa, mamo, czy nie, mam prezent.*

Chelsea ustawiła usta nad ustami mamy i wsunęła do środka swój język. Jego czubek dotknął języka mamy. Rozległ się cichy, trzeszczący dźwięk i doznała uczucia, jakby liznęła musującej oranżady w proszku. Chelsea szybko schowała język i znowu padła na podłogę, tym razem wciskając się pod łóżko mamy i *tak bardzo* starając się nie śmiać.

– Oszcz – powiedziała mama. Dziewczynka poczuła, jak łóżko się porusza, gdy mama się obudziła i szybko usiadła. Wydała dźwięk, jakby równocześnie kaszlała i próbowała płuć. Łóżko zaskrzypiało pod gwałtownymi ruchami mamy.

– Aua! – prawie krzyknęła mama. – Moe usta!

– Skarbie? – rozespanym głosem odezwał się tato. – Wszystko w porządku, skarbie?

– Nie, pieche mnie w ustach!

- Zjadłś coś?

- Nie, pszechesz spaam!

Nawet czując pieczenie w ustach mama potrafiła zrobić głosem coś takiego, że tatuś wydawał się przy tym bardzo głupi.

- Spokojnie, pewnie ci się odbiło kwasem, czy coś takiego. Atak zgagi.

- Aua! - znowu krzyknęła mama. - O ooli.

- Idź wypłucz usta płynem - zasugerował tata. - I weź coś na żołądek.

Chelsea poczuła, że łóżko znowu się rusza. Leżała bardzo nieruchomo. Stopy mamy wylądowały na podłodze i powędrowały w stronę łazienki. W łazience zapaliło się światło, a po chwili drzwi do niej się zamknęły, zostawiając tylko obramowany światłem zarys drzwi.

Chelsea poczuła, że łóżko znów się porusza, a dwie sekundy później tata znowu chrapał. Rety, był w tym naprawdę *dobry!* Ugryzła się w rękę, żeby opanować gwałtowny atak chichotek. Tata był taki *śmieszny!*

Chelsea Jewell wysunęła się spod łóżka i cicho pobiegła do drzwi sypialni. Wyszła na korytarz, ostrożnie zamykając za sobą drzwi i po paru sekundach znalazła się z powrotem w swoim łóżku.

- Zrobiłam to, Chauncey! - wyszeptwała. - Zrobiłam!

TERAZ JUŻ NIE KAŻE CI IŚĆ DO DOKTORA - odpowiedział Chauncey. - A JUTRO TO TY BĘDZIESZ RZĄDZIĆ.

- Naprawdę?

NIE MUSISZ MÓWIĆ NA GŁOS, ŻEBYM CIĘ USŁYSZAŁ - stwierdził Chauncey. - JEŚLI MOCNO SIĘ SKUPISZ, USŁYSZĘ TWOJE MYŚLI.

Chelsea pisnęła cicho i ukryła twarz w poduszce. Chauncey *był* wyjątkowy.

- Naprawdę?

SPRÓBUJ. POWIEDZ MI, JAKI JEST TWÓJ ULUBIONY KOLOR.

Chelsea opanowała chichot i spróbowała się skupić, cokolwiek to znaczyło. Lubiała różowy. Ale niebieski też był ładny, i miała te jasnoniebieskie skarpetki z brązowymi paskami, które tatuś kupił jej podczas ostatniej podróży, a potem...

SKUP SIĘ - przypomniał Chauncey. - TWOJA GŁOWA JEST PEŁNA MYŚLI. MYŚL TYLKO O JEDNEJ RZECZY.

Chelsea odetchnęła głęboko. Zamknęła oczy i *pomyślała*.

RÓŻOWY.

Otworzyła oczy i popatrzyła na sufit. Chauncey *naprawdę* potrafił słyszeć myśli? Skoro tak, to *musiał* być Bogiem.

- Udało ci się, Chauncey.

TO WYBIERZ SWOJĄ ULUBIONĄ LICZBĘ.

Kiwnęła głową i zamknęła oczy. Kiedy pomyślała o liczbie, uśmiechnęła się i mocno się skupiła.

JEDEN.

Chelsea wcisnęła twarz w poduszkę i pisnęła z zachwyty.

BĘDZIE CORAZ ŁATWIEJ, IM CZĘŚCIEJ BĘDZIESZ TO ROBIĆ - oświadczył Chauncey. - A TERAZ ŚPIJ. JUTRO BĘDZIE WAŻNY DZIEŃ.

*Dobranoc, Chauncey* – Chelsea pomyślała najgłośniej, jak mogła. Obróciła się na bok i zamknęła oczy.

Fajnie było mieć specjalnego przyjaciela.



# DZIEŃ PIĄTY

## Inwazja

Jak wiele stanowisk, bycie prezydenckim człowiekiem od nieoficjalnego załatwiania trudnych spraw miało swoje wady i zalety. Tajny budżet? *Zaleta*. Obserwowanie, jak najpotężniejsi ludzie w Waszyngtonie robią wszystko, co się im każe? *Zaleta*. Spotkania w Gabinetcie Ovalnym, gdzie było się w środku uwagi? *Zaleta*.

Takie samo spotkanie o trzeciej w nocy, żeby przekazać złą wiadomość?

To raczej *wada*. *Duża wada*.

- Obawiam się, że nastąpiły nowe poważne wydarzenia - oznajmił Murray.

Prezydent siedział w piżamie. Vanessa była całkiem ubrana, z włosami w idealnym porządku. Może, podobnie jak Murray, jeszcze nie zdążyła się położyć. A może była wampirem i w ogóle nie musiała sypiać. Wcale tego nie wykluczał.

- O co chodzi, o analizę pogody? Czy Montoya znalazła swojego tajemniczego satelitę?

- Jeszcze nie, panie prezydencie - odpowiedział Murray. - Wciąż próbujemy skłonić ludzi z NASA do wyciągnięcia głów z tyłków i skupienia na tym całej uwagi, jeśli wybaczy mi pan to słownictwo, sir.

- Nawet w sytuacjach awaryjnych trudno przeskoczyć biurokrację - filozoficznie skomentował Gutierrez. - Proszę mnie informować o sytuacji. No to posłuchajmy, co się dzieje.

Murray odchrząknął i wystawił pierś na kule.

- Na parkingu autostradowym pod Bay City, Michigan, znaleziono dwie osoby zakażone rozkładem. *Nie* miały na ciałach trójkątów. Donald Jewell z Pittsburgha i jego nastoletnia córka, Betty. Ojciec zginął na miejscu. Córkę zatrzymano w jednym z mobilnych laboratoriów do obserwacji. Ściągnęliśmy tam zespół doktor Montoi, przeprowadzili badanie, ale w jego trakcie dziewczyna zaczęła się zachowywać agresywnie i zabiła doktora Amosa Brauna.

- *Co?* - rzucił Gutierrez. - Jak? Jak to się stało?

- Zabrała mu skalpel i dźgnęła go w gardło, sir. Następnie dziewczyna próbowała zaatakować doktor Montoyę. Zastrzelił ją agent Clarence Otto.

- Co z Montoyą? - zapytał Gutierrez. - Wszystko w porządku? Komuś jeszcze coś się stało?

- Nie, sir - zapewnił Murray. - Doktor Braun był jedyną ofiarą.

Gutierrez nieco zapadł się w sobie na fotelu. Vanessa jakby się ożywiła i nachyliła się do przodu.

- Czemu Otto nie był z nimi w pokoju? - zapytała.

Murray poczuł, jak jego twarz lekko się czerwieni.

- Montoya i Braun przeprowadzali ratunkowy zabieg chirurgiczny na dziewczynie. Agent Otto znajdował się w pokoju komputerowym, monitorując sytuację.

- Ale nie był *wewnątrz* pomieszczenia, w którym prowadzono operację?

- Nie.

- Proszę mi powiedzieć, jak to możliwe w sytuacji, w której różnego rodzaju ludzie zmieniają się w morderców?

Murray nie odpowiedział. Gdyby nalegał na zachowanie właściwej procedury, Otto znalazłby się wewnątrz pomieszczenia i Amos prawdopodobnie nadal by żył. Kontener był ciasny i dodatkowa osoba bardzo by przeszkadzała, ale to nie było wytłumaczeniem dla ignorowania bezpieczeństwa.

Vanessa miała go na talerzu.

- Powiedział pan o wydarzeniach, liczba mnoga - zauważyła Vanessa. - Coś jeszcze?

- Mamy ciało w Gaylord, Michigan. Biały mężczyzna, znaleziony samotnie w domu, ciało szerniałe i w stanie rozkładu. Ratownicy zrobili test wymazowy i dostali dodatni wynik.

- Kiedy to się stało? - zapytał Gutierrez.

- Około ośmiu godzin temu.

- Osiem godzin? - rzucił Gutierrez. - Myślałem, że uruchomił pan system na takie sytuacje.

- Tak, panie prezydencie. Obsługa karetki poinformowała szpital i wygląda na to, że jeden z miejscowych lekarzy postanowił osobiście zbadać ciało. To opóźniło telefon do CDC, a kiedy już wykonano to połączenie, chwilę potrwało, zanim ta informacja dotarła do doktora Chenga.

- Który jest tam jedyną osobą mającą pełne rozeznanie w sytuacji, zgadza się? - zapytała Vanessa.

- Tak jest.

Vanessa kiwnęła głową.

- Czyli możemy bezpiecznie uznać, że za to opóźnienie odpowiada wysoki poziom utajnienia? Gdybyśmy ogłosili alarm na terenie całego kraju, znacznie szybciej dowiedzielibyśmy się o tych zwłokach z Gaylord, prawda?

Złapała go za jaja i dokręcała imadło.

- To możliwe, proszę pani, ale w tej chwili mamy na głowie pilniejsze sprawy. Sprawdziłem historię połączeń telefonu komórkowego i kart kredytowych Donalda Jewella. Kilka dni temu wielokrotnie dzwonił do Bobby'ego Jewella w Gaylord. Okazuje się, że to jego brat. Zebraliśmy także SMSy z telefonu komórkowego Betty Jewell z ostatniego tygodnia. W wiadomościach z wczoraj opisywała, że czuje się chora, a jej ojciec i kuzynka Chelsea Jewell mają takie same objawy.

- Chwileczkę - Vanessa wyglądała na poruszoną. - Czytał pan jej prywatne SMS-y?

- Tak, proszę pani - potwierdził Murray. - Wszystkie wiadomości tekstowe są rejestrowane w bazach danych firm telekomunikacyjnych. Powiedziano mi, że każda wysłana wiadomość jest gdzieś przechowywana. Zdobyliśmy dostęp do wiadomości Betty.

- Zdobyliśmy - powtórzyła Vanessa. - Co jest eufemizmem z czasów zimnej wojny na *nielegalne uzyskanie*.

- Z całym należnym szacunkiem, panno Colburn - Murray powiedział to bez choćby cienia szacunku w głosie - myślę, że w tej chwili mamy znacznie poważniejsze zmartwienia.

- Zgadzą się - potwierdził Gutierrez. - Czego jeszcze dowiedział się pan z tych wiadomości, Murray?

- Sądzymy, że Chelsea została zakażona tym samym szczepem, co Betty i Donald. Nie wiemy wiele, ale ten szczep *nie* wykazuje wzrostu trójkątów. To coś nowego. Z drugiej strony w SMS-ach Betty napisała, że Bobby Jewell miał jakieś małe pęcherze na ręce i bardzo go swędziały. Uważamy, że to wczesny etap wzrostu trójkątów. To szansa na wychwycenie infekcji na najwcześniejszym etapie, sir. Zalecałbym natychmiastowe wysłanie tam Dewa Phillipsa i jego zespołu.

- *Zespołu* Dewa - niemal syknęła Vanessa. - Rozumie pan przez to Perry'ego Dawseya. Nie ma mowy. Nie będziemy znowu przez to przechodzić.

Murray poczuł pieczenie w żołądku. Pilnie potrzebował czegoś na wrzody - wysłał Dewa do Gaylord chwilę przed wejściem do Gabinetu Ovalnego.

- Musimy wysłać Perry'ego, sir - oznajmił Murray. - Dawsey to jedyna osoba, która potrafi wykryć gospodarzy.

Vanessa się uśmiechnęła. Nienawidził tego uśmiechu... Szczerze go nienawidził.

- Przecież już pan wie, gdzie mieszkają Jewellowie - zauważyła Vanessa. - I nie uzyskał pan tej informacji od Perry'ego Dawseya, prawda?

Sam dał się w to wpuścić. To było tak oczywiste, a w ogóle tego nie zauważył.

- Tak, proszę pani, ale mogą się zachować tak jak inni zakażeni i uciec, a wtedy będziemy potrzebować Dawseya.

- Rozumiem - rzuciła Vanessa. - Mam jednak wrażenie, że gdyby to Dawsey wykrył zakażenie w Gaylord, z pewnością by pan o tym wspomniał. Czyli mam rację zakładając, że tej *nie* wykrył?

- Zgadza się. Ma wrażenie, że... hm... jego zdolność do wykrywania gospodarzy jest zagłuszana przez jakąś nieznaną siłę.

- Czyli *nie* wykrył ich tym razem - powtórzyła Vanessa. - Co oznacza, że jeśli Jewellowie *faktycznie* uciekną, nie wiemy, czy Perry zdoła ich wyśledzić.

Murray poczuł, że się czerwieni.

- Można powiedzieć, że ma pani rację. Jednak nie wiemy, czy to zagłuszanie będzie trwało dalej, albo czy zdoła ich usłyszeć, jeśli będzie bliżej. Jak na razie jest jedynym sposobem wykrywania, jakim dysponujemy, więc musimy go wysłać jak najszybciej.

- To co *musimy* zrobić - odpowiedziała Vanessa - to dopilnować, by Jewellowie zostali przechwyceni żywcem. Kiedy będą już złapani, może pan ściągnąć Dawseya - pod silną strażą - w celu próby nawiązania łączności z trójkątami. Wciąż to potrafi, Murray?

- Tak - zapewnił Murray, choć tak naprawdę wcale nie był pewny odpowiedzi.

- W takim razie zgadzamy się, że puszczenie Dawseya jako pierwszego jest złym pomysłem.

- Nic takiego nie powiedziałem. - Murray pokręcił głową.

- Daj spokój, Murray - rzuciła. - Twoja zawiślana sieć tajemnic po prostu się nie sprawdza. Musimy przestać się w to bawić.

- Raczej nie sądzę, żeby Amos Braun *się bawił*, gdy zginął na stanowisku, panno Colburn. - Te słowa wyleciały z jego ust, zanim zdołał się opanować.

- Oczywiście nie o to jej chodziło - chłodno odezwał się Gutierrez. - Prawda, Vanessa?

Kobieta wściekle popatrzyła na Murraya. Jej spojrzenie niosło jasny komunikat: właśnie zawstydziłeś mnie w obecności prezydenta i nie zapomnę ci tego.

- Oczywiście - potwierdziła. - Przepraszam, Murray.

Gutierrez kiwnął głową, jakby przeprosiny na dobre zamknęły tę sprawę.

Vanessa obróciła się do Gutierrezza.

- Chciałam powiedzieć, John, że musimy poważniej do tego podejść. Powinniśmy tam wysłać Ogdena.

Znowu zwróciła się do prezydenta po imieniu.

- I co Ogden miałby tam robić? - zapytał Murray. - Zablokować miasto? Chodzić od drzwi do drzwi i wykonywać test Margaret?

- Dokładnie - potwierdziła. - *Dokładnie* to powinniśmy zrobić.

Prezydent Gutierrez przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, stukając palcami w blat biurka. Obrócił się w stronę Murraya.

- Czy jeśli to zrobimy, nie uniemożliwi to zachowania tajemnicy? - zapytał Gutierrez.

Murray popatrzył najpierw na prezydenta, potem na Vanesę. Jego spojrzenie znowu było zimne i bez emocji. Nie lubił jej, ale musiał uszanować tego rodzaju odważne posunięcie. Chciała wysłać wojsko i zablokować całe miasto? Vanessa Colburn nie bawiła się w detale.

- Właściwie, sir - odezwał się Murray - zgadzam się. I wierzę, że zdołamy zachować tajemnicę. Doktor Cheng używał historii o bakterii zjadającej ciało jako przykrywkii swoich badań. Powiedzmy, że nad Gaylord przelatywał samolot z materiałami do badań nad tą bakterią, samolot zniknął z radarów... To mogłoby doprowadzić do niezamierzonego narażenia na tę bakterię. Lokalni mieszkańcy są zagrożeni, co zapewni nam całkowitą współpracę miejscowej policji. Użyjemy miejscowych do przekazywania wiadomości, mieszkańcy będą ich słuchać. Mamy już dość testów do skontrolowania wszystkich mieszkających tam ludzi. I nie powinno to być trudne, gdy powiemy ludziom, że mogą umrzeć w bardzo nieprzyjemny sposób, jeśli mają bakterie, które nie będą leczone.

- Ewakuujemy miasto, kontrolując wszystkich, którzy będą z niego wyjeżdżać, a potem przejdziemy po domach, sprawdzając, kto został. Powinniśmy wyłapać zakażonych podczas kontroli na drogach albo znajdziemy ich w domach. Gdy tylko zabezpieczymy miasto, będziemy mogli wpuścić wszystkich z powrotem. Nie powinno to zająć więcej niż dwa dni.

Gutierrez uniósł brwi w zaskoczeniu.

- Wyrecytował to pan, jakby już pan ewakuował miasta.

Murray kiwnął głową.

- Były takie przypadki. Jeśli zechce pan podpisać dokumenty o nieujawnianiu tajemnic, mogę się podzielić paroma opowieściami. Przez trzydzieści lat trochę się ich zebrało.

Gutierrez jeszcze przez chwilę stukał w blat, zanim odpowiedział.

- Ile czasu potrzeba na wprowadzenie tam ludzi Ogdena?

- Lotnisko Otsego jest w samym mieście - odpowiedział Murray. - Ogden i jego ludzie mogą wylądować tam w C-17 razem z pojazdami, a będziemy mieć jeszcze ospreye i apacje do wsparcia. Prawdopodobnie znajdą się w Gaylord jakieś trzy do czterech godzin po moim telefonie. Jednak, sir, *usilnie* doradzam wprowadzenie Dawseya do gry. Jeśli zdoła wyszukać gospodarzy, to zdecydowanie skróci procedurę. A ludzie Ogdena mogą dopilnować, żeby został pod kontrolą.

Gutierrez zwrócił się do Vanessy. Kiwnęła głową.

- Zrób to, Murray - zdecydował prezydent. - Przekaż Tomowi szczegóły tej historii z bakterią, skoordynujemy działania. Ale chcę, żeby Dawsey i Phillips siedzieli na tyłku do czasu przybycia Ogdena. I nie żartuję, Murray, lepiej, żeby siedzieli i pili kawę i nie robili *niczego*. Sprawdzę to później i jeśli się dowiem, że moje rozkazy zostały zignorowane, będziesz skończony.

Murray musiał jak najszybciej wydostać się z Gabinetu Owального i zadzwonić do Dewa, zanim Perry zdąży zrobić coś głupiego.

- Tak jest, sir - potwierdził Murray. - Jeśli pan pozwoli, muszę to natychmiast wprowadzić w czyn.

Gutierrez kiwnął głową. Murray prawie wybiegł z pokoju.

## Obudź się, mamo

Chelsea stała u nóg łóżka rodziców, jedząc loda Crunch Bar Eskimo Pie. Była dopiero ósma rano, a to był jej *trzeci* lód.

Mama i tata już nie ustalali reguł w tym domu.

SPRÓBUJ ICH OBUDZIĆ – powiedział Chauncey. – ALE NIE UŻYWAJ SŁÓW.

– *Poważnie?*

MÓW DO MNIE TYLKO MYŚLAMI.

*Przepraszam* – pomyślała Chelsea.

Z TOBĄ BĘDĘ MIAŁ NAJSILNIEJSZE POŁĄCZENIE. BĘDZIESZ MI POMAGAĆ ROZMAWIAĆ Z POZOSTAŁYMI. A TERAZ SPRÓBUJ ICH OBUDZIĆ.

Chelsea odgryzła kawałek loda, przełknęła go, a potem się skupiła.

*Obudźcie się, śpiochy.*

Nic się nie stało.

SPRÓBUJ JESZCZE RAZ. NIE BĄDŹ MIŁA, CHELSEA. WIESZ, ŻE KIEDY SIĘ ZŁOŚCISZ, KIEDY KRZYCZYSZ, TWÓJ GŁOS ROBI SIĘ GŁOŚNIEJSZY?

*Tak.*

Z MYŚLAMI JEST TAK SAMO. CZY RODZICE ZROBILI KIEDYŚ COŚ, PRZEZ CO CZUŁAŚ SIĘ BARDZO ZŁA?

Z twarzy dziewczynki zniknął uśmiech. Czemu nie mogła jeść tyle lodów, ile tylko chciała? Czemu tata nie pozwalał jej na przekłucie uszu? I czemu nie mogła mieć szczeniaczka? Bardzo *chciała* szczeniaczka. To było *niesprawiedliwe*. Może tata potrzebował ochrony, ale musiał też przestać być *niegrzeczny*.

Chelsea znowu się skupiła.

*Obudź się tato... albo cię zbiję.*

Tata gwałtownie się zerwał. Był całkowicie obudzony i patrzył na Chelsea. Dziewczynka jeszcze nigdy nie widziała takiego wyrazu twarzy taty. Miał otwarte usta i bardzo szeroko otwarte oczy.

– Czy ty coś mówiłaś, skarbie?

Odruchowo podrapał się po lewej ręce, zdrapując duży pomarańczowy kawałek czegoś. Nie spuszczać wzroku z córki odrzucił zdrapany kawałek i znowu zaczął się drapać.

*Powiedziałam, żebyś się obudził, bo inaczej cię zbiję.*

Tata przestał się drapać. Jego prawa ręka zawisała nad lewym ramieniem, jakby zamarła w połowie ruchu.

– Tak właśnie myślałem – powiedział cichym głosem.

Chelsea przeniosła wzrok na mamę.

*Obudź się, mamo.*

Mama podniosła głowę, po czym ją opuściła, przewróciła się na drugi bok i jęknęła.

– Ooooh, tak mi gorąco – wyszeptła. – Bob, powiedz Chelsea, żeby przestała wrzeszczeć i wróciła do łóżka. Robi mi się od tego cholernie niedobrze.

Tata tylko na nią patrzył.

- Uch, Candy? Może... lepiej wstań?

- Nie żartuję, Bob - mama powiedziała swoim głosem „Tatuś Jest Taki Głupi”.

Chelsea rzuciła patyczek z lodu na podłogę.

*Wstawaj mamo, bo każę tacie cię zbić.*

Mama usiadła powoli i podciągnęła kołdrę pod sam nos. Tata patrzył na córkę z twarzą emanującą niezrozumieniem.

- Chelsea - wyszeptała mama. - Czy ja cię słyszę... w... mojej głowie?

- Wstań, Candy - powiedział tata. - Proszę, ja... ona sprawia, że ja... chcę cię ukarać.

Mama popatrzyła na tatę i zaczęła płakać. Ale nie wstawiała, choć Chelsea *kazała* jej wstać.

*Tato, mama jest niegrzeczną dziewczynką.*

Mama pokręciła głową. Tato wstał z łóżka i wyszedł z sypialni. Chelsea patrzyła na mamę słuchając, jak tata idzie po schodach na dół, otwiera szufladę w kuchni i wraca do góry. Kiedy wszedł do sypialni, trzymał w trzęsącej się dłoni ciężką, ulubioną drewnianą łyżkę mamy do bicia.

*Mamusiu, tatę to będzie bolało bardziej, niż ciebie.*

Mama wciąż kręciła głową i płakała do czasu, aż tata zabrał się do rzeczy. Wtedy zaczęła krzyczeć.



## Szybcy jak błyskawica

Pułkownik Charlie Ogden wyjrzał nad ramieniem kaprala Cope'a. Obaj patrzyli na ekran komputera prezentujący mapę Gaylord, Michigan.

- Z tego miasta wychodzi mnóstwo dróg, pułkowniku - zauważył Cope.  
- Przyjąłem - potwierdził Ogden. - Ilu mieszkańców?  
- Ponad 3500, sir. To całkiem sporo ludzi jak na jedną kompanię.  
- Też tak myślę - zgodził się Ogden. - Ale będziemy mieć pomoc ze strony policji, lokalnej i stanowej. Jak długo będzie tam lecieć C-17?

- Około godziny, sir. Plus dodatkowa godzina na załadowanie i godzina na wejście do akcji, więc kompania X mogłaby być gotowa na miejscu w czasie poniżej trzech godzin.

- Skontaktuj się z pilotami i dowódcami plutonów - polecił Ogden. - W końcu nie na darmo płacą nam za trzymanie spakowanych worków. Zbieramy się. Chcę mieć wszystko rozładowane na miejscu za dwie i pół, nie trzy.

- Tak jest, sir.

Cope wstał zza biurka i zaczął dzwonić. Ogden usiadł i przyjrzał się mapie. Lotnisko mieściło się prawie w centrum miasta. Pisklaki spieprzyły sprawę pod tym względem także w Wahjamega, budując tę swoją bramę tak blisko pasa lotniska, że Ogden posadził swoje oddziały zaledwie kilka kilometrów od celu.

Cope miał rację, do miasteczka prowadziło mnóstwo dróg. Na pierwszy rzut oka zobaczył ich ze dwadzieścia, nie licząc autostrad I-75 i M-32. Żadnych punktów umożliwiających łatwe zablokowanie ruchu. Mógł skierować policję do obsługi autostrad, co pozwoliłoby mu mniej rzucić się w oczy, ale nie miał szans ustawić kilku gliniarzy przy każdej blokadzie na drodze. Zakażeni byli na to zbyt niebezpieczni. Musiał ustawić blokady na każdej najmniejszej drodze, obstawiając je przynajmniej czterema ludźmi.

Mniejsze drogi były w większości szutrowymi trasami przez pola, choć sporo z nich było też drogami gruntowymi przez lasy, którymi mogły jeździć samochody. Do tego jeszcze te lasy, którymi ludzie mogli wędrować całkowicie unikając dróg. Będzie musiał bardzo rozproszyć ludzi, by obstawić to wszystko.

- Cope - rzucił Ogden.

- Sir?

- Zadzwoń do kapitana Lodge'a i aktywuj kompanię Whiskey. Będą nam potrzebni. Kompanie Yankee i Zulu zostawimy w Forcie Bragg. Lepiej mieć rezerwy, które będą mogły szybko reagować na wypadek, gdybyśmy zbyt ugrzęźli w tym Gaylord, nie sądzisz?

- Pyta pan o moją opinię, sir?

- Nie - oświadczył Ogden. - To było pytanie retoryczne.

- W takim razie zgadzam się ze wszystkim, co pan powie, pułkowniku.

- I to właśnie w tobie lubię, Cope, masz takie wyraziste poglądy. A teraz dzwoń.

- Tak jest, sir.

Ogden czułby się lepiej zabierając wszystkie cztery kompanie, ale wprowadzenie całego batalionu do małego miasta byłoby lekką przesadą. Na dodatek bezpieczniej było zostawić dwie kompanie DOMREC z możliwością szybkiego reagowania na wypadek, gdyby brama pojawiła się gdzieś indziej. DOMREC była jedyną jednostką, która mogła w pełnej gotowości bojowej wejść do akcji w dowolnym miejscu Środkowego Zachodu w czasie poniżej dwóch godzin. Drugie w kolejności względem czasu reakcji były siły szybkiego reagowania 82. dywizji, której zadaniem było umieszczenie pierwszych oddziałów w dowolnym miejscu na ziemi w ciągu 18 godzin od alarmu. Gdyby DRF miała wprowadzić do akcji jednostki na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych, prawdopodobnie skróciłoby to wymagany czas do siedmiu czy ośmiu godzin, ale za nic w świecie nie mogliby się przygotować w ciągu dwóch.

Tam, gdzie wymagany był tego rzędu czas reakcji, dostępna była jednostka Charliego Ogdena i nikt więcej.

## Jak poradzić sobie ze śmiercią przyjaciela

Clarence Otto siedział w zmodyfikowanej kabinie sypialnej Margo Mobilu z Margaret na kolanach. Jej czoło spoczywało mu na ramieniu, a nogi podtrzymywała jego ręka. Marynarkę zalewały jej łzy i smarki z nosa. Jeśli to zauważył, nie dał tego po sobie poznać.

Nie potrafiła przestać płakać. Chciała przerwać, ale nie umiała. Płakała prawie całą noc, aż usnęła na podłodze pokoju komputerowego, a potem zaczęła znowu, gdy tylko się obudziła.

Jechali na północ, do Gaylord. Na spotkanie kolejnych śmierci, kolejnych horrorów.

Wciąż miała na sobie miękką bluzę i spodnie, te w których spała i które miała na sobie pod kombinezonem ochronnym w chwili, gdy Betty Jewell zabiła Amosa Brauna.

Zabiła jej przyjaciela.

Przyjaciela, którego już nigdy, przenigdy nie zobaczy. Chciała go odzyskać. Czemu nie mógł po prostu *wrócić*?

- Przykro mi, Margo - powiedział Clarence, łagodnie głaszcząc ją po głowie. Ciągle to powtarzał. Może nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia *co* mówi, była wdzięczna za brzmienie jego głosu.

Powinna była zadzwonić do żony Amosa. Nigdy jej nie spotkała, ale i tak to Margaret powinna to zrobić, jednak postąpiła jak tchórz - Dew wysłał do niej kilku agentów FBI, żeby przekazali tę wiadomość.

- Muszę się pozbierać - stwierdziła. - Trzeba obejrzeć nagranie z kamery na moim hełmie. Może coś przeoczyłam, może zapomniałam o czymś, kiedy...

Jej głos ucichł.

- Później będzie jeszcze mnóstwo czasu na pracę - odpowiedział Clarence. - Musisz odpocząć. Zresztą teraz jedziemy, siedzenie w przyczepie w trakcie jazdy nie jest bezpieczne.

Wciąż głaskał ją po głowie.

Zimny kamień w jej piersi nie chciał zniknąć.

- Gdybym tylko... mogła... szybciej zdjąć jego hełm - powiedziała cicho, łkaniem przerywając zdanie.

- Wiesz, że to nieprawda - wyszeptał Otto. - Rozcięła mu tętnicę. Nic nie mogłaś zrobić.

- Ale ja... dowodziłam. To... moja wina.

Poczuła, jak Otto kręci głową, delikatnie ocierając przy tym podbródkiem o jej włosy.

- Przecież wiesz lepiej, Margo. Wiem, że będziesz próbować się obwiniać, bo takim właśnie jesteś człowiekiem. Chcesz brać wszystko na swoje ramiona. Ale obwinianie się za tę śmierć jest głupie i dobrze o tym wiesz. Miała w sobie dość prochów, żeby usnąć słonia. Nie wykazywała żadnych przejawów zachowań agresywnych. Miała *unieruchomione* ręce. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Właściwie, jeśli już musisz kogoś obwiniać, to *mnie*, bo to ja jestem odpowiedzialny za ochranianie was. A nie było mnie nawet w pokoju.

- Przecież kazaliśmy ci nie wchodzić nam w drogę - przypomniała Margaret. - Z jeszcze jedną osobą tam byłoby zbyt ciasno. Gdybyś... gdybyś nie był w pokoju komputerowym, obserwując to na monitorze...

- Mogę zignorować każdy twój rozkaz, jeśli uznam, że zagraża twojemu bezpieczeństwu. Mogłem zostać w pokoju sekcyjnym. I gdybym to zrobił, Amos wciąż by żył.

Margaret się wyprostowała i popatrzyła na niego.

- Nie rób tego, Clarence. To nie twoja wina!

- Wiem. Ale *twoja* też nie.

Jej ciałem znowu wstrząsnęło łkanie, nie puszczając. Amos *zginął*. Kto teraz zajmie się jego córkami? Czy agenci FBI przekazali już tę wiadomość? Czy jego rodzina kiedykolwiek pozna prawdę, czy Murray już sprzedawał inną przykrywkę? Amos Braun zasługiwał na pośmiertne przyznanie Prezydenckiego Medalu Wolności, a zamiast tego dostanie pewnie kłamstwo o wypadku w laboratorium i wypłatę z ubezpieczenia.

- Możemy cały dzień szukać winnych - stwierdził Otto. - Ale to nie przywróci go do życia. W ten sposób jedynie przestaniemy myśleć o tym, co musimy zrobić.

- Czy... nie mógłbyś... choć przez chwilę nie myśleć o pracy?

- Nie - odpowiedział. - Nie mogę. Margo, możesz być pewna, że zginie jeszcze całkiem sporo ludzi. Wielu z nich równie dobrych, jak mój przyjaciel Amos. Przykro mi to mówić, ale będziemy mogli go opłakiwać, kiedy już uporamy się z tym pieprzonym paskudztwem. Chcesz szukać winnych? Znajdź właściwy obiekt. Obwiniaj to zakażenie. To właśnie zabiło Amosa, nie ja i nie ty.

Kolejny atak płaczu, ale tym razem w końcu udało się jej go opanować. Otto miał rację. To choroba zabrała Amosa, to ona zabrała pozostałych. Jeśli zdoła ją powstrzymać, jeśli zdoła ją *zabić*, będzie to najlepszym upamiętnieniem przyjaciela.

- Wiesz, co jest zabawne? - zapytał Otto.

- Co?

- Po tym wszystkim jestem dwadzieścia doliczów do przodu. Byłby strasznie wkurzony gdyby wiedział, że wygrałem.

Margaret nie mogła uwierzyć, że Otto próbuje w takiej chwili zażartować, ale pomyślała o twarzy Amosa, gdy brał dwudziestkę od Otto i grymasie, kiedy musiał ją oddawać. Z jakiegoś powodu wyobraziła sobie go jak patrzy na nich z góry i się śmieje.

I pomimo bólu sama się roześmiała.

## Pan listonosz Burkle

John Burkle był trochę spóźniony. Ni deszcz, ni śnieg, ani mrok, ale zwróć uwagę, że nikt nigdy nie dodał tam *ani potwornie przegnite szerniate trupy* jako jedną z rzeczy, które mogłyby powstrzymać kuriera od wypełniania obowiązków.

John zadzwonił na 911, a potem poczekał na przybycie karetki i glin. Nie potrafił z całą pewnością powiedzieć, czy w domu leżał trup Cheffiego. Cheffie był jedyną mieszkającą tam osobą, ale to czarne... *coś* mogło być kimkolwiek. Sanitariusze kazali mu nawet zrobić jakiś test na obecność bakterii zjadających ciało, który – Bogu dzięki – miał wynik ujemny. Po tym wszystkim pojechał do domu, nieco wstrząśnięty tym wszystkim, przez co dzisiaj musiał dostarczyć podwójną porcję poczty.

Wcisnął kupony promocyjne i magazyny do skrzynki pocztowej, zamknął ją, zjechał na drogę i sprawdził następną partię.

Jewellowie.

Niedorzecznością była sama myśl, że ze wszystkich możliwych miejsc bakteria zjadająca ciało zaatakuje właśnie w Gaylord. W Gaylord nigdy nic się nie działo, i dlatego właśnie John Burkle tak bardzo kochał to miejsce.

Podjechał do skrzynki pocztowej Jewellów i włożył do niej pocztę z dwóch dni. Zaczął już odjeżdżać, ale zatrzymał się na widok Bobby'ego Jewella idącego w dół długiego, obsadzonego drzewami podjazdu. Bobby niósł małą Chelsea, która machała do niego z listem. Uroczą dziewczynka, z tymi wszystkimi blond loczkami. Jeśli wyrośnie na ślicznotkę podobną do matki, to w liceum złamie niejedno serce.

– Cześć, Chelsea – zawołał John. – Masz dla mnie jakiś list?

– Tak, panie listonoszu!

Bobby postawił Chelsea na ziemi kilka metrów od furgonetki. Dziewczynka pobiegła do przodu, trzymając list, jakby było to coś bardzo ważnego. Małe dzieci były takie zabawne – nawet coś tak zwykłego jak wysłanie listu, mogło być dla nich niezwykle podniecające.

– Proszę, panie listonoszu!

– Bardzo dziękuję, młoda damo. – John przyjął list z udawanym przejęciem.

Chelsea dygnęła. John mógłby ją schrupać w całości.

– Proszę bardzo, panie listonoszu. Mój tatuś chce coś panu pokazać.

– Tak? – John podniósł wzrok. Bobby w międzyczasie także podszedł i stał obok. John znał go z letnich meczów softballu, ale Bobby zdecydowanie nie wyglądał za dobrze. Miał zapadnięte oczy i bladą skórę a przy tym sprawiał wrażenie, jakby schudł z osiem kilo.

– Cześć, John – odezwał się Bobby. – Muszę ci pokazać coś bardzo dziwnego.

– Co takiego?

Bobby rozpiął kurtkę, sięgnął do środka i wyciągnął z niej podrdzewiały, czerwony klucz francuski.

– Nie uwierzysz, jak bardzo mi się to zacięło.

John popatrzył na klucz, a potem na Bobby'ego. Czemu, u diabła, Bobby miałby mu pokazywać zepsuty klucz francuski? Włączył się wewnętrzny alarm Johna... A jeśli Bobby wyglądał tak fatalnie, bo miał w sobie to paskudztwo jedzące ciało?

- Ja... um, nie mam teraz czasu, Bobby.

- A to czemu, panie listonoszu? - zapytała Chelsea.

John odruchowo spuścił wzrok na dziewczynkę. Od razu wiedział, że to był błąd. Gdy spojrzał z powrotem do góry, klucz francuski był rdzawą smugą. Próbując się uchylić ledwie drgnął tuż przed tym, jak kawał metalu uderzył go z lewej strony szczęki. Przewrócił się w prawo, spadając z fotela w głąb furgonetki. Próbował jeszcze się podnieść, ale nogi zaplątały mu się pod pedałami gazu i hamulca. Czas zmienił się w rozmazany, zwolniony film. Wiedział, że klucz nadlatuje znowu i ta chwila ciągnęła się w nieskończoność.

Jego taser.

Sięgnął ręką do wnętrza torby po broń, która mogła go uratować, ale było już za późno.

Wrażenie zwolnionego ruchu znikło, gdy poczuł uderzenie w lewe ucho. Głowa eksplodowała potężnym bólem. Furgonetka zawirowała. Spróbował jeszcze się podnieść, ale ręce i nogi odmówiły posłuszeństwa, a potem poczuł na sobie przyciskający go ciężar i silne, pełne odcisków dłonie zacisnęły się na jego czole i szczęce, zmuszając go do otwarcia ust.

Poczuł, jak wsuwa się do nich drobny, gorący i wilgotny język.

A potem pieczenie...

## Applebee

Perry Dawsey nigdy nie sądził, że normalność może wydawać się tak surrealistyczna.

Lub tak cholernie *krępująca*.

Siedział w barze Applebee w Gaylord, Michigan, czekając na przyniesienie burgera. Na ścianach było pełno kiczowatych obrazów, z głośników leciały jakieś bzdety z listy przebojów. Przy stołach siedziało mnóstwo tłustych mężczyzn, tłustych kobiet i tłustych dzieci. Z lewej strony Perry'ego siedział Dew, naprzeciw niego Claude Baumgartner. Baum pozbył się już metalowej klamry, ale jego nos wciąż wyglądał paskudnie. Jens Milner, którego oczy wciąż były sine, siedział na prawo od Perry'ego, naprzeciw Dewa.

Biorąc pod uwagę paskudne rozcięcia i siniaki na twarzy Perry'ego, wyglądali jak groźna czwórka z *Podziemnego kręgu*. Dew najwyraźniej wygrał to starcie, ponieważ na jego głowie widniał tylko jeden plaster.

Baum i Milner siedzieli w milczeniu, ponuro wpatrując się w Perry'ego.

To był kolejny genialny pomysł Dewa. Jasne! Czemu nie? Usiądźmy do obiadu z paroma facetami, których pobiliśmy, żeby móc wejść do domu i wymordować rodzinę. Ależ oczywiście, że taki lunch był całkiem normalny, aż powinien się znaleźć w reklamie Applebee.

- Nie rozumiem - odezwał się w końcu Baum. - Czemu nie pójdziemy po prostu do domu Jewellów?

Prawa dłoń Bauma stale przebywała w pobliżu lewej kłapy marynarki, na wysokości piersi. Chwilami opierał ją na stole, czasem Baum udawał, że musi się podrapać po piersi, a chwilami po prostu trzymał ją w powietrzu. W kaburze pod pachą miał pistolet i wyraźnie nie miał ochoty odsuwać od niego dłoni. Perry'emu w zasadzie to nie przeszkadzało. Sam trzymał rękę na brzegu stołu - gdyby Baum sięgnął po broń, wcisnąłby stół w jego pierś i popchnął z całej siły.

Baum wciąż patrzył na Perry'ego, patrzył z *tym* nastawieniem. Wcale nie było łatwo utrzymać kontrolę nad tym wszystkim, nawet bez jakiegoś gnojka wyzywającego człowieka wzrokiem. Perry miał ochotę mu walnąć, ale Dew spodziewał się po nim czegoś więcej. Więc się kontrolował. Przynajmniej na razie.

- Nie możemy się zbliżać do tego domu - przypomniał Dew. - Rozkaz Murraya.

- Który ma na celu powstrzymanie Pana Słoneczko od wymordowania rodziny, dobrze o tym wiesz - wtrącił się Milner. - Znamy adres. Możemy tam pojechać z Baumem.

Podobnie jak Baum, Milner wciąż się na niego gapił. Czy nikt nie uczył tych gości w CIA żadnych manier?

- Nie możemy się do nich zbliżać do czasu, aż przyjedzie Ogden i wyśle z nami swoich chłopaków - przypomniał Dew. - Wierzcie mi, rozkazy Murraya były *bardzo* dokładne. Wygląda na to, że nowa szefowa gabinetu prezydenta bardzo chce mu się dobrać do tyłka. Jeśli pokażemy się w domu Jewellów zanim przyleci Ogden, Murray będzie skończony. A jeśli on będzie skończony to dopilnuje, żeby wszyscy przy tym stole byli skończeni jeszcze *bardziej*. Wierzcie mi. Możemy więc równie dobrze coś zjeść,

skoro czekamy. A swoją drogą, Baum, jeśli nie weźmiesz tej ręki z dala od broni, to w końcu wepchnę ci coś do dupy.

- Pistolet czy rękę? - zapytał Baum, nie spuszczać wzroku z Perry'ego.

- Oba - odpowiedział Dew. - Ale zaskoczę cię kolejnością wsadzania. I przestań się gapić. Jezu. Można by pomyśleć, że jeszcze nigdy nie usiadłeś przy stole z facetem, który skopał ci tyłek.

- Jasne - odpowiedział Milner. - Robię to na okrągło. To jak zwykle spotkanie z kumplami w domu.

Perry uśmiechnął się do niego i podniósł rękę, machając palcami w stronę jego ręki - „no już” mówił gest, „chodźmy stąd”.

- Odsuść sobie, Dawsey - warknął Dew. - Wszyscy trzej, dajcie temu spokój. Perry jest tutaj, bo chce z nami współpracować, prawda?

Perry kiwnął głową.

- A co do was dwóch - Dew popatrzył kolejno na Bauma i Jensa - to przestańcie być takimi mięczakami. To zbyt ważne, żebyście się obrażali tylko dlatego, że skopał wam tyłki.

Dew popatrzył ciężko na Bauma.

- No?

Baum jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w Perry'ego, po czym westchnął i wzruszył ramionami.

- Pieprzyć - rzucił. - Nie on pierwszy złamał mi nos.

Spojrzenie Dewa przeniosło się na Milnera.

- A ty?

Milner w końcu oderwał wzrok od Perry'ego i przeniósł go na Dewa.

- Twój chłoptaş tutaj to chodzące kłopoty, Dew - powiedział cicho. - Można go łatwo znaleźć idąc śladem trupów. On *morduje* ludzi.

- To nie ludzie - zaprotestował Perry. Czemu nikt tego nie rozumiał?

- Daruj sobie - warknął Milner. - To pieprzony świr, Dew, i nie będę z nim jadł przy jednym stole.

Jens wstał i położył serwetkę na swój talerz.

- Siadaj z powrotem - z naciskiem powiedział Dew.

- Masz z tym problem? - zapytał Milner. - To mnie wywal. Jeśli nie, to będę w samochodzie.

Odwrócił się i wyszedł z Applebee.

Perry spuścił wzrok na swój talerz. Czy Milner miał rację? Czy faktycznie był zwykłym świrem? Nie. Ci ludzie wcale nie byli *ludźmi*, byli *zakażeni*. Musieli zginąć. *Wszyscy zakażeni musieli zginąć*.

- Nie przejmuj się, Perry - rzucił Dew. - Przejdzie mu.

Może tak, może nie. Perry'ego nic nie obchodziło, co myśleli sobie pomagierzy. Z drugiej strony... może powinno. Wyglądało na to, że Dew uważał ich zdanie za istotne.

A skoro Dew tak myślał, to pewnie tak było.



## Owsianka

Chelsea pryskała benzyną do zapalniczek po całej kuchni. Tata zwijał gazety w duże kule. On zwijał, potem mama oblewała je benzyną z drugiej puszki i wsadzała do szafek kuchennych.

Praca całą rodziną była świetną zabawą.

- Jesteś *pewien*, tato, że w samochodzie pana Burkle'a nie ma żadnych pistoletów?

Tata kiwnął głową. Chelsea wcale nie była pewna, czy tata naprawdę wie, o czym mówi. Pan Burkle obudzi się za kilka godzin, a wtedy będzie mogła go sama zapytać.

- Czemu *my* nie mamy broni, tato?

- Po co ci broń, skarbie? - zapytał tato. - Czy ty... chcesz mnie zastrzelić?

Dziewczynka westchnęła. Zaczynała rozumieć, czemu mama czasem używała wobec taty tego głosu mówiącego „jesteś taki głupi”. Oczywiście, że nie chciała go zastrzelić. Czemu miałyby strzelać do kogoś, kto miał laleczki?

- Tatusiu, Chauncey mówi, że potrzebujemy broni, więc idź ją kup.

- Nie możemy jej po prostu *kupić*, skarbie - odpowiedziała mama. - Jest jakiś okres oczekiwania, czy coś takiego, prawda, Bobby?

Tata kiwnął głową.

Chelsea zmarszczyła brwi.

- Musicie znaleźć broń. Jeśli tego nie zrobicie, będziecie się musieli ukarać.

Tata pokręcił głową.

- Chelsea, kochanie... Nie chcę więcej bić mamy łyżką. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego.

- Proszę - dołączyła się mama. - Więcej nie. I musimy wymyślić, gdzie pójdziemy. Chelsea, skarbie, jesteś *pewna*, że musimy podpalić dom?

- *Mamo* - odpowiedziała dziewczynka. - Jeśli zapytasz mnie o to jeszcze raz, to na pewno dostaniesz lanie łyżką!

- Przepraszam - szybko wyszeptała mama. - Przepraszam, kochanie, więcej nie zapytam.

- Ani słowa więcej! - zażądała Chelsea.

Tata zaczął szybciej zwijać gazety.

Chelsea wycisnęła trochę śmierdzącego płynu pod lodówkę. Czy lodówka będzie się palić? Żałowała, że nie może zostać i popatrzeć, ale Chauncey powiedział, że muszą odejść.

Tata strzelił palcami.

- Mark Jenkins! On ma broń. Pistolety i strzelby myśliwskie, pełno tego.

- To idź i je weź - zażądała Chelsea.

- Skarbie - cicho odezwała się mama. - On ich nam nie da tak po prostu. Musimy wymyślić sposób na odebranie mu ich.

Chelsea zastanawiała się nad tym przez minutę. Wyczuła, że mama naprawdę nie potrzebuje już łyżki. Mama była *inna* niż tato. Była obrońcą, jak Chelsea. A to znaczyło, że mama może...

- Wystaw język, mamo.

Mama wypełniła polecenie. Dziewczynka przyjrzała się z bliska - mama miała na języku dziesiątki ślicznych małych trójkącików. Mózg Chelsea zalała fala informacji. Każdy z tych trójkątów zawierał tysiące małych pełzaczy, gotowych do wystrzelenia do cudzego ciała. Tak właśnie dziewczynka przekazała mamie Bożą miłość, a teraz mama była gotowa przekazywać ją innym ludziom.

- Możesz dać panu Jenkinsonowi całuski, mamo? Tak jak ja tobie.

Tata się uśmiechnął.

- To się uda. Od dawna smali do ciebie cholewki, Candy.

Mama popatrzyła gniewnie na tatę. Patrzyła w sposób mówiący „jesteś taki durny”, który zwykle towarzyszył znaczącemu to samo głosowi.

- No? - zażądała Chelsea. - Możesz coś zrobić, mamo?

- Ja... chyba tak - przyznała mama. W jej głosie pobrzmiwał równocześnie smutek i podniecenie. Miała smutne oczy, gdy patrzyła na tatę, ale Chelsea czuła jej podniecenie na myśl o rozdawaniu Bożej miłości.

Mama odchrząknęła.

- Ile czasu potrzeba po tym, jak... jak dam mu całuski?

- Szybko zrobi się śpiący - odpowiedziała Chelsea. - Może będziesz musiała być z nim przez godzinę, ale Chauncey mówi, że potem poczuje się chory i będzie chciał spać, tak jak listonosz, pan Burkle. Możesz to zrobić, mamo? Dasz radę bawić się z panem Jenkinsem przez godzinę po całuskach?

- Tak, skarbie - potwierdziła mama. - Chyba znam sposób na to, żeby pan Jenkins bawił się przez godzinę, a potem poszedł spać.

- No to ruszaj się, ślamazaro! Zostanę tu i będę pilnować taty.

Mama popatrzyła na tatę.

- Obawiam się, że tak musi być.

Kiwnął głową. Wydawał się być smutny.

Mama wzięła płaszcz i wyszła z domu.



Świat Chelsea zmieniał się bardzo szybko. Brakowało jej punktów odniesienia, by tak do końca zrozumieć, co się działo z nią i wokół niej. Satelita dobrze o tym wiedział i korzystał z tego. Jej prostota i brak doświadczenia czyniły z niej potężne narzędzie. Chelsea można było *kształtować*.

Satelita musiał się przygotować na najgorszy możliwy scenariusz: własne zniszczenie. Każdego dnia rosło prawdopodobieństwo ataku. Satelita musiał dopilnować, żeby na wypadek jego zniszczenia Chelsea mogła mimo wszystko wypełnić zadanie. Satelita mógł zmienić jej mózg, sprawić, by włókna się powieliły, wypełniając przestrzeń między jej komórkami mózgowymi, zwiększając jej moc obliczeniową i inteligencję. Mógł z niej uczynić centralny punkt łączności, jednak cała moc obliczeniowa i zdolność porozumiewania się nie zdadzą się na nic, jeśli nie będzie potrafiła sama myśleć.

Satelita musiał zmienić Chelsea Jewell w *przywódcę*.



Dziewczynka siedziała na swoim łóżku, myśląc. Kuchnia strasznie śmierdziała, tak samo jak salon. Tato rozlał tam cały baniak benzyny i powiedział, że wszystko będzie się świetnie paliło.

CHELSEA, ŻLI LUDZIE MOGĄ NIEDŁUGO PRZYJŚĆ PO CIEBIE.

- Och - odpowiedziała dziewczynka. - To dlatego spalimy dom, prawda? Żeby nas nie znaleźli?

TAK, ALE PRZYJDĄ TEŻ PO INNYCH.

- Innych? Jakich innych, Chauncey?

TAKICH JAK TY I TWÓJ TATA.

Chelsea zeskoczyła z łóżka. Miała ochotę tańczyć. Byli inni ludzie tacy jak ona? Jakie to podniecające! Zaczęła się kręcić w kółko.

- Gdzie oni są, Chauncey? Jak ich znajdę?

MUSISZ SPRAWIĆ, ŻEBY PRZYSZLI DO CIEBIE. MASZ MOC ODSZUKANIA ICH MYŚLAMI.

- Mogę do nich mówić tak, jak do ciebie?

NIE TAK SAMO, JESZCZE NIE, ALE MOŻESZ WYSYŁAĆ PROSTE WIADOMOŚCI. ZACZNIEMY OD TEGO, ŻE BĘDZIESZ DO MNIE MÓWIĆ MYŚLAMI, NIE BUZIĄ.

Chelsea przestała się kręcić i zamknęła oczy.

*Tak, Chauncey.*

DOBRE. A TERAZ SIĘGNIJ NA ZEWNĄTRZ. UŻYJ MYŚLI, SIĘGNIJ NA ZEWNĄTRZ I ZNAJDŹ ICH.

Chelsea zaczęła *myśleć*. Sięgnęła w świat. Jakie zabawne uczucie! Czuła, jak jej świadomość rozszerza się i rozprzestrzenia. Najpierw wyczuła mamę. Potem pana listonosza Burkle'a, choć jego było trudniej wyczuć, nie był tak silny jak mama. Chwilę później wyczuła tatę, a właściwie wyczuła laleczki wewnątrz taty. Ale fajne! Tak *szybko* rosły!

PRÓBUJ DALEJ. WIĘCEJ, ZNAJDŹ WIĘCEJ. MUSISZ SIĘ STAĆ SILNIEJSZA.

Chelsea głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. Naparła. Wrażenie... śliskości. Jej umysł sięgnął na zewnątrz i nawiązał kontakt! *Kilka* kontaktów.

Ryan Roznowski. Miał laleczki, choć podejrzewał, że żona wkrótce zadzwoni na policję. Chelsea nie mogła na to pozwolić.

Pan Beckett też miał laleczki. I stary Sam Hamilton. Oraz kobieta o nazwisku Bernadette Smith.

I...

I...

Beck Beckett, syn pana Becketta. Choć Beck był *inny*. Nie taki jak tata albo pan Beckett. Chelsea знаła Becka ze szkoły, choć był w wyższej klasie. Na myśl o Becku Chelsea poczuła gniew, choć nie wiedziała, dlaczego.

*Znalazłam pięcioro, Chauncey. Co mam teraz zrobić?*

POWIEDZ IM, ŻEBY PRZYSZLI DO CIEBIE. POWIEDZ, ŻEBY ZABRALI BRONŃ.

Chelsea kiwnęła głową. Zrobiła to, co kazał jej Chauncey. Czemu Beck miał tu przyjść, skoro nie miał laleczek? Jaki był z niego pożytek?

*Chauncey? Beck Beckett nie przypomina swojego taty. Dotknięcie go jest podobne do dotknięcia mamy, ale przecież nie dawałam Beckowi całusków.*

TO DLATEGO, ŻE OTRZYMAŁ BOŻĄ MIŁOŚĆ PROSTO ODE MNIE, TAK JAK TY. LALECZKI SĄ BARDZO, BARDZO WAŻNE, ALE LUDZIE TACY JAK TY I BECK BĘDĄ JE CHRONIĆ.

Chelsea nagle się zdenerwowała. Czy Chauncey lubił Becka bardziej od niej? Czy Beck będzie jego ulubieńcem?

*Rozmawiasz z nim?*

TAK, ALE ROZWIJA SIĘ WOLNIEJ OD CIEBIE.

Chauncey był specjalnym przyjacielem Chelsea, a nie Barana Becketta. Jej złość rosła.

*I co będziemy teraz robić?*

MUSISZ ZACZAĆ UCZYĆ SIĘ MYŚLEĆ SAMODZIELNIE, CHELSEA. POKAŻĘ CI ŁADNY OBRAZEK.

Chelsea czekała. Jej umysł nadal sprawiał dziwne wrażenie, jakby była w wielu miejscach równocześnie. Śliski? Czy to właściwe słowo? Nie, bardziej jakby... papkowaty. Jak owsianka z grudkami. Ach, te grudki były ludźmi, z którymi nawiązała połączenie.

W myślach Chelsea gwałtownie pojawił się obraz. Piękny obraz. Nie przypominał niczego, co kiedykolwiek widziała. Coś jakby cztery zapalone obręcze do hula-hop zakopane do połowy w ziemi, z dużą na jednym końcu i trzema mniejszymi za nią. I odchodzące od najmniejszej obręczy dwie duże, śliczne kłody. Laleczki miały to zbudować.

*Och, Chauncey. To najładniejsza rzecz, jaką widziałam. Co to jest?*

KIEDY MAMA I TATA ZABIERALI CIĘ DO KOŚCIOŁA, CZY MÓWILI CI O NIEBIE?

*O tak! Pastor mówi o Bogu, Niebie, Jezusie i o tym, jak Jezus kocha nas ponad wszystko.*

TEN OBRAZ, KTÓRY WIDZISZ, CHELSEA, TO DRZWI DO NIEBA.

Poczuła falę radości.

*Naprawdę? To prawdziwe drzwi do Nieba?*

BĘDZIESZ OCHRONIAĆ LALECZKI, ŻEBY MOGŁY JE ZBUDOWAĆ. KIEDY SIĘ OTWORZĄ, PRZEJDĄ PRZEZ NIE ANIOŁY.

*Anioły? Naprawdę? Będą miały skrzydła?*

TO NIE SĄ MIŁE ANIOŁY, CHELSEA. TO ANIOŁY ZEMSTY.

*Za co będą się mścić?*

PRZYJDĄ UKARAĆ LUDZI, KTÓRZY BYLI ŻLI I NIEGRZECZNI. LUBISZ ZŁYCH LUDZI, CHELSEA?

Pokręciła głową. Bardzo zdecydowanie *nie* lubiła złych ludzi.

NIE ZAWSZE TU BĘDE, ŻEBY CI POMAGAĆ, CHELSEA.

*Nie możesz odejść, Chauncey! Jesteś moim specjalnym przyjacielem!*

JESZCZE NIE ODCHODZĘ, ALE WKRÓTCE. BĘDZIESZ MUSIAŁA MYŚLEĆ SAMODZIELNIE. GDYBYŚ MIAŁA POMÓC LALECKOM ZBUDOWAĆ TĘ BRAMĘ DO NIEBA, JAK MOGŁABYŚ SPRAWIĆ, ŻEBY STAŁO SIĘ TO SZYBCIEJ?

Chelsea się zamyśliła. To było jak szkoła. Musiała pomóc laleczkom zbudować bramę do Nieba. Tylko bardzo specjalna dziewczynka mogła zrobić coś takiego, ale Jezus ją kocha, tak mówi Biblia. Mogła to zrobić. Tylko jak zrobić to szybciej. Potrzebowała...

*Potrzebujemy więcej laleczek! I więcej wybranych ludzi do ich ochrony!*

ZGADZA SIĘ, CHELSEA. A JAK MOŻESZ ZNALEŹĆ WIĘCEJ LALECZEK?

Tym razem odpowiedź nadeszła szybciej.

*Muszę szukać dalej.*

Chelsea wytężyła myśli. Owsianka rozproszyła się dalej. Wyczuła nowe laleczki, w wielu, *wielu* miejscach. Były zbyt daleko, by zebrać się razem, a potrzebowała wielu do zbudowania bramy. Potrzebowała... potrzebowała przynajmniej trzydziestu trzech laleczek.

Chauncey nie podał jej tej liczby, a jednak ją znała. Skąd? Przeszukała swoje myśli. Liczba wydawała się pochodzić od laleczek. Czy o to właśnie chodziło Chaunceyowi, kiedy mówił, że będzie musiała sama myśleć?

Mogła sobie z tym poradzić. Chauncey będzie z niej dumny.

Chelsea sięgnęła jeszcze dalej. Więcej trafień, więcej laleczek... i coś jeszcze...

...coś mrocznego...

...coś... *groźnego.*

Jej oddech przyspieszył. Nie potrafiła się poruszyć. To było jak sen, jeden z tych koszmarów, podczas których Boogeyman idzie po nią a ona ucieka ale się przewraca i nie może wstać a Boogeyman nadchodzi i ma ten ostry nóż i chce ją dźgnąć w plecy ale to nie mógł być sen przecież nie spała a to *coś* ten *potwór* ten *olbrzymi potwór* chciał ją *dorwać.*

- Nie! - Chciała krzyknąć, ale z jej ust wydostał się tylko chrapliwy szept, tak cichy, że sama ledwie go usłyszała. - Nie nie nienienie!

CHELSEA, PRZESTAŃ, NIE PRÓBUJ SIĘ Z NIM ŁĄCZYĆ.

- Boogeyman - wyszczała. - Chauncey, Boogeyman jest *prawdziwy!*

PRZESTAŃ, CHELSEA!

Połączenie się zerwało. Chelsea zamrugała, po czym chrapliwie wciągnęła powietrze. Cała się trzęsła. Poczowała mokre ciepło w spodniach.

Zsikala się.

NIE PRÓBUJ SIĘ Z NIM ŁĄCZYĆ. TO NISZCZYCIEL. CHCE NAS POWSTRZYMAĆ, CHELSEA, CHCE CIĘ SKRZYWDZIĆ. MUSISZ PAMIĘTAĆ, JAK GO WYCZUĆ, ROZPOZNAWAĆ GO I NIGDY WIĘCEJ SIĘ Z NIM NIE ŁĄCZYĆ.

Kiwnęła głową. Wiedziała, że był zły. *Poczula* to.

Dziewczynka zeszła z łóżka i spojrzała w dół. Miała całe przemoczone spodnie. Zaczerwieniła się. *Zsikala* się. Była dużą dziewczynką i coś takiego nie powinno być się zdarzyć. Zsikala się z powodu Boogeymana.

Jej strach nie zniknął, ale Chelsea Jewell zaczęła czuć pierwsze isierki innych uczuć.

Początki wściekłości.

Zalążki *nienawiści.*



Perry siedział nieruchomo jak kamień. Czekał na powrót tego uczucia.

Nie wracało.

Rozdarcie w szarości, krótkie ale bardzo intensywne, jakby słuchać szumu w słuchawkach i nagle oberwać niespodziewanym uderzeniem piskliwego sprzężenia tak głośnym, że dzwoniło w uszach przez wiele dni.

Tylko że to nie był hałas i nie usłyszał tego uszami. Poczł emocję – strach. Czyste przerażenie, bogate i nieosłonięte logiką ani rozumem. Poczł to w duszy. I jak przy dzwonieniu w uszach, wciąż czuł echo tego strachu. Tak *czystego*. Nie czuł nic takiego od czasu... od czasu, gdy był małym chłopcem.

Małym chłopcem do tego stopnia przerażonym cieniami pod łóżkiem, że nie mógł się poruszyć, nie potrafił popatrzeć, pewien, że cokolwiek znajduje się pod łóżkiem, chwyci go i wciągnie tam na wieczność.

Jednak teraz już nie bał się tego czegoś pod łóżkiem.

Teraz to *on* był tym czymś.

## Z użyciem wszelkich wymaganych środków

Kapral Cope wyjechał humvee Charliego Ogdena z tyłu transportowca C-17 Globemaster w zimową noc. Nie musiał jechać daleko, na końcu pasa startowego czekał czarny lincoln. Stało przed nim czterech mężczyzn. Nawet z tej odległości nie dało się pomylić rozmiarów Perry'ego Dawseya.

Ogden klepnął Cope'a w ramię i wskazał lincolna. Kilka sekund później Ogden wyskoczył z samochodu przed Dewem, Perrym i dwoma mężczyznami, których nie znał.

- Pułkownik - odezwał się Dew, ściskając mu dłoń. Dawsey nie wysunął ręki na powitanie, ale Ogden pewnie i tak by jej nie uściśnął. Pozostali dwaj mężczyźni tylko tam stali, zachowując pełną szacunku ciszę.

- Cholernie szkoda Amosa - powiedział Ogden. - Proszę przekazać Margaret moje wyrazy współczucia.

- Oczywiście.

- Jak wygląda sytuacja?

- Jak na razie żadnych problemów - zgłosił Dew. - Drogówka zamknęła wszystkie zjazdy do Gaylord z autostrad I-75 i M-32. Mają po tuzinie ludzi na każdym wjeździe i sprawdzają wszystkich testem wymazowym. Robią się korki, ale nie jest źle.

- Jakies dodatkowe wyniki testów?

- Na razie nie - Dew pokręcił głową. - Mają tam ludzi czekających na pana z mapami okolicy, chcą zasugerować najlepsze miejsca na ustawienie blokad.

- Jakies raporty o przemocy? - zapytał Ogden. - Czy któryś z tych drani się opiera?

- Żadnych doniesień. - Dew znowu pokręcił głową. - Policja Gaylord sama nie wierzy w to, jak gładko wszystko idzie, ale pewnie to dzięki małomiasteczkowym plotkom wyolbrzymiającym historię trupa znalezionego przez listonosza. Dodaj do tego wiadomości straszące tym, co może zrobić martwicze zapalenie powięzi i ludzie bardzo chętnie poddają się testom, żeby tylko jak najszybciej stąd zwać.

Ogden kiwnął głową. Przyzwyczyił się już do gładkiego działania przykrywek wymyślonych przez Murraya Longwortha. Śliski drań znał się na swojej robocie.

- Rozumiem, że potrzebuje pan ludzi - stwierdził. - Ilu i do czego?

- Ośmiu powinno wystarczyć - odpowiedział Dew. - Pamięta pan te ciała znalezione w Bay City? Facet nazywał się Donald Jewell. Przypuszczamy, że odwiedzał tutaj swojego brata, Bobby'ego Jewella, lat trzydzieści trzy. Musimy zgarnąć Bobby'ego.

- Czy ten Bobby ma rodzinę w domu?

- Żona Candice, też trzydzieści trzy lata, córka Chelsea, siedem lat. To wszystko.

- Niech pan poczeka - zdecydował Charlie. - Wyślę pełną drużynę, dziewięciu ludzi zamiast ośmiu. Może być?

Dew pokiwał głową.

Charlie podszedł bliżej Dewa i odezwał się cicho tak, by tylko on mógł usłyszeć jego słowa.

- Murray powiedział, że musimy uważać na wypadek, gdyby Dawseyowi odbiło. Moi ludzie dostali rozkaz powstrzymania go przed zrobieniem czegoś głupiego. Dam im tasery, ale jeśli przyjdzie co do czego, to *powalą* Dawseya stosując wszelkie możliwe środki.

- Zamierza go pan zastrzelić, pułkowniku?

- Jeśli będę musiał - potwierdził Charlie. - Niech pan dopilnuje, by do tego nie doszło.



## Beck Beckett, trzecia klasa

Chelsea patrzyła, jak długim, pełnym skrętów podjazdem podjeżdża ostatni samochód. Przyglądała mu się bardzo uważnie, tak jak pozostałym trzem. Obserwowała i sondowała myślami, zastanawiając się, czy samochód może przewozić Boogeymana.

Wiedziała, że Boogeyman jest *bardzo* blisko, może nawet w Gaylord. I chciał ją zabić... chyba że ona zabije go pierwsza.

Chelsea *nienawidziła* Boogeymana.

Odetchnęła powoli i głęboko, łącząc się z pasażerami - nie było go w tym samochodzie. Auto zatrzymało się za pozostałymi. Wsiadły z niego dwie osoby: mężczyzna i chłopiec.

Dobrze, że wezwwała tu wszystkich. Pan Beckett miał niebieski trójkąt na policzku, a kolejny wystawał znad kołnierza, tylko sam czubek był widoczny tuż nad krawędzią swetra.

Beck Beckett wyglądał całkiem normalnie.

Chodził do trzeciej klasy szkoły podstawowej w South Maple, tej samej, w której Chelsea chodziła do drugiej klasy. Był starszy. Ludzie mogą chcieć go słuchać.

Nie mogła na to pozwolić.

Tata podszedł i uścisnął rękę pana Becketta, po czym zaprowadził go do domu. Beck poszedł za nimi. Frontowe drzwi prowadziły do kuchni, gdzie tata z Beckettami dołączyli do Sama Hamiltona, Ryana Roznowskiego i jego żony, Marie.

Marie nie żyła, ale to nic nie szkodzi.

Pan Beckett pomachał ręką przed twarzą.

- Hej - odezwał się. - Ktoś zostawił włączony piec?

- Dzień dobry, panie Beckett - przywitała się Chelsea. - Witamy.

Widząc ją, pan Beckett przestał machać ręką.

- Dzień dobry, Chelsea. To zaszczyt.

Zmiana w jego głosie była taka zabawna. Dorośli zawsze mówili do niej jak do dziecka, a teraz sami brzmiali jakby to *oni* byli dziećmi, a *ona* była dorosła.

- Dziękuję, panie Beckett. Przepraszam za zapach, ale musieliśmy przygotować pewne rzeczy dla Boga.

*Czemu używasz ust?*

Popatrzyła na Becka. Uśmiechał się do niej, ale to nie był miły uśmiech.

*Uważasz się za takiego bystrego* - w myślach odpowiedziała Chelsea. - *Lepiej wiedz, że to mnie Bóg kocha najmocniej.*

Beck kiwnął głową. *Na razie.*

- Musimy wyjechać z Gaylord - oznajmiła Chelsea. - Tata uważa, że przyjdą tu po nas.

- To głupie - zaprotestował Beck. - Skąd mieliby wiedzieć, żeby przyjść do tego domu?

Dorośli jakby znieruchomieli, jakby nagle zaczęli się bać oddychać. Wszyscy szeroko otworzyli oczy.

- Nie nazywaj mnie głupią - warknęła Chelsea. - Jesteś w *moim* domu.  
- To nie jest twój dom - pogardliwie odpowiedział Beck. - To dom *Boga*. Powinniśmy tu zostać aż do wykluwania.

- Wyjedziemy stąd - oświadczyła Chelsea. - Zrobisz, co ci się każe.  
Beck Beckett zbierał sobie na *straszne* lanie.

Pan Beckett zrobił krok do przodu.

- Może... może powinniśmy posłuchać Becka, Chelsea. W końcu jest od ciebie starszy.

Pan Beckett też będzie musiał oberwać. Ale w porządku. Przygotowała się na to, teraz jednak poczuła się lepiej wiedząc, że pan Beckett na to *zasługiwał*.

- Pan Beckett jest *szpiegiem* - wysyczała Chelsea. - Tak jak Beck.

Pan Beckett zbladł.

- Nie! Wcale nie, Chelsea, nie jesteśmy szpiegami.

- Zamknij się, tato - rzucił Beck.

Pan Beckett popatrzył na syna, po czym cofnął się o krok.

- Bóg nie chce, żebyśmy się spierali, mała Chelsea - powiedział Beck. - Nie jesteśmy szpiegami i zostaniemy tutaj.

Dziewczynka uśmiechnęła się w najśłodszy możliwy sposób.

- Chcesz tu zostać? Dobrze, Beck. Możesz zostać tak długo, jak chcesz.

Odetchnęła szybko i pomyślała najmocniej jak potrafiła.

*Brać ich!*

Tym razem to Beck szeroko otworzył oczy. Chelsea знаła powód: była znacznie, *znacznie* silniejsza od niego. Nie zdawał sobie sprawy z tej różnicy, a teraz było już za późno.

Tata zrobił krok to przodu i kopnął pana Becketta tam, gdzie zawsze boli. Pan Beckett jęknął z bólu i przewrócił się na podłogę. Stary Sam Hamilton podbiegł i zaczął kopać pana Becketta w głowę, a tata wyciągnął nóż z szuflady i rzucił się na leżącego.

Kopniak, dźgnięcie, kopniak, dźgnięcie, kopniak.

Pan Beckett krzyczał, ale to nie przeszkadzało.

Beck potrząsnął głową, jakby nie chciał wierzyć w to, co widzi. Odwrócił się, chcąc uciekać, ale pan Roznowski przewrócił go od tyłu.

*Przestań! Boże, ratuj mnie!* - Chelsea usłyszała myślowy krzyk Becka.

CO TY ROBISZ, CHELSEA?

Pan Roznowski przyciskał głowę Becka do pokrytej linoleum podłogi i zaczął klękać mu na twarzy. Rozległ się dziwny odgłos zgniataania.

*On był niebezpieczny, Chauncey.*

POTRZEBUJEMY GO, NATYCHMIAST TO PRZERWIJ.

- Nie jesteś moim szefem, Chauncey - Chelsea powiedziała to na głos.

Po trzecim uderzeniu kolanem w twarz Beck wciąż jeszcze ruszał nogami. Drgnął cały po czwartym. Po piątym przestał się ruszać. Pan Roznowski przestał i wstał. Twarz Becka wyglądała zabawnie.

A potem wstał tata, cały pokryty krwią pana Becketta. Stary Sam Hamilton utykał, wyglądało na to, że uszkodził sobie stopę kopiąc pana Becketta w twarz.

JESTEM BOGIEM, CHELSEA, MUSISZ MNIE SŁUCHAĆ.

Potrząsnęła głową.

*Jestem teraz dużą dziewczynką, Chauncey. Beck był niebezpieczny. Tak będzie lepiej, kiedyś to zrozumiesz.*

Oczywiście było to kłamstwem. Chauncey mógł kochać Becka bardziej niż ją. A przecież Chauncey był *jej* specjalnym przyjacielem. Po usunięciu Becka zostanie tak już na wieki wieków.

- No dobra - odezwała się Chelsea. - Pora iść się pobawić do domu pana Jenkinsa. Ktoś musi pojechać dwa razy, żeby pozbyć się samochodu pana Becketta. Mamo, możesz mnie zabrać skuterem śnieżnym. Ty tu posprzątaj, tato, a potem też przyjedź skuterem, dobrze?

- Tak, Chelsea - potwierdził tato.

Chelsea, pan Roznowski i stary Sam Hamilton założyli kurtki i wyszli frontowymi drzwiami, a tata wyciągnął pudełko zapalek.

## Autopsja Betty

Autopsja Betty Jewell okazała się katastrofą.

Margaret ledwie potrafiła myśleć po strasznej śmierci Amosa i zupełnie nie wychodziło jej skupianie się na pracy. Do czasu, gdy w końcu zmusiła się do założenia kombinezonu ochronnego i zabrania się do Betty, ciało dziewczyny prawie całkiem się rozpuściło.

Margaret podeszła do stołu, mając przy boku Clarence'a w kombinezonie. Gitsh, Marcus i doktor Dan stali już obok poczerńiałego trupa Betty. Zrobiło się tam naprawdę ciasno, ale Clarence odmówił opuszczenia jej boku. Gitsh i Marcus doskonale się spisali sprząając. Pokój sekcyjny wyglądał nieskazitelnie, poza wózkiem, z którego nieustannie powoli spływał do zlewu strumyczek czarnej mazi.

Margaret chciała się lepiej przyjrzeć tym pełzającym stworkom. Były teraz kluczem do wszystkiego, ale czekała zbyt długo. Wszystkie pełzacze w ciele Betty już się rozpuściły. Nawet próbki pobrane przez Amosa zawierały już tylko grudkowaty czarny płyn.

Pozwoliła, by jej ból stanął na drodze pracy.

Poczuła się słabo. Musiała się oprzeć o wózek, by utrzymać się na nogach, a gdy na niego popatrzyła, w duchu zobaczyła obdarte ze skóry ręce Betty Jewell, dźgające Amosa skalpelem. Spuszczając wzrok Margaret zobaczyła Amosa desperacko próbującego sięgnąć do gardła przez kombinezon, niezdolnego do wciśnięcia rąk przez rozcięcie, nie mogącego powstrzymać krwi zalewającej wewnątrz szyby hełmu. Patrząc na zlew zobaczyła rozpryskujący się po białej ścianie mózg Betty, ściekający kawałkami do odpływu.

Poczuła rękę Clarence'a na ramieniu.

- Dobrze się czujesz, Margo?

Kiwnęła głową.

- Tak, nic mi nie jest.

Wszyscy wiedzieli, że kłamie.

- Dan - odezwała się Margaret. - Oglądałeś nagranie z kamery na moim hełmie? Film z autopsji?

- Tak - potwierdził. - Kilka razy.

- I co zobaczyłeś?

- Coś pełzającego po jej twarzy - odpowiedział lekarz. - Doktor Braun uważał, że to coś pełźnie wzdłuż nerwu V3 w stronę mózgu.

- Zgadzasz się z tym?

- Zdecydowanie na to wyglądało.

Szkoda, że nie mieli mózgu do analizy, co zawdzięczali kuli Otto i szybkiemu rozkładowi. Pełzacz kierował się do mózgu, i co potem?

Wtedy się rozpadła.

Rozdzielał się na te włókna mięśniowe, które zobaczył Amos... zmieniał organizację... i znowu się łączył.

W siatkę. Taką, jak w mózgu Perry'ego Dawseya.

- Te pełzacze - powiedziała Margaret. - Chcą odtworzyć to, co widzieliśmy na skanach tomografii komputerowej Dawseya.

- To dość duży skok logiczny - stwierdził doktor Dan. - Jak dotąd nie widzieliśmy jeszcze niczego przypominającego te pełzacze. Czytałem twoje raporty dotyczące gospodarzy znalezionych w Glidden, ojca, matki i tego chłopca. Miałaś świeże ciała, a jednak nie było w nich nic, co przypominałoby to pełzające coś.

- To ewidentnie coś nowego. I nie obchodzi mnie, że to skok. Mam *rację*. Te rzeczy zakazają ludzkie ciało, może się jakoś powielają, a potem pełzną w stronę mózgu. Jeśli zdołamy je powstrzymać od pełzania, będzie to oznaczało ich zatrzymanie.

- To ma strukturę - zauważył Dan. - Kształt. Może się poruszać. Do tego potrzebuje cytoszkieletu.

- Te maluchy mają szkielety? - zapytał Clarence.

- Cytoszkielety - skorygował Dan. - To coś w rodzaju szkieletu, takie mikroskopijne rusztowanie, które pozwala komórce utrzymać kształt.

- Bez niego byłyby to tylko błona z płynem w środku - dodała Margaret. - Bez utrzymującego strukturę cytoszkieletu, komórki byłyby jak balony z wodą. Amos uważał, że pełzacze wyglądają jak włókna ludzkich mięśni. Jeśli to coś jest zmodyfikowanymi komórkami mięśniowymi i zaburzymy ich strukturę komórkową, to komórki nie będą mogły się kurczyć, czyli nie zdołają się ruszyć. Nie będą mogły *pełznąć*.

- Czyli rozpuścisz ten cytoszkielet - zapytał Clarence - i je wyłączysz?

- To nie takie proste - wtrącił się Dan. - Nasze normalne komórki też mają cytoszkielety. Wszystko, co może zabić pełzacze, zabije także nasze komórki.

- Ale to przynajmniej coś - rzuciła Margaret. - Ludzkie ciało może odtworzyć utracone komórki i z czasem naprawić uszkodzenia, ale te pełzacze są tak małe, składają się z ledwie kilku komórek, że jeśli zniszczymy ich cytoszkielety, mogą zginąć. W każdym razie możemy je zatrzymać, zanim dotrą do mózgu.

- Mogę zamówić badanie przesiewowe - stwierdził Dan. - Możemy ściągnąć wszystkie leki, które mają szansę zadziałać i trzymać je w gotowości do czasu, aż złapiemy następnego gospodarza.

- *Jeśli* złapiemy następnego - skorygował Clarence. - Miejmy nadzieję, że więcej ich nie będzie.

- Dorośnij, Clarence - rzuciła Margaret. - Doskonale wiesz, że będą następni. *Zawsze* jest ich więcej.

W kontenerze zapadła cisza. Margaret odtworzyła tę chwilę w głowie i zrozumiała, jak paskudnie zabrzmiały jej słowa.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie przejmuj się. - Clarence wzruszył ramionami. - Czy możemy przetestować te środki przeciwko cytoszkieletowi na pozostałościach Betty?

- Nic tu nie zostało - odpowiedziała lekarka. - Już na to za późno. Ale powiem ci, co zrobimy z tym ciałem. Spalimy je.

Popatrzyła na poczerńiałe, rozkładające się resztki morderczyni.

- Uch, Margo - niepewnie wtrącił się Clarence. - Czy nie chcemy... no nie wiem... zbadać ich?

- I co takiego możemy tu znaleźć? - Obróciła się do niego. - Co? To kolejny szerniały trup, Clarence. Reakcja łańcuchowa apoptozy. Bum, martwy i koniec. To wszystko. Miała to samo, co dorwało jej ojca, więc przeprowadzimy analizę chemiczną na *jego* szczątkach. Nie potrzebujemy tego... tego *czegoś*.

Zwróciła się z powrotem w stronę Gitsha i Marcus. Patrzyli na nią wzrokiem pełnym współczucia. Wiedziała, że zasmuciła ich śmierć Amosa, ale po prostu tego nie rozumieli.

- Wsadźcie tę pieprzoną dziwkę do spalarni - poleciła. - Nie chcę, żeby został choćby gram z tego *czegoś*, rozumiecie?

Gitsh i Marcus powoli kiwnęli głowami.

Margaret odwróciła się i wyszła z pokoju do autopsji.

## Sploniecie, sploniecie, tak sploniecie (powtórka)

Choć większość domu Jewellów już przepadła, w stronę ciemnego nieba wciąż strzelały płomienie. Błyskające światła wozów strażackich wzbogacały scenerię, zabarwiając na różne kolory płatki śniegu, opadające pionowo jak leniwe krople deszczu. W mrocznej izolacji domu Jewellów to miejsce sprawiało wrażenie wyspy światła otoczonej przez nieskończony ocean mroku.

Z węży wozów strażackich strumienie wody tryskały na dom, zmieniając podwórko w błotnistą maź pełną popiołu i żarzących się kawałków drewna. Wskazówka dotycząca przypadku trójkątów zaprowadziła go do płonącego domu. *Rety* – pomyślał Dew – *co za niespodzianka*. Gdyby przyjechał tu zaraz po dotarciu do Gaylord, prawdopodobnie miałby już Jewellów pod kluczem. Zamiast tego Dew miał nieprzyjemne uczucie, że jedyne co znajdzie, to kolejne ciała do kolekcji Margaret.

Margaret. Kompletnie się posypała. Amos zginął w paskudny sposób. Im dłużej zostanie w tym interesie, w tajnej krainie Murrayów Longworthów i Dewów Phillipsów, tym łatwiej przyjdzie jej zrozumieć, że takie rzeczy były nieuniknione. Zastanawiał się, czy zdoła to zablokować, czy któregoś dnia w przyszłości zacznie opowiadać własne kombatanckie historie.

Dew spojrzał na Perry'ego, który pozornie bez emocji przyglądał się pożarowi. Co się działo w tej jego wielkiej makówce? Minęły trzy dni od ich szamotaniny i Perry sprawiał wrażenie, jakby wreszcie dał się przekonać. Chyba Margaret znowu miała rację. Dew miał głęboką nadzieję, że zmiana nie była udawana. Choć brzmiało to bardzo dziwnie, żeby nie powiedzieć cholernie dziwnie, zaczął lubić tego dzieciaka.

Dew szturchnął Perry'ego.

- Czujesz coś?

- Tylko to uczucie szarości. - Perry pokręcił głową. - Coś tam jest, ale nie mogę tego namierzyć.

- A co z tym drugim uczuciem? - zapytał Dew. - Tym, że szykują się do wielkiego powrotu?

- Tak - potwierdził Perry. - Nadal to czuję. I to jeszcze silniej.

Przez błoto przedarł się w ich stronę człowiek w stroju strażaka.

- Pan jest Dew Phillips?

Dew kiwnął głową i wyciągnął rękę na powitanie.

- Brandon Jastrowski. Chief Cooper powiedział, że mam wam we wszystkim pomagać. - Popatrzył na Perry'ego, po czym sam wysunął rękę. - A pan to?

Perry popatrzył na Dewa. Dew przytaknął.

- Perry Dawsey - przedstawił się Perry, ściskając wysuniętą rękę.

- Dawsey? *Straszny* Perry Dawsey?

Perry kiwnął głową.

- Jasna cholera - rzucił Brandon. - Strasznie się cieszę, że mogę pana poznać. Uwielbiałem pana oglądać w grze. Och, jak nienawidzę Ohio, mam rację?

Perry znowu przytaknął.

- A o co chodziło z tymi informacjami o morderstwach w wiadomościach parę miesięcy temu?

- Pomyłona tożsamość - wyjaśnił Dew. - Perry pracuje teraz dla rządu. Co z domem? Jakież ciała?

- Niestety tak - odpowiedział strażak. - Dorosły mężczyzna, dorosła kobieta i dziecko, wiek od siedmiu do dziesięciu lat. Prawdopodobnie Donald i Candy Jewell, byli właścicielami domu, oraz ich córka Chelsea.

- Prawdopodobnie?

- Ciała są w kiepskim stanie - wyjaśnił Brandon. - Wszystkie trzy były w kuchni, gdzie zaczął się pożar. Zdecydowanie podpalenie, bez dwóch zdań. I coś więcej, bo kobieta ma dziurę w czaszce, prawdopodobnie strzał w tył głowy.

- Musimy dostać te ciała - oświadczył Dew.

- Proszę?

- Ciała, potrzebujemy ich. Niech pana ludzie je wyciągną, wsadzą do worków i zostawią tutaj, pod huśtawką. - Dew wskazał drzewo rosnące na podwórzu. Z nagiej, ośnieżonej gałęzi zwisały dwie liny, kończące się pod również ośnieżoną deską.

Brandon popatrzył na huśtawkę, potem znowu na Dewa.

- Ale... umm... musimy zabrać te ciała to miejscowej kostnicy.

- Nie dzisiaj - oświadczył Dew. - Tym razem to kostnica przyjedzie do nas. Wsadźcie ciała do worków, połóżcie je tam, i zróbcie to najszybciej, jak możecie. Zrozumiano?

Brandon wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym kiwnął głową. Wrócił do pożaru.

Dew wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer. Otto odebrał natychmiast.

- Otto, tu Dew. Jesteśmy przy domu Jewellów. Cała rodzina nie żyje, dom płonie, prawdopodobnie była tu strzelanina.

- Perry znów się urwał?

- Nie, nie miał z tym nic wspólnego.

- Poważnie?

- Zamknij jadaczkę - warknął Dew. - Zbierz swój zespół, chcę tu mieć Margo Mobil najszybciej, jak się da. Już czas, żeby Margaret się ogarnęła i wróciła do pracy.



## Mapa

Chelsea siedziała za przeszklonymi drzwiami, wyglądając przez podwórze na tyłach domu pana Jenkinsa. Prawie całkowicie zaciągnęła zasłony, zostawiając tylko wąską szparę do wyglądania przez szybę. To wystarczyło do obserwacji wzgórze i płomieni pochłaniających jej dom. Z tej odległości wydawał się taki mały. Nie potrafiła rozróżnić poszczególnych ludzi, ale wiedziała, że tam są.

Zwłaszcza jedna osoba.

*Boogeyman.*

Chelsea bardzo uważała, by do niego nie sięgać, nie nawiązywać połączenia. Gdyby wyczuł ją teraz, gdy był tak blisko...

- Chelsea - tata zawołał z salonu pana Jenkinsa. - Myślę, że powinnaś to zobaczyć.

Chelsea zaniósła swoją miseczkę z lodami do salonu i usiadła obok taty. Pan Jenkins nie miał lodów na patyku, ale podwójnie czekoladowe z migdałami były całkiem niezłe.

W telewizji wyświetlali reklamę. W pokoju znajdowało się pięć osób: Ryan Rozinski, tata, stary Sam Hamilton, mama, listonosz pan Burkle i pan Jenkins.

Pan Jenkins siedział w fotelu z rozkładanym podnóżkiem. Nie wyglądał najlepiej, cały oblany potem i blady pod wielką rudą brodą, ale jego stan szybko się poprawiał. Chelsea wyczuwała już jego umysł. Całuski mamusi zadziały. Chelsea wiedziała, że to bardzo ważne: osoby pocałowane przez nią mogły całować innych. Boża miłość mogła przenosić się z człowieka na człowieka, aż wszyscy na świecie poznają jego radość.

Mama siedziała na kolanach pana Jenkinsa, ocierając mu głowę zwilżoną szmatką.

*Wszystko będzie dobrze, panie Jenkins. Wkrótce poczuje się pan lepiej.*

Mężczyzna popatrzył na nią zapadniętymi oczami i się uśmiechnął.

- Dziękuję - powiedział. - Dziękuję za dar Bożej miłości.

- Znowu to włączają - powiedział tata. Skierował pilota na telewizor i zwiększył głośność. Na ekranie pojawiła się ładna pani za biurkiem.

- Ponownie wracamy do wiadomości wieczoru, jaką jest wypadek samolotu transportowego, który zniknął z radaru w okolicach hrabstwa Otsego - powiedziała prezenterka. - Samolot przewoził próbki bakterii martwiczego zapalenia powięzi, czyli bakterii wywołującej rozkład ciała, która mogła zostać uwolniona w wypadku i już została wstępnie powiązana z jednym przypadkiem śmierci. Wezwano gwardię narodową, a władze stanowe nakazały tymczasową ewakuację Gaylord.

Na ekranie pojawił się mężczyzna w nieskazitelnym niebieskim mundurze. Wszyscy w pokoju poruszyli się niespokojnie na jego widok. Chelsea poczuła podobną reakcję: jej ciało wzdrygnęło się na widok munduru i broni przy boku mężczyzny. To był wróg Boga... jeszcze jeden z diabłów.

U dołu obrazu pojawił się pasek z podpisem: OFICER MICHAEL HAMILTON, RZECZNIK PRASOWY POLICJI STANU MICHIGAN. Pod tymi słowami zamieszczono numer telefonu zaczynający się od 800.

- To tylko czasowa ewakuacja - oświadczyło narzędzie szatana. - Bardzo ważne jest, żebyśmy mogli sprawdzić wszystkich pod kątem narażenia i skontrolowali miasto,

potem wszyscy będą mogli wrócić. Dla osób nie dysponujących transportem, lub które nie mogą podróżować samodzielnie, przekazujemy numer bezpłatnego telefonu, z którym mogą się skontaktować. Wkrótce zaczniemy prowadzić kontrole domów w celu upewnienia się, że nikogo nie pominęliśmy. Będzie nam w tym pomagać gwardia narodowa.

- Wyłącz to - poleciła Chelsea. Tata niezgrabnie znalazł właściwy przycisk i wyłączył telewizor. Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Chelsea.

- Przyjdą po nas - oznajmiła. - To właśnie mają na myśli mówiąc o sprawdzaniu domów. Chcą nas znaleźć i zabić. Gwardia narodowa, to *żołnierze*. Chcą powstrzymać otwarcie bramy do nieba.

- Wiedziałem, że będą chcieli nas dostać - odezwał się tata. Trząśnięty ze złości i podniecenia. - Chelsea... *żołnierze*... i co my teraz *zrobimy*?

Wszyscy w salonie pokiwali głowami. Chelsea słyszała, jak mamrocą to przerażające słowo: *żołnierze*.

- To Bóg wysłał nam żołnierzy - oznajmiła dziewczynka. - Musimy pokładać w nim wiarę, to część jego planu. Wysłał nam żołnierzy z mnóstwem *bronii*. Nie rozumiecie? Musimy pokazać żołnierzom, jak bardzo Bóg ich kocha.

Przesłała do nich obraz stojących wokół bramy ludzi z bronią. Poczuli, jak obraz rozbłyskuje w umysłach pozostałych, a potem stało się coś dziwnego - na krótką chwilę ich myśli stopiły się i obraz przybrał dziwną ostrość, jakby był *prawdziwy*. Ta chwila błyskawicznie się skończyła.

- Co to było? - zapytał pan Burkle. - Co się, do cholery, stało?

- Brzydkie słowo, panie Burkle - ostrzegła Chelsea.

- Przepraszam, Chelsea. - Pan Burkle spuścił głowę.

Dziewczynka nie wiedziała, co się przed chwilą stało. Z drugiej strony, to ona to wywołała. Kiedy wszyscy myśleli razem, myśleli te same myśli, sprawiali wrażenie takich... takich... inteligentnych.

Wszyscy jedli lody i patrzyli na Chelsea. Chcieli wiedzieć, co powinni teraz robić. Zamknęła oczy i *pomyślała*.

*Gdzie zbudujemy bramę, Chauncey?*

TY MUSISZ ZNALEŹĆ MIEJSCE.

*Mamy to zrobić w lesie?*

NIE TYM RAZEM. DIABEŁ ZRZUCI TAM NA WAS BOMBY. JEŚLI PÓJDZIECIE W MIEJSCE, GDZIE BĘDZIE DUŻO LUDZI, DIABEŁ ZAWAHA SIĘ PRZED UŻYCIEM BOMB, A TO MOŻE CI ZAPEWNIĆ TROCHĘ WIĘCEJ CZASU.

Gdzieś, gdzie będzie dużo ludzi. Laleczkom pewnie się to bardzo spodoba. Mnóstwo ludzi do zabawy, kiedy już tam będą. Jednak Chelsea wciąż musiała wszystkich ukryć, inaczej Diabeł ich odnajdzie.

- Ma pan mapę, panie Jenkins?

- Oczywiście, skarbie - potwierdził. Dźwignął się z fotela i poszedł do kuchni.

Musiała wszystkich stąd zabrać. Uciekała, i to nie tylko przed diabłami, ale przez Boogeymanem. Ucieczka nie była tak straszna jak obsikanie spodni, ale nie była też

dobra. Wiedziała, że robi się silniejsza... Może już niedługo będzie mogła się zmierzyć z Boogeymanem.

Zmierzyć się z nim i go *zabić*.

Pan Jenkins wrócił ze składaną papierową mapą i podszedł do stołu.

Leżało na nim mnóstwo broni: cztery karabiny myśliwskie z tymi wielkimi lunetami, dwie strzelby i pistolet. Między bronią ustawiono pudełka z amunicją.

- Możecie to zabrać? - poprosił pan Jenkins. - Chelsea chce zobaczyć mapę.

Ręce pospiesznie rzuciły się do uprzątnięcia broni i nabojów. Chelsea podobało się, jak szybko wszyscy się ruszają.

Pan Jenkins rozłożył mapę na opróżnionym stole. Chelsea, pan Burkle, mama i pan Jenkins zebrali się wokół niej.

Dziewczynka patrzyła na mapę, ale tak naprawdę nie umiała jej odczytać.

Mama pogłaskała ją po głowie.

- Wiesz, czego szukasz, skarbie?

Chelsea kiwnęła głową, ale po chwili nią pokręciła.

- Skąd wiadomo, gdzie jest dużo ludzi?

Pan Burkle wskazał żółtą plamę na mapie. Chelsea przeczytała umieszczony na żółtym tle napis czarnymi literami: FLINT.

- Widzisz ten żółty kolor? - zapytał pan Burkle. - Im więcej żółtego, tym więcej jest tam ludzi.

Chelsea zaczęła uważnie przeglądać mapę. Jej blond włosy opadły i dotknęły papieru. Po chwili dotknęła palcem mapy i uniosła głowę z szerokim uśmiechem na ustach.

- W tym miejscu jest najwięcej żółtego! To znaczy, że tam jest najwięcej ludzi, prawda?

Pan Burkle przyjrzał się wskazanemu miejscu i kiwnął głową.

- Tak. Zgadza się, tam będzie mnóstwo ludzi.

- W takim razie tam pojedziemy.

- To co teraz? - zapytała mama.

- No cóż - odezwał się pan Burkle. - Musimy wymyślić sposób, jak pokazać żołnierzom miłość Boga, upewnić się, że nikt inny się o tym nie dowie oraz wydostać się z miasta, nie ginąc.

- I zebrać po drodze więcej laleczek - dodała Chelsea. - Potrzebujemy dość laleczek, żeby zbudować bramę. Ile osób pomieści pana duży samochód, panie Jenkins?

- Winnebago? Prawdopodobnie bez problemu około dziesięciu. Czy to wystarczy?

Chelsea wzruszyła ramionami. Coraz łatwiej było jej sięgać umysłem i znajdować innych. Obecnie miała kontakt z kolejnymi pięcioma tatusiami laleczek. Tyle rzeczy na głowie - dać żołnierzom całuski, przedostać się przez innych żołnierzy, dotrzeć do miejsca z ludźmi i zabrać po drodze tatusiów laleczek. Jak mogli zrobić to wszystko?

Przyszedł jej do głowy pomysł, który raczej nie spodoba się Chaunceyowi. Może po prostu mu o nim nie powie. Choć nie była pewna, czy pomysł się sprawdzi... Będzie potrzebowała pomocy w przemyśleniu tego.

Potrzebowała większego mózgu.

Tak jak kilka minut temu, gdy wszyscy mieli to uczucie...

- Hej, wszyscy, myślcie razem ze mną - zarządziła Chelsea. Zamknęła oczy. Choć tego nie widziała, poczuła jak wszyscy kolejno zamykają oczy. Ich myśli stopiły się w jedno i zaczęli planowanie.

# **DZIEŃ SZÓSTY**

## Zapomniały, oglądający Springera biały śmieć z przyczepy

Jeszcze trzy samochody przed nią. Da radę ich oszukać. *Musi* ich oszukać. Chcieli zabić jej całą rodzinę, ale Bernadette nie zamierzała do tego dopuścić.

Musiała zachować spokój i dopilnować, by dzieci były spokojne. William siedział na miejscu pasażera, przypięty pasami. Wiedziała, że się boi, ale siedział cicho. Sally i Christine zajmowały miejsca z tyłu. Były takie grzeczne, cudowne małe aniołki. Przykryła je kocem, żeby nie zmarzły.

Jeszcze dwa samochody. Podjechała saabem do przodu.

Shawn został w domu. Pieprzony drań. Niech tam zostanie, niech ma cały dom dla siebie. Z całą pewnością ją zdradzał, po prostu to *wiedziała*. Może z tą małą zdzirą, sekretarką w jego biurze konstrukcyjnym. Kto zatrudniał dziewczyny farbujące włosy na czarno i malujące się w taki sposób, żeby były *sekretarkami*? Bernadette nie wiedziała, co to znaczy być *gotką* i nie chciała tego wiedzieć. Pewnie po prostu inne słowo na *zdzirę*, którą na pewno była ta mała kurewka.

*Wiedziała*, że ją zdradza, bo tak jej powiedziały głosy.

Jeszcze jeden samochód przed nią. Znowu podjechała. Opuściła szybę. Do samochodu wtargnęło zimne powietrze.

Wszędzie pełno żołnierzy. Żołnierzy i glin. Chcieli ją *zabić*, była tego pewna. Nie chciała się do nich zbliżać, ale głos powiedział jej, żeby jechała tędy, powiedział, że będzie mogła przejechać przez punkt kontrolny, dostać się na autostradę i uciec z Gaylord.

Żołnierze mieli jakiś test. Może sprawdzali, czy kierowcy pili alkohol. Już takie przechodziła. Głosy powiedziały jej, że zdoła go zaliczyć i uwierzyła im.

W końcu jeśli nie można wierzyć głosom we własnej głowie, to komu *można* wierzyć?

- Gdzie jedziemy, mamo?

- Wyjeżdżamy, William - odpowiedziała. - Mówiłam ci, żebyś był cicho. Będziesz się znowu odzywał?

William szeroko otworzył oczy i gwałtownie pokręcił głową. Nie, już więcej nic nie powie. Jeśli to robi, będzie musiała się nim zająć.

Wóz przed nią odjechał. Przed jej samochodem stanął gliniarz z drogówki i gestem nakazał jej podjechać. Zbliżyła się powoli, aż wyprostował dłoń, wskazując, że ma stanąć.

Zahamowała.

Kolejny policjant nachylił się i zajrzał przez otwarte okno do wnętrza samochodu. Jedną ręką opierał się o drzwi, drugą trzymał na kaburze z bronią. Patrzył na nią spod daszka tej niedorzecznej czapki - skąd oni w ogóle brali tych świrów?

- Dobry wieczór, proszę pani - odezwał się. - Ustawiliśmy tę blokadę w celu przeprowadzenia szybkiego testu na obecność bakterii, które mogą się znajdować na tym obszarze. Zna pani sytuację?

- Oczywiście, że znam *sytuację*. Myśli pan, że nie oglądam wiadomości? Myśli pan, że jestem jakimś zapomniałym, oglądającym Springera białym śmieciem z przyczepy? Wiem

wszystko o *sytuacji* i nic nam nie jest, nie mamy tej bakterii. Przejedziemy teraz i będzie po wszystkim.

Gliniarz nie wyglądał na zadowolonego z faktu, że Bernadette nie chciała poddać się temu głupiemu testowi, ale takie jest życie. Pieprzyć go.

- Obawiam się, że musimy przeprowadzić ten test, proszę pani - odpowiedział. - To zajmie tylko chwilę. Musimy też zbadać pani dzieci, ale najpierw skontrolujmy panią. - Podniósł foliową kopertę. Na rękach miał rękawiczki chirurgiczne. - Proszę otworzyć to opakowanie, wyciągnąć z niego wacik na patyczku, przesunąć nim po wnętrzu policzka i dziąsłach, a potem podać mi go patyczkiem do przodu.

- Przepraszam, panie policjancie, ale czy pan jest *głuchy*? Powiedziałam panu, że nie trzeba nas sprawdzać. Niech pan pamięta, że to *moje* podatki idą na *pana* pensję. A teraz, jeśli nie chce pan, żebym spisała numer pańskiej odznaki i zrobiła panu piekło z życia, niech pan zabierze kolekę z mojej drogi. *Spieszymy się*.

Policjant patrzył na nią przez chwilę. Potem spojrzął na Williama. Na tylne siedzenie. Mocniej zmarszczył brwi pod daszkiem czapki, a potem szerzej otworzył oczy. Nagle się wyprostował i cofnął o krok, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu.

- Proszę natychmiast wysiąść z samochodu.

Wiedział. Ten pieprzony gliniarz *wiedział*.

Bernadette wdepnęła pedał gazu do oporu. Jej saab skoczył do przodu. Policjant stojący przed maską uskoczył na bok. Rampa wjazdowa na I-75 była zaledwie kilkadziesiąt metrów stąd, mogła tam wjechać. W poprzek wjazdu zaparkowano wóz policyjny... może było tam dość miejsca, by przecisnęła się z boku.

Usłyszała ostre dźwięki, przypominające wystrzały z kapiszonów.

Samochodem szarpnęło w lewo. Bernadette obróciła kierownicę ostro w prawo, próbując zapanować nad autem. Znowu dźwięki pęknięcia. Samochodem szarpnęło gwałtownie w prawo i wpadł w poślizg, po czym uderzył w zaspę i gwałtownie się zatrzymał, rzucając ją do przodu.

Opony. Przestrzelili jej opony, jak w jakimś pieprzonym serialu telewizyjnym o Franku Anvilu, czy czymś takim. Czy nie rozumieli, że głosy *powiedziały* jej, że będzie mogła przejechać?

Bernadette otworzyła drzwi, chwyciła torebkę i wysiadła z saaba.

- Na ziemię! - krzyknął policjant. Więcej głosów, wszystkie krzyczące to samo. - Kładź się na ziemię, już!

Celowali do niej z pistoletów. Wszędzie niebieskie kurtki i okrągłe czapli, ze wszystkich stron. Chcieli ją *zabić*.

Bernadette sięgnęła do torebki i wyciągnęła rzeźnicki nóż. To im pokaże. Sprawdziło się na córkach, wreszcie się zamknęły, i zdecydowanie przekazało Shaunowi ważną lekcję dotyczącą nie zdradzania swojej żony. Zadziałało na nich, sprawdzi się i na policjantach.

Rzuciła się na tego, który zaglądał do jej samochodu.

Wszystko się rozmyło, jej ciało drgnęło i zatrzęsło się, upuściła nóż i upadła na zimny, mokry asfalt. Taki *ból*. Ból ustał równie nagle, jak się pojawił, zostawiając po sobie efekt echa. Potrząsnęła głową i spróbowała wstać, ale nagle na całym ciele poczuła dłonie.

Twarz wciśnięto jej w asfalt i coś ciężkiego przygniotło jej kręgosłup. Ręce odciągnięto jej za plecy i poczuła, jak zapinają się na nich kajdanki.



## Blokada

Jakieś dziewięć kilometrów na wschód od wjazdu na I-75, starszy szeregowy Dustin Climer popatrzył w niebo, obserwując lecący na zachód helikopter Blackhawk. Przez ostatnie pół godziny helikopter krążył powoli po okolicy, obserwując drogi w dole. Coś się działo. Dustina zaciekało, czy kogoś złapali.

- Dustin - zawołał Neil Illing. - Wacik?

- Przepraszam - odpowiedział Dustin i wsunął patyczek z watką do białego detektora. Trzymał w rękach patyczek i detektor, ale nagle zmiana zachowania helikoptera odwróciła jego uwagę. Po kilku sekundach detektor wyemitował dwa krótkie piśnięcia i zaświeciła się zielona kontrolka, wskazując na wynik ujemny.

- Jest czysta - powiedział do Neila.

Neil schylił się lekko, zaglądając do samochodu.

- Wszystko w porządku, proszę pani - powiedział.

Kobieta głośno odetchnęła z ulgą. Dustin nie był pewien, czy był to efekt ujemnego wyniku testu sprawdzającego obecność bakterii zjadającej ciało, czy wynikał z faktu, że czterej otaczający jej samochód mężczyźni z bronią nagle wyraźnie się rozluźnili.

- Kiedy będę mogła wrócić do domu? - zapytała kobieta. - To wszystko to jakieś szaleństwo.

- Zgadza się, proszę pani - potwierdził Neil. - Powinna pani móc wrócić jutro lub w najgorszym razie pojutrze. Proszę oglądać wiadomości.

- Dziękuję, oficerze.

- Jestem żołnierzem, nie policjantem - ze śmiechem odpowiedział Neil.

Kobieta przesadnym gestem kiwnęła głową, jakby chciała powiedzieć *oczywiście*. Neil jeszcze raz się uśmiechnął i odsunął się od samochodu. Kobieta wrzuciła bieg i odjechała z punktu kontrolnego, oddalając się ośnieżoną drogą gruntową.

Dustin i Neil stali tam na mrozie poranka, czekając na następnego samochód. Joel Brauer obsługiwał karabin maszynowy M249, więc on też musiał cierpieć na mrozie. Czwarty członek ich zespołu, James Eager, schował się do ogrzewanego wnętrza hummera. Musiał z niego wychodzić tylko, gdy nadjeżdżał samochód, co znaczyło, że Dustin chwilowo cholernie mu zazdrościł. Jeszcze piętnaście minut i razem z Neilem zamieniają się miejscami z Jamesem i Joelem.

Przy braku helikoptera nad głowami, znowu usłyszał ciche odgłosy skuterów śnieżnych. Zapewne miejscowi chłopcy ganiający się po lasach.

James otworzył drzwiczki i się wychylił.

- Dorwali jednego - zawołał. - Gospodarz trójkątów próbował się przedostać na wjazd na I-75. Cope powiedział, żeby uważać, wysyłają uzupełnienia do wzmocnienia innych wjazdów na wypadek, gdyby było ich więcej, więc przez jakiś czas zostaniemy sami.

- Jasne - odpowiedział Dustin.

James schował się z powrotem do ogrzewanego hummera, a Dustin znienawidził go odrobinę mocniej.

- To wszystko jest trochę popieprzone - rzucił Neil.

- Co takiego? - zapytał Dustin. - Walka z małymi potworami i reszta?

- Jasne, to też, ale chodzi mi o to, że choć walczyliśmy z małymi potworami i całą resztą, wciąż musimy stawać na warcie. No wiesz, jestem czujny i w ogóle, ale to cholernie nudne, nie? Przez ostatnie dwie godziny przejechały tędy trzy samochody.

- No i co zrobisz? - Dustin wzruszył ramionami. - Musimy wszystkich sprawdzać. Właśnie jednego dorwali, nie słyszałeś Jamesa?

- Tak, tak, słyszałem, ale to... no wiesz, pięć dni temu rozwaliliśmy na kawałki tamtą konstrukcję, a teraz sprawdzamy dokumenty i robimy testy cywilom. Pięć dni temu strzelaliśmy cholernymi kulami elektrycznymi do potworów, a dzisiaj naszą główną bronią jest to.

Neil wyciągnął z kieszeni opaskę zaciskową i pomachał długim, wąskim kawałkiem plastiku. Opaski zaciskowe już dawno temu zastąpiły kajdanki zarówno w policji, jak i wojsku.

- Mogę tym zatłuc pisklaka na śmierć - oświadczył Neil, machając paskiem plastiku jak miękkim mieczem.

- Wyluzuj - rzucił Dustin. - Pułkownik Ogden nie zabronił nam przecież się bronić. Jeśli pocujemy się zagrożeni, strzelamy.

Neil obrócił się o 180 stopni i przybrał przesadnie udramatyzowaną postawę na szeroko rozstawionych nogach. Wyciągnął z kieszeni drugą opaskę i zamachał każdą w jednej dłoni, jakby używał nunczako.

- No nie wiem - stwierdził. - Założę się, że mogę tym zatrzymać kule.

Joel wybuchnął śmiechem, na co Neil zareagował kolejną serią udawanych ruchów bojowych.

Dustin potrząsnął głową. Cholerni idioci. I z takimi durniami musiał teraz pracować?

Odgłosy skuterów śnieżnych przez chwilę jakby się zbliżały, a potem ustały. Dustin i Neil rozejrzeli się wokoło, ale nie zdołali zobaczyć skuterów.

- Wygłupy na śniegu? - zapytał Neil.

- Może - zgodził się Dustin. - Nie brzmiało to tak, jakby próbowali się prześlizgnąć między blokadami. To znaczy, gdyby tego próbowali, nie słyszelibyśmy ich przez całe rano, po prostu pojechaliby głębiej przez lasy.

- Jak, do cholery, ludzie mogą się wybierać na przejażdżki w takiej sytuacji?

- Pewnie do wszystkich nie dotrzesz. - Dustin wzruszył ramionami. - Choć ten gość, który zrobił się cały czarny i rozpadł, to zdecydowanie napędziło ludzi do sprawdzania się tym testem. Cholera, stary, powinniśmy od nich brać po piątku.

Uwagę Dustina przyciągnął dźwięk kolejnego pojazdu. W stronę punktu kontrolnego jechała furgonetka pocztowa, śnieżnobiała od góry, od dołu oblepiona błotem, najmocniej za błotnikami.

- Poczta musi przejechać - skomentował Dustin. - Chcesz tym razem użyć detektora?

- Jasne - zgodził się Neil. - Przynajmniej jakaś odmiana. Daj mi to.

Dustin przekazał mu plastikowy detektor.

James Timmons wysiadł z hummera i przeszedł na drugą stronę drogi, dając sobie i Joelowi pokrywające się pola ostrzału zbliżającej się furgonetki pocztowej.

Dustin wyszedł na środek drogi i uniósł rękę w geście „stój”. Prawą dłoń trzymał na rękojeści pistoletu. Furgonetka ostrożnie zwolniła i zatrzymała się.

Podszedł do drzwi kierowcy. Drzwi odsunęły się na bok.

- Dzień dobry - odezwał się Dustin. - Poproszę nazwisko i jakiś dokument.

- John Burkle - przedstawił się mężczyzna. Podał prawo jazdy. Climer wziął je, cofnął się o krok, skontrolował dokument, po czym podniósł wzrok. Zdjęcie zdecydowanie pasowało do mężczyzny, choć ten miał duży siniak z boku szczęki, a spod czapki wystawał bandaż owinięty wokół głowy i utrzymujący w miejscu duży, wydęty opatrunek na lewym uchu.

- Nie wygląda pan zbyt dobrze.

- Psy - odpowiedział Burkle. - Jeden mnie wczoraj pogonił, poślizgnąłem się na lodzie i walnąłem w drzewo. Żalotne, nie?

- Pech.

- W każdym razie, już mnie testowali - stwierdził Burkle. - To ja znalazłem tamtego trupa.

Dustin kiwnął głową.

- Kto pana przetestował?

- Sanitariusze z karetki. Ale potem byłem taki przejęty, że poszedłem do szpitala i kazałem im powtórzyć test. Wie pan co, za żadne pieniądze nie chciałbym robić tego, co pan.

- Doceniam to, proszę pana - odpowiedział Dustin. - Jednak jeśli nie ma pan nic przeciwko, musimy kontrolować wszystkich, którzy przejeżdżają przez ten punkt kontrolny.

Listonosz wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy, to nie boli. Mam wsiąść?

- Nie, proszę pana, proszę zostać na miejscu. - Oddał Johnowi prawo jazdy. Następnie Dustin podał mu lewą ręką foliowe opakowanie. - Proszę otworzyć to opakowanie, wyciągnąć z niego wacik na patyczku, przesunąć nim po wnętrzu policzka i dziąsłach, a potem podać mi go patyczkiem do przodu.

John sięgnął po opakowanie, ale gdy już miał je wziąć, jego ręka wystrzeliła, chwytając lewy nadgarstek Dustina. Dustin odruchowo szarpnął się do tyłu sprawiając, że John wyleciał z furgonetki. Żołnierz sięgnął prawą ręką, chwytając nadgarstek listonosza. Zamierzał wyrwać swoją lewą rękę, wykręcić kończynę Johna i powalić go na twarz, gdy zobaczył coś w drugiej ręce mężczyzny.

Potrzebował tylko ułamka sekundy na zidentyfikowanie przedmiotu jako tasera i drugiego ułamka, by poczuć 50 000 woltów uderzających w jego lewą rękę i przenikających całe ciało. Szarpnął się gwałtownie, całkowicie tracąc kontrolę nad ciałem. Z drugiej strony drogi, zza furgonetki, dobiegły odgłosy strzałów, długi dźwięk karabinów myśliwskich odbijający się echem od drzew.

Dustin Climer padł na ziemię. Usłyszał odgłosy strzałów z broni automatycznej, ostre trzaski M4 i głośne szczekanie M249. Potem echo kolejnych wystrzałów z karabinów, tym razem zza pleców, z drugiej strony drogi.

Karabin M249 ucichł.

Próbował się ruszyć, ale nie potrafił.

- Jesteśmy ostrzeliwani, jesteście ostrzeliwani! - usłyszał krzyk Neila, a potem jeszcze dwa wystrzały.

M4 ucichł.

- Climer... - głos Neila. - O cholera, stary, pomóż...

Dustin potrząsnął głową i spróbował dźwignąć się na kolana. Usłyszał jakiś ruch w furgonetce, potem stopy lądujące na drodze.

Strzał - tym razem bez echa, był zbyt blisko. Coś uderzyło go z tyłu w lewe ramię. Lewa ręka odmówiła posłuszeństwa. Znowu wylądował na twarzy.

Postrzelili go. Cholera jasna, *postrzelili go*.

- Nie! - powiedział Neil. - Proszę, nie!

Kolejny strzał z karabinu. Tym razem ledwie trzy metry od niego.

Neil starał się nie wydawać żadnych dźwięków.

Zbliżające się skutery śnieżne. Inny dźwięk, podjeżdżał jakiś samochód, większy od osobówki i furgonetki pocztowej.

Dźwięki, ból, ruch... Wszystko przeciężyło jego zmysły.

Dustin został obrócony na plecy. Jakieś dłonie zasłoniły mu oczy, inne przytrzymały mu ręce, chaos zamieszania i bólu. Spróbował kopać, ale pierwsze uderzenie w brzuch skończyło jego opór, zwijając go w pozycję płodową. Dłonie na jego twarzy, rozwierające mu szczęki, coś mokrego w ustach, *pieczenie*.

Dłonie go odepchnęły.

Oddalające się dźwięki większego pojazdu.

Jego ciało gwałtownie domagało się powietrza, jego bark *ryczał* z bólu.

Trzask, potem dziwny dźwięk.

Żar. *Prawdziwy żar*, niemal spalił mu bok twarzy.

Krótką wieczność bez tlenu, potem gwałtowny wdech wciągający odrobinę powietrza i wreszcie pełny, nierówny oddech.

- Zabiję cię, żołnierzyku.

Dustin napawał się powietrzem. Przeturlał się na kolana i dłonie, sięgnął do pistoletu. Prawa dłoń zacisnęła się na rękojeści, napędzając go zimnym uczuciem siły i ochrony.

- Lepiej pociągnij za ten spust, żołnierzu, albo zabiję cię jak twoich kumpli.

Dźwignął się na jedno kolano, w prawej dłoni trzymając pistolet, z lewą zwieszoną bezużytecznie, ociekając krwią, która kapiała na zamrożoną gruntową drogę.

Z prawej strony z furgonetki pocztowej strzelały płomienie, których grube pomarańczowe języki lizały powietrze, plując ciężkim czarnym dymem.

Przed nim stał mężczyzna z czarnym sztucerem. To nie był ten, który prowadził furgonetkę. Skierował broń w Dustina.

- *Zabiję cię, żołnierzyk...*

Pierwszy strzał Dustina trafił mężczyznę w środek klatki piersiowej. Z jego kurtki odpadły dwa małe piórka. Mężczyzna zrobił krok do tyłu i popatrzył w dół.

W oddali za jego plecami Dustin zobaczył tył odjeżdżającego biało-brązowego samochodu kempingowego.

Mężczyzna podniósł głowę. Uśmiechnął się i zaczął coś mówić, zanim w jego pierś trafiły dwa kolejne pociski. Wciąż trzymając sztucer w obu dłoniach, mężczyzna oklapł i padł na plecy.

Dustin spróbował wstać. Czuł się słaby, było mu zimno, ale obrócił się i rozejrzał za Neilem. Zobaczył go leżącego na plecach w ciemnoczerwonej kałuży. Ktoś strzelił mu w twarz, rozpryskując jego mózg po drodze. Wyglądał, jakby dostał też w nogę, nad prawym kolaniem miał krwawą plamę wielkości pięści.

Dustin się odwrócił. Musiał sprawdzić pozostałych. Zrobił krok do przodu, prawą ręką trzymając pistolet, chwiejnie wymierzony w zastrzelonego mężczyznę. Trup miał otwarte oczy i wściekły wyraz twarzy. Zdecydowanie martwy. Tak jak Neil. Oko za oko, skurwysynu.

Dustin znowu się zatoczył, ledwie utrzymując się w pionie, gdy jego stopa poślizgnęła się na ośnieżonej drodze. Rety, bycie rannym cholernie *bolało*.

Szedł dalej, szukając kolegów. Joel zwisał twarzą w dół nad M249. Nie ruszał się. Mężczyzna ze sztucerem pewnie załatwił go jako pierwszego. Z boku drogi leżał James, z hełmem jakiś metr obok.

Ziemia niespodziewanie podskoczyła i walnęła Dustina Climera prosto w twarz. Rety... o *rety*... przewrócił się. Zmusił się do otwarcia oczu. Było mu tak *zimno*. Żadnego dźwięku, cisza, tylko szum wiatru. A potem ciche buczenie, przybierające na sile, zbliżające się. Znał ten dźwięk. V-22. Kilka sztuk. Climer położył dłoń z pistoletem na ziemi i próbował się dźwignąć, ale osłabiona ręka odjechała po śniegu.

W końcu stracił przytomność.

## Niewłaściwy sprzęt

Jeśli pójdzie tak dalej, będą potrzebować kolejnego Margo Mobilu tylko na trzymanie zwłok.

Jechał do nich żywy gospodarz trójkątów. Dew i Ogden postanowili zostawić Margo Mobil pod domem Jewellów i przewieźć do niego gospodarza, zamiast ustawiać przyczepy obok wjazdu i zjazdu na autostradę. Co miało sens, jako że dom Jewellów był zdecydowanie bardziej na uboczu.

Gospodarz wylądował w celi w przyczepie B.

Zapełniała się też szafka na zwłoki. Mieściła już zmienione w ciecz pozostałości Donalda Jewella, czarny, nadgryziony szkielet Cheffiego Jonesa, spalone ciało Bobby'ego Jewella i trupa jego żony, Candice. Ich córka miała do nich dołączyć, gdy tylko Margaret ukończy prowadzenie wstępnej autopsji.

Margaret ponownie miała na sobie kombinezon i stała w pokoju do autopsji przyczepy A, patrząc na worek zajęty przez drobne zwłoki. Przy procedurze towarzyszył jej Gitsh. Clarence ubrał się w kombinezon i osobiście sprawdził każde ciało, żeby mieć *całkowitą* pewność, że są trupami, zanim zajął zwykle miejsce w pokoju komputerowym.

Musiała to zrobić jak najszybciej. Wkrótce miała tu trafić Bernadette Smith, co będzie wymagało całej uwagi Margaret. W drodze było także ciało Ryana Roznowskiego, gospodarza trójkątów, który zabił tych żołnierzy przy blokadzie. Miał niski priorytet: musiała znaleźć w swoim harmonogramie miejsce dla Smith.

- Gitsh, wyciągnij Chelsea z worka i bierzmy się do roboty. Musimy to szybko załatwić. Jesteś tam, Marcus?

- Tak jest, proszę pani. - Usłyszała głos Marcusa w słuchawce. - Przy szafce na zwłoki pilnując, by szczątki Bobby'ego Jewella zostały właściwie złożone.

- OK, dokończ to i przyjdź tu szybko. Musimy załatwić tę dziewczynkę, zanim dotrze tu żywy gospodarz.

Przeprowadziła już wstępne oględziny zwłok Candice i Bobby'ego Jewella. Candice zginęła od strzału w tył głowy na dość długo przed tym, zanim ogień pochłonął jej ciało. Bobby miał liczne ślady po nożu na żebrach - nie mogła tego jeszcze stwierdzić z całą pewnością, nie tak na szybko, ale było spore prawdopodobieństwo, że także zginął przed pożarem.

Gitsh wyciągnął drobne ciało dziewczynki i położył je na stole. Ofiary poparzeń i spieczone ciało. Zawsze mnóstwo radości. Ciało ludzkie tak naprawdę nie spala się w pożarze domu. Do spalenia ciała potrzeba około 800 stopni Celsjusza przez przynajmniej dwie godziny. Przeciętny pożar domu osiąga zaledwie jakieś 260 stopni. O ile niektóre *mogły* osiągać temperaturę nawet tysiąca stopni, przy tej temperaturze płomień zazwyczaj zużywało całe dostępne paliwo w jakieś pół godziny. Ciało Bobby'ego Jewella było szerniałe i przypalone, ale zachowane w dostatecznym stopniu, by Margaret zdołała znaleźć spieczony trójkąt na jego policzku i drugi na piersi.

Brała w tym udział dość długo, by domyślać się historii: Bobby Jewell złapał trójkąty, w wyniku czego zabił swoją rodzinę. Potem podpalił dom i popełnił samobójstwo, dźgając się wielokrotnie nożem. Brzmiało to nedorzecznie, ale widywała już gorsze rzeczy – przynajmniej Bobby nie odrąbał sobie nóg toporkiem. Dziura z tyłu czaszki żony pasowała do profilu morderstwa i samobójstwa. Margaret była pewna, że przyczyna śmierci dziewczynki tylko potwierdzi jej przypuszczenia.

Gitsh złożył podwójny worek na zwłoki i włożył go do komory spalarni.

Margaret przyglądała się ciału dziewczynki. Leżało zwinięte w pozycji płodu, ze zgiętymi rękami i nogami, z pięściami wciśniętymi pod policzki. To wcale nie znaczyło, że taka osoba spłonęła żywcem i skuliła się z bólu – odwodnienie podczas pożaru powoduje kurczenie się mięśni, nawet martwych, ściągając ciało w tę pozycję.

Jednak to nie pozycja przyciągnęła jej uwagę... nietypowe były rozmiary ciała.

Popatrzyła na zamontowany na ścianie monitor, którego część zajmowały dane Chelsea.

- Clarence, czy to powinno być ciało siedmioletniej dziewczynki?

- Sprawdzam – w słuchawce zabrzmiał głos agenta. – Tak, Chelsea Jewell, siedem lat, cztery miesiące, dziesięć dni.

- Ile miała wzrostu według kartoteki medycznej?

- Hmm... sto sześć centymetrów.

- To ciało jest wyraźnie większe – zauważyła Margaret. – I biodra się nie zgadzają. Gitsh, obróć ciało na plecy.

- Myślisz, że to nie jest Chelsea Jewell? – w jej uchu znowu zabrzmiał głos Clarence'a.

Margaret patrzyła, jak Gitsh obraca ciało na plecy, przyjrzała się uważnie i potrząsnęła głową.

- Nie, chyba że Chelsea Jewell miała metr dwadzieścia pięć i penisa. Natychmiast połącz mnie z Dewem.

## Gdyby babcia miała wąsy

- Jak się ma szeregowy Climer, doktorze? - zapytał Charlie.

- Wyjdzie z tego - odpowiedział doktor Harper. - Miał szczęście, że kula nie trafiła w kość. Choć stracił kawał mięśnia. Charlie, muszę jeszcze raz poprosić o odesłanie go stąd do szpitala w bazie.

- Ponownie odmawiam - stwierdził Ogden. - O ile jego stan nie zagraża życiu, to nie opuści on tego miejsca, dopóki z nim nie porozmawiam. A sam właśnie powiedziałaś, że jego życie nie jest zagrożone, tak?

- Ale sir - zaprotestował Harper. - Przecież może pan zadzwonić i mieć zastępstwo za niego z kompanii w Forcie Bragg w ile, trzy godziny?

- Nie chodzi o zastępstwo, muszę się dowiedzieć, co się tam stało. Nie ma mowy, żeby jakiś wieśniak mógł położyć czterech żołnierzy.

- Pułkownik, właśnie wyjęliśmy z ramienia tego chłopaka pocisk kalibru .308 - powiedział lekarz. - Trzy godziny temu leżał z twarzą na gruntowej drodze, zalewając ją krwią.

Ogden spojrział na zegarek.

- Jest godzina szesnasta. Chcę, żeby do siedemnastej zaczął mówić, rozumiano?

- To mój pacjent, sir - odpowiedział lekarz. - Gdy tylko się obudzi, będzie do pana dyspozycji, ale mam prawo oświadczyć, że nie wybudzę go przedwcześnie.

Ogden westchnął. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby doktor Harper narzekał na narażanie ludzi na niepotrzebne ryzyko, gdy prawie już czuł generalską gwiazdkę przypiętą do kołnierza. Będzie musiał niedługo odesłać Harpera i ściągnąć kogoś, kto będzie wypełniał rozkazy, niezależnie od ich treści.

- Kto jest z Climerem? - zapytał Ogden.

- Brad Merriman - wyjaśnił Harper. - Ten, na którego chłopaki mówią Pielęgniarski Brad.

Ogden kiwnął głową. Znał Pielęgniarskiego Brada. Dobry dzieciak. Sanitariusz pierwsza klasa, ale gdzieś po drodze chłopaki zaczęły się z niego nabijać, że jest „męską pielęgniarką” i przydomek został.

- Obaj z Merrimanem siedźcie przy Climerze - polecił Ogden. - Jeśli jeden z was będzie musiał wyjść do kibla, drugi patrzy na Climera żeby widzieć, czy się nie budzi. A kiedy się obudzi, macie mnie natychmiast wezwać, rozumiano?

Doktor Harper kiwnął głową i zsalutował, po czym odwrócił się i wyszedł.

Charliemu nie podobało się bycie tak twardym, ale potrzebował odpowiedzi. Zginęło trzech jego żołnierzy. Jediną znaną jednostką przeciwnika był 31-letni cywil, Ryan Roznowski, który ukradł furgonetkę pocztową i próbował przebić się przez blokadę. Listonosz, któremu przydzielono furgonetkę zaginął, prawdopodobnie nie żył.

Roznowski miał cztery trójkąty. Miał także żonę, której nigdzie nie można było znaleźć i dom ze śladami przemocy, włącznie z krwią na podłodze salonu. Charlie wiedział, że gospodarze trójkątów są niebezpieczni, oczywiście, że byli mordercami, ale



pojedynczy facet z karabinem myśliwskim, który podpala furgonetkę pocztową i powala czterech przeszkolonych żołnierzy? Coś tu nie pasowało.

Jednak nie wszystkie wiadomości były złe. W końcu udało im się schwytać żywego gospodarza. Misja wykonana. To miało szansę na dobre przypiąć mu tę generalską gwiazdkę do kołnierza, o ile tylko nic się nie posypie.

Jednak gwiazdka będzie miała swoją cenę – kolejne nazwiska w Małej Niebieskiej Książeczce.

Neil Illing.

James Eager.

Joel Brauer.

Gdyby mógł ustawić w każdym punkcie kontrolnym drużynę, czyli dziewięciu ludzi zamiast czterech czy pięciu, chłopaki wciąż mogłyby żyć. Może powinien był ściągnąć pozostałe dwie kompanie. Nie, dobrze to zaplanował, w ten sposób zapewnił sobie maksymalną elastyczność sytuacyjną w możliwych warunkach. *Gdyby* mieli więcej czasu, *gdyby* miał więcej ludzi...

Gdyby babcia miała węża, byłaby dziadkiem.

Wieczorem będzie musiał napisać listy do rodzin. Najzabawniejsza część jego pracy, informowanie jakiejś dumnej mamy, że jej syn zginął służąc krajowi.

- Kapralu Cope! Do mnie!

Cope znalazł się w namiocie jeszcze zanim Ogden skończył wołać. Musiał czekać tuż przed wejściem na wypadek, gdyby był potrzebny. Facetów takich jak Cope nie widywało się zbyt często.

- Sir?

- Gdzie, u diabła, są nowe informacje o poszukiwaniach z powietrza?

- Na razie niczego nie mamy - odpowiedział Cope. - Żaden lot zwiadowczy niczego nie wykrył. Okularnicy od satelitów mówią to samo. Nie wygląda na to, żeby w promieniu siedemdziesięciu kilometrów była jakaś konstrukcja.

Szlag. Musiała tu być. Bernadette Smith próbowała uciec. Tak jak Ryan Roznowski. Ilu zakażonym *udało* się uciec, prześlizgując się między blokadami lub zanim przybył Ogden? Tym razem nie było map, nie znaleźli żadnej w samochodzie Smith ani w jej domu. Tak samo w przypadku Roznowskiego, a dom Jewellów spłonął. Żadnych wskazówek.

Jeśli mieli znaleźć lokalizację bramy, znowu wszystko spadało na Perry'ego Dawseya.

## List gończy za Jewellami

Dew Phillips siedział w pokoju komputerowym Margo Mobilu. Mieli go dla siebie z Perrym. Gitsh, Marcus, Margaret i Clarence siedzieli w celi przyczepy B, unieruchamiając szarpiącą się Bernadette Smith.

Dew miał ochotę walnąć pewną Szefową Gabinetu, a potem wytarzać jej gębę w rozbitym szkłe i zakończyć posypaniem ran solą.

- Dobrze się czujesz, Dew? - zapytał Perry. - Strasznie ci pulsują żyły na czubku głowy.

- Nie czuję się dobrze - warknął Dew. - Cholera, mieliśmy ich.

Jewellowie uciekli przez Vanesę Colburn. Gdyby po prostu pozwoliła Murrayowi wykonywać swoją robotę, Dew miałby teraz całą rodzinę pod kluczem.

- Kogo prawie mieliśmy? - zapytał.

- Jewellów. Te ciała, które znaleźliśmy w pożarze? To *nie* są Jewellowie. Nie wiemy, kim jest kobieta, ale mężczyzna to Wallace Beckett. Zidentyfikowaliśmy go na podstawie zdjęć dentystycznych. Zgadują, że dzieciak to jego syn, Beck. Przeszukali dom Beckettów i znaleźli panią Beckett pociętą i wsadzoną do kosza na brudną bieliznę.

- Przecież Margaret powiedziała, że mężczyzna miał trójkąty.

- I tego nie potrafię zrozumieć - przyznał Dew. - Wallace Beckett *faktycznie* miał trójkąty. Rodzina Jewellów składała się z kobiety, mężczyzny i dziecka. I znaleźliśmy ciała kobiety, mężczyzny i dziecka, a na dodatek mężczyzna miał trójkąty. Brzmi znajomo, nie? Facet łapie trójkąty, odbija mu, morduje swoją rodzinę.

- Chwileczkę - zaprotestował Perry. - Chcesz powiedzieć, że Jewellowie zabili tych ludzi, *włącznie* z gospodarzem, żebyśmy myśleli, że wszystko się zgadza, podczas gdy sami będą uciekać?

- Próbuj nadażać, studenciku. Klan Jewellów podstawiał nam zmyłkę. Nawet nie próbowaliśmy przeszukać pieprzonej okolicy.

- To kim jest kobieta?

- Kto wie? - Dew wzruszył ramionami. - Choć nie jest to Candice Jewell, stwierdzili to na podstawie zębów. No to mamy trzy ciała, z których żadne nie należy do Jewellów, którzy zniknęli. Jeśli zwiiali tuż po podpaleniu domu, to mają nad nami piętnaście godzin przewagi. Mogą być już wszędzie.

- A jeśli nie uciekli od razu? - zapytał Perry. - Może wciąż są w Gaylord.

- Może. - Dew podrapał się po policzku. - Albo brali udział w tym ataku na posterunek wojskowy.

- W którym zginęła kolejna osoba z trójkątami.

Dew przegrzebał swoje notatki.

- Tak, Ryan Roznowski. Zabił trzech żołnierzy i ranił szeregowego Dustina Climera. Climer z kolei zabił Roznowskiego.

- Co u diabła? Ten Roznowski to był jakiś komandos w stylu Rambo, czy co?

- Hydraulik - skorygował Dew. - Roznowski jest żonaty, ale FBI nie potrafi znaleźć jego żony. Co samo w sobie nie jest powodem do niepokoju, bo całe miasto jest

przewrócone do góry nogami, ale w jego domu znaleziono ślady przemocy, krew na dywanie w salonie, więc sam dodaj sobie dwa do dwóch.

- Żona Roznowskiego to spalona kobieta w domu Jewellów? - zapytał Perry.

- Prawdopodobnie. Zobaczymy, czy uda nam się ją zidentyfikować na podstawie zębów, czy czego tam, ale to wszystko pasuje. Roznowski zabija lub rani żonę, a potem zabiera ją do domu Jewellów.

- A Beckettowie albo sami tam przyjeżdżają, albo zostają sprowadzeni siłą.

- Pani Beckett została zamordowana - przypomniał Dew. - Więc może ktoś ją zabija i porywa Wallace'a i jego syna, ale myślę, że raczej to Wallace ją zabił, a potem sam pojechał do domu Jewellów, jak Roznowski.

- Sam pojechał - stwierdził Perry. - Albo został wezwany. Ściągnięty.

- Tak jak wtedy, kiedy trójkąty spiknęły cię z Tłustą Patty?

- Może. - Perry wzruszył ramionami. - I co teraz?

- Na początek mamy trochę zdjęć rodziny Jewellów, więc wystawimy za nimi list gończy. Cholera, możemy znowu użyć dziennikarzy, powiemy, że są zarażeni bakterią zjadającą ciało.

- Dobra, to się może udać, ale co z ich samochodami? - zapytał Perry.

- Wszystkie samochody zarejestrowane na Jewellów spłonęły w ich garażu.

- Czyli wzięli samochód kogoś innego?

- Pewnie tak. - Dew kiwnął głową. - Mieli zarejestrowane trzy skutery śnieżne, dwóch brakuje. Jeśli schowali je gdzieś w lesie, znalezienie ich może zająć kilka tygodni. Ale nawet jeśli wzięli czyjś samochód, to biorąc pod uwagę ewakuację całego miasteczka nie ma mowy, żebyśmy się dowiedzieli, jakie samochody powinny tu być, a które zostały zabrane przez uciekających. Chociaż możemy przeszukać pobliskie domy pod kątem śladów przemocy, może się nam poszczęści i znajdziemy trupa. Jednak jeśli nie, to nie uda się nam ich powiązać z jakimś konkretnym samochodem.

- Generalnie to Jewellom udało się zwać. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to opublikować ich zdjęcia i mieć nadzieję, że coś spieprzą.

## Wieża mocy

Sprawność dalece wychodząca poza przewidywania.

Satelita mierzył rosnące możliwości Chelsea Jewell. Nie tylko rozwijała zdolność porozumiewania się znacznie szybciej, niż przewidywał, wykazywała też objawy olbrzymiej mocy... Mogła się z czasem stać potężniejsza od satelity.

Powody tego stanu rzeczy pozostawały niejasne. Pełzacze w jej czaszce nadal dzieliły się i rosły, zwiększając objętość gęstej siatki łączącej się z jej mózgiem. Im gęstsza siatka, tym większa moc obliczeniowa, a jednak działało się tu coś jeszcze. Trójkąty mogły nawiązywać połączenie z mózgami ludzi i wykorzystywać je do swoich celów, ale Chelsea od początku była człowiekiem. Nie było potrzeby konwersji lub tłumaczenia informacji. Myślała w swoim rodzimym języku. Potrzebowała tylko połączenia, zapewnianego przez trójkąty i pełzacze.

Jak wielka mogła stać się jej moc? Satelita nie wiedział. Liczyło się to, że jej rozwój przebiegał z wyprzedzeniem harmonogramu. Będzie obsługiwać większość łączności i zajmie się organizacją, pozwalając satelicie skupić się na blokowaniu Skurwysyna.

## Dzieją się tu dziwne rzeczy...

Mio, Michigan, to mała miejscina, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Gaylord. Winnebago pana Jenkinsa zatrzymał się na stacji benzynowej w Mio w celu zatankowania i zabrania pasażera, niejakiego Artiego LaFrinere.

Artie usłyszał wezwanie Chelsea, ale ponieważ znajdował się na zewnątrz punktów kontrolnych, pojechał do Mio, zostawił samochód, przyszedł na stację benzynową i czekał. Tak właściwie to czekał *blisko* stacji benzynowej, ponieważ Artie LaFrinere nie wyglądał za dobrze.

Cztery dni temu Artie zjeżdżał na sankach z kolegami. Stracił kontrolę nad swoimi saniami, skręcił w las i zatrzymał się w zaspie. Kumple śmiali się z niego, gdy wytrząpywał śnieg spod kurtki i wydłubywał go ze szpary w tyłku. Pechowo dla Artiego, śnieżna zaspą była obsypana dużą ilością nasion, które – oczywiście – wylądowały na jego brzuchu, plecach i w szparze między pośladkami. Choć nie miał o tym pojęcia, był zdobywcą rekordu świata, mając na sobie *trzydzieści* trójkątów. Co jakieś pięćdziesiąt minut kaszlał krwią i nie mówił zbyt wiele. Wszyscy rozumieli. Powitali go w kamperze i postarali się zrobić mu maksymalnie wygodne miejsce.

Tak właściwie Artie był drugim pasażerem: Harlana Gainsa zabrali z drogi krajowej 491 na przedmieściach Lewiston. Ze swoimi czterema trójkątami doskonale wpasował się w towarzystwo. Razem z trzynastoma panami LaFrinere, czterema Gainsa, pięcioma taty i trzema starszymi Samami Hamiltonami Chelsea miała w kamperze dwadzieścia dziewięć laleczek.

Brakowało tylko czterech. Matematyka była jednym z jej ulubionych przedmiotów.

Chelsea wyczuwała jeszcze jednego tatusia laleczek, niejakiego Danny'ego Korvesa, który próbował dotrzeć na spotkanie z winnebago. Wyczuła też coś jeszcze bardziej podniecającego – samodzielnie poruszające się laleczki, które wykluły się kilka tygodni temu, przemykające się przez kraj, próbując dotrzeć do niej. Powiedziała im, gdzie mają iść, ale ponieważ mogły przemieszczać się tylko w nocy i miały do pokonania duży dystans, wątpiła, czy dotrą na czas. Wszystko zależało więc od pana Korvesa. Chelsea sięgnęła do niego i powiedziała mu, że musi do niej dotrzeć bez względu na koszty.

Mogła mieć dość laleczek, by zbudować bramę, przez co czuła się szczęśliwa. Kolejna rzecz, która wprawiała ją w dobry nastrój to fakt, że pan Jenkins kupił wszystkie lody Eskimo Crunch Bar, które znalazł w zamrażarce stacji benzynowej. Winnebago wciąż stał na parkingu. Wszyscy siedzieli z tyłu i delektowali się pysznymi lodami na patyku.

Mama i tata dostali tylko po jednym.

– Nie możemy tu za długo zostać – odezwał się pan Jenkins. – Niedługo odkryją, że ciała w domu to nie ty i twoi rodzice.

– O czym wy mówicie? – zapytała mama. – Nie spała się?

Pan Jenkins pokręcił głową.

– Pożary domów nie są do tego dość gorące. Kiedy się zorientują, że ciała nie należą do was, gliny mogą zacząć was szukać. Prawdopodobnie ogłoszą, że jesteście poszukiwanymi mordercami. A w zależności od tego, jak bardzo będą chcieli was

dostać, mogą nawet szukać numerów rejestracyjnych samochodów wszystkich sąsiadów uznając, że mogliście ukraść samochód albo wziąć zakładników. Całkiem szybko gliny mogą zacząć szukać tego kampera.

- Jest pan pewien? - zapytała mama.

- Zostawiliście trzy trupy w spalonym domu. - Pan Jenkins wzruszył ramionami. - To trochę grubsza sprawa, niż niezapłacony mandat za parkowanie.

- Ile mamy czasu? - zapytała mama.

- Trudno powiedzieć. - Jenkins znowu wzruszył ramionami. - Ale jestem pewien, że powinniśmy jak najszybciej ukryć ten samochód. - Pan Jenkins zaczął sunąć palcem po mapie, odtwarzając ich trasę. - Jesteśmy teraz na autostradzie trzydzieści trzy. Możemy dojechać do siedemdziesiątki piątki, co doprowadzi nas na miejsce po zmroku.

Chelsea przeszła na czworakach pod mapą i weszła na kolana pana Jenkinsa. Razem popatrzyli na mapę. Dziewczynka przesłała trasę myślami, przykazując pozostałym laleczkom i panu Korvesowi spotkanie ich po drodze lub u celu.

- Czy jeśli pojedziemy tędy, panie Jenkins, napotkamy jeszcze żołnierzy?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że nie, bo bardzo mnie przerażają. Wiem, że mieliśmy dobry plan, skarbie, ale mam wrażenie, że się nam też poszczęściło.

- Też tak myślę. - Chelsea kiwnęła głową. - Ale jeśli ich spotkamy, poradzimy sobie z nimi. Musimy dowieźć laleczki do Detroit. Więc *lepiej*, żeby nie próbowali nas zatrzymać.

## Oględziny

Tym razem Clarence Otto stał obok niej. Pistolet trzymał na nylonowej lince zawieszonyj pętłą wokół szyi, bo kabury nie dało się dopasować do kombinezonu ochronnego.

Gdy Margaret zajrzała do celi, prawie pożałowała, że sama nie ma broni.

Za przejrzystymi ścianami do wózka do autopsji przytroczono jeszcze jedną kobietę. Nagą. Miała niebieski trójkąt na lewej piersi, drugi na prawym przedramieniu i trzeci na prawym biodrze.

Niemal trzy miesiące pracy, całe to szaleństwo i przemoc, a Margaret dopiero teraz zobaczyła żywy trójkąt. Sądziła, że po tylu martwych wiedziała, czego się spodziewać: rozglądających się czarnych, mrugających oczu.

Nigdy jednak nie spodziewała się, że będą patrzeć na *nią*. Ich mruganie nadawało im niesamowitego wyglądu. Sprawiało, że wyglądały... *prawdziwie*. Żałowała, że Amos tego nie widzi. Żywy trójkąt oznaczał, że znaleźli się znacznie bliżej powstrzymania tego koszmaru.

Kobieta była nieprzytomna, miała w sobie dość prochów, by nie mogła się obudzić. Przynajmniej Margaret miała taką nadzieję. Betty też nie powinna odzyskać przytomności, a wiadomo, jak się to skończyło.

Margaret popatrzyła na ekran dotykowy zamontowany na drzwiach. Bernadette Smith. 28 lat, matka trójki dzieci. Już nie. Teraz była matką jednego dziecka i wdową – zabiła męża i poderżnęła gardła córkom, pięcio-i trzyletniej, po czym posadziła martwe dziewczynki na tylne siedzenie swojego saaba.

Co mogło się stać z tą kobietą po usunięciu jej trójkątów? Perry wciąż nosił w sobie poczucie winy z powodu zamordowania przyjaciela. Jak ona mogłaby żyć ze świadomością, że zabiła swojego męża i własne *dzieci*?

Oczywiście przy założeniu, że *zdołają* usunąć trójkąty. Margaret widziała zdjęcia rentgenowskie. Usunięcie tych na przedramieniu i biodrze będzie trudne, ale wykonalne. W obu przypadkach zakończone kolcami ogony trójkątów owijały się wokół kości i tętnic, ale Margaret mogła naprawić naczynia, gdyby doszło do ich rozcięcia.

Trójkąt na piersi... tutaj sytuacja wyglądała gorzej.

Ogon trójkąta owinął się wokół *serca* Bernadette. Zdjęcia RTG ujawniły przylegające do niego dziesiątki ostrych haczyków. Jedno niewłaściwe pociągnięcie oznaczało wiele otworów, a w takiej sytuacji, nawet mając kobietę na stole operacyjnym i doktora Dana do pomocy, Margaret nie była pewna, czy zdołałaby ją uratować.

Monitor czynności akcji serca przyspieszył. Margaret nacisnęła przyciski na wyświetlaczu, wywołując EKG kobiety. Tętno rosło.

- Cholera - rzuciła. - Ona się budzi.
- Myślałem, że uspiłaś ją na dobre kilka godzin? - skomentował Otto.
- Owszem. Trójkąty w jakiś sposób walczą ze znieczuleniem. Jesteś tam, Daniel?
- Tak jest, proszę pani. - W jej uchu natychmiast zabrzmiał głos Daniela.

- Skontaktuj się z Dewem - powiedziała. - Niech sprowadzi Dawseya. Pacjentka się budzi. Będziemy musieli znowu ją uśpić i natychmiast operować. Jeśli Dew chce zadać *temu czemuś* jakieś pytania, lepiej niech się pośpieszy, bo za trzydzieści minut zamierzam uratować życie tej kobiety, a przy okazji zabić te małe sukinsyny.



## Dustin doznaje objawienia

Dustin Climer obudził się na pryczy. Bolało go ramię, a głowa sprawiała wrażenie, jakby miała eksplodować. Przez jego ciało przetoczyła się gorączka i każdy nerw wydawał się pulsować dźgnięciami bólu. Potarł oczy i usiadł. Znajdował się w namiocie szpitalnym i był jego jedynym pacjentem.

Odezwało się szkolenie i jego ręce odruchowo zaczęły szukać broni. Znalazł pusty karabinek M4 oparty o małą metalową szafkę stojącą przy pryczy. Sam fakt, że trzymał w ręku broń, sprawił, że Dustin trochę się odprężył.

Plastikowe okna namiotu zdradziły, że na zewnątrz jest ciemno. Został zaatakowany rano, więc był nieprzytomny ile, osiem godzin? Ubranie miał złożone na butach stojących przy szafce obok łóżka. Zaniepokoilo go coś na bluzie... Ta naszywka na ramieniu...

Przez jego głowę przemknęły obrazy. Mała dziewczynka. Idealna, z blond loczkami, *aniótek*, nie dziewczynka. Czy kiedykolwiek widział coś równie cudownego? Tak. Gdy leżał nieprzytomny, miał wizje czegoś czarnego i trójkątnego.

Pisklaków.

Piękne?

Tak, *absolutnie* najpiękniejsze. Ideał. Coś boskiego.

Ogarnął go wstyd. Znowu popatrzył na bluzę i naszywkę na ramieniu z błyskawicą uderzającą w odwróconego do góry nogami karalucha. Co gorsza, tuż pod nią przyszył trzy małe czarne trójkąty. Jeden był po prostu czarny, na drugim wyszyto biały symbol X.

Na trzecim były *dwa* symbole.

Och, dobry Boże... Co on narobił? *Zniszczył je. Aż trzy.*

*Obudzisz się?*

Wyprostował się. Głos. Głos małej dziewczynki. Tylko że nie słyszał go uszami, głos zabrzmiał w jego głowie. Dustin osłonił twarz dłońmi i położył się z powrotem na pryczy. Był grzesznikiem. Zniszczył coś tak wspaniałego i teraz będzie musiał za to zapłacić.

*Obudź się, śpiochu.*

- Nie śpię - odpowiedział. - Twój człowiek próbował mnie zabić, i teraz rozumiem, czemu. Jestem gotów zapłacić cenę.

*Nie musisz za to płacić, głuptasie. Nie wiedziałeś. Zresztą on wcale nie próbował cię zabić, poświęcił się, żebyś został bohaterem: to ty zabiłeś człowieka, który pozabijał innych żołnierzy. Postrzelił cię tylko po to, żeby nikt nie zastanawiał się, czemu jesteś zmęczony i potrzebujesz snu. Zginął, żebyś mógł zobaczyć śliczne laleczki. Widzisz je teraz? Rozumiesz?*

- Tak - wyszeptał Dustin. - Widzę je. Ja... ja je zabijałem.

*W porządku. Nie wiedziałeś, więc to nie twoja wina.*

- Tak, nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, jakie są *piękne*.

*Teraz możesz nam to wynagrodzić.*

- Jak? - Znowu usiadł. - W jaki sposób? Zrobię wszystko!

*Musisz sprawić, żeby inni też przejrżeli na oczy odpowiedział głos. Jesteś obrońcą. Musisz dopilnować, żeby wszyscy przejrżeli, zwłaszcza dowódca.*

- Pułkownik Ogden?

*Tak. Musisz dać im całuski i pozwolić im zobaczyć śliczne laleczki.*

W głowie Climera pojawiły się kolejne obrazy. Chelsea obserwująca śpiącą mamę. Obrazy jej języka.

*Wiesz, co musisz zrobić?*

- Tak. - Dustin kiwnął głową.

*W takim razie spiesz się, ale bądź ostrożny. Nie daj się złapać. Teraz jesteś obrońcą. Razem z pozostałymi musicie do nas dołączyć, bo chcemy otworzyć bramy do nieba.*

Rozsunęły się klapy namiotu i do środka weszło dwóch mężczyzn. Doktor Harper i Pielęgniarka Brad.

- Proszę proszę, kto się obudził - odezwał się doktor Harper. - Rozmawiasz tu sam ze sobą?

Mężczyźni podeszli do pryczy.

- Chyba tak, doktorze - odpowiedział Dustin, wzruszając ramionami.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził lekarz. Przysunął stółek do pryczy Dustina i usiadł. - Pewnie jesteś ciekawszym rozmówcą od Brada.

- Ha-ha-ha - wyartykułował Brad. - Proszę tak dalej, to przestanę panu pozwalać wygrywać w szachach.

Doktor Harper ujął nadgarstek Dustina i popatrzył na zegarek.

- Nie zdołałbyś mnie pokonać w szachy nawet, gdybym grał z królową w dupie. - Puścił nadgarstek Dustina, po czym wyciągnął z kieszeni na piersiach wąską latarkę i zaczął nią błyskać w oczy rannego.

- Patrzcie prosto przed siebie, szeregowy - polecił. - Wszystko wygląda prawidłowo. Jak głowa?

- Trochę boli - przyznał Dustin.

Harper kiwnął głową i zaczął oglądać drugie oko.

- Opiszcie ból w skali od jednego do dziesięciu - polecił.

- Hm, może trzy - odpowiedział Dustin.

- W takim razie nie wygląda to na poważny problem - zawyrokował Harper. - Cóż, skoro już nie śpicie, pułkownik chce was jak najszybciej zobaczyć. Powiem mu, że jesteście gotowi do rozmowy. Brad, weź buteleczkę z Tylenolem. Cztery tabletki powinny załatwić sprawę.

Brad ukląkł, żeby otworzyć szufladę.

Dustin chwycił lekarza za kark i pociągając mocno, uderzył go czołem w nos. Zanim Harper zsunął się ze stolika, Dustin obiema rękami złapał swoje M4.

Brad obrócił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje akurat na czas, by oberwać kolbą prosto w usta. Przewrócił się na lewy pośladek i z krwawiącymi ustami patrzył przed siebie pustymi oczami. Climer uderzył go jeszcze raz. Brad padł na plecy, ręką opierając się słabo o otwartą szufladę z lekami.

Climer popatrzył na powalonych mężczyzn. Doktor Harper mrugał jak oślepiiony, z oczu leciały mu łzy, a z podstawy złamanego nosa ciekła krew. Próbował się odsunąć,

pełznąć do tyłu, ale wyglądało na to, że nie potrafi zaprząć do tego nóg. Obcasami słabo i bezskutecznie odpychał się od podłogi.

Dustin wyciągnął z kieszeni spodni opaski zaciskowe.

- Boli, panie doktorze? - powiedział. - Pocałuję i poczuje się pan lepiej.



Chelsea sięgała myślami coraz dalej i dalej. To było *ekstra*. Lepsze od wszystkich najlepszych zabawek razem wziętych. *Poczuła*, jak Dustin uderza tych mężczyzn, jakby sama tam była, jakby zrobiła to osobiście.

Podobało się jej to. Świetna zabawa.

Za każdym razem, gdy sięgała umysłem na zewnątrz, to uczucie robiło się silniejsze, połączenia ulegały wzmocnieniu. Każdy gospodarz, każda laleczka, każdy przerobiony - wszyscy sprawiali trochę inne wrażenie. Trochę jak lody waniliowe smakują w jeden sposób, a czekoladowe inaczej. Tak, to było to, każdy miał swój własny smak.

Dustin był bardzo, bardzo daleko, ale i tak mogła się z nim połączyć. Mogła się też połączyć z Bernadette Smith, z każdą z trzech laleczek rosnących w jej ciele.

One smakowały gniewem. Gniewem i strachem.

Wysłanie Bernadette na autostradę zadziało, ale Chelsea spodziewała się, że żołnierze ją zastrzelą. Kazała nawet kobiecie zabić swoje dzieci i zabrać ze sobą nóż. Jednak diabły schwytały Bernadette, co było bardzo złe.

Jej laleczki rosły tak *szybko*! Może wkrótce wyjdą z niej, żeby się bawić, żeby budować. Wyczuła wbite w nie igły, tak wiele igieł. Tak jak doktor zawsze wbijał igły w Chelsea. Dźgając, macając, sprawdzając. Jednak laleczki nie czuły bólu jak ona, igły były raczej powodem do irytacji.

Czemu więc były takie przestraszone i złe? Żadna inna laleczka nie smakowała w ten sposób. Chelsea skupiła się na tych trzech laleczkach, wsłuchała w ich myśli i odkryła odpowiedź.

Skurwysyn.

*Boogeyman*.

Patrzyły *prosto* na Boogeymana! Oczywiście, że były złe, oczywiście, że się bały. Chelsea poczuła ukłucie tego samego strachu i złości. Chauncey powiedział jej, żeby nie próbowała się łączyć z Boogeymanem, ale to było wcześniej. Teraz była silniejsza. Laleczki były tak blisko niego, dzielił ich może metr albo dwa. Mogła połączyć się przez nie... Mogła do niego *mówić*.

Boogeyman wzbudzał w niej strach. To było niesprawiedliwe.

Przyszła pora, żeby to *on* się bał.

## Upiory przeszłości

Perry Dawsey nigdy nie miał klaustrofobii. Z drugiej strony, nigdy dotąd nie wciśnięto go do pełnego kombinezonu ewidentnie nie przewidzianego dla kogoś jego rozmiarów, po czym nie wprowadzono do cholernego kontenera na przyczepie tak pełnego różnych gratów, że musiał się obracać bokiem, by precyzyjnie się przez te żalosne korytarzyki.

Mimo wszystko klaustrofobia była jego najmniejszym problemem. Większość jego uwagi skupiała na sobie naga kobieta uwięziona w przezroczystej celi.

Ona i to, co tkwiło na niej. *W niej.*

Jej kończyny unieruchamiały taśmy na nadgarstkach, kostkach i w talii. Płakała. Perry poczuł falę wstydu z powodu tego, jak potraktował Tłustą Patty. Krzyczał na nią. Bił ją. Nawet ją *pociął*. I przyglądał się, jak umiera, licząc na to, że przy okazji dowie się czegoś, co pomoże mu się uratować. Nie był wtedy człowiekiem.

Milner miał rację, Perry był potworem.

Kobieta w celi ciągnęła słabo za skórzane obręcze.

- Te taśmy są naciągnięte? - Dew zapytał Margaret.

- Jak cholera - potwierdziła Margaret. - Sama je zaciągałam. Jeszcze trochę ciaśniej, a odciąłabym jej krążenie w kończynach.

Głos Margaret brzmiał zimniej niż poprzednio. Był zimniejszy i *twardszy*. Tak jakby pozbawienie kobiety krążenia nie było w sumie wcale takie straszne. Nie takim głosem mówiła, pomagając mu dojść do zdrowia albo szyjąc go po biciu, jakie spuścił mu Dew. Wtedy brzmiała tak, jakby się przejmowała, jakby naprawdę chciała pomóc. A teraz? Teraz w jej głosie pobrzmiwał niesmak. Może nawet ślady nienawiści.

- Proszę - załkała kobieta. - Proszę, puśćcie mnie. Przysięgam, że nikomu nie powiem.

- Spróbuj się odprężyć, Bernadette - odpowiedziała Margaret. - Chcemy ci pomóc.

- KŁAMIESZ! - wrzasnęła kobieta. - Jesteście POLICJĄ! *Chcecie mnie pociąć!*

Nie mogła ruszyć żadną częścią ciała poza głową, więc nią właśnie kręciła i szarpała na boki, jakby przez jej ciało puszczano prąd. Zlepione potem brązowe włosy latały na wszystkie strony. Wyraz jej twarzy zmieniał się co chwilę, przechodząc od czystego przerażenia do morderczej furii.

Trójkąty patrzyły. Ich czarne oczy mogły być skierowane gdziekolwiek, ale Perry wiedział, że patrzą na niego.

**SKURWYSYNU** - odezwały się. - **ZGINIESZ. TWOJA ŚMIERĆ BĘDZIE GORSZA, NIŻ INNYCH.**

Perry cofnął się o pół kroku. Wrażenie szarości pozostało, ale znajdując się tak blisko trójkątów słyszał je bardzo wyraźnie. Jakkolwiek go zagłuszały, nie działało to blisko pisklaka. Nie spodziewał się tego. Myślał, że wejdzie tu, niczego nie usłyszy i będzie mógł iść w cholerę.

Perry nie zdawał sobie sprawy, że się trzęsie, dopóki nie poczuł ręki na ramieniu.

- Spokojnie, Perry - odezwał się Dew. - Nie mogą się do ciebie dostać.

- Muszę stąd wyjść, Dew. Muszę wyjść.

Dew nie podniósł głosu, mówił spokojnie i cicho.

- Musisz się skupić. Musimy porozmawiać z tym czymś. Potrzebujemy lokalizacji następnej bramy, a ty jesteś jedyną osobą, która może ją zdobyć.

- Ale Dew...

- Posłuchaj - z naciskiem powiedział Dew. - Czasami musimy robić rzeczy, na które wcale nie mamy ochoty. Nie możesz ożywić Billa, ale to twoja szansa, żeby to naprawić. *Musisz z niej skorzystać.*

Dew miał rację. Dew walczył i poświęcał się. Nie prosił Perry'ego o nic, czego sam by nie zrobił.

- Czy one mnie tam słyszą? - zapytał Perry.

Margaret kiwnęła głową.

- W celi są głośniki. Mikrofon w nadajniku łapie twój głos, więc słyszą cię całkiem wyraźnie.

Perry kiwnął głową w helmie. Teraz był wdzięczny za kombinezon, bo przynajmniej nikt nie zauważy, jeśli się zeszcza. Odchrząknął. Z jakiegoś powodu przypomniła mu się puenta starego dowcipu: *przecież sam się nie odessie.*

Koniec z czekaniem.

- Mam z wami porozmawiać - powiedział. - Dowiedzieć się, czego chcecie.

**CHCEMY CIĘ ZABIĆ. JESTEŚ NISZCZYCIELEM.**

Pełne zdania. Interpunkcja. Wkrótce uwolnią się z ciała tej kobiety.

- Gdzie jest następna brama?

Brak odpowiedzi.

- Chcecie... otworzyć drzwi, to wiem. Co przez nie przejdzie?

**AAAAANIOOOOŁŁŁYYY.**

Anioły. Przez bramę. Perry nigdy nie słyszał tego od swoich trójkątów i było w tym coś głęboko niepokojącego.

**NADCHODZĄ ANIOŁY. LUDZIE BĘDĄ POMAGAĆ IM BUDOWAĆ, JAK MY. I ZROBIMY Z TWOJEGO ŻYCIA PIEKŁO, NA TO WŁAŚNIE ZASŁUGUJESZ, TY ZDRADZIECKI DRANIU.**

Wydawały się inne od jego Siedmiu Wspaniałych, inne od trójkątów Tłustej Patty i pisklaków. Ich głos... żeński, ale zjadliwy, gniewny. Perry zastanawiał się, jaką osobą Bernadette Smith była przed zakażeniem, i nieodparcie przychodziło mu do głowy jedno słowo: suka.

- Co powiedziały? - zapytał Dew.

- Trudno to ująć - odpowiedział Perry. - Myślę, że cokolwiek ma przejść, chce z nas zrobić niewolników, zmusić do budowania różnych rzeczy.

- Budowania? - spytał Dew. Odezwał się głośnie, jakby chciał mieć pewność, że zostanie usłyszany w celi. - Co mamy dla was zbudować?

**WSZYSTKO, CO WAM KAŻEMY, ALBO DOSTANIECIE CHOCHŁĄ.**

- Nie powiedzą nam - stwierdził Perry. - Jestem pewien. Odbieram tak potężną falę nienawiści i pogardy... Myślę, że chcą nas zniewolić.

- Pieprzyć ich - warknął Dew. - Jewellowie. Zapytaj ich, gdzie są Jewellowie, zobaczymy, czy dostaniesz jakąś reakcję.

## **ZABIJ GO. WEŻ PISTOLET, ZABIJ, ZABIJ, ZABIJ.**

Patrzył na nie, czekając, czy poczuje falę pragnienia przemocy.

Ale nie poczuł.

Pokonał je. Dew miał rację. Mógł to zrobić.

- Gdzie jest rodzina Jewellów? - zapytał Perry głosem silniejszym z każdym słowem.

- Donald Jewell, Candice Jewell, Chelsea Jewell. Gdzie oni są?

Perry popatrzył w ich czarne jak smoła oczy. Brak odpowiedzi.

A potem usłyszał głos. Nie trójkątów, ale czegoś nowego.

Bardzo zimnego.

*Chyba powinieneś zostawić rodzinę Jewellów w spokoju.*

Głos małej dziewczynki. Wyraźny, ludzki, ale w jego głowie.

*Boisz się, prawda? I powinieneś.*

- Ty też się boisz - odpowiedział Perry. - Czuję to.

Dew szturchnął Perry'ego w ramię.

- Co mówią, młody?

*Zabij tego człowieka.*

- Nic - odpowiedział Perry. - Nic nie mówią.

*Mogę cię do tego zmusić. Teraz ja rządzę. Wszyscy muszą robić to, co im każe.*

Perry'ego ogarnęła szalona furia. O Boże, jednak go dopadła, ta przemożna żądza krzywdzenia. Pisklaki nie potrafiły już w nim tego wzbudzić, ale mogła to zrobić ta dziewczynka, i to z siłą dużo większą, niż kiedykolwiek wcześniej.

Tylko teraz uczucie było skierowane przeciwko Dewowi Phillipsowi.

*Zabij go.*

## **TAK, ZABIJ GO.**

- Muszę stąd wyjść - wydusił z siebie Perry. - Nie mogę tu zostać.

- Daj spokój, młody - rzucił Dew. - Nie uciekaj mi teraz, musimy znaleźć Jewellów, a przynajmniej zobaczyć, czy te trójkąto-cosie zgodzą się negocjować albo coś.

*Co jest, tchórze? Boisz się?*

- Nie. - Perry pokręcił głową. - Muszę iść. Cokolwiek planujesz zrobić, Margaret, musisz to zrobić szybko. Niedługo się wyklują.

- Skąd wiesz? - zapytała Margaret.

- Używają pełnych zdań - wyjaśnił Perry. - Robią przerwy, jakby mówiły z interpunkcją. U mnie zachowywały się tak dopiero pod sam koniec. Mamy może dzień albo tylko pół, zanim się wyklują.

## **ZABIJ GO.**

- Jesteś tego pewien? - zapytała Margaret.

- Porozmawiaj z nimi - nie ustępował Dew.

*Czuję twój strach. Dostanę cię...*

Perry zasłonił uszy dłońmi w podświadomej próbie zablokowania głosów. Odziane w rękawice dłonie uderzyły w hełm, zanim przypomniał sobie, że tak naprawdę nie *słysz* głosów uszami.

- Zostaw mnie w spokoju!

- Dobra, młody - ustąpił Dew. - Tylko się uspokój.

- Nie martw się, Perry - powiedziała Margaret. - Zaraz rozpoczniemy operację. Pozbędziemy się ich.

Perry musiał obrócić całe ciało, by na nią spojrzeć. Wydawała się taka mała, drobna twarz pływająca wewnątrz wielkiego hełmu, jak złota rybka w kuli. Czy naprawdę była taka naiwna?

- Wiesz co? - zapytał. - Właściwie to nigdy nie podziękowałem ci za uratowanie mi życia.

Odwrócił się i otworzył drzwi śluzy. Kontrolka zmieniła kolor z zielonego na czerwony. Wyszedł. Dew dotrzymał mu towarzystwa, zamykając za sobą drzwi.



Margaret zagapiła się w czerwono/zieloną kontrolkę nad drzwiami śluzy, irracjonalnie martwiąc się, że nie zmieni koloru z czerwonego z powrotem na zielony, że nie będzie w stanie otworzyć drzwi, a Bernadette lada chwila zdoła się uwolnić z wózka. Kiedy światelko zmieniło w końcu kolor na zielony, Margaret zdała sobie sprawę, że wstrzymywała oddech.

- Dobrze się czujesz, Margo? - zapytał Clarence.

- W porządku - zapewniła.

- Rety - rzucił Clarence. - Ten gość jest strrrrasznie pokręcony.

- Zgadza się - potwierdziła Margaret. - Musiało mu być ciężko znowu zobaczyć trójkąty. Ich widok jest niepokojący dla każdego... Nie mogę sobie wyobrazić, czym to musi być dla Perry'ego. Ale pomimo to, pomimo wszystkiemu, przez co przeszedł, wydaje mi się, że robi postępy. To miło, że w końcu podziękował mi za uratowanie.

- Tylko że on wcale tego nie zrobił. Powiedział, że *nigdy* ci za to nie podziękował. Chyba wcale nie chciał przeżyć.

Chciała poprawić Clarence'a, ale się powstrzymała. Może miał rację. Życie Perry'ego Dawseya nie było usłane różami.

- To nie ma znaczenia, bo *faktycznie* go uratowałam. - Gwałtownym gestem wskazała kciukiem w stronę Bernadette. - I z nią zamierzam zrobić to samo. A teraz proszę, pomóż mi przygotować ją do zabiegu. Jeśli Perry ma rację, nie mamy wiele czasu.

- Najpierw musimy wrócić do pokoju kontrolnego - oświadczył Otto. - Musimy porozmawiać z Murrayem.

- Czemu, u diabła, mamy to robić? Musimy się pospieszyć, skarbie, liczy się każda sekunda.

- Margaret, proszę. Ta sytuacja i tak jest już dostatecznie skomplikowana. Musimy się upewnić, że prezydent zostanie o wszystkim poinformowany. Zresztą doktor Chapman i tak musi się ubrać w kombinezon. Może przygotować pacjentkę w czasie, gdy my zrelacjonujemy wszystko Murrayowi. Dobra?

Nie miała czasu na takie rzeczy. Jednak musiała przyznać, że przekazywanie informacji również stanowiło element programu. Gutierrez chciał udawać, że nad wszystkim panuje? Mogła się w to bawić, ale tylko do czasu.

- Porozmawiam z nim - oświadczyła. - Ale masz piętnaście minut, złotko, a potem zaczynam operację, niezależnie od wszystkiego. Będziemy przy tym potrzebować wszystkich rąk. Może będziemy musieli pracować jako dwa niezależne zespoły równocześnie, Dan i Marcus przy sercu, ja z Gitshem nad biodrem.

- Jasne - cicho potwierdził Otto. - Przygotuję wszystkich, a ty wracaj do pokoju kontrolnego, dobrze?

Margaret kiwnęła głową.

Ścisnęła jego dłoń w rękawicy, po czym otworzyła drzwi śluzy powietrznej i wyszła.



- Poczekaj, Perry. - Dew próbował pobiec za nim, ale strój ochronny i bolące biodro oraz uszkodzone kolana praktycznie to uniemożliwiły.

Perry się nie zatrzymywał. Nawet przy nie do końca sprawnej nodze długie kroki szybko zaprowadziły go w mrok obszernej posiadłości rodziny Jewellów.

Dew zatrzymał się i oparł się rękami o biodra. Był za stary na takie zabawy.

- Perry! *Daj spokój!*

Perry zatrzymał się i odwrócił.

- Poczekaj chwilę - poprosił Dew. - Albo jeszcze lepiej, wróć tu.

Perry popatrzył na Dewa, po czym podszedł, niesiony długimi krokami równie szybko, jak wcześniej się oddalił.

- Co się tam u diabła stało? - zapytał Dew. - Te paskudztwa są za szybą, przecież jeszcze się nie wykluły. Wiem, że są wredne, ale daj spokój, musisz być silniejszy niż coś takiego.

- To nie one - wyjaśnił Perry. - To... coś innego.

- Co?

- Myślę, że mówiła do mnie Chelsea Jewell. Mówiła do mnie przez trójkąty.

Dew zatęsknił za czasami, kiedy po usłyszeniu czegoś takiego mógł powiedzieć „odbiło ci”. Jednak Perry Dawsey nie był świrem, to była po prostu kolejna odsłona jego chodzącego koszmaru.

- Czemu uważasz, że to Chelsea?

- Zgaduję - wyjaśnił Perry. - Głos należał do małej dziewczynki. Chelsea i jej rodzina uciekli, ona jest małą dziewczynką, kojarzę fakty.

- Prawdziwy z siebie Columbo - rzucił Dew.

Perry popatrzył na niego, po czym uśmiechnął się nieśmiało.

- To większy komplement, niż mógłbyś przypuszczać.

Zapewne kryła się za tym jakaś historia, ale teraz nie był czas na grzebanie w przeszłości.

- No dobra, to miałeś w głowie Chelsea Jewell. Powiedz mi, czemu tak bardzo cię to przeraziło.

Perry odchylił się trochę do tyłu i zapatrzył w zimowy mrok.

- Moc - powiedział po chwili. - To nie przypominało tego, jak mówiły do mnie trójkąty. To było coś innego. Nie wiem, Dew, nie wszystko z tego da się łatwo ująć



słowami, ale chciała... Zresztą, nieważne, czego chciała. Ona ma moc, Dew. Potężną. Czymkolwiek jest, nie przypomina niczego, co czułem wcześniej.

- A co z jej rodzicami? Masz coś na ich temat?

Perry pokręcił głową.

- Nie, tylko ją. Musimy ją znaleźć i się z nią rozprawić, zanim zrobi się jeszcze silniejsza.

- Pracujemy nad tym, młody. Wystawiliśmy list gończy za rodziną Jewellów, ich zdjęcia ma każdy gliniarz w dziesięciu stanach. A teraz chodź, musimy z nich wydusić lokalizację bramy. Tym razem nie mamy map, więc albo Bernadette Smith, albo nic. Wróćmy do kontenera i zadajmy jeszcze parę pytań.

- Nie wrócę tam - oświadczył Perry.

- Nie bądź mięczakiem - rzucił Dew.

Perry szerzej otworzył oczy, a kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu. Wycelował palec w Dewa.

- Nie. Napieraj.

Odwrócił się i odszedł w mrok.

Dew dał mu spokój. Jest czas na przewodzenie, czas na podążanie za innymi i czas na zejście z drogi pieprzonego czołgu. Widział już kiedyś taki wyraz twarzy Perry'ego - gdy dzieciak szedł wprost na niego, z uśmiechem, szeroko otwartymi oczami, nagi i pokryty krwią, podskakując na jednej nodze, z odciętym fiutem w zaciśniętej pięści.

Tak, zdecydowanie przyszedł czas na zejście z drogi.



Satelita nie potrafił zrozumieć. Wydał Chelsea bardzo konkretne instrukcje.

CHELSEA, POWIEDZIAŁEM CI, ŻEBYŚ NIE ROZMAWIAŁA Z NISZCZYCIELEM.

*Wiem, co zrobięś.*

Czyli nie zapomniała. Pamiętała polecenie, a jednak go nie posłuchała.

CZEMU TO ZROBIŁAŚ, SKORO WIEDZIAŁAŚ, ŻE TO ZABRONIONE?

*Nie wiem.*

Satelita próbował przeanalizować odpowiedź. Bezskutecznie.

CO TO ZNACZY, ŻE NIE WIESZ?

*Nie wiem.*

NIE WOLNO CI SPRZECIWIĄĆ SIĘ MOIM POLECENIOM, CHELSEA. JEŚLI BĘDZIESZ ROZMAWIAĆ Z NISZCZYCIELEM, SPROWADZISZ GO DO SIEBIE. NIE WOLNO CI NIGDY, ABSOLUTNIE NIGDY WIĘCEJ SIĘ Z NIM KONTAKTOWAĆ.

*Już ci mówiłam, Chauncey. Nie jesteś moim szefem.*

Satelita poczuł zerwanie połączenia. To Chelsea je zakończyła. Nie wiedział, że to możliwe.

Ewidentnie będzie musiał wprowadzić kolejną zmianę. Konieczne będzie przekierowanie kolejnego ułamka mocy obliczeniowej do upewnienia się, że Chelsea nie będzie więcej rozmawiać z niszczycielem.

Była już potężniejsza niż przewidywał, a ta moc będzie rosła w miarę, jak będzie się łączyła z coraz większą liczbą przerobionych.



## Murray i Vanessa, najlepsi przyjaciele

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki siedział w swoim fotelu w Gabinetce Owalnym, trzymając w dłoni szklaneczkę sześćdziesięcioletniej whisky Macallan na lodzie. Vanessa Colburn siedziała w fotelu blisko biurka. Murray słyszał, że nie piła. Może poza krwią swoich ofiar. Albo przypadkowych sierot i małych kotków.

Macallan była prezentem na inaugurację od ambasadora Irlandii i podobno kosztowała około trzydziestu tysięcy za butelkę. W sumie prezydentowi Stanów Zjednoczonych nie dawało się w prezencie flaszki Chivas Regal. Jedna szklaneczka była pewnie warta więcej, niż Murray zarabiał przez tydzień. Z przyjemnością pozwoliby Gutierrezowi smakować whisky, ale nie było czasu na delektowanie się.

- Potrzebujemy odpowiedzi, panie prezydencie - oświadczył Murray. - Doktor Montoya chce natychmiast przeprowadzić operację na Bernadette Smith.

- To niech operuje - rzuciła Vanessa. - Ludzie Ogdena zdobyli panu żywego gospodarza, ale Dawsey nie chce rozmawiać z trójkątami, co jakby pozbawia cały plan sensu.

W jednym zdaniu zdołała połączyć sukces swojego pomysłu wysłania Ogdena z niepowodzeniem zespołu Murraya w wykorzystaniu tego osiągnięcia. No dobra, to było zdanie złożone, co nie zmieniało faktu, jak gładko Vanessa Colburn potrafiła przedstawić go jako idiotę.

- Montoya może jeszcze przeprowadzić wiwisekcję trójkątów, zanim się rozłożą - dodała Vanessa. - Dzięki czemu wysłanie ludzi Ogdena nie będzie całkowitą porażką. Posunęliśmy się do przodu pomimo niepowodzenia Dawseya, więc w czym problem?

- Problem, panno Colburn, polega na tym, że od trzech miesięcy próbowaliśmy także złapać żywego pisklaka. Teraz możemy osiągnąć ten cel.

Vanessa popatrzyła na niego.

- Osiągnąć ten *cel*? Co pan chce powiedzieć, Murray? Że powinniśmy pozwolić umrzeć tej kobiecie, żeby złapać pisklaka?

- To jedna z dostępnych opcji.

- To opcja, którą może rozważać tylko pieprzony *wampir* - warknęła.

I to ona *jego* nazywała wampirem? Bezcenne. Upierała się przy próbie nawiązania kontaktu, a skoro się to nie udało, natychmiast zrzuciła winę za tę strategię na barki Murraya.

- Czy mam przypominać o pani dążeniu do *porozumiewania się*, panno Colburn?

- Nie za tę cenę - odpowiedziała. - Nigdy za taką cenę.

- Potrzebujemy informacji - przypomniał Murray. - Wojen nie wygrywa się karabinami tylko wywiadem.

- To nie jest *wojna*, Murray.

To przeważało szalę. Nie mógł tego więcej słuchać. *Ta* kobieta była najważniejszą doradczynią prezydenta? *Ta* kobieta brała udział w podejmowaniu decyzji o losie świata?

- W takim razie jak to pani nazwie? - zapytał Murray.

- To sytuacja kryzysowa - warknęła Vanessa. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby tego wojną.

- A co ty, kurwa, wiesz o wojnie?! - wrzasnął Murray. - No? Ze swoim wykształceniem z czołowego uniwerku? Ty będziesz mi mówić, czym jest wojna?

- Spokojniej, Murray - odezwał się Gutierrez.

- Nie sądzę, żebym potrafił spokojniej, panie prezydencie - odpowiedział Murray. Słyszał, co mówi, próbował się powstrzymać, ale nie potrafił już tego znieść. - Proszę mi powiedzieć, panno Colburn, czy w swojej nieskończonej mądrości wie pani, jak to jest, gdy ktoś do pani strzela?

- Tak się składa, że wiem - odpowiedziała. - Zapracowałam na swoje wykształcenie. Zapracowałam na nie dorastając bez pieniędzy, mając wszędzie wokół siebie narkotyki i przestępstwa. Widziałam dość broni, Murray. Widziałam, jak giną moi przyjaciele.

- Doprawdy? - Murray wybuchnął śmiechem. - Czyli dorastała pani na dzielni i to znaczy, że wie pani, czym jest wojna? A po tym, jak zobaczyła pani czyjąś śmierć, pobiegła pani do domu i włączyła MTV?

- Nie znasz mnie - syknęła Vanessa. - Nie wiesz, jak dorastałam.

- W takim razie proszę mnie oświecić. Ilu ludzi pani zabiła?

Nie odpowiedziała.

- Nikogo? No dobrze, to mogę odpuścić. Ile razy trzymała pani za rękę przyjaciela, który się wykrwawiał, patrzyła mu w oczy i obiecywała dopilnować, żeby jego dzieciaki wyrosły na ludzi? Wcale? To z pewnością musiała chociaż pani wycierać ze swojej pieprzonej gęby mózg przyjaciela, prawda? Ile razy chowała się pani na polu ryżowym, z krwią wyciekającą do brudnej wody? Ile razy musiała pani zabijać dwunastoletnie dziewczynki, bo strzelały do pani z AK? Co? Może dzielnia nie wygląda teraz wcale tak strasznie, prawda?

- Murray! - warknął Gutierrez. - Twoja służba dla tego kraju to ważna sprawa, ale dość tego!

Murray uświadomił sobie, że dyszy i jest cały spocony. W ciągu trzydziestu lat wizyt w tym gabinecie, w obecności sześciu prezydentów, jeszcze nigdy nie zareagował w taki sposób. Ta kobieta potrafiła nadeptywać na odciski jak nikt inny. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł pot z czoła.

Vanessa wcale nie wyglądała na przejętą. Jej pokerowa twarz dobrze ukrywała emocje, ale jedna i tak się przez nią przebijała: satysfakcja. Wygrała. Wypunktowała jego błędy. Doprowadziła go do poważnej utraty panowania nad sobą. W jej oczach zobaczył jednoznaczny komunikat: jeśli miał uratować cokolwiek ze swojej kariery, będzie musiał ustąpić i robić to, czego ona chce.

Murray odchrząknął.

- Przepraszam, panie prezydencie.

- Jesteśmy w trudnej sytuacji. - Gutierrez uśmiechnął się jak rasowy polityk. - Wszyscy mamy napięte nerwy.

- Posłuchaj, Murray - odezwała się Vanessa. - Wierz mi, nie jestem hipiską, która uważa cię za zabójcę dzieci, czy coś takiego. Szanuję twoją służbę i doświadczenie, ale jesteś z innych czasów. To powód, dla którego trafiliśmy do tego gabinetu. Ludzie tacy

jak ty wciąż myślą, że możemy zapomnieć o prawach innych, jeśli tylko będzie nam to odpowiadać.

Murray znowu się rozszłościł, ale tym razem nie pozwolił sobie na utratę kontroli. Mocno zacisnął szczęki. W Gabinetcie Ovalnym zapadła niezręczna cisza. W końcu przerwał ją Gutierrez.

- Jak bardzo byłoby to kontrolowane, Murray? Jeśli pozwolimy im się wykluć, czy ktoś się o tym dowie?

Vanessa gwałtownie obróciła głowę, z niezrozumieniem na twarzy. Zaczęła coś mówić, ale Gutierrez uniósł palec, ucinając jej słowa.

- Jak kontrolowane, Murray?

Wszystko, co musiał teraz zrobić, to powiedzieć Gutierrezowi coś, co odciągnie go od pozwolenia trójkątom na wyklucie się. Wystarczy, że poprze Vanesę, a ona mu odpuści.

Jednak wciąż nie znali lokalizacji następnej bramy, a do tego potrzebowali pisklaka. Dawsey się sprawdzi, będzie *musiał* się sprawdzić.

Zresztą... Cholernie nienawidził Vanessy Colburn.

- No cóż, sir, powiem otwarcie - odpowiedział Murray. - Środki masowego przekazu wiedzą już o bakterii zjadającej ciało. Jeśli ktoś umrze z tego powodu... - rozłożył ręce. - Takie rzeczy się zdarzają.

- Takie rzeczy nie *zdarzają się tak po prostu* - odezwała się Vanessa.

- Vanessa - rzucił Gutierrez. - Bądź tak miła i stul pysk.

Taki sam wyraz twarzy mogłaby przybrać, gdyby Murray wyciągnął fiuta i poprosił o lodzika z wisienką.

- Na skali od jednego do dziesięciu, Murray, jak bardzo potrzebujemy dowiedzieć się, z czym mamy do czynienia?

- Od jednego do dziesięciu? Jakies czterysta trzydzieści dwa. Mamy tu do czynienia z jakiegoś rodzaju inwazją, panie prezydencie. Obawiam się, że dawno minął już czas na herbatkę i ciasteczka.

Uważnie przyjrzał się prezydentowi. Minęły dopiero dwa tygodnie, czyżby John Gutierrez już zaczynał sięgać wzrokiem ponad swój idealizm?

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać: napierać. Murray wyciągnął telefon i podniósł go do góry.

- Panie prezydencie, proszę, *muszę* usłyszeć jakąś decyzję, bo wkrótce ta dyskusja stanie się bezprzedmiotowa. Milczenie będzie równoznaczne z wyrażeniem zgody na ich wyklucie, sir. I jeśli pozwoli pan sobie na przyjęcie rady od starszego człowieka, to decyzja, którą tak czy inaczej musi pan podjąć. Proszę nie pozwolić, by kierowało panem niezdecydowanie. Proszę coś zdecydować i nauczyć się z tym żyć.

Gutierrez popatrzył w dal, na coś, czego zdecydowanie nie było w gabinecie.

- Niech się wyklują - powiedział.

Murray napisał w komórce NIECH ZOSTANĄ, z szybkością, którą zyskałby sobie uznanie Betty Jewell za sprawność pisania, po czym nacisnął przycisk „wyślij”.

Vanessa pokręciła głową.

Miała wyraz twarzy osoby, która zamierza wyjaśnić coś oczywistego ukochanej osobie, która tej oczywistości nie zauważa.

- Panie prezydencie - zaczęła. - Panie prezydencie, ja... My nie możemy tego zrobić.

Gutierrez się roześmiał. Murray usłyszał w tym śmiechu ból.

- Wzdrygasz się, Vanessa? Nie sądziłem, że kiedyś to zobaczę. Zawsze wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał wysłać ludzi na śmierć. Co jakiś czas sam siebie oszukuję, pozwalam sobie na nadzieję, że może moja administracja będzie miała to szczęście, że moja decyzja nie doprowadzi do ozdobionych flagą trumien. Wysłanie żołnierzy na śmierć jest trudne, ale to ich ryzyko zawodowe. Wiedzą, na co się piszą. Wiesz, co jest jeszcze trudniejsze? Świadomość, że istnieje Amerykanka, niejaka Bernadette Smith. Ma dwadzieścia osiem lat, jest matką trójki dzieci, chrześcijanką, która pracuje społecznie w kościele, a ja świadomie pozwolę jej umrzeć w najbardziej koszmarnej z możliwych sposobów.

Vanessa pokręciła głową.

- Panie prezydencie, *nalegam*...

- Nalegasz? - Uderzył pięścią w stół. - *Ty* nalegasz? Kto tu jest prezydentem, do cholery?

- Ty, John - odpowiedziała cicho.

- Mówi się „panie prezydencie” - warknął Gutierrez.

Vanessa spuściła wzrok.

- Pan, panie prezydencie.

- A czy wiesz, *czemu* jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki, Vanessa?

Potrząsnęła głową.

- Po pierwsze dlatego, że jestem dość inteligentny, by zatrudnić i słuchać ludzi takich jak ty. A po drugie dlatego, że jestem też dostatecznie inteligentny, by wiedzieć, kiedy *nie* słuchać ludzi takich jak ty. Najtrudniejsza decyzja jest zazwyczaj tą konieczną i ta decyzja właśnie została *podjęta*. A teraz wynocha.

Vanessa popatrzyła na Murraya, potem z powrotem na prezydenta. Murray zaczął się zastanawiać, czy kobieta zacznie płakać.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, potem je zamknęła i otworzyła znowu.

- Chcesz... chcesz, żebyśmy wyszli?

- Nie - skorygował Gutierrez. - Tylko ty. Muszę porozmawiać z Murrayem.

Znowu się obejrzała, najpierw na siedzącego z kamienną twarzą Murraya, potem na prezydenta, który odpowiedział jej nieruchomym spojrzeniem.

Vanessa Colburn wstała i wyszła z Gabinetu Ovalnego tak szybko, że wyglądało to prawie jak bieg. Drzwi zatrzasnęły się za nią. W powietrzu zawisła cisza.

- Co z raportem pogodowym Montoi? - zapytał Gutierrez. - Udało się odszukać tego niewidzialnego satelitę?

- Jeszcze nie - odpowiedział Murray. - Ale skupiliśmy na tym dużo zasobów, sir. Próbujemy ekstrapolować możliwe położenie i mamy nadzieję, że niedługo uda się nam coś znaleźć.

Gutierrez powoli kiwnął głową. Zapytał o satelitę niemal niedbałym tonem.

Murray spokojnie czekał. Wielokrotnie uczestniczył w tym tańcu, wiedział, kiedy prowadzić, a kiedy dać się wieść.

- Czy postąpiłem słusznie? - zapytał w końcu Gutierrez. Przez kamienną twarz w końcu przebiły się emocje. Murray zobaczył dręczące go cierpienie i niezdecydowanie. - Powiedz mi wprost, Murray. Robisz to od bardzo dawna, prawda?

- Tak, panie prezydencie.

- Czy pozwalając tej kobiecie umrzeć, zrobiłem coś właściwego?

- Nie decyduję, co jest słuszne, a co złe. To należy do pana, sir. Ja dostarczam tylko informacji potrzebnych do podejmowania decyzji, a potem je wykonuję.

- Rozumiem. A czy ta wielka kupa łajna, którą mi wciskasz, pomaga ci spać w nocy?

- Nie, sir - zapewnił Murray. - Za to bardzo pomaga xanax albo dwa.

Gutierrez zapadł się w głąb fotela. Opróżnił szklaneczkę z whisky, a potem odstawił ją tak gwałtownie, że jedna z kostek lodu wyskoczyła i pojechała po biurku. Murray podszedł do wózka z alkoholami, wziął butelkę Macallana i nalał prezydentowi podwójną porcję.

- Jeśli to pana pocieszy, panie prezydencie, to fakt, że tak trudno było panu podjąć tę decyzję jest dla mnie powodem do dumy i nadziei. Przed panem służyłem pięciu prezydentom. Widziałem, jak dla niektórych z nich podejmowanie takich decyzji stało się... *łatwe*.

Gutierrez przyglądał się Murrayowi przez chwilę, po czym uniósł szklaneczkę w salucie.

- Dziękuję, Murray. A teraz idź się tym zajmij.

- Tak jest, panie prezydencie - odpowiedział agent i wyszedł.

## Gimnastyka bokserska

Margaret chodziła nerwowo po pokoju komputerowym, co nie było łatwe biorąc pod uwagę, że mogła zrobić zaledwie jakieś pięć kroków, zanim musiała zawrócić. Grube PCW jej spodni skrzypiało przy każdym kroku. Wciąż miała na sobie kombinezon, bez hełmu, aby oszczędzić na czasie, gdy konieczny będzie zabieg. Dew już się rozebrał. Nigdy wcześniej nie widziała go w bieliźnie.

Do pokoju komputerowego wszedł Clarence.

- Skontaktowałeś się z Murrayem? - zapytała. - *Zgodzi się wreszcie, żebyśmy uratowali życie tej kobiecie?*

Clarence popatrzył na Dew, potem znowu na nią.

- W czym problem? - zapytała. - Panowie, spieszmy się. Czas ucieka.

Dew spuścił wzrok, twarz Clarence'a zmieniła się w kamienną maskę.

- Nie możemy operować - oświadczył.

- O czym ty mówisz? Wyciągnęliśmy z niej wszystko, co mogliśmy.

- Nie wszystko - odpowiedział Clarence. - Jeszcze nie.

Przez chwilę tylko na niego patrzyła. Doznała olśnienia, ale nie chciała w to uwierzyć. Nie chciała wierzyć w to, co słyszy.

- Clarence... nie możesz mówić poważnie. Nie myślisz chyba, że pozwolimy tym rzeczom *wykluć* się z tej kobiety, prawda?

- Dostaliśmy rozkazy - odpowiedział Clarence.

Wiedział, jaka będzie odpowiedź Murraya. To dlatego naciskał, żeby poczekali i odłożyli operację. Gdyby Clarence nie sprzedał jej tego tekstu o konieczności informowania góry, Bernadette Smith leżałaby już na stole operacyjnym.

Margaret słyszała o powiedzeniu „widzieć na czerwono” i rozumiała je w teorii, ale nigdy sama czegoś takiego nie doświadczyła. Aż do teraz. Wybuchła w niej furia nieporównywalna z niczym, czego doznała do tej pory.

- *Nie* pozwolimy tej kobiecie umrzeć!

Zrobiła dwa kroki do przodu i dźgnęła palcem w szeroką pierś Otto. Jasne, mogłaby wrzeszczeć na Dewa, ale po prawdzie, spodziewała się czegoś takiego po takim zimnym zabójcy. Nie ze strony Clarence'a Otto. Mężczyzny, z którym się kochała.

- Ta kobieta ma dziesięcioletniego syna, który właśnie stracił ojca - powiedziała. - Mogę ją *ocalić*, wiem to. Musimy ją *natychmiast* operować, wy pieprzone dranie. Słyszycie mnie? *Natychmiast*.

- Nie możemy, Margaret. - Otto pokręcił głową.

- Dla ciebie to *doktor* Montoya, dupku. *Doktor*. Taki ktoś, kto przysięga chronić życie.

- Mamy rozkazy - odpowiedział agent.

- Czyje rozkazy? Tego drania Murraya Longwortha? Ogdena? *Jego*? - Margaret wskazała Dewa, który wciąż wbijał wzrok w podłogę. - Kto, do cholery, uważa, że może mi *rozkazać* pozwolić umrzeć tej kobiecie?

- Prezydent - cicho wyjaśnił Otto. - To z samej góry. Rozkaz prezydenta.



- Doprawdy? W takim razie może przy okazji rozkaże zagazować paru Żydów, co? Takie rozkazy też będziesz wykonywał? A może rozkaże Dewowi spętać jakiegoś czarnucha i go przykłádnie wybatożyć?

Twarz Otto wykrzywiła się ze złości, ale się nie przejęła. Właściwie to jej się to spodobało. Chciała wydusić z tego dupka jakąś reakcję. Pieprzona gnida. Jak w ogóle mogła myśleć, że kocha takiego zimnego skurwysyna jak on?

- Jak myślisz, Dew?! - wrzasnęła Margaret. - Gdyby ci *rozkazano* coś takiego, to znaczyłoby, że to *w porządku*, prawda?

- Margaret - odezwał się Otto - proszę, uspokój się.

- Nie mówiłam ci, że dla ciebie to *doktor* Montoya? Nie mówiłam, *agencie* Otto?

- Nie rozumiesz, musim...

Margaret wyprowadziła uderzenie zanim skończył mówić. Jej pięść uderzyła w koniec lewej jedyńki. Głowa mężczyzny odskoczyła z powodu bólu, nie siły uderzenia, i gwałtownie poderwał ręce do ust. Wcześniej widziała już złość na jego twarzy, ale to, co pojawiło się tam teraz, było czymś znacznie intensywniejszym. To była *furia*. Jego spojrzenie przebiło się przez jej własną furię i zmusiło do uświadomienia, że niezależnie od tego, jak bardzo się rozzłości, mimo wszystko jest tylko drobną kobietą i ktoś rozmiarów Otto może jej zrobić krzywdę. Skrzywdzić ją *mocno* kiedy tylko zechce... lub gdy straci nad sobą panowanie.

Wyprostował się na całe swoje sto dziewięćdziesiąt centymetrów.

- Złamałaś mi pieprzonego zęba - warknął. Mówił cicho, ale zrezygnował z próby zachowania spokoju. Agent Clarence Otto, jej kochanek - poprawka, *były* kochanek - był o włos od solidnego skopania jej tyłka.

- Wyjdź stąd, Clarence - rozkazał Dew.

Otto gwałtownie obrócił głowę w lewo i popatrzył wściekle na szefa. Przez chwilę Margaret myślała, że jego furia wyładuje się na Dewie Phillipsie.

- To *rozkaz* - cicho oświadczył Dew.

Otto patrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym przeniósł na Margaret spojrzenie pełne nienawiści. Odwrócił się i wyszedł z kontenera.

- Musi się pani opanować, doktor Montoya - oświadczył Dew. - Mamy tu fatalną sytuację, a pani jest dość inteligentna, by zrozumieć szerszą perspektywę. Ma tu pani apteczkę?

- Po co, do *kurwy*, potrzeba panu apteczki?

- Bo zalewa pani wszystko krwią. - Dew wskazał jej prawą pięść.

Margaret poczuła ciepłą wilgoć sekundę przed uniesieniem dłoni. Ból poczuła dopiero na widok rany. Jej serdeczny palec był szeroko rozcięty u podstawy kostki, z kawałkiem złamanego zęba osadzonym między płatem skóry a kością.

Lewą ręką otworzyła szafkę i wyciągnęła plastikową apteczkę. Otworzyła ją jedną ręką i zaczęła przegrzebywać, szukając zestawu do szycia i gazy.

Dew wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

- Nie potrzebuję pańskiej pomocy, Phillips.

- Owszem, potrzebuje pani. - Wciąż trzymał wyciągniętą dłoń.

- Lewą rękę mam w porządku - oświadczyła Margaret. - Mogę ją rozciąć na pańskim zębie, jeśli będzie pan naciskał.

- Clarence Otto jest gentlemanem - odpowiedział Dew. - Ja nie. Wierzę w równouprawnienie. Jeśli mnie pani uderzy, to pani będzie pluć krwią. A potem, jak znam życie, Clarence zaatakuję mnie za uderzenie jego kobiety. Jest większy ode mnie, więc będę musiał kopnąć go w jaja, a potem pewnie złamać mu prawą rękę, żeby nie próbował podskakiwać.

Margaret tylko na niego patrzyła. Dew mówił spokojnym, opanowanym głosem. Bez emocji. Jego głos działał na nią kojąco pomimo tego, że mówił o przemocy. A w miarę, jak opadała jej furia, równocześnie narastał ból w ręce.

- Czy chce pani wiedzieć, *jak* złamię mu rękę, doktor Montoya?

Zobaczyła przed oczami Perry'ego Dawseya, obraz olbrzymiego mężczyzny zwiniętego w kłębek na hotelowej podłodze, krwawiącego po starciu z Dewem. Jej mózg zastąpił Perry'ego Clarencem Otto.

Dew nadal trzymał wyciągniętą przed siebie dłoń.

- Nie - odpowiedziała. - Nie chcę wiedzieć.

Wyciągnęła zakrwawioną prawą rękę i położyła ją na jego dłoni.

Wyciągnął kawałek zęba z rany i położył go na blacie komputerowym.

- Otto może chcieć go odzyskać - powiedział. - Czy wy, naukowcy, nie powinniście być ponad słabości ludzkiego ciała?

- Nie zamierzam pozwolić tej kobiecie umrzeć - oświadczyła Margaret. - To, co się przed chwilą stało, niczego nie zmienia. *Zoperuję* ją.

- Nie, nie zrobi pani tego - odpowiedział Dew. Przyłożył gazę do rany, nacisnął i mocno przytrzymał. Margaret syknęła z bólu. - Natomiast *zrobi* pani to, co powiem, doktor Montoya.

Zaczęła protestować, ale tylko mocniej ścisnął jej dłoń. Ból znowu wydusił z niej syknięcie, odcinając słowa.

- Prezydent rozkazał, żebyśmy pozwolili się wykluć trójkątom w ciele tej kobiety. Nie potrafimy zlokalizować następnej bramy, a w związku z tym nie możemy sobie pozwolić na zabicie czegoś, co może znać tę informację.

- Do cholery, nie możemy poświęcać własnych obywateli.

- Pobudka, pani doktor. Ameryka cały czas poświęca własne dzieci. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Poświęciliśmy dość moich przyjaciół w Wietnamie.

- Teraz ludzie idą do wojska na ochotnika, Dew - odpowiedziała Margaret. - To nie to samo. Nie mamy już przymusowego poboru.

- I zostanie tak tylko do czasu, gdy zabraknie nam żołnierzy do walki w konfliktach, w których uczestniczymy - odpowiedział Dew. Zdjął zakrwawioną gazę i wyrzucił ją do kosza na śmieci. Następnie przyłożył na jej miejsce kolejny pakiet, przytrzymując go kciukiem lewej dłoni, a prawą ręką wyciągnął zestaw do szycia. Rozerwał go zębami i położył obok klawiatury.

- Dobrze pani wie, że pobór wróci *natychmiast*, gdy tylko pojawi się wystarczająco duże zagrożenie - stwierdził. - Nieliczni giną, żeby wielu mogło żyć. I ta kobieta musi umrzeć dokładnie z tego samego powodu.

- Nie obchodzi mnie to - warknęła Margaret. - Nie jestem żołnierzem, jestem lekarzem i *nie* poświęcam ludzi. Zrobię to wbrew tobie.

Dew zdjął drugi zestaw gazików, mniej zakrwawiony niż pierwszy. Zebrał rozciętą skórę razem, wziął w dłoń igłę z nawleczoną nicią i wbił ją w ciało.

Dłonie miał szorstkie, ale ciepłe. Delikatne. Zobaczyła, że szyje sprawnie, z doświadczeniem.

- Robiłeś już coś takiego?

- Robiłem to w czasie, gdy inni ludzie próbowali mnie zabić, skarbie. Robiłem to *sobie* pod ostrzałem przeciwnika. To tutaj to tylko drobne rozcięcie z bójki barowej. Gdzie się nauczyłaś tak uderzać?

- Gimnastyka bokserska - wyjaśniła Margaret. - Tak naprawdę jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam.

Znowu kiwnął głową. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, pewnie by się roześmiał.

- Jeśli spróbujesz to zrobić wbrew rozkazom, wylecisz - oświadczył, robiąc drugi szew. - Nie traktuj tego jak groźby, ale zostaniesz wsadzona do celi do czasu, aż to wszystko się skończy. A mówię, że to nie groźba, bo wiem, że nie obchodzi cię kara ani wkurzanie innych.

- To prawda.

Dew wykonał trzeci szew.

- W każdym razie tak właśnie będzie. Zostaniesz odsunięta od sprawy i twoje miejsce zajmie ktoś inny. Może ten doktor Chapman, może twój stary kumpel doktor Cheng.

Dew zrobił czwarty szew i popatrzył jej w oczy. Jego twarz znajdowała się zaledwie o kilka centymetrów od jej. Czują ruch jego dłoni - zawiązywał szew kierując się tylko dotykiem.

- Ktokolwiek to będzie, nie będzie wiedział o sprawie tyle, co ty, Margaret. Będzie musiał spędzić mnóstwo czasu nadrabiając zaległości, a my nie mamy tego czasu. I pewnie i tak przeoczy coś, co może się okazać krytyczne dla sprawy.

Spuściła wzrok. Miał rację.

- Nie wiemy, co chce przejść przez te bramy - Dew mówił dalej. - Ale cokolwiek to jest, gdyby nie ty, *już* by przeszło. Dzięki twojej teorii pogodowej może nawet uda się nam znaleźć źródło zakażenia. Jeśli to satelita, może uda się nam go zestrzelić. I to dzięki *tobie*. Margaret... Bez ciebie nie damy rady.

- Ale Dew, ta kobieta... to będzie straszne.

Powoli kiwnął głową.

- Tak, będzie. Ale *musimy* wiedzieć. Grasz teraz o najwyższą stawkę, a elementem gry na tym poziomie jest świadomość, kiedy musisz coś poświęcić.

- Łatwo ci to powiedzieć - rzuciła Margaret. - Jesteś w tym przecież dobry, prawda?

Dew się uśmiechnął. Uśmiech był pełen goryczki.

- Podobno jestem jednym z najlepszych. Co jest trochę wątpliwym zaszczytem. Słuchaj, niezależnie od tego co powiesz, co zrobisz albo z kim porozmawiasz, ta kobieta umrze. Wszystko co możesz zrobić, to głośno zaprotestować, czego jedynym skutkiem będzie zdjęcie cię z projektu. Zachowasz czyste sumienie kosztem swojego kraju. Albo *ludzkości*. Powiedz mi, że przynajmniej to rozumiesz.

Rozumiała. Wszelkie protesty zostaną zignorowane i do niczego nie doprowadzą – maszyna Murraya Longwortha przetoczy się po niej i wszystko będzie po starym, tylko mniej skutecznie. I choć ta myśl przyprawiała ją o mdłości, nie mogła pozwolić, by jej bezużyteczny gest doprowadził do odsunięcia jej od projektu.

– Rozumiem – powiedziała.

– Jeśli myślisz, że Gutierrez podjął tę decyzję kierowany kaprysem, albo że łatwo jest Clarence’owi i mnie wykonać ten rozkaz, to jesteś idiotką. Mam nadzieję, że sama nigdy nie będziesz musiała podejmować takiej decyzji, Margaret. Jednak gdyby do tego doszło, pamiętaj: czy jedno życie warte jest tyle, co kilkaset? Albo kilka tysięcy?

– Nie *wiemy*, czy poświęcenie Bernadette Smith uratuje setki innych ludzi. Albo choćby jednego człowieka.

Dew przytaknął.

– Dokładnie. *Nie* wiemy i dlatego właśnie ta decyzja jest tak cholernie trudna.

Wstał i zaczął pakować zawartość apteczki. Margaret miała już obandażowaną dłoń. Nawet tego nie poczuła. Gdyby życie potoczyło się inaczej, Dew Phillips mógłby być chirurgiem światowej klasy.

Ruszył do wyjścia, ale odwrócił się do niej.

– To co, mam powiedzieć doktorowi Chapmanowi, żeby przejął dowodzenie, czy zajmiesz się swoją pracą?

Nienawidziła go. Nienawidziła go bardziej, niż sądziła, że można nienawidzić innego człowieka, niemal prawie tak bardzo, jak Clarence’a Otto.

– Zrobię to – warknęła.

Znowu ten gorzki uśmiech.

Dew Phillips wyszedł z pokoju komputerowego, zostawiając Margaret samą z myślami o nadciągających koszmarach.

## Wszystko czego potrzebujesz, to miłość...

Pułkownik Charlie Ogden stał w namiocie dowodzenia, przyglądając się rozłożonym na stole mapom i zdjęciom satelitarnym. Kapral Cope siedział na stołku pochylony do przodu, niczym drapieżny ptak czekający na rozkaz do ataku wydany przez Ogdena.

Pułkownik zastanawiał się, czy tej nocy uda mu się przespać chociaż zwyczajowe cztery godziny. Pewnie nie będzie na to czasu. A skoro on nie mógł spać, to kapral Cope też nie. Biedaczek. Z drugiej strony Cope był jeszcze młody, tak naprawdę wcale nie potrzebował snu. Sen jest dla mięczaków.

Ogden spojrzął na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści.

- Kapralu.

- Tak, sir?

- Jakież wieści od doktora Harpera na temat Dustina Climera?

- Jeszcze nic, sir.

- Kiedy był tu Harper?

- Jakież dwanaście godzin temu, pułkowniku.

- Ile czasu potrzeba na obudzenie się po postrzale w pieprzone ramię?

- Niestety nie wiem, sir - odpowiedział Cope. - Ale mogę poszukać w internecie, jeśli pan chce.

- To było pytanie retoryczne, kapralu.

- Tak jest, sir.

Może jednak chłopak potrzebował się przespać.

- Jakież trafienia w poszukiwaniach satelitarnych?

- Nie, sir - odpowiedział Cope. - Ciągle ich duszę, tak jak pan kazał. Mówię już po imieniu do wszystkich okularników, choć oni, odbierając moje telefony co piętnaście minut, wcale nie nazywają mnie Jeff, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Okularników irytowała skrupulatność? Pieprzyć ich. To nie oni nastawiali karku na pierwszej linii.

Ogden napił się letniej kawy, patrząc i myśląc. Rozszerzyli obszar poszukiwań, zajęli każdego dostępnego satelitę, a jednak wciąż nie było ani śladu bramy. Wszystkie wcześniejsze wystąpienia obcych wiązały się z powstaniem konstrukcji gdzieś w promieniu 150 kilometrów. Owszem, promień 150 kilometrów oznaczał olbrzymi obszar, ale mieli dziesiątki samolotów w powietrzu i przydzielony specjalnie dla nich czas satelity. Jeśli coś tam było, powinni już to znaleźć.

Jednak to, co tak naprawdę go martwiło, to rodzina Jewellów. Ogden nie miał wątpliwości, że to oni byli przynajmniej częściowo odpowiedzialni za śmierć jego ludzi. Jak dotąd list gończy nie dał żadnych rezultatów.

Gdzie uciekli?

Odchyliła się kłapa namiotu. Do środka wszedł żołnierz, bez koszuli, mający na sobie tylko buty, spodnie i bandaż na lewym ramieniu. W prawej ręce trzymał swoje M4.

- O wilku mowa - rzucił kapral Cope. - Jak się czujesz, Dustin?

- Dobrze - odpowiedział zapytany. - Przyszedłem spotkać się z pułkownikiem.

Ogden odstawił kubek z kawą.

- Zostaliście ranni, żołnierzu, i nie macie munduru. Powiedziałem Harperowi, że przyjdę was zobaczyć.

- Nic nie szkodzi, pułkowniku - odpowiedział Dustin. - Przyszedłem sam, bo to właśnie pana potrzebujemy.

- Zbierajcie się do łóżka szeregowy - rozkazał Ogden. - Tam z wami porozmawiam. Nie chcę, żeby doktor Harper spuszczał was z oka, rozumiano?

Climer wyprostował się i zasalutował przesadnie.

- Sir, tak jest, *sir!* Doktor Harper jest na zewnątrz, *sir!*

Chłopak zachowywał się bardzo dziwnie. Efekt leków przeciwbólowych? Climer podszedł do kaprała Cope'a. W tej samej chwili kłapa namiotu znowu się odchyliła i do środka weszło dwóch mężczyzn: doktor Harper i pielęgniarz Brad. Harper miał złamany nos, z białą kością widoczną w czerwonym rozdarciu, a mimo tego się uśmiechał. Pielęgniarz Brad też się szczyrzył, ze szczęką opuszczoną pod dziwnym kątem. Z otwartych ust ściekała mu ślina, zwisając niczym długa, lśniąca nić.

- Sir! - krzyknął Dustin Climer. - Przyszliśmy tu rekrutować, *sir!* Chcemy, żeby w pełni się pan rozwinął!

Nagle wszystko zaskoczyło. Jak mógł być tak głupi? Roznowski *pozwolił* Climerowi żyć. Strzał w ramię miał tylko uwiarygodnić stan Climera i nie rzucać na niego podejrzeń w czasie, gdy będzie go opanowywać choroba. A to znaczyło, że choroba jest teraz *zakaźna*.

Charlie Ogden sięgnął po pistolet.

Pielęgniarz Brad i doktor Harper skoczyli w jego stronę.

Dustin Climer machnął swoim M4, uderzając powoli reagującego kaprała Cope'a w podstawę czaszki. Cope kaszłąc spadł ze stołka.

Ogden wystrzelił dwukrotnie. Pierwszy strzał spudłował, drugi trafił Harpera w czoło w chwili, gdy pułkownika dopadł Brad, uderzając w niego z impetem. Brad był dużym, silnym młodym żołnierzem i uderzenie wstrząsnęło nie tak sprawnym ciałem Ogdena. Padając na ziemię pułkownik usłyszał, jak Climer rzuca się w ich stronę. Próbował użyć pistoletu, ale Brad złapał jego nadgarstek obiema dłońmi. Ogden wbił kciuk wolnej ręki w prawe oko Brada, wyciskając gałkę oczną i tryskając płynem na jego palce.

Brad nie puszczał.

I wciąż się ślinił.

Nawet nie przestał się uśmiechać.

Czyjeś dłonie wyrwały mu pistolet i przycisnęły lewą rękę do ziemi. Coś uderzyło go w brzuch i nagle stwierdził, że nie może wciągnąć powietrza. Próbował kopać, szarpać i ciągnąć, ale nie potrafił oddychać, nie mógł walczyć z dwoma przyciskającymi go do ziemi młodymi żołnierzami.

Twarz Climera wydawała się unosić nad nim, otoczona halo z lampy namiotu.

- Sir, tak jest, *sir!* - wyszczekał Climer. - Chcę naprawić pana głowę, *sir!*

Ogden poczuł dłonie z boków głowy, trzymające go tak, by nie mógł jej obrócić na boki. Climer usiadł mu na piersiach. Prawą ręką trzymał Ogdena za czoło, przyciskając mu głowę do podłogi, a drugą mocno nacisnął na brodę, zmuszając do otwarcia ust.

A potem nachylił się blisko, jak do pocałunku.

„Co ty, kurwa, robisz?“, powiedziałby Ogden, gdyby potrafił oddychać, gdyby mógł poruszyć ustami, ale nie było na to żadnych szans. Mógł tylko zacharczeć.

Podpułkownik Charlie Ogden zobaczył język Climera. Nabrzmiały, pokryty niebieskimi wrzodami.

*Trójkątnymi* niebieskimi wrzodami.

Usta Climera zamknęły się wokół jego ust i język mężczyzny zanurkował w głąb. Wstrząśnięty i zmieszany Ogden bezskutecznie próbował się wyrwać. Chciał ugryźć, ale nie mógł – silne ręce Climera pewnie trzymały jego otwarte usta.

A potem Ogden poczuł jak gorący i mokry język Dustina przesuwa się wewnątrz jego ust. Niemal natychmiast poczuł ukłucie tysiąca igieł.

A potem pieczenie...

Climer się wyprostował, popatrzył na niego z góry, wytarł usta wierzchem dłoni i się uśmiechnął.

Ogden wciąż czuł pieczenie w ustach. Płonął.

- To nie potrwa długo, sir - zapewnił Climer. - Wcale nie długo.

## Witamy w Detroit

- Daleko jeszcze, panie Jenkins?

- Myślę, że jesteśmy już blisko, Chelsea - odpowiedział pan Jenkins.

Chelsea miała już dość jazdy. Długa podróż do miasta, a potem krążenie po nim w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Winnebago toczył się pustą ulicą St. Aubin. Światło reflektorów wydobywało z mroku porzucone budynki i popękane chodniki. Lekki wiatr niósł płatki śniegu, niewidoczne, dopóki nie trafiły na światło reflektorów, niknąc, gdy tylko znowu znalazły się w mroku. Nawet pomimo kilkucentymetrowej warstwy śniegu widzieli walające się wszędzie śmieci: gazety, paczki po chipsach, kawałki połamanego drewna, sterty rozbitych cegieł upakowanych resztkami zaprawy, jak oceaniczne skały obrośnięte pąklami.

- Chcesz dobrze ukrytego miejsca - przypomniał pan Jenkins. - Myślę, że ta okolica będzie się nadawać. To część Detroit, której szukaliśmy.

- Nikogo tu nie ma - zauważyła mama. - Miasto wygląda jak porzucone. Myślałam, że będą tu przynajmniej bezdomni albo ludzie nielegalnie zajmujący domy.

- Zima nie była dla nich łaskawa - odpowiedział pan Jenkins. - Wygląda na to, że te budynki nie mają prądu, więc żadnego ogrzewania, chyba że rozpalą ognisko.

- A co z gangami? - zapytała mama. - Będziemy tu bezpieczni?

Pan Jenkins wzruszył ramionami.

- Raczej tak. Rozejrzyj się, co miałyby tu robić gangi? Odmrozić sobie tyłki i tyle. Jeśli się ukryjemy i nie będziemy się wychylać, powinniśmy być bezpieczni. Myślę, że tu jest jak w większości miast - jeśli nie dopieprzasz się do ludzi, inni dają ci spokój.

- Znowu pan brzydko mówi, panie Jenkins - Chelsea zwróciła mu uwagę.

Pan Jenkins zwiesił głowę.

- Przepraszam, Chelsea.

Kamper skręcił w prawo, w ulicę Atwater. Po lewej stronie zobaczyli małą przystań na rzece Detroit. Nieco dalej po prawej zobaczyli samotny trzypiętrowy budynek z cegły, otoczony pustymi placami pełnymi śmieci, połamanych płotów i wysokiej trawy przygniecionej śniegiem. Pod szczytem budynek ozdobiono wyblakłym, kiedyś białym pasem, upstrzonym czerwonymi plamami w miejscach, gdzie przez tynk przeświecały cegły. Na białym pasie wyblakłymi, niebieskimi literami wypisano nazwę GLOBE TRADING COMPANY.

Chelsea spodobał się ten budynek. Nawet bardzo.

- Co pan powie na to miejsce, panie Jenkins?

- Wygląda na opuszczone - skomentował. - Jest całe pozabijane deskami. W środku mogą być jacyś włóczędzy, ale w razie czego możemy się ich pozbyć.

- Czy tam jest... - Chelsea szukała odpowiedniego słowa, które podał jej Chauncey. - Czy tam jest dużo betonu? Czy jest... zbrojenie? Metal? Z czymś takim będzie nas trudno zobaczyć z kosmosu.

- O tak - zapewnił pan Jenkins. - Będzie tam tego mnóstwo.



- To dobrze - stwierdziła Chelsea. - Myślę, że laleczkom będzie się tam podobało. Wejdźmy do środka i zobaczmy.

- Dobrze - zgodził się pan Jenkins. - Objedźmy budynek dookoła i poszukajmy drzwi, które można by otworzyć. Będziemy musieli wjechać samochodem do środka, inaczej rano zobaczy go policja.

Samochód kempingowy skręcił w prawo w Orleans, a światła jego reflektorów wyłowiły mężczyznę stojącego na środku ulicy. Miał na sobie tylko T-shirt i jeansy i trzął się jak osika. Nawet w tych warunkach było widać, że palce ma spuchnięte i czerwone. Za mężczyzną zobaczyli tył przysadzistego, czarnego motocykla oblepionego zamrożonym błotem.

- Jasna cholera - sapnął pan Jenkins. - Tam jest lodowato. Czy ten facet jechał na harleyu? Ta tablica rejestracyjna jest chyba z Ohio. Popatrzcie na jego pieprzone palce.

- Słowa - przypomniała Chelsea.

- Przepraszam, Chelsea.

Sięgnęła myślami na zewnątrz. Mężczyzna nazywał się Danny Korves i mieszkał w miasteczku Parkersburgh. Pokonał bardzo długą drogę i zmarł tak bardzo, że wkrótce czekała go śmierć.

- Panie Jenkins - odezwała się dziewczynka. - Niech pan weźmie do środka tego człowieka. Musimy go ogrzać.

Nie chciała, żeby panu Korvesowi było zimno.

W końcu skoro jemu było zimno, to samo czuło dziewięć rosnących w nim laleczek.

# **DZIEŃ SIÓDMY**

## Prowadzić z pierwszej linii...

Agonia. *Żar*. Potworny, silny ból, całe ciało płonie, płonący mózg.

Czy to piekło? Charlie Ogden spowodował dość śmierci, by się tam zakwalifikować. Zarówno wrogów, jak i własnych ludzi. Ilu żołnierzy przeciwnika? Według własnych szacunków ponad tysiąc: wskaźnik śmierci w Somalii i Iraku był tak niedorzecznie wysoki, że trudno było to zliczyć.

Dokładna liczba nie miała znaczenia, prawda? *Nie zabijaj*. Ceną biletu do piekła była jedna śmierć, pozostałe były tylko wisienką na torcie.

Przez jego umysł przemknął jakiś obraz. Coś czarnego, wijącego się. Wąż? Wij?

Żar w jego mózgu jeszcze wzrósł, co było niemożliwe, bo przecież nie mogło być jeszcze goręcej. Charlie usłyszał własny krzyk, a przynajmniej próbę krzyku, bo coś w ustach tłumilo dźwięki.

Znowu obraz. To nie był wąż, to była macka.

Pisklak.

Przyszły tu, żeby go zabić? Zemścić się?

*Halo...*

Głos. Nowe obrazy, jeszcze więcej. Pisklaki. Całe setki, budujące coś, *tworzące*.

Coś pięknego. Coś... *świętego*.

Żar zrobił się jeszcze większy. Charlie poczuł, jak jego mózg *pęka*. AC/DC śpiewali kiedyś, że piekło to nie takie złe miejsce, jednak Charlie wiedział, że to bzdury, bo zrobiłby *wszystko*, by uwolnić się od tej agonii.

*Słyszysz mnie?*

Głos. Głos przychodzącego po niego anioła. Żar jakby opadł. Tylko odrobinę, ale nawet ta zmiana sprawiała wrażenie cudu.

Charlie wydał dźwięk, który miał brzmieć jak „tak”, ale przez knebel bardziej przypominał „tgb”.

Jakieś dłonie dotknęły jego głowy, *gorącego* czoła. Zdjęto mu knebel. Do jego płuc wdarło się świeże powietrze. Nieprzyjemny smak na opuchniętym i obolałym języku.

*Słyszysz mnie?*

- Tak - Charlie wyszeptał w odpowiedzi pięknemu głosowi. Czy to dzięki niemu żar ustępował? Kochał ten głos.

*To dobrze. Potrzebujemy cię.*

Charlie poczuł dźwigające go ręce, ktoś posadził go na krześle. Rozejrzył się. Zobaczył promieniejącego miłością kaprala Cope'a. Pielęgniarkę Brada, ociekającego śliną, z uśmiechem i opuchniętą powieką w miejscu po oku. Oraz Dustina Climera, wyszczerzonego i kiwającego głową, jakby dzielił z Charliem jakąś tajemnicę. *Faktycznie* dzielili tajemnicę, największą, jaką kiedykolwiek znał świat.

Charlie odetchnął głęboko, próbując opanować nowe emocje szalejące w jego duszy.

- Co chcesz, żebyśmy zrobili?

*To, do czego się urodziłeś. Musisz chronić niewinnych.*

Charlie kiwnął głową. Chronić niewinnych. Robił to całe swoje życie.

*Potrzebujemy twoich ludzi w Deetroit, powiedział głos. Musisz się spieszyć, ale bądź ostrożny. Diabeł będzie próbował cię powstrzymać. Zatrzymać cię, żeby mnie zniszczyć.*

Charlie potrząsnął głową i zobaczył, że Cope i Climer robią dokładnie to samo.

- Nie pozwolę im - odpowiedział Charlie. - Nie pozwolę im cię zniszczyć.

*To dobrze. Weź broń i swoich ludzi.*

- Ale... oni nie wszyscy... nie wszyscy czują to, co ja. Myślę, że niektórzy nie rozumieją.

*Musisz im przekazać miłość. Pospiesz się, proszę, spiesz się.*

Głos jakby uleciał z duchowym wiatrem. Zanikł, ale miłość pozostała. Charlie Ogden wiedział, co musi zrobić. Popatrzył na Dustina Climera.

- Ile zajęło mi zobaczenie prawdy?

Szeregowy spojrział na zegarek.

- Położył się pan około dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć, sir. Jest czwarta trzydzieści, więc jakieś siedem godzin. Kapralowi Cope'owi zajęło to tylko cztery godziny. Może dlatego, że jest młodszy, sir.

Ogden wiedział. Wiedział, kiedy otworzy się brama. Chelsea przekazała mu tę informację prosto do głowy, zegar tykający do początku nieba. Miał niewiele ponad czterdzieści dwie godziny, żeby zrobić to wszystko.

- Kapralu Cope - odezwał się. - Rozkażcie wszystkim jednostkom pozostać w koszarach. Pierwszy pluton ma nie dopuścić do wejścia lub wyjścia z obozu. Nikt nie wchodzi do środka, nawet czterogwiazdkowy generał. Drugi pluton ma przeprowadzić ćwiczenia więzienne. Mają unieruchomić wszystkich ludzi z trzeciego i czwartego plutonu. Przywiązać do prycz za ręce i nogi. Poinformujcie dowódców drużyn z trzeciego i czwartego plutonu, żeby współpracowali bez wahania, że oceniam zdolność unieruchomienia dużej liczby sprawnych osób. Po zakończeniu zadania pierwszy pluton ma wrócić do koszar i czekać na dalsze rozkazy.

- Tak jest, sir - potwierdził Cope. Podeszedł do radiostacji.

Charlie zwrócił się do Climera.

- Ilu nas teraz jest?

- Tylko czterech, włącznie z panem, sir.

Charlie kiwnął głową i zerknął na zegarek. Unieruchomienie trzeciego i czwartego plutonu i przekazanie im bożej miłości zajmie około godziny. Dodać cztery do siedmiu godzin na okres dojrzewania, a będzie miał pierwszych sześćdziesięciu ludzi skonwertowanych krótko po południu.

Ludzie z DOMREC mieli pełną kontrolę nad lotniskiem. Mogli pilnować wszystkiego, co się tam działo. Gaylord wciąż było ewakuowane, więc jedyny problem, na jaki mógł się natknąć, to policja i pracownicy służb ratunkowych. I do tego reporterzy, którzy niewątpliwie czekali za punktami kontrolnymi, by wpaść tu z reflektorami, kamerami i mikrofonami. Będzie musiał wywieźć swoich ludzi w nocy, korzystając z tej samej drogi na uboczu, której pilnowali od wczoraj.

- Kapralu Cope.

- Pułkowniku?

- Zaczynjcie planować logistykę - rozkazał Ogden. - O dwudziestej trzeciej zabieram plutony trzy i cztery do Detroit. Climer, dopilnujcie, żeby plutony jeden i dwa przeszły proces konwersji. Do jutra muszą być gotowi ruszyć do Detroit, kiedy tylko ich wezwę.

- Tak jest, sir - odpowiedział Climer.

- To zostawia kompanię Whiskey - przypomniał Cope. - Co z nimi, sir?

120 żołnierzy z kompanii Whiskey. To był problem. Mógł ich skonwertować, ale to wymagałoby więcej czasu i zwiększyłoby ryzyko. Może lepiej będzie zostawić ich w spokoju. Powinien zostawić ich na lotnisku w Gaylord, wtedy nawet po wyprowadzeniu kompanii X-ray do Detroit pozwoli na zachowanie pozorów przed Murrayem i policją Gaylord. Oczywiście nie na długo, ale wszystko sprowadzało się do kupienia kilku godzin tu i tam.

- Powiedzcie kapitanowi Lodge'owi, że kompania Whiskey ma natychmiast przejąć wszystkie blokady drogowe i współpracę z policją - zdecydował Ogden. - Kompania Whiskey ma nie rozmawiać z nikim z kompanii X-Ray. Powiedzcie kapitanowi Lodge'owi o ćwiczeniach z akcji policyjnej i że muszą przetestować zdolność kompanii Whiskey do samodzielnego działania. Poradzą sobie z Gwoździami całkiem dobrze. To da nam jakiś dodatkowy dzień albo dwa zanim ktoś zauważy, że mnie tu nie ma.

- Tak jest, sir.

- Jak się nad tym zastanowić, Cope, to lepiej będzie, jeśli zostanieie tu z Climerem - powiedział Ogden. - Wszyscy znają wasz głos i wiedzą, że przekazujecie moje rozkazy. Kto może jechać ze mną i przejąć funkcję mojego łącznościowca?

- Najsprawniejszy byłby kapral Kinney Johnson, sir - odpowiedział Cope. - Ale szczerze mówiąc, to nie jest zbyt bystry.

- Będzie musiał wystarczyć - zdecydował Ogden. - Dopilnujcie, żeby znalazł się w następnej partii do skonwertowania. A teraz do roboty.

Ogden nachylił się nad stołem, przyglądając się mapie Michigan. W ciągu następnych czterdziestu paru godzin mógł stworzyć tylko ograniczoną liczbę obrońców, a ich liczba wydawała się niczym wobec sił, które ruszą przeciw niemu.

Pomimo nikłych szans musiał znaleźć sposób na zwycięstwo. Trzeba będzie zastosować strategię. *Wspaniałą* strategię.

Taką, która na zawsze zapewni mu miejsce w podręcznikach.

## Tatuś jest głupiutki

Chelsea wiedziała, że budynek jest idealny.

Podrdzewiałe, kiedyś białe metalowe belki utrzymywały sufit wysoko w górze. W suficie były dziury, przez które dziewczynka widziała małe fragmenty porannego nieba, z wciąż mrugającymi światełkami gwiazd. Widziała *niebiosa*. Budynek był bardzo długi, według zegarka z Myszką Mickey potrzebowała trzydziestu sekund na przebiegnięcie całej długości zasypanej śmieciami podłogi. Z jednej strony budynku na długą, otwartą przestrzeń wychodziło drugie i trzecie piętro. Na ścianach było mnóstwo graffiti, także z brzydkimi słowami. Gdyby ktoś tu jeszcze przyszedł namalować takie brzydkie słowa, Chelsea kazałaby panu Jenkinsowi się nim zająć.

Znaleźli duże drzwi z tyłu budynku, pan Jenkins nazwał je bramą załadunkową. U góry znajdowały się podnoszone metalowe drzwi, zablokowane na trzech czwartych wysokości. Dorośli powiedzieli jej, że drzwi działają jak rolka papieru kuchennego, że kiedyś można było je zamknąć pociągnięciem w dół, ale teraz są zepsute i zardzewiałe. Resztę bramy blokowały zamalowane graffiti płyty ze sklejki. Pan Jenkins musiał wjechać kamperem prosto w sklejkę i wszystko wywróciło się jak zwodzony most w jednej z tych bajek o księżniczках. Przejechał po niej, powodując pęknięcie drewna w wielu miejscach, ale potem razem z tatą, starym Samem Hamiltonem i panem Korvezem zdołali je ustawić z powrotem.

Samochód został bezpiecznie ukryty w środku. I bardzo dobrze, bo krótko po tym, jak ustawili sklejkę w drzwiach, Chelsea wyczuła, że laleczki są prawie gotowe, żeby wyjść i się bawić.

Chelsea i pan Jenkins położyli wszystkich tatusiów laleczek obok siebie przed samochodem. Wschodziło słońce, wprowadzając już trochę światła do budynku przez małe dziury w dachu, ale chciała mieć tatusiów w świetle reflektorów, żeby dobrze wszystko widzieć. Głowy mieli skierowane do reflektorów, a nogi na zewnątrz. Wyglądali trochę jak podczas poobiedniej drzemki na letnim obozie.

Pan Jenkins wszystkich związał.

Powiązał tatusia, pana LaFrinere, pana Gainesa, starego Sama Hamiltona i Danny'ego Korvesa.

Mama wzięła jeden z noży pana Jenkinsa i porozcinała ich ubrania.

Wszyscy mocno dygotali. Odrobina śniegu dostała się do budynku i drobne białe iskierki pokryły cieniutką warstwą poprzewracane płyty i porozbijane cegły. Co jakiś czas do środka wnikał podmuch wiatru, podrywając śnieg i kręcąc nim w powietrzu.

Nagle wszyscy tatusiowie laleczek zaczęli równocześnie krzyczeć. Co było irytujące. Chelsea kazała mamie zatkać im usta porozcinanymi ubraniami. To pomogło.

Dziewczynka usiadła i zaczęła się przyglądać.

Wszyscy byli powiązani, ale i tak kopali i strasznie się rzucali. Wszyscy poza tatusiem. On patrzył prosto na nią. Wyglądał na bardzo smutnego i próbował coś powiedzieć. Nie krzyczał jak pozostali, choć laleczki na jego rękę zaczęły podskakiwać.

Chelsea wstała, podeszła do niego i wyciągnęła mu z ust kawałek koszulki.

- Chelsea, skarbie - powiedział tata. Trudno było zrozumieć, co mówi, bo bardzo głośno dyszał. - Proszę, dziewczynko... niech one... przestaną.

Chelsea się roześmiała.

- Ale *tatusiu!* Jesteś taki zabawny.

- Nie, skarbie, ja... ja nie żartuję.

Trójkąty wybijały się coraz mocniej, rzucając interesujące ruchome cienie na ścianę. Twarz taty wykrzywiła się w bólu. Zaciśnął zęby i wydobył z siebie cichy dźwięk.

- Niedługo będzie po wszystkim, tato.

Znowu otworzył oczy. Mrugał tak *szybko*. Oddychał też tak szybko, jakby właśnie skończył długi bieg.

- Chelsea... ty masz nad nimi władzę. Możesz sprawić, żeby przestały... możesz... je wyłączyć.

Jeden z pisklaków starego Sama Hamiltona wydostał się na wolność. Wyskoczył w powietrze oświetlony reflektorami. Jaki *śliczny!*

Zdławione krzyki przybrały na sile.

- Chelsea! - krzyknął tato. - Ja nie... nie żartuję. *Powstrzymaj je* albo będziesz miała *duże kłopoty*.

Z jego oczu zaczęły płynąć łzy. Z nosa pociekły smarki. Zaczął kopać. Trójkąty na jego ręce zaczęły wyszarpywać się coraz mocniej.

- Czemu miałabym je zatrzymać, tato? Bóg chce, żeby wyszły.

- *Bo ja zgine, ty mała kurwo!* - Jego ciałem zaczęły wstrząsać spazmy. Na zmianę otwierał i zamykał oczy. - Chelsea, proszę! O Boże, jak to *boli!* Wrzeszczą w mojej głowie, *proszę! Niech przestaną.*

Jeden z pisklaków taty wyrwał się na wolność. Tata wrzasnął naprawdę głośno. Trochę mu się pomieszało w głowie, to wszystko. Teraz będzie mógł pójść do nieba. Każdy, kto *naprawdę* wierzył w niebo, powinien być szczęśliwy, że umiera. Przecież im dłużej się żyje, tym większa szansa, że zrobi się coś złego, a potem wyląduje się w piekle. Nie rozumiała czemu ludzie modlą się do Boga, żeby zostać przy życiu. To nie miało żadnego sensu.

Otworzył usta, żeby znowu krzyknąć, ale Chelsea wsadziła mu do nich z powrotem zwinięty kawałek T-shirta.

- Kocham cię, tatusiu. Pozdrów ode mnie Jezusa.

Krzyki taty ustały kilka sekund później.

Chelsea obeszła leżących, zbierając małe pisklaki i zanosząc je do wnętrza kampera. Chciała mieć pewność, że będą bezpieczne i nie zmarzną.

## Mamusia laleczek

Bernadette wrzasnęła tak mocno, że z jej ust prysnęły kropelki krwi. Ściany celi mogły wyłumić większość dźwięków, ale Margaret uparła się, by zamontowane wewnątrz mikrofony przekazywały wszystko przez system łączności.

Skoro mężczyźni zamierzali pozwolić jej zginąć, Margaret zamierzała dopilnować, by słyszeli każdą sekundę jej agonii.

Dew był na miejscu, tak samo jak Otto. Był tam też Daniel Chapman, trzymając ręczną kamerę wysokiej rozdzielczości. Dwie kamery zainstalowane na stałe w celi zarejestrują cały proces, ale Chapman miał dodatkową na wypadek, gdyby potrzebowali ujęć jakichś szczególnych miejsc. Dew poprosił Perry'ego, żeby przyszedł, ale mężczyzna się nie pojawił.

Godzinę wcześniej Perry powiedział Margaret, czego może się spodziewać. Nie zdziwiła się, że zrezygnował ze spektaklu.

- Dziewiąta trzydzieści siedem - skomentowała Margaret. - Trójkąty zaczynają się ruszać.

Z przerażeniem przyglądała się, jak wysokie na trzy centymetry trójkąty zaczynają podskakiwać pod skórą Bernadette.

- Słodki Jezu - jęknął Dew.

- Nie waż się odwracać wzroku - syknęła Margaret.

Bernadette znalazła gdzieś w sobie dość energii, by krzyknąć jeszcze głośniej.

Trójkąty podskakiwały coraz mocniej, rozciągając jej skórę i ją rozdzierając. Z brzegów rozdarć strzelały małe fontanny krwi.

- Proszę, *pomóżcie mi!* - wrzasnęła Bernadette. - Niech przestaną! Niech przestaną krzyczeć w mojej głowie!

- Doktorze Chapman - odezwała się Margaret. - Niech pan odłoży tę kamerę i znieczuli tę kobietę.

- *Nie rób tego*, Chapman - rozkazał Dew. - To może uszkodzić trójkąty.

Margaret obróciła się w stronę Dewa. Jej cierpiąca dusza szukała dowolnego pretekstu, by nie patrzeć na Bernadette, a ten był całkiem dobry.

- Ty cholerny *draniu* - wysyczała. - *Torturujemy* tę kobietę.

- Nie pozwolę sobie na ryzyko, że twoje mikstury zabiją pisklaki - odpowiedział Dew. - Niedługo będzie po wszystkim.

Nawet mówiąc te słowa, bez zmrużenia okiem patrzył na to, co działo się w celi.

- Dziewiąta czterdzieści jeden - skomentował Chapman. - Pacjentka doznaje częstoskurczu komorowego.

Słyszając to Margaret odwróciła się w stronę celi i odruchowo zrobiła krok do przodu, zanim przypomniała sobie, że nie wolno jej ratować pacjentki.

Jednak mogła oszczędzić jej bólu.

Wszyscy w przyczepie mieli na sobie kombinezony ochronne, zamknięte i hermetyczne. Margaret podeszła do drzwi celi i zaczęła wystukiwać sekwencję przycisków na ekranie dotykowym.



Najpierw #, potem 9, potem 2, jeszcze raz 2, potem...

Silne ręce chwyciły ją za nadgarstki i odciągnęły od urządzenia.

Ręce Clarence'a.

- Margaret, przestań!

Próbowała się wyrwać, ale nie miała szans. Był zbyt silny.

- Puść mnie, ty *potworze!*

Jak mogła tak bardzo się co do niego mylić?

Dew podszedł spojrzeć na ekran dotykowy, po czym obejrzał się na Dana.

- Co ona robiła?

Dan odwrócił wzrok.

- Dan - Dew nie ustępował. - Odpowiedz, już.

- Próbowała aktywować awaryjne odkażenie - wyjaśnił Dan. - Gdyby wystukała jeszcze dwie cyfry, włączyłaby wszystkie dysze odkażania w obu przyczepach. Zabiłoby to każdego, kto nie ma na sobie kombinezonu ochronnego, włącznie z pacjentką.

Dew obrócił się w stronę Margaret.

- Wystukuje się do tego słowo „zabij”? Urocze. Nie puszczaj jej, Otto. Musimy to skończyć.

Dew obrócił się z powrotem do makabrycznego przedstawienia wewnątrz celi. Margaret zrobiła to samo - nie chciała tego oglądać, ale musiała.

Trójkąty podskakiwały prawie na trzydzieści centymetrów, zanim ich ogony i wymęczona skóra Bernadette ściągały je z powrotem. Ten na jej piersi podskakiwał w górę i w dół jak serce komiksowego bohatera, który właśnie zobaczył wymarzoną dziewczynę.

Trójkąt na biodrze uwolnił się pierwszy, wystrzeliwując przez małe pomieszczenie i uderzając w ścianę. Miał zaledwie trzy centymetry wysokości i wił się na podłodze, ruszając czarnymi mackami w mieszaninie ludzkiej krwi i fioletowej mazi.

Jako drugie ustąpiło jej ramię. Uwalniając się pisklak rozerwał tętnicę, tryskając krwią po przezroczystej ścianie celi. Monitor rytmu serca zapiszczał z przejęciem, emitując długi, głośny sygnał bez śladu uderzeń.

W końcu z ograniczeń ciała wyrwał się trójkąt z piersi, wystrzeliwując do góry w fontannie krwi rozpryskującej się o sufit.

Margaret usłyszała głośny pisk płaskiej linii EKG.

- Wyłącz to cholerstwo - warknął Dew.

Dan opuścił kamerę i szybko nacisnął przycisk na panelu. Urządzenie ucichło, zostawiając po sobie głośną ciszę.

Margaret oparła osłonięte rękawicami dłonie o ścianę celi. Po wewnętrznej stronie szkła spływały krople krwi, staczając się ku podłodze i zostawiając po sobie półprzezroczyste smużki czerwieni.

Trzy pisklaki próbowały stanąć na słabych mackowatych nogach. Udało im się wykonać po kilka chwiejnych kroków, wypełniając powietrze dziwnymi, klekoczącymi dźwiękami. Ich aktywność powoli ustawała. Czarne, pionowe oczy mrugały coraz

wolniej i wolniej, opuszczając powieki, śpiące, aż zamknęły oczy i małe stworzenia przestały się ruszać.

Margaret oparła hełm o szybę. Sprawdziła wskazanie czerwonego zegara na odległej ścianie.

- Godzina zgonu: 9:44 - powiedziała cicho. - Mam nadzieję, że było warto, Dew. Naprawdę mam nadzieję, że było warto.

Dew się nie ruszał. Patrzył do wnętrza celi, przyglądając się ciału.

- Nie, Margaret. Nigdy nie jest warto.

## Oczy na celu

Teraz była to już tylko kwestia czasu.

Satelita już dawno temu oznaczył wszystkie ludzkie satelity zdolne do wykrycia jego obecności. Zidentyfikował także nieliczne obserwatoria naziemne, które również mogły go zobaczyć. W sumie śledził jedenaście urzędzeń, które mogły go wykryć, gdyby tylko patrzyły we właściwą stronę.

A teraz robiło to pięć z nich.

Gdy robiło to jedno, nie było to zbyt szczęśliwe, ale nie stanowiło to powodu do niepokoju. Przypadek. Dwa mogły już stanowić powód do niepokoju i znaczyć, że satelita mógł zostać wykryty. Jednak w miarę postępu dnia satelita zobaczył skierowane na siebie trzecie, czwarte, a potem *piąte* urządzenie.

Nie było wątpliwości: ludzie wiedzieli.

Atak był już tylko kwestią czasu. Tabele prawdopodobieństwa określiły to ze stuprocentową pewnością. Według tych samych tabel prawdopodobieństwo powodzenia pierwszego ataku wynosiło siedemdziesiąt cztery procent.

Urządzenie dysponowało możliwością obrony, ale było małe i zaprojektowano je z myślą o ukrywaniu się, nie walce. Nie było w stanie walczyć z całym światem.

Satelita przygotował Chelsea najlepiej, jak mógł. Prawdopodobnie to ona będzie musiała ukończyć bramę. Szansa powodzenia? Nie do obliczenia – satelita po prostu nie dysponował dostateczną ilością danych.

Po raz kolejny przeliczył tabele prawdopodobieństw i dotarł do ostatniej pozycji obszernego drzewa decyzyjnego. Jeśli planeta mogła się oprzeć próbie kolonizacji i wykryć oraz zniszczyć satelitę, stanowiła długoterminowe zagrożenie.

Zagrożenie, które należało wyeliminować.

Satelita zaczął modyfikować ostatnią sondę.

## A kuku, widzę cię (południe)

Gutierrez wszedł do mniejszego pokoju sytuacyjnego jak ubrany w garnitur, wbiegający na ring bokser, pełen agresji i podniecony walką. Tom Maskill i Vanessa Colburn szli tuż za nim, zespół boksera świecący własnym światłem.

*Ach – pomyślał Murray – energia młodości.*

Gutierrez, Maskill i Colburn zajęli swoje miejsca. Donald Martin i wszyscy pozostali szefowie sztabów byli już obecni. Znowu pełny zestaw.

Murray bardzo się ucieszył, że Vanessa też przyszła, bardzo chciał, żeby to zobaczyła.

– No dobra, Murray – odezwał się Gutierrez. – Właśnie skróciłem spotkanie z ambasadorem Rosji w sprawie kryzysu fińskiego, żeby wysłuchać twojej pilnej wiadomości, więc nie traćmy czasu.

– Panie prezydencie – zagaił Murray. – Teoria pogodowa doktor Montoi się sprawdziła. Sądzymy, że zlokalizowaliśmy źródło zakażenia.

Murray wywołał na dużym ekranie pokoju sytuacyjnego mapę Środkowego Zachodu.

– To lokalizacja pierwszego konstrukt – powiedział. Czerwona kropka pojawiła się w Wahjamega, Michigan. – Te niebieskie kropki to szacunkowe lokalizacje gospodarzy siedem dni przed atakiem na budowlę, a zielone linie oznaczają kierunek wiatru.

Gutierrez przez chwilę przyglądał się mapie, po czym kiwnął głową.

– A tutaj te same informacje związane z Mather, Południowym Bloomingville, Glidden i Gaylord, Michigan.

Podając nazwę każdej miejscowości Murray dodawał do mapy żółtą kropkę. Te dane zapewniły dość informacji, by wyznaczyć konkretną strefę poszukiwań.

Murray wystukał coś na klawiaturze. Mapa została powiększona na fragment obejmujący południowo-zachodnie Michigan, północno-zachodnie Ohio i północno-wschodnią Indianę.

– To nadal olbrzymi obszar – zauważył Gutierrez.

– Tak jest, sir – potwierdził Murray. – Ale to pomogło nam ograniczyć polowanie. Nasze komputery do przetwarzania obrazu potrzebowały trzech dni na zidentyfikowanie anomalii wizualnych, ale zdołaliśmy znaleźć to...

Murray znowu coś kliknął. Mapa zniknęła, zastąpiona ziarnistym zdjęciem czegoś, co wyglądało jak półprzejrzysty kamień o kształcie kropli ze szpikulcami na obu końcach.

Wszyscy się poruszyli na miejscach, nawet Vanessa. Murray poczuł się jak dyrygent osiągający emocjonalny szczyt symfonii. Pomieszczenie wypełniły podniecenie i ulga. W końcu mieli cel, w końcu mogli *zaatakować*.

– Sukinsyn – rzucił Gutierrez.

– NASA jest przekonana, że to jest sztucznego pochodzenia – dodał Murray. – Jest bardzo małe, wielkości beczki z piwem.

– Jak mogliśmy tego wcześniej nie zauważyć?

– Jest tu dużo rzeczy, których nie rozumiemy, sir – przyznał Murray. – To coś wisi nieruchomo, unosząc się sześćdziesiąt kilometrów nad South Bend w Indianie. Obiekt wydaje się zaginać światło wokół siebie, przez co jest prawie niewidoczny. Analitycy

obrazu zdołali zidentyfikować fluktuacje wizualne. Musieli napisać program łączący obrazy z pięciu źródeł, a potem stworzyli ten model komputerowy.

- Czyli to nie jest rzeczywisty obraz?

- Nie, sir - potwierdził Murray. - Wyjaśnili mi to posługując się analogią. Proszę sobie wyobrazić soczewkę kontaktową, która wpadła do basenu. Tak naprawdę nie jest niewidoczna, ale jeśli nie będzie pan wiedział, że ona tam jest, nigdy jej pan nie zobaczy. Jeśli powiem panu, żeby szukać uważnie w jednym rogu z płytszej strony i zapomnieć o reszcie basenu, szukając czegoś, co może się odrobinę wyróżniać i będzie pan miał do pomocy tuzin ludzi, w końcu zobaczy pan soczewkę i domyśli się, czym jest. NASA nie wie, jak to coś może tam tak po prostu wisieć. Nie dryfuje. Utrzymanie czegoś takiego w miejscu powinno wymagać mnóstwa energii, a jednak to coś nie promieniuje w żaden sposób. Podobno to niemożliwe, a jednak.

- Jak bardzo niemożliwe?

- Coś rzędu „sprzeczne z prawami fizyki” - wyjaśnił Murray. - A jednak.

Gutierrez patrzył na niewyraźną podwójną kropkę na ekranie.

- Czy jest tam więcej takich obiektów?

- Teraz, gdy wiemy już jakich anomalii szukać, prowadzimy kontrolę całej orbity. Jednak ten obiekt wydaje się być jedynym tego typu.

- Czemu my? - zapytał Gutierrez. - Czemu nie Rosja? Albo Chiny? Czy NASA ma coś do powiedzenia na ten temat?

- Uważają, że to po prostu pech, panie prezydencie. Jeśli to naprawdę pojazd obcych, prawdopodobnie zatrzymał się nad pierwszym lądem, jaki napotkał. Zapewne nigdy się tego nie dowiemy, chyba że chce pan spróbować nawiązania łączności.

- Łączności? - Gutierrez się roześmiał. - To już nawiązało z nami łączność, Murray. Jego przekaz jest głośny i bardzo jednoznaczny. To fantastyczne, Murray, twój zespół jest *zdumiewający*. I nie, nie zamierzam próbować porozumiewania się z tym czymś. Chcę to zestrzelić z mojego nieba.

- Spodziewaliśmy się, że wybierze pan tę opcję - przyznał Murray. - Generale Monroe?

Murray usiadł, a w jego miejsce wstał generał sił powietrznych, aby omówić plan ataku. Murray popatrzył wokół stołu i zauważył, że Vanessa patrzy na niego, nie na ekran. Jej twarz przybrała zwykłą sobie, zimną maskę, ale Murray zaczynał się uczyć czytać jej emocje. Nawet najlepszego dnia nie mogła mieć nadziei na dorównanie temu popisowi Murraya i dobrze o tym wiedziała. Czyżby kąciki jej ust zdradzały cię z zazdrości?

Zwrócił uwagę z powrotem na ekran i zaczął słuchać generała Monroe, prezentującego strategię ataku.

## General Charlie Ogden

Już nie miało sensu nazywać się pułkownikiem. Był najwyższym stopniem dowódcą wojskowym Chelsea Jewell. Teraz był prawdziwym *generałem*. Mógłby przy okazji awansować Cope'a, ale po co – *kapral Cope* brzmiało całkiem nieźle.

– Jakie są najnowsze wieści od kompanii Whiskey, kapralu?

– Kapitan Lodge zgłasza brak ruchu na wszystkich punktach kontrolnych. Podejrzewa, że pańskie ćwiczenia gotowości to tak naprawdę pański sposób na ściągnięcie kompanii X-Ray do ogrzewanych namiotów w czasie, gdy jego ludzie sterczą na zimnie. Dzwonił też sierżant Neelson, chciał, żebym mu prywatnie powiedział, czy planuje pan jakąś operację i czy mógłby wziąć w niej udział.

– I co mu powiedzieliście?

– Że to tylko nudne ćwiczenia, sir – wyjaśnił Cope. – I pozwoliłem sobie zasugerować, że jeśli będzie za bardzo węszył za informacjami, wsadzi go pan do pierwszego transportu do Fortu Bragg.

Ogden się uśmiechnął. Cope wykazywał inicjatywę, a Ogden potrzebował przy sobie takich ludzi. Lepszy bystry kapral od głupiego porucznika.

– Spakujcie moje rzeczy, kapralu. Wyruszam w nocy.

Cope ruszył spakować ubrania i prywatne rzeczy Ogdena.

General Charlie Ogden nie mógł się doczekać zmierzchu. Nie mógł się doczekać jazdy do Detroit, spotkania z Chelsea. Jednak była dopiero czternasta trzydzieści, a nie potrafił zmusić słońca, żeby szybciej przesuwało się po niebie. Zresztą i tak potrzebował czasu na przygotowanie planów.

Jeszcze czterdzieści sześć godzin.

Jeśli brama otworzy się zgodnie z planem, wszystko będzie w porządku. Zadaniem generała Ogdena było jednak założenie, że prędzej czy później brama zostanie wykryta.

Główne zagrożenie stanowiły siły szybkiego reagowania 82. dywizji powietrznodesantowej. Sześciuset żołnierzy, którzy potrzebowali prawdopodobnie około sześciu godzin, żeby zeskoczyć na spadochronach w przypadku kłopotów. Sam w najlepszym razie miał 120 ludzi – niezależnie od przyjętej strategii, nie mógł wygrać z pięciokrotnie liczniejszym przeciwnikiem.

A to znaczyło, że musiał dopilnować, by potencjalna bitwa zakończyła się, zanim zareagują spadochroniarze. Ośmiogodzinne okno czasowe.

Jednak zdecydowanie poniżej ośmiu godzin reakcji czekały dwie pozostałe kompanie DOMREC siedzące w Forcie Bragg. Dwustu czterdziestu ludzi, którymi sam dowodził. W przypadku alarmu mogli potencjalnie wylądować w Detroit w ciągu dwóch godzin. Jak mógłby ich całkowicie wyeliminować?

I nawet przy tym wszystkim nie brał jeszcze pod uwagę sił, które już znajdowały się na miejscu: policji Detroit, policji okolicznych miejscowości, oddziałów SWAT i policji stanowej Michigan. Nie byli tak silnie uzbrojeni ani równie dobrze wyszkoleni, ale łącznie dysponowali dużą ilością broni. Będzie musiał znaleźć sposób na związanie wszystkich sił policji.

W przypadku konfliktu Ogden nie będzie miał też wsparcia powietrznego. Jego ludzie będą mieli przeciw sobie apacje, ospreye, F-15 i prawdopodobnie nawet szwadron niszczycieli czołgów A-10, stacjonujących w bazie powietrznej gwardii narodowej Selfridge, trzydzieści minut lotu na północ od Detroit.

Tak wyglądały siły przeciwnika. Będzie musiał zrobić wszystko, by utrzymać niski profil, nie dopuścić do wybuchu walk. Jeśli jednak *dojdzie* do walki, będzie musiał sam wybrać pole bitwy, opóźnić siły z Fortu Bragg, związać policję Detroit, ukrywać bramę przed wsparciem powietrznym *oraz* dopilnować, by była szeroko otwarta i wpuszczała anioły w czasie poniżej ośmiu godzin.

Generalskich gwiazdek nie dostawało się za piękne oczy.

- Kapralu Cope - rzucił Ogden. - Kiedy skończycie pakować, połączcie mnie z kompaniami w Fortcie Bragg. Chcę zarządzić natychmiastowy transfer. Eksterminatorzy walczyli bardzo ciężko, czas już wymienić część oddziałów.

## Wyprawa do McDonalda

Tyle laleczek! Chelsea siedziała z tyłu kampera, a wszędzie wokół laziły pisklaki. Ich czarne macki trochę ją laskotały. Uczucie było podobne do pocałunków, jakby od stóp do głów pokrywały ją całuski. Stworki wchodziły na nią, potem skakały gdzieś, na przykład chwytając się zasłonki, albo szły zjeść kawałek tatusia. Pan Jenkins położył trochę kawałków tatusiów na plastiku, żeby nie zabrudzić dywanu kampera, ale mackowate nogi trójkątów i tak zostawiały wszędzie małe smugi krwi.

Chelsea wstała ostrożnie, żeby nie przestraszyć laleczek, i podeszła do małej lodówki winnebago. Stał na niej mały telewizor, czarno-biały, z małym ekranem wyświetlającym wiadomości. Wcześniej oglądała na nim kreskówki, ale tak naprawdę już jej nie interesowały. Dorośli oglądali wiadomości i Chelsea ze zdumieniem odkryła, że jej też się podobają.

W lodówce zostały już tylko trzy opakowania lodów na patyku. A oprócz tego pół słoika majonezu i zaschnięty hot dog, który mógł być starszy od niej samej. Wyciągnęła jednego loda, rozdarła papierek i zaczęła jeść, ale jej żołądek zabolgotał, domagając się czegoś solidniejszego niż deser.

*Panie Jenkins, mam, chodźcie tu.*

Przyszli po paru sekundach, szybko przechodząc przez drzwi i zamykając je za sobą, żeby nie wpuszczać zimna. Oboje dygotali.

- Ojej - powiedziała mama. - Już są większe.

- Laleczki rosną bardzo szybko - potwierdziła Chelsea. - Niedługo zaczną budować bramę. Macie dość rzeczy?

Pan Jenkins kiwnął głową.

- W tym budynku jest dużo drewna. Spędziłem całą noc ściągając tu patyki i krzaki, wszystko co mogłem.

- A ja znalazłam dużo śmieci - dodała mama. - Pan Burkle też je zbiera.

Chelsea się uśmiechnęła. Mama i pan Jenkins sprawiali wrażenie osób, które wiedzą, co powinni robić.

- Jestem głodna, mam - oświadczyła dziewczynka. - Chcę McDonalda.

- Nie wiem, czy jest jakiś w okolicy - odpowiedziała mama. - Zresztą jest już ciemno.

- Ale ja *chcę* McDonalda!

Mama zrobiła krok do tyłu. Wyglądała na przestraszoną. I *powinna* się bać: taty już nie było, ale Chelsea mogła zmusić pana Jenkinsa, żeby zbił mamę równie mocno, jak zrobił to tata.

Pan Jenkins wyciągnął telefon komórkowy.

- Daj mi chwilę, Chelsea. Wyguglam to i zobaczę, czy jest tu jakiś w okolicy, dobrze?

Chelsea kiwnęła głową.

- I chcę lody. Dużo lodów.

- Niedaleko stąd widziałam sklep spożywczy - powiedziała mama. - Mogłabym pójść i tam coś kupić.

- Znalazłem - wtrącił się pan Jenkins. - To kilka mil stąd.



- Idź i kup mi McDonalda, mamo. Chcę McDonalda.  
- Twoja mama nie powinna iść - zauważył pan Jenkins. - To niezbyt bezpieczna okolica. Jest noc. Samotna kobieta w takim miejscu nie będzie bezpieczna. Pójdę tam, ale to dwie mile, więc zajmie mi to jakieś półtorej godziny, dobrze?  
- Nie może pan wziąć motocykla pana Korvesa? - zapytała Chelsea.  
Pan Jenkins pokręcił głową.  
- Nie, nie umiem jeździć na motocyklu.  
- To niech pan idzie - zdecydowała dziewczynka. - Tylko szybko.  
Pan Jenkins szybko przytaknął.  
- Masz dość pieniędzy? - zapytała mama.  
- Znajdę bankomat - odpowiedział. - Pobiorę trochę więcej. Będziemy tu jeszcze parę dni.

- Tylko dwa - poprawiła Chelsea. - Jeszcze dwa dni, a potem przyjdą anioły. A teraz niech pan idzie i niech się pan *nie waży* zapomnieć o lodach.

Pan Jenkins wybiegł, z tłuszczem trzęsącym się przy każdym kroku. Mama wybiegła jego śladem, jeszcze zanim zamknęły się drzwi kampera. Robili, co im się każe, i tak właśnie powinno być.

Wszyscy robili, co im kazała... Wszyscy, oprócz jednej osoby.

Chelsea zamknęła oczy i sięgnęła umysłem w dal. Gdzie on jest? Gdzie jest Boogeyman? Czy myślał o niej? Czy już się jej *bał*? Jeśli nie, dopilnuje, żeby poznał strach.

Znalazła go, ale nie mogła się z nim połączyć. Coś ją blokowało.

Chauncey.

*Co ty robisz, Chauncey? Nie pozwalasz mi wystraszyć Boogeymana?*

**POWIEDZIAŁEM CI, ŻEBYŚ SIĘ Z NIM NIE ŁĄCZYŁA.**

*A ja już ci mówiłam, że nie jesteś moim szefem.*

**CHELSEA, NISZCZYCIEL NIE JEST ZABAWKĄ. JUŻ CZTERY RAZY POWSTRZYMAŁ ANIOŁY. JEŚLI CIĘ ZNAJDZIE, ZABIJE CIĘ. KIEDY SIĘ Z NIM ŁĄCZYSZ, RYZYKUJESZ WSZYSTKO.**

Chelsea się rozżościła. Nie tylko na Boogeymana, ale i na Chaunceya.

*Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Już nigdy.*

Chelsea czekała na odpowiedź. Nie doczekała się. Zamiast tego w jej głowie rozbłysły setki obrazów, atakując jak szybkostrzelne wizualne błyskawice. Obrazy Boogeymana palącego gospodarzy, duszącego ich, uderzającego, *zabijającego* ich.

*Chauncey, przestań.*

Zaczęła się trząść, a mimo to obrazy nie ustawały, obrazy żołnierzy strzelających do laleczek, dźgających je, depczących po nich. Rozbijane ciała ślicznych laleczek, fioletowy płyn tryskający w długich, żelowych strumieniach.

*Chauncey, dość!*

Chelsea nie mogła oddychać, a obrazy wciąż nadchodziły. Obrazy bram, pięknych, cudownych bram, wybuchających, niknących w płomieniach, rozpadających się na drobne kawałki rozkładające się w nicość. Znowu poczuła ten nacisk w pęcherzu...

*Dobrze, nie będę się z nim kontaktować, obiecuję!*

Obrazy znikły.

Chelsea odetchnęła głęboko. Boogeyman wcale nie był zabawką. Był śmiercią. Taką najprawdziwszą, nie tą z filmów.

TERAZ ROZUMIESZ. JEŚLI SIĘ Z NIM POŁĄCZYSZ, SPROWADZISZ ŚMIERĆ NA SWOICH LUDZI.

Sięgnęła palcami w dół, do miejsca, gdzie zakładało się strój kąpielowy. Z przodu spodni wyczuła odrobinę wilgoci. Zrobił to Chauncey, ale to nie była jego wina. To nie on zabijał, palił i niszczył. To nie on po raz drugi doprowadził do tego, że posusiała spodnie.

To wszystko przez Boogeymana.

I prędzej czy później zapłaci za to.

## Nie znaczy nie

Kolejna ciemna noc w ruinach domu Jewellów. Zimno jak cholera. Znowu. Dew nienawidził zimna. Razem z Margaret i Perrym stali w miejscu, które kiedyś było kuchnią. Zawieszona wysoko połówka księżycy zalewała śnieg srebrnym blaskiem. Ponad centymetr puchu pokrył większość szerniałych szczątków, tworząc warstwę bieli na wypalonych kawałkach drewna i zniszczonych sprzętach.

Stali tam na zimnie, ponieważ Perry wciąż odmawiał wejścia do przyczepy. Nie chciał się zbliżyć do pisklaków.

- Perry, one są zamknięte w osobnych klatkach - argumentowała Margaret. - Nie mogą się do ciebie dostać.

Zmieniła się, Dew słyszał to w jej głosie. Było w nim teraz tyle złości, była tak różna od Margaret Montoi, którą poznał kilka miesięcy temu. Zmieniła się po Amosie, ale teraz... W piersi Margo wrzała niezdrowa dawka furii.

- Nie ma mowy, żeby zdołały się wydostać z tych klatek - powiedziała.

- To nie... nie o to chodzi - odpowiedział Perry. Mówił z wysiłkiem, urywał słowa, jakby ukończenie zdania kosztowało go dużo trudu. Stał w miejscu, ale górną częścią ciała chwiało się trochę na boki.

- Perry - odezwał się Dew. - Musisz się opanować.

Perry pokręcił głową. *Gwałtownie*. Wyglądał przy tym jak zidiociały pies.

- Słuchaj - stwierdził Dew. - Coś cię blokuje, ale słyszysz coś, jeśli znajdujesz się blisko trójkątów?

Perry przytaknął.

- Tak, gdy stałem tuż obok, mogłem je słyszeć. Słyszałem ją.

- I o to chodzi - oświadczył Dew. - Nie wiemy, gdzie jest następna brama, Perry. Jewellowie muszą być właśnie tam. Jeśli znajdziemy Jewellów, znajdziemy też bramę. Chelsea mówiła do ciebie. Musisz tam wrócić i zobaczyć, czy znowu nawiąże kontakt.

- Musisz to zrobić - dodała Margaret głosem napiętym i zimnym. - *Nie* pozwolimy, żeby ta kobieta umarła na marne.

Perry znowu pokręcił głową. Wciąż miał szeroko otwarte oczy i szeroko rozwierał nozdrza przy każdym oddechu.

- Perry - zwróciła się do niego Margaret. - Wywalczyłeś sobie drogę przez tak wiele. Powiedz mi, czemu tak się boisz tej małej dziewczynki.

- Ona już nie jest małą dziewczynką - odpowiedział Perry. - Stała się czymś innym. Ja... Ona może... ona może zmusić ludzi, żeby robili, co chce.

- Jesteśmy z tobą, młody - rzucił Dew. - Będziemy tuż obok, dobrze?

- Odpowiedź brzmi „nie” - powiedział Perry. - Musicie przestać mnie prosić, żebym tam wszedł... Po prostu musicie.

- Te pisklaki są w osobnych klatkach - przypomniał Dew. - *Nie* mogą ci nic zrobić. - Musisz przestać być takim mięczakiem i...

Dew w ogóle nie zobaczył ręki Perry'ego. Nawet nie mignęła. W jednej chwili trząśnięcie się jak chory pies, ułamek sekundy później Dew poczuł zaciśnięte na gardle żelazne imadło, a jego stopy zawisły kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią.

- Nie rozumiesz! - wrzasnął Perry. - Po prostu *nie rozumiesz!*

Dew szarpał za palce Perry'ego, próbując oderwać choć jeden, by go odgiąć i złamać, ale nawet *palce* chłopaka były zbyt silne. Nie zdołał żadnego ruszyć.

Margaret chwyciła rękę Perry'ego. Równie dobrze mogłaby zawisnąć na gałęzi drzewa, efekt byłby taki sam.

- Perry! Postaw go!

Perry potrząsnął Dewem. *Potrząsnął* nim. Dewowi na chwilę zrobiło się czarno przed oczami, potem odzyskał wzrok... Zostało mu już tylko kilka sekund. Kopnął niezgrabnie, próbując opanować swoje działania. Jedna stopa trafiła, jednak w Margaret, nie Perry'ego.

Kobieta złapała się za lewe biodro i upadła. Dew nagle też znalazł się na ziemi, kaszląc i plując. Perry był taki wielki i taki *szybki*. Dew zrozumiał teraz, że zwycięstwo w tamtej walce zawdzięczał wyłącznie szczęściu.

- Nie boję się tego, co *ona* zrobi *mnie!* - wrzasnął Perry. - Boję się, co każe mi zrobić z *wami!*

Dew przeturlał się na plecy i popatrzył do góry. Na jego tyłku topił się śnieg zmieszany z sadzą. Perry nachylał się nad nim, patrząc wzrokiem pełnym szaleństwa. Kiedy mówił, z jego ust pryskała ślina, a przy każdym słowie dźgał się palcem w skroń, podkreślając słowa.

- Nie rozumiesz? Oni *zmienili* mój cholerny *mózg!* A kiedy jestem blisko tych trójkątów, to ją *śłyszę*. Ona jest cholernie potężna, stary. Nie chcę, żebyś skończył jak Bill. Kazała mi cię *zabić*.

Dew odchrząknął i splunął. Plwocina była gęsta od krwi.

- To czemu tego nie zrobiłeś?

Perry nie odpowiedział. Z jego oczu powoli zaczęło znikać szaleństwo.

- Czemu? - spytał Dew. - Jeśli jest taka potężna, czemu mnie nie zabiłeś, kiedy kazała ci to zrobić? Czemu nie zrobiłeś tego teraz?

- Bo... bo możesz mnie pokonać. Możesz mnie pobić.

Dew się roześmiał, ale ból w gardle zmienił śmiech w kaszel.

- Mogłeś mi przed chwilą skrócić kark, chłopcze. Nie zrobiłeś tego. Skoro więc ta dziewczynka ma nad tobą taką władzę, czemu wciąż jeszcze żyję?

Obłęd w oczach wielkoluda całkowicie zniknął. Perry wyprostował się, jeszcze przez chwilę patrzył na Dewa, po czym odwrócił się i odszedł.

Margaret dźwignęła się na kolana. Ręką trzymała się za biodro, a jej twarz wykrzywił grymas bólu.

- Kopnąłeś mnie - powiedziała.

- Przepraszam - odpowiedział Dew. - Nie w ciebie celowałem. Zupełnie nie rozumiem, czemu nie trafiłem.

Dew powoli dźwignął się na nogi, po czym schylił się i pomógł wstać Margaret.

Odetchnęła głęboko.

- Jezu - rzuciła. - Nie należysz do najbardziej wrażliwych mężczyzn świata, co? „Musisz przestać być takim mięczakiem”? Naprawdę sądziłeś, że to go w jakiś sposób zmotywuje?

- To facet - rzucił Dew. - Takie teksty zazwyczaj na nas działają.

Margaret pokręciła głową.

- Czy wy, mężczyźni, nie możecie takich rzeczy załatwiać rozmową?

- Masz rację, kobiety są znacznie bardziej logiczne. Może powinienem był mu pokazać moją technikę bokserską.

Margaret przewróciła oczami.

- No dobrze. Masz mnie. Ale może mnie wysłuchaj, Dew. Marcus i Gitsh sprzątają teraz w środku krew Bernadette. *Musisz* namówić Perry'ego do wejścia tam i porozmawiania z tym czymś, bo inaczej okaże się, że ta kobieta zginęła na próżno.

Wskazała palcem w stronę twarzy Dewa.

- Rozumiesz?

Tyle złości w jej oczach. Nawet nie wyglądała już jak Margo. To była zupełnie nowa kobieta, którą sam pomógł stworzyć.

- Rozumiem - potwierdził Dew. - Spróbuję go przekonać.

Margaret wróciła do przyczepy zostawiając Dewa samego w wypalonej, przyprószonej śniegiem kuchni.

## Dwa burgery wołowe...

Rome siedział skulony na siedzeniu kierowcy swojej delty 88. Samochód miał zgaszony silnik, ale nawet, gdyby pracował, w środku i tak byłoby zimno jak diabli, bo grzejnik nie działał już od miesiący. Głowę wysunął tylko na tyle, żeby wyglądać przez boczną szybę kierowcy na Orleans Street, na idącego wzdłuż płotu grubasa z rudą brodą. Nie było tam nawet chodnika, tylko ośnieżony pas trawy, potem płot i drzewa po drugiej stronie. Białas w niewłaściwej okolicy, w środku nocy, z dużymi torbami z McDonalda w każdej ręce.

- Ale jaja - cicho rzucił Rome. - Czy ten sukinsyn nie wie, gdzie zawędrował?

Siedzący na fotelu pasażera Jamall pokręcił głową.

- Najwyraźniej. Białas łażący *tutaj* po nocy? Sam? Po wizycie w bankomacie? Wygląda, jakby się *prosił* o obrobienie.

- Mam nadzieję, że ma tam jakieś Big Maki - rzucił Rome. - Zgłodniałem.

Mężczyzna miał na sobie jeansy i koszulę w kratę z długim rękawem. Wyglądało na to, że nie tylko nie zwraca uwagi na otoczenie, ale i na zimno. Co jakieś cztery kroki wydmuchiwał białą chmurę pary, która jarzyła się przez chwilę w świetle nielicznych sprawnych latarni.

- Wiesz co? - rzucił Rome. - Ktoś ma *zdecydowanie* dużą ochotę na McDonalda.

Obserwowali bankomat na Mack Avenue, szukając łatwego celu. Ten gość podszedł do niego na piechotę i wybrał kasę, na oko *dużo* kasy. Rome i Jamall obserwowali, jak wchodzi do McDonalda, z którego wyszedł pięć minut później z dwiema dużymi torbami. Następnie mężczyzna skręcił na południe, w Orleans, i maszerował prosto już od piętnastu minut. Rome podjechał nawet ulicę za Orleans, do St. Aubin, przejechał kilka przecznic przed mężczyzną, po czym wrócił przez Lafayette i znowu stanął po drugiej stronie Orleans. Ulica była tu pusta, z parkingiem po jednej stronie i długim pasem drzew po drugiej. Zaparkował i czekali, żeby zobaczyć, czy mężczyzna był na tyle głupi, by dalej maszerować przez tak opuszczone okolice.

Był.

To nie mogło być łatwiejsze. Co niepokoiło Rome'a.

- Czy ja czegoś nie zauważam? - zapytał, gdy mężczyzna pokonał spory kawałek za deltą 88. - Ten gość *serio* idzie całkiem sam?

- I do tego cały czas prosto - dodał Jamall. - Nawet nie ma dość rozsądku, żeby iść główną drogą. Facetowi musi się spieszyć.

- Nikogo tu nie ma - zauważył Rome.

- Nikogo - zgodził się Jamall. - Powiedziałeś, że chcesz pewniaka, stary, więc trudno będzie o coś pewniejszego. Jeśli mamy to zrobić, musimy się ruszyć. Chodźmy zarobić trochę kasy.

Jamall i Rome wysiedli z samochodu, zostawiając lekko uchylone drzwi. Nie mogło ich to zdradzić, bo światło w środku też nie działało. Wyciągnęli broń: Rome prosty rewolwer kalibru .38, Jamall znacznie bardziej wyszukanego glocka. Przebiegli przez pustą ulicę i zbliżyli się do mężczyzny od tyłu.

Usłyszał ich, bo się odwrócił – a kiedy to zrobił, zobaczył wycelowane w siebie dwa pistolety.

– Dawaj portfel! – rzucił Rome. Trzydziestkę ósemkę trzymał w prawej ręce, lewą wyciągnął przed siebie.

Mężczyzna tylko na niego patrzył.

Jamall ostentacyjnie odciągnął zamek glocka, po czym znowu wycelował w twarz mężczyzny.

– Daj mojemu kumpłowi portfel, albo będzie po tobie. I odłóż torby, je też zabieramy.

Mężczyzna przeniósł wzrok na Jamalla. Był biały jak cholera, z dużą rudą brodą. Nie mógł wyglądać bardziej nie na miejscu. Musiał być turystą czy kimś takim. Albo debilem, bo wcale nie wyglądał na przestraszonego. Nawet odrobinę.

– Nie – odpowiedział białas.

Twarcz Jamalla wykrzywiła się w furii. Rome zrobił się nerwowo. Jamall nie lubił, gdy ludzie mu odmawiali. Zwłaszcza biali ludzie. Rome szybko rozejrzał się po ulicy. To wszystko już trwało zbyt długo.

– Powiem to jeszcze raz – odezwał się Jamall. – Odłóż te torby i daj mojemu kumpłowi portfel. Jeśli jest w nim dość pieniędzy, nie zabijemy cię.

– Nie – odpowiedział białas. – Nie mogę. Muszę jeszcze kupić lody na patyku. Chelsea będzie wściekła, jeśli wrócę bez lodów.

Jamall zrobił dwa kroki do przodu i przystawił lufę broni do czoła mężczyzny.

– Gównu mnie obchodzą lody na patyku – warknął. – Odstaw te pierdolone torby.

Mężczyzna przyklęknął lekko i postawił torby na ośnieżonej trawie, po czym wstał. *Nadal* nie wyglądał na przestraszonego. Rome'owi się to nie podobało, ani trochę. Zazwyczaj kiedy celowało się w ludzi z broni, robili w spodnie. Ten gość wyglądał, jakby celowano w niego tyle razy, że mu się to znudziło. Pieprzyć kasę, Rome chciał się stąd zmywać.

Mężczyzna sięgnął prawą ręką do tyłu.

– Już lepiej – skomentował Jamall. – Bardzo powoli, daj mi portfel.

Wyraz twarzy mężczyzny w ogóle się nie zmienił. Wyciągnął lewą rękę, chwycił pistolet Jamalla i podniósł go do góry, kierując lufę w powietrze. Ruch nie był szczególnie szybki, ale też nie powolny, po prostu gładki. Bez wahania. Jamall na chwilę zamarł, prawie jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś był tak głupi, by z nim pogrywać, a potem próbował uwolnić pistolet.

Dopiero wtedy Rome zauważył, że prawa ręka mężczyzny wraca zza pleców podobnie szybkim, pewnym i gładkim ruchem, ściskając pistolet.

Mężczyzna przystawił lufę do brzucha Jamalla i pociągnął za spust.

Odgłos przypominał strzał z kapiszonowca. Wcale nie brzmiał jak prawdziwy. Twarz Jamalla drgnęła, bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Przestał próbować wyrwać swój pistolet.

Mężczyzna ruchem równie płynnym co wcześniejsze podstawił pistolet pod brodę Jamalla i jeszcze dwukrotnie nacisnął spust.

A potem z brody mężczyzny zaczęła tryskać krew. W pierwszej chwili Rome pomyślał, że to krew Jamalla, ale jego kumpel wcale tak mocno nie krwawił: chwiał się przez chwilę, po czym upadł.

Grubas upuścił swój pistolet i sięgnął obiema rękami do gardła. Przez cały czas ani na chwilę nie zmienił wyrazu twarzy. Facet *wciąż* wyglądał na znudzonego, nawet gdy między jego palcami przeciekała krew.

Jamall upadł.

Mężczyzna obrócił się do Rome'a.

To on wystrzelił ze swojej trzydziestki ósemki. Stąd krew i dziura w gardle. Z krótkiej lufy unosiła się smużka dymu. Nawet nie wiedział, że wystrzelił, ale musiał to zrobić. Trafił gościa prosto w gardło.

Mężczyzna zamrugał kilka razy, po czym opadł na ziemię, na jedno kolano. Oparł się rękami i usiadł tyłkiem na śniegu. Z jego gardła dalej wypływała krew, której część tryskała na białe torby z McDonalda. Krew zabarwiła kołnierz i koszulę, kapłała z rudej brody.

- Chciałbym - cicho powiedział mężczyzna. - Chciałbym, żebyś poznał miłość.

A potem położył się na boku i przestał się ruszać.

Wypływ krwi osłabł do wolnego pulsowania.

Rome zobaczył portfel mężczyzny w tylnej kieszeni spodni. Patrzył na niego przez chwilę, a potem w nagłej fali paniki wrócił zdrowy rozsądek. Właśnie *zabił* tego gościa. Napad z bronią w rękę, zabójstwo. Popatrzył na martwego Jamalla. *Kurwa!* Jamall? Jak to możliwe, że *Jamall* zginął?

Nie rozległy się żadne syreny. To mu nie groziło. W tej okolicy nikt nie wzywał glin z powodu paru wystrzałów. Cała akcja, od chwili, gdy wysiedli z samochodu, nie trwała nawet minuty.

Serce Rome'a łomotało, oddychał szybko i głęboko. To było strasznie popieprzone.

Schylił się i chwycił pełen gotówki portfel grubasa. Schował go sobie do kieszeni, a potem rozejrzał się po ulicy. Gliny nie przyjadą, chyba że ktoś będzie jechał tą ulicą i zobaczy dwa ciała na ziemi. Wtedy zjadą się tu szybko, naprawdę szybko. Rome popatrzył na sięgający pasa płotek. Parę metrów dalej była w nim dziura.

Uciekać czy ukryć sprawę?

Schował rewolwer do spodni i chwycił rękę grubasa, po czym zaciągnął go do płotu. Facet musiał ważyć ze sto dwadzieścia kilo. Rome odciągnął rozciętą siatkę i przeszedł pod barierką, wciągając trupa do środka. Potem wyszedł na zewnątrz i zobaczył krwawy ślad na śniegu.

*Kurwa.* Ktoś to zobaczy zaraz po wschodzie słońca. Mimo wszystko może mu to kupić trochę czasu.

Zostało jeszcze jedno ciało.

Rome popatrzył na martwego kumpla. Znał Jamalla od kiedy obaj mieli po dziesięć lat. Widział już śmierć wielu ludzi, ale jeszcze nigdy *swojego* przyjaciela.

Poczuł, jak po policzku spływa mu łza.



- Przepraszam, stary - powiedział chwytając Jamalla za nadgarstek, po czym go pociągnął. - Obiecuję, że zajmę się twoją matką. Nie chcę cię tu zostawiać, ale muszę się zmywać. Ty byś pewnie zrobił to samo, stary, dobrze o tym wiesz.

Jamall nie odpowiedział. Patrzył tylko w niebo, sunąc na plecach.

Rome przeciągnął ciało Jamalla pod płotem. Nie ułożył go obok grubasa, tylko jakieś półtora metra dalej. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla przyjaciela. Po raz ostatni przeszedł pod płotem, chwycił obie torby z McDonalda i przerzucił je na drugą stronę. W końcu zebrał pistolety i pobiegł do samochodu. Mógł je wyrzucić do rzeki.

Niecałe pięć minut po tym, jak podbiegli do mężczyzny, odjechał samochodem po pustej ulicy.

## Jak lego

Chelsea kazała mamie i panu Burkle'owi wyjść z kampera. Siedziała nieruchomo, bardzo cicho, skupiając całą uwagę na panu Jenkinsie.

Wyczuwała jego położenie, mogła wysłać do niego mamę... ale było już za późno.

Chelsea czuła, jak opuszcza go życie.

Śmierć.

Wcześniej czuła jak umiera tata, pan Beckett i Ryan Roznowski, ale to było coś innego. Byli naczyniami, ich jedynym przeznaczeniem było noszenie laleczek. Pan Jenkins był taki jak ona. Chelsea była z nim *połączona*.

Beck Beckett był trochę podobny, ale tylko trochę. Chelsea była teraz dużo silniejsza i znacznie głębiej odczuwała połączenie.

Oddechnęła głęboko i spróbowała opanować strumień informacji przepływających przez jej mózg. Co nie było łatwe. Zakażenie się rozprzestrzeniało. Czuła wszystkich ludzi generała Ogdena. Nieustannie czerpała od nich wiedzę, przeszukując ich mózgi w poszukiwaniu nowych informacji.

Znała teraz słowa, których większość siedmiolatków pewnie nigdy nie słyszała, a już zdecydowanie nie rozumiała.

Słów takich jak *organizm zbiorowy*.

Pan Jenkins był elementem tej zbiorowości.

*Chauncey, co się teraz stanie z panem Jenkinsem?*

**SZYBKO SIĘ ROZŁOŻY, ŻEBY NIKT NIE MÓGŁ GO ZBADAĆ I UŻYĆ PRZECIWKO NAM.**

*Ale co się stanie z jego... z jego interfejsem? Z tymi wszystkimi małymi elementami w środku ciała?*

**ZOSTAŁY ZAPROJEKTOWANE, ŻEBY SIĘ ZNISZCZYĆ, GDY JEGO CIAŁO SIĘ WYŁĄCZY.**

*Przecież możemy je wykorzystać.*

**NIE, CHELSEA, MUSZĄ SIĘ ROZŁOŻYĆ. NIE ZBLIŻAJ SIĘ DO NICH. ZOSTAŃ W UKRYCIU.**

Chelsea się zamyśliła. Sięgnęła umysłem, łącząc się z drobnymi stworkami wewnątrz ciała pana Jenkinsa. Czy mogła... Tak, zdecydowanie mogła.

*Mogę je zmienić, Chauncey. Mogę je ustawić w inny sposób, jak lego.*

**ROZKAZUJĘ CI PRZESTAĆ, CHELSEA.**

Dziewczynka zignorowała Chaunceya. Kochała Boga, ale może Bóg w niebie nie wiedział, jak sprawy mają się tu, na ziemi. Wysłała silny sygnał do stworków wewnątrz pana Jenkinsa, sygnał w postaci dwóch obrazów.

Jeden był obrazem pana Jenkinsa z uśmiechniętymi tłustymi policzkami, tak jak wyglądał za życia. Miał taki zostać, nie wolno im było go rozłożyć.

Drugi obraz przedstawiał jej ulubiony kwiat.

# **DZIEŃ ÓSMY**

## Lody z Bogiem

O trzeciej piętnaście w nocy humvee generała Charliego Ogdena podjechało do podniszczonej ścianki ze sklejki w niegdyś opustoszałym budynku na Atwarter Street w Detroit, Michigan. Bariera ze sklejki została przesunięta na bok, samochód wjechał i ściankę ustawiono z powrotem na miejscu.

Wkrótce przybędą inne pojazdy. Ogden rozkazał im się rozdzielić, przyjechać do budynku z różnych stron i o różnych godzinach. Konwój przyciągnąłby zdecydowanie zbyt dużo uwagi, natomiast pojedyncze samochody jadące w różne strony... O tej porze nikogo to nie będzie obchodziło. Jeśli tylko jego ludzie znikną przed piątą rano, wszystko będzie w porządku.

Hummer wtoczył się do wnętrza długiego, starego magazynu, chrzęszcząc oponami po kawałkach drewna, szkła, śmieci i połamanych cegieł. Pod jedną ze ścian stały dwa pojazdy: biało-brązowy kamper Winnebago i bardzo brudny harley Night Rod Special.

Przed kamperem stał mały aniołek z blond włosami.

Wokół niej kłębiły się tuziny sięgających kolan pisklaków z czarnymi mackami.

I najważniejsze ze wszystkiego: osiem zakrzywionych kolumn w dwóch równoległych rzędach – cztery po prawej i cztery po lewej.

Kolumny naprzeciw siebie wykrzywiały się w swoją stronę. Gdy będą gotowe, utworzą cztery piękne łuki. Na szczycie każdej kolumny siedział gruby pisklak, chwytając jej koniec mackami i wyciskając pianisty, brązowy materiał, który niemal natychmiast twardniał na powietrzu. Każde takie wyciśnięcie wydłużało kolumnę o jakieś piętnaście do trzydziestu centymetrów. Gdyby sama myśl o czymś takim nie była bluźnierstwem, mógłby powiedzieć, że jego zdaniem pisklaki budują łuki z własnego gówna.

Kiedy pisklak kończył wydalanie, robił się wyraźnie chudszy, z zapadniętymi trójkątnymi bokami. Pisklak zbiegał w dół, a jego miejsce natychmiast zajmował inny, gruby. Chude pisklaki biegły do stert drewna, śmieci lub na wpół zjedzonych, zakrwawionych trupów. Opuszczały się na nie, z ich podstaw wysuwały się ostre, tnące elementy i zaczynały jeść, wciągając w siebie surowiec z zatrważającą prędkością.

Świat nigdy jeszcze nie widział niczego tak doskonałego i pięknego.

Dźwięki drobnych stóp rozgniatających kawałki szkła i cegieł odciągnęły uwagę Ogdena od gorączkowej aktywności pisklaków. To mały aniołek, z jasnymi lokami podskakującymi przy każdym kroku. W każdej dłoni trzymała lody na patyku.

- Dzień dobry, generale Ogden - przywitała go dziewczynka. - Jestem Chelsea.

Oczywiście wiedział, bo to jej głos słyszał w głowie, gdy został skonwertowany, kiedy planował i jechał. Jego serce napełniło się miłością na sam jej widok.

*Czekaliśmy na pana.*

Odezwała się wprost do jego myśli głosem pełnym miłości i mądrości.

- Dzień dobry, Chelsea. Podoba mi się twój motocykl.

*Jest twój. Pan Korves już go nie potrzebuje.*

Była ucieleśnieniem miłości. Była wszystkim.

*Czekaliśmy na naszych obrońców, generale. Jesteś gotów nas bronić?*

Podawała mu loda na patyku.

- Tak, Chelsea - odpowiedział Ogden. - Jestem gotów.

## Kryminalni, występują Sanchez i Ridder

Policjant Carmen Sanchez miał złe przeczucie. Raport o zakrwawionym śniegu i dwóch ciałach. Przynajmniej było poniżej zera. Owszem, makabryczne, ale zamrożony trup był dużo lepszy od takiego, który przez kilka dni gotował się na wilgotnym i gorącym powietrzu w lecie. Czasami te wezwania były nieuzasadnione, ale po dziesięciu latach służby nabierało się wyczucia, które były prawdziwe. Sanchez miał teraz takie przeczucie.

Niebieskie światła koguta radiowozu zabłyśły, gdy jego partner, Marcellus Ridder, stanął przy krawężniku na Orleans Street. Reflektory oświetliły podeptany śnieg z plamami czerwieni.

Plamami, które zmieniały się w smugi ciągnące się wzdłuż płotu i rosnących za nimi drzew. A tuż za płotem dwa ciała: czarne i białe.

Żadne się nie ruszało.

Ridder zaciągnął hamulec i chwycił mikrofon radiostacji. – Tu Adam dwanaście, w odpowiedzi na raport o ciałach na Orleans Street – powiedział. – Mamy dwóch ludzi na ziemi. Natychmiast przyślijcie karetkę i wsparcie. Zbadamy okolicę.

Dziesięcioletni chłopiec zobaczył krwawe plamy na śniegu, znalazł ciała i poszedł na stację benzynową, skąd zadzwonił na policję. Sanchez naprawdę nie chciał wiedzieć, co dziesięcioletek robił na nogach o czwartej nad ranem. W tych okolicach rodzice nie zawsze pilnowali swoich dzieci.

Ridder odwiesił mikrofon z powrotem na widelki. Obaj wysiedli z samochodu, z bronią wyciągniętą i skierowaną ku ziemi. Sanchez klęknął za otwartymi drzwiami kierowcy radiowozu, a Ridder zrobił to samo za drzwiami pasażera.

– Policja, nie ruszać się! – Sanchez krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. – Zostać na miejscach! Jeśli mnie słyszysz, poruszaj prawą nogą!

Ich ostrożność mogła się wydawać głupia większości ludzi, bo obaj mężczyźni wyglądali na bardzo, *bardzo* martwych, ale taka ilość krwi oznaczała broń, a policja w Detroit *nie* cackała się z czymś takim. Jeden z tych mężczyzn mógł w każdej chwili wstać i zacząć strzelać.

– Powiedziałem, rusz prawą nogą! – krzyknął Sanchez. Zazwyczaj tak to właśnie wyglądało: Ridder prowadził samochód, Sanchez zajmował się krzykiem. Każdy ma unikalne zdolności.

– Musimy ich sprawdzić – rzucił Sanchez. – Gotowy?

– Gotowy – potwierdził Ridder.

– Wezmę tego po lewej. Ruszaj!

Sanchez wybiegł zza drzwi wozu i ruszył w stronę białego mężczyzny. Pistolet trzymał skierowany ku ziemi, ale z przodu, więc wystarczyło unieść go tylko o kilkanaście centymetrów, gdyby mężczyzna wyciągnął broń.

Facet miał nadwagę, oszronioną rudą brodę i brązowe oczy patrzące szklanym wzrokiem w pustkę. Oczy zamorzyły z otwartymi powiekami. Z prawej strony gardła

miał mały, zakrwawiony otwór. Jego koszula, zwłaszcza jej kołnierz, wyglądała na sztywną od zamarzniętej krwi.

Wszędzie wokół leżały zapakowane w papier Big Maki.

Ridder uklęknął obok Murzyna.

- Facet nie żyje - oznajmił. - Brak pulsu, zimny w dotyku.

Sanchez wyciągnął rękę, żeby sprawdzić puls, dotykając palcami drugiej strony szyi. Skóra była zimna, ale elastyczna, nie sztywna: gość jeszcze nie zamarzł. Wymacał krawędź szczęki, sięgnął pod nią i nacisnął.

Rozległ się dźwięk przypominający ciche kasznięcie.

Poczuł, że jego palce coś przebiły, jakiś niewielki pęcherzyk.

Nad szczęką mężczyzny pojawiła się mała, rzadka chmurka czegoś szarego.

Dopiero wtedy Sanchez to zobaczył - małe pęcherze na szyi i dłoniach, a nawet na czole mężczyzny. Przebił jeden z nich i ten biały proszek wystrzelił z niego i unosił się w powietrzu jak kwiatowy pyłek.

- Cholera - rzucił. - Co to do cholery jest?

Odsunął się od ciała, trzymając lewą rękę zgiętą i z dala od siebie. Zaczął nią machać, rozchylając palce. Pylista substancja oderwała się od jego skóry i podryfowała w powietrzu.

- Co się do cholery stało, Chez?

- Ten gość miał pęcherze - wyjaśnił Sanchez. - Chyba dotknąłem jednego i pękł jak purchawka, czy coś takiego. *Obrzydliwe.*

- Przynieś zestaw pierwszej pomocy. - Schował pistolet do kabury. - Pieprzony gnojek pewnie miał AIDS czy coś, to cholerny pęcherz AIDS. Powinienem być założyć rękawiczki.

Ridder podbiegł do radiowozu, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego apteczkę.

Sanchez przestał machać ręką i przyjrzał się jej, zastanawiając się, czy naprawdę czuje to, co mu się wydawało. Naprawdę. Nie wyobrażał sobie tego, jego dłoń zrobiła się gorąca. *Bardzo gorąca.*

- AIDS nie robi pęcherzy - rzucił Ridder, wyciągając z apteczki buteleczkę z alkoholem.

- Tak? To dlaczego to tak cholernie *piecze*? Pospiesz się!

Ridder oblał rękę alkoholem, a potem podał Sanchezowi gazę.

- Wytrzymaj to - powiedział.

- Poważnie? - Sanchez wytarł sobie dłoń.

Ridder otworzył torebkę przy pasie i wyciągnął z niej rękawiczki chirurgiczne.

Sanchez popatrzył na rękawiczki w dłoni Riddera, cały czas wycierając sobie skórę.

- To mi teraz cholernie pomoże, pieprzony dupku.

- *Ja* też nie chcę dostać AIDS - odpowiedział Ridder, robiąc krok do tyłu.

- Powiedziałeś, że AIDS nie robi pęcherzy!

- Ale, *kurwa*, nie wiem, dobra?

Uczucie pieczenia nasilało się. Był kiedyś na wakacjach na Jamajce, z drugą żoną, i podczas pływania trafił ręką na meduzę. Uczucie było bardzo podobne, utrzymujące się pieczenie, stale rosnące.

- Rety - jęknął Sanchez. - To było cholernie obrzydliwe. Szlag, ależ to *piecze*.  
Ridder patrzył na jego dłoń.

- Uch, Chez - powiedział. - Pamiętasz poranną odprawę? O tym gównie w Gaylord?  
Sanchez przestał trzeć dłoń. Szeroko otworzył oczy ze strachu.

- To cholerstwo zjadające ciało? Myślisz, że złapałem to gówno?

- Nie wiem, stary - odpowiedział Ridder. - Wyluzuj.

- Sam się, *kurwa*, wyluzuj!

- Słuchaj - stwierdził Ridder. - Mamy ten zestaw do testowania, pamiętasz? Weź i użyj go na tym gościu.

- Ja? Chyba już dość się tu upieprzyłem.

- Ale jeśli on to ma, to ty już też - zauważył Rider. - Czemu, do cholery, *ja* też mam to łapać?

Choroba, od której rozpadało się ciało... Czy to miało piec? A jeśli nie, to *co* by tak piekło? Na miłość boską, to coś wylazło ze skóry trupa.

- Stary, to *piecze* - rzucił Sanchez. - Masz rękawiczki, weź to zrób!

- Nie ma mowy. Niech zrobią to sanitariusze, zostali przeszkoleni w takich rzeczach.

Sanchez usłyszał syrenę karetki pogotowia. Karetka będzie tu za kilka minut, ale nie mógł czekać, musiał to wiedzieć.

- No weź, stary, zrób ten test.

Zrobił krok w stronę Riddera, jednak ten w mgnieniu oka zaczął się cofać z bronią wycelowaną w Sancheza.

- Trzymaj się, *kurwa*, z daleka ode mnie - powiedział. - Stój tam i się nie ruszaj!

Sanchez znieruchomiał. Jego własny partner wycelował w niego broń. To wszystko było cholernie porąbane, ludzie ginęli od takich rzeczy.

- Dobra - rzucił. - Nie ruszam się. Tylko wyluzuj, Ridder, i przestań z tego we mnie celować.

Ridder nie przestał do czasu przyjazdu karetki, kiedy sytuację przejęli sanitariusze.



## Bądź gotowy dziś do drogi...

Margaret i Dew siedzieli w pokoju komputerowym, obserwując ekrany.

*Muszę zapamiętać* – pomyślał Dew – *żeby nigdy więcej nie pozwolić sobie na hasło: „przecież nie może być już gorzej”.*

Murray właśnie kazał im oglądać przekazywany na żywo obraz z kanału 7 News Eye in the Sky z Detroit. Na ekranie widać było drogę biegnącą równolegle do długiego pasma ośnieżonych drzew. Wyglądało to tak, jakby wyrosły na dawno porzuconych torach. W pobliżu miejsca, gdzie stare tory przechodziły pod estakadą, Dew zobaczył dwa niewyróżniające się, niebieskie ciągniki z przyczepami.

Kolejny Margo Mobil. Zaparkowany na widoku. W dużym mieście. Zdecydowanie nie wyglądało to dobrze.

U dołu ekranu wyświetlono pasek tekstu: „Możliwy przypadek zakażenia bakterią zjadającą ciało w Detroit”.

Dew przełączył Murraya na głośnik.

- No dobra, Murray – powiedział. – Widzę to. Co się dzieje?

- Cicho bądź i słuchaj – odpowiedział Murray. – Mamy tu coś innego, coś dużego, więc nie mam za wiele czasu. Mamy dodatni wynik testu na celulozę w Detroit, ale to nie jest, powtarzam, *nie* jest zakażenie trójkątami. To może być podobne do przypadku Donalda i Betty Jewell. Gość nie ma żadnych dokumentów, na razie to po prostu NN. Jak widzicie, sprawa już wyciekła, więc weszliśmy w tryb kontroli zniszczeń. Wysłałam helikopter po Margaret i jej zespół.

- Ale ja nie mogę teraz wyjechać – zaprotestowała lekarka. – *Zabiliśmy* tę kobietę, żeby dostać pisklaki i teraz wreszcie je mamy.

- Nie mam czasu na twoje zdanie – rzucił Murray. – Słuchaj. Facet nie zginął z powodu choroby. Został w nocy zastrzelony, dostał kulą w gardło. I nie rozłożył się, powtarzam, *nie* rozłożył się. Gliniarz, który znalazł ciało sprawdzał gościa na celulozę, gdy pękł jakiś pęcherz na jego skórze. Ratownicy medyczni nie podchodzili do ciała, ale kilka godzin później sprawdzili gliniarza i on też dał wynik dodatni.

- To jest zakażne – wyszeptała Margaret. – W końcu do tego doszło.

- Dlatego właśnie potrzebuję cię tam jak najszybciej – wyjaśnił Murray. – Sprawa jest prosta. Mamy gospodarzy trójkątów zabijających ludzi w Gaylord, więc Ogden zostaje. Dawsey to jedyny człowiek, który może rozmawiać ze schwytanymi pisklakami, a ponieważ nie zamierzam ich przewozić przez cały stan *ani* spuszczać Dawseya z oczu Dewa, obaj zostają. Ta sprawa w Detroit nie ma jak na razie znanego przypadku zakażenia trójkątami. Nie ma trójkątów, nie ma bramy, więc musimy ocenić sytuację, zanim podejmiemy drastyczne działania.

- Zgadzą się – poparł go Dew.

- Nie pytałem o twoje zdanie – warknął Murray. – Margaret, posadzenie cię prosto na miejscu przyciągnęłoby zbyt dużo uwagi, więc wylądujesz przy szpitalu Henry’ego Forda kilka kilometrów dalej i podjedziesz tam. Załoga Margo Mobilu ma już ciało i tego gliniarza. Przeniosą się w jakieś bezpieczne miejsce.

- Nie możecie go zabierać - zaprotestowała. - W każdym razie nigdzie daleko. Musimy sprawdzić okolicę i zobaczyć, czy wektor zakażenia wciąż tam jest.

- Margaret - odpowiedział Murray. - Patrzysz na przekaz na żywo z *helikoptera wiadomości*. Musimy zabrać przyczepy w jakieś spokojne miejsce.

- To zabierz je gdzieś blisko - zażądała Margaret. - Jeśli mamy jeden przypadek, w okolicy mogą być następne.

- Dobrze - ustąpił Murray. - Przydzielę to komuś. Dew, zmuś Dawseya do rozmowy z tymi pisklakami, nie obchodzi mnie, jakim kosztem. Jeśli trzeba, utnij mu palec. Muszę się tu zająć czymś innym, więc nie dzwońcie do mnie, chyba że będziecie mieli informacje wymagające natychmiastowego działania.

Murray się rozłączył.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdziła Margaret. - Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby mówił w ten sposób.

- Ja tak - odparł Dew. - To znaczy, że pracował całą noc nad czymś dużym. To co słyszałaś, to zazwyczaj spokojny, wyluzowany i opanowany Murray Longworth w maksymalnym możliwym stresie.

Otworzyły się drzwi pokoju komputerowego i do środka wszedł Otto.

- Margaret, leci tu helikopter, pilot skontaktował się z nami i mówi, że ma nas zabrać do Detroit. Właśnie ląduje.

- Zgarnij Gitsha i Marcusa - odpowiedziała. - Idziemy.

Otto zniknął.

Margaret obróciła się do Dewa. W jej oczach płonął gniew.

- Jeśli to coś naprawdę jest zakaźne - powiedziała - znaleźliśmy się na zupełnie nowym poziomie piekła. Kraj będzie musiał się dowiedzieć. *Świat* będzie musiał wiedzieć.

Chryste w Niebie. Jakby Dew nie miał jeszcze dość problemów. Nowa i Lepsza Margaret Montoya chciała wszystko ujawnić. Problem w tym, że jeśli choroba rzeczywiście *jest* zakaźna, to miała stuprocentową rację. Zakulisowe gierki Murraya miały swoje miejsce na świecie, ale ich czas niemal minął.

- Najpierw to zbadaj - odpowiedział. - Zanim zrobisz coś głupiego, możesz poczekać dwadzieścia cztery godziny?

- Czemu, do cholery, miałabym to robić?

- Po prostu rób, co do ciebie należy. Oceniaj, jak mawia Murray. Jeśli jutro o tej porze nadal będziesz uważała, że ujawnienie tego wszystkiego jest najlepszą opcją, zrobię to z tobą.

Patrzyła na niego z mieszaniną nienawiści i niedowierzania na twarzy.

- Czemu miałbyś w taki sposób wyrzucać do kosza swoją karierę?

- Bo Murray ma więcej ludzi takich jak ja - wyjaśnił Dew. - A jeśli spróbujesz to ujawnić wbrew woli Murraya, jeden z nich może cię odwiedzić.

## Dopuszczalne straty

Wiedza Chelsea rosła z każdą chwilą.

Rozumiała już, czemu Chauncey został wysłany. Nie był osobą. Materiał *organiczny*, z którego składali się ludzie, rośliny lub szczeniaczki, po prostu nie mógł przeżyć podróży, nie tak, jak podróżował Chauncey.

Materiał organiczny mógł przeżyć przejście przez bramę, ale był w tym haczyk: sama *brama* była organiczna. Jak roślina. A to znaczyło, że nie można było jej wysłać w taki sam sposób, jak wysłano Chaunceya.

Zabawny problem, który dalej jeszcze się komplikował. Każdy pisklak miał... to się nazywa... szablon. Zgrabne słowo, choć nie do końca jeszcze rozumiała, co to dokładnie znaczyło. Jakiś rodzaj *wzoru* do produkcji materiału na bramę. Szablony zostały wysłane z Chaunceyem, stanowiły element każdego nasiona trójkąta. Ich liczba była *ograniczona* (kolejne zgrabne słowo!), co znaczyło, że pisklaki nie mogły się rozmnażać tak, jak pęczacze.

A te małe pęczacze rozchodzące się po ciałach ludzi, zmieniające ich? Jakie cudowne stworzenia! Jednak właściwie to wcale nie były stworzeniami, nie tak jak ślimaki, robaki czy szczeniaczki, były po prostu zbiorem elementów. Jak lego. Kawałki można było łączyć na różne sposoby. Można z nich było robić różne rzeczy. Właściwie to były znacznie fajniejsze od lego.

Wędrowała przez umysły ludzi w jej... jej *sieci*. Tyle interesujących rzeczy! I mnóstwo brzydkich myśli. Później się tym zajmie. Jeden umysł zdecydowanie wybijał się ponad resztę, umysł łączący logikę z aktywnością: umysł generała Ogdena. Czekać na otwarcie bramy zaczęła z nim spędzać coraz więcej czasu. Dużo się dowiedziała. Generał Ogden wydawał się mieć obsesję na punkcie czegoś, co nazywał *planami awaryjnymi*.

Większość jej sieci składała się z żołnierzy. Generał Ogden uważał, że większość z nich, włącznie z nim, zginie, broniąc bramy. Uważał, że jego żołnierze to *dopuszczalne straty*. Jednak gdyby wszyscy zginęli, lub gdyby tylko spadła liczba skonwertowanych ludzi, co stałoby się z umysłem Chelsea? Z jej wiedzą?

Nie miała pojęcia. A w związku z tym potrzebowała własnego planu awaryjnego.

Żołnierze byli bardzo, bardzo ważni dzięki swojemu przeszkoleniu i doświadczeniu w strzelaniu do wroga. W jej sieci zostały tylko dwie osoby, które nie były żołnierzami.

Mama i pan listonosz Burkle.

Pan Burkle był mężczyzną. Był silniejszy od mamy. A to znaczyło, że mama jest najsłabszą osobą w całej sieci.

To robiło jej stratę najbardziej dopuszczalną.

Chelsea odetchnęła głęboko i sięgnęła myślami. Właściwie wcale nie będzie trudno zmodyfikować cel mamy. Udało się jej z panem Jenkinsem.

Chelsea skupiła się, nawiązała łączność z pęczaczami mamy i zaczęła przestawiać elementy.

## Margaret przybywa

Miała wrażenie, że lot do Detroit trwał całą wieczność, choć tak naprawdę była to ledwie godzina.

Ostatnio spędziła tak wiele czasu zamknięta w Margo Mobilach na zadupiach, że prawie zapomniała, jak wygląda prawdziwe miasto. Detroit nie miało przesadnie rozbudowanych drapaczy chmur, niezbyt wiele wysokich budynków, choć docierając do niego nie można było nie zauważyć wież Renaissance Center i jeszcze paru drapaczy chmur, których nie potrafiła nazwać. Miasto zdawało się promieniować ze środka, rozciągając się na północ i zachód od rzeki Detroit, z przedmieściami ciągnącymi się na przestrzeni wielu kilometrów.

Margaret, Clarence, doktor Dan, Marcus i Gitsh wylądowali na lądowisku helikopterów szpitala Henry'ego Forda. Dwóch agentów wsadziło ich następnie do nieoznakowanej furgonetki i dziesięć minut później jechali East Lafayette Street.

- Jedziemy na skrzyżowanie Lafayette i Orleans - wyjaśnił kierowca. - Miejsce przestępstwa macie po lewej. CDC szczelnie zamknęła okolicę.

Wjazd na Orleans całkowicie blokowały solidne betonowe bloki używane do rozdzielania pasów przy remontach autostrad. Mniej więcej pół przecznicy dalej Margaret zobaczyła namiot zagrożenia biologicznego ustawiony na miejscu zabójstwa. Namiot mógł zatrzymać podmuchy wiatru roznoszące czynnik zakaźny - o ile jeszcze nie został rozproszony po okolicy - a także spojrzenia ciekawskich. Zobaczyła kilka osób w kombinezonach ochronnych wchodzących i wychodzących z namiotu. Miejsce zostało zabezpieczone w maksymalny możliwy sposób.

Następną przecznicą była St. Aubin, gdzie skręcili na południe. Po prawej stronie furgonetki leżały zarośnięte drzewami, stare tory kolejowe. Wzdłuż lewej strony drogi rosły kolejne drzewa i stały domy mieszkalne. Domy, wszędzie samochody... Tyłu chodzących we wszystkie strony ludzi stanowiło gotowy przepis na katastrofę, jeśli czynnik zakaźny przenosił się przez powietrze, jak szczep, który zakaził Perry'ego. Skręt w Jefferson, sześciopasmowa droga pełna ruchu, potem szybko w prawo w drogę, która ku jej zdziwieniu znowu nazywała się St. Aubin. Opuszczone budynki fabryczne sprawiały ponure wrażenie. W prawo w Woolbridge, potem minęli kolejną opuszczoną fabrykę i samochód skręcił na duży plac. Uświadomiła sobie, że wiadukt z przodu to znowu Jefferson. Wjechali pod niego, w długi tunel. Po obu stronach wznosiły się strome, porośnięte krzewami zbocza, na szczycie których ciągnął się płot. Margaret zrozumiała, że jechali trasą starej kolei, biegnącej równoległe do ulicy Orleans. Pod następnym wiaduktem zobaczyła dwa zaparkowane obok siebie ciągniki z niebieskimi kontenerami na przyczepach.

- Niezła kryjówka - Clarence rzucił do kierowcy. - Z góry niczego nie widać.

- Tak jest, sir. - Mężczyzna kiwnął głową. - A to tylko trzysta metrów od miejsca zbrodni.

- Co z helikopterami wiadomości? - zapytała Margaret. - Ktoś widział, jak przestawialiście tutaj ciężarówki?

- Nie proszę pani - odpowiedział kierowca. - Ogłosiliśmy alarm powietrzny, helikoptery musiały opuścić okolicę. Na dodatek ciężarówki dotarły do tego miejsca dość okrężną drogą. Upewniliśmy się, że nikt ich nie śledzi.

Zaparkowali w głębokim cieniu wiaduktu. Wokół wszędzie było pełno ośnieżonych śmieci, a po obu stronach wznosiły się skośne ściany wymalowane graffiti.

- Niezłe miejsce na wakacje - skomentował doktor Dan. - Powiniennem tu przywieźć moją dziewczynę. Zrobiłbym na niej wrażenie wyczuciem miejskiego stylu.

- Nie mamy czasu na żarty - stwierdziła Margaret. - Chodźmy do środka i jak najszybciej pobierzmy próbki od policjanta Sancheza i NN. Musimy zobaczyć, czy mają pełzacze, a jeśli tak, jak możemy je zabić.

Miała nadzieję, że jej pomysł się sprawdzi, że da radę uszkodzić cytoszkielet pełzaczy i zatrzymać nowe zakażenie. Nie zdołała uratować Betty Jewell. Straciła Amosa. Stała beczynną, gdy umierała Bernadette Smith.

I choć jeszcze go nie zobaczyła, absolutnie nie dopuści do śmierci tego policjanta.

## Perry dostaje broń

Perry podciągał się na gałęzi grubego dębu na podwórzu przed domem Jewellów.

Raz za razem, do góry, na dół, do góry, na dół. Nie oszukiwał, nie pozwalał, by ciało opadało pod własnym ciężarem: każde opuszczenie trwało dwa razy dłużej, niż podciągnięcie. Za każdym razem, gdy docierał do góry, w powietrzu przed nim krystalizowała się para z oddechu. Wszyscy narzekali na zimno, ale on je lubił. Znajdował się niedaleko miejsca, w którym dorastał. Właściwie nawet grał przeciwko temu miastu jeszcze w czasach liceum, Cheboygan Chiefs przeciwko Gaylord Blue Devils. Ta pogoda to nie było *zimno*, to był *dom*.

Podciągnięcie, opuszczenie. Popatrzył na linową huśtawkę nieco dalej na gałęzi. Drewnianą deskę pokrywała warstwa śniegu. Zastanawiał się, czy siadywała na niej Chelsea.

Może tata ją huśtał.

Może się śmiała.

Podciągnięcie, opuszczenie. Musiał ją znaleźć. Wiedział o tym, ale równocześnie nie chciał się do niej zbliżyć. Czuł jej moc, wykładniczo większą od pisklaków, które próbowały mu mówić, co ma robić. One stanowiły niedogodność, za to ona... działała na coś głęboko w jego duszy.

Nie wiedział, czemu jej rozkazy były inne, po prostu tak było. Jeśli zrobi się jeszcze potężniejsza, naprawdę nie wiedział, czy zdoła się jej oprzeć.

Skrzypienie kroków na śniegu. Rozpoznał ciężki rytm kulejącego mężczyzny.

- Dawsey - odezwał się Dew. - Mam coś dla ciebie.

- Spóźniłeś się na Gwiazdkę - rzucił Perry. Podciągnięcie, opuszczenie. - Próbujesz nadrobić stracony czas?

- Coś w tym stylu. Wiesz, czemu tu jestem.

- Za nic tam nie wejdę, więc zapomnij. - Podciągnięcie, opuszczenie.

- To się zrobiło zakażne - powiedział Dew.

Perry znieruchomiał w połowie pociągnięcia. Obejrzał się na Dewa, po czym opuścił się na ziemię. Zachwiał się lekko z powodu bólu w kolanie, ale się wyprostował i skrzyżował ręce.

Dew kiwnął głową.

- Znaleźli w Detroit jakiegoś niezidentyfikowanego faceta. Jego ciało znalazł glina. Dotknął go, po czym dał dodatni wynik na celulozę. Sytuacja robi się coraz gorsza. Musisz tam wejść i porozmawiać z pisklakami, może zobaczyć, czy znowu skontaktujesz się z Chelsea... Perry, musisz znaleźć bramę.

- Ja... nie mogę Dew. Nie mogę na nie patrzeć.

- Możesz - odpowiedział Dew. - Nie jestem zbyt uczuciowy, młody, ale muszę ci powiedzieć, że uważam cię za największego twardziela, jakiego kiedykolwiek poznałem. To, z czym walczyłeś, złamałoby gości takich jak Baum i Milner, pewnie nawet takich jak ja. Masz duszę wojownika, Perry. Zdobyłeś mój *szacunek*. Będę walczył z tobą przeciw temu łajnu i zginę, zanim pozwolę, by coś cię dorwało. Rozumiesz?

W oczach Dewa płonęły emocje. Perry też nie należał do uczuciowych, ale słowa Dewa sprawiły, że ścisnęło go w gardle. Bill Millner był jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek stanął tak przy nim. I ojciec Perry'ego, na swój chory sposób. Tyle że Bill nie żył. Tak samo jak tata.

- Widzę, że będziesz płakać jak mała dziewczynka - powiedział Dew - więc skierujmy tę rozmowę z tęczowego kursu i wróćmy do spraw praktycznych. Boisz się tego, do czego mogą cię zmusić te rzeczy, ale ja *wiem*, że możesz je pokonać. Do tego stopnia, że jestem gotów postawić na to swoje życie. No to masz swój prezent.

Dew sięgnął do kabury pod pachą, wyciągnął z niej czterdziestkę piątkę i podał ją Perry'emu rękojęścią do przodu.

Perry popatrzył na broń.

- Chcesz, żebym zastrzelił swój prezent?

- Nie, studenciku, *to* jest prezent.

Perry zapatrzył się na pistolet. Metal był miejscami porysowany, ale zdawał się promieniować dobrze naoliwioną miłością. To z tego pistoletu Dew postrzelił Perry'ego w ramię. I kolano.

To był pistolet, który Dew miał ze sobą w Wietnamie i każdego dnia od tamtej pory.

To nie był tylko *prezent*. Perry był bezwartościowym świrem, porażką. Nie zasługiwał na coś tak znaczącego.

- Nie mogę go przyjąć - oświadczył. - Masz go od jakichś trzydziestu lat.

- I chyba starczy. Teraz jest twój. Bez żadnych problemów wystrzelił tysiące naboí. Działanie gwarantowane. Więc weź ten pistolet, idź do środka i weź się w garść. Zrobisz to, co trzeba, niezależnie od tego, jak bardzo się boisz. A jeśli nie dasz rady wytrzymać ich gadania w głowie, pozwalam ci je wysłać z powrotem do piekła, z którego wylazły.

Perry wyciągnął rękę i wziął broń. Rękojęść była zimna, wytarta i gładka.

- Tak, jest naładowany - zapewnił Dew. Jednym palcem delikatnie skierował lufę w bok, by nie celowała w jego pierś. - Więc może spróbuj nie zabić mnie przez cholerny przypadek, dobra?

Perry się roześmiał. Zabrzmiało to dla niego bardzo dziwnie. Popatrzył na pistolet, potem na Dewa.

- Powtórzę to jeszcze raz - stwierdził Dew. - Rodzina Jewellów jest na wolności od przynajmniej trzydziestu sześciu godzin. Mogą być w dwóch tuzinach stanów, nawet w Kanadzie. Może już pękli, a ich pisklaki budują bramę nawet w tej chwili. Mamy również drugi szczep zakażenia, który może się okazać zaraźliwy. Choć sytuacja była paskudna, może zrobić się jeszcze gorsza, gdy tylko to coś zacznie się rozprzestrzeniać. Nie mamy już czasu. Musimy znaleźć Jewellów. Musimy znaleźć bramę. Więc zapytam cię o to jeszcze tylko jeden raz: wejdiesz do tej przyczepy i stawisz czoło tym paskudom, które wyruchały cię w dupę, czy chcesz uciec i ukrywać się przed sobą przez resztę życia? Masz mój szacunek, ale czas? Ten się już skończył. Albo podejmiesz decyzję, już teraz, albo odejdziesz i pozwolisz mi zrobić to, co trzeba.

Dew był po jego stronie, wspierał go, ale miał też zadanie do wykonania. Perry rozumiał, albo będzie częścią zespołu, albo zniknie. A w tej chwili Perry czuł, że może

faktycznie zasłużył na odrobinę szacunku. Znowu poczuł się człowiekiem i zawdzięczał to tylko jednej osobie.

Swojemu przyjacielowi, Dewowi Phillipsowi.

- Czego tylko potrzebujesz - oświadczył. - Będę cię wspierał, cokolwiek to znaczy. Chodźmy i załatwmy to.



## **Climer krzewi wiarę**

Szeregowy Dustin Climer wyrzwał z namiotu mieszczącego drugi pluton. W okolicy kręciło się trochę gości z kompanii Whiskey. Może wiedzieli, może przyszli tu na przespiesi.

Wkrótce dostaną swoją działkę.

Climer odwrócił się, by popatrzeć na swoje dzieło. Był spóźniony, ale za kilka godzin ostatni z Eksterminatorów będą gotowi do akcji. Większość została już skonwertowana, a pozostali właśnie spali, pocąc się i próbując szarpać, choć nie mogli się zbytnio ruszać, mając ręce i nogi przywiązane do prycz.

Obejrzał się w stronę szeregowych Pickensa i Abbasa. Byli na patrolu, zastępując dwóch chorych gości z kompanii Whiskey. Climer musiał czekać, aż wrócą. Gdy tylko wrócili, kazał im przyjść do namiotu, gdzie skoczyło na nich dziesięciu żołnierzy, kneblując ich i unieruchamiając.

Pickens mrużył oczy i mrugał, kręcił głową i próbował krzyknąć przez skarpetkę, którą wepchnięto mu do ust. Wyglądało na to, że właśnie dostał swoje całuski.

Abbas walczył jak lew. Nawet ze związanymi rękami i nogami, potrzeba było dwóch ludzi siedzących mu na piersi i nogach, żeby go opanować. Jednooki pielęgniarz Brad z uśmiechem schylił się nad głową Abbasa. Brad zbliżył się do pocałunku, a Abbas zaczął walczyć jeszcze intensywniej. Dwie pary rąk chwyciły mu głowę i rozwarły szczęki. Brad wyciągnął skarpetkę z ust Abbasa – związany mężczyzna wydał dziwny dźwięk, który może miał być krzykiem, a potem Brad przekazał mu miłość.

Mieli już wszystkich. Jeszcze pięć do siedmiu godzin i cała kompania X-Ray będzie gotowa, by służyć generałowi Ogdenowi i Chelsea.

## NN

Margaret Montoya miała pełne ręce roboty.

Na stole do autopsji leżał nagi NN z nadwagą i rudą brodą. Jego ciało upstrzone było krostami wielkości piłki golfowej. Kiedy weszła do kontenera trzy godziny temu, krosty były wyraźnie mniejsze, jednak choć był zdecydowanie martwy, lśniące, cienkie i wypełnione powietrzem narośla powoli się powiększały.

W czasie przygotowania do badania wiele krost pękło, zostawiając na skórze różowe wrzody. Każdy pęknięty pęcherz wyrzucał przypominającą pyłek substancję unoszącą się w powietrzu, pokrywającą ściany, blaty i sprzęt cienką warstwą szarego pyłu.

Patrząc na niego widziała ucieleśnienie swoich najczarniejszych obaw. Ten pył, ten *zakaźny* pył mógł być początkiem końca świata. Tylko dzięki niezwykłemu szczęściu Sanchez znalazł ciało, gdy wrzody były jeszcze bardzo małe, wielkości gumki na końcu ołówka. Tak małe krosty nie zawierały wielu zarodników, jednak im dłużej ciało leżało, tym większe robiły się pęcherze i tym więcej zawierały pyłku. Mogły urosnąć na tyle duże, że pęknięcie tylko jednego doprowadziłoby do zakażenia wielu osób. A gdyby któraś z nich przeniosła się do innej części miasta, albo nawet poza granice stanu, do innych miast... nie dałoby się już tego powstrzymać.

Gitsh mył podłogę, podczas gdy Marcus spryskiwał pozostałe powierzchnie stężonym roztworem ługu. Doktor Dan pobrał już próbki od nieprzytomnego Sancheza, teraz zajmował się pobieraniem ich z ciała nieznanego mężczyzny. Nachylił się blisko jego szyi, próbując wyciąć jeden z napełnionych powietrzem pęcherzy bez uszkodzenia go. Była to już trzecia próba, czego dowodem były dwie plamy szarego proszku na szybie jego hełmu.

NN dał dodatni wynik na celulozę w organizmie, a jednak jego ciało się nie rozkładało. Nie zachodziła apoptoza. Czemu? Choroba *wiedziała*. Wiedziała, że dysponuje nowym sposobem na rozprzestrzenianie się. Szybki rozkład już jej nie służył.

Margaret przeciągnęła osłoniętym rękawiczką palcem po powierzchni wózka do autopsji, a następnie podniosła palec przed siebie, przyglądając się szaremu proszkowi.

A właściwie szarym zarodnikom.

- Dan - odezwała się, wciąż patrząc na proszek na palcu. - Zbieraj dalej te próbki. Ja przeprowadzę trochę testów i zobaczę, co może zabić pełzacze, które pobrałeś od policjanta.

- Najpierw lepiej przyjrzyj się temu - odpowiedział Dan. Wyprostował się. Jedną rękę położył na szczęce mężczyzny i zaglądał do jego otwartych ust.

Margaret podeszła z drugiej strony stołu i zajrzała do środka. Język mężczyzny był nabrzmiały i pokryty małymi niebieskimi trójkątami.

- Język smerfa - skomentował Dan. - Nic więcej na jego ciele nie wygląda w ten sposób. Jak myślisz, co to?

Margaret wzięła skalpel i pojemnik na próbki.

- Myślę - powiedziała, odcinając mały kawałek języka - że patrzymy na wektor zakażenia.

- A co z tymi pęcherzami?

- Pęcherze powstają po śmierci. Język musiał służyć do przenoszenia choroby za życia gospodarza.

- Uch - skomentował Dan. - Myślisz, że do tego *lizali* ofiary?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Będziemy musieli zobaczyć, czy coś takiego powstanie też u policjanta. Jeśli tak, będziemy wiedzieć, że mamy aktywny wektor przenoszący się między gospodarzami. Marcus, pomóż Danowi. Gitsh, myj i wycieraj wszystko, co możesz. Clarence, jesteś w kombinezonie?

- Tak jest, proszę pani - usłyszała w słuchawkach kombinezonu. - Jestem w przyczepie B, z Sanchezem.

- Co z nim?

- Odzyskał przytomność, ale wciąż tak jakby nie do końca. Narzeka na gorączkę i ból ciała. Nie chce być unieruchomiony, ale rozumie. Myślę, że jak długo będę tu z nim, jakoś to zniesie. Potrzebujesz jeszcze czegoś ode mnie?

- Niczego od ciebie nie chcę - odpowiedziała Margaret. - Zostań tam i nie wchodź mi w drogę.

Nie wybaczyła mu za Bernadette. I nie zamierzała. Clarence Otto był taki sam, jak cała reszta tych bezdusznych rzeźników.

Dew, Murray, nawet Perry. Zajmowali się śmiercią, a Clarence był jednym z nich. Margaret interesowało życie.

I to właśnie zamierzała ofiarować policjantowi o nazwisku Carmen Sanchez.

## Perry pociąga za spust

Zanim weszli do środka, Dew dał Perry'emu kaburę na czterdziestkę piątkę. Oprócz tego wręczył mu cztery pełne magazynki, które można było schować do torebek z materiału przyczepionych do taśm kabury. Ponieważ każdy magazynek mieścił siedem nabołów, miał łącznie trzydzieści pięć pocisków. Mimo takiej ilości amunicji wcale nie czuł się bezpieczny.

Perry wszedł do przyczepy B, mając Dewa tuż za sobą. Obaj mieli na sobie kombinezony ochrony biologicznej. Perry miał wrażenie, że lada chwila się udusi. Nadeszła chwila jego dramatycznego starcia z potworami: miał wrażenie, że przyczepa powinna być słabo oświetlona, powinien tam panować półmrok, może jakieś migające światło w stylu filmów fantastycznych, jednak wszystko było jaskrawe i białe jak cholera. Pierwsze co zobaczył, to pusta cela. Gitsh i Marcus musieli ją wyszorować, bo znikła cała krew Bernadette.

Perry obrócił się w lewo, w stronę tyłu i szafki na zwłoki. Na podłodze przed szafką stały trzy niewielkie szklane klatki, wyglądające jak sześciennie akwaria o boku długości sześćdziesięciu centymetrów.

Zobaczył je w środku klatek.

One zobaczyły jego.

**SKURWYSYN.**

To właśnie one rozerwałyby jego ciało, gdyby wcześniej ich nie zniszczył, wycinając Siedmiu Wspaniałych. Zabiłyby go tak samo, jak zabiły Tłustą Patty. Znalazł się wtedy o włos od śmierci. Dygotał. Zmusił się, by spojrzeć na czterdziestkę piątkę, by się upewnić, że jest zabezpieczona: trząsł się tak bardzo, że mógłby zupełnie nieświadomie nacisnąć spust.

- Spokojnie, młody - rzucił Dew, stając po lewej stronie Perry'ego, blisko ręki od broni. - Oddychaj. Nie mogą wyjść z tych klatek. Panujesz nad sytuacją.

**ZABIJEMY CIĘ.**

Pisklaki urosły znacznie od czasu, gdy poprzedniego dnia wyrwały się z ciała Bernadette Smith. Ich trójkątne ciała miały wtedy jakieś dwa i pół-trzy centymetry od góry do dołu, teraz miały ponad trzydzieści. Każda mackowata noga miała grubość ręki dziecka, była długa, elastyczna, pełna siły i szybkości.

**ZABIĆ ZABIĆ ZABIĆZABIĆZABIĆ.**

Ich oczy *patrzyły* na niego, całe czarne, lśniące i pełne nienawiści, po jednym pionowym oku na każdym z trzech boków piramid.

Zacisnął dłoń na rękojeści broni.

**TAAAAAK, UŻYJ BRONI. ZABIJ TEGO CZŁOWIEKA.**

- Słyszysz je, Perry?

Perry przytaknął.

**ZASTRZEL GO. ZASTRZEL GO, ZASTRZEL ZASTRZELZASTRZEL.**

Ich słowa nic nie znaczyły, bzdurny bełkot czystego zła. Pisklaki były tylko robotnikami, jak mrówki, to Chelsea była królową.

- Gdzie ona jest? - zapytał.

Cisza.

- Powiedzcie Chelsea, że po nią idę - oświadczył Perry. - Powiedzcie jej, że jej pomogę.

Wciąż czuł tę szarość, rozmytą barierę, choć pisklaki słyszał bardzo wyraźnie. Ale *tylko* je. Poza nimi nie słyszał niczego. Może zdoła je rozzłościć, zmusić je do kontaktu z Chelsea. Były jak anteny łączące z większą siecią, sposobem na przebicie się przez zagłuszanie, gdyby tylko Chelsea zrobiła odpowiedni wysiłek.

**ON JEST COLUMBO, ZABIJ GO, ZABIJ GO ZABIJZABIJZABIJJJJ.**

- Chcą, żebym cię zabił, Dew - powiedział Perry. - Może się przywitasz?

- Nazywam się Dew Phillips. Zostałem upoważniony, by przemawiać w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wstrzymajcie wrogie działania, a będziemy mogli negocjować. Czego chcecie?

Pisklaki przestały wpatrywać się w Perry'ego. Teraz przeniosły spojrzenie na Dewa.

**ZABIJ GO.**

- Co powiedziały?

- Wciąż chcą, żebym cię zabił - wyjaśnił Perry. - Obawiam się, że ich słownictwo nie jest zbyt rozbudowane.

Dew kiwnął głową.

- Po pierwsze, wredne dranie, jesteście najbrzydszymi kupami gówna, jakie widziałem w życiu. - Jego głos zdradzał emocje, a lekka chryпка dodawała mu szorstkości. - Nie wiem, czy potraficie myśleć samodzielnie, gnidy, ale powiem wam, że moja cierpliwość już się skończyła. Ostatnia szansa... Czego chcecie?

**CHCEMY CIĘ ZABIĆ. CHCEMY ZABIĆ WAS WSZYSTKICH. ZABIJ COLUMBO, ZABIJ GO JUŻ!!!**

- Ciągle to samo? - zapytał Dew.

Perry przytaknął.

- Zastrzel jednego - polecił Dew.

Perry obrócił się do niego z szeroko otwartymi oczami.

- Co?

- Zastrzel jednego z tych pieprzonych gnojków.

**NIE! ZASTRZEL GO, ZASTRZELZASTRZELZASTRZEL ZASTRZEL SIEBIE ZRÓB TOZRÓB!**

- Perry, musisz pokazać tym paskudom, kto tu rządzi - stwierdził Dew. - Musisz im pokazać trochę *dyscypliny*.

Tak. *Dyscyplina*. Te paskudy zadarły z Dawseyem, a z Dawseyem się *nie* zadziera. Perry uniósł broń. Zauważył, że jego ręka przestała się trząść.

**NIEEEEEEEEEEE!**

Opróżnił magazynek w środkową klatkę. Kule przebiły się przez grube szkło, zostawiając na nim pajęczynę pęknięć, po czym rozerwały elastyczne ciało pisklaka. Siedem pocisków kaliber czterdzieści pięć, ponad centymetr średnicy, same bezpośrednie trafienia. Pisklak wił się przez chwilę, drgając spazmatycznie pośród rozprysków fioletowego płynu, po czym znieruchomiał.

Perry poczuł w piersi zastrzyk adrenaliny, mrowienie w palcach dłoni i stóp. Przypominało to zmiżdżenie rozgrywającego. O Boże, jakie to było *wspaniałe* uczucie.

Dwa pozostałe pisklaki rzucały się wewnątrz klatek, próbując uciekać. Nieustannie skakały na szkło, machając mackowatymi nogami tak szybko, że ledwie było widać ich obrysy.

- Jak myślisz, młody? - zapytał Dew. - Czujesz, że kontrolujesz sytuację?

Perry kiwnął głową i się uśmiechnął.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to wspaniałe uczucie.

- Dajmy im chwilę na zastanowienie się nad tym, co się stało - zaproponował Dew. - Wrócimy później i zobaczymy, czy uda się nam coś osiągnąć.

- Będziemy mogli zabić jeszcze jednego?

Dew wzruszył ramionami.

- Można mieć nadzieję. Ale myślę, że to już dość osobistego wzrostu jak na jeden dzień. Chodź, zasłużyłeś sobie na piwo.

## Dmuchawce

Margaret wpatrywała się w monitor zamocowany na ścianie wąskiego pomieszczenia do autopsji. Ekran wyświetlał obrazy z dwóch mikroskopów: po prawej stronie z proszkiem z jednego z pęcherzy nieznanego mężczyzny, po lewej z próbką tkanki z dłoni policjanta Sancheza.

- O rety - rzucił Dan. - Ale to popieprzone.

W próbce pobranej od Sancheza widać było ruch podobny do tego, który widziała w poczerniałej bliźnie na twarzy Betty Jewell, zanim ta zabiła Amosa. Wyglądało to jak ruchoma, pełzająca komórka nerwowa. Nie dało się stwierdzić, ile tych stworzeń było już w organizmie Sancheza, pełznąc do jego mózgu. Może już tam dotarły.

Próbki z pęcherzy Jenkinsa wyglądały podobnie, jednak różniły się w jednym kluczowym aspekcie. O ile pełznająca komórka nerwowa wyglądała na elastyczną i gładką, pyłek z nieznanego sprawiał wrażenie puchatego. Poruszał się tylko po wylądowaniu na czymś i robił to z niezgrabną sztywnością świadczącą o jakiegoś rodzaju wewnętrznym szkielecie.

Pod dużym powiększeniem zobaczyła powód tej puchatości - setki drobnych, przypominających rzęski włosków sterczących ze sztywnych dendrytów. Przypominało to puchate nasiona dmuchawca.

- A więc tak się to rozprzestrzenia - rzuciła. - Leci z wiatrem do czasu, aż wyląduje na gospodarzu.

- A wtedy się w jakiś sposób przebija przez skórę - dodał Dan. - Pod skórą staje się pełzaczem, takim jak ten po lewej. Dobry Boże, jaki to może mieć zasięg?

Margaret nie chciała się zastanawiać nad odpowiedzią, ale i tak już ją знаła.

- To zależy od wiatru - stwierdziła. Sama myśl, że o różnicy między miejscowym zakażeniem a pandemią może decydować jedynie solidny, silny wiatr...

Żałowała, że nie ma tu z nią Amosa. Był parazytologiem, mógłby szybko stworzyć jakieś robocze teorie dotyczące zasięgu i mechaniki czynnika zakaźnego. Jednak Amosa już nie było, właśnie z powodu tych rzeczy, które ruszały się na ekranie.

- Zróbmy teraz testy - zadecydowała. - Daj mi wszystkie próbki.

Dan podeszedł do ekranu ściennego i wpisał polecenia. Obraz na ekranie zmienił się z zestawu dwóch wyświetlanych obok siebie obrazów na dwadzieścia pięć kwadratów z dwoma zestawami każdy, pięć rzędów na pięć kolumn.

Zidentyfikowali dwadzieścia pięć możliwych leków, które potencjalnie mogły zabić pełzacze. Teraz mogli wypróbować wszystkie dwadzieścia pięć na pełzaczach i nasionach dmuchawca równocześnie. Różne roztwory żrące, żar, zimno, antybiotyki, leukocyty Sancheza i sześć związków chemicznych, które mogły niszczyć struktury cytoszkieletu.

Gdzieś pośród tych dwudziestu pięciu opcji krył się sposób na uratowanie Sancheza i powstrzymanie tego paskudztwa.

Musiał się kryć.

- No dobra - rzuciła Margaret. - Zobaczmy, co zabije te małe dranie.





## Ogden widzi przyczepy

Charlie Ogden obserwował ekran małego telewizora w kamperze. Każde słowo komentatora zdawało się zwiększać jego gniew i pragnienie zabijania wrogów Boga. Gdyby tylko przybył wcześniej, powstrzymał Jenkinsa przed pójściem do McDonalda.

- To zdjęcia z dzisiejszego ranka - powiedział prezenter. - Policja badała dwa ciała znalezione na Orleans Street. Dostaliśmy niepotwierdzony raport, że jedno lub oba z nich były zakażone bakterią zjadającą ciało, którą znaleziono w kilku miejscach w Michigan, włącznie z Gaylord, gdzie bakteria spowodowała przynajmniej dwa zgony. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego podniosła stan alarmu do poziomu pomarańczowego, choć twierdzą przy tym, że brak dowodów na udział terrorystów. Wciąż obowiązuje zakaz lotów nad Detroit i będziemy mogli przekazać państwu obrazy na żywo z powietrza, gdy tylko zakaz lotów zostanie cofnięty.

Ogden wyłączył dźwięk i tylko patrzył na obraz Orleans Street, tuziny policjantów, białe furgonetki CDC i dwa ciągniki z kontenerami na przyczepach.

W jego głowie rozbrzmiał słodki głos Chelsea: *Czemu tak bardzo cię to złości?*

Wskazał na ekran, robiąc palcem tłustą plamę na szkle.

- Te dwie ciężarówki - wyjaśnił Ogden. - To znaczy, że znaleźli pana Jenkinsa. Ludzie w tych przyczepach, Chelsea... oni pracują dla Diabła.

*Przyjdą tu po nas?*

Jeszcze nie. Nie mogli. Wysłanie wojska do miasteczka to jedno, duże miasto to zupełnie co innego.

- Myślę, że mamy dość czasu - stwierdził Ogden. - Po prostu musimy dopilnować przestrzegania harmonogramu. Jesteś pewna, że brama otworzy się właśnie wtedy?

*Gdy duża ręka Mickey będzie na trójce, a mała ręka na jedynce.*

Trzynasta piętnaście. Jeszcze tylko siedemnaście godzin.

*To miejsce jest tylko kilka przecznic stąd. Jeśli te przyczepy cię tak złością, zniszcz je.*

- Już je stamtąd zabrali - odpowiedział Ogden. - Wysłałem Mazagattiego w cywilnym ubraniu, nie ma ich. Muszą być gdzieś tu niedaleko, ale nie możemy wysłać ludzi na poszukiwanie. To zbyt ryzykowne, a im dłużej zostaniemy niezauważeni, tym lepiej.

*Jesteś taki mądry, generale.*

Poczuł, że się czerwieni.

- Dziękuję, Chelsea.

*Ale jutro, gdy tylko się to zacznie, powinniśmy znaleźć te przyczepy i zabić ludzi w środku.*

Ogden kiwnął głową.

- Zdecydowanie, Chelsea. Wyślę sierżanta majora Mazagattiego i moją straż przyboczną, żeby tego dopilnowali. Tylko najpierw musimy je znaleźć.

## Mach dziesięć

Kapitan Preston „P.J.” Lindeman poczuł, jak olbrzymie przyspieszenie wgniata go w fotel i zaczął się zastanawiać, czy wybuchnie mu tyłek.

Oczywiście nie tyłek jako taki, tylko myśliwiec hiperdźwiękowy HTV-6Xb, w którym aktualnie siedział jego tyłek, ten sam myśliwiec, który rozpędził go właśnie do prędkości Mach 10.

*Pieprzone Mach dziesięć.*

*Ponad dziesięć tysięcy kilometrów na godzinę.*

Zmiażdżył tym samym oficjalny rekord szybkości dla lotu załogowego, osiągnięty w 1967 roku przez majora Williama J. „Pete’a” Knighta, który w X-14A-2 uzyskał Mach 6,7. Możesz mi pomachać, Pete.

Lot Knighta był bardzo różny od obecnego. Po pierwsze, X-15 Knighta został zrzucony z B-52, podczas gdy HTV-6Xb Lindemana wystartował o własnych siłach z bazy powietrznej w Groom Lake w Nowadzie. X-15 Knighta był w zasadzie rakieta ze skrzydłami i kokpitem, natomiast samolot Lindemana stosował dość standardowe silniki turboodrzutowe do startu i lądowania, w połączeniu z silnikiem typu scramjet do osiągnięcia tak olbrzymich prędkości. Najważniejsza różnica? Samolot Knighta zbudowano wyłącznie z myślą o prędkości. Nie mógł walczyć.

HTV-6Xb stworzono do walki.

Znany pod przydomkiem „Osa” HTV-6Xb był najwyższej światowej klasy bronią przewagi powietrznej. Świat oczywiście nie wiedział o jego istnieniu, jednak to nie zmieniało faktów. Osa mogła osiągnąć dowolny cel lub dowolną przestrzeń powietrzną szybciej, niż cokolwiek innego na planecie.

Ta konkretna misja nie wymagała wielkich umiejętności. Lindeman wystartował kierując się na północny wschód, wzbił się na 3000 metrów i zawrócił powolnym łukiem, który skierował dziób maszyny w stronę South Bend w Indianie. Konwencjonalne silniki odrzutowe rozpędziły Osę do prędkości Mach 2. Po jej osiągnięciu wloty powietrza silników zamknęły się, kierując wlatujące powietrze do silników scramjet. Turbiny trzeba było wyłączyć, ponieważ po osiągnięciu około Mach 3 tarcie powietrza doprowadziłyby do stopienia łopatek. Jednak wlot silnika zbudowano jak lejek – nie miał żadnych ruchomych części. Powietrze wlatywało do środka z prędkością ponaddźwiękową, mieszało się z paliwem gazowym i zapalało w kontrolowanych warunkach, rozpędzając samolot do Mach 10.

W rekordowym locie Lindeman dotarł z Groom Lake do South Bend w Indianie w piętnaście minut. Ponad 2700 kilometrów. *W piętnaście minut.*

W dwunastej minucie lotu Lindeman wystrzelił raketę przeciwsatelitarną ASM-157. Prędkość z którą leciał nie była nawet połową maksymalnej szybkości ASM-157, która osiągnęła Mach 22,7 – 24 000 kilometrów na godzinę.

Samoloty zwykle nie zbliżały się nawet do prędkości Mach 5, nie mówiąc już o 10. Dzięki temu ktokolwiek obserwowałby niebo pod kątem niezwykłych lotów, musiał zauważyć Osę. Trudno było przeoczyć coś takiego.

I dokładnie o to chodziło.



Nie było mowy, by satelita mógł śledzić każdy samolot nad Ameryką Północną. Nie potrafił nawet śledzić wszystkich samolotów wojskowych w tym rejonie – było ich po prostu zbyt wiele. Jednak zwracał uwagę na określone bazy wojskowe, kiedy więc HTV-6Xb wystartował z Groom Lake, satelita zarejestrował jego lot i przydzielił podjednostkę do śledzenia kierunku.

Kiedy HTV-5Xb zawrócił i przyspieszył powyżej Mach 1, to jeszcze nie zwróciło głównej uwagi satelity. Przy prędkości Mach 2 satelita oznaczył obiekt jako potencjalne zagrożenie. Do czasu osiągnięcia prędkości Mach 5, przy locie prosto w stronę South Bed, satelita wiedział, że jest atakowany. Samolot wystrzelił raketę w odległości zaledwie 560 kilometrów.

Przy prędkości Mach 22 pokonanie takiej odległości – równej drodze z San Francisco do Los Angeles – wymaga trochę poniżej półtorej minuty.

Satelita sprawdził protokoły, szukając w drzewie decyzyjnym odpowiedniej reakcji. A w czasie, gdy to robił, wykrył kolejne zagrożenie.



Satelitę NFIRE zaprojektowano do dwóch celów. Pierwszy polegał na trudnym zadaniu śledzenia międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Drugie było jeszcze bardziej złożone – miał zestrzeliwać te pociski.

NFIRE krążył na wysokości 386 kilometrów. Mierzył w szczytową partię lotu raket międzykontynentalnych, jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów nad Ziemią. Część satelity NFIRE, która faktycznie miała niszczyć rakiety ICBM, była określana jako „pojazd niszczący” i była małą raketą, która po zbliżeniu się do celu uwalniała gęstą chmurę odłamków. Ujmując rzecz prosto, pojazd niszczący był zaawansowanym technicznie, wartym 560 milionów dolarów orbitalnym granatem ręcznym.

Niestety pewni senatorowie sprzeciwili się umieszczeniu pojazdu niszczącego w satelicie NFIRE. Według nich takie działanie rozpoczęłoby nowy wyścig zbrojeń. Świat mógł sobie doskonale poradzić bez umieszczania broni w kosmosie.

Według obrońców projektu Kongres stanowił bandę krótkowzrocznych, prymitywnych hipisów, którzy zasługiwali na radioaktywną śmierć, jaką z pewnością na wszystkich ściągną. Oczywiście mówili to tylko między sobą. *Publicznie* oświadczyli, że pojazd niszczący miał zasięg sześciu kilometrów, co było odległością mikroskopijną wobec bezmiaru kosmosu, w związku z czym pojazd mógł zostać użyty wyłącznie do zestrzelenia rakiety wymierzonej bezpośrednio w NFIRE. To tylko samoobrona, a przecież to nie może być nic złego, prawda?

Kongresu to nie obchodziło. Senatorowie uważali, że instalacja pojazdu niszczącego oznaczała przekroczenie pewnej granicy. W związku z tym, w celu zabezpieczenia funduszy NASA i MDA (Agencja Obrony Raketowej, ang. *Missile Defense Agency*)

zgodziły się usunąć pojazd i zamiast niego zainstalować terminal do łączności laserowej, określane również LCT.

Rzecz w tym, że wojskowym inżynierom udało się po cichu upchać w satelicie *oba* urządzenia: zarówno pojazd niszczący, jak i LCT. Kongres i opinia publiczna dowiedzieli się więc, że satelita NFIRE służy wyłącznie do celów badawczych i nie zawiera pojazdu niszczącego.

Tak brzmiało pierwsze kłamstwo.

Drugim był sześciokilometrowy zasięg. Z tych dwóch kłamstw to mogło być nawet większe, bo tak naprawdę zasięg bojowy NFIRE można było mierzyć w tysiącach kilometrów. Dzięki danym triangulacyjnym dostarczanym z NASA, NFIRE mógł zarówno wycelować, jak i zaatakować satelitę.

Dokładnie dziesięć sekund po tym, jak P.J. Lindeman wystrzelił raketę ASM-157, satelita NFIRE odpalił pojazd niszczący.



Podstawowe zagrożenie: rakietę wystrzeloną z odrzutowca lecącego z prędkością Mach 10. Satelita śledził trajektorię pocisku, po czym wystrzelił strumień lecących z naddźwiękową prędkością kulek ze stopu irydu. Kulki utworzyły gęstą chmurę mknącą z prędkością kilku tysięcy kilometrów na godzinę. Tarcie powietrza roztopiło je i do czasu przecięcia trajektorii rakiety stały się kroplami gęstego, stopionego metalu, które przeleciały przez ASM-157 jak gruby śrut przez papier ryżowy. Pocisk rozpadł się na dziesiątki bezużytecznych kawałków.

Satelita przełączył system namierzania na pojazd niszczący NFIRE. I w tej samej chwili czujniki temperatury zarejestrowały nagle punkt na powierzchni satelity, którego temperatura błyskawicznie wzrosła ze standardowej do pięciuset stopni, potem do tysiąca i rosła dalej...



Cztery godziny wcześniej z bazy lotniczej Edwards w Kalifornii wystartował silnie zmodyfikowany boeing 747-400F. Plan lotu zakładał zwykły przelot z Edwards do bazy powietrznej Langley w pobliżu Hampton w Wirginii. W przeciwieństwie do HTV-6Xb, ten 747 leciał ze standardową prędkością. Satelita w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Po prostu kolejny duży samolot transportowy, kolejny lot krajowy.

Jednak ten konkretny 747 o kryptonimie YAL-2A miał na pokładzie laser YAL-2. Laser zaprojektowano do zestrzeliwania nadlatujących pocisków, włącznie z wielogłowicowymi raketami ICBM z głowicami jądrowymi, oraz dowolnych rodzajów pocisków balistycznych. Stanowiący podstawę systemu chemiczny laser tlenowo-jodowy COIL teoretycznie można było skierować przeciwko wrogim bombowcom, raketom samosterującym... a nawet przeciwko satelitom na niskiej orbicie.

Trzydzieści sekund przed wystrzeleniem rakiety antysatelitarnej przez P.J. Lindemana, załoga YAL-2A aktywowała laser COIL przez połączenie gazowego chloru, nadtlenu wodoru i chlorku potasu, prowadząc do powstania cząsteczek tlenu o bardzo

wysokiej energii. Azot pod ciśnieniem przepchnął następnie tlen przez mgłę cząsteczek jodu, przenosząc energię z atomów tlenu na jod. Wzbudzone atomy jodu uwolniły nadmiar energii w postaci silnego światła, generując promieniowanie podczerwone.

Światło odbijało się między lustrami, wymuszając uwolnienie energii kolejnych atomów jodu w formie fotonów, co prowadziło do emisji laserowej. Następnie wiązka światła dostała się do komory, w której lustro błyskawicznie modyfikowały jej kierunek i skupienie, dostosowując się do ruchu samolotu i warunków atmosferycznych. W końcu wiązka docierała do obrotowej kopuły na dziobie YAL-2A. Kopuła ogniskowała wiązkę tak, że trafiając w satelitę tworzyła maleńki, skupiony kolec olbrzymiej energii.



W ciągu trzech sekund drobny punkt na kadłubie satelity rozgrzał się do prawie trzech tysięcy stopni. Satelita zrezygnował z wszelkich obliczeń i ruszył, zwiększając wysokość i uciekając na północ. Na wysokości siedemdziesięciu pięciu kilometrów wiązka YAL-2 znów namierzyła cel, tym razem trafiając inny punkt na jego kadłubie. Nastąpiła trwająca cztery sekundy zabawa w kotka i myszkę, podczas której satelita pięć razy zmieniał kierunek i wspinał się na wysokość stu pięćdziesięciu kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Po każdym zwrocie systemy celownicze YAL-2 natychmiast kompensowały i namierzały cel, choć tylko na chwilę za każdym razem i zawsze w innym miejscu, ponieważ satelita obracał się, by rozproszyć trafienia.



Pojazd niszczący satelity NFIRE śledził uniki wrogiego satelity. Dzięki punktowi o temperaturze trzech tysięcy stopni na kadłubie, zdolność satelity do zaginania światła stała się bezużyteczna – stał się bardzo jasnym celem dla czujników podczerwieni. Pojazd niszczący zarejestrował nagłe przyspieszenie i wzrost pułapu satelity, skorygował kurs, po czym odpalił głowicę bojową, która uwolniła rozszerzającą się chmurę szrapneli lecących z prędkością 10 000 metrów na sekundę.

Satelita wciąż przyspieszał, gdy pojazd niszczący trafił go zaawansowanym technologicznie odpowiednikiem strzału ze śrutówki.

Satelitę przebiły dziesiątki kulek ze zubożonego uranu, rozrywając jego delikatne wnętrze, włącznie z systemem komputerowym, który sprawił tyle kłopotów ludzkości. Liczne trafienia w jednej chwili wyłączyły satelitę z działania. Laser YAL-2 ponownie namierzył cel i zaczął rozgrzewać kolejny punkt, jednak tym razem obiekt nie wykonywał żadnych ruchów.

Jego desperackie uniki przeniosły go nad jezioro Michigan. Popękany i strzaskany, będący już prawie pustą powłoką satelita zaczął spadać. Po osiągnięciu maksymalnej prędkości jego powierzchnia rozgrzała się do tysiąca stopni. Tarcie powietrza atakowało pęknięcia, odrywając kawałki od niegdyś nieskazitelnego kadłuba.

Obiekt się nie topił. Choć odpadło od niego kilka części, nie zostawiał po sobie typowego dla meteorytów warkocza dymu. Po prostu *spadał*.

Stupięcdziesięciokilogramowa maszyna uderzyła w powierzchnię jeziora Michigan z prędkością ponad tysiąc pięciuset kilometrów na godzinę.

Rozprysk był dość duży.

Siła uderzenia rozbiła pozostałości satelity, rozrywając go na setki części, które rozleciały się i zatoniły z sykiem, chłodzone przez wodę.

Satelita zginął, choć tak naprawdę i tak nigdy nie był żywy.



Perry znieruchomiał ze szklanką przy ustach.

Szarość znikła.

Po raz pierwszy, od kiedy trójkąty zaczęły mówić do niego kilka miesięcy temu, jego umysł był... czysty.

Tak bardzo skupił się na nowym wrażeniu, a raczej braku odczucia, że nawet nie zauważył piwa wylewającego się kącikiem jego ust i spływającego po brodzie.

- Młody - rzucił Dew. - Mam ci przynieść śliniaczek?

Perry odstawił piwo na blat w pokoiku komputerowym i nieobecnym ruchem starł piwo z brody wierzchem dłoni.

- Zagłuszanie znikło - oświadczył. - Cokolwiek mnie blokowało, znikło.

Dew klasnął.

- Fantastycznie! To gdzie jest następny gospodarz? W którą stronę?

Perry zamknął oczy, próbując usłyszeć, próbując *poczuć*. Problem w tym, że niczego nie czuł.

- No nie wiem - stwierdził. - Niczego nie odbieram. Zupełnie niczego.

Zadzwoił telefon satelitarny Dewa. Mężczyzna wyciągnął go z kieszeni, odebrał i zaczął słuchać.

- Tak? - odpowiedział po kilku sekundach. - Bez jaj? Dawsey powiedział, że znikło zagłuszanie. Będziemy cię informować.

Rozłączył się.

- To był Murray - wyjaśnił. - Cholerny drań zaplanował fajerwerki, nie mówiąc mi o tym ani słowa. Znaleźli tego tajemniczego satelitę i go zestrzelili. Przed chwilą, a więc to ten satelita musiał cię blokować.

Perry się uśmiechnął i chwycił Dewa za ramię.

- Nie słyszę *niczego*, stary! Dew, to chyba znaczy... *To wszystko może być już skończone! Wiesz co? Pieprzyć ich powrót rozgrywającego, bo wygraliśmy!*



Chelsea coś poczuła. A dokładniej, *przestała* czuć. Wrażenie było takie, jakby coś dzwoniło jej w uszach, cichy dźwięk, który był tam tak długo, że nawet nie zauważyła do chwili, aż zniknął.

*Chauncey?*

Bez odpowiedzi.

Zasłabła. Osunęła się na podłogę kampera. Co się dzieje? Nie mogła utrzymać połączeń. Jej sieć zaczęła się rozpadać, gasnąć.

Zrobiło się jej czarno przed oczami.

Chelsea Jewell zemdląca.



Stojący w różnych miejscach magazynu żołnierze Ogdena zachwiali się i położyli się na ziemi. On sam poczuł pustkę, dwuwarstwową nicłość, przy czym druga z nich była znacznie potężniejsza od pierwszej.

Usiadł. Poczł kawałek cegły wbijający mu się w pośladek. Jego ludzie kolejno tracili przytomność, jak pod wpływem gazu.

Pisklaki zachowywały się normalnie. Dalej budowały.

Ogden przyglądał im się przez ostatnie kilka sekund przytomności, mając nadzieję, że zdołają samodzielnie ukończyć bramę.



Margaret wpatrywała się w ekran w pokoju do autopsji i uśmiechała się z ponurą satysfakcją. Ekran podzielono na dwadzieścia pięć części, ale jej uwagę przyciągał tylko jeden z kwadratów, wyświetlający obok siebie obrazy pełzacza i jednego z pyłków wyglądających jak puchate nasionko dmuchawca.

U góry kwadratu znajdował się napis LATRUNKULINA A. Toksyna produkowana przez grupę gąbek żyjących w Morzu Czerwonym. Toksyna niszcząca włókna cytoszkieletu. Zdumiewające, gdy pomyśleć, że jedno słowo może sprawić olbrzymią różnicę w tej bitwie.

Latrunkulina. *Uwielbiała* to słowo.

Ponieważ pod tym słowem widziała, jak obie obce struktury rozpadają się na coraz mniejsze kawałki. Długie, mocne, przypominające mięśnie włókna drgały, po czym zmieniały się w bezwładne, pozbawione życia woreczki z płynem. Nasiona dmuchawca wyglądały jeszcze ciekawiej – latrunkulina prowadziła najpierw do rozpadu sztywnej struktury, a ostatecznie zmieniała ją w płyn.

– Mam cię, skurwysynu – wyszeptała Margaret.

Dotąd jeszcze nigdy nie chciała nikogo zabić. Powstrzymywała chorobę, ponieważ w ten sposób ratowała życie – niszczenie choroby było tylko elementem tego procesu. Teraz było inaczej. Chciała *śmierci* choroby, jej zniszczenia, i to całej: pełzaczy, nasion dmuchawca, trójkątów i pisklaków. Chciała zabić każdy jej element w najbardziej bolesny z możliwych sposobów. Przyglądanie się, jak elementy przeciwnika rozpadają się na ekranie, napełniało jej duszę mroczną satysfakcją. Zastanawiała się, czy tak właśnie Perry czuł się, zabijając zakażonych.

– Hej, Margaret – zawołał Dan. – Zrobiłaś coś z próbkami?

– Tak – Margaret odpowiedziała, nie odrywając wzroku od pięknego obrazu martwego pełzacza. – Dałam im uroczą latrunkulinę, która je zabiła.

– Nie, nie o tym mówię – wyjaśnił Dan. – Mam na myśli *wszystkie*.

Cofnęła się o krok i popatrzyła na cały ekran. We wszystkich dwudziestu pięciu próbkach ustał wszelki ruch. Udało im się zabić wiele pełzaczy, ale jeszcze kilka chwil temu ponad połowa pól wykazywała aktywność. Teraz nie widziała żadnego ruchu.

- Gitsh - odezwała się Margaret. - Sprawdź ten monitor. Obraz znieruchomiał czy co?

Gitsh popatrzył na ekran, po czym przysunął się do komputera przekazującego obraz. Kiedy go sprawdzał, spojrzenie Margaret przejechało po wszystkich dwudziestu pięciu parach próbek testowych. U góry każdego pola znajdował się napis. Słowa czerwonym tekstem oznaczały brak działania na pełzacze, słowa na zielono oznaczały skuteczne trucizny.

Zabijał je chlor, i to w stężeniach znacznie niższych niż rozpylany przez dysze odkazające Margo Mobilu. Właściwie natychmiast zabijał je zwykły ług. Obie te substancje były świetne do odkazania, ale nie nadawały się do stosowania u żywej ofiary. Niestety antybiotyki nie wykazywały żadnego skutku, a system odpornościowy Sancheza całkowicie ignorował napastników.

Nie działało też obniżenie temperatury - mogło się sprawdzić zamrażanie, ale to zabiłoby także gospodarza. Zabijała je temperatura powyżej 90 stopni Celsjusza, ale to także nie było rozwiązaniem, jako że gospodarz także nie przeżyłby takiej kuracji. Z drugiej strony był to kolejny sposób na sterylizację obszaru wystawionego na zarodniki o kształcie nasion dmuchawca.

- Obraz idzie na żywo - oświadczył Gitsh. Aby tego dowieść, przełączył obraz z dwudziestu małych kwadratów na jeden duży, zawierający pełzacza. Wsunął igłę do próbki. Na ekranie zobaczyła powiększony setki razy czubek igły. Wyglądało to jak olbrzymi miecz dżgający hydrę.

- No proszę - skomentowała Margaret. - Wygląda to tak, jakby się po prostu wyłączyły.

- Poddaly się - rzucił Dan. - Zobaczyły nową, niemożliwie wkurzoną Margaret i uległy w panice.

W zamocowanej w uchu słuchawce rozległ się pełen emocji głos Clarence'a.

- Margo! Murray znalazł satelitę! Chwilę temu go zaatakowali i myślą, że go zestrzelili.

- O rety - rzuciła Margaret. To dlatego Murray tak się spieszył. - Kiedy? Jakies dwie minuty temu?

- Tak, dokładnie.

- Nasze próbki się wyłączyły - poinformowała go Margaret. - Nawet na najniższym poziomie musiały być kontrolowane przez to coś. Czy to jakoś wpłynęło na Sancheza?

- Stracił przytomność - powiedział Clarence. - Przez chwilę mówił coś nieskładnie, potem zrobił się senny i odpłynął. Teraz chrapie.

Margaret nie wiedziała, co o tym myśleć. Nagłe wyłączenie się pełzaczy i sen Sancheza zbiegły się ze zniszczeniem satelity. Czy to mógł być koniec?

Nie. To jeszcze nie koniec. Była tego pewna.

- Dan, ile mamy latrunkuliny?

- Mnóstwo, jeśli to tylko Sanchez - odpowiedział Dan. - Jeśli będziemy potrzebować więcej, mogą nam ją tu przysłać od dostawcy.



- Dobra - rzuciła Margaret. - Najpierw zobaczmy, czy to zadziała. Zaczynaj podawać latrunkulinę dożylnie Sanchezowi - poleciła Margaret. - Nie pozwolę się złapać ze spuszczoneymi spodniami. To się może w każdej chwili ponownie aktywować.

- Ale latrunkulina jest cholernie toksyczna - zaprotestował Dan. - Jeśli damy jej Sanchezowi za dużo, może utracić zdolność oddychania albo przestanie mu bić serce. Nie powinniśmy poczekać, żeby sprawdzić, czy to coś naprawdę nie zginęło?

- Nie - oświadczyła Margaret. - Będziemy uważnie obserwować Sancheza, ale podamy mu to natychmiast.

- Ale Margaret, on...

- To jest pieprzony *rozkaz*, Dan - warknęła Margaret. - Podaj mu ten cholerny wlew.

Dan patrzył na nią przez chwilę, po czym zasalutował sztywno i wyszedł z pokoju do autopsji.

Czyżby zraniła jego uczucia? Nie obchodziło jej to. W końcu znalazła potencjalną broń i zdecydowanie zamierzała jej użyć.

# **DZIEŃ DZIEWIĄTY**

## Ruch

Margaret usiadła przy komputerze, czując ulgę z faktu, że w końcu mogła się uwolnić z kombinezonu noszonego przez bite piętnaście godzin. Wpisała polecenia w celu wyświetlenia próbek Sancheza.

Co tak *śmierdziało*? Czy ktoś tu zostawił jedzenie? Zajrzała pod blat, a potem pod krzesło, zanim dotarło do niej, skąd pochodzi woń.

To ona.

Szlag, bardzo zdecydowanie potrzebowała prysznic. Niestety chwilowo nic nie mogła z tym zrobić.

Popatrzyła na odczyty. Latrunkulina działała – liczba pęłaczy w organizmie Sancheza spadła. Chemiczne skutki uboczne dawały o sobie znać, ale nie groziło mu poważne niebezpieczeństwo. Jeszcze nie. Wywołała podgląd jednej z ostatnich próbek. Na obrazie zobaczyła trzy pęłacze, wciąż bez ruchu, dokładnie w takim stanie w jakim znajdowały się od kiedy ludzie Murraya zestrzelili satelitę. Na jej oczach jeden z pęłaczy powoli rozpuścił się na małe kawałki pod wpływem latrunkuliny.

Zaczął się rozpadać drugi pęłacz. Margaret jeszcze nigdy w życiu nie widziała nic równie pięknego.

A potem...

...ostatni pęłacz drgnął.

Patrzyła na niego uważnie, zastanawiając się, czy to sobie wyobraziła, mając nadzieję, że tak, ale na ekranie znowu zobaczyła ruch: pęłacz wyraźnie drgnął, po czym się wyciągnął, szukając czegoś do chwycenia. Wyciągnął macki do pobliskiej tkanki mięśniowej i *pociągnął*.

Pęłacz znowu się przemieszczał.

Zabrzączał interkom.

– Jesteś tam, Margaret? – głos Dana, z naciskiem.

– Jestem.

– Coś się dzieje – powiedział. – Patrzę na umieszczone obok siebie próbki. Wszystko, co jeszcze nie zginęło, znowu się rusza. Wszystkie się właśnie obudziły, *wszystkie*.

## Restart

Tak wiele myśli. Tyle głosów. Żadnego porządku. Żadnej *spójności*. Czy wiedziała, co znaczy to słowo? Tak.

Chelsea zamrugła i otworzyła oczy. Przez pęknięcia w dachu i zabite deskami okna do wnętrza budynku wdzierało się poranne światło. Była śpiąca. I smutna.

Jej specjalny przyjaciel zniknął.

Potrzebowała mądrości Chaunceya, musiała wiedzieć, czego chciał od niej Bóg. Wyczuwała umysły żołnierzy, pisklaków i skonwertowanych. Wszyscy leżeli nieruchomo. Przypadkowe myśli... Śnili. Nie było nikogo, kto by ich połączył, powiązał w jedność.

To właśnie robił Chauncey, łączył ich w całość.

W jej umyśle pojawiła się nagła myśl. A gdyby to *ona* połączyła ich w jedność? *Mogła* zastąpić Chaunceya.

Był jej Bogiem, ale zginął.

Teraz to *Chelsea* jest Bogiem.

Wyczuwała wszystkich żołnierzy, mamę, pana Burkle'a, generała... Czuła dwa pisklaki w Gaylord... i wyczuwała jeszcze jeden głos, nowy, bardzo *ślaby*, ale też znajdujący się blisko.

Dwa pisklaki w Gaylord były więźniami.

Więźniami Boogeymana.

Chauncey kazał jej zostawić Boogeymana w spokoju, *blokował* ją, ale Chaunceya już tu nie było.

Zresztą nikt nie mógł mówić Chelsea, co ma robić. Nie bała się Boogeymana. Bóg nikogo nie powinien się bać.

Czy mogła zablokować Boogeymana, tak jak robił to Chauncey? Może, ale musiałaby poświęcić czas na naukę i eksperymentowanie. Gdyby nie zdołała go zablokować dość szybko, Boogeyman mógłby po nią przyjść.

Chyba że to ona dorwie go pierwsza.

Wezwała generała Ogdena. Najwyższy czas, żeby porozstawiać na miejsca elementy jego planu awaryjnego na wypadek, gdyby Boogeyman uciekł.



## Ochota na McDonalda

Szeregowy Alan Roark zaparkował hummera na poboczu North Chrysler Drive. Wskoczył z wozu, tak jak szeregowy Peter Braat, trzymający mapę. Obaj podeszli do tylnego zderzaka i popatrzyli na potężny wiadukt.

- Cholera - rzucił Peter. - Spory kawał drogi.

Alan kiwnął głową. To był spory kawał drogi.

Z prawej strony mieli trzy pasy I-75 prowadzące na północ, potem kolejne trzy pasy na południe. Razem sześć pasów drogi przechodziło pod kolejną sześciopasmową autostradą na wiadukcie, M-108, znaną również jako Droga Ośmiomilowa. Dźwięki toczących się po mokrym asfalcie opon w połączeniu z rykiem setek silników składały się na szum przypominający wodospad.

- To mnóstwo pasów - rzucił Peter.

Alan znowu kiwnął głową.

- Owszem. Całkiem sporo.

Odwrócił się i zajrzał do wnętrza samochodu. Zawartość przeliczył już pięć razy, ale diabeł krył się w szczegółach, więc policzył jeszcze raz.

- Wydaje się, że to dość daleko jak na pierwszą linię - zauważył Peter. - Jesteśmy piętnaście kilometrów od bramy. Jak mamy utrzymać teren odległy o piętnaście kilometrów, mając tylko dwa cholerne plutony? Rozumiesz, o czym mówię?

- Generał wie, co robi - odpowiedział Alan. - Tak samo, jak Chelsea. Ściągają pozostałe dwa plutony z Gaylord, więc będziemy mieli wsparcie. Zresztą im większy teren będziemy kontrolować, tym trudniej będzie im znaleźć Chelsea.

- Pewnie ma to sens - przyznał Peter, kiwając głową. - Mimo wszystko żałuję, że nie dostaliśmy lotniska.

- Tam pojechali Willis i Hunt.

- Wiem - odpowiedział Peter. - Nienawidzę tych gości. To my powinniśmy byli tam jechać. Miejmy nadzieję, że uda się nam wrócić na czas, by zobaczyć, jak przechodzą anioły. To będzie tak wspaniała chwila.

- Zaprawdę - zgodził się Alan. - Ale jeśli nam się nie uda, to z pewnością jest to część planu.

Peter powoli i poważnie kiwnął głową.

- No dobra, to zobaczyliśmy drogi, gdzie stajemy?

Alan wskazał w górę, na Ośmiomilówkę.

- Wjedziemy tam i zabierzemy się do roboty.

- Bułka z masłem - rzucił Peter.

Alan kiwnął głową.

- Bułka z masłem. Chodź. Pojeździmy po okolicy i zobaczymy, czy zostaniemy wezwani. Jesteś głodny?

- Mógłbym zahaczyć o McDonalda - przyznał Peter. - Ostatnio mam straszną ochotę na hamburgery. Oraz nie mogę przestać myśleć o lodach na patyku.

- Ty też? Cholernie dziwne, stary. Nigdy wcześniej nie lubiłem lodów, ale teraz mógłbym się w nich *kąpać*. Zjedzmy coś.

Wsiadli z powrotem do hummera. Alan odczekał na przerwę w ruchu, wjechał z powrotem na drogę i skierował się na północ, szukając złotych łuków.

## Na południe, młodzieńcze

Weź trochę końskich odchodów, tych cuchnących, z częściowo strawioną słomą. Wymieszaj ze żwirem. Takim ostrym, kanciastym. Teraz oblej to benzyną i zapal.

Dokładnie coś takiego Dew czuł wewnątrz czaszki. Położył się do snu na podłodze w pokoju komputerowym chwilę po tym, jak Baum i Milner przekonali go, że zabawnie będzie położyć nieprzytomnego Perry'ego Dawseya na wózku do autopsji.

No cóż, w sumie to *było* zabawne.

Potworny ból głowy i nadaktywny Perry Dawsey, gadający z prędkością karabinu maszynowego. Połączenie z piekła rodem.

- Perry, zwolnij trochę - wydusił z siebie Dew. - Potwornie nawala mnie głowa.

- Mnie też - przyznał Perry.

- Jest różnica - zauważył Dew. - Ty, Baum i Milner jesteście jeszcze młodzi. Ja jestem dość stary, by wiedzieć, co się stanie, jeśli wypiję tak dużo, czyli jestem dość stary, by wiedzieć lepiej.

- Wczoraj jakoś nie zwracałeś na to uwagi.

Dew kiwnął głową i natychmiast tego pożałował.

- Wczoraj wieczorem dałem się ponieść euforii zwycięstwa. A teraz jest rano, głowa mi wali jak nigdy, a ty mówisz mi, że to zwycięstwo wcale nie było zwycięstwem?

- Ona do mnie mówi - powiedział Perry. - Mówi, że mnie zabije.

- Gdzie ona jest?

Perry wzruszył ramionami.

- Na południe.

- Jak daleko?

- Nie wiem - przyznał Perry. - To może być Ohio, może być Indiana, ale równie dobrze pieprzone Kentucky, na ile potrafię powiedzieć.

- To jak ją znajdziemy?

- Pewnie tak jak poprzednio - odpowiedział Perry. - Ruszymy na południe, a gdy poczuję, że sygnał robi się silniejszy, skrećmy w tę stronę. Choć ten sygnał jest popieprzony. Czuję, że coś *porusza się* na południe, coś dużego, a jeszcze dalej w tamtą stronę jest Chelsea. Powinniśmy ruszać natychmiast.

Dew zastanowił się nad tym. To mogło się udać, wcześniej się sprawdzało, ale ile to potrwa?

- Nie wiem, czy mamy tyle czasu - powiedział. - Teraz, gdy znikło zagłuszanie i czujesz sygnał, mógłbyś się skupić na pisklakach. Może uda się nam dokładnie określić położenie tego czegoś.

Perry zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Warto spróbować.

- To co, wejdiesz tam i spróbujesz z nimi znowu porozmawiać?

Perry głęboko wciągnął powietrze, po czym wypuścił je powoli.

- Nie chcę tego robić. Ona jest tak cholernie *silna*, Dew. Jeśli zadziała przez pisklaki, może być jeszcze silniejsza, naprawdę nie wiem.



- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Pójdiesz znowu z nimi porozmawiać czy nie?  
Będę tam z tobą.

- I tego właśnie się boję - wyznał Perry.

Dew się uśmiechnął.

- Zrobimy to tak jak na strzelnicy, dobra? Będę ci celował w plecy. Jeśli zaczniesz robić coś głupiego, skrócę twoje cierpienie.

Perry przez chwilę zagryzał wargę.

- Dobrze. Zrobię to. Ale Dew, lepiej, żebyś nie kłamał z tym strzelaniem mi w plecy. Jeśli muszę zginąć, to trudno, ale... nie poradziłbym sobie z tym, gdybym zrobił ci krzywdę.

Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam chłopak, który osiem dni temu wymordował całą rodzinę. Jednak ludzie nie mogli się zmieniać tak bardzo w ciągu zaledwie ośmiu dni. Ta wersja Perry'ego zawsze tam była, czekając na powód, żeby się ujawnić.

Dew poczuł dumę wypełniającą mu pierś - Perry Dawsey jeszcze raz stawi czoła swojemu najgorszemu koszmarowi.

## Mamusia jest mazgajem

Chelsea Jewell siedziała z tyłu kampera, na kanapie skierowanej do przodu. Dzięki temu, że była tak mała, kanapa sprawiała wrażenie wielkiego tronu. Miała trochę krwi we włosach, a na jej kolanach siedział pisklak. Nazwała go Azorek. Chelsea powoli głaskała Azorka, czując przyjemną strukturę powierzchni jego sztywnego, trójkątnego ciała. Azorek przeważnie trzymał zamknięte oczy, a gdy je otwierał, tylko częściowo rozchylał powieki.

Powoli głaskała Azorka. Chciała zachować spokój, ale generał Ogden tak bardzo ją złościł.

- Ale Chelsea, powinniśmy po prostu zostawić go w spokoju - mówił mężczyzna.

Nie odpowiedziała. Stał tam, czekając na jej słowa. Plastik na podłodze kampera był miejscami porozrywany, częściowo skopany na bok. Był pokryty krwią i ciągle się marszczył pod stopami generała Ogdena. Ślady macek drobnych ciałek znaczyły wszystkie ściany i ciemnopomarańczowe tkaniny na krzesłach i kanapach.

*Chcę śmierci Boogeymana.*

- Nie możesz go zablokować? Tak, jak robił to Chauncey?

*Próbuję, ale to trudne. Jeszcze nie wiem, jak. Może przyjść po mnie, zanim się tego nauczę.*

- Brama będzie gotowa za około trzy godziny - przypomniał. - Jeszcze nie musimy się ujawniać. Nawet z pozostałymi ludźmi jadącymi z Gaylord mamy zbyt mało żołnierzy na prawdziwą walkę, Chelsea.

Tylko na niego patrzyła. W gruncie rzeczy przecież wcale nie był taki mądry. Był tylko generałem. To Chelsea dowodziła. Jeśli twierdziła, że mają dość żołnierzy, to znaczy, że mieli ich dość i tyle.

*A co z żołnierzami, którzy zostali w domu? Tymi, którzy mają się zająć kompanią Whiskey?*

- To zaledwie osiemnastu ludzi, Chelsea - odpowiedział Ogden. - Będą musieli walczyć ze stu dwudziestoma i narobić przy tym dość szkód, by wyeliminować kompanię Whiskey z akcji.

*Jeśli masz osiemnastu, to...*

Jakiś głos zawołał z zewnątrz kampera, przerywając Chelsea w połowie zdania.

Dziwny, nowy, głęboki głos mamy.

- Chelsea! Proszę, czy mogę z tobą porozmawiać?

Mama mówiła buzią, nie myślami, co znaczyło, że jest zdenerwowana i zmieszana.

Dziewczynka westchnęła. Będzie musiała wstać i wyjść na zewnątrz. Mama miała już problem ze zmieszczeniem się w drzwiach kampera. Chelsea podniosła pisklaka i odstawiła go na kanapę.

- Zostań tu, Azorku. Zostań!

Nie musiała mówić do niego na głos, ale tak było zabawniej. Tak mówiło się do szczeniactków, takim specjalnym tonem, żeby wiedziały, że się je kocha.

*Chodź ze mną, generale.*

Chelsea wyszła bocznymi drzwiami z winnebago na zimne powietrze wewnątrz budynku. Ogden wyszedł za nią. Oboje popatrzyli na mamę, która wyglądała na smutną.

- Dzień dobry, mamusiu.

- Chelsea, kochanie - odezwała się mama. - Coś jest nie w porządku. Ze mną. Może to moje pętlacze?

Dziewczynka pokręciła głową.

- Nie, mamusiu. Wszystko jest w porządku.

Mama zaczęła trochę popłakiwać. Była takim mazgajem.

- Ale... *popatrz* na mnie. To boli. To *bardzo* boli.

- Ból sprawia, że będziesz bliżej Boga, mamó. Nie chcesz być bliżej mnie?

Mama kiwnęła głową.

- Oczywiście, ale kochanie, tylko popatrz chwilę na mamusię. Jeśli to się nie zmieni, mama będzie... będzie...

- Będziesz służyć Bogu, mamó - oświadczyła Chelsea. - Zobacysz, będzie świetnie.

A teraz do widzenia, mamó. Pa pa.

Mama odwróciła się powoli i odeszła.

Chelsea zwróciła się do generała Ogdena.

- Niczego nie wiesz - oświadczyła. - Jesteś tylko generałem. Jestem twoim szefem.

*Chcę, żebyś zabił Boogeymana. Chcę tego!*

- Ale Chelsea... nasi ludzie, oni już są w drodze tutaj.

*Weź część z tych osiemnastu, których zostawiłeś w domu i wyślij ich, żeby zabili Boogeymana. I powiedz im, żeby uwolnili też moje pisklaki - nie możemy już robić nowych.*

- Ale Chelsea, to zostawi tylko dziewięciu ludzi do ataku na kompanię Whiskey, a to nie wystarczy.

*Uważasz się za takiego mądrego. Beck Beckett też uważał się za mądrego. Jeśli nie zaczniesz się zachowywać, zrobię cię takim jak mamę.*

Gwałtownie zbladł. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po czym je zamknął. Generał obejrzał się na mamę. Wciąż szła powoli, nadal płacząc. Przeniósł wzrok z powrotem na Chelsea.

- Wyślij Dustina Climera z powrotem do Gaylord z pełną drużyną - powiedział. - Powiedz kapralowi Cope'owi, żeby kontynuował z resztą ludzi i dołączył do nas tutaj.

Zamknęła oczy i przesłała myśli do panów Cope'a i Climera. Teraz było to o tyle łatwiejsze, znacznie szybsze.

*Zrobione. A teraz idź i dopilnuj, żeby reszta ludzi była gotowa na plan awaryjny.*

Chelsea odwróciła się i weszła z powrotem do ogrzewanego kampera. Mama zaczęła płakać głośniej, ale dziewczynka zamknęła drzwi i przestała ją słyszeć.

## Podwójna dawka

Małe dranie walczyły.

Znowu miała na sobie kombinezon i tkwiła w ciasnej celi z doktorem Danem. Clarence stał tuż za przezroczystymi, otwartymi drzwiami. Gdyby Sanchez w jakiś sposób zdołał się uwolnić, Clarence nie miałby nawet czystego strzału. Mocno go to wkurzało, ale Margaret miała to gdzieś.

Latrunkulina bez wątpienia działała, ale ciało Sancheza przestało być już otwartą strzelnicą, którą było z początku. Niektóre pęczacze wydawały się być odporne na lek i teraz dzieliły się i mnożyły. Nie była to mitoza, nic tak eleganckiego – małe dranie dzieliły się po prostu na dwie mniejsze wersje, z których każda chwyciła i wbudowywała w siebie swobodne włókna mięśniowe odrywające się od martwych pęczaczy. Pod mikroskopem wyglądało to jak masa drobnych węży splatających się ze sobą i łączących, stając się zbiorowym organizmem.

Margaret zaczęła odczuwać strach: jeśli pęczacze rozwinęły oporność na latrunkulinę, to nie miała żadnej broni, która mogłaby utrzymać Sancheza przy życiu. A wtedy jedynym sposobem na ich powstrzymanie było zabicie gospodarza.

– Robi się coraz słabszy – skomentował Dan. – Szybkość oddychania rośnie, puls robi się nieregularny.

Podwoiła dawkę, co pomogło, ale pęczacze wciąż tam były, wciąż kierowały się w stronę jego mózgu.

Ile zdołało już tam dotrzeć?

Jak dotąd udawało się jej wyprzedzać chorobę dzięki ufaniu własnemu instynktowi. W tej chwili instynkt podpowiadał jej, że jeśli dość pęczaczy dotrze do mózgu Sancheza, nie będzie odwrotu.

Zostanie skonwertowany. Tak jak Betty Jewell. Czy śmierć nie była lepsza od takiego losu?

– Jeszcze raz podwój dawkę – poleciła Margaret.

– Nie ma mowy. – Dan odwrócił się twarzą do niej. – Nie słyszałaś, co mówiłem? Jego serce bije nierówno.

– To silny mężczyzna, doktorze – odpowiedziała Margaret. – Wytrzyma to. Proszę podwoić dawkę.

– Nie, do cholery. – Dan pokręcił głową wewnątrz hełmu.

– Do diaska, Daniel. Jeśli te rzeczy zbiorą się w jego mózgu, będzie po nim. Musimy go wyleczyć.

– Czy zabicie go to też wyleczenie? Bo to właśnie się stanie, jeśli jeszcze raz zwiększę dawkę.

– Wynoś się stąd – warknęła. – Sama to zrobię.

Popatrzył na nią.

– Nie znam cię za dobrze – powiedział. – Ale jesteś *lekarzem*. Co ci się, u diabła, stało?

- *One* mi się stały - odpowiedziała Margaret. - Musimy wiedzieć, czy to zadziała. Jeśli nie znajdziemy lekarstwa na to, życie jednego człowieka nie będzie miało znaczenia. A teraz zejź mi z drogi.

Daniel przepchnął się obok niej, obok Clarence'a i otworzył służbę powietrzną do przyczepy A. Kiedy odwracała się w stronę Sancheza, zauważyła spojrzenie Clarence'a.

W jego oczach zobaczyła smutek. A nawet więcej, współczucie. W końcu zrozumiała, czemu Bernadette Smith musiała zginąć. I znienawidziła się za to.

Odwróciła wzrok od Clarence'a i zaczęła zwiększać dawkę.

## 11:50 Przesłuchanie

Dew nienawidził stroju ochronnego niemal równie mocno, jak Perry. Zawsze naśmiewał się z „kondomów na człowieka”, jednak teraz, gdy w końcu uległ i założył jeden z nich na siebie, czuł się przeklęty, jakby, gdyby następnym razem *nie* założył stroju, z pewnością miał coś złapać. Z nową czterdziestką piątką w kaburze na biodrze, przypiętej na zewnątrz kombinezonu, czuł się jak palant.

Perry wpatrywał się w jednego z dwóch pisklaków w klatkach. Sprawiały wrażenie pogrążonych w letargu, pokonanych. Może trochę wpłynęło na nie siedzenie obok środkowej klatki, zawierającej rozłożone szczątki tarczy strzelniczej Perry'ego. W ciągu ostatnich dwudziestu minut prawie się nie ruszały.

- Co mówią, młody?

- Nadal nic. Wydają się być pozbawione energii.

- Nie potrafisz czytać im w myślach, czy coś takiego?

- To nie działa w ten sposób. - Perry pokręcił głową. - Trójkąty są wciąż podłączone do ludzkich mózgów, chyba dlatego mogę słyszeć paplaninę gospodarzy. Ale pisklaki nie są już połączone z ludźmi. Mogą do mnie mówić, ale tylko wtedy, gdy tego chcą.

- Ale nadal słyszysz paplaninę trójkątów?

- Tak - potwierdził Perry. - I robi się silniejsza, co jest trochę dziwne. Zazwyczaj robi się silniejsza tylko, gdy je śledzę, kiedy się do nich zbliżam. Może teraz zrobiły się silniejsze? Nie wiem, Dew... Może wcale nie potrzebujemy tych gnojków. Mogę zastrzelić jeszcze jednego?

Dew nachylił się, by zajrzeć do klatki po lewej.

- Co powiesz, stary? Powinniśmy cię zastrzelić?

Oba pisklaki się poruszyły. Zamrugwały czarnymi oczami i jakby trochę się ożywiły.

- Coś skłoniło je do działania - zauważył Dew. - Boją się broni?

- Nie, nie o to chodzi - odpowiedział Perry. Zamknął oczy i wyraźnie się skupił. - Paplanina robi się coraz głośniejsza. Zdecydowanie głośniejsza. Czekaj, Dew, odbieram myśli o bramie... i wysokim budynku.

- Rozpoznajesz go? Co to jest?

Perry potrząsnął głową nie otwierając oczu.

- Nie, nie poznaję. Ale to dziwne. Zazwyczaj wszystko wydaje się takie chaotyczne, jakby gospodarze miotali się, próbując wymyślić, co powinni zrobić, ale to... tym razem myśli są zorganizowane. Trzynasta piętnaście.

- Trzynasta piętnaście? - zapytał Dew. - Co u diabła wydarzy się o trzynastej piętnaście?

Perry otworzył oczy.

- Mają harmonogram. Wtedy otworzy się brama. I nie wiem, czemu te myśli są tak silne, wiesz, *naprawdę* silne, bo to nie ma nic wspólnego z pisklakami.

- Jest jedenasta pięćdziesiąt - powiedział Dew. - Mamy mniej niż dziewięćdziesiąt minut. Perry, skup się na tym budynku. Spróbuj go rozpoznać, albo przynajmniej mi go opisać.

W jego słuchawce zabrzmiał głos Milnera.

- Możesz rozmawiać, Dew?

Perry znowu otworzył oczy - miał taką samą słuchawkę, więc też usłyszał Milnera.

- Jezu, Milner, nie teraz!

- Na podjeździe są ludzie Ogdena, jadą tutaj - wyjaśnił Milner. - Dwa hummery. Chcesz do nich wyjść?

- Zajmij się tym - polecił Dew. - Powiedz im, żeby poczekali, czegokolwiek by od nas chcieli.

- Ja to zrobię - zaoferował się Baum. - Już wychodzę.

- No dalej, Perry - naciskał Dew. - Skup się.

Perry znowu zamknął oczy i po chwili wykrzywił twarz.

- To dziwne - stwierdził. - Teraz odbieram całą kupę uczuć. Nienawiść. Złość.

- Oddychaj, młody - doradził Dew. - Nie musisz się spieszyć, po prostu to rozgryź.



Dustin Climer pomachał z siedzenia pasażera, kiedy samochód, którym jechał, zwolnił i stanął na oblodzonym podjeździe do domu Jewellów. Jego kierowca skręcił w lewo, robiąc miejsce z prawej strony na hummera jadącego za nimi. Przed sobą mieli wypalony szkielet domu, a po lewej stały obok siebie dwa połączone Margo Mobile. Z prawej rosło duże, pozbawione liści drzewo z huśtawką zwieszoną z gałęzi.

W jego hummerze jechało pięciu ludzi, w drugim czterech. Aż nadto, by wykonać zadanie.

Znowu pomachał do mężczyzny stojącego przed Margo Mobilem. Climer wyskoczył i ruszył w jego stronę. Rozpoznał palanta z wąsem z CIA, Claude'a Baumgartnera.

- Dzień dobry, panowie - przywitał ich Baumgartner. - Co jest grane?

- Przyjechaliśmy po pisklaki - wyjaśnił Climer. - Ogden chce, żeby je przenieść do jego obozu.

Baum pokręcił głową.

- Uch, obawiam się, że chwilowo nie możemy tego zrobić.

- Ależ oczywiście, że możemy, Baum - z uśmiechem odpowiedział Climer. - To kwestia tego, kto tu rządzi.



Znał ten budynek. Czarny. Wysoki. Lśniący. Zazwyczaj musiał bardzo uważnie się wsłuchiwać, by wyczuć cokolwiek w paplaninie, ale tym razem było inaczej: teraz musiał blokować różne rzeczy, próbować ignorować losowe myśli przenikające jego głowę. Tylko że coś takiego mogło się dziać tylko, jeśli w pobliżu była grupa gospodarzy, znacznie więcej niż trójka, którą wyczuł w Glidden.

Obraz budynku nabrał szczegółów.

Renaissance Center.

Perry szybko otworzył oczy. Paplanina nie robiła się głośniejsza, ponieważ gospodarze byli silniejsi, tylko dlatego, że tak jak poprzednio, był coraz bliżej nich.

A dokładniej, to oni byli coraz bliżej niego.

- Kurwa, Dew - rzucił Perry. - Słyszę ludzi Ogdena! Przyjechali tu mnie zabić!

Z zewnątrz dobiegł stłumiony strzał, potem drugi i trzeci.

W słuchawce Perry'ego zabrzmiał krzyk Milnera.

- Ludzie Ogdena właśnie zastrzelili Bauma!

Dew wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę.

- Broń się, Milner, ci goście są z pisklakami.

Kolejne wystrzały. Perry usłyszał je równocześnie z zewnątrz przyczepty i z głośniczków w hełmie. A to znaczyło, że strzelano wewnątrz pokoju komputerowego - Milner odpowiadał ogniem. Strzały ustały równie gwałtownie, jak się zaczęły. Milner najprawdopodobniej zginął. Żołnierze przejdą przez obszar odkażania do pokoju do autopsji, potem przez składaną kładkę do przyczepty B.

Potem zabiją Perry'ego i Dewa.

Dew podbiegł do drzwi śluzy, wyciągnął rękę, by je otworzyć, ale znieruchomiał. Odwrócił się do Perry'ego.

- Co z pisklakami? - zapytał. - Chcą je zabrać?

- Tak, ale to ja jestem głównym celem.

Krzyki mężczyzn, dźwięki przewracanego sprzętu. Kontrolka nad śluzą zmieniała kolor z zielonego na czerwony, co znaczyło, że ktoś właśnie otworzył drzwi po drugiej stronie tunelu z pomostem. Kroki na kładce na zewnątrz: byli tuż przed drzwiami do przyczepty B.

- Nie próbujcie otwierać tych drzwi! - krzyknął Dew. - Mamy tu dwa pisklaki, zabijemy je!

Mężczyzna, który odpowiedział mu zza drzwi wydawał się być równocześnie zadowolony i rozzłoszczony.

- Jeśli to zrobicie, będziemy was bardzo długo torturować. Oddajcie je nam, to was wypuścimy.

Znowu kroki, jeszcze więcej ludzi wchodzących do korytarza.

Perry nie wiedział, co robić. Czekał, żeby Dew coś zrobił, *cokolwiek*. Mieli przesrane.

- Perry - wyszeptał agent, zbyt cicho, by usłyszano go przez drzwi śluzy, ale dzięki mikrofonowi i słuchawkom Perry słyszał go wyraźnie. - Na panelu przy drzwiach do celi wystukaj krzyżyk, dziewięć, dwa, dwa i cztery, a gdy tylko kontrolka śluzy zmieni kolor na zielony, naciśnij pięć.

Perry podbiegł cztery kroki do drzwi izolatki. Wpisał podane liczby, a jego palec zawisł nad ostatnią piątką.

Walenie w drzwi śluzy.

- Czas minął, dupku - krzyknął mężczyzna na zewnątrz. - Mamy tu sporo broni.

- Ja też mam coś ze sobą - odpowiedział Dew. Uniósł swój pistolet i opróżnił magazynek w pisklaka w klatce po lewej. Tak samo jak po strzałach Perry'ego dzień wcześniej, na szkle pojawiły się pęknięcia, lecz nie rozpadło się, gdy kule rozrywały pisklaka na kawałki. Pusty magazynek uderzył w podłogę, a w jego miejsce Dew wbił świeży.

- Ty gnoju! - wrzasnął mężczyzna.



Kolejne kroki po drugiej stronie drzwi, po czym solidne trzaśnięcie zamykanych drzwi śluzy od strony przyczepy A.

Kontrolka nad Dewem zmieniła kolor z czerwonego na zielony, oznajmiając zrównoważenie ciśnienia w tunelu pomostu. Ludzie Ogdena wchodzili do środka.

Perry nacisnął piątkę.

Zamontowane w suficie, podłodze i ścianach dysze wystrzeliły strumienie stężonego łągu zmieszanego z gazowym chlorem. Wizjer Perry'ego natychmiast pokrył się kropelkami zabójczego płynu. Dotarły do nich odgłosy zdziwienia zza drzwi, potem krzyki paniki, kaszel i wymioty. Serie wystrzałów, ale żadne pociski nie trafiły w drzwi śluzy.

- Upewnij się, że jest odbezpieczony - rzucił Dew. - Chodź za mną, pilnuj moich pleców i *dopilnuj*, żebyś nie kierował broni w moją stronę, dobra?

Perry szybko kiwnął głową.

Dew otworzył drzwi śluzy i zaczął strzelać. Perry ruszył za nim na składane przejście, w którym chlorowa mgła była tak stężona, że ledwie zdołał zobaczyć leżące na kratce trzy ciała, próbujące rozrywać plastikowe ściany w miejscach przestrelonych otworów.

Dew sześć razy pociągnął za spust. Dwie kule dla każdego. Przestali się ruszać.

Perry ruszył za agentem, ale poczuł lekkie szarpnięcie na prawym udzie. Na wyświetlaczu hełmu pojawił się komunikat pomarańczowymi literami: NARUSZENIE INTEGRALNOŚCI KOMBINEZONU.

Spojrzał na biodro. Kawalek metalu z powykrzywianego pociskami pomostu zrobił mu siedmiocentymetrową szparę w kombinezonie. Wokół dziury kłębił się chlor. Perry zamarł na chwilę, myśląc, że to już koniec, że jego płuca zaraz spłoną, po czym dotarło do niego, że powietrze wylatuje z rozcięcia, nie do *środku*. Kombinezon utrzymywał dodatnie ciśnienie.

Perry usłyszał jeszcze cztery strzały z pokoju do autopsji.

- *Ruchy*, Dawsey!

Sięgnął w dół i prawą ręką złapał rozcięcie, zgarniając materiał i uszczelniając otwór najlepiej, jak potrafił. Wbiegł do pokoju do autopsji.

Kolejne dwa ciała. Dew przeładowywał pistolet.

- Cholera - rzucił Dew. - Rozerwałeś ten pieprzony kombinezon?

- Po prostu ruszaj!

Dew odwrócił się i wbiegł do komory do odkażania. Wiło się tam jeszcze dwóch żołnierzy, próbując wyrwać się z objęć gazu wdzierającego się do ich nosów, gardel i oczu.

Dew zabił obu.

Grzmot z zewnątrz, dźwięki darcia metalu.

- Padnij! - wrzasnął Dew, rzucając się na zalaną łągiem podłogę. Pociski wyrwały olbrzymie dziury w ścianie komory do odkażania. Ktoś na zewnątrz otworzył ogień do przyczepy. Perry z dużą siłą uderzył o podłogę, czując krążącą w ciele adrenalinę. Upadając oderwał rękę od dziury na biodrze, więc chwycił ją z powrotem i spróbował wstać, podpierając się drugą ręką.

Ściany kontenera podziurawiła kolejna seria z broni maszynowej. W powietrzu latały kawałki ściany, strzępy plastiku, żółtej izolacji i niepokojące ilości cienkich, postrzępionych kawałków metalu oderwanych z zewnętrznej ścianki kontenera. Wybuch zachwiały przyczepą na zawieszaniu, wyrzucając Perry'ego w powietrze. Uderzył głową w ścianę. Ściany wyginały się i falowały. Perry twardo wylądował na podłodze. Dew zwinął się wokół brzucha, po czym przeturlał się na bok.

- Dew! Jesteś cały, Dew? Co to było, do cholery?

- Granat - zdumiewająco spokojnym głosem wyjaśnił Dew. - W pokoju komputerowym. Następny wrzucą tutaj.

Perry zobaczył chlor kłębiący się wokół trzech strumieni powietrza uchodzących z hełmu Dewa. Miał pękniętą szybę na twarzy. Powietrze pod ciśnieniem uciekało z powstałych otworów.

- Nie wygląda to dobrze - rzucił Dew.

- Bez jaj!

Obaj mieli nieszczęsne kombinezony, a wbudowane w nie kompresory miały dość ograniczoną wydajność.

- Załatw tego gościa na zewnątrz - polecił Dew, dźwigając się na nogi. - Zastrzel go, albo będzie po nas.

Perry zobaczył dziurę po pocisku u podstawy ściany. Do środka wlewało się światło słońca, rozświetlając smugę zielonej mgły. Podczołgał się do otworu i zmusił się do wyrznięcia na zewnątrz. Facet stał na hummerze, strzelając z *olbrzymiego* karabinu maszynowego zamontowanego na obrotnicy. Perry miał na dłoniach grube rękawiczki, wizjer hełmu pokrywały kropelki mgły, prawą ręką zaciskał rozcięcie kombinezony i ktoś do niego strzelał... ale facet stał w odległości tylko jakichś siedmiu metrów.

Przeturlał się na bok i wyciągnął lewą rękę. Wycelował otrzymaną od Dewa czterdziestkę piątkę w głowę żołnierza i naciskał spust, aż zamek zablokował się z pustą komorą.

Strzały z karabinu maszynowego ucichły.

Mężczyzna zwisał bezwładnie z prawej strony stanowiska karabinu maszynowego. Nie ruszał się.

Perry usłyszał siedem następujących szybko po sobie strzałów z czterdziestki piątki.

- Perry, wychodź!

Wielkolud dźwignął się na nogi, robiąc to trochę za szybko - lewym ramieniem zaczepił o kolejny odstający kawałek ściany i ponownie rozdarł kombinezon. Nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem rozdarcia, po prostu wybiegł z komory do odkażania prosto do ostatniej śluzy. Jej drzwi wisiały częściowo otwarte, wygięte i zniekształcone, pełne małych dziur. Perry przebiegł sprintem ostatnie trzy metry, uderzył w drzwi ramieniem, nie zwalniając, i znalazł się na słońcu zimowego południa.

Dew stał pośrodku wypalonego domu, zgięty w szerokim rozkroku, przesuwając trzymaną w obu dłoniach czterdziestkę piątkę po okolicy.

Nie wiedząc, co robić, Perry zrobił to samo.

Dew opróżnił magazynek w trupa zwisającego z wieżyczki hummera. Najwyraźniej po prostu na wszelki wypadek. Dew przeładował, po czym odetchnął.

- Kurwa - rzucił. - To wszystko jest totalnie spieprzone, młody. - Zdjął hełm i popatrzył na niego. Perry zobaczył przynajmniej cztery pęknięcia - hełm był już bezużyteczny.

- Przynajmniej na coś się przydał - skomentował Dew, odrzucając przedmiot. Popatrzył na kombinezon Perry'ego. - Nie sędzę, żeby można to było naprawić taśmą izolacyjną.

Perry popatrzył na lewą rękę. Coś zaczepiło o tkaninę z PCW tuż nad nadgarstkiem i rozerwało ją prawie do ramienia.

- Jesteś pewien, Perry, że ta brama otwiera się o trzynastej piętnaście?

Perry przytaknął.

- Tak, absolutnie. To było bardzo silne, stary.

Usłyszeli silniki, ciężkie pojazdy na drodze.

Odgłosy przypominały hummery.



General Charlie Ogden stał w tylnej części kampera Winnebago czekając, aż Chelsea coś powie. Dziewczynka siedziała na kanapie, głaszcząc Azorka. Nie wyglądała już jak ucieleśnienie miłości. Wyglądała na cholernie wkurzoną, z twarzą wykrzywioną gniewem.

*On wie, że tu jesteśmy. Nadchodzi.*

- Jesteś pewna? Że go nie zabili?

*Czuję go. Zawiodłeś.*

- A co z ludźmi, których wysłaliśmy, żeby zaatakowali kompanię Whiskey?

*Zginęli. Zawiodłeś.*

Ogden nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy jego ludzie zginą. Nawet mając po swojej stronie element zaskoczenia, różnica sił była zbyt wielka. Gdyby jednak mógł wysłać wszystkich osiemnastu ludzi do zaatakowania kompanii Whiskey, był pewien, że zdołaliby jej poważnie zaszkodzić. To wszystko przez Chelsea.

Ogden odsunął od siebie tę myśl. Chelsea wiedziała najlepiej - chwycił się tego przekonania i został przy nim, ponieważ było dużo lepsze od wizji losu, który spotkał jej matkę.

- Co teraz, Chelsea?

*Nie możemy zrobić nic, by powstrzymać Boogeymana przed dotarciem tu. Potrzebujemy więcej czasu... rozpocznij wykonanie planu awaryjnego.*

- Tak, Chelsea. - Ogden przytaknął. - Zaczniemy natychmiast.



Dew rozejrzał się po placu przed domem Jewellów, szukając jakiejś kryjówki. Zbliżające się pojazdy brzmiały jak humvee. Kolejni ludzie Ogdena. Schował pistolet do kabury i podbiegł do mężczyzny, którego zabił w pokoju komputerowym. Podniósł jego M4 i odpiął pas z magazynkami.

Cholerny kombinezon ochronny przeszkadzał przy każdym ruchu. Nie było mowy, żeby zdołał się w nim przedrzeć przez las, schwytają go w ciągu paru minut. Rozpiął suwak i zaczął zdejmować strój, gdy usłyszał krzyk Perry'ego.

- Jada!

Dew odwrócił się i wyjrzał. Poczul, jak kurczą mu się jądra: długim podjazdem gnało pięć hummerów.

Nie miał już czasu.

Rozejrzał się za jakąś osłoną. Przewrócony, wypalony korpus lodówki. Schował się za nią, po czym wycelował M4 w pierwszy samochód.

- Nie strzelaj, Dew - powiedział Perry. - Nie słyszę żadnej paplaniny.

Dew obejrzał się na niego, potem popatrzył na hummery, które prawie już do nich dojechały.

- I tak jest już za późno - stwierdził.

Pierwszy samochód zatrzymał się za dwoma, które przywiozły napastników. Z pojazdów wysypali się ludzie z karabinkami M4, prowadzeni przez masywną postać żołnierza prawie równie wielkiego, jak Perry. Wokół głowy miał owinięty biały bandaż, ostro odcinający się od ciemnej skóry, z czerwoną plamą na skroni. Na rękawie miał naszywki sierżanta majora. Dew zauważył, że część z towarzyszących mu żołnierzy też miała świeże bandaże. Mężczyzna popatrzył na Perry'ego, po czym ruszył w stronę Dewa.

Agent wyszedł zza zniszczonej lodówki. Czuł się głupio, stojąc w podkoszulku, z częściowo rozpiętym kombinezonem ochronnym zwisającym wokół pasa.

Sierżant major zsalutował tak podręcznikowo, że wyglądało to niemal komicznie. Dew odpowiedział salutem tylko dlatego, że wielokrotnie widywał tego typu ludzi i wiedział, że jeśli tego nie zrobi, sierżant będzie tak stał choćby i godzinę.

Podoficer opuścił rękę i stanął na spocznij.

- Agent Dew Phillips?

- To ja - potwierdził Dew, krzywiąc się z powodu donośnego głosu mężczyzny.

- Sierżant major Devon Neelson, *sir*. Batalion Reagowania Krajowego, kompania Whiskey.

Dew mógłby opisać Devona jako *olbrzyma*, gdyby ostatnio nie przebywał tyle z Perrym Dawseyem. Potężny kark Devona podtrzymywał głowę czarną jak smoła. Spod owijającego mu głowę bandaża wystawały siwiejące, krótko przystrzyżone włosy. Jego oczy wydawały się wyjątkowo duże - Dew widział całe jego tęczówki. Jego wygląd sugerował furię lub szok, choć być może dla Devona był to całkiem normalny wygląd. Jego dolna warga była zbyt duża jak na usta i wystawała lekko, nadając mu pozór nadąsania.

- Kompania Whiskey? - zapytał Dew. - Może mnie pan połączyć z kapitanem Lodgem? To on tam dowodzi, prawda?

- Był dowódcą, *sir*. Kapitan Lodge nie żyje.

- Co się stało?

- *Sir*, drużyna z kompanii X-Ray przysłała na zajmowany przez nas teren lotniska i zaczęła strzelać, rzucając granaty i prowadząc ogień z ręcznych wyrzutni rakiet AT4.

Kiedy się z nimi uporaliśmy, spróbowaliśmy zlokalizować pułkownika Ogdena, ale jego część obozu okazała się pusta, a jego ludzie nie odbierają naszych wywołań. Zadzwoniliśmy do zastępcy dyrektora Longwortha, który kazał nam natychmiast pojechać do pana.

- To złe wieści, Nealson - skomentował Dew. - Jakie straty?

- Zginęło trzydziestu dwóch ludzi, *sir* - odpowiedział Nealson. - Drużyna X-Ray kompletnie nas zaskoczyła i byli bardzo skuteczni. Kolejnych dwudziestu pięciu rannych jest niezdolnych do walki. Zostało nam sześćdziesięciu trzech ludzi zdolnych do służby. Proszę nam powiedzieć, co mamy robić, *sir*.

- Przestańcie mówić do mnie *sir* - rzucił Dew. - Pracuję na chleb. Braлиście udział w prawdziwych walkach, sierżancie majorze?

- W Somalii, Serbii, Afganistanie i Iraku - wyrecytował Nealson. - Rozbijałem głowy i zabijałem na czterech kontynentach i jeśli zostali jeszcze jacyś członkowie kompanii X-Ray, z którymi trzeba się rozprawić, dodam Amerykę Północną jako piątą.

Gdyby w tej popieprzonej sytuacji można było się odprężyć, Dew właśnie by to zrobił. Devon Nealson był darem niebios. Jego ludzie będą robić, co im każe.

- Sierżancie - rzucił Dew. - Coś mi mówi, że ma pan przydomek?

- Czasami ludzie mówią na mnie Gwoździe - przyznał Nealson.

- Gwoździe, jesteście teraz oficjalnie dowódcą kompanii Whiskey. Domyślam się, że ustaliliście już potencjalne opcje transportu?

- Mamy trzy ospreye, w tym jeden przydzielony dla pana. Łącznie z wami dwoma jest nas sześćdziesięciu pięciu, więc będzie trochę ciasno, ale ospreye nas pomieszczą.

- No to się pakujemy - powiedział Dew. - Lecimy do Detroit.

## 11:55 Zasada pięciu sekund

Alan Roark zatrzymał hummera na samym środku wiaduktu nad I-75. Z tyłu natychmiast rozległo się trąbienie klaksonów. Zignorował je i skończył wpychać do ust resztkę Big Maca. To wszystko było cholernie piękne. Spróbował się napić coli, ale usłyszał tylko bulgotanie słomki przy pustym dnie.

Peter podał mu swój kubek, jeszcze w połowie pełny. Alan uśmiechnął się z podziękowaniem i wypił. Cola rozmoczyła wielki kęs Big Maca w jego ustach.

Klaksony wciąż trąbiły.

Alan przełknął i odetchnął z satysfakcją.

- Chłopie - rzucił Peter. - Musisz gryźć mniejsze kawałki. Powaga.

- Racja - zgodził się Alan. - Dałem się ponieść. Gotowy?

Peter kiwnął głową.

- Klakson tego gościa mnie irytuje. Może pokażemy mu, co to znaczy poddać się miłości, zamiast nienawiści?

- Chelsea by się to spodobało - przyznał Alan. - Ale nie mamy czasu. Pogadam z nim.

Ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł w lekko zamglone, szare światło zimowego dnia. Na drugim pasie przemykały samochody, mijając go w odległości paru centymetrów, spryskując przy tym drobnym błotem.

Facet ciągle trąbił.

Alan sięgnął do tyłu i wyciągnął swoje M4. Zobaczył frytkę na siedzeniu i wrzucił ją sobie do ust. Wciąż była ciepła - zasada pięciu sekund, i w ogóle. Żując podszedł do tylnego zderzaka hummera.

Samochód z tyłu był dużym SUV-em. Kto jeździ takimi maszynami? To strasznie źle wpływa na środowisko.

Kierowca zobaczył Alana i jego karabin.

Przestał trąbić.

Alan wycelował z M4 i wystrzelił serię. Na przedniej szybie SUV-a pojawiła się siatka pęknięć, spryskana od środka czerwienią.

Zapisały opony. Ludzie skręcali gwałtownie na jego widok, nie myśląc o tym, że są na wiadukcie i nie mieli *gdzie* skręcić. Samochody się zderzały. Zgrzyt metalu. Trzask plastiku. Pękające szkło.

Obejrzał się i zobaczył Petera wychylonego nad barierką wiaduktu z wyrzutnią raket AT4 na ramieniu skierowaną w dół. Z tyłu wyrzutni strzelił stożek ognia, wyrzucając raketę w dół, przez dwie sekundy ciągnącą za sobą smugę dymu, zanim uderzyła w szarego chryslera. Trafiony samochód zmienił się w kulę ognia sunącą z prędkością stu kilometrów na godzinę, rozrzucającą po drodze części i płonące opony. Peter odrzucił pustą rurę wyrzutni, wycelował M4 i zaczął strzelać w kierowców spanikowanych samochodów w dole.

Alan zamierzał za chwilę do niego dołączyć, ale najpierw musiał się zająć ludźmi, którzy utkwili w samochodach. W ciągu dziesięciu sekund wiadukt na Drodze Ośmiomilowej został całkowicie zablokowany.

Alan wycelował i zaczął naciskać spust posyłając kolejne serie w unieruchomione samochody.

## 12:00 ...trafia w wentylator

Murray Longworth nienawidził cholernego Pokoju dowodzenia. Miał go dość, po prostu dość. Może Vanessa Colburn miała rację, może już *przyszedeł* czas na nowe pokolenie. Niech młodzi przejmą kraj, już czas, by Murray Longworth zajął się golfem.

Do diaska, przecież zniszczyli satelitę. *Wygrali*. Powinno być już po wszystkim, a nagle dotarła do niego fala złych wieści tak wielka, że mógłby pod nią utonąć. Opanowało go poczucie beznadziei, wrażenie, że niezależnie od tego, co zrobi, wróg będzie atakował i atakował, próbując go zabić – to nie tylko go dołowało, to go fizycznie wyczerpywało.

Trzydziestu trzech martwych żołnierzy na lotnisku w Gaylord. *Na razie* trzydziestu trzech, bo część rannych nie miała szans na wyleczenie. Ogden zniknął. Razem z nim jego Eksterminatorzy. A teraz Detroit.

Wszyscy zebrali się w pokoju dowodzenia: szefowie połączonych sztabów, sekretarz obrony, Tom Maskill, Vanessa. Za chwilę przyjdzie tu sam Gutierrez.

Główny ekran pokazywał przekazywany z helikoptera wiadomości obraz strzelaniny na autostradzie. W lewym dolnym rogu znajdowało się logo stacji WXYZ-TV z Detroit, na środku podpis głosił „Wiadukt Drogi Ośmiomilowej nad I-75”. Na wszystkich trzech pasach na południe i północ stały setki nieruchomych samochodów. Na I-75 samochody wjechały na skośne pobocze, niektóre stając tam, inne turlały się z powrotem, wywracając się do góry kołami.

Cała droga w obu kierunkach wyglądała tak samo – stojące samochody, dym, płomienie i leżące wszędzie ciała. Jedyne ruch widać było koło zielonego pojazdu.

Humvee.

Nawet z tak wysokiego kąta Murray widział stojących przy nim dwóch ludzi. Za każdym razem, gdy się ruszali, chwilę później pojawiały się błyski wystrzałów z broni automatycznej.

W głośnikach nagle zabrzmiały dźwięki towarzyszące obrazowi.

– ...nie wiemy, kim są ci ludzie i ile osób jest zabitych i rannych. Widzimy stąd ciała. Samochód ma barwy wojskowe, ale nie ma na nim oznaczeń jednostki.

W drodze były już jednostki reagowania powietrznego. Pierwsze zapewne będą samoloty przeciwczołgowe A-10 z Selfridge, potem helikoptery Apacz. Murray zdołał nawet poderwać eskadrę podlegających Ogdenowi czterech samolotów Strike Eagle i modlił się, by nie musiał zrzucić żadnych bomb na Detroit.

– Murray – odezwał się Tom. Murray oderwał wzrok od ekranu. Tom znowu trzymał w ręku słuchawkę telefonu. – Dew Phillips na linii, mówi, że ma informacje o kluczowym znaczeniu.

Murray kiwnął głową, chwycił najbliższy telefon i nacisnął przycisk drugiej linii, znowu oglądając nierzeczywiste obrazy na ekranie.

– Jesteś cały, Dew? – zapytał Murray.



- Tak, Perry też, ale drużyna ludzi Ogdena próbowała nas zabić. Zastrzelili Bauma i Milnera. Perry znalazł lokalizację bramy, jest w Detroit i podobno otworzy się równo o pierwszej piętnaście.

- Mamy w Detroit mnóstwo strzelaniny z broni ręcznej i rakiet - powiedział Murray.  
- Wygląda to na ludzi Ogdena. Facet zniknął, więc albo nie żyje, albo tym wszystkim kieruje.

- Wiemy - odpowiedział Dew. - Pełno o tym w wiadomościach.

- Gdzie jesteś?

- Z kompanią Whiskey - wyjaśnił zapytany. - Dwa plutony w Ospreyach, lecimy do Detroit. Będziemy tam za pół godziny. Wylądujemy, a Perry znajdzie bramę.

Murray wrzucił do ust kolejne cztery tabletki na zgaę. To nie mogło się dziać naprawdę. Przecież już *wygrali*.

- Kolejny! - zawołał Tom.

- Poczekaj chwilę, Dew - rzucił Murray. Popatrzył na ekran. Według informacji na ekranie obraz pochodził z Fox-2 News. Podpis u dołu ekranu informował, że obraz przedstawia „wiadukt 8-milowej nad autostradą M-10 Johna C. Lodge’a”. To co zobaczył było bliźniaczą kopią zdarzeń z wcześniejszego przekazu: setki stojących na drodze samochodów i żołnierze strzelający obok hummera.

Nic nie mogło się przedostać przez spiętrzoną masę samochodów. Ogden blokował autostrady prowadzące do i z Detroit.

Murray wrócił do rozmowy telefonicznej.

- Dew, jeśli to Ogden, to co on u diabła robi?

- Wywołuje chaos. Wygląda na to, że próbuje zablokować cały ruch. Chce mieć kontrolę nad większą strefą z mnóstwem cywili wewnątrz, żebyś nie zrzucił bomb, jeśli znajdziemy bramę.

- Sukinsyn - rzucił Murray.

- Czy pozostałe dwie kompanie DOMREC nadal siedzą w Forcie Bragg?

- Są już w drodze do Detroit - odparł Murray. - Powinni wylądować na DTW za jakieś trzydzieści minut. Aktywowałem również 82. powietrznodesantową. Będą potrzebowali ośmiu godzin, ale...

Jego głos ucichł. Nie musiał kończyć. Jeśli brama się otworzy i coś przez nią przejdzie, 82. będzie pierwszą zorganizowaną jednostką, która zdoła stawić czoła temu czemuś.

- Zrozumiano - rzucił Dew. - Jeszcze jedno. Sierżant major Neelson powiedział, że widział dzisiaj rano przynajmniej dwa plutony kompanii X-Ray na lotnisku. Teraz ich tam nie ma, a na razie doliczyliśmy się tylko dwóch drużyn, więc... to znaczy, że półtora plutonu musi być w drodze do Detroit. Około czterdziestu pięciu ludzi. Wyślij kogoś w powietrze, żeby ich wyeliminowali.

- Wyeliminowali ich? - zapytał Murray. - Nie wiemy, czy ci ludzie są zakażeni. Możemy ustawić blokadę na drodze, sprawdzić ich, a jeśli dadzą wynik ujemny, użyć ich do walki z tym, co Ogden zaplanował w Detroit.

- Blokadę na drodze? - zapytał Dew. - Odpierdoliło ci? Naprawdę chcesz, żeby drogówka próbowała zatrzymać ciężko uzbrojonych, zaprawionych w walce żołnierzy?

Dew miał rację.

- Zajmę się tym - rzucił Murray.
- Cokolwiek zrobisz, Murray, przejdź do ofensywy. Przygnieć ich, niezależnie od kosztów. Musimy posadzić Perry'ego na miejscu, żeby odnaleźć bramę.
- Poczekaj na kompanie Yankee i Zulu z Fortu Bragg - polecił Murray. - Ludzie Ogdena mają stingery, więc możesz się założyć, że zabrał je do Detroit. Zanim wejdiesz, będziemy musieli je policzyć. Nie możemy sobie pozwolić na utratę Dawseya.
- Jeśli Perry ma rację odnośnie do czasu, to cholera otworzy się za siedemdziesiąt pięć minut. Cokolwiek zrobisz, nie zwlekaj z tym.
- Po prostu poczekaj pod miastem - polecił Murray. - Zajmiemy się osłabianiem jego pozycji, przekierowaniem satelitów, żeby sprawdzić, czy zdołamy zauważyć bramę i znalezieniem ci jakiegoś miejsca do lądowania.

## 12:15 Dew ostrzega Margo

Margaret stała w izolatce, patrząc na unieruchomionego policjanta, Carmena Sancheza. Clarence stał na zewnątrz, cierpliwie, cicho, wyraźnie gotowy do działania, gdyby Sanchez zaczął robić coś nieprzewidywanego.

Ale nie było na to szans. Mężczyzna miał trudności z oddychaniem i jego stan z każdą chwilą się pogarszał. Być może wkrótce będzie musiała go intubować. Albo zrezygnować z latrunkuliny, bo nie przeżyje kolejnej godziny jej podawania.

Jego język nadal wyglądał normalnie, a w próbkach tkanki nie widziała pełzaczy.

Albo latrunkulina zadziałała, albo ostatnie pełzacze dotarły już do jego mózgu. Jeśli jednak *faktycznie* tam dotarły, czy środek powstrzymywał je przed utworzeniem tej siatki? Czy mogły ją utworzyć pomimo podawanej trucizny?

Nie. Nie chciała w to wierzyć. Udało się. To odkrycie było znacznie ważniejsze, niż życie samego Sancheza. Latrunkulina *działa*. Zabija je. Nie wszystkie, ale dużo, a to znaczyło, że wreszcie ma broń. Owszem, jej broń wymagała dopracowania, ale przynajmniej miała punkt wyjścia.

A jeśli to nie zadziałało, to nie miała nic. Żadnego leku, żadnej szansy. Sanchez został wystawiony na małą ilość wektora. Jeśli nie mogła pokonać nawet tego, co robi przeciwko większemu narażeniu? Niektóre pęcherze nieznanego mężczyzny urosły do rozmiarów piłki do baseballu, robiąc się sto razy większe od tego, który pękł pod palcami Sancheza. Ktoś, kto oberwie taką dawką nie miał żadnych szans.

Pieprzyć tajemnicę Murraya. Margaret to wszystko ujawni i sprawdzi, czy Dew spełni swoją obietnicę poparcia jej. Czy Clarence też ją poprze, czy nadal będzie „wykonywał rozkazy”?

W jej słuchawce zabrzmiał głos Gitsha.

- Otto, dzwoni Dew.

- Połącz go - poprosił Clarence.

- Masz połączenie, Dew - powiedział Gitsh. - Słyszają cię Otto i Margo.

- Otto, czy ty albo ktoś z twojej ekipy miał jakiś kontakt z ludźmi Ogdena? - W głosie Dewa słyhać było napięcie.

- Nie, sir - odpowiedział Clarence. - Całą noc pracowaliśmy nad nieznanym mężczyzną i policjantem. Nawet nie wiedzieliśmy, że ludzie Ogdena są w Detroit.

- Owszem, są - potwierdził Dew. - I musicie ich unikać za wszelką cenę. Czy twoja przyczepa jest widoczna z głównej drogi?

- Nie. Stoimy ukryci pod małym wiaduktem nad torami, po obu stronach są drzewa. Świetna kryjówka, w ogóle nas nie widać.

- Dobrze - skomentował Dew. - W takim razie po prostu bądź czujny.

- Dew - wtrąciła się Margaret. - Co się dzieje?

- Ogden pracuje dla trójkątów.

Margaret obejrzała się na Clarence'a, chwilowo zapominając o złości.

- Ogden? Jak... Skąd wiecie?

- Jego ludzie próbowali zabić Perry'ego. Perry żyje, ale dorwali Bauma i Milnera. Teraz jego żołnierze rozpętali strzelaninę na autostradach w Detroit, zabijając ludzi na lewo i prawo. Brama jest gdzieś w Detroit, a Ogden chce ją ochronić.

Zadrżała myśląc o implikacjach tego faktu - Ogden i jego ludzie tak po prostu pracujący dla wroga. Ewidentnie przeoczyła coś w Gaylord, a nawet, gdyby jej nowy lek działał, czy nie było już za późno?

- Lecimy tam - dodał Dew. - Perry znajdzie bramę. Jeśli damy radę, dołączymy do was, ale jeśli nie, po prostu uważajcie.

- Wy uważajcie na zakażone ciała - odpowiedziała Margaret. - Tak roznosi się zakażenie. Ciała mogą mieć duże, wypełnione powietrzem pęcherze z zarodnikami. Jeśli któryś przy tobie pęknie, jesteś zakażony. I mogą to przenosić językiem, więc pilnuj, żeby nikt cię nie lizał.

- Zrozumiano. Masz już lekarstwo na to gówno?

- Jesteśmy blisko - odpowiedziała Margaret, oglądając się na Sancheza.

- Przekaż wszystkie dane Murrayowi, Margo, na wypadek, gdyby Ogden cię znalazł i wyeliminował. Siedzicie w fatalnym miejscu. Jestem przekonany, że jesteście *wewnątrz* pierścienia obrony Ogdena.

- Zrozumiano - rzucił Otto.

Teraz nie mogła już przestać. Musiała zabrać stąd Sancheza, z dala od niebezpieczeństwa.

- Dew - odezwała się Margaret. - Rozumiem, co się tu dzieje, ale musimy ewakuować pacjenta. Może być kluczem do zatrzymania tego wszystkiego.

- Jeśli Ogden cię znajdzie, zabije. Uderzył we wszystkie główne drogi wychodzące z Detroit, pozostałe są zatkane przez ludzi próbujących uciec, więc fizycznie nie ma możliwości wyjechania stamtąd ciężarówką. Musicie siedzieć na miejscu albo zostawić kontenery, znaleźć jakąś kryjówkę i schować się do czasu, aż zdołam wam zorganizować jakiś transport. Zrozumiano?

- Ale Dew, to jest kluczowa faza...

- Zrozumiano - przerwał jej Otto. - Ocenimy sytuację i postąpimy stosownie.

- Dobrze - rzucił Dew. - Bez urazy, Margo, ale jeśli nie chcesz poznać, jak smakuje ołów, pozwól Otto się tym zająć. I może raz na jakiś czas odstawiłibyście zabawki dla mózgowców i obejrzeliby cholerne wiadomości.

Dew się rozłączył.

- Wiecie co? - odezwał się Gitsh. - Chyba lepiej przyjdźcie do pokoju komputerowego. Włączyliśmy lokalne wiadomości i mamy poważne kłopoty.

Clarence obejrzał się na Margaret, po czym wyciągnął rękę w stronę śluzy zapraszając ją, by weszła pierwsza.

Kobieta posłała ostatnie spojrzenie Sanchezowi i ruszyła do śluzy.

## 12:20 Punkty dodatkowe

Lot linii Northwest 237 z Detroit do Bangor nie miał żadnych szans.

Airbus A319 ze 193 pasażerami na pokładzie wystartował z lotniska Detroit Metro. Michelle McMichael, lat sześćdziesiąt trzy, siedziała przy oknie, ponieważ Bernie, jej mąż od czterdziestu lat, musiał chodzić do ubikacji praktycznie co dwadzieścia minut. Więc to on siedział przy przejściu. Michelle nie miała nic przeciwko temu. Lubiła trzymać na kolanach mapę i wyglądać za okno podczas lotu. Korzystanie z mapy do identyfikowania punktów charakterystycznych było dobrym sposobem na spędzanie czasu. A319 skręcił w prawo, zapewniając jej dobry widok na długi pas I-94. Według mapy patrzyła na południe od Taylor, Michigan. Obejrzała się do tyłu, w stronę lotniska.

I wtedy to zobaczyła.

Michelle nie znała się specjalnie na broni, ale widziała dość filmów, by rozpoznać smugę dymu z wystrzelonej rakiety. I od razu zrozumiała, że to koniec.

Michelle miała dość czasu, by chwycić i ścisnąć dłoń Berniego. Spojrzała mu w oczy i powiedziała „kocham cię”, w chwili, gdy rakietą Stinger trafiła A319 tuż za prawym skrzydłem.

Głowica bojowa wybuchła, rozrywając samolot na dwie części i odrywając od niego prawe skrzydło. Michelle zginęła przy uderzeniu, razem z fotelem rozerwana na trzy kawałki. Bernie przeżył wybuch, ledwie, ale szybko spłonął w kuli ognia, która przetoczyła się przez zniszczoną kabinę.

Ogon A319 zawirował i zaczął spadać. Środek kadłuba rozerwała wtórna eksplozja. Dziobowa część A319, do dziesiątego rzędu, poleciała łukiem w stronę miasta, ciągnąc za sobą ogień i dym niczym druga, olbrzymia rakietą.



Na północno-zachodnim rogu lotniska Detroit Metropolitan, o oznaczeniu DTW, Vining Road przebiega nad torami kolejowymi. Pod wiaduktem stali Brian Hunt i Jordan Willis, jeszcze niedawno z kompanii X-Ray Batalionu Reagowania Krajowego, teraz dumni członkowie Armii Chelsea. Wiadukt zapewniał osłonę ludzi i hummera, dając przy tym dobre pole ostrzału na kilka pasów startowych DTW.

Jordan przyglądał się startującemu samolotowi lotu 237 i odczekał, aż maszyna zacznie skręcać na północ. Wiedział, że to zrobi, bo korzystając z telefonu sprawdził rozkład lotów i dowiedział się, że ten leci do Bangor. Gdy tylko łuk maszyny zbliżył ją do Detroit, wycelował stingera, namierzył cel i wystrzelił. Do widzenia, locie 237.

- W dziesiątkę, Jordan - skomentował Brian. - Chelsea będzie cię bardzo kochać. To był piękny strzał.

Szeregowy Jordan Willis kiwnął głową. Mógł tylko mieć nadzieję, że jego działania spodoba się Chelsea. I to *faktycznie* był wspaniały strzał.

- Czekaj - rzucił. - Chyba zaliczyłem podwójnie.

Dwadzieścia kilometrów od ich pozycji spadająca część dziobowa A319 ciągnęła za sobą gruby warkocz dymu, spadając w stronę przedmieść Detroit. W chwili, gdy spadła na ziemię, ku niebu wzbijała się kolejna kula ognia.

- Punkty dodatkowe - skomentował Brian. - Dobra robota.

- Dzięki. Heh, patrz jak samoloty zaczęły uciekać. Założę się, że nie proszą wieży o zgody na zmianę planów lotów.

Jeszcze chwilę temu do lądowania podchodził samolot, a kilka innych krążyło, czekając na pozwolenie na lądowanie. Teraz wszystkie odlatywały. Samoloty pasażerskie były wielkie, ale wyglądało na to, że mimo wszystko potrafią pokazać pazury, gdy pilot wydusił z silników całą moc.

Brian oparł na ramieniu swojego stingera, szukając odpowiedniego celu.

- Będziesz z tego strzelał, czy tylko się tym bawisz? - zapytał Jordan.

- Chyba lepiej będzie, jeśli go zachowam - stwierdził Brian. - Generał powiedział, że mogą spróbować ściągnąć tu C-5 albo jakieś C-17. Jeśli spróbują, walnę któregoś przy podchodzeniu. Odstawił stingera i zamiast niego dźwignął jedną z pięciu wyrzutni rakiet przeciwczołgowych AT4.

Jordan potrząsnął głową. Lubiał Briana, ale czasami facet zupełnie nie myślał.

- To rakiety przeciwczołgowe, durniu. Przecież tu nie ma żadnych czołgów.

- A co powiesz na cysterne z benzyną? - Brian wskazał 747 stojący na skraju pasa startowego. - Ten samolot chyba miał startować, zanim zestrzełiłeś tamtego. W powietrzu potrafią się całkiem nieźle ruszać, ale coś mi mówi, że na ziemi nie są mistrzami uników.

Jordan popatrzył na samolot, stojący na pasie jak wielka kaczka. No proszę.

- Nie powinienem był w ciebie wątpić - wyznał Jordan. - Właściwie to mnie zainspirowałeś. Zobaczmy, czy dam radę trafić z AT4 w wieżę kontroli lotu. I przepraszam za nazwanie cię durniem.

- Nie ma sprawy - rzucił Brian celując w stojący samolot pasażerski. Pociągnął za spust.

## 12:25 Baza

Clarence, Gitsh, Marcus, Dan i Margaret siedzieli w pokoju komputerowym przyczepy A. Każdy z trzech ekranów komputerowych pokazywał obraz z innej stacji lokalnej. Ekran po lewej wyświetlał przekazywaną na żywo relację z płonącego samolotu na wschód od Dearborn. Prezenter twierdził, że samolot został zestrzelony przez rakietę. Na środkowym ekranie widać było spanikowanych ludzi uciekających z wieży Renaissance Center, z której popękanego, szklanego szczytu wzbijały się kłęby dymu szalejącego wewnątrz pożaru. Podobno do środka dostali się ludzie z bronią, zabijając wszystkich, których zobaczyli, po czym zaczęli niszczyć budynek raketami z przenośnych wyrzutni. Ekran po prawej prezentował masywny samolot bojowy A-10, przelatujący nisko nad zielonym samochodem zaparkowanym na środku wiaduktu Drogi Ośmiomilowej. Nawet przy niezbyt ostrym obrazie Margaret zobaczyła, jak humvee trzęsie się pod gradem kul.

- To szaleństwo - skomentowała. - To przypomina zdjęcia z Iranu, czy czegoś takiego.

- Chyba zostaniemy tutaj - oznajmił Gitsh. - Wszędzie tam pełno ludzi, samochody pędzą chyba setką, o ile się ze sobą nie zderzają. I w każdej chwili mogą nas zobaczyć ludzie Ogdena.

- Nie, stary - zaprotestował Marcus. - Powinniśmy ruszyć teraz właśnie *dlatego*, że wszędzie jest pełno ludzi. Będziemy tylko kolejną grupą cywilów uciekających w poszukiwaniu miejsca do ukrycia się.

- Stoimy na torach kolejowych, których nie używano od trzydziestu lat i to na dodatek pod cholernym wiaduktem - odpowiedział Gitsh. - Nawet nas nie widać z drogi. Zostańmy na miejscu i przeczekajmy to wszystko.

- Słuchaj - Marcus nie dawał za wygraną. - Ten NN w pokoju do autopsji? Znalaziono go niecałą przecznicę stąd. I w porządku, gdyby chodziło tylko o niego, ale teraz zakażeni są wszędzie dookoła. Ci ludzie trzymają się razem, a to znaczy, że ich baza czy kryjówka musi być gdzieś blisko. Wystarczy, że w tę przyczepę trafi jedna rakietka, i *wszyscy* zginiemy. Wyjdźmy stąd piechotą, znajdziemy budynek, w którym będzie można się ukryć i się rozproszmy, to może przeżyjemy.

- Chcesz powiedzieć, że może *niektórzy* z nas przeżyją - skorygował Gitsh. - Chcesz stąd zwać, bo znasz się na tej cholernej walce miejskiej i chcesz uratować swój tyłek.

- Skurw...

- Dość - warknął Clarence. Mówił cicho, ale bardzo stanowczo. - To moja decyzja i zostaniemy. Te strzelaniny na autostradzie, które właśnie zaatakowano, są piętnaście kilometrów stąd. A to prawdopodobnie znaczy, że ludzi Ogdena nie ma nigdzie w pobliżu. Nie mamy sprzętu, żeby się z nimi mierzyć. Jak nas zobaczą, to po nas, więc zostaniemy tutaj, gdzie nas nie widać.

- A co z gliniarzem? - zapytał Gitsh.

- Co z nim? - zapytała Margaret.

- Obudź się, doktoro - rzucił Gitsh. - Co będzie, jeśli się obudzi i zacznie krzyczeć?

- To nam raczej nie grozi - skomentował Dan. - Jest w bardzo kiepskim stanie.

Gitsh się roześmiał.

- Tak, Betty Jewell też była w kiepskim stanie, prawda? Zresztą te cholerstwa potrafią ze sobą rozmawiać na odległość.

- Nie on - zapewniła Margaret. - Wyleczyliśmy go.

- *Myślisz, że go wyleczyliśmy* - poprawił ją Dan. - Tak naprawdę tego nie wiesz.

- Musimy go zabić - oświadczył Gitsh.

- On ma rację - zgodził się Marcus. - Musimy go zabić.

- Nie możecie - zaprotestowała Margaret. - Tu nie chodzi tylko o naszą piątkę. Sanchez może być kluczem do leczenia nowego rodzaju zakażenia. Będę go pilnować.

- Zgadzam się z Gitshem - odezwał się doktor Dan. - Jeśli zacznie mówić, będzie po nas. Głosuję za zabiciem go.

Wyszczrzyła się do Dana.

- I gdzie się podziało bycie lekarzem?

Wzruszył ramionami.

- On i tak zginie z przedawkowania latrunkuliny, więc co za różnica? Zabijmy go teraz.

Gitsh kiwnął głową.

- To trzy głosy. Większość decyduje.

- To nie jest demokracja - nieoczekiwanie odezwał się Clarence. - To dyktatura i to ja jestem dyktatorem. Sanchez to cywil, glina. Złapał to świństwo na służbie. I Margaret ma rację, może być kluczem do stworzenia leku. O ile nie będziemy mieli pewności, że stanowi zagrożenie, zostanie na miejscu. Margaret będzie go obserwować, ja zostanę z nią - jeśli będzie stanowił zagrożenie, sam go zabiję. W porządku?

Gitsh, Marcus i Dan wymienili spojrzenia i kiwnęli głowami. Żaden z nich ani przez chwilę nie wątpił, że jeśli będzie to konieczne, Clarence zabije Sancheza. Margaret zaczęła się zastanawiać, czy uratowała swojego pacjenta, czy tylko opóźniła jego egzekucję.

- Pójdziemy z Margaret do przyczepy B - oświadczył Otto. - Gdy tylko skończymy się ubierać, zróbcie to samo. Chcę, żeby wszyscy mieli na sobie kombinezony. Dan, zostań tu, oglądaj wiadomości i krzycz, gdyby pojawiło się coś, o czym powinniśmy wiedzieć. Gitsh i Marcus, zajmijcie pozycje z przodu i z tyłu samochodów i wypatrujcie kłopotów. Jeśli zobaczycie coś podejrzanego, mówcie o tym na wspólnym kanale. Nie atakujcie bez pozostałych, rozumiano?

Gitsh i Marcus przytaknęli.

- Chodźmy, doktor Montoya - zwrócił się do niej Clarence. - Zajmijmy się pani pacjentem.



## 12:30 Sparaliżowane miasto

Pokój dowodzenia wypełniał zgiełk tuzina ożywionych rozmów telefonicznych. Na głównym ekranie wyświetlano zdjęcia satelitarne Detroit. Inne monitory pokazywały obrazy na żywo z kamer wiadomości i mapy taktyczne upstrzone symbolami jednostek. Jeden z ekranów pokazywał liczby: martwych i rannych.

U góry każdego ekranu naniesiono odliczanie: czterdzieści pięć minut i piętnaście sekund, czyli czas pozostały do godziny trzynastej piętnaście.

Prezydent John Gutierrez siedział u szczytu stołu z twarzą zastygłą w maskę bez wyrazu. Po kolei przyglądał się wszystkim monitorom, potem zaczynał od początku. Murray pocił się jak w łaźni i prawie dyszał, a Gutierrez siedział spokojny, opanowany... Wyglądał, jak przywódca.

Niewzruszona Vanessa Coleburn również się nie pociła. Obsługiwała telefony, cicho doradzając Gutierrezowi, ale tylko wtedy, gdy o to poprosił. Świat sekretów Murraya rozsypywał się wokół niego, a on sam zaczął się zastanawiać, czy może jednak kobieta wcale nie jest politycznym wampirem, za jakiego ją wziął. Po raz pierwszy zaczął dopuszczać do siebie myśl, że może to on się mylił, a Vanessa miała rację, chcąc go wygryźć.

Generał Cooper przyciskał słuchawki telefonów do obu uszu. Kiwnął głową, po czym opuścił słuchawki na ramiona i zawołał do zebranych w pokoju.

- Zauważono konwój wojskowy jadący na południe drogą I-75 - oznajmił. - Siedem pojazdów, w tym dwie ciężarówki z personelem. Około sześćdziesięciu ludzi. Na ich spotkanie zbliża się eskadra apaczów.

- Na autostradzie? - rzucił Gutierrez. - Jakiego rodzaju straty cywilne nam grożą?

- Umiarkowane - odpowiedział Cooper. - W każdym razie zdecydowanie mniejsze, niż jeśli te dwa plutony zjadą z drogi i dostaną się między domy.

- Zróbcie to - rozkazał Gutierrez.

Bez wahania. Facet może się okazać całkiem w porządku. Murray miał taką nadzieję, bo już przyszedł czas, by przekazać pałeczkę następnemu pokoleniu. Nie wiedział, ile jeszcze tego wytrzyma. Prowadzenie zabaw rodem z Zimnej Wojny z Irańczykami to jedno, ale ludzie Ogdena niszczyli Detroit.

*Detroit.*

Droga Ośmiomilowa przechodziła nad każdą większą autostradą na północ od miasta. I na każdym skrzyżowaniu piętrzyły się wielkie korki z wraków. Setki samochodów, część płonących, między nimi ciała ludzi zastrzelonych podczas próby ucieczki na piechotę. Ludzie Ogdena zaatakowali także większe drogi na zachodzie: skrzyżowanie I-96 oraz I-94, a także skrzyżowanie I-96 z I-75. Zwykle drogi stanowiły teraz jedyny sposób na wydostanie się z miasta, jednak zostały zablokowane samochodami spanikowanych obywateli, którzy próbowali uciec przed płonącymi budynkami i przypadkowym ostrzałem z broni automatycznej, który rozlegał się co kilka minut w innych miejscach. Rozciągające się praktycznie na całe miasto korki i strzelaniny w różnych miejscach sprawiły, że policja Detroit była rozproszona i

zdezorientowana. Gdy izolowane jednostki policji napotykały ludzi Ogdena, żołnierze zabijali ich z broni automatycznej lub rozwalali radiowozy raketami przeciwpancernymi.

Ogden nie ograniczył się do dróg.

Pożar trawił górne dziesięć pięter wieży budynku Renaissance Center. Zachodni wiatr niósł gęsty, ciężki dym nad całym miastem, w stronę Ann Arbor. Budynki Fishera i Pnobscotta również płonęły – trzy najwyższe wieżowce w mieście trawiły pożary, których nie sposób było opanować. Strażacy walczyli z nimi tak samo, jak z połową tuzina innych pożarów wywołanych przez zestrzelenie samolotu Northwest 237.

Pasy startowe lotniska Metropolitan Detroit blokowały dwa płonące wraki samolotów. Płonęła główna wieża kontroli lotów. Strzelaniny w przypadkowych miejscach. Setki zabitych. Ochrona lotniska nie znalazła napastników co znaczyło, że wciąż mogli być w pobliżu. Ktoś szacował, że ataku dokonało pięciu ludzi, inni mówili nawet o dwudziestu.

Mniejsze lotnisko Detroit City? To samo – zablokowane pasy startowe, płonące wraki, zniszczona wieża. Całkowicie wyłączone.

Ataki przeprowadzono niecałe czterdzieści minut temu, a jednak Ogden zdołał wyeliminować wszystkie lotniska, zablokować drogi i zająć wszystkich gliniarzy, strażaków i ratowników medycznych.

– Spójrzcie na to – odezwał się Gutierrez. – Popatrzcie, co się dzieje. Ilu ludzi Ogden ma w Detroit?

– Może koło sześćdziesięciu – odpowiedział Murray. – Nie jesteśmy pewni.

– Sześćdziesięciu ludzi – stwierdził Gutierrez. – Dwa plutony wystarczyły, żeby sparaliżował duże miasto. Co stanie się z Ameryką, jeśli zakażenie przeniesie się na sześciuset ludzi? Sześć *tysięcy*? Musimy to powstrzymać właśnie tam... Nie możemy tego wypuścić.

Murray popatrzył na ekrany i w duchu przeklął Charliego Ogdena. Facet *doskonale* wiedział, co robi. To wszystko się skończy, gdy dotrze pięć samolotów C-17 z Fortu Bragg. Pięć maszyn przewoziło dwie pełne kompanie razem z pojazdami i ciężką bronią. Impreza Ogdena wkrótce się skończy.

– Generale Cooper, potrzebujemy lotniska – powiedział Murray. – Musimy założyć, że Ogden zestrzelił wszystko, co zbliży się do DTW.

– Niech go szlag!

W pokoju zapadła cisza, a oczy wszystkich zwróciły się na generała Luisa Monroe'a. Zazwyczaj spokojny, bogobojny Monroe zaklął właśnie na całe gardło. W obu dłoniach trzymał słuchawkę telefonu, ściskając ją tak, jakby to ona była przyczyną jego furii.

– C-17 – wyjaśnił. – Dwa właśnie zestrzelono. Mam doniesienia o strzałach z broni automatycznej w przedziałach towarowych, gdzie byli żołnierze. Jakieś wybuchy, prawdopodobnie granaty. Straciliśmy większość kompanii Zulu i Yankee razem z załogami. Przynajmniej dwustu ludzi.

W pokoju dowodzenia zapadła cisza.

Kolejny prezent Ogdena – facet naprawdę znał się na swojej robocie.

Gutierrez popatrzył gniewnie na Murraya.

- Co jeszcze mamy, co może tam dotrzeć przed pierwszą piętnaście? - zapytał.

- Dewa Phillipsa i sześćdziesięciu trzech ludzi pozostałych z kompanii Whiskey - odpowiedział Murray. - Biorąc pod uwagę to, w jakim stanie jest teraz Detroit, to wszystko.

- Nie mamy pojęcia, gdzie znajduje się brama - zauważył Gutierrez. - Nie mamy żadnych sił na miejscu. Nie mamy prawie żadnej łączności z miastem i brak wsparcia, które mogłoby tam dotrzeć w mniej niż sześć godzin. Chcę, żeby Phillips znalazł się tam natychmiast. Nie stawiamy wszystkiego na opcje naszych F-15, dobrze?

Murray kiwnął głową.

- Generale Monroe, musi pan nasycić ten rejon siłami powietrznymi, spróbować wyeliminować więcej ludzi Ogdena i ściągnąć ogień z pozostałych w ich rękach stingerów.

Monroe przytaknął i wrócił do telefonu.

Najwyższy czas, by Dew i Perry znaleźli tę bramę i ją zniszczyli, bo Murray zdecydowanie nie chciał zostawiać tego w szponach F-15 strike eagle. Samoloty były uzbrojone w duże, tysięczkilowe bomby i atomówkę.

Zauważył, że Gutierrez nie określił, której opcji użyje.

## 12:35 Policjant Sanchez

*Obudź się, śpiochu.*

Członek sił policyjnych Detroit Carmen Sanchez otworzył oczy. Potrzebował chwili, by zorientować się w swoim położeniu. Był bardzo słaby, ledwie mógł się ruszać. A właściwie to owszem, *był* słaby, ale nie mógł się ruszać, ponieważ był przywiązany za ręce i nogi do podłoża.

- Obudził się - usłyszał stłumiony głos. Z jego lewej strony stała kobieta ubrana w jakiś dziwny strój na Halloween.

Oddychanie sprawiało mu ból. Jak bardzo musiał być pokiereszowany, skoro bolało go oddychanie? Dość poważnie, ale Bóg przemawiający mu w głowie był zupełnie inną sprawą.

- Słyszysz mnie pan, Sanchez?

Kiwnął głową. Słyszał jej głos dobiegający z głośników na ścianach, co było dziwne, bo kobieta stała tuż obok niego.

*Ach, tu jesteś!*

Nigdy nie wierzył w Boga. Nigdy. Ożenił się w kościele, jasne, ale to nic nie znaczyło, *wszyscy* żenili się w kościele, chyba że byli pieprzonymi hipisami. Jednak teraz, gdy słyszał głos Boga w swojej głowie, cóż, w ten sposób trochę łatwiej było uwierzyć.

- Panie Sanchez, jestem doktor Montoya. Jest pan ciężko chory. Proszę kiwnąć głową, jeśli mnie pan rozumie.

Kiwnął głową.

*Chciałbyś do nas dołączyć?*

- Nie mogę - odpowiedział Sanchez. - Jestem przywiązany.

- Ach, może pan mówić - stwierdziła doktor Montoya. - To świetnie. Czy może pan odpowiedzieć na kilka pytań na temat tego, jak się pan czuje?

Sanchez przytaknął.

*Pana myśli są bardzo słabe, panie Sanchez. Nie jestem pewna, czy na coś się pan nam przyda.*

- W takim razie niech pan zrobi głęboki wdech - poprosiła doktor Montoya.

- Może... nie - odpowiedział Sanchez.

- Może nie co? - zdziwiła się kobieta. - Nie może pan głęboko nabrać powietrza?

*W takim razie, panie Sanchez, ludzie, którzy są z panem są bardzo źli. Co powinniśmy z tym zrobić?*

- Zabij mnie - poprosił Sanchez.

- Panie Sanchez, nie zamierzamy pana zabijać. Wyjdzie pan z tego.

*Rozumiem. Idziemy do pana.*

Odwrócił głowę, by popatrzeć na kobietę. Uśmiechnął się do niej.

- Ona... przyjdzie... - powiedział. - Czy to... nie jest... miłe?

Doktor Montoya wyprostowała się, odsuwając się od niego. Nagle zaczęła wyglądać, jakby się wystraszyła.

- Kto przyjdzie?

- Ch... ch... Chelsea.

Nie zobaczył ruchu jej ręki, ale poczuł, jak odziane w rękawice palce zaciskają się na jego szczęce, zmuszając go do otwarcia ust.

- Nie! - krzyknęła doktor Montoya. Jej głos brzmiał tak, jakby mogła się rozplakać. -  
*Nie.*

- O co chodzi, Margaret?

Głos mężczyzny. Bóg pewnie zabije i jego.

- Jego język - odpowiedziała Margaret. - Ma na nim niebieskie punkty.

- Idź do komory do odkażania i poczekaj tam na mnie - polecił mężczyzna. - Już.

Sanchez usłyszał kroki, dźwięk otwieranych drzwi, potem trochę dalej otworzyły się kolejne drzwi... Wszystko było trochę rozmazane. Wszystko tak bardzo go bolało, a jego mózg nie nadążał z przetwarzaniem dźwięków.

*Przykro mi, że nie może pan do nas dołączyć, panie Sanchez, ale naprawdę bardzo nam pan pomógł, bo szukaliśmy złych ludzi, którzy to panu zrobili.*

- Cieszę się - odpowiedział.

Kolejny czarny strój z lewej strony. Większy. Za szybą hełmu zobaczył czarnoskórego mężczyznę. Ze złamanym zębem. I pistoletem w dłoni.

- Przykro mi, że muszę to zrobić - powiedział mężczyzna.

Sanchez zobaczył błysk i świat się skończył.

## 12:37 Znowu w drodze

Margaret czekała na Clarence'a w komorze do odkażania. Wiedziała, co zamierzał zrobić i zdawała sobie sprawę, że zajmie mu to tylko parę chwil.

Po prostu nie chciała przy tym być. Chciała wrócić do domu, do swojego mieszkania w Cincinnati. Chciała wydać zdecydowanie za dużo na Starbucksa i usiąść, czytając „People” albo „US Weekly”, coś naprawdę głupiego, bo chciała *być* głupia.

Może już zgłupiała.

Jej mózg wydawał się nie być wiele wart. Nie uratował Amosa. Nie uratował Betty Jewell ani Bernadette Smith. Nie uratował policjanta Carmena Sancheza.

Za dużo śmierci. Za wiele porażek.

Clarence wszedł do komory do odkażania i zamknął za sobą drzwi służby. Margaret włączyła dysze. Dzięki słuchawce w uchu słyszała rozkazy wydawane przez Clarence'a pomimo szumu działających pod ciśnieniem dysz.

- Dan, wyjdź na zewnątrz, z tyłu przyczepty A - polecił Clarence. - Gitsh, Marcus, spadamy stąd. Sprawdźcie od północy, przy ciągnikach i upewnijcie się, że nikt nie idzie starymi torami kolejowymi.

- Zrozumiano - rzucił Marcus.

Margaret wyłączyła dysze i otworzyła drugie drzwi. Kilka sekund później, ociekając ługiem, wyszli z przyczepty w cień wiaduktu. Dan stał tam w stroju chroniącym przed zagrożeniem biologicznym, z pistoletem w dłoni, i wyglądał na przestraszonego.

- Dobra - rzucił Clarence. - Wyjdziemy drogą, którą tu przyjechaliśmy i ruszymy w stronę wody. Tam będziemy musieli uważać na ataki tylko z trzech stron. Pójdę pierwszy, Gitsh i Marcus, wy z tyłu. Dan, pójdziesz środkiem, z...

- Towarzystwo! - Głos Gitsha, ostry i przejęty, uciał Clarence'owi w połowie zdania.

Rozległy się strzały, ogłuszające w ograniczonej przestrzeni pod wiaduktem. Margaret podniosła ręce wokół głowy, w odruchowej, panicznej reakcji. Jakaś dłoń szarpnęła ją za nadgarstek, zmuszając do biegu.

Światło słońca. Znalazła się po drugiej stronie wiaduktu zanim zorientowała się, że ciągnie ją Clarence.

- *Szybko*, Margaret! - Biegąc z zaciśniętym gardłem potknęła się, ale udało się jej nie wywrócić.

Odgłosy strzałów rozbrzmiewały za jej plecami.

Przed sobą, pod następnym wiaduktem, zobaczyła dwa samochody. Kompakta i kabriolet. Prawdopodobnie po prostu ludzie szukający schronienia, ale Clarence najwyraźniej nie chciał sprawdzać tego na własnej skórze.

- Tędy! - krzyknął skracając w prawo, po czym zaczął szybko wspinać się po stromym, porośniętym drzewami i pokrytym śniegiem zboczem. Margaret pobiegła za nim, podciągając się rękami, odpychając nogami, z sercem walącym jak młot.

Syczący dźwięk za plecami.

Potem ogłuszający grzmot.

Obejrzała się: kula ognia i kłęby dymu pod wiaduktem, tak gęste, że nie dostrzegła przez nie nawet Margo Mobilu.

Jakaś ręka zaczęła popychać ją za tyłek.

- Ruszaj się! - krzyknął Daniel. - Mają pieprzone rakiety!

Wspinała się pod górę, drąc kolanami po ziemi i kamieniach, zanim przypomniała sobie o noszonym kombinezonie ochronnym i przerzuciła się na podpieranie tylko dłońmi i stopami. Różne ostre elementy dźgały ją w dłonie i palce przez PCW, ale później mogła pozalepiać dziury taśmą. Dotarli do czarnego płotu na szczycie pochyłości. Palce w rękawiczkach zacisnęły się na oczku siatki i przerzuciła ciało górą, zanim do końca zorientowała się, co robi.

Kolejne wystrzały z tyłu. Coś świsnęło jej koło głowy.

Daniel krzyknął.

Margaret puściła siatkę i twardo wylądowała na ziemi. Wstała i rozejrzała się wokół. Biały budynek, salon Forda. Za sobą miała płot, za nim... Daniel staczał się bezwładnie w dół pochyłości.

Clarence znowu mocno chwycił ją za rękę.

- Biegiem!

Pobiegli oddalając się od salonu, na ośmiopasmową drogę zatkaną stojącymi zderzak w zderzak samochodami. Po drugiej stronie ulicy nie było budynków, tylko kolejny pusty plac z lewej i parking po prawej. Niektórzy kierowcy rozglądali się przez okna samochodów, ale większość usłyszała wybuch lub zobaczyła kłęby dymu i pospiesznie opuszczała samochody, biegnąc, by ukryć się w wypatrzonych miejscach.

Margaret w końcu odzyskała równowagę i wyrwała rękę z uchwytu Clarence'a.

- Biegnij. Będę za tobą. Co z Gitshem i Marcusem?

- Zabici. A Dan dostał w głowę, już po nim.

Przecisnęli się między samochodami i wbiegli na częściowo pusty parking obstawiony drzewami wyrastającymi z niewielkich przerw w asfalcie. Po drugiej stronie przeskoczyli niższy płot i znaleźli się na brukowanej ulicy, której nierówne kamienie wyraźnie wyczuwali pod podeszwami grubych butów kombinezonów. Dwie przecznice dalej, za kolejnymi, porośniętymi drzewami i pełnymi porzuconych wraków placami zobaczyła porzucony, trzypiętrowy budynek z cegły. Wyblakłe litery na szarzałym tle u góry budynku układały się w napis GLOBE TRADING COMPANY i jakiś mniejszy tekst, którego nie potrafiła odczytać z tej odległości. Ruszyła w stronę budynku, ale Clarence znowu złapał ją za nadgarstek.

- Nie, stój - powiedział. - Popatrz na dół, tam przy rogu.

Przyjrzała się i zobaczyła wybiegających z budynku dwóch ludzi w mundurach. Chwilę później jeszcze dwóch.

- Mają tam swoich ludzi - stwierdził Clarence. - To równie dobrze może być ich baza. Musimy stąd uciekać, szybko!

Ludzie biegali we wszystkie strony. Nie był to masowy pęd z filmu o potworach, raczej ciche biegi, ludzie pochyleni, rozglądający się na wszystkie strony, wypatrujący następnego zagrożenia. Margaret i Clarence musieli wyglądać groźnie, bo po jednym spojrzeniu w ich stronę większość osób uciekała w przeciwnym kierunku.

Oboje pobiegli w lewo brukowaną drogą, zostawiając opuszczone place i budynek Globe za sobą, po prawej. Znowu usłyszała strzały za plecami – mężczyźni, którzy zabili Gitsha, Marcusa i doktora Dana, zobaczyli ich wcześniej i nie rezygnowali z pościgu. Cholera, cholera, *cholera*, czy tak miało się skończyć jej życie? Kula w plecy?

Nawierzchnia zmieniła się z nierównego bruku na nierówne betonowe płyty. Po prawej jednopiętrowy budynek z czerwonej cegły, z otwartą bramą załadunkową dla ciężarówek. Clarence skręcił do niego.

Margaret była już wyczerpana.

- Gdzie idziemy?

- Jak najdalej od strzałów - odpowiedział Clarence. Zatrzymał się w bramie załadunkowej budynku, chwycił ją w pasie i posadził na krawędzi, po czym wskoczył tam za nią.

- Po prostu biegnij, Margo, musimy znaleźć jakąś kryjówkę, albo zginiemy.



## 12:35 Wielki dzień kaprala Cope'a

Konwój gnał autostradą I-75. Trzy humvee, potem dwie pięciotonowe ciężarówki M939, za nimi jeszcze trzy humvee. Widząc tyle ciężkiego sprzętu pędzącego sto trzydzieści na godzinę, inne samochody uciekały z lewego pasa i pozwalały konwojowi przemknąć dalej. Po obu stronach drogi rozciągały się pola, ze śniegiem pokrywającym pozostałości zeszłorocznych plonów. Za polami rzędy drzew, przynajmniej czterysta metrów od drogi. Piękne widoki.

Kapral Cope jechał w trzecim hummerze, czując połączenie z Bogiem. Wkrótce zobaczą wspianą bramę i jeśli Bóg pozwoli, będą tam, gdy przejdą przez nią anioły.

Jednak wyglądało na to, że Bóg miał inne plany.

Pierwszy humvee zmienił się nagle z eleganckiego kawałka wojskowego sprzętu w pomarańczową kulę ognia, plującą kawałkami metalu i ciał po całej autostradzie. Wybuch ogarnął wolno jadącego volkswagena garbusa na prawym pasie i posłał część tylnej osi przez przednią szybę forda explorera tuż za nim.

Drugi humvee ostro skręcił w prawo, omijając tracącego panowanie explorera i płonącego garbusa. Kierowca humvee wykazał się fenomenalnym refleksem, ale przy stu trzydziestu kilometrach na godzinę ciężki pojazd nie zdołał utrzymać kontaktu z nawierzchnią. Jego tylna część pojechała poślizgiem na prawo, ustawiając wóz prawie poprzecznie do drogi gdy koła złapały trakcję i przewrócił się gwałtownie, turlając się do rowu. Cope zobaczył znieruchomiałą klatkę obrazu z mężczyzną wyrzuconym w powietrze bez ręki i części nogi.

Kierowca Cope'a skręcił w lewo, omijając płonący, wciąż sunący do przodu wrak pierwszego humvee. Gdyby byli w Iraku, z powstańcami na dachach mierzącymi do nich z ręcznych wyrzutni przeciwpancernych, byłby to najlepszy możliwy manewr. Jednak to nie był Irak i tym razem wdepnięcie na gaz sprawiło, że humvee Cope'a stał się głównym celem.

- Zatrzymaj się! - Cope krzyknął do kierowcy. - Robisz z nas kaczkę na strzelnicy!

Kierowca mocno wdepnął na hamulec, rzucając Cope'a do przodu.

- *Biegiem!* - znowu krzyknął Cope. - Kryć się!

Wyskoczył przez drzwi pasażera i pobiegł sprintem. Biegając spojrzał do góry, żeby zobaczyć, co zabija jego ludzi. Helikoptery bojowe Apache Longbow. Groźne ciemne sylwetki przypominające latające czołgi, z charakterystycznymi kopułkami radarów nad rozmytymi łopatami wirników.

Miał poważne kłopoty.

Biegając po betonie na prawe pobocze obejrzał się na swojego humvee. Szeregowy Bates nie wyskoczył, tylko zajął miejsce w wieżyczce z M249, próbując odpowiedzieć ogniem. Nie zdążył nawet nacisnąć na spust, zanim w samochód trafiła rakietka Hellfire. Humvee zmienił się w wielką kulę ognia. Podmuch rzucił Copem do rowu z prawej strony drogi. Mocno walnął o ziemię, ale adrenalina nie dała mu leżeć - zebrał się na nogi i pokonał półtorametrowy skos po drugiej stronie rowu.

Przed sobą miał pokryte śniegiem pole kukurydzy, pełne nieregularnych, wysokich do kolan, gnijących żółtych łodyg. Od lasu dzieliło go przynajmniej sto metrów.

Cope jeszcze raz rozejrzał się szybko. Kilku żołnierzy biegło przez pole w stronę lasu, ale tylko kilku. Na drodze za nim ku niebu wznosiły się wysokie kolumny czarnego dymu. Pięć humvee i dwie ciężarówki, wszystkie zniszczone. Okolica wyglądała bardziej jak droga do Bagdadu niż autostrada w Michigan.

Te otwarte przestrzenie. Jeśli piloci apaczy nie zobaczą go w popołudniowym słońcu, skorzystają z namierzania w podczerwieni – ciepłe ciało żołnierza wyraźnie odcinało się od zmarzniętej ziemi.

Pułapka. Dobre miejsce na zasadzkę. Apacze zapewne czekały na nich tuż za wzgórzem.

Nie miał szans, ale i tak pobiegł.

Trzydzieści metrów dalej z prawej biegł inny żołnierz. W stronę mężczyzny sięgnęła poszarpana linia czerwonych smug, przypominająca promień śmierci z filmu fantastyczno-naukowego – pociski smugowe z 30-milimetrowego działka śmigłowca. Pociski wybuchały uderzając w ziemię, wyrzucając w powietrze bryły zamrożonego błota wielkości człowieka i chmury dymu. Pierwsze pociski wylądowały za bardzo z prawej, ale promień śmierci błyskawicznie został naprowadzony na cel i żołnierz dosłownie eksplodował w chmurze krwi.

Kapral Jeff Cope biegł dalej.

Przebiegł prawie piętnaście metrów, zanim usłyszał grzmot po lewej. Obejrzał się i zobaczył złożony z pocisków smugowych promień śmierci sunący w jego stronę.

Nie miał nawet czasu odwrócić wzroku.

## 12:37 Zagłuszamy

Czuła, jak giną. Jej żołnierze, jej obrońcy. Wróg był zbyt potężny, zbyt wiele diabłów zebrało się, by ją powstrzymać.

Chelsea Jewell zaczęła myśleć, że może, kto wie, może jednak powinna była słuchać Chaunceya. Powinna była posłuchać generała Ogdena.

Teraz nie miało to znaczenia.

Miała mamę.

Razem mogły zbudować nową sieć, *większą* sieć, która z czasem obejmie całą planetę.

Brama do niebios?

Pieprzyć bramę. Pieprzyć anioły.

Wiedziała, że to brzydkie słowa, ale nie do końca, ponieważ to Bóg decyduje, co jest dobre, a co złe. Bóg *nie może* zrobić niczego złego.

Chelsea nie potrzebowała aniołów. Jeśli ucieknie, będzie mogła użyć lego do stworzenia *własnych* aniołów.

*Jeśli* ucieknie. Chwilowo to było bardzo duże „jeśli”, ponieważ nadchodził Boogeyman.

Jeśli ją znajdzie, nic nie będzie miało znaczenia. Musiała go zablokować.

Zablokować, albo... przejąć nad nim kontrolę.

Mogła go kontrolować, wiedziała, że to możliwe. Mogła zmusić go do robienia różnych rzeczy. I kto będzie lepszym obrońcą od Boogeymana?

Mimo wszystko wolałaby, żeby do tego nie doszło. Nie chciała się z nim mierzyć. Zabicie go wydawało się świetnym pomysłem, gdy był daleko stąd, jednak teraz, gdy był tak blisko, to wszystko przestało być zabawą.

## 12:40 Lądowisko

Dew przyciskał do prawego ucha telefon satelitarny. Lewe zatkał palcem i przechylił się do przodu, brzuchem dociskając leżący na kolanach hełm z maskowaniem.

- Tak - powiedział. - Słuchaj, Murray, po wylądowaniu możemy zabezpieczyć teren, który wybierzesz, ale najpierw musisz nam znaleźć jakieś lądowisko.

Perry nie potrafił znaleźć sobie wygodnej pozycji. Znaleźli mu kamizelkę kuloodporną i hełm. Był przyzwyczajony, że nigdy nie ma niczego na jego rozmiar, więc zdziwił się, gdy oba pasowały. Zwłaszcza hełm wymagał pewnego przyzwyczajenia. Z boku miał zamontowany mikrofon połączony z zamontowanym na kamizelce przełącznikiem, po naciśnięciu którego jego słowa były transmitowane do innych. Małe głośniczki zamontowane w hełmie pozwalały mu słyszeć ciche głosy żołnierzy przygotowujących się do zbliżającej się walki. Niektórzy żartowali, inni byli poważni, ale wszyscy w ustawionych naprzeciw siebie rzędach siedzeń wyglądali na bardzo wkurzonych. W podstępym ataku kompanii X-Ray stracili przyjaciół. Większość rozmów dotyczyła znalezienia Ogdena i tego, co z nim zrobić, gdy im się to uda. Żołnierze zaoferowali Perry'emu M4, ale Dew powiedział, że Perry zostanie przy czterdzieści piątce i to zakończyło sprawę.

Dew podniósł wzrok, z uniesionymi brwiami i potem zbierającym się na łysej głowie pomimo niskiej temperatury panującej w samolocie. Obejrzał się na Perry'ego.

- Widziałeś w swojej wizji Renaissance Center, prawda?

Perry przytaknął.

- Gdzie była rzeka?

Perry spróbował się zastanowić. Tak wiele rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie. Ten obraz dotarł do niego z wielu umysłów, niczym przeskakujący obraz wyświetlany równocześnie z wielu kamer. Jednak we wszystkich obrazach kąt był dość podobny.

- Po lewej - odpowiedział.

- Jak daleko według ciebie to mogło być?

Perry wzruszył ramionami.

- Niezbyt dobrze wychodzi mi ocena odległości, Dew.

- Zgadnij, studenciku.

Dew przekazał informację, chwilę słuchał, potem się roześmiał.

- Jaja sobie robisz.

Znowu słuchał, kiwając głową. Najwyraźniej Murray nie robił sobie jaja.

W końcu Dew schował telefon do kieszeni kamizelki kuloodpornej.

- Wylądujemy i zabezpieczymy teren, a potem Murray sprowadzi drogą lotniczą kolejny Margo Mobil. Stracili kontakt z Margaret i Otto, więc myśli, że ich przyczepy zostały zniszczone.

- Margo zginęła?

- Wątpię - odpowiedział Dew. - Zostali dość wcześnie ostrzeżeni, a Otto jest bystry, więc miejmy nadzieję, że przeżyli.

- To gdzie wylądujemy?

Dew uśmiechnął się krzywo.

- Perry, mój chłopcze, spodoba ci się nasze lądowisko. Ironia jest tak ciężka, że zapadniesz się pod ziemię.

- Co? Gdzie lądujemy?

Dew pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

- Będziesz musiał poczekać i sam zobaczyć.

Uważał, że to zabawne. *Zabawne*. Lecieli w sam środek strzelaniny, Detroit płonęło, Margaret mogła zginąć, a on się śmiał.

- Siedź wygodnie i rozkoszuj się lotem - rzucił. - To może być twój ostatni lot jedną z tych maszyn.

Perry rozparł się na siedzeniu mając nadzieję, że to prawda. Jednak równocześnie liczył na to, że po prostu wysiądą i nigdy więcej nie wejdą do takiego, a nie, że zostaną zestrzeleni.

## 12:42 Plany Ogdena

General Charlie Ogden narysował kolejny symbol na papierowej mapie Detroit. Stracił kontakt z ludźmi na skrzyżowaniu 94 i 75. Wykonali swoje zadanie, ale fakt, że stracił z nimi kontakt oznaczał, że zginęło kolejnych dwóch żołnierzy. Po pięćdziesięciu minutach od rozpoczęcia ataku miał straty większe, niż się spodziewał.

Te nisko latające A-10 były prawdziwym utrapieniem. Ogień z broni ręcznej nie miał szans ich zestrzelić. Od początku miał na stanie tylko dziesięć stingerów, z których pięć przeznaczył na lotniska i pięć do walki w mieście. Trzy rakiety zostały już wystrzelone: dwa pudła i jedno trafienie, które wyeliminowało helikopter Apache na Woodward Avenue. Ostatnie dwa rozkazał zachować w rezerwie. Choć było to mało prawdopodobne, istniała możliwość, że Ogden coś przeoczył. Rezygnacja z panowania w powietrzu nie była problemem. Nie mógł sobie za to poradzić z oddziałami naziemnymi. Jego ludzie byli zbyt rozproszeni na zbyt dużej powierzchni.

Ogden mógł to już wyczuć. Czuł, jak były blisko. Jeszcze jakieś trzydzieści dwie minuty i pisklaki aktywują bramę.

Do Detroit przybędą anioły.

Znajdował się w budynku Globe z kapralem Kinney'em Johnsonem, żalostną podróbką łącznościowca. Tylko oni dwaj, pisklaki pracujące na akord przy wykańczaniu bramy i Chelsea wciąż siedząca w kamperze. Pan Burkle ganiał na zewnątrz, zbierając wszelkie dostępne materiały dla pisklaków.

- Sir - odezwał się Johnson. - Odbieram raporty o dużym ruchu powietrznym w okolicach wyspy Belle, niecałe półtora kilometra w górę rzeki. A-10, apacje, nawet nisko lecące F-15.

- Nisko lecące... Czy one coś atakują?

- Wygląda to na dobry cel do ostrzału, sir - zasugerował Johnson. - Niektórzy z naszych ludzi spróbowali salwy z AT4, nawet udało im się zestrzelić A-10, ale gdy tylko otworzą ogień, jeden z samolotów szturmowych ich rozstrzeliwuje.

*On nadchodzi.*

Głos Chelsea, przesiąknięty strachem. Na skórze Ogdena natychmiast pojawił się pot, poczuł zimną kulę w żołądku... Jak Bóg może się bać?

*Nadchodzi Boogeyman. Zatrzymaj go.*

Jego ludziom nie udało się zabić Perry'ego i Dewa. A jeśli nie udało im się też dostatecznie zaszkodzić kompanii Whiskey...

- Johnson - odezwał się Ogden. - Skontaktuj się ze wszystkimi, którzy nam jeszcze zostali. Niech wypatrują ospreyów, powtarzam, ospreyów.

Johnson pochylił się nad radiostacją, a Ogden czekał na raport. Zbliżali się Perry i Dew. Pytanie brzmiało, kto zbliżał się z nimi?

- Sir, wizualne potwierdzenie trzech ospreyów, powtarzam, *trzech* ospreyów nadlatujących szybko z północy.

- Skupić ogień wszystkich pozostałych stingerów na ospreyach - polecił Ogden. - Powiedz każdej jednostce, która je widzi, żeby ruszyć w ich stronę i zająć stanowiska

snajperskie. Jeśli któryś z tych samolotów wyląduje, skupić cały ogień na tym, co z niego wyjdzie.

## 12:44 Nadlatuje

Perry Dawsey miał ochotę wymiotować.

W dole rozciągały się przedmieścia Detroit. Zabudowania ciągnęły się w prawo, za to z lewej pole widzenia zajmowało jezioro St. Claire. Nad miastem unosiły się kolumny dymu, niektóre z drapaczy chmur, inne z ziemi. Wiatr niósł czarny dym z lewej na prawą, na zachód, przez samo serce miasta w kierunku Ann Arbor. Zastanawiał się, czy dym dotrze tak daleko, by zrzucić sadzę na stadion Uniwersytetu Michigan, którego kiedyś był gwiazdą. Trzy wieżowce wyglądały jak kominy parowca, jakby całe miasto odpływało na wschód.

Leciał w ostatnim z trzech ospreyów. Dew wyjaśnił mu powód – potencjalna rakietą prawdopodobnie została wycelowana w pierwszy samolot. Oczywiście ta strategia była dobra tylko w takim stopniu, jak zgadywanka faceta strzelającego stingerem.

Im bliżej Detroit, tym więcej zakażonych wyczuwał. Uczucie było też inne niż wcześniej, gdy znalazł gospodarzy w Mather czy Południowego Bloomington. W Mather był tylko jeden facet i trudno było go odnaleźć. Znalazł trzech gospodarzy do bram w Południowym Bloomington i Marenisco. Sygnał z Detroit był potężny, znacznie silniejszy, co znaczyło znacznie więcej gospodarzy, niż dotąd doświadczył.

Był silniejszy także z innego powodu.

Chelsea Jewell.

Czuł ją, *smałkował* jej czarną duszę. Zamierzał ją znaleźć i zabić, bo próbowała mu mieszać w głowie, a nikt nie może bezkarnie zadzierać z Perrym Dawseyem.

W kabinie rozbrzmiał alarm.

– Nadlatuje! – krzyknął pilot. – Leci rakietą!

Perry złapał się dolnej części siedzenia. Dziób ospreya przechylił się w dół, dając mu widok na ziemię w dole i dwa samoloty z przodu. Smuga dymu zaczynała się nisko, przy domu daleko w prawo, po czym skręcała po łuku, korygując kurs do przechwycenia lecącego ospreya.

– Trzymaj się, młody – rzucił Dew. – Teraz nie mamy na nic wpływu.

Wydawało się, że rakietą przyspiesza zbliżając się, w mgnieniu oka pokonując ostatni kawałek odległości. Lecący z przodu osprey wystrzelił strumień jaskrawych świateł ciągnących za sobą białe ogony dymu. Jakiś rodzaj obrony.

Nie zadziało.

Samolotem rzuciło w lewo, z kulą ognia tryskającą z prawego boku. Co dziwne, samolot się nie rozleciał. Perry przez krótką chwilę miał nadzieję, że pilot przeżył, że może zdołają wylądować. A potem z maszyny odpadł silnik. Krzyżówka samolotu z helikopterem równocześnie obróciła się w lewo i przekoziółkowała do przodu, spadając ku ziemi. Błyskawicznie znikła z pola widzenia Perry'ego. Nie zobaczył, jak maszyna uderza w ziemię, ale ci żołnierze przepadli. Dwudziestu ludzi z kompanii Whiskey plus załoga ospreya.

Martwi. Tak po prostu.



- Miejmy nadzieję, że skończyły im się stingery - rzucił Dew. - Nasze szanse przeżycia spadły właśnie z sześćdziesięciu sześciu procent do pół na pół.

Znowu zabrzmiał alarm.

- Chyba jeszcze się nie wystrzelali - skomentował Dew. Wyglądał prawie na zrelaksowanego, jakby zupełnie nie przejmował się, że miał pięćdziesiąt procent szansy na śmierć w ciągu najbliższych dziesięciu sekund.

Pojedyncze sygnały alarmowe zwały się w ciągły pisk.

- To nie brzmi dobrze - powiedział Dew.

Perry usłyszał dźwięk przypominający wystrzeliwanie petard, coś wyleciało z ich samolotu. Dwie sekundy później wybuch. Osprey przechylił się nieco w lewo, po czym wrócił do poziomu i dalej obniżał lot.

Dew wyglądał na znudzonego.

- Jak możesz być tak spokojny? - zapytał Perry. - My możemy być następnymi.

- Kiedy przyjdzie twoja pora, nic na to nie poradzisz. - Dew wzruszył ramionami. - Zresztą ty tu jesteś, a ty przypominasz karalucha, przeżyjesz wszystko. Trzymam się blisko ciebie. Jesteś moją wielką osłoną przeciw śmierci.

Perry kiwnął głową i spróbował opanować oddech. Dew próbował się trzymać blisko niego? Pieprzyć. Raczej odwrotnie. To był świat Dewa i Perry nie zamierzał oddalać się od niego nawet na krok.

Agent szturchnął go łokciem.

- Wyrzyj z przodu, schodzimy do lądowania. Prosto w twoją alejkę.

Perry wyjrzał i potrząsnął głową.

Dew zaczął się śmiać.

## 12:46 Otto ucieka

Clarence odwrócił się, wycelował i wystrzelił, posyłając cztery pociski w czasie, gdy Margaret biegła do długiego, dwupiętrowego budynku z ciemnej cegły. Zerknęła na tabliczkę z adresem: Franklin i St. Aubin. Okna budynku zabito płytami wiórowymi. Miejsce przypominało miniaturową twierdzę.

Pobiegła do drzwi. Po drodze wyprzedził ją pędzący znacznie szybciej Clarence. Dotarł do drzwi, stanął z boku, przestrzelił zasuwę i kopniakiem otworzył wejście. Byli zaledwie o jedną przecznicę od bramy załadunkowej, w której poprzednio próbowali się schować. Ludzie Ogdena weszli za nimi do środka. Clarence nie znalazł tam żadnej kryjówki, która według niego nadawałaby się do obrony, więc znowu uciekli, poganiani świszczącymi wokół kulami. Jeśli ten budynek nie zapewni im jakiejś ochrony, będzie po wszystkim.

Wbiegła do środka. Otto zamknął drzwi w chwili, gdy dotarły do nich kolejne pociski, roztrzaskując ciężkie drewno i rykoszetując od cegieł zewnętrznej ściany. Gdyby byli o krok wolniejsi, oboje by zginęli.

Margaret była tak przerażona, że chciało się jej sikać, ale nie zatrzymywała się, napędzana jedną myślą zmuszającą ją do przestawiania nóg: to wszystko nie było jeszcze tak przerażające, jak Betty Jewell bez jednego policzka.

Clarence odwrócił się i pobiegł w głąb porzuconego budynku. Na popękanej podłodze, pośród kałuż stały podrdzewiałe metalowe maszyny. Wszędzie wokół wałały się potrzaskane fiolki po cracku, gdzieś tam stał przerdzewiały wózek sklepowy i połowa niebieskiego sedesu. Budynek był duży, z wieloma korytarzami i pokojami. Jeśli zdołają znaleźć dobre miejsce, ścigający ich ludzie mogą stracić dużo czasu na szukanie ich.

Clarence zauważył schody i pognał w ich stronę. Margaret ruszyła za nim, szukając miejsca do ukrycia się.

## 12:48 Lądowanie

Podchodząc do lądowania osprey szybko wytracił prędkość. Perry usłyszał metaliczne stuki: kule uderzające w opancerzone boki samolotu. Wszystkie mięśnie napinał w nerwowym oczekiwaniu na trafienie stingerem, ale rakieta nie uderzyła.

Gwoździe odezwał się głośno i spokojnie, a jego głos został przechwycony przez mikrofon wysunięty z boku hełmu.

- Jesteśmy ostrzeliwani, prawdopodobnie z dziesięcio- czy piętnastopiętrowego budynku na południowy wschód od lądowiska - oznajmił. - Natychmiast potrzebuję osłony.

Gwoździe zwrócił się do żołnierzy. Najwyraźniej nie wierzył w to, że mikrofon przekaże jego słowa, bo zaczął krzyczeć na całe gardło.

- No dobra! Lądujemy pod ostrzałem. Osprey posadzi nas dziobem w stronę źródła ognia i zapewni osłonę podczas schodzenia po rampie. Biegiem na ziemię i w lewo, tam są trybuny. Schowajcie się za nimi. Znajdźcie osłonę i odpowiedzcie ogniem. Gdy wsparcie powietrzne załatwi snajperów, ruszymy dalej. Mamy dwadzieścia pięć minut na zniszczenie celu. Jesteśmy może półtora kilometra od niego, ale jeszcze nie jesteśmy pewni, gdzie idziemy. Zgaduję, że po drodze będziemy ostrzeliwani. *Musimy przeć dalej, niezależnie od wszystkiego, zrozumiano?*

- Tak jest, sierżancie! - chórem krzyknęli żołnierze.

Dew nachylił się, by odezwać się Perry'emu do ucha.

- Ci wszyscy goście mogą zginąć, ale ty nie, więc będą ściągać na siebie ogień i zapewniać ci osłonę, żebyś mógł wysiąść. Mam nadzieję, że uda im się przyszpilić snajperów.

- Masz nadzieję?

- Jak już mówiłem, młody, to wszystko kwestia szans - Dew odpowiedział z uśmiechem, klepiąc Perry'ego w ramię. - Daję nam jakieś osiemdziesiąt procent szansy na powodzenie.

- To znaczy, że jest dwadzieścia procent szansy na to, że zginę.

Dew mrugnął i wskazał palcem twarz Perry'ego. Potem dwa razy ruszył kciukiem - *pif-paf*. Twarz pod brzegiem hełmu promieniowała energią i podnieceniem - Dew wyglądał, jakby gdzieś po drodze zgubił dwadzieścia lat.

*On to lubi* - pomyślał Perry. - *Lubi to człowiek, który powinien utrzymywać cię przy życiu.*

Nagle Perry coś poczuł. Jego kontakt z gospodarzami uległ zmianie. Jakby na chwilę przygasł. Pojawiło się nowe uczucie, bardzo słabe, ale charakterystyczne.

Szarość.

- Dew - krzyknął Perry. - Chyba znowu próbują mnie zagłuszać.

Zanim Dew zdążył odpowiedzieć, osprey twardo wylądował, rzucając żołnierzami o pasy trzymające ich na siedzeniach. Wstrząs sprawił, że Perry znowu skupił się na otoczeniu.

- Wstawać i ruszać się! - wrzasnął Gwoździe. Opadła tylna rampa i żołnierze pobiegli na zewnątrz. Perry ruszył w dół rampy, patrząc na najbardziej surrealistyczny widok, jaki zobaczył w życiu.

Wielką, pokrytą trawą nawierzchnię boiska do futbolu amerykańskiego.

- Powinieneś czuć się jak w domu, Dawsey - krzyknął Dew.

Perry wylądował na trawie i ruszył w lewo, razem z pozostałymi. Wylądowali prawie na linii pięćdziesięciu jardów. Przebiegł przez czarny krąg ozdobiony żółtymi literami MLK i zaraz znowu znalazł się na zielonej trawie.

Gdzieś w głębi umysłu duchy przeszłości jeszcze raz krzyczały i biły brawo „Straszemu” Perry’emu Dawseyowi. Nawet miał hełm na głowie.

Głowa biegnącego przed nim mężczyzny wykrzywiła się gwałtownie w lewo. Mężczyzna potknął się i zaczął przewracać. Perry chwycił go za kurtkę, po czym zarzucił sobie na ramię jego bezwładne ciało. Nawet nie zwolnił.

Gdzieś z oddali po lewej głęboki stukot, potem wybuch. Nie do końca był świadomy tych dźwięków, potrafił myśleć tylko o dotarciu do rozciągających się przed nim pustych, aluminiowych trybun. Nagle znalazł się na czerwonej bieżni, kierując się w stronę rogu trybun, potem zakręcił za nimi, wreszcie osłonięty przed kolejnymi pociskami. Perry’ego otoczyli żołnierze, pomagając mu z rannym. Gdy tylko Perry go położył stało się jasne, że mężczyzna wcale nie jest ranny.

Był martwy.

Pocisk trafił go w prawą kość policzkową i wyleciał z drugiej strony głowy, z raną wylotową znacznie większą od wlotowej.

- Miło, że próbowałeś - rzucił Dew. - A-10 zajął się strzelcami w tym budynku, więc chwilowo pewnie będziemy bezpieczni, ale musimy ruszać. - Dew spojrział na zegarek. - Według tego, co mówiłeś, mamy dwadzieścia trzy minuty, więc... gdzie idziemy?

Perry oderwał spojrzenie od martwego żołnierza. Patrzyło na niego ponad czterdziestu ludzi, niektórzy ciężko dyszeli, ale wszyscy czekali na odpowiedź.

- Perry - ponaglił go Dew. - Teraz albo nigdy.

Zamknął oczy i poczuł. Nie podnosząc powiek podniósł rękę i wskazał. Gdy otworzył oczy zobaczył, że wskazuje w stronę dymiącego Renaissance Center.

Gwoździe nabrał powietrza do płuc.

- Ruuuuchy! Czas odpłacić draniom. Podzielić się na drużyny i galopem!

Żołnierze odwrócili się i zaczęli się zbierać drużynami.

Perry posłał ostatnie spojrzenie martwemu, po czym wyprostował się i zaczął biec za żołnierzami z kompanii Whiskey.

## 13:00 Pieprzone twierdzenie Pitagorasa

Kapral Kinney Johnson nie był kapralem Copem. Bez dwóch zdań.

- Mów do mnie - zażądał Ogden. - To nie jest żadne pieprzone twierdzenie Pitagorasa, po prostu podaj mi *liczbę ludzi*.

Kinney klęczał na jednym kolanie ze słuchawką przy uchu, próbując skontaktować się z pozostałymi żołnierzami. Rozmawiając zapisywał coś w notatniku.

- Johnson!

Wywołany podniósł wzrok. Na jego twarzy rysowała się mieszanina złości, paniki i strachu.

- W najlepszym razie około dwudziestu ludzi, sir, więcej nie da rady.

Dwudziestu. Nie za dobrze.

- Sir - odezwał się Johnson. - Odbieram też raporty z wewnątrz naszej linii obrony. Duża grupa około pięćdziesięciu ludzi przemierza się Lafayette w naszą stronę. Regularna armia. Snajperzy ich spowalniają, ale nie potrafimy ich zatrzymać.

Ogden spuścił głowę. Kompania Whiskey zdołała się przebić. A był tak blisko powodzenia. Jeszcze piętnaście minut, to wszystko, czego potrzebowali. Jak długo Murray nie wiedział, w którym budynku się znajdują, musiałby zbombardować połowę miasta albo zrzucić atomówkę, a Gutierrez nie miał na to dość jaj.

Musiał kupić czas. Jednak tych ludzi pewnie prowadzi Dawsey, który wyniucha bramę i będzie po wszystkim.

Ogden musiał chronić Chelsea.

- Powiedz wszystkim jednostkom, żeby wycofali się na pozycje bravo - polecił Ogden. - To dotyczy też Mazagattiego i mojej osobistej drużyny.

Ogden zamknął oczy i sięgnął myślami. Musiał przygotować Chelsea.

## 13:02 Pozycje bravo

Margaret i Otto siedzieli bez ruchu za stertą tynku i cegieł. Znajdowali się w pokoiku, który kiedyś był małym schowkiem albo ubikacją – nie była pewna, bo niektóre z dziur w podłodze mogły kiedyś być kanalizacją.

Miała nadzieję, że ich czarne kombinezony pozwolą im się ukryć w cieniu. Clarence'owi został tylko jeden nabój. Jeśli żołnierze ich tu znajdą, będzie po wszystkim.

Kiedy weszli do pomieszczenia, bardzo uważali, by uniknąć deptania potrzaskanych fiolek na podłodze. Nawet przy strzałach rozbrzmiewających w mieście każdy odgłos mógł zdradzić ich pozycję. Ludzie Ogdena szukali ich już przez dziesięć minut, przeszukując dolny poziom, a Margaret cały czas modliła się w duchu, by poszli. Jednak nie zamierzali rezygnować. Teraz wchodzili na piętro. Co kilka sekund rozlegał się strzał. Prawdopodobnie strzelali do cieni, żeby nie ryzykować.

Wkrótce strzelą do *tego* cienia.

– Nadchodzą – wyszeptał Clarence. – Mamy tylko jedną szansę: zastrzelę pierwszego z nich i zabiorę mu broń.

– *Nie* – syknęła Margaret. – Idą grupą.

– Musimy czegoś spróbować. Kiedy ruszę, zostań tutaj. Może jeśli mnie dostaną uznają, że się rozdzieliliśmy. Kiedy już odejdą, wymknij się stąd najciszej jak potrafisz.

Margaret zabrakło słów. Jeśli go *dostaną*, to znaczy, jeśli go *zabiją*, miała nadzieję, że w ten sposób ona będzie miała szansę przeżyć.

Clarence Otto był gotów zginąć za nią.

Usłyszała chrzęst rozdeptywanego szkła. Jeden z nich nadepnął na fiolkę po prochach. Chwyciła dłoń Clarence'a i mocno ją ścisnęła, ale zaraz przypomniała sobie, że potrzebuje ręki do strzelania, więc go puściła.

Chwilę później znowu rozległ się dźwięk rozdeptywanej fiołki, gdy do pomieszczenia wszedł drugi mężczyzna. Nawet przez kombinezon wyczuła, jak sztywnieje ciało Clarence'a.

– Chwileczkę, sierżancie majorze, poczekajcie – odezwał się jeden z mężczyzn. Chwila przerwy i znowu: – Ten palant Kinney mówi, że generał kazał nam wrócić na pozycję bravo.

– Teraz?

– Tak, oczywiście, że teraz.

– A co z Montoyą?

– Zapomnij. Musimy się przygotować na kontratak. Jeśli generał dotrze tam przed nami...

– Dobra. Zwijamy się, dupy w troki.

Skrzypienie podłogi. Ostatni trzask szkła pod butami. Odgłosy schodzenia po schodach. Margaret i Clarence czekali, nasłuchując. Jej ciało oklapło, jakby nagle wszystkie jej mięśnie się rozluźniły i ciężenie ściągnęło ją na podłogę.

Ona się rozluźniła, ale Clarence nie.

- Zostań tu - powiedział. - Pójdę za nimi i spróbuję zobaczyć, gdzie jest ta ich pozycja  
bravo.

- *Nie*, Clarence. Masz tylko jeden nabój. Musimy się stąd zabierać.

- Nie rozmawiam z tobą na ten temat. Muszę zobaczyć, co to jest.

- Dobrze - zgodziła się Margaret. - W takim razie idę z tobą.

- Margaret, do diabła, przestań. Tam się dzieje coś bardzo poważnego. Nie chodzi tylko o ludzi Ogdena, tam panuje całkowity chaos i możesz zostać trafiona przez naszych ludzi. Zostań tu, a gdy tylko uda mi się z kimś skontaktować, dopilnuję, żeby Murray przysłał po ciebie ludzi.

- Nie zostawię cię - oświadczyła. - Wierz mi, wcale nie chcę oberwać kulki, ale jeśli ty idziesz, to ja też. Twoja decyzja. Jeśli chcesz, żeby nic mi się nie stało, to musisz zaprowadzić mnie w bezpieczne miejsce.

Popatrzył na nią gniewnym wzrokiem. Teraz wyglądał na znacznie bardziej rozzłoszczonego niż w chwili, gdy złamała mu zęba.

Odpowiedziała równie twardym spojrzeniem.

W końcu potrząsnął głową i westchnął.

- Trzymaj się za moimi plecami i w każdej chwili bądź gotowa do biegu, zrozumiano?

Szlag. Sądziła, że zostanie z nią. Cóż, powiedziała co wiedziała i niezależnie od wszystkiego nie zamierzała puścić go samego.

- Zrozumiano. Prowadź.

Wyszedł z pomieszczenia idąc szybko ale ostrożnie, cały czas trzymając przed sobą pistolet. Margaret wstała i ruszyła za nim.

## 13:06 Cel namierzony...

Dew wyrzucił nad maską fordą, wystrzelił serię i schował się z powrotem. W samochod trafiły pociski, uderzając w metal, szyby i gumę. Kompania Whiskey przebiła się przez większość prób oporu aż do tego miejsca, jednak wyglądało na to, że ludzie Ogdena skupili się w tej okolicy. Walka robiła się z każdą chwilą coraz bardziej zacięta, zbierając żniwo ofiar: jak na razie zginęło około piętnastu żołnierzy. Dzięki niekwestionowanemu panowaniu w powietrzu mieli dość ludzi, by przeć dalej. Gdy żołnierze Ogdena otwierali ogień, zostawali przy życiu tylko kilka sekund, zanim ogień z działka apacza zmieniał ich w miazgę.

- No dalej, Perry - naciskał Dew. - Okopują się tam, musimy być blisko. W którą stronę idziemy, do cholery?

Perry leżał zwinięty pod fordą, brudząc kurtkę zimowym błotem pokrywającym drogę.

- Próbuję - odpowiedział. - Ale coraz mocniej mnie zagłuszają. Myślę, że to Chelsea, Dew, tym razem robi to ta mała żdzira.

Kolejna seria metalicznych uderzeń pocisków w blachy fordą.

Dew usłyszał terkot wielolufowego działka maszynowego, a zaraz po nim potężny trzask pocisków kalibru 30 milimetrów, rozrywających cegły, drewno i szkło.

Na chwilę zapadła cisza. Dew podciągnął Perry'ego do pozycji siedzącej i oparł go plecami o podziurawiony samochód.

- Spójrz mi w oczy, Perry - powiedział. - Zostało nam dziewięć minut. No dalej, skup się. *Skup się.*

Perry kiwnął głową i zamknął oczy.

- Robi się rozmazany - powiedział. - Dew, odbieram teraz dwa sygnały i... jeden z nich się *przemieszcza.*

- Skup się na tym, który się *nie* rusza - polecił agent. - Bramy nie mogą ruszyć.

Perry przytaknął. Głęboko wciągnął powietrze przez nos i wypuścił je ustami. Wciąż z zamkniętymi oczami podniósł rękę i wskazał nad maską zniszczonego wozu.

Wskazywał w dół Atwater Street, w stronę przedmieść. Po lewej stronie drogi rozciągało się ośnieżone pole schodzące do rzeki Detroit. Po prawej wznosił się zdezelowany, trzypiętrowy budynek z cegły, otoczony pustymi placami. U góry na białym, mocno wyblakłym pasie widać było ledwie czytelne słowa: GLOBE TRADING COMPANY.

- W tę stronę? - zapytał Dew. - Gdzie, za tym budynkiem?

- Nie, w środku. Tak myślę.

- *Myślisz, czy wiesz?*

- Myślę - przyznał Perry. - Mówiłem ci, sygnał bardzo szybko słabnie.

Dew podrapał się po twarzy i rozejrzał się dookoła. Nawet pośrodku strzelaniny widział cywilów szukających schronienia, kulących się w drzwiach, wystawiających przerażone oczy znad parapetów.



Rakiety HEAT z apaczy mogły zniszczyć budynek, ale nie miał pewności, czy rozwaląby też bramę. Czy jest tam piwnica? Ogden ukrył bramę w budynku, nie wiadomo, czy nie zbudował też ochronnych wałów lub innych struktur pomocniczych, wzmacniających cel.

Mógł rozkazać zrzucenie jednotonowej bomby przez F-15, ale znowu, nie miał pewności, czy w ten sposób zniszczą bramę. Nie wspominając o liczbie cywilnych ofiar. Wybuch takiej bomby mógł zabijać w odległości nawet stu metrów od miejsca uderzenia. Zbyt wielu cywilów dookoła. Według *ostrożnych* szacunków Dewa wybuch bomby zabiłby przynajmniej pięćdziesiąt osób: mężczyzn, kobiet i dzieci.

A nawet gdyby zgodził się na taką ofiarę, i tak nie miałby pewności.

Spojrzał na zegarek: 13:08. Jeszcze pięć minut.

Dew wyciągnął telefon satelitarny.

- Murray! Zgłoś się!

W lekko trzeszczącym głośniku niemal natychmiast zabrzmiał głos wywołanego.

- Tu Murray, odbiór.

- Chyba ją znaleźliśmy - zgłosił Dew. - Róg Orleans i Atwater.

- Zrozumiano - potwierdził Murray. - Możemy bombardować?

- Nie. Nie niszczyć tego budynku. Za dużo cywilów dookoła. Wejść tam z kompanią Whiskey i upewnić się, że to faktycznie tutaj. Przejmiemy ją i wysadzimy ręcznie, jeśli się uaktywni.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Dew, tu prezydent Gutierrez.

- Um... dzień dobry, sir.

- Doceniam, że chcesz chronić cywilów, ale poinformowano mnie, że Dawsey jest w stu procentach pewny, że brama otworzy się o trzynastej piętnaście.

- Zgadza się.

- Rozkażę zrzucenie bomb równo o trzynastej piętnaście. Jeśli chcesz je powstrzymać, wejdź do budynku i przechwyc bramę w ciągu najbliższych sześciu minut.

Kurwa. Dew wcisnął telefon do kieszeni kamizelki kuloodpornej, po czym wduślił przycisk transmisji mikrofonu na hełmie.

- Gwoździe, zgłoś się.

Perry usłyszał odpowiedź w głośniczkach swojego hełmu.

- Tu Gwoździe. Jakie rozkazy?

- Budynek na rogu Orleans i Atwater. To nasz cel. Wejdźcie tam natychmiast i zabijcie wszystko, co się rusza. Mamy cztery minuty na zabezpieczenie budynku, inaczej zrzucą bombę, która rozwali wszystko w promieniu pięciu przecznic.

- Tak jest, sir!

Dew zwolnił przycisk nadajnika i obejrzał się na Perry'ego.

- I co, młody, jesteś gotów?

- Nie - odpowiedział Perry. - Ani trochę.

Dew klepnął go w ramię.

- Wiesz co? Wejdziemy tam, załatwimy co trzeba, a jutro razem pojedziemy na ryby. Co ty na to?

Perry patrzył na niego przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Dobra.

Może córka nie pójdzie z nim na ryby, ale Perry był chyba najlepszym przybliżeniem syna, jakie dane mu było poznać.

- No to chodźmy, Perry - powiedział Dew. Perry wstał, starł mokre błoto ze spodni i obejrzał się na Dewa.

Agent ruszył w stronę budynku Globe, a Perry pobiegł zaraz za nim.

## 13:11 Zakładnicy

Śledzenie żołnierzy okazało się być znacznie łatwiejsze, niż Margaret się spodziewała, a to z bardzo prostego i niepokojącego powodu. Mężczyźni wybiegli na Jefferson, skręcili na zachód i biegnąc zaczęli zbierać zakładników. Prowadzili ich przed sobą pod lufami karabinów, jak bydło. Jak na razie zebrali szesnaście osób. Kobiety i dzieci, kilku mężczyzn. Każdy, kto próbował im się opierać, był natychmiast zabijany. Kilku odpowiedziało ogniem – mężczyźni w wieku około dwudziestu i trzydziestu lat, z pistoletami i, w jednym wypadku, strzelbą. Prawdopodobnie członkowie gangów. Jednak nie mieli szans: wyposażeni w kamizelki kuloodporne żołnierze działali zespołowo, koordynowali działania i zabijali każdego, kto stawał im na drodze. Zabierali nawet broń zabitym, nie zostawiając za sobą niczego przydatnego.

Razem z Clarencem szła za nimi w pewnej odległości, nie pokazując się i czując się zupełnie bezradna. Clarence nieustannie przeklinał pod nosem. Miał ochotę ich pozabijać. Podobnie jak Margaret, która wreszcie do końca zrozumiała, co to znaczy życzyć komuś śmierci. Jednak Clarence wciąż miał tylko jeden pocisk.

Jedną kulę.

Atakowanie żołnierzy byłoby samobójstwem, bez żadnych wątpliwości. Na razie nie mógł zrobić nic, poza śledzeniem ich i czekaniem na okazję. Tak więc szedł za nimi, a Margaret trzymała się jego boku.

## 13:12 ...i ognia

Perry kompletnie nie znał się na wojskowej taktyce, ale jako gracz futbolu amerykańskiego potrafił rozpoznać świetną grę zespołową. Na chwilę przed tym, gdy Dew rozkazał atak na budynek starej fabryki, Perry widział może czterech żołnierzy z kompanii Whiskey. Podnosili się, strzelali, padali z powrotem, przebiegali z miejsca na miejsce, zawsze chroniąc się przed ostrzałem. Łapali rannych towarzyszy i cywilów, odciągając ich w bezpieczne miejsca. Piętnaście sekund po rozmowie Dewa z Gwoździami w okolicy nagle pojawiły się przynajmniej dwa tuziny żołnierzy. Miał wrażenie, że zmaterializowali się znikąd, strzelając w zabite deskami okna budynku Globe, biegnąc i nieustannie prowadząc ogień ze swoich automatów M4. Budynek otoczyła mgielka z cegieł rozbijanych kulami. W głośniczkach hełmu trzeszczały podniecone głosy atakujących żołnierzy.

- Snajper, trzecie piętro!
- Dostałem go!
- Strzelaj w okna drugiego piętra, rzucają granaty!

Dew wstał, krzywiąc się przy tym, po czym obszedł maskę forda i pobiegł w stronę budynku.

Perry wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę i ruszył za nim. To było szaleństwo, ale jeśli Dew tam szedł, Perry nie zamierzał go zostawiać.

Bieg Dewa trudno byłoby nazwać sprintem. Może i poczuł się o dwadzieścia lat młodszy, ale nie wpłynęło to na jego warunki fizyczne. Żołnierze biegli przez pusty plac obok nich, mijając Perry'ego i Dewa, jakby ci stali w miejscu. Każdy krok sprawiał wrażenie, jakby trwał pięć minut, podczas których w każdej chwili mogli oberwać kulą.

A jednak w ich stronę nie leciały żadne pociski.

Perry zobaczył tylko jednego żołnierza drugiej strony. Właściwie to nawet nie żołnierza, tylko cztery czy pięć błysków strzałów z lufy widocznych w przerwie sklejki zasłaniającej okno na trzecim piętrze. Jakies dwie sekundy po tych strzałach ze sklejki zostały tylko strzępy, dzięki potężnemu skupieniu ognia żołnierzy pod dowództwem Gwoździ. Przeciwnik więcej nie strzelił.

Dew podążył za tuzinem żołnierzy w stronę przerdzewiałej, podnoszonej do góry bramy garażowej, tylko częściowo zamkniętej. Resztę bramy blokowały płyty ze sklejki. Perry usłyszał świst zza pleców i odruchowo się schylił. Z prawej strony, jakies siedem metrów od niego, przemknęła rakietka. Pocisk uderzył w płytę ze sklejki i wybuchł, uwalniając chmurę ognia i drewnianych odłamków.

W głośniczkach hełmu zabrzmiał głos Gwoździ.

- *Zająć ten budynek!*

Perry biegł dalej, wciąż za Dewem. Żołnierze kompanii Whiskey byli już trzydzieści metrów przed nimi, pędząc w stronę otwartej bramy. Po raz chyba już setny w ciągu godziny Perry spróbował docenić odwagę żołnierza, kogoś, kto z *własnej woli* biegł pod ogień nieprzyjaciela.

Pierwsi żołnierze dopadli otwartej bramy. Jeden z nich rzucił do środka granat. Jak w złudzeniu optycznym, w tej samej chwili ktoś wewnątrz rzucił granat *na zewnątrz*. Granaty wymiły się w powietrzu, lecąc w przeciwne strony. Szarżujący żołnierze z kompanii Whiskey rozproszyli się i uskoczyli, szukając osłony. Dwóch nie zdążyło. Granat eksplodował. Nie była to kula ognia, jak na filmach, po prostu potężny huk, chmura dymu i uderzenie fali powietrza, potężne jak pięść. Dwaj mężczyźni w jednej sekundzie stali, w następnej już padali. Jeden uderzył w ziemię twarzą i już się nie ruszył, drugi obrócił się padając, lądując na prawym boku, rękami sięgając za plecy i chwytając tam za coś dziko, jakby jego ubranie płonęło.

Z zabitych deskami okien na pierwszym piętrze znowu rozległy się strzały, po obu stronach rozbitych rakieta drzwi bramy garażowej. Padł kolejny żołnierz kompanii Whiskey, krzycząc i chwytając się za udo, z nogawką w jednej chwili przesiąkniętą krwią.

Dew dalej biegł przed siebie, Perry nadal deptał mu po piętach. Dew uniósł trzymany karabinek M4 i wystrzelił, więc Perry otworzył ogień z pistoletu. Wycelował czterdziestkę piątkę w jedno z okien i opróżnił magazynek. W miejscach, w które posłał pociski, sklejka rozpadała się na kawałki. Za sobą po prawej usłyszał kolejny świst, a sekundę później znowu solidne tąpnięcie, gdy coś przebiło się przez sklejkę w oknie, a chwilę później potężny grzmot wybił ją na zewnątrz w chmurze rozbitych cegieł i drzazg. Perry przeładował, obsypywany razem z Dewem deszczem kawałków drewna, gdy wbiegali za żołnierzami przez rozbite drzwi.

Gdy znaleźli się wewnątrz długiej, otwartej przestrzeni budynku Globe, nie było już miejsca na żadną subtelną strategię, żadnych prób schwytania pisklaków żywcem, tylko furia dwudziestu pięciu wściekłych żołnierzy, starego agenta CIA z chorym biodrem i jednego byłego wspomagającego z dwoma zniszczonymi kolanami.

Walka nie trwała długo. Przy życiu zostało już tylko kilku ludzi Ogdena, na dodatek większość była już ranna. Oczywiście pisklaki zaatakowały, ale nie miały osłony i szybko zostały ścięte skoncentrowanym ogniem automatów.

Perry osobiście zabił trzy gnidy.

Każdy strzał dawał mu większą satysfakcję od poprzedniego, uwalniając potężne dawki adrenaliny. Zabijał zakażonych, ponieważ musieli zginąć, ale zabijanie pisklaków dawało mu satysfakcję na jakimś prymitywnym poziomie, przyjemność, której nie zaznał od czasu powalania rozgrywających na boisku.

Spojrzenie wszystkich oczu skupiało się na żołnierzach, ich broni i pisklakach. Kiedy padł ostatni pisklak, szarpiąc się w pośmiertnych drgawkach, Perry razem z pozostałymi przyjrzał się potężnej, zielono-brązowej konstrukcji, której szczyt wznosił się na około siedem metrów. Pasy brązowego materiału biegnęły od łuków do metalowej konstrukcji dachu kilkanaście metrów nad podłogą, podtrzymując część masy budowli.

Za bramą stał biało-brązowy kamper Winnebago. Z jego wnętrza wyczuwał zakażonych.

- Jest tam - powiedział Perry, wskazując.

Dew przystawił M4 do ramienia i zaczął strzelać w kampera. W ciągu paru sekund dołączyło do niego jeszcze czterech żołnierzy. Pociski przebijały cienkie ściany, rozbijały szyby i przedziurawiły opony.

Dew wystrzelał cały magazynek i wstawił nowy na jego miejsce.

- Zabezpieczyć budynek! - krzyknął Gwoździe. - Żadnych jeńców, upewnić się, że są martwi i *nie* dotykać ciał. I znajdźcie mi Ogdena! Chcę naszczać na jego trupa.

Żołnierze się rozproszyli.

Perry przeszedł pod bramą w stronę winnebago. Za sobą usłyszał kroki Dewa.

- Murray, przejęliśmy budynek, odwołaj bombardowanie. Powtarzam, odwołaj bombardowanie, utrzymaj F-15 na pozycji na wszelki wypadek. Ręcznie wysadzimy bramę.

Perry szedł dalej. Mocno zaciskał dłonie na rękojeści czterdziestki piątki, ale uważał, by nie trzymać palca na spuście. W samochodzie przestrelono tyle dziur, że wyglądał prawie śmiesznie. Podeszedł do małych bocznych drzwi.

Dołem sphywała krew.

- Gwoździe! - krzyczał Dew. - Chcę C4 u podstawy każdego łuku, nie żałuj też na inne części.

Perry zapatrzył się na krew kapiącą spod dolnej krawędzi drzwi, rozpryskującą się lekko na brudnym, popękany beton poniżej.

Za jego plecami trwała gorączkowa aktywność, Gwoździe wrzeszczał, żołnierze porozumiewali się krzyżąc, ale to wszystko ledwie do niego docierało.

Wciąż wyczuwał tę inną obecność, ale bardzo słabo: zagłuszanie przybrało na sile podczas strzelaniny do tego stopnia, że teraz niemal wszystko było znowu szare.

To było to. *Musi*ło być.

Otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Ciało, ale nie Chelsea. Mężczyzna w mundurze pocztowym, martwy i wciąż krwawiący na popękany plastik, częściowo pokrywający wąską podłogę.

Perry nachylił się nad ciałem i szybko rozejrzał.

Nie zobaczył Chelsea.

Nie, *nienienie*... To ona była źródłem tego ruchomego sygnału. Uciekła.

- Perry! - krzyknął Dew. - Chodź tu natychmiast!

Perry zamknął drzwi i odwrócił się w stronę bramy.

Budowla jarzyła się jak matowane szkło oświetlone tysiącem maleńkich, ruszających się powoli, bardzo jasnych żarówek. Rozświetliła wnętrze magazynu, napelniając go pięknym blaskiem.

Powoli podeszedł do bramy. Niemal od razu poczuł bijący od niej żar. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zobaczył. Żywy klejnot promieniujący światłem miliona gwiazd. Struktura szorstkiego pnia drzewa, zapach podobny do pozostałości grilla. Przetoczyły się przez niego uczucia miłości, podziwu, a nawet zachwyty, zbyt silne, by im zaprzeczać.

Perry zobaczył, poczuł zmysłami i umysłem równocześnie. Wibracje. *Otwieranie*. Gąbkowate zielone drzwi z jego snu sprzed paru tygodni, *całą wieczność* temu.

Połączenie z nieskończonej oddali, sama struktura wszechświata wiążąca, splatająca się, zbierająca w coś, co łączyło całe stworzenie. *Czystość.*

- Ile jeszcze, Gwoździe? - zapytał Dew. - Jest pierwsza czternaście. To coś otworzy się za sześćdziesiąt sekund.

- Już kończymy, *sir!*

Perry ostatni raz pogłodził łuk bramy. Już niedługo. Zostawił dłoń na strukturze, czując narastający żar.

- Dobra, gotowe! - wrzasnął Gwoździe. - *Ucieeeekaaaaa!* *Ruchy, ruchy, ruchy!*

Żołnierze zaczęli wybiegać z magazynu. Perry'ego zdumiewała ich energia, przejęcie. Ktoś uderzył go w ramię.

- Przestań podziwiać ich tyłki, młody - rzucił Dew. - Idziemy.

Dew pobiegł niezdarnie w stronę drzwi. Perry ruszył za nim, nie wysilając się specjalnie, by nadążyć. Wybiegli na zewnątrz i biegli dalej przez plac. Biegając próbował się skupić, wychwycić to słabnące uczucie, które musiało pochodzić od Chelsea Jewell. W którą stronę? Nie potrafił stwierdzić.

Ludzie Gwoździ padli na ziemię w szerokim, luźnym kręgu, każdy z bronią skierowaną na zewnątrz, w gotowości. Gwoździe wyciągnął z kieszeni na piersiach małe, czarne pudełko z przełącznikiem.

- Uwaga, wybuch - powiedział sierżant, po czym trzy razy nacisnął przełącznik.

Ściany 1801 Atwater wyleciały na zewnątrz przy ziemi. Rozleciały się ostatnie, trzymające się do tej pory w oknach kawałki szkła, razem ze sklejką i deskami, którymi zabito większość otworów. Fragmenty dachu poleciały ku niebu, ciągnąc za sobą grube macki czarnego dymu. Budynek zapadł się w sobie, rozrzucając przy tym stuletnie cegły. Sekundę później uderzyła chmura dymu i pyłu, zasłaniając wszystko.

- Jasny gwint - ze śmiechem rzucił jeden z żołnierzy. - To było ekstra.

- Cholera - skomentował Dew. - Mam nadzieję, że w tym pyłe nie ma niczego zakaźnego.

Wyciągnął telefon satelitarny.

- Załatwione, Murray - powiedział.

Perry poczuł ją, tylko trochę, ostatni ślad kontaktu. Chelsea. Wciąż się przemieszczała, nadal go blokując...

...a potem znikła.

Z całkowitą pewnością wiedział, że już nigdy nie zdoła jej wyczuć, chyba że ona sama będzie tego chciała. Stała się zbyt potężna.

- Zgubiłem ją - zagubionym głosem oświadczył Perry. - Zgubiłem Chelsea.

## 13:16 Pozycje bravo, część druga

Margaret przykucnęła u podstawy porzuconego budynku, patrząc, jak wokół niej kłębi się kurz i pył. Stojący przecnicę dalej budynek Globe wybuchł właśnie i zapadł się, posyłając chmurę pyłu przez opuszczone place. Zastanawiała się, czy ta chmura niesie ze sobą czynnik zakaźny, choć ona i Clarence byli bezpieczni w kombinezonach ochronnych. Rozcięcia i przebicia na dłoniach pozalepiała taśmą izolacyjną. Prymitywna wersja zabezpieczenia biologicznego, jednak skuteczna.

Clarence ruszył wzdłuż drogi. Prawe ramię trzymał blisko pokrytego graffiti ceglanego muru, ale go nie dotykał – ostrzegła go przed dotykaniem czegokolwiek, w szczególności przesuwaniem po nierównych powierzchniach, a nawet przed opieraniem się przy szukaniu osłony w przypadku strzelaniny. Wytrzymały kombinezon ochrony biologicznej mógł zostać rozdarty przy przesunięciu przez ostry kawałek metalu.

Górami przelatywały helikoptery, rozlegały się wystrzały z karabinów, a wybuchy wstrząsały ziemią: do Detroit zawitała wojna.

Clarence wyjrzał za róg. Obserwował przez kilka sekund, potem sięgnął do tyłu i delikatnie pociągnął ją za rękę, sugerując, żeby podeszła i sama zobaczyła. Nieco dalej, po drugiej stronie skrzyżowania, zobaczyła kolejny opuszczony budynek. Stał na rogu ulic Franklin i Riopelle, ze zniszczoną bramą uchyloną w stronę skrzyżowania. Jasnoszary, dwupiętrowy, z oknami pozabijanymi deskami, wyglądał na starą restaurację albo bar, może narożny sklep z zamierzchłych czasów, gdy w tej okolicy było więcej budynków, niż pustych placów.

- Żołnierze zabrali tam zakładników – powiedział. – Wszystkich.

- Co tam jest?

- Nie wiem. Skoro brama została zniszczona, to muszą wiedzieć, że już przegrali. Zapełnili budynek zakładnikami, więc nie możemy go zbombardować.

- A może próbują skonwertować tych ludzi? Zakazać ich?

- Może – zgodził się Clarence. – Może chociaż część z nich, choć więcej sensu ma zebranie zwykłych ludzi jako zakładników, inaczej nie będą mieli argumentów przetargowych.

- Co teraz robimy?

- Musimy sprowadzić pomoc. Słuchaj, obserwuj to miejsce, do którego weszli żołnierze i *nie ruszaj się stąd*. Kwatera główna Ogdena została wysadzona, musieli to zrobić nasi ludzie. Prześlizgnę się na drugą stronę tego budynku, stamtąd mnie nie zobaczą, i sprawdzę, czy zdołam zauważyć naszych i ściągnąć ich tutaj.

Clarence powoli cofnął się od rogu budynku. Margaret uklękła i wyjrzała. Wciąż widać było jakiś ruch. Trudno było uwierzyć, że przy tym wszystkim, co się tu działo, na ulicach nadal byli ludzie, całe rodziny upchnięte w samochodach, szukające sposobu na wydostanie się z tego szaleństwa. Co jakieś dwadzieścia sekund przez chmurę pyłu przejeżdżał samochód pełen ludzi szukających schronienia. Widząc ją lub Clarence'a w strojach chroniących przed zagrożeniem biologicznym, samochody natychmiast



przyspieszały. Twarze ludzi w środku zdradzały przerażenie i szok. Nic dla nich nie mogła zrobić, w każdym razie bez ściągnięcia na siebie uwagi, bez ujawnienia się żołnierzom w budynku po drugiej stronie ulicy. W duchu modliła się, by samochody odjeżdżały jak najszybciej.

Potem na ulicy Riopelle od strony rzeki usłyszała motor. Przysadzisty, amerykański chopper, wzbijający chmurę wciąż opadającego pyłu. Prowadził mężczyzna, za jego plecami siedział ktoś drobny.

- Nie zatrzymuj się - wyszeptała Margaret. - Nie zatrzymuj się, *jedź dalej*.

Motor zatrzymał się dokładnie przed budynkiem z zakładnikami.

Margaret się spięła. Nie mogła pozwolić, by ci ludzie weszli do środka. Zsiedli z motoru i Margaret zobaczyła włosy małej dziewczynki siedzącej z tyłu.

Blond.

Loki.

Chelsea Jewell.

W mężczyźnie rozpoznała pułkownika Charliego Ogdena w cywilnym ubraniu.

Chelsea i Ogden weszli do budynku.

Margaret gwałtownie się cofnęła, ukrywając się za rogiem.

Clarence wracał już z drugiej strony. Na jego twarzy rysował się uśmiech i wyraz sugerujący niedowierzanie.

Chwyciła go za rękę.

- Właśnie widziałam Chelsea Jewell.

- Jesteś pewna? - jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

- Tak, jestem! To ona. Czemu się uśmiechasz?

Roześmiał się na głos.

- Nie wiem. Pewnie za dużo śmierci i stresu, więc kiedy wreszcie zdarzyło się coś dobrego, nie mogę przestać się uśmiechać. Idź zobacz, nie uwierzysz, kto tu idzie.

Margaret zamieniła się z nim miejscami. Wciąż idąc ostrożnie podeszła do drugiego końca budynku i wyjrzała zza rogu.

Wreszcie zrozumiała, czemu Clarence się uśmiechał.

Ona też to zrobiła.

Przez pusty, porzucony plac, na którym z wolna osiadała wielka chmura pyłu, maszerowali Dew Phillips, Perry Dawsey i około dwudziestu żołnierzy z bronią maszynową.

## Kawaleria

Gdyby można było przenieść się w czasie, powiedzmy cofnąć o trzy miesiące do chwili, gdy Margaret Montoya stała na parkingu osiedla w Ypsilanti, Michigan, śmiertelnie przerażona, ponieważ olbrzymi, pokryty oparzeniami i ciężko ranny, zakażony mężczyzna, Perry Dawsey, próbował rozerwać ją przez kombinezon ochronny, patrząc na nią oczami pełnymi szaleństwa, śliną i krwią brudząc wizjer jej hełmu, krzyżąc „otwórz te cholerne drzwi i wpuść je...”, gdyby można było cofnąć się do tej chwili i powiedzieć jej, że kiedyś poczuje szczęście i ulgę na widok jego twarzy, nie uwierzyłaby. Można by się o to założyć. Założyć o tę samą dwudziestkę, która tyle razy przechodziła z rąk do rąk między Clarence'em i Amosem.

I wygrałoby się dwadzieścia dolców.

Ulicą Woodbridge biegli Perry, Dew i może dwudziestu pięciu ponurych, silnie uzbrojonych żołnierzy. Przybyła kawaleria z odsieczą. Mężczyźni się rozproszyli, współdziałając jak palce jednej ręki. Niektórzy wycelowali broń w stronę zasłoniętych okien budynku z Chelsea, niektórzy pobiegli przez ulicę do sąsiedniego budynku, z plecami tuż przy ceglanej ścianie, powoli zbliżając się do rogu, inni szli dalej ulicą, prawdopodobnie w celu otoczenia tego miejsca. Dew i Perry podbiegli do niej.

- Margaret! - zawołał Perry. - Zniszczyliśmy bramę. Jesteś cała?

Przytulił ją, pomimo kombinezonu, podnosząc przy tym z ziemi.

- Jestem cała, tak. - Ona też go objęła. Nie mogła uwierzyć, jak bardzo cieszyła się na jego widok.

Dew podbiegł do rogu, wyrzwał i zaraz schował się z powrotem.

- Clarence powiedział, że widziałaś Ogdena?

- I Chelsea Jewell - potwierdziła Margaret.

Z twarzy Perry'ego zniknął uśmiech. W jego oczach pojawiła się nienawiść. Margaret natychmiast przypomniały się martwe, wściekle spojrzenia ofiar zarazy, które przewinęły się przez jej stół do autopsji.

- Oraz zakładnicy - dodał Clarence. - Około piętnaście osób. Plus przynajmniej czterech ludzi z bronią, w kamizelkach kuloodpornych, z M4, pistoletami i granatami. Wewnątrz może być ich więcej.

Dew zmierzył Clarence'a spojrzeniem od stóp po czubek głowy.

- Ludzki kondom, co?

- To przez nią - Clarence kiwnął głową w stronę Margaret.

- Szlag, sam chciałbym mieć teraz coś takiego - przyznał Dew. - Co się stało z Sanchezem, Margaret? Rozgryzłaś to już?

Uczucie ulgi zniknęło, zastąpione poczuciem porażki.

- Nie, nie rozgryzłam - wyznała. - Spróbuj nie dać się zakazić, bo jak dotąd nie ma na to lekarstwa.

Dew i Perry kiwnęli głowami.

- Co z Gitshem i Marcusem? - zapytał Dew. - I doktorem Danem?

Clarence pokręcił głową.

- Czyli mamy straty - skomentował Dew. - Niech nie pójdą na marne. Clarence, zabierz Margaret i idźcie na boisko liceum Martina Luthera Kinga, jakieś półtorej kilometra w górę Jefferson, nie da się go nie zauważyć. Murray posadził tam zestaw Margo Mobilu, pewnie będziemy musieli tam urządzić jakiś punkt kontroli zakazów. Są tam też dwa ospreye więc jeśli sytuacja zrobi się niewesoła, zabierzesz ją stąd.

- Zostaję tutaj, Dew - oświadczyła Margaret. - Clarence nie jest moim strażnikiem.

- Właśnie że jest - odpowiedział Dew. - I teraz cię stąd zabierze.

- Niech zrobi to ktoś z twoich ludzi - odezwał się Clarence. - Zostaję tutaj, żeby to zakończyć.

Czemu Clarence nie mógł się po prostu zamknąć i odejść? Nie zrobił już dość? Nie poświęcił dostatecznie dużo? Chciała stąd iść, ale chciała też, by poszedł z nią.

- Otto, *natychmiast* się stąd zbieraj - warknął Dew. - Twoje zadanie to ochrona Margaret, a chcę, żeby stąd spadała.

Clarence pokręcił głową.

- Ale Dew...

- Stul ten szczerbaty pysk. Słyszałeś rozkazy. Mógłbyś mi nie przeszkadzać w ratowaniu pieprzonego świata? Perry, idź z nimi.

Perry Dawsey się roześmiał. Był to mroczny śmiech, coś, co mogło się rozlec w kuchni z trzema trupami.

- Pieprz się, Dewie - rzucił. - Mam spotkanie z Chelsea.

Dew zwrócił się do Perry'ego, przekrzywiając twarz tak, by nawiązać kontakt wzrokowy. Brudne blond włosy Perry'ego zwisały przed twarzą umazaną błotem i przybieloną pyłem.

- Pójdiesz *natychmiast*, Dawsey, to rozkaz.

- Ile razy mam ci jeszcze powtarzać, staruszkule - odpowiedział Perry. - Nie jestem żołnierzem i możesz sobie wsadzić te twoje rozkazy. Chcę dorwać tę dziewczynkę. Jedyny sposób, w jaki możesz mnie zatrzymać to strzelając, ale tym razem będę się bronił. I to twoim pistoletem.

Perry uniósł brwi i podniósł pistolet, nie kierując go w Dewa, po prostu demonstrując go.

- Sir! - Do Dewa podbiegł wielki czarny mężczyzna, niemal równie duży, jak Perry. - Sir, ktoś wystawił przez drzwi białą flagę.

- Sukinsyn - zaklął Dew. - Zobaczmy, czy da się to jakoś zakończyć. Gwoździe, niech połowa twoich ludzi celuje w okna na piętrze, reszta w okna na parterze. Nie chcę zabić żadnych zakładników, ale nie jestem też w nastroju na bycie tarczą strzelniczą.

- Zrozumiano - odpowiedział Gwoździe i zaczął wydawać rozkazy. Margaret jeszcze nigdy nie słyszała nikogo, kto mówiłby tak głośno.

Dew znowu spojrzał na Perry'ego.

- Pewnie jeśli ci powiem, żebyś ze mną nie szedł, i tak mnie zignorujesz?

Perry przytaknął.

- Pieprzyć. - Dew westchnął. - Chodźmy.



Powolny oddech Perry'ego tworzył w zimnym powietrzu białe chmurki, unoszone przez lekki wiatr od strony rzeki. Hełm na głowie był zimny, ale kamizelka kuloodporna nie przepuszczała ciepła, przez co pocił się pomimo mrozu. Mocniej ścisnął czterdziestkę piątkę i wyszedł za Dewem zza rogu. Dew trzymał M4 z lufą skierowaną ku ziemi. W górze przemknęły odrzutowce, ryk ich silników przetoczył się echem przez miasto. W oddali Renaissance Center płonęło jak wysoka, dymiąca czarna pochodnia, a bijąca z pożaru kolumna czarnego dymu unosiła się i ciągnęła nad centrum Detroit. Wszędzie krążyło mnóstwo helikopterów, prawdopodobnie czekając na ujawnienie kolejnych ludzi Ogdena.

Perry i Dew podeszli do budynku na rogu. Przednie drzwi były lekko uchylone, tworząc dość miejsca na wystawienie kija z przywiązaną białą koszulką, którym ktoś machał energicznie.

Wszędzie wokół widział żołnierzy z kompanii Whiskey z bronią wycelowaną w otwarte drzwi i zabite dechami okna. Gdyby ktoś zaczął strzelać z wnętrza budynku, to miejsce natychmiast zmieniłoby się w rzeźnię.

Dew zatrzymał się jakieś siedem metrów od drzwi. Perry zrobił to samo, stając pół kroku za Dewem, po jego lewej stronie.

- Słuchamy - głośno powiedział Dew.

Drzwi otworzyły się szerzej i ze środka wyszła Chelsea Jewell z białą flagą.

Gdyby był to ktokolwiek inny, jakiś żołnierz, ktoś dorosły, jeden z nerwowych ludzi z bronią mógłby nacisnąć spust nie zważając na białą flagę. Jednak widok siedmioletniej dziewczynki z pięknymi blond lokami i niewinną twarzą sprawił, że nacisk na spusty osłabł, choćby tylko trochę.

Dla wszystkich innych dziewczynka wyglądała niewinnie, ale Perry'ego nie zwiódła. Zobaczył koszmar, coś mrocznego i samolubnego, gotowego zniszczyć wszystko, jeśli tylko nie dostanie tego, czego w danej chwili chce. Nie obchodziło go, co będzie musiał zrobić, jak daleko zajść - Chelsea Jewell nie mogła odejść stąd z życiem.

Dziewczynka wyszła na trzy metry przed drzwi, dostatecznie daleko, by stanąć na usłanej śmieciami, pełnej dziur ulicy.

- Chcemy negocjować - oświadczyła. - Moja mama potrzebuje pomocy.

- Powiedz swoim ludziom, żeby rzucili broń - zawołał Dew dość głośno, by usłyszała go nie tylko Chelsea, ale i wszyscy żołnierze w budynku.

Dziewczynka stała nieruchomo, jedynie flaga wciąż powiewała w jej małej dłoni. Z porozbijanych okien budynku wyleciały karabiny, z trzaskiem upadając na chodnik. Dwa zostały wyrzucone z parteru, ale tylko jeden z piętra. Czy naprawdę Ogdenowi zostało tylko tyle? *Trzech* ludzi?

Znowu cisza.

- Gdzie pułkownik Ogden? - zapytał Dew.

- Wyjdzie teraz z moją mamą - odpowiedziała Chelsea. - Jest chora, potrzebuje pomocy.

Perry usłyszał donośny głos Gwoździ.

- Pierwsza drużyna, ruszać!

Żołnierze kompanii Whiskey wyszli zza osłon i podeszli szybko, stając w półokręgu wokół Chelsea.

Dziewczynka odwróciła się i weszła z powrotem przez drzwi. Perry ruszył za nią, ale zatrzymała go ręka Dewa na piersi. Chelsea zniknęła w mroku za drzwiami. Kilka pełnych napięcia sekund później na zewnątrz wyszedł mężczyzna. Ogden. Sięgnął za siebie i pociągnął coś przez drzwi. Coś wielkiego, wyglądającego jak dwunożny hipopotam. Szarego. W... spodniach?

Chwileczkę.

On nie ciągnął tego czegoś.

To coś... *szło*.



- Co jest, kurwa - rzucił Clarence. - Czy to... Czy to jest *kobieta*?

Owszem, była. Kobieta rozdęta do niemożliwych rozmiarów. Jej ręce nabrzmiały do tego stopnia, że ich skóra naciągnęła się i była półprzezroczysta jak powłoka balonu, albo jak skórka kielbaski smażącej się na grillu. Brzuch miała rozmiarów widywanych tylko na kreskówkach. Jej piersi wyglądały jak wielkie, zniekształcone piłki plażowe. Twarz miała tak rozdętą, że jej oczy zmieniły się w rozciągnięte, zmrużone szpary. Kobieta nic nie widziała, to dlatego Ogden ciągnął ją do przodu.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął Dew. - Ogden, stój, bo będziemy strzelać!

Rozległy się metaliczne odgłosy broni podnoszonej do ramienia. Ogden stanął. Kobieta też. Płynnym, pewnym siebie ruchem Ogden sięgnął do kieszeni, wyciągnął granat, wyrwał zawleczkę i wcisnął go w rozdęty brzuch kobiety.

Dew strzelił. Ogden szarpnął głową na bok i padł bez życia.

Nastąpiły dwie bardzo długie sekundy pełne złowieszczej ciszy, podczas których Margaret i żołnierze wpatrywali się na obscenicznie rozdętą kobietę stojącą obok ciała pułkownika Charliego Ogdena.

Ktoś nacisnął na spust.

Nagle zaczął strzelać tuzin M4, ich kule przebijały to obrzydliwe coś, co kiedyś było piękną Candice Jewell. Każdy pocisk wybijał szarą smuzkę tryskającą niczym miniaturowa gaśnica. Zatoczyła się do tyłu, komicznie machając rękami w próbie zachowania równowagi.

A potem wybuchł granat.

Huk, bez rozbłysku. Chmura szarości upstrzona czerwonymi strzępami ciała.

Chmura rozszerzała się, pochłaniając Dewa i ludzi, którzy otoczyli Chelsea. Rosnąc rzedła, zmieniając się w przezroczystą półkulę z każdą chwilą większą i bardziej ulotną. Żołnierze odwrócili się, by uciekać, ale chmura ogarnęła ich zanim zdążyli zrobić trzy kroki. I pognała dalej, głodna coraz to kolejnych ofiar.

Pierwszy uciekający zwolnili, potem stanęli. Ich dłonie sięgnęły do gardeł, oczu i uszu. Zaczęli się drapać. Do *krwi*. Krzyczeli. Padali. Szarpali się i rzucali.

Chmura ogarnęła Margaret i pognała dalej, z mikroskopijnymi zarodnikami osiadającymi na hermetycznym kombinezonie.

Po jej twarzy spłynęły łzy. To był już koniec, ostatnia faza. Wybuch musiał uwolnić miliony zarodników. Sanchez złapał chorobę z małego pęcherza, na jego ręce wyładowało może z tysiąc zarodników i choć zaraz potem umył rękę, to nie miało znaczenia. Zarodniki błyskawicznie przenikały skórę, niemal natychmiast po jej dotknięciu.

Każdy z tych ludzi, włącznie z Dewem i Perrym, był już zakażony dawką przynajmniej tysiąc razy większą od tej u policjanta.

Oderwała wzrok od żołnierzy i rozejrzała się wokół. Przypominające nasiona dmuchawca zarodniki dryfowały dalej, szarawa chmura unoszona z wiatrem. Zarodniki zaczęły już opadać, ale tylko nieznacznie: mogły jeszcze przelecieć przynajmniej półtora kilometra, zanim wszystkie opadną na ziemię.

A to oznaczało centrum Detroit, nawet poza nim, rozprzestrzeniając je na dziesiątki tysięcy spanikowanych obywateli próbujących ukryć się przed strzelaniną. Zarodniki były znacznie mniejsze od kul, a jednak znacznie groźniejsze i przed nimi *nie* dało się ukryć.

Z wnętrza budynku zaczęli wychodzić ludzie. Zakładnicy. Drapiąc oczy, gardła i uszy, biegnąc we wszystkie strony, w dowolną stronę. Nie tylko wiatr będzie roznosił czynnik zakaźny – ci ludzie zanoszą go dużo dalej.

Ilu z nich w panice ucieknie z miasta? Znajdą samochód, drogę ucieczki i po prostu ruszą? Ilu będzie jechać przez trzy albo cztery godziny zanim zasną...

...i jak wielu z nich zmieni się w kolejny rozdęty worek, taki jak matka Chelsea?

Zobaczyła cywilów wychodzących z budynków, w których się ukryli, trących desperacko oczy i drapiących odsłoniętą skórę. Uciekali w panice, bezładnie rozbiegając się we wszystkie strony.

– Clarence, czy twój wyświetlacz w hełmie mówi coś o integralności kombinezonu?

Nie odpowiedział. Bez słowa wpatrywał się w pandemonium.

– Clarence!

– Ja... um, nie, nic na temat przebicia.

Bogu dzięki. Był bezpieczny.

– Musimy stąd uciekać, i to szybko – powiedziała. – Musimy dostać się do komory odkażania w przyczepie na boisku. Potrafisz prowadzić ten motocykl zaparkowany przed budynkiem?

– Tak, ale co z Dew? I Perrym? Musimy im pomóc.

Margaret przełknęła ślinę. Dew wił się na ziemi. Perry leżał na plecach, prawie się nie ruszając. Chciała do nich podejść, ale jakaś zimna, analityczna część jej mózgu dobrze знаła wynik.

– Nie możemy im pomóc – odpowiedziała. – Rób co mówię, i to już. Jeśli nie, cały świat przepadnie.

Clarence obejrzał się na nią, potem znowu popatrzył na ludzi wijących się po ziemi i uciekających w głąb miasta. Chyba w końcu to do niego dotarło. Mocno zacisnął oczy i po jego policzkach także spłynęły łzy. Po chwili podniósł powieki, chwycił ją za rękę i pobiegł w stronę motocykla.

## Ludzie pomagają ludziom

*Wstawaj, Perry. Potrzebuję cię.*

Kaszel.

Pył, smak dymu, ziemi, smak...

(nie myśl o tym)

...albo spalonego ciała. W jego *ustach*.

Znowu kaszel.

Jednak nie tylko z powodu cegieł, ziemi, dymu, drewna i (nawet o tym nie myśl) spalonego ciała, kaszel skądś głębiej, z dna płuc.

Coś *piekącego*.

Perry wiedział. Czuł piekący ból na całej skórze, na twarzy, w mięśniach i oczach. Były *wewnątrz* niego.

*Już czas, żebyś do mnie dołączył.*

To znowu ona. W jego głowie. Myślał, że brama to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek poznał. Mylił się. Choć brama była wspaniała, blakła w porównaniu z tym głosem.

*Chodź do mnie, Perry. Zabierz mnie stąd.*

Taki piękny. Słyszał ją już wcześniej, ale wtedy była setki kilometrów od niego. Teraz nie było dystansu, zagłuszenia, żadnej szarości – w jego duszy szalała jej czysta, potężna moc.

Perry wstał i zatoczył się ulicą. Wszędzie ludzie, dzielni chłopcy z kompanii Whiskey, turlający się na ziemi, kaszlący, plujący krwią. Wszyscy mieli kompletnie przesrane.

Tak jak Perry.

A tu, leżący po środku ulicy... Dew Phillips.

*Odpręż się i pozwól się temu dzieć. Będziesz teraz silniejszy. Będziesz taki jak ja. Chodź do mnie, Perry. Chroń mnie.*

Perry ruszył w stronę Dewa. Mężczyzna leżał na plecach, na przemian otwierając i zamykając usta. Zobaczył Perry'ego i zdołał się uśmiechnąć, a potem wzruszyć ramionami.

Wiedział, co jest grane.

- Przepraszam... młody - powiedział ochryplym głosem. - Wygląda na to... że jednak nie pójdziemy na ryby.

*Zabij go.*

Twarz Dewa wykrzywiła się w maskę agonii. Perry wiedział, co czuje agent, ponieważ doznawał tego samego. Jedyna różnica w tym, że Perry od dawna kolegował się z bólem.

Cierpienie Dewa jakby na chwilę osłabło. Mężczyzna zamrugał szybko, potem odkaszlnął, a na jego ustach pojawiła się krwawa piana.

- Młody... weź moje radio... zobacz, czy Margaret się wydostała...

Perry przytaknął.

- Zrobię to.

*Zabij go. Już.*

- Jestem z ciebie dumny... Perry - wydusił Dew. - Może nie masz... jąder, ale... nie brak ci jaj.

Dew Phillips zdołał się roześmiać. A przynajmniej zaczął się śmiać, tylko po chwili śmiech zmienił się w kaszel.

Perry zobaczył na ziemi swój pistolet. Ten, który przez ponad trzydzieści lat należał do Dewa.

*Zabij go!*

- Dziękuję ci za wszystko - powiedział Perry. - I przepraszam, ale muszę to zrobić.

Przystawił czterdziestkę piątkę do czoła Dewa.

- Młody? Co...

Perry zamknął oczy, usztywnił rękę i nacisnął spust.

Potem odwrócił się i ruszył w stronę budynku.

Chelsea go wzywała, *Bóg* go wzywał i musiał być posłuszny.



## Jazda do życia

Czarny harley Night Rod Special z rykiem pędził chodnikiem East Jefferson Avenue. Wstrząśnięci ludzie umykali z drogi, aż nazbyt chętni, by uciec przed kolejnym potencjalnym zagrożeniem: głośnym jak diabli motocyklem niosącym dwie osoby w kombinezonach ochronnych.

Na chodniku i ulicy leżało pełno ciał ludzi, którzy próbowali nie dać się zgarnąć jako zakładnicy żołnierzy Ogdena. Clarence omijał ciała, samochody, które wjechały na chodnik i rozbiły się o budynki oraz nielicznych ludzi chodzących bez celu, drapiących oczy, twarze i ręce. Margaret wszędzie widziała ślady szarego pyłu. W miarę jak jechali, pył się przerzedzał, aż w końcu zniknął. Wyjechali poza zasięg wybuchu kobiety zmienionej w purchawkę.

Teraz jedyne zarodniki wieźli na własnych kombinezonach ochronnych.

Nawet pomimo ulicy całkowicie zatarasowanej samochodami harley sunął w dobrym tempie, dzięki niemożliwie głośnemu rykowi silnika, który z daleka ostrzegał ludzi mogących stanąć mu na drodze. Po kilku minutach zobaczyli boisko futbolu amerykańskiego po lewej. A na nim Margo Mobil i dwa ospreye.

Na wyświetlaczu jej hełmu rozbłysła ikona połączenia bezprzewodowego. Komputer kombinezonu nawiązał połączenie z siecią łączności nowego Margo Mobilu.

- Tu doktor Margaret Montoya! - krzyknęła, gdy Clarence ostro skręcił w Mt. Elliot. - Przygotować się do natychmiastowej ewakuacji. *Natychmiast* połączcie mnie na tej częstotliwości z Murrayem Longworthem, otwórzcie drzwi służby, a potem wszyscy mają opuścić przyczepy i wejść do ospreya. Włączcie silniki, za trzy minuty odlatujemy. *I nie zbliżać się do mnie*, mam na sobie patogeny.

Przecznicę dalej dotarli do głównej bramy boiska. Stał tam strażnik, ale zobaczyła tylko jego plecy, gdy biegł sprintem do ospreya. Clarence przejechał ryczącym motorem przez bramę na boisko i zatrzymał się przed drzwiami służby.

Gdy tylko silnik motoru ucichł, Margaret usłyszała w głośniczkach hełmu głos Murraya.

- Co się dzieje, Margaret?

Razem z Clarencem pobiegli do służby. Miała wrażenie, że biega od zawsze i wszystkie mięśnie głośno protestowały. Weszli do środka i zamknęła drzwi za nimi. Gdy tylko ciśnienie się wyrównało, otworzyła drzwi do komory do odkażania.

- Odpowiedz, Margaret!

- To jest zakaźne - odpowiedziała dysząc ciężko. Szybko podeszła do panelu sterowania, a Clarence zamknął za nimi drzwi. Nacisnęła przycisk i pomieszczenie wypełniło się rozpylanym roztworem ługu i gazowym chlorem.

- Wiemy, że to jest zakaźne - odpowiedział Murray.

- Nie, nie rozumiesz - warknęła, unosząc ręce i powoli się obracając, by strumienie omyły ją całą. - To jest *w powietrzu*. Powielią się wewnątrz ludzi, napelnią ich jak purchawkę, aż pękną.

- Dobra, jak to powstrzymać? Gdzie jest Dew?

- Dew został zakażony. Tak jak Perry i cała reszta. Nic nie możemy dla nich zrobić, Murray, a jeśli chcemy mieć nadzieję to opanować, musimy działać natychmiast.

Z drugiej strony zapadła martwa cisza.

- Słyszałeś mnie, Murray?

- Tak - odpowiedział szybko głosem, w którym brzmiało całkowite wyczerpanie. - Co chcesz, żebyśmy zrobili?

Dysze skończyły spryskiwanie. Clarence otworzył drzwi służby prowadzącej z powrotem do wyjścia.

- Musisz... - Margaret przełknęła ślinę.

Głos utknął jej w gardle. Wyszła za Clarencem. Mężczyzna zamknął drzwi, po czym podbiegł do zewnętrznych.

- Margaret? - ponaglił ją Murray. - Mów do mnie.

Poczuła lzy spływające jej po twarzy, jednak z powodu kombinezonu nie miała jak ich wytrzeć.

- Opcja numer cztery - wyjaśniła. - Musisz użyć opcji numer cztery.

Śmiertelna cisza. Otto wyciągnął ją ze służby i zaczął ściągać jej rękawice.

Kiedy Murray odpowiedział, jego głos brzmiał słabo, staro.

- Musi być jakiś inny sposób.

Clarence podniósł kolejno jej nogi, ściągając buty.

Margaret pokręciła głową.

- Nie ma. Kula ognia podniesie temperaturę tak bardzo, że zabije wszystkie zarodniki w promieniu pięciu albo sześciu kilometrów. A one zdążyły się już rozprzestrzenić przynajmniej na półtora kilometra. Musisz to zrobić. I to już.

Znowu cisza. Odłączyła hełm od kombinezonu, ale zostawiła go na głowie, by móc rozmawiać. Zaczęła zdzierać z siebie kombinezon. Clarence robił to samo ze swoim.

Nowy głos w głośniczkach.

- Margaret, mówi prezydent Gutierrez. Zdajesz sobie sprawę, że prosisz nas o zrzucenie bomby atomowej na Detroit?

- Oczywiście, kurwa, że zdaję sobie z tego sprawę! *Dokładnie* wiem, o co proszę, *pierdolony* idioto!

Margaret nie potrafiła już powstrzymać łez ani łkania. Wyszła z opuszczonego na dół kombinezonu. Miała teraz na sobie tylko luźny strój i hełm. Otto chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę otwartej tylnej rampy ospreya.

- Ile mamy czasu na ewakuację? - zapytał Gutierrez.

- Nie możecie ewakuować - powiedziała. - Jeśli nie zrobicie tego od razu, będzie za późno. Niech się pan zastanowi nad tym, jak zostali skonwertowani ludzie Ogdena, ile czasu to trwało i co potem zrobili. Zarodniki zostały już rozsiane w śródmieściu Detroit. Zakaziły tysiące ludzi. Oni będą się wydostawać z miasta. Ci ludzie są już przerażeni, będą próbować uciekać z Detroit najdalej, jak potrafią, i nie zdoła ich pan zatrzymać. Niektórzy zmieniają się w te... purchawki pełne zarodników. Widzieliśmy, jak to wygląda. Zakażenie rozprzestrzeni się wszędzie. Ludzie zaczną być zmieniani w organizm zbiorowy, przestaną być ludźmi. Jeśli to wyjdzie poza Detroit, mamy

*przejebane*. Ludzkość ma *przejebane*. Musi pan zadziałać natychmiast, panie prezydencie, na dobre straciliśmy nad tym kontrolę.

- Gdzie jesteś? - zapytał Gutierrez.

- Wsiadamy do ospreya na boisku.

Wbiegła w górę rampy, która zaczęła się za nią zamykać. W środku zastała siedmiu ludzi. Popatrzyli na nią i Clarence'a, po czym natychmiast przesunęli się do przodu części pasażerskiej.

- Margaret - cichym, lodowatym głosem odezwał się Gutierrez. - Czy jesteś pewna, *absolutnie* pewna, że to jedyny sposób?

- Ja... tak.

Znowu cisza, po czym odezwał się Murray.

- Rozkazuję pilotowi ospreya, żeby szybko stamtąd uciekał. Powinniście być poza zasięgiem, gdy wybuchnie. Jakie są dokładne współrzędne celu?

Margaret przez chwilę patrzyła w pustkę. Wszyscy ludzie Dewa przepadli, nie było komu użyć lasera do podświetlenia celu. Choć był jeden sposób, aby się upewnić, że trafią we właściwe miejsce.

- Możecie namierzyć sygnał telefonu satelitarnego Dewa?

- Tak.

- Zrzućcie ją tam.

## Perry spotyka Chelsea

Perry gotował się od wewnątrz. Byli z bólem starymi kumplami, ale chwilowo gość poczynał sobie trochę zbyt obcesowo. Wyglądało na to, że drugie zakażenie będzie równie fajne, jak pierwsze.

Przeszedł przez frontowe drzwi opuszczonego budynku. Wewnątrz stało dwóch ludzi Ogdena. Odzyskali swoją broń. Zarodniki nie zrobiły im krzywdy.

Pozwolili Perry'emu przejść.

*Chodź do mnie, mój obrońco.*

Poszedł. Żołnierze ruszyli za nim, po jednym z każdego boku. Chelsea była na drugim piętrze, czuł ją, czuł jej piękno, jej moc, jej boskość. Wszedł po starych schodach, trzeszczących mu pod nogami.

*Generał Ogden powiedział, że będziemy mieć jeszcze godzinę, zanim zablokują miasto, więc musimy się spieszyć. Potrzebujemy samochodu, będziemy mogli się przejechać.*

Dotarł do szczytu schodów.

W końcu ją zobaczył, w głębi korytarza w pustym, zaśmieconym pokoju porzuconego budynku.

Chelsea.

Jego serce *aż bolało* z miłości.

- Obawiam się, że zniszczyłem bramę, Chelsea.

*Zniszczyłeś bardzo wiele rzeczy.*

- Ale bez bramy... Co teraz zrobisz?

*Jesteśmy teraz całkiem nową osobą. Superorganizmem. Ładne słowo, prawda? Czujesz pętlacze pracujące w twoim ciele? Zmienią cię jeszcze bardziej, Perry. Uciekniemy z Detroit, a potem z tobą zmusimy cały świat, żeby bawił się razem.*

Podszedł do niej. Jego stopy zrobiły się strasznie ciężkie, każdy krok wymagał dźwignięcia tysiąca kilogramów. Każdy nerw wrzeszczał w agonii.

Mogła to zrobić. Mogła zdobyć cały świat.

Chelsea Jewell mogła zostać Bogiem.

*Teraz rozumiesz, prawda? Rozumiesz, jak głupie było walczenie z tym przez cały czas. Chodźmy do samochodu, mam ochotę na lody.*

Perry uśmiechnął się do niej. Taka drobna, delikatna, taka piękna.

Prawą ręką uderzył w stojącego za nim żołnierza. Jego łokieć wbił mu się w twarz jak kafar, miażdżąc lewy policzek i przebijając kość oczodołową. Mężczyzna po lewej zaczął podnosić swoje M4, ale Perry skierował w dół czterdziestkę piątkę i dwa razy nacisnął spust. Pociski zmieniły stopę żołnierza w bryłę mięsa. Zadygotał, upuścił broń i instynktownie sięgnął do stopy. W chwili, gdy się zgiął, Perry przystawił colta do jego głowy i pociągnął za spust.

Potem obrócił się szybko w stronę żołnierza, od którego zaczął atak. Dwa strzały prosto w głowę powalonego. Zanim wyrzucona w powietrze uderzeniami pocisków krew opadła na brudną, drewnianą podłogę, Perry obrócił się i sięgnął.

Jego potężna dłoń zacisnęła się na gardle Chelsea Jewell.

Dźwignął ją. Nic nie ważyła.

*Przestań!*

- Nie.

*Nie, Perry, NIE! Zły Perry!*

Nie wyglądała na przestraszoną. Nie wyglądała też na wcielenie zła. Wyglądała jak rozpuszczone dziecko, które robiło co tylko chce, które *brało* wszystko, na co tylko miało ochotę.

Ścisnął trochę mocniej.

W anielskich, błękitnych oczach pojawił się strach, zrozumienie, że może jednak wcale go nie kontroluje.

*Musisz robić to, co ci każę! Powiedziałam, żebyś zabił tego człowieka i to zrobisz!*

- Wcale mnie do tego nie zmusiłaś - odpowiedział Perry. - Nie mogłem pozwolić na to, żeby stał się taki jak ja. Pomogłem mu.

Dźwięki stóp wbiegających po schodach za nim. Perry odwrócił się twarzą do drzwi, wciąż trzymając przed sobą dziewczynkę. Ostatni żołnierz wbiegł do pokoju z uniesioną bronią, po czym zatrzymał się gwałtownie, widząc Chelsea uniesioną w powietrzu jak tarczę.

Perry wycelował i strzelił.

Kula trafiła żołnierza w sam środek czoła. Trafiony zrobił krok do tyłu, upuścił karabin i powoli podniósł prawą rękę, jakby chciał po raz ostatni dotknąć Chelsea.

Przewrócił się na plecy i przestał się ruszać.

Perry popatrzył na Chelsea. Wciąż oszałamiało go jej piękno. Doskonale rozumiał wyrażający miłość i uwielbienie gest umierającego.

*Czemu miałbyś mnie zabić, Perry?*

W lodowato zimnych oczach pojawiła się nienawiść.

Spojrzenie miała zimne, jak oczy pisklaka.

*Nie jesteś taki jak inni. Widzę twoje wspomnienia, Perry. Nikt nie akceptował cię takim, jakim byłeś, ale ze mną możesz być tym, do czego się urodziłeś: zabójcą.*

- Może urodziłem się do bycia zabójcą - odpowiedział Perry. - Ale już nim nie jestem.

*Jesteś, i dobrze o tym wiesz. Czemu im pomagasz? Czy ci ludzie kiedykolwiek coś dla ciebie zrobili?*

- Jeden z nich chciał mnie zabrać na ryby - wyjaśnił Perry.

A potem strzelił Chelsea Jewell w twarz.

## Telefon satelitarny Dewa

Żołnierz podał Margaret telefon satelitarny. Tylko na niego popatrzyła. Clarence wyjął jej go z ręki i odebrał.

- Mówi agent Otto.

Z głośniczka rozbrzmiał głos, trzeszczący, ale zrozumiały.

- Tu Murray. Mam Perry'ego na linii. Chce rozmawiać z Margaret.

Margaret zapadła się w sobie. Perry wciąż żył? Już nie długo, zdecydowanie.

- Dobra - wydusiła z siebie i przejęła telefon.

Znowu trzaski, potem głęboki głos Perry'ego Dawseya.

- Cześć, Margo.

Zaczęła walczyć ze łzami. Jeśli zacznie płakać, nie będzie mogła mówić.

- Cześć - przywitała go. - Czy ty... używasz telefonu satelitarnego Dewa?

- Tak - potwierdził Perry. - Dostałem Chelsea. Głosy w końcu ustały, ale... chyba nie będzie ze mną za dobrze. Mam w sobie te rzeczy. To boli. Bardzo. Chyba idą do mojego mózgu. Margaret, nie chcę znowu stracić kontroli.

- Nie stracisz - odpowiedziała. - One... nie będą miały czasu.

Chwila ciszy.

- Jasna cholera - rzucił wreszcie. - Zrzucacie na mnie atomówkę?

- Tak.

Wybuch śmiechu, ucięty przez mokry kaszel, potem jęk bólu.

- Dew powiedział, że jestem jak karaluch, że nic nie może mnie zabić. Chyba jednak tym razem fizyka nie stoi po mojej stronie.

Z gardła Margaret wydostało się coś, co było na pół śmiechem, na pół płaczem. Bolała ją *dusza*.

- Jest tam Clarence?

- Tak, jest - potwierdziła Margaret.

- Naprawdę jesteś wyjątkowy - odezwał się agent. Jego głos również podszyty był łkaniem. - Nigdy nikt nie był tak twardy jak ty.

- Przepraszam za te żarty z Tobim - powiedział Perry. - Prawdę mówiąc, po prostu zazdrościłem ci Margo. Chciałem się na kimś wyładować, a ty byłeś pod ręką.

- Wiem - wyznał Clarence. - To nic takiego.

- Nie spieprz tego z nią - poprosił Perry. - Mam nadzieję, że wiesz, co masz.

- Wiem - zapewnił Clarence. - Wierz mi, wiem.

- Świetnie - rzucił Perry. - Uch... ile mam czasu?

- Jakies piętnaście sekund. - Odpowiedzi udzielił Murray.

- Serio? - zapytał Perry. - To trochę przejebane.

Chwila ciszy. Znowu kaszel.

- Margo?

- Tak?

- Dziękuję za uratowanie mi życia.

## B61 robi bingo

Przyszedł rozkaz.

Kapitan Paul Ward poprosił o powtórzenie go.

Powtórzyli.

Paul nic nie powiedział. Nie mógł w to uwierzyć.

Jego oficer uzbrojenia, podpułkownik Maegan „Mae” Breakall siedziała tuż za nim. Była jedną z nielicznych kobiet w załogach F-15E i osiągnęła tę pozycję dzięki graniu w drużynie i faktowi, że nigdy nie kwestionowała rozkazów.

Podczas gdy Paul siedział bez słów, Mae także poprosiła o powtórzenie rozkazu.

Powtórzyli go ponownie, tym razem z nieco większym naciskiem.

Kapitan Paul Ward zrobił wtedy coś, co nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy w całej karierze wojskowej: odmówił wykonania rozkazu.

Nie, sir.

Nie, nie zrzucę dziesięciokilotonowej bomby atomowej B61 na Motor City.

Piętnaście sekund później na linii odezwał się generał lotnictwa Luis Monroe. I gdyby tego było mało, do rozmowy dołączył prezydent John Gutierrez.

Monroe najpierw wyjaśnił, całkiem spokojnie, biorąc pod uwagę sytuację, że jeśli Paul i Mae nie wykonają bezpośredniego rozkazu, będzie to zdradą. Gutierrez też dodał trochę motywacji: jeśli kapitan Paul Ward nie zrzuci bomby, i to kurwa już, będzie bezpośrednio odpowiedzialny za rozprzestrzenienie się choroby na całe Stany Zjednoczone Ameryki, choroby, która potencjalnie może zniszczyć kraj, jego obywateli, a nawet całą rasę ludzką.

Paul i Mae nie mieli pojęcia, ile z tego jest prawdą, ale z drugiej strony ich zadanie nie polegało na kwestionowaniu rozkazów. Mieli je *wykonywać*, rozkazy każdego oficera wyższego stopniem, a gdy rozkaz został wydany osobiście przez dowódcę sił powietrznych oraz głównodowodzącego sił zbrojnych, trudno było go nie wykonać.

Paul pociągnął wolant do siebie, wyprowadzając F-15E na pięć tysięcy metrów. Równocześnie reszta jego eskadry włączyła dopalacze i odleciała. Radio wypełniły gorączkowe komunikaty: ospreye, blackhawki, A-10, F-15 i wszystkie inne pojazdy latające zawracały znad centrum Detroit i odlatywały z maksymalną prędkością.

Paul i Mae zostali sami.

Właśnie mieli zrzucić atomówkę na Amerykę.

Mae walczyła ze łzami wprowadzając dane do komputera.

Taktyczna głowica jądrowa B61 model 4 o mocy liczonej w kilotonach miała unikalną cechę regulacji mocy wybuchu. Funkcja ta pozwalała załodze samolotu zmienić moc wybuchu bomby podczas lotu. Zgodnie z rozkazem Mae ustawiła ją na 10 kiloton. Ustawiła pułap eksplozji na 300 metrów, uzbroiła broń i poinformowała Paula, że jest gotowa do zrzutu.

Odsłonił przełącznik wyzwalacza bomby. Pomyślał o swoich trzech synach w bazie sił powietrznych Mountain Home w Idaho, o tym ilu takich synów było tam w dole, w

Detroit, ile córek, matek, ojców, braci, sióstr, bratanków, siostrzenic i kuzynów. Oraz psów. Ile tam w dole było psów?

Oparł palec na przełączniku. Jego ręka osłabła. Ogarnęła go nadzieja, że może dostanie nieoczekiwanego udaru i straci zdolność naciśnięcia go.

- Zrób to, Paul - odezwała się Mae.

Nacisnął.

Nie dostał udaru.

Przełącznik kliknął.

Czterometrowa rakietka B61 odpalila, oddalając się od F-15E z prędkością tysiąca dwustu kilometrów na godzinę. Gdy bomba gnała w stronę celu, Paul maksymalnie otworzył przepustnicę i zaczął uciekać od Detroit z prędkością ponaddźwiękową.

Ważąca trzysta pięćdziesiąt kilogramów B61 opadała w stronę miasta. Komputer naprowadzający namierzał sygnał emitowany z rogu Franklin i Riopelle. B61 nie miała uderzyć w ziemię, jednak gdyby to zrobiła, wylądowałaby zaledwie sześć metrów od telefonu satelitarnego trzymanego przez Perry'ego.

Na wysokości czterystu metrów włączył się generator gazowy, wyrzucając ośmiometrowy spadochron wstęgowy z nylonu i kevlaru 29. W ciągu trzech sekund B61 zwolniła z 1200 kilometrów na godzinę do 55.

Zacząła opadać do wysokości 330 metrów, gdzie ciśnienie atmosferyczne aktywowało mechanizm zapłonowy rozpoczynający łańcuchową reakcję jądrową.

Wybuch.

W ciągu jednej milionowej części sekundy powstała kula ognia o temperaturze dziesięciu milionów stopni, niemal dwa razy wyższa od panującej na powierzchni słońca. Powstały żar promieniował na zewnątrz z prędkością światła, rozszerzając się i rozpraszając. Oczywiście rozproszenie było pojęciem względnym, ponieważ żar powodował natychmiastowe oparzenia pierwszego stopnia w odległości nawet trzech kilometrów. Im bliżej wybuchu, tym silniejsze oparzenia. Wewnątrz trzystupięćdziesięciometrowego kręgu wybuchu ciało po prostu odparowywało.

Każdy zarodnik w promieniu półtora kilometra od punktu wybuchu zginął natychmiast. Te, które znalazły się w odległości od półtora do trzech kilometrów przeżyły nawet dwie sekundy, zanim spaliły się, uwalniając mikroskopijnie małe chmurki dymu. Wiejący z prędkością siedmiu i pół kilometra na godzinę wiatr poniósł część zarodników nawet cztery kilometry, więc ich zniszczenie zajęło nawet pięć sekund, ale i tak zginęły.

Kula plazmy stanowiła główny sens bomby atomowej - jej celem było uwolnienie olbrzymiej temperatury, która miała zabić każdy zarodnik, i sprawdziła się doskonale.

Pozostałe skutki wybuchu były nieuniknionym działaniem nadmiarowym.

Budynki Renaissance Center stały niecałe półtora kilometra od punktu wybuchu. Promieniowanie gorące jak gwiazda zmieniło metal, plastik i szkło we wrzącą ciecz. Niektóre z płynów natychmiast odparowały, jednak budynek nie miał czasu na całkowite stopienie się i spłonienie.

Chwilę później przyszła fala uderzeniowa.



Siła wybuchu pchnęła otaczające go powietrze w falę ciśnienia wędrującą z prędkością 1250 kilometrów na godzinę, tuż powyżej prędkości dźwięku i dwukrotnie szybciej, niż w tornado kategorii F5, które jest najpotężniejszym wiatrem na Ziemi. Fala ciśnienia uderzyła w topiące się szkło, metal i plastik RenCen z siłą prawie dwudziestu pięciu ton na metr kwadratowy, rozpryskując stopione ciecze w olbrzymiej chmurze i roztrzaskując wciąż stałe elementy, niczym kowalski młot uderzający w domek z zapalek.

Główna wieża ośrodka Renaissance Center miała siedemdziesiąt trzy piętra, otaczające ją cztery niższe miały po trzydzieści dziewięć każda. Niecałe trzy sekundy po wybuchu to wszystko zniknęło.

Fala uderzeniowa gnała z prędkością dźwięku, powoli tracąc energię. Zniszczyła Comercia Park, bazę zespołu Tigers, rozrywając na kawałki betonowe ławki i rozrzucając ich elementy na wiele kilometrów. W dniach, które nastąpią potem, trzy siedzenia z sekcji 219, częściowo stopione, ale wciąż przynitowane do betonowych podstaw, zostaną znalezione na parkingu baru Big Sammy w Westland, trzydzieści kilometrów dalej. Zakrzywiony biały dach Ford Field, boiska Detroit Lions, zapadł się jak skorupka jajka rozdeptana przez grubasa.

W promieniu półtora kilometra od punktu wybuchu fala uderzeniowa zniszczyła każdy budynek niższy niż dziesięć pięter, unosząc ich strzaskane kawałki w zabójczej chmurze porównywalnej z huraganem, niosącej cegły, drewno, metal i szkło.

Ta sama fala uderzeniowa porывała samochody i rzucała nimi jak zabawkami, obracając je w powietrzu i przebijając nimi budynki, zmieniając fordys, toyoty i chryslerys w wirujące pociski śmierci. Niektóre pojazdy wylądowały w ścianach i dachach domów stojących półtora kilometra dalej.

Detroit nie było jedynym miastem, które poczuło skutki wybuchu. Po drugiej stronie rzeki kula ognia spiekła duży kawałek Windsor, a fala uderzeniowa rozorała miasto, równając z ziemią domy nawet półtora kilometra od brzegu.

Wszędzie ginęli ludzie. Szczęśliwcy blisko miejsca wybuchu odparowali w pierwszym błysku, a ich cienie zostały wypalone na chodnikach i ścianach. Jakaś kobieta piła właśnie colę – błysk ją odparował, zostawiając na ścianie idealny obrys ze zgiętą ręką, odchyloną do tyłu głową i puszką w dłoni. Dalej od epicentrum ludzie nie ulegali odparowaniu, ich skóra pękała z powodu wrzenia płynów we wszystkich komórkach na skutek nagłego żaru. Ocaleni porównywali później to uczucie do zanurzenia w kotle z wrzącą wodą. Większość ludzi, którzy przeżyli pierwszy błysk, zginęła od fali uderzeniowej lub została zabita przez kawałki budynków lub samochodów lecących z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę.

Jeśli przeżyło się i to, trzeba było sobie poradzić z oparzeniami drugiego i trzeciego stopnia, płonącymi budynkami i martwymi zaścielającymi ulice.

A jeśli przeżyło się i to, ciało jeszcze przez wiele lat odczuwało skutki promieniowania. Wskaźnik zapadalności na choroby nowotworowe w południowo-wschodnim Michigan wzrósł o parę rzędów wielkości.

Oszacowano, że początkowy wybuch zabił około 58 000 osób. Kolejne 23 000 zginęło w ciągu kilku dni wskutek oparzeń i obrażeń związanych z falą uderzeniową. Łącznie

w wybuchu zginęło 81 000 osób. W ciągu kolejnych pięciu lat kolejne 127 000 zginie z powodu trwałych obrażeń, raka i innych chorób związanych z promieniowaniem.

Przez wszystkie te lata, pośród skandali i komisji śledczych Kongresu oraz publicznego oburzenia, prezydent John Gutierrez, jego gabinet, szefowie sztabów, Murray Longworth, Margaret Montoya i Clarence Otto codziennie zadawali sobie jedno pytanie...

Czy było warto?

I choć odpowiedź brzmiała brutalnie, tak właśnie było. Zniszczyli zarodniki, zabili Chelsea i zestrzelili satelitę.

Wciąż nie wiedzieli, co miało wyłonić się z tych bram, jak naprawdę wyglądały anioły i jakie zniszczenia mogły spowodować.

Nie wiedzieli i dzięki tym, którzy oddali swoje życie, nigdy nie mieli się dowiedzieć.



W ciągu tygodni, które nastąpiły po wybuchu, gdy FEMA, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i tuzin innych agencji i organizacji pozarządowych zebrały się w Motor City i na jego przedmieściach, by pomóc ocalałym i pochować zabitych, dwie małe, załogowe łodzie podwodne zaczęły zbierać jedyne pozostałości wroga.

Elementy satelity.

Trzysta metrów pod burzliwą powierzchnią jeziora Michigan na dnie spoczywały fragmenty satelity, zbiór powykręcanych, zniekształconych i rozbitych części.

Jednak jeden element został prawie nienaruszony. Obiekt ten został stworzony do przeżycia takich sytuacji, do wytrzymania niemal dowolnego zniszczenia w celu zapewnienia dostarczenia jego zawartości.

Ten szczególny przedmiot miał wielkość zbliżoną do puszki z napojem.

# PODZIĘKOWANIA

Mojemu „Pierwszemu czytelnikowi”. Zawsze poświęcasz się dla innych.

„Zespołowi Siglera”:

- Julianowi „Tha Shiv” Pavii i ciężko pracującym mrówkom z Crown Publishing. Dzięki Wam to wydaje się zabawą.
- Byrdowi „The Natural” Leavellowi za nieustanne wsparcie, przewodnictwo oraz instynkt do opowieści.
- Scottowi Christianowi i J.C. Hutchinsowi za wczesne przeczytanie, co pomogło rozwiązać trochę problemów. Jesteście niezłomni.
- Mae „RDQ” Breakall za bycie moim mózgiem.
- Paulowi „Pulsar” Rogalinskiemu, zabójczemu programiście.
- Ariochowi Morningstarowi, maszynie do produkcji dźwięków.

Badania i wskazówki:

- Jeremy’emu „Xenophanes” Ellisowi, mojemu przyjacielowi i niezwykle doradcy naukowemu. Ta książka nie powstałaby bez Twojej błyskotliwości.
- Dougowi Ellisowi za pomoc przy procedurach BSL-4.
- Paulowi Blassowi i Billowi DeSmedtowi, którzy zapewnili bardzo potrzebną pomoc w zakresie mechaniki orbitalnej.
- „Slow-Lane-Express” za przeszkolenie z zakresu ciągników siodłowych i przyczep.
- Robertowi W. Gillilandowi, majorowi USAF, za głęboką wiedzę na temat Sił Powietrznych i wieloletnią przyjaźń.
- Chrisowi Grallowi, weteranowi armii USA, za taktykę, broń, szczegóły i zachowanie.

Dziękuję wszystkim kobietom i mężczyznom służącym w armii USA za wszystko co robią i co poświęcają.

EKSTRA-SPECJALNE PODZIĘKOWANIA Z WISIENKĄ NA CZUBKU:

Najserdeczniejsze „cholerne dzięki” dla Joe Dumarsa, prezesa ds. koszykówki klubu Detroit Pistons, za sprzedanie Chaunceya Billupsa do Denver krótko po wysłaniu tej powieści do druku. Teraz przynajmniej mogę powiedzieć, że to przez Dumarsa wyglądam na idiotę...

Oraz na koniec dla moich zagorzałych wielbicieli, „The Junkies”. To wszystko dla was. Książka, którą trzymacie w dłoniach zbliża nas do wyniesienia. Głoście wiarę, wkrótce nadejdą czołgi w kratkę...

Pisz do autora na adres: [scott@scottsigler.net](mailto:scott@scottsigler.net).



## SCOTT SIGLER

Powieściopisarz, autor takich bestsellerów New York Times jak trylogia „Infected” (*Infected, Contagious, Pandemic*) czy powieści *Ancestor* i *Nocturnal*. Jest współzałożycielem wydawnictwa Empty Set Entertainment, przez które publikuje swoją serię „Galactic Football League” (*The Rookie, The Starter, The All-Pro* i *The MVP*).

Scott, zanim wydano jego książki, zdążył zebrać grono internetowych fanów oddając za darmo w ich ręce nagrany przez siebie audiobook, w postaci podcastu. Jego lojalni fani, nazywający siebie „Junkies”, pobrali do tej pory ponad osiem milionów odcinków jego historii.

Scott zmienił całkowicie sposób wydawania książek, gdy wypuścił *Earthcore* jako pierwszą na świecie powieść wydaną tylko jako podcast. Wydana w 20 odcinkach, *Earthcore* nawiązuje do czasów słuchowisk radiowych. Innowacyjne wykorzystanie technologii przez Siglera stawia go w czołówce nowoczesnego podejścia do wydawania i umożliwiło mu stanie się marką samą w sobie wśród setek tysięcy fanów fantastyki i miłośników techniki.

Znalazł się na okładkach Time Magazine, Washington Post, New York Times, San Francisco Chronicle, Entertainment Weekly, Publisher's Weekly, Huffington Post, Business Week i Fangoria. Wciąż nagrywa swoje audiobooki i rozdaje każdą historię – za darmo – dla swoich Junkies na [www.ScottSigler.com](http://www.ScottSigler.com).

Scott pochodzi z rodzimego Michigan, mieszka w San Francisco ale dalej kibicuje swoim ukochanym Detroit Lions.

Tytuł oryginału:  
CONTAGIOUS

Copyright © 2008 by Scott Sigler

This translation published by arrangement with Crown Publishers, an imprint of the Crown Publishing Group, a division of Random House LLC.

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo GMORK Świątkowska Ryba sp.j.  
Wrocław 2015

Copyright © for the Polish translation by Marek Pawelec, 2015

*Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All Rights Reserved.*

Korekta i redakcja:  
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Skład:  
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA  
(ebook) PRZEMYSŁAW RYBA

Projekt okładki:  
PRZEMYSŁAW RYBA

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp.j.  
ul. Domeyki 16, 53-209 Wrocław  
tel: 795 626 546  
[www.gmork.pl](http://www.gmork.pl)  
[wydawnictwo@gmork.pl](mailto:wydawnictwo@gmork.pl)

ISBN: 978-83-941000-4-9  
ISBN (ebook): 978-83-941000-5-6

Patroni

medialni:

